PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO". *Ps 143.*

ROK XLII. Tom 167.

LIPIEC — SIERPIEŃ — WRZESIEN

1925

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Masoni a ideologja masońska.

Zbliżając się ulicą *di Porta Angelica* ku kolumnadzie św. Piotra w Rzymie, musiało się mijać szereg niewielkich i niepozornych kamienic, z jakich prawie całkowicie składa się średniowieczne *Borgo*. Tylko uważny przechodzień spostrzegał na ostatniej z nich, wtłoczonej w kącie z lewej strony ulicy, wmurowaną tablicę Giordana Bruna. Umieściła ją tam ręka masonerji, owej potężnej masonerji, która po wejściu do Rzymu wojsk piemonckich nie zadowolniła się obdarciem papieża z władzy cywilnej, ale postanowiła walczyć z papiestwem dalej, by zniszczyć także jego wpływy duchowe i kulturalne w świecie. Usadowienie się spiskującej sekty w tej obskurnej kamieniczce, tuż pod murami Watykanu, mogło symbolizować podkopywanie się pod gmach ideologji chrześcijańskiej owej drugiej, rosnącej wówczas z dnia na dzień, duchowej potęgi, jaką przedstawiała ideologja wyzwolonego, jak się lubiano wyrażać, z pęt klerykalnych, a właściwie buntującego się przeciw zwierzchnictwu Bożemu człowieka. Imię Giordana Bruna, filozofa odrodzonego pogańskiego panteizmu i „męczennika“ niezależnej myśli, miało służyć za wyzwanie, rzucone temu, który z wysokości pałacu w więzienie zamienionego nie przestał odzywać się do ludzi i narodów imieniem Jezusa Chrystusa, jako Jego namiestnik na ziemi. Słowem, kamieniczka ta była symbolem walki, wydanej przez masonerję Kościołowi katolickiemu.

Pielgrzymi, przybywający w tym „roku świętym“ do stolicy chrześcijaństwa, już nie widzą owej zuchwałej i wyzywającej tablicy ku czci neo-pogańskiego filozofa. Z samej

kamienicy, którą tablica zdobiła, sterczą tylko resztki ścian nieco ponad fundamentami. Objaśniano mnie, że rząd faszystowski wyprosił braci wolnomularzy z tego lokalu i przeznaczył go na zburzenie w celu rozszerzenia ulicy, prowadzącej do siedziby Namiestnika Chrystusowego...

Czy nie jest to znowu symboliczne? W tem zburzeniu jednej z forpoczt potężnej do niedawna Loży, i to forpoczty tak celowo podsuniętej pod Watykan, wolno dopatrzeć się symbolu upadku masońskich wpływów we Włoszech. Właśnie 18 maja b. r. parlament włoski 304 głosami na 304 obecnych deputowanych, uchwalił ustawę o stowarzyszeniach tajnych, wymierzoną właściwie w byt lóż wolnomularskich. Ustawa żąda — do legalnego bytowania tych stowarzyszeń — przedstawienia władzom ustaw i regulaminów i ujawnienia listy członków. Jeżeli masonerja ulegnie temu prawu, straci dużo ze swojej tajemniczości i poddana pod kontrolę rządu, a pośrednio i opinji i społeczeństwa, zapewne zostanie sparaliżowana w wielu swoich knowaniach i zamierzeniach. Przedewszystkiem inspirator ustawy, Mussolini, nie myśli nadal tolerować, by do lóż należeli dygnitarze i funkcjonarjusze państwowi i z lóż otrzymywali rozkazy i natchnienia do swej politycznej czy administracyjnej działalności. Jeżeli zaś odmówi masonerja uległości nowej ustawie, łatwo przewidzieć co ją spotka: loże, legalnie rozwiązane i zapewne ze swych dotychczasowych siedzib wypędzone, będą zmuszone ukrywać się przed wzrokiem ludzkim jeszcze pilniej, zejść jeszcze głębiej w zakamarki konspiracji, co również odejmie im możność występowania z tą butą, jaka je dotąd cechowała.

Wszakże obchodzą nas tutaj nie tyle dalsze wyniki uchwalonej ustawy, ile sam fakt, że we Włoszech, tak do niedawna opanowanych przez masonerję, stała się możliwą taka uchwała. Prawda, że obecnie na Montecitorio nie istnieje wcale opozycja, która widząc swą bezsilność, wyniosła się na „Awentyn", że zatem owych 304 posłów, którzy jednogłośnie na ustawę się zgodzili, przedstawiają karne szeregi jednego wodza, Mussoliniego, [1]) a Mussolini znienа-

[1]) Karność ta parę dni przedtem jeszcze bardziej się okazała w innej sprawie. Debatowano nad przyznaniem kobietom praw wyborczych

widził masonerję jeszcze wtedy, kiedy był socjalistą. Bądź co bądź fakt, że jeden człowiek, choćby tak mocnej ręki jak Mussolini, targnął się na masonerję i znalazł posłuch u takiej liczby posłów, ten fakt nie świadczy chyba o jakiejś wszechpotędze, jaką Lożom przypisywała — widać z wielką dozą przesądu — opinja do niedawna powszechna. Może trafniej określił znaczenie masonerji wódz faszyzmu w swej mowie parlamentarnej: masonerja nie jest górą, jaką wydaje się zdaleka, lecz raczej rozdętym pęcherzem, który już czas przekłuć.

Może dobrze się stało, że operacji „przekłucia" dokonał faszyzm włoski, kierowany ręką Mussoliniego bez udziału „awentyńczyków". Wśród tych ostatnich znajduje się jeszcze dość silne stronnictwo „Popolari", stronnictwo w gruncie rzeczy katolickie, a mające więcej skrupułów co do ograniczania wolności stowarzyszania się, niż ich mają faszyści, kiedy rozchodzi się o ich wrogów. Gdyby secesjoniści byli obecni na Montecitorio, możeby świat miał dziwne widowisko, że z pewnych zasadniczych względów — wolności obywatelskiej — broniłoby masonerji wielu katolików. Masonerji cios zadano nie w imię Ewangelji ani kodeksu kanonicznego; o Ewangelji chyba nie pamiętał Mussolini, gdy wygłosił zasadę, której się sam trzyma: „należy czynić jaknajwięcej dobra przyjaciołom, a jak najwięcej zła — wrogom, a wrogiem naszym masonerja". Nie z zasad głębokich wychodził, które wymagałyby wszędzie i zawsze równego stosowania; wszak uchwała, jaką przeprowadził w parlamencie włoskim w tym roku, gdyby była przyjętą w nim cztery lata temu, ugodziłaby dość ciężko także w związki „czarnych koszul" i przeszkodziłaby wzrostowi faszyzmu. Mussolini oparł się na sile fizycznej, jaką rozporządza w tej chwili, by zadać cios wrogowi, — mamy więc tu do czynienia z moralnym relatywizmem, jakim stale kierowała się sama masonerja w swojej walce z Kościołem, stróżem

do rad administracyjnych. Mimo gorących przemówień kilku deputowanych za przyznaniem kobietom tych praw, wniosek nie znajdował większości. Lecz oto 15 maja występuje na trybunę prezes ministrów, oświadcza o potrzebie przyznania kobietom praw, o jakich mowa, i... uchwała zostaje przyjętą. Zresztą przyznane prawa nie obejmują ogółu kobiet.

niezmiennych Bożych praw. Dziś zbiera plony w wielkiej mierze z własnego posiewu, w mierze dużo większej, niż z posiewu jakiejś reakcji klerykalnej.

Wojna, wydana wolnomularstwu przez faszyzm włoski, czyni problem masoński aktualnym także w innych krajach, nie wyłączając Polski. Warto sobie uprzytomnić w czem się zawiera właściwe niebezpieczeństwo masonerji i jak mu przeciwdziałać. Są u nas ludzie, którzy wolnomularstwo uważają za niewinną zabawkę mających czas na to; są znowu inni, co wszystko złe, jakie od początku świata się stało, przypisują wszechpotężnym masonom i na każdym kroku ich widzą. Wobec tych biegunowo sprzecznych zdań, warto odsłonić właściwe oblicze wolnomularstwa i określić istotną miarę jego wpływów. Oczerniać nikogo nie wolno, nawet djabła, który i bez tego jest czarny, ale strzec się trzeba także tego optymistycznego patrzenia na świat, które w nim wcale djabła nie widzi. Do pośredniego sądu o masonerji doprowadzi nas, mamy nadzieję, spokojne i rzeczowe przyjrzenie się jej strukturze, panującym w niej prądom i zasadom.[1])

Zacznijmy od organizacji. Można się spotkać z mniemaniem, że wolnomularstwo przedstawia jednolitą na całym świecie i zwartą organizację, stojącą pod rozkazami jakiegoś jednego centrum i spełniającą wszędzie jego wolę. Pamiętam, jak przed paru dziesiątkami lat, w epoce taxilo-vaughanowskich mistyfikacyj, doszukiwano się takiego centrum, czegoś w rodzaju masońskiego papiestwa. Niektórzy skłonni byli widzieć je właśnie w Rzymie w osobie W. Mistrza Wschodu Włoch, Ernesta Nathana, który będąc zarazem burmistrzem *(síndaco)* Rzymu, inscenizował różne hece antypapieskie. Otóż trzeba stwierdzić z całą stanowczością, że masonerja żadnego wszechświatowego centrum, ani żadnej wspólnie uznanej władzy nie posiada. Nie istnieje nawet federacja,

---

[1]) Bardzo rzeczowy a zwięzły artykuł o masonerji pióra znakomitego znawcy przedmiotu, niemieckiego jezuity H. Grubera, znajdujemy w amerykańskiej *Catholic Encyclopaedia*, t. IX str. 771—788. Oczywiście trzeba te dane uzupełnić tem, co o masonerji pisano w latach ostatnich. O próbach np. utworzenia organizacji międzynarodowej pisała wyczerpująco *Civilta Cattolica* w zeszytach z 3 i 17 listopada 1923 r.

któraby obejmowała wolnomularskie organizacje całego świata. Rozbita najpierw pod względem swej organizacji i rytuału na dwa główne obozy: masonerji zwykłej i masonerji szkockiej i wiele pomniejszych organizacyj niezależnych, dzieli się następnie według krajów, a nawet prowincyj na mnóstwo grup, zwanych już to „wielkiemi lożami", już to „wielkiemi wschodami", ogólnie zaś „potęgami" *(puissances)*, które grupując pod sobą poszczególne loże, same jedna względem drugiej rządzą się zupełnie niezależnie i suwerennie. Takich „potęg" istnieje coś półtory setki.[1]) Rządzą one dwudziestu kilku tysiącami lóż, liczącemi członków ponad dwa miljony.

Powiedzieliśmy, że nie istnieje nawet federacja, któraby obejmowała wszystkie organizacje masońskie. Potrzebę takiego sfederowania „potęg" masońskich odczuwano niejednokrotnie i czyniono próby w tym kierunku; zawsze wszakże bezskutecznie, dzięki rozbieżnościom, jakie ujawniały się pomiędzy rozmaitemi odłamami wolnomularstwa. Dopiero w r. 1902 udało się utworzyć w Szwajcarji „Międzynarodowe biuro stosunków między masonami" *(Bureau international de relations maçonniques,* w skróceniu B. I. R. M.), które wszakże zdołało skupić zaledwie 26 „potęg" (na 150!), wiodło dość suchotniczy żywot i podczas wojny światowej o mało nie uległo zupełnemu rozbiciu. W latach 1907—1908 usiłował francuski „Wielki Wschód" zgrupować masonerję innych krajów pod swoją egidą i poprowadzić ją do walki przeciwko „klerykalizmowi", spotkał się wszakże z odmową przystąpienia do tej jedności ze strony lóż angielskich i amerykańskich. Część lóż niemieckich przystąpiła do tej unji, lecz nie na długo; już bowiem w parę lat większa część ich oderwała się od niej, a po wybuchu wojny światowej antagonizm między masonerją francuską a niemiecką jeszcze bardziej się zaostrzył.

Nie udawały się także próby zwołania kongresów, na którychby cała masonerja była reprezentowana. Taki kongres usiłowano zwołać do Rzymu w jesieni 1920, jako w pięćdziesięciolecie obalenia świeckiej władzy

[1]) Według kalendarza masońskiego, jaki miałem w ręku, z r. 1906 było ich 149, w tej liczbie 85 w samych Stanach Zjednoczonych.

papieża. Wspomniany już wyżej W. Mistrz masonerji włoskiej Nathan rozpisał cyrkularz „do wszystkich potęg całej ziemi" (oczywiście „potęg" masońskich), zapraszając je do Wiecznego Miasta na ów ważny dla wolnomularstwa jubileusz. Na ten okólnik większa część zaproszonych nie raczyła nawet odpowiedzieć. Zaproszenie Nathana przypomniał i ponowił jego następca na W. mistrzostwie D. Torrigiani, jeszcze z gorszym skutkiem, gdyż W. Loża w New-Yorku odpowiedziała otwarcie, że masonerja amerykańska nie może brać udziału w obchodzie pamiątki upadku władzy świeckiej papieża, gdyż współpracuje ze wszystkiemi organizacjami, a zatem i Kościołami, które zmierzają do podniesienia ludu i polepszenia jego doli. Musiano się więc ograniczyć do daleko skromniejszego obchodu 50 rocznicy zaboru Rzymu, z udziałem jedynie wolnomularstwa włoskiego i dość nielicznych przedstawicieli innych krajów.

Nieudałe przedsięwzięcie ponowiła niebawem szwajcarska W. Loża „Alpina", która po paru przedwstępnych konferencjach, zdołała zwołać kongres międzynarodowy do Genewy na październik 1921 r. Tym razem wzięła udział w nim nawet Wielka Loża New-Yorku, za to masonerja angielska zupełnie zignorowała zaproszenie, a z Niemiec na 8 Wielkich Lóż zjawiła się tylko jedna loża „Wschodzącego Słońca" z Norymbergi, zażądano bowiem od niemieckich lóż podpisania deklaracji, potępiającej działania wojenne Niemiec, które to żądanie wszystkie „potęgi" niemieckie, z wyjątkiem norymberskiej, odrzuciły z oburzeniem. Naogół na tym „kongresie międzynarodowym" było 32 przedstawicieli od 12 „potęg"; nadto kilka potęg zgłosiło swój akces telegraficznie lub listownie. Na tymże kongresie doszło wreszcie do założenia „Międzynarodowego Związku wolnomularskiego", do którego przystąpiły Wielkie Loże reprezentowane na zjeździe; inne dopiero miały być przyjmowane doń w miarę zgłaszania się. Ten Związek to tylko nieco rozszerzone co do działalności Biuro z r. 1902; w półtora roku po swem założeniu liczył zaledwie 19 członków („potęg") i zapewne i dzisiaj nie wiele więcej ich posiada; bojkotują go Amerykanie, Anglicy, masonerja skandynawska, wreszcie Niemcy, ci ostatni „wierni duchowi czystego germanizmu, nie uzna-

jącego utopji solidarności powszechnej", według słów pisma masońskiego *Bauhütte*. O skromnych rozmiarach akcji Związku świadczy budżet jedynej czynnej w nim instytucji, t. j. Kancelarji w Genewie: zamykał się on w r. 1922 w sumie 23.000 franków, w czem już zawierały się koszty druku kwartalnego bulletynu. Widzimy, że nie ma świat powodu do zbytniego niepokojenia się działalnością tej jedynej „międzynarodowej" masońskiej centrali jako takiej. Wobec tych wszystkich nieudałych prób zjednoczenia całego wolnomularstwa jakże imponująco się przedstawia spoistość organizacyjna Kościoła katolickiego z centrum jedności na Watykanie, z swemi kongresami wszechświatowemi, naukowemi, eucharystycznemi! Może za mało my, katolicy, zdajemy, sobie sprawę z naszej własnej potęgi. Zaiste jest to góra, u której stóp miota się rozdęty pęcherz masonerji.

Jeżeli wolnomularstwu tak trudno zorganizować się w jedną jednolitą potęgę, to pochodzi to stąd, że nie jest ono jednolite w swojej ideologji. I to jest ważne spostrzeżenie, które warto mieć na względzie, kiedy się mówi o zgubnych zasadach masonerji. W tych „zasadach" jest tyle rozbieżności i sprzeczności, że prawdziwą trudność stanowi wyśledzenie co właściwie jest wspólnem wszystkim jej „obediencjom" i „potęgom".

Weźmy stosunek wolnomularstwa do religji. Właśnie różnice, zachodzące między poszczególnemi odłamami masonerji pod tym względem, stanowią podobno największą przeszkodę do ich zjednoczenia się. Różnica rysuje się tu wyraźna między masonerją krajów tak zwanych łacińskich, a wolnomularstwem anglo-saksońskiem, do którego można zaliczyć także kraje skandynawskie. Podczas gdy masonerja łacińska, składając się w wielkiej mierze z ateuszów, odrzuciła w swych „pracach" i obrzędach wzmianki o „Wielkim Budowniczym świata" wraz z emblemami religijnemi i pod hasłem walki z „klerykalizmem" zwalcza wprost religję, to masonerja anglo-saksońska, albo ogólniej powiedzmy — wolnomularstwo krajów protestanckich przeważnie stoi jeszcze na stanowisku wiary w Boga, w nieśmiertelność duszy, Biblję, jako księgę świętą, kładzie na swych „ołtarzach", ateizm uważa za przeszkodę do przyjęcia do loży. Wiele jest lóż,

w tem niektóre niemieckie, które przyjmując z Biblji Nowy testament, wykluczają tem samem Żydów i wyciskają na swym składzie piętno antysemickie wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, jakoby cała masonerja była opanowana przez żydostwo. Za to znowu istnieje wiele lóż czysto żydowskich, jak istnieją loże złożone jedynie z wyznawców Koranu.

Interesującym był rozdźwięk, jaki ujawnił się między obozami łacińskim i anglosaskim masonerji właśnie w okresie ostatniego „kongresu" w Genewie. Z całej masonerji Stanów Zjednoczonych, która liczy cztery razy tylu „braci", ilu ich mają wszystkie inne kraje,[1]) na kongres przybyło tylko trzech delegatów z jednej W. Loży New-Yorku; ci, przejeżdżając przez Londyn, porozumiewali się z masonami angielskimi co do udziału tych ostatnich w kongresie, wyrozumieli jednak, że Anglicy nie byli zaproszeni bezpośrednio, lecz za pośrednictwem „braci" holenderskich i że nie myślą jechać do Genewy. Przewodniczący kongresu Reverchon wyjaśnił, że loże angielskie objeżdżał specjalnie uproszony o to W. Mistrz Lymbeck, nic jednak nie wskórał; owszem, że masoni angielscy opublikowali u siebie enuncjację, że nie chcą mieć nic wspólnego z temi „potęgami" masońskiemi, które odrzuciły Biblję.

Na samym kongresie usiłowano znaleźć platformę wspólną, na którejby mogli stanąć zarówno masoni, nie wierzący w Boga, jak i wierzący. Debatowano nad tak zwanemi „znamionami" (landmark), jakie masonerja amerykańska uznaje u siebie za obowiązujące. Na 19, 20 i 21 miejscu są tam wymagania wiary w „Wielkiego Budowniczego świata", w zmartwychwstanie ciał i obecności na ołtarzu loży „księgi prawa". Co do ostatniego punktu zgodzono się, że w lożach chrześcijańskich mógłby być taką księgą Nowy testament, w żydowskich Stary, w muzułmańskich — Koran, jako rozmaite wyrazy „objawionej woli Wielkiego Budowniczego", podkreślano wszakże ze strony amerykańskiej, że roczniki

[1]) W Stanach Zjednoczonych wolnomularstwo jest niezmiernie popularne, łatwo przyjmuje członków ze wszystkich sfer społeczeństwa, ale też jest najmniej czemś tajemniczem i konspiracyjnem, przybierając często charakter klubów towarzyskich.

masońskie (zapewne w Ameryce) nie znają ani jednego przypadku dopuszczenia do loży notorycznego bezbożnika. Po długich debatach na ten temat podpisano wreszcie „Wyjaśnienie zasad", w którem określono masonerję jako instytucję „filantropijną, filozoficzną i postępową, opartą na zasadzie powszechnego braterstwa, mającą za cel szukanie prawdy, studjum i praktykowanie moralności i solidarności". Różnym „potęgom" pozostawia się ich własny charakter i zwyczaje rytualne. O wierze w Boga niema żadnej wzmianki, ale też niema wyraźnego pozwolenia na dopuszczanie ateuszów do loży. Ta kompromisowa, a właściwie w duchu łacińskich wolnomularzy powzięta deklaracja ma rzekomo sprowadzić masonerję na platformę pierwotnej konstytucji, tak zwanej Andersona, z r. 1724 i przyjętą została za podstawę owego międzynarodowego Związku masonerji, o którym mówiliśmy wyżej. Ze wszystkiego, co się powiedziało, jasnem się staje, że jeżeli do Związku zgłosiła swój akces tak znikoma liczba „potęg", to główny powód abstynencji jest ono pominięcie „Wielkiego Budowniczego" w Biblji we wzmiankowanej „deklaracji zasad". Angielscy „bracia", wśród których jest wielu pastorów protestanckich, zapewne i nadal nie zechcą utrzymywać stosunków z „braćmi" francuskimi, wyraźnie przechylającymi się na stronę ateizmu.

Jak w dziedzinie poglądów na religję, tak próżnobyśmy szukali jedności między wolnomularzami w polityce. Że wolnomularze zajmują się bardzo polityką, wbrew konstytucji Andersona, która z „prac" braci wykluczała kwestje religijne i polityczne, to jest jasne z całej historji masonerji i z wyznań, niekiedy aż zbyt chełpliwych, samychże masonów. Lecz między straszaki i przesądy należy włożyć mniemanie, jakoby masoni posiadali jakiś jeden plan polityczny, któryby przeprowadzali konsekwentnie bez względu na czas i na różnice narodowościowe. Jak inni ludzie, tak i oni są ludźmi dostępnymi dla tychże samych politycznych namiętności; jak inni, tak i oni nie zawsze mogą się wyzwolić z więzi solidarności, jakie ich łączą z własnym narodem; kiedy im samym może się zdaje, że kroczą na czele ludzkości, w rzeczywistości ciągną często w ogonie panującego ducha czasu.

Dość tu przypomnieć stosunek masonów niemieckich do francuskich. Choć zbliżeni do siebie wrogim stosunkiem do Kościoła katolickiego, już podczas wojny 1870 r. i bezpośrednio po niej wzajemnie się wyklinali i boczyli na siebie. Potem się stosunki między nimi zaczęły zacieśniać, by znowu się rozluźnić i sprowadzić antagonizm podczas wojny światowej. Wprawdzie na wiosnę w 1915 r. pisano o spotkaniu się w Genewie francuskich i niemieckich wolnomularzy, i że wtedy jakoby wspólnie zadekretowano obalenie Hohenzollernów i innych panujących w Niemczech, rozbiór Austro-Węgier, zwrócenie Francji Alzacji i Lotaryngji, aneksję natomiast Austrji do Niemiec,[1]) później wszakże drogi obydwóch masoneryj rozeszły się i widzieliśmy wyżej, jak masoni niemieccy są twardzi w „czystym germaniźmie" i jak odrzucają wszelkie przyznanie się Niemiec do odpowiedzialności za wybuch wojny i popełnione w niej bezprawia, czego żąda od nich masonerja francuska i belgijska. Gdzie tu jest w danym razie autentyczna masońska polityka? Pomysł Ligi Narodów przypisuje się masońskim wpływom otoczenia prezydenta Wilsona, lecz nie trudnoby chyba udowodnić, że i przeciwnicy Ligi, którzy z powodu niej odrzucili ratyfikację traktatu wersalskiego przez Amerykę, liczyli wśród siebie wielu masonów, jak wogóle wielu z nich liczą między sobą wyznawcy całej doktryny Monroëgo. Widać, że nawet w jednym i tym samym kraju może istnieć duża różnica w politycznych zapatrywaniach masonów.

Ciekawym przyczynkiem do interesującej nas w tej chwili kwestji jest fakt, że ta sekta, która niewątpliwie przyczyniła się do wybuchu rewolucji francuskiej, która popierała rozmaite przewroty polityczne i dziś, naprzykład we Francji, uważa się sama za główną ostoję republiki i demokracji, w wielu innych krajach doskonale się godzi z monarchiczną formą rządu. W krajach skandynawskich królowie tradycyjnie bywają protektorami masonerji, a książęta krwi często jej wielkimi mistrzami. Podobneż zjawisko widzimy w Anglji, gdzie Edward VII (o jego następcy nie wiem) był najwyższym protektorem wolnomularstwa, i w Pru-

1) O tych umowach wspomina *Documentation Catholique.* N. 254. z 16—23 sierpia 1924 r., str. 245, przypisek u dołu.

sach, gdzie zwykle „kronprinzów" stawiano na czele najwybitniejszych wielkich lóż.

Nie posiada wolnomularstwo nawet jednego programu stosunków społecznych. Obecnie wśród masonów, zwłaszcza w krajach łacińskich, możnaby wskazać wielu popleczników najskrajniejszego radykalizmu, lecz oto zjawisko ciekawe, o którem nas informuje świeżo Mussolini, że już lat temu piętnaście partja socjalistyczna we Włoszech — po gorących wywodach ówczesnego Mussoliniego — uchwaliła prawie jednogłośnie, że nie można pogodzić przynależności do masonerji i do partji. A inne zjawisko nie mniej ciekawe, że bolszewizm rosyjski piętnuje masonerję, jako organizację burżuazyjną i adeptom komunizmu, przychodzącym z masonerji, przepisuje rok nowicjatu i prawie jakieś egzorcyzmy. Czy to tylko mistyfikacja dla odwrócenia uwagi profanów od istotnych stosunków między komunizmem a masonerją? Nie mam odwagi przypisywać nawet bolszewikom aż takiego machiawelizmu. Rzeczywiście, jeśli już koniecznie szukać ściślejszych związków między masonerją a którąś z polityczno-społecznych partyj, to najwięcej ich się znajdzie w partji liberalnej, w radykalniejszych jej skrzydłach, t. j. że masonów najwięcej się spotka wśród owej burżuazji, która z rewolucyjnej łatwo się staje zachowawczą, gdy zabezpieczy swoje interesy. Ona to, jeżeli zachowuje coś z radykalizmu pierwotnego, to przedewszystkiem tak zwane hasła „antyklerykalne".

Możnaby także niejedno powiedzieć o kosmopolityźmie i nacjonaliźmie w masonerji. Nikt nie zaprzeczy dużego udziału wolnomularzy w dziele zjednoczenia Włoch — wszak Mazzini i Garibaldi byli zarazem wysokimi dygnitarzami masonerji — było to wszakże dzieło nawskroś nacjonalistyczne, podobnie jak i dzieło zjednoczenia Niemiec i obwołania ich cesarstwem, w czem również masoni brali żywy udział. Obecnie w wolnomularstwie przeważają raczej tendencje kosmopolityczne i humanitarystyczne, co nie świadczy przynajmniej o jednolitym po wsze czasy poglądzie masonerji na te ważne zagadnienia. Zresztą masonów niemieckich, zwłaszcza pruskich, trudno nawet podejrzewać o kosmopolityzm.

Z humanitaryzmem masońskim łączy się dość ściśle judofilstwo. Znowu byłoby przesadą utrzymywać, że masonerję wymyślili Żydzi, że Żydzi ją opanowali zupełnie i każą się jej wysługiwać jakimś specjalnie żydowskim celom. Ale nie ulega wątpliwości i przyznaje to żydowski historyk antysemityzmu, Bernard Lazare,[1]) że wiele pierwiastków żydowskich tkwi zarówno w ideologji, jak w obrzędach wolnomularskich, i że Żydzi, zwłaszcza ci, co sprzeniewierzyli się własnej ortodoksji, łatwo się garną do masonerji, znajdując w niej odbicie własnego ducha. Oni też następnie dość dużą w niej odgrywają rolę i swoim sprytem potrafią ją wyzyskiwać w interesie własnych współbraci. W wielkiej mierze im trzeba także przypisać ów radykalizm religijny, tak właściwy masonerji łacińskiej i który tak zraża do niej masonów z krajów anglo-saksońskich.

Rozbicie masonerji na tak różne odłamy, różnice w ich ideologji i rozbieżność w akcji, antagonizmy wzajemne i wprost ekskomuniki dowodzą nam namacalnie, że jeżeli masonerja, według wyrażenia Mussoliniego, jest wielkim pęcherzem, to napełniają ten pęcherz i rozsadzają bardzo różnorodne gazy.

Czyż niema jednak naprawdę nic, coby było wspólne wszystkim tym „potęgom", „obediencjom", słowem wszystkim kapliczkom tej rozgałęzionej i licznej sekty? Owszem, dużo takich rzeczy można wskazać, które stanowią niejako powłokę tego pęcherza i nadają mu powierzchownie jednolite zabarwienie. Jest to najpierw wspólne pochodzenie wszystkich lóż. Możemy darować masonom ich fantastyczne rodowody, nawiązujące historję „zakonu" do Templarjuszów, do Salomona, Henocha czy Noego. Wiemy natomiast, że cała obecna masonerja rozeszła się po świecie w XVIII i XIX stuleciu z Anglji, a potem z Francji i że wszystkie te loże ostatecznie biorą początek w Wielkiej loży, założonej w r. 1717 przez kilku angielskich deistów, którzy w parę lat później wypracowali konstytucję t. zw. Andersona, dotąd braną za podstawę wszelkich ustaw masońskich. Wspólnem wszyst-

[1]) L' Antisemitisme, son histoire et ses causes. Paris, 1894, str. 339 i następne.

kim jest imię „wolnomularzy", wszystkie loże posiadają pewne wspólne cechy ustroju wewnętrznego, jak podział na stopnie, lubują się w symboliźmie, w gromkich tytułach, w egzotycznych obrzędach, w otaczaniu się tajemnicą, chociaż obrzędy, tytuły są różne i liczbę stopni różne organizacje mają rozmaitą. Co ważniejsze — to wspólna im wszystkim jakaś megalomanja, każąca im w sobie upatrywać jakichś luminarzy świata, jakąś sól ziemi, żywić przekonanie, że to oni właśnie są najpotężniejszym czynnikiem postępu. W gruncie rzeczy częstokroć są te loże, Wielkie Wschody, potęgi, zbieraniną miernot, które jeżeli się nie kłócą między sobą, to adorują się wzajemnie i tworzą związek wzajemnego protegowania się i popierania w życiu publicznem. Przeglądając pewne źródła, dotyczące niemieckiej masonerji połowy XIX stulecia, natrafiłem na liczne skargi samych masonów na brak talentów w ich szeregach, na karjerowiczostwo członków, na brak przewodniej myśli w pracy. Boć przecież komunały o powszechnem braterstwie (widzieliśmy jakiem!), o postępie, o szukaniu prawdy — to nie program żaden. Co się tyczy wielkich ludzi, to lubią się masoni szczycić imionami takiemi, jak Voltaire, Goethe, Mozart, lecz są to albo wielkości wątpliwej marki, albo też ludzie, których masonerja wciągnęła dla ozdoby swego „zakonu", którzy wszakże nie brali w jej życiu zbyt czynnego udziału. Innych wielkość robi sama loża, celująca w jednej rzeczy — w autoreklamie pomimo swej tajemniczości. Tam, gdzie posiada jeszcze największe wpływy na politykę, jak we Francji, masonerja nie wielu może wykazać z pośród siebie mężów, których nazwiska rzeczywiście byłyby — że tak powiem — sztandarowe. Ostatecznie ani Herriot ani Painlevé formalnie nie należą do loży; w radzie ministrów, która powstała po zeszłorocznych wyborach, masonami byli ci, o których stosunkowo mniej się słyszało: Peytral, Chautemps, Dumesnil, Renoult — nazwiska znowu nie tak głośne! We Włoszech także nie spotykamy między nimi orłów, za to dużo szczurów, uciekających z tonącego okrętu, na co żali się pewien sekretny okólnik masoński, ogłoszony w jesieni zeszłego roku przez *Idea Nazionale.* [1]) Tę megalomanję, pomimo ubóstwa

[1]) Zob. *Documentation Catholique,* numer cytowany, str. 575.

w ideologii i ludziach, to narzucanie się na przewodników narodom, łatwo byłoby zdemaskować i łatwo byłoby ten pęcherz przekłuć w każdym kraju, gdyby wszędzie znaleźli się zręczni chirurgowie.

Jedna jest jeszcze rzecz — stanowczo najważniejsza — a wszystkim bez wyjątku odłamom masonerji wspólna — to wrogi jej stosunek do Kościoła katolickiego i do papiestwa w szczególności. Źródło tej wrogości zaraz zrozumiemy. Masonerja początkowo była ucieleśnieniem deizmu. Deizm polegał na tem, że zatrzymując wiarę w istnienie Boga i nieśmiertelność duszy, odrzucał całą pozytywną objawioną religję, degradował Chrystusa do rzędu zwykłych ludzi, biblję i ewangelję usiłował wtłoczyć w ciasne ramki religji naturalnej, nie uznawał Opatrzności i ingerencji Bożej w rządach tego świata, przyznawał wskutek tego ludziom autonomję i suwerenność w urządzaniu wszystkich swoich spraw doczesnych. Był to program na owe czasy tak rewolucyjny, że organizacja, który go przyjęła za swój, nawet w kraju protestanckim, jakim była Anglja, musiała się z nim ukrywać — i ten deizm i naturalizm stanowił właśnie ów s e k r e t wolnomularstwa, przedmiot wtajemniczań i przysiąg, osłonięty dziwacznemi symbolami i obrzędami. Ten deizm, w szacie jakiejś nowożytnej kabały — to właściwa istota masonerji i on raz na zawsze zadecydował o stosunku jej do katolicyzmu.

Stosunek ten musiał być negatywny i wrogi. W społeczeństwach protestanckich, dzięki zasadzie wolnego badania dogmatów i biblji, możliwym stał się wkrótce pewien kompromis między protestantyzmem a deistyczną masonerją; w lożach na przełomie XVIII i XIX stulecia zauważono pewien wzrost poszanowania dla biblji i różnych prądów mistycznych; do protestantyzmu znowu przesiąkł naturalizm w tłumaczeniu biblji, alegoryczny wykład dogmatów i cudów, aż skończyło się na otwartem wystąpieniu protestantyzmu liberalnego, który odrzuca bóstwo Chrystusa i sprowadza całą religję do jakiejś mistyczno-panteistycznej uczuciowości. Z takiem „chrześcijaństwem", bezdogmatycznem, znaturalizowanem łatwo było masonerji pogodzić się. I faktycznie widzimy w jej szeregach mnóstwo pastorów wszel-

kich denominacyj. Zwłaszcza w Ameryce masonerja cieszy się wielkiem wzięciem wśród predykantów różnych sekt, zwłaszcza tak zwanych Metodystów, — do tego stopnia, że gdy się ma do czynienia z takim misjonarzem, to nie wiadomo, co w nim przeważa: czy kaznodzieja protestancki, czy masoński wysłannik.

Inaczej się rzecz ma z katolicyzmem. Masonerja pierwotna, ukrywając swój „sekret", twierdziła, że na jej platformie mogą się spotkać przedstawiciele wszystkich wyznań chrześcijańskich. Miało się tylko usunąć z lóż spory teologiczne o dogmaty, miało się pozostawić każdemu jego wierzenia, a utworzyć obok nich wspólną religję i wspólną moralność „uczciwego i honorowego człowieka". Tak obiecywała konstytucja Andersona, lecz wtajemniczenie w „sekret" masonerji robiło swoje. Adept oswajał się z zasadą, że dogmaty, choćby najistotniejsze w chrześcijaństwie, to rzecz podrzędna, że owszem trzeba je sprowadzić do rozmiarów naturalnego rozumu. Ten „sekret" prędko odkrył Kościół katolicki i papieże czuli się następcami tego, który do Chrystusa powiedział: „Tyś jest Syn Boga żywego". Papiestwo przez wszystkie wieki stało na straży tej wiary i wobec nowego zamachu na nią ze strony podstępnej deistycznej sekty musiało podnieść głos przestrogi. Już Klemens XII w konstytucji *In eminenti* z r. 1738 potępił masonerję, jako związek podkopujący religję objawioną i powagę Kościoła i szerzący indyferentyzm religijny. Cały szereg następnych papieży: Benedykt XIV, Pius VII, Leon XII, Pius VIII, Grzegorz XVI, Pius IX ponawiali potępienie wolnomularstwa aż do Leona XIII, który w klasycznej encyklice *Humanum genus* z r. 1884 uzasadnił w sposób magistralny to stanowisko Kościoła wobec sekty. Masonerja ze swej strony poprzysięgła walkę na śmierć katolicyzmowi i papiestwu. Gdym przeglądał „Kalendarz dla wolnomularzy", wydany w Lipsku w r. 1906, uderzyło mię, że w spisie dat pamiętnych zanotowane zostały wszystkie daty ogłoszenia encyklik papieskich przeciw masonerji. Wyczuwa się tu pewną brawurę sekty wobec Kościoła, jakby chciała powiedzieć: oto jak mało sobie robimy z waszych encyklik! Zanotowana została również data

wskrzeszenia zakonu Jezuitów — widocznie w nich upatruje zakon masoński swoich zdecydowanych przeciwników.

Walki przeciwko katolicyzmowi masonerja nigdy się nie zrzekła, owszem ją uważa za najważniejsze swoje zadanie i za cechę wyróżniającą prawego wolnomularza. Kto się chce o tem przekonać, niech zajrzy do zbioru enuncjacyj masońskich z lat ostatnich, ułożonego przez A.-G. Michela.[1]) Teksty, odnoszące się do walki z Kościołem i papiestwem, wypełniają cztery duże stronice (67—70). Czytamy tam: „Wszyscy masoni całego świata mają zwalczać wspólnego wroga... Tym wrogiem, który musi być zwalczany, jako przeciwnik postępu ludzkości, jest papiestwo ze swoją gwardją, Jezuitami" (Kongres w Genewie z r. 1903). Albo: „Katolicyzm i Wolnomularstwo wzajemnie się wykluczają; gdy jedno z nich triumfuje, drugie musi zniknąć". I znowu: „Papież... z punktu widzenia masońskiego to wróg. Poza papieżem masonerja w nikim nie widzi wroga" (kongres w Brukseli z r. 1904) itd.

Konsekwentnie do tej jedynie obowiązującej zasady, masonerja sprzymierzy się z każdym ruchem, wymierzonym w Kościół katolicki, jeżeli nie zapoczątkuje, to poprze każdą akcję przeciwko papiestwu. Odpowiedź dana w r. 1920 przez masonów amerykańskich masonom włoskim, że nie chcą uczestniczyć w obchodzie, specjalnie wymierzonym przeciwko papiestwu, należy do wyjątków w rocznikach wolnomularskich. Zapewne w tym stosunku do papiestwa i katolicyzmu, jak w tylu innych punktach, zachodzi pewna różnica między łacińską a anglo-saksońską masonerją, jest to wszakże różnica nie zasadnicza, lecz tylko różnica stopnia nienawiści i doboru środków. Wolnomularstwo w krajach łacińskich w walce swej przeciwko katolicyzmowi posunęło się aż tak daleko, że sprzymierzyło się z otwartym ateizmem i dąży do zupełnego zlaicyzowania wszystkiego: państwa, szkoły, rodziny, nauki i literatury; masonerja w krajach anglo-saksońskich, a nawet ogólnie protestanckich zachowuje jakieś resztki z chrześcijaństwa, jakieś emblemy wypróżnione z wła-

[1]) La Dictature de la Franc-Maçonnerie sur la France. Documents, Ed. „Spes", Paris 1924.

ściwej ich treści, ale i ona podkopuje przedewszystkiem katolicyzm, propagując indyferentyzm religijny, jakieś wynaturzone i rozwodnione chrześcijaństwo, które powolnie przygotowuje umysły do religijnego sceptycyzmu i zupełnej niewiary. Oto, co stanowi rdzeń ideologji masońskiej! Jest to z natury rzeczy ideologja antykatolicka, antykościelna, antypapieska, bo adogmatyczna. Na drugiem miejscu, jako logiczny wynik tego adogmatycznego stanowiska, wypływa jej moralny relatywizm i zrzucenie z ludzi wszelkiego wyższego, krępującego ich prawa. Na miejsce prawodawcy i stróża Bożych praw, Kościoła, zjawia się człowiek, jako najwyższy dla siebie samego prawodawca. Ideologja masońska to religja człowieczeństwa, które sobie przywłaszczyło prawa Boże; wolnomularstwo to antykościół tak zwanego „czystego humanitaryzmu"; akcja masońska to walka z Chrystusem-Bogiem i królestwem jego na ziemi.

Po odsłonięciu właściwego oblicza wolnomularstwa łatwiej już teraz wskazać środki zwalczania go. Kiedy chodzi o usunięcie szkodliwego drzewa, siekierę należy przyłożyć do korzenia. Nie można zadowalać się przycinaniem odradzających się wciąż pędów. Mniej chodzi o zwalczanie osób masonów, trzeba walczyć z duchem masońskim, gdziekolwiek się on ujawni. Nie chodzi o zwalczanie wszystkiego, co czynią lub co popierają loże, lub ci i owi masoni, dlatego jedynie, że to z ich kuźni pochodzi. Mogą bowiem i oni propagować niejedną myśl dodatnią, szermierzyć niejednem hasłem z Ewangelji skradzionem bez podania źródła. Jeżeli, naprzykład, masonerja wysuwa ideę powszechnego braterstwa, solidarności ludów, jeśli sobie przypisuje dużo zasługi w powołaniu do życia Ligi narodów, to nie racja, aby katolicyzm zwalczał tę ideę lub tę instytucję, skoro one znaleźć mogą i znajdują faktycznie swoje uzasadnienie — o ileż głębsze! — w nauce katolickiej. I faktycznie w Genewie obok notorycznych masonów, jak Leon Bourgeois, pracują gorliwi i uświadomieni katolicy i dzięki ich współpracy działalność Ligi jest mniej utopijna, więcej licząca się z konkretnemi warunkami życia narodów. [1]) W takim razie

1) Pouczające szczegóły na ten temat można znaleźć w książce Yves

katolicyzm przynosi i uzupełnia to, czego brakuje w ideologji, popieranej przez wolnomularstwo.

Natomiast należy ze strony katolickiej nieubłaganie zwalczać te zasady i tego ducha zeświecczenia całego życia publicznego, jakie uważa za swoje wolnomularstwo, a które są istotną przyczyną wszystkich niedomagań narodów i społeczeństw. A jeszcze sięgając głębiej — należy wykazywać, że to zeświecczenie — to psychologiczna i logiczna konsekwencja odrzucenia czy osłabienia prawdziwej religji chrześcijańskiej, negacji bóstwa Chrystusa lub sceptycznego o niem wątpienia, a stąd i nieuznawania przez świat jego królewskich, władczych prerogatyw. Kanonem ostatecznym dla katolików do sądzenia o wartości ludzkich teoryj, systemów i polityk pozostanie na zawsze to, co pisał Jan Apostoł w zaraniu chrześcijaństwa: „Po tem znać Ducha Bożego: każdy duch, który wyznawa, iż Jezus Chrystus przyszedł w ciele, z Boga jest, a każdy duch, który rozwiązuje Jezusa, z Boga nie jest, a ten jest Antychryst" (I Jan 4, 2—3).

Ten antychrystusowy duch — we wszelkich jego postaciach — nie jest już, niestety, jak za czasów pierwszych twórców loży, deistów, „sekretem" wolnomularstwa. Z masonerji on się rozlał już daleko szerzej, opanował umysły ludzi, którzy organizacyjnie nie mają nic wspólnego z masonerją, którzy nawet zwalczają ją z politycznych względów, nie umieją tylko spostrzec, że z jej ducha sami wyrośli. Nie zapoznajemy ważności zwalczania wprost organizacyj masońskich, jako takich, i żałować ich nie będziemy, gdy się znajdzie więcej chirurgów w rodzaju Mussoliniego i więcej tych bolaków przekłują — uważamy wszakże za rzecz ważniejszą umacnianie samych pozycyj katolickich, opierając je na niewzruszonej podstawie dogmatów wiary i nauki katolickiego Kościoła. I dlatego uważamy za rzecz potrzebną zwalczać przeciwne nauki, demaskować owego anty-chrześcijańskiego ducha, gdziekolwiek i w kimkolwiek on się ucieleśni.

Czy w Polsce istnieje masonerja? Byłoby bardzo dziwnem, gdyby nie istniała, skoro istnieje we wszystkich innych

---

de la Brière'a: L' Organisation internationale du Monde contemporain et la Papauté souveraine. Ed. „Snes". Paris 1924.

krajach. Przed dwoma laty Wł. Rabski przytoczył w *Kurjerze Warszawskim* jakiś przypadkowo zdobyty dokument, z któregoby wynikało, że mamy już w samej stolicy dziesiątki lóż, grupujące jednostki najrozmaitszych klas społecznych i profesyj. Może jednak ów dokument nie jest obrazem tego, co jest, lecz tylko *pium desiderium* jakiegoś organizatora masońskiego, układającego plany na przyszłość. Ciekawszym może jest inny dokument, zacytowany na samym końcu wyżej przytoczonej książki Michela: Wielka Loża francuska wylicza w sprawozdaniu z r. 1923 organizacje zagraniczne, z któremi świeżo nawiązała stosunki przyjazne: są to Wielki Wschód Turcji, Wielka Loża Panamy, Wielka Loża Hondurasu i Wielka Loża Polski. Jeżeli istnieje w Polsce Wielka Loża, istnieją chyba dość liczne loże mniejsze. Dziwnem jest tylko, dlaczego w odróżnieniu swych siostrzyc w innych krajach nie mają odwagi jawnie wywiesić swych szyldów, co przecież w tolerancyjnej Rzeczypospolitej naszej nie napotkałoby na żadne prawne trudności. Wyręczyćby powinni ich w tem inni. Ujawnić te zakamarki, w których w odcięciu od światła słonecznego roztrząsają się ważne problemy, dotyczące losów całego narodu i to może przez miernoty — jak się Mussolini wyraża — które tworzą towarzystwo wzajemnych protekcyj i pięcia się w górę — byłoby takie ujawnienie niezmiernie pożyteczne dla sanacji naszego życia publicznego.

Ale na tem nie koniec. Należy wystąpić przeciwko każdej robocie, która nosi piętno ideologji masońskiej, chociażby przy tej robocie nie było ani jednego masona. Taką robotą u nas jest popieranie — w imię nadmiernej tolerancji — różnych poczynań sekciarskich, różnych kapliczek „narodowych", zakładanie pod szyldem filantropji propagandystycznych placówek metodystów, tych ścisłych sojuszników wolnomularstwa angielskiego i przygotowujących zdaleka grunt i dla masonerji „łacińskiej". Taką robotą, która mimo przestróg Rzymu i episkopatu naszego, znajduje wciąż pomocników wśród naszych katolików, jest akcja wśród młodzieży, prowadzona przez organizacje typu YMCA i „Chrześcijańskiej Federacji studentów", akcja, której wynikiem jest osłabienie węzłów, łączących młodzież z Kościołem i oswajanie

jej z jakiemś amorficznem ogólnikowem „chrześcijaństwem". Masońską robotą jest cały obłęd teozoficzny i spirytystyczny, jaki tak się rozplenił u nas. Tu już możnaby wprost wykazać zależność tych egzotyzmów od masonerji; są one ekspozyturami masonerji dla umysłów, nie umiejących myśleć logicznie, a szukających tajemniczych związków z zaświatem. Robotą masońską jest zwalczanie szkoły religijnej, popieranie haseł zeświecczenia jej, rozdziału Kościoła od państwa, rozwodów i ślubów cywilnych. Są to wszystko hasła z natury swej masońskie, hasła, które wolnomularstwo wszędzie konkretnie wysuwa w swojej walce z Kościołem katolickim. Wreszcie robotą masońską, najniebezpieczniejszą, są pseudonaukowe teorje i zdania, z któremi można się spotkać nawet na łamach prasy najbardziej „antymasońskiej", na katedrach uniwersyteckich, godzące w podstawy religji objawionej, zwalczające Biblję chociażby w imię antysemityzmu, propagujące naturalistyczny punkt widzenia na zagadnienie pochodzenia chrześcijaństwa. Tego rodzaju „nauce" należy przeciwstawić sumienne naukowe badania katolickich badaczy i myślicieli.

Największe niebezpieczeństwo zmasonienia naszego społeczeństwa nie stąd pochodzi, że nie wiemy, kto należy do lóż wolnomularskich, ale że nie umiemy orjentować się w teorjach, programach i hasłach. Wprowadzenie u nas w Polsce więcej światła w tę dziedzinę „ideologji" — to pierwszy i konieczny warunek skutecznego podjęcia walki z wrogiem katolicyzmu — wolnomularstwem. Łatwiej zapewne zburzyć jakąś spelunkę masońską, jak w Rzymie; trudniej wyplenić w duszach ludzkich masońskiego ducha. A to jest rzecz najważniejsza.

Ks. Jan Urban.

Sztuka romańska w Krakowie.

Architektura.

Najwcześniej, bo na długo przed przyjęciem chrztu przez Mieszka, zetknęły się z kulturą ówczesnej Europy południowe kresy późniejszego państwa polskiego, dawny kraj Wiślan wraz z Krakowem. Odtworzenie dziejów tej ziemi przed r. 1000 nasuwa wiele trudności ze względu na niezmierną szczupłość przekazów źródłowych, i, jak dotychczas, opiera się na samych niemal hipotezach.

Kraj ten przez pewien czas pozostawał w sferze oddziaływania kultury wschodniej, jako część państwa wielkomorawskiego. Wymienieni przez najstarszy katalog biskupów krakowskich z w. XIII zagadkowi biskupi Prohoriusz i Prokulf — to może biskupi misyjni, przysłani z Moraw do kraju Wiślan z początkiem w. X celem szerzenia wiary chrześcijańskiej.[1]) W r. 907 Madziarzy wbili się klinem w posiadłości wielkomorawskie, ale na północy, w kraju Wiślan, kto wie, czy przez jakiś czas nie wegetowały resztki tradycji wielkomorawskiej. Jak się zdaje, około połowy w. X zajęli kraj Wiślan Czesi. Podróżujący kupiec arabski Ibrahim-Ibn-Jakub, który około r. 965 był w Niemczech i Pradze, opowiada o państwie Bolesława Czeskiego, że sięgało

[1]) *Potkański K.* Kraków przed Piastami, Rocznik Krak. I. 312—314.

od Pragi do Krakowa.[1]) Być może, nie chodzi tu jednak o polski Kraków.[2])

Niektórzy uczeni sądzą, że w tym czasie (w. X) powstały drewniane kościoły na Wawelu, św. Jerzego i św. Michała (obydwa przez Kazimierza Wielkiego przebudowane w murze; dzisiaj nieistniejące).[3]) Wezwanie św. Jerzego świadczy o promieniowaniu Kościoła wschodniego. Kult, rozpowszechniony w greckim Kościele, dostał się do ziem słowiańskich dość wcześnie. Wezwanie św. Michała wiąże się prawdopodobnie z działalnością pierwszych misjonarzy, którzy mieli szczególną cześć dla Michała Archanioła i pierwsze świątynie stawiali może na miejscu pogańskich chramów.[4])

Pod koniec X w. kraj Wiślan wraz z Krakowem niewątpliwie znajduje się już pod panowaniem Polski,[5]) i od tej chwili dzieje Krakowa splatają się najściślej z dziejami państwa polskiego, które organizuje się dość szybko i wkrótce uzyskuje niezależność kościelną. W marcu około Wielkiejnocy r. 1000 na świetnem zebraniu w Gnieźnie, w obecności legatów papieskich, cesarza Ottona II dokonało się utworzenie osobnej metropolji polskiej i podległych jej biskupstw. Wtedy też powstało biskupstwo krakowskie, i w tym jeszcze roku zapewne odbył swój ingres na krakowską stolicę biskup Poppo, zdaje się Niemiec z rodu.[6])

---

[1]) Wyjątki z jego opisów dochowały się w dziele Al-Bekriego, arabskiego geografa z XI w; *Potkański K.* Op. cit. 318; Tenże pisze o tem również w rozprawie: „Granice biskupstwa krakowskiego" w Rocz. Krak. IV. 207.

[2]) *Zakrzewski St.* (Czeski charakter Krakowa za Mieszka I. Kwart. hist. Roczn. XXX. Lwów, 1916, 221—308) sądzi jednak, że arabski geograf miał na myśli inne miasto o nazwie podobnej do Krakowa, i twierdzi, że Kraków był takim samem, odwiecznem gniazdem Piastów i Polski, jak Gniezno i Poznań. Jego zdaniem Kraków nie ma nic wspólnego z opowiadaniem Ibrahima Ibn Jakuba (Ibidem, 307—308).

[3]) *Kopera F.* O Kościołach na Wawelu, R. K. VIII. 60—62; Długosz odnosi jednak fundację św. Michała do czasów Bolesława Chrobrego. (Ibidem).

[4]) Tenże, op. cit. 60.

[5]) *Potkański K.* Kraków przed Piastami, R. K. I, 324; również *Abraham W.* Początki biskupstwa i kapituły katedralnej w Krakowie, R. K. IV, 181.

[6]) *Abraham W.* Op. cit. 177—178.

Topografja Krakowa i okolicy przedstawiała się wtedy nieco inaczej, jak dzisiaj. Wisła rozlewała się szerzej; nad rzeką wznosiły się skaliste wzgórza: Wawel, naprzeciw Skałka, dalej Tyniec, Przegorzały, Tetyn, Zwierzyniec. Na wzgórzach tych dzięki wprowadzeniu chrześcijaństwa powstaną zczasem grody, klasztory i kościoły. Doliny nadbrzeżne pokrywały ogromne lasy. Na północ od Wawelu rozciągała się mokra kotlina, przechodząca w kleparskie wzgórza. Podstawą najstarszej osady było Wawelskie wzgórze, wyglądające wówczas znacznie groźniej, jak dzisiaj. [1])

Na Wawelu właśnie zachował się najstarszy w Krakowie i wogóle w Polsce zabytek architektury. Jest nim zachowana w zabudowaniach dawnych kuchni zamkowych rotunda świętych Feliksa i Adaukta, wybitny pomnik typu centralnego, do czasów Kazimierza Wielkiego poświęcona N. P. Marji. [2]) (fig. 1) Odkryty w r. 1917 okrągły

---

[1]) *Łuszczkiewicz W.* Najstarszy Kraków na podstawie topografji. R. K. II, 1—3.

[2]) Kościółek św. Feliksa i Adaukta doczekał się dość znacznej literatury: *Bohusz Szyszko A.* (Rotunda św. Feliksa i Adaukta na Wawelu, Rocznik Krak. XVIII, 53—80) upatruje w budowie wpływy wielkomorawskie, determinuje ją na okres IX—X w. sądzi, że była babtisterjum przy katedrze Bolesława Chrobrego (por. Szyszko Bohusz. Z historji romańskiego Wawelu, R. K. XIX, 23—25). — *Abraham W.* (Kwart. Hist. R. XXXIV. Lwów. 1920) kwestjonuje dowodzenie Bohusza i wysuwa trzy możliwości: 1) kościół mógł powstać za Mieszka I pod wpływem czesko-niemieckim; 2) mógł powstać również za Bolesława Chrobrego koło r. 1000, jako wynik stosunków z Włochami; 3) może wybudowano go naprędce, według planu przyniesionego z Niemiec, kiedy za Kazimierza Odnowiciela przybył do Polski Aron, jako biskup krakowski i zastał katedrę zburzoną przez Czechów. Grubość roboty tłómaczyłby pośpiech w budowie potrzebnego budynku. Abraham wyklucza babtisterjalne przeznaczenie budynku. — Podobnego zdania jest również Kopera F. (Odkryte ruiny kościołów na Wawelu, „Czas" 6. XI. 1917, Nr 512), który wiąże plan rotundy z kościołem kolońskim N. P. Marji na Kapitolu, co popierają stosunki Kazimierza Odnowiciela z Kolonją. — *Muczkowski J.* (Roczn. Krak. XIV, 24—29) polemizuje z wywodami Abrahama i zgadza się z Bohuszem, co do babtisterjalnego przeznaczenia budowy. Natomiast, co do dróg, jakimi przyszła ta forma zwraca się za Abrahamem ku Włochom. — *Gumowski M.* (Katedry wawelskie, „Prz. Pow." 1919. Nr 425, 426; również w Pracach Kom. Hist. sztuki, II, p. XLIII) oparłszy się w znacznej mierze na zabytkach numizmatyki (denarkach Bolesława Szczodrego) widzi w rotundzie wpływy

budynek jest wystawiony z płaskich kamieni, układanych w cienkie warstwy na czystej, wapiennej zaprawie. (fig. 2) Okrągłego rzutu poziomego czepiają się cztery półkola apsyd, sklepionych konchowo, ponad któremi wznosił się zasadniczy cylinder kościoła (najwyżej do 10 m), zasklepiony kopułą sferyczną. Światło wnikało przez dwa okna w apsydach i cztery w bębnie. W apsydzie północno-wschodniej było może wejście; w przeciwległej ołtarz. W przyległym filarze wąski otwór drzwiowy wprowadza do półkolistej przybudowy w rodzaju zakrystji.

Posadzka była, jak się zdaje, z płyt piaskowca. O starożytności świątyni świadczy typ centralny, powstały bardzo dawno, i prymitywna, gruba technika murów. Co do dokładniejszej determinacji zabytku zdania uczonych są podzielone. Czas powstania rotundy w świetle ich badań waha się od IX do XIII wieku. Genetycznie wiążą typ budowy ze wschodem i państwem wielkomorawskiem, z Czechami, Niemcami, Włochami, nawet z Armenją. Najprawdopodobniejsza wydaje się hipoteza, próbująca związać kościół z wpływami czesko-niemieckimi, przenikającymi do Polski wraz z Dąbrówką, żoną Mieszka I. W Czechach typ kościoła centralnego nie należy do rzadkich. Łatwiej więc ten typ budowli mógł przeniknąć do Polski z Czech, jak z dalekich Włoch, lub ze wschodu (z Armenji czy Chersonesu taurydzkiego) przez państwo wielkomorawskie, którego kultury, ani dokładnego obrazu związków z krajem Wiślan zrekonstruować, zresztą z braku źródeł, nie możemy. Co do przeznaczenia budowy, najprawdopodobniejsza jest hipoteza, upatrująca w niej baptisterjum. Wybudowano je może przy najstarszym

---

wschodnie za pośrednictwem Moraw, twierdzi, że była nakryta kopułą i powstała w początku X w., jako pierwsza katedra biskupa morawskiego w Krakowie. Budynek ten, zdaniem autora, miał przetrwać w charakterze katedry aż do czasów Bolesława Krzywoustego. — Wreszcie *Strzygowski* (Die Baukunst der Armenier und Europa, Wiedeń, 1918. II, 733—774; również w Pracach kom. Hist. sztuki II, XL—XLI) wywodzi krakowski tetrakonchos z Armenji, gdzie typ taki powstał już w IV w. Wątek budowlany rotundy porównuje z wątkiem budowli Szwecji i Gotlandji. Przypuszcza, że zabytek powstał między XI a XIII w.

na Wawelu kościele (może drewnianym) celem chrztu nawróconych pogan.

Nieco jaśniej przedstawiają się dzieje pierwszej romańskiej, murowanej katedry na Wawelu. Niedługo po ustanowieniu krakowskiego biskupstwa, bo jeszcze w pierwszej połowie XI w. powstaje pod wezwaniem Salwatora pierwszy kościół katedralny, fundacji Bolesława Chrobrego.[1]) Niewiadomo, czy w zupełności wykończony, zmienia się w ruinę wskutek najazdu Czechów w r. 1038.[2]) Reszty tej pierwszej, nawskróś już romańskiej budowli w Krakowie przechowały się w murach zachodniego skrzydła zamku wawelskiego, na wschód od dzisiejszej katedry, w pobliżu jej prezbiterjum.[3]) (fig. 3) Dotrwały do naszych czasów reszty krypty, część tęczy romańskiej, dolna partja transeptu, co pozwoliło na hipotetyczne odtworzenie stanu pierwotnego.[4])

---

[1]) *Wojciechowski T.* (Kościół katedralny w Krakowie, Kraków, 1900, 60—61) pisze, że dedykacja kościoła katedralnego pod tytułem Salwatora odbyła się w r. 1001.

[2]) *Szyszko Bohusz A.* Z historji romańskiego Wawelu, Roczn. Krak. XIX, 1—24.

[3]) Na fragmenty kościoła natrafiono jeszcze w r. 1914. W r. 1918 wznowiono badania i odkopano reszty budowli pod kierunkiem A. Szyszki-Bohusza.

[4]) Rekonstrukcję kościoła, przypuszczalny rzut poziomy podaje *Szyszko-Bohusz* w wymienionej pracy, fig. 12 A. Autor przypuszcza, że kościół był niemal kopją katedr saskich, miał plan rozwinięty i 2 wieże od frontu. Nawiązując do Wojciechowskiego (kościół katedralny), jako datę rozpoczęcia budowy, podaje r. 1001. Jest jednak rzeczą wątpliwą, żeby kościół o formach tak wykształconych, jak pierwsza katedra, mógł powstać tak wcześnie. Co do przyjęcia przez Bohusza dwóch wież od frontu, należy nadmienić, że nie ma do tego dostatecznych podstaw ani w pozostałych resztach architektonicznych, ani w przekazach źródłowych.

Inaczej zapatruje się na te ruiny *Gumowski M.* („Przegl. Pow." 1919). Drogą interpretacji słów Długosza (Hist. Pol. II, 285) o murze obronnym Konrada Mazowieckiego, który dotykał katedry hermanowskiej, — i na podstawie wyobrażeń katedry na monetach, dochodzi do przekonania, że datę powstania tego kościoła należy przesunąć o 100 lat naprzód, że ruiny te, to katedra Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego. Śmiała to hipoteza, jeśli się zważy: 1) dość niezdarne formy kapiteli kolumn (zachowane w tej świątyni), co tem bardziej uderza, że również za Bolesława Krzywoustego powstałe kościoły w Czerwińsku i Łęczycy mają wspaniałą dekorację plastyczną; 2) następnie wątek budowy, drobną

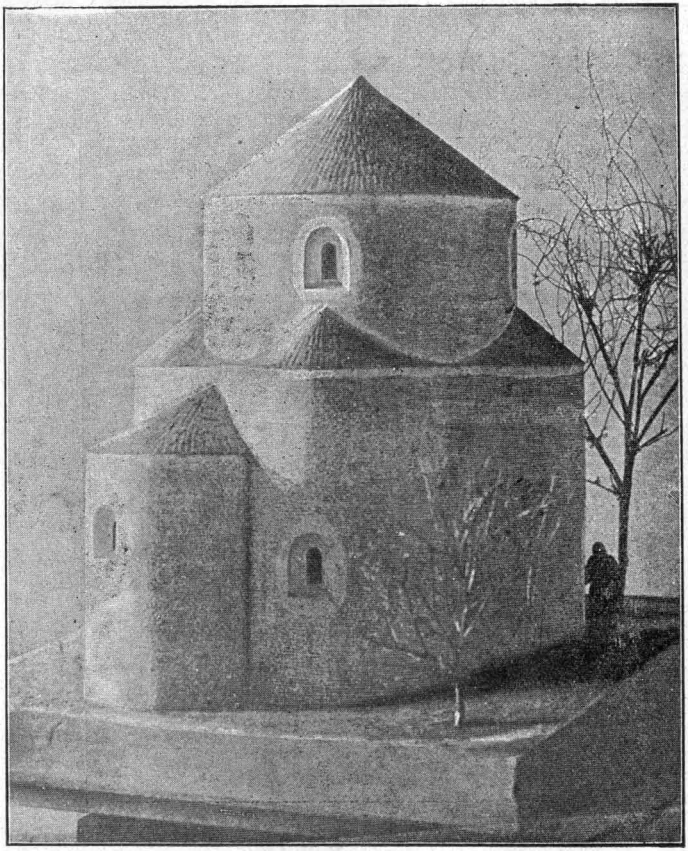


Fig. 1. Rotunda św. Feliksa i Adaukta na Wawelu; rekonstrukcja według prof. A. Szyszko-Bohusza.

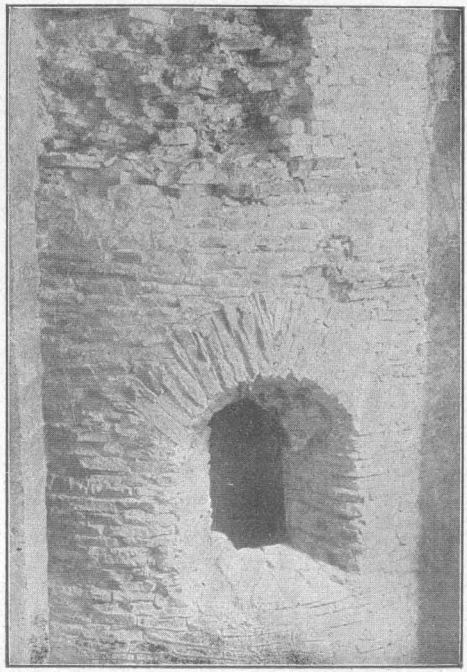


Fig. 2. Rotunda św. Feliksa i Adaukta na Wawelu;
fragment zewnętrznego muru południowo-wschodniej apsydy.

Katedra stała na brzegu wzgórza, zamknięta od południa murem cmentarnym, wystawionym z wapiennych kostek; była bazyliką pułapową, trzynawową z transeptem. Zarówno chór wschodni, jak i dwa skrzydła transeptu, kończyły się od wschodu apsydami. Wymiary świątyni wynosiły: 14·40 m szerokości i koło 30 m długości. Sklepienia nakrywały tylko kryptę i apsydy. Nawę główną od bocznych oddzielały zapewne filary i kolumny alternujące (po jednym filarze i dwie kolumny). Wejście było od południa, lub od zachodu. Wątek stanowiły drobnych wymiarów kostki z piaskowca, z których murowano tylko lica ścian, wewnątrz wypełnionych łamanym kamieniem, zalewanym szarem wapnem.[1]) Z pozostałych fragmentów katedry należy zwrócić uwagę na bazę kolumny bez żabek (zatem typu bardziej archaicznego) i kostkowy kapitel z ornamentem plecionkowym. (fig. 4) — Ten pierwszy kościół katedralny przypominał układem planu katedry saskie w Merseburgu i Naumburgu. Zależność tę tłómaczą związki rodzinne między Bolesławem Chrobrym a Hermanem, jednym z fundatorów katedry w Naumburgu i wogóle stosunki króla z Saksonią, z Merseburgiem.[2])

Na wschód od bazyliki stał większy budynek prostokątny (19·50 × 28·50 m), murowany takim samym sposobem, jak bazylika. Jak można wywnioskować z pozosta-

---

kostkę, charakterystyczną dla najstarszych romańskich pomników; 3) położenie istniejącej krypty św. Leonarda, kościoła dolnego, nad którym miał stanąć kościół górny; 4) wreszcie reszty murów romańskich, przetrwałych w dzisiejszym gotyckim budynku katedralnym, świadczących o istnieniu na jego miejscu budowy romańskiej, właśnie katedry hermanowskiej.

[1]) Dotychczas myślano, że pierwsza katedra była drewniana, a co najwyżej w połowie tylko murowana, a w połowie drewniana; por. *Wojciechowski T.* op. cit. 154—155.

[2]) *Szyszko-Bohusz A.*, op. cit. 18—19. Los nie sprzyjał tej pierwszej królewskiej fundacji. Kościół zmniejszony po najeździe Czechów ze zmienionem wezwaniem św. Gereona uległ za Konrada Mazowieckiego inkastelacji, zmieniony na bastjon we flance muru; za Kazimierza W. przebudowany na kaplicę zamkową, otrzymał wezwanie św. Marji Egipcjanki. Za przebudowy w latach 1501—4 znalazł się w murach nowego Zamku. Por. Ibidem. 20—22.

łych reszt (siedmiu luźnych fundamentów w obrębie prostokąta) budynek ten mieścił obszerną salę, nakrytą stropem wspartym na dwudziestu czterech drewnianych słupach, ustawionych zapewne w cztery rzędy, po sześć słupów w rzędzie. Był to może refektarz zbudowany dla pierwszych księży, obsługujących katedrę.

Przy wschodnio-północnym narożniku refektarza zaczynał się mur obronny ($1^1/_2$ m gruby) z kostek wapiennych, łamiący się nieregularnie w giętą linję — i łączył się pewno z kwadratową romańską wieżą, której reszty tkwią w murach Kurzej Stopki i dochowały się we fragmentach aż na II piętrze Zamku. (Wieża ta miała 8 m w kwadrat, i 20 m wysokości). Prócz niej zachowały się reszty mniejszej wieży prawie kwadratowej (wymiary $5 \times 5{\cdot}5$ m), wyskakującej z linji muru obronnego tuż przy sali o dwudziestu czterech słupach. Kompleks tych zabudowań obronnych powstał — zdaje się — nieco później od bazyliki i refektarza. [1])

Na Wawelu zatem już w XI w. wznosiły się zabudowania, wzorowane na architekturze zachodniej. Być może, że i na sąsiedniem wzgórzu, na Skałce, stanął wkrótce okrągły kościółek św. Michała, zaliczony przez Długosza wraz z okrągłymi kościołami na Wawelu, ostrowiu jeziora Lednicy i św. Krzyża do najstarszych. [2]) Do starszych kościołów wypada zaliczyć również nieistniejący już, a raczej przebudowany kościół św. Benedykta pod kopcem Krakusa. [3])

Katedra Chrobrego dowodzi pewnego związku z Niemcami. Nic dziwnego, bo formy romańskie, jak się zdaje zrazu przenikały do Polski głównie z Niemiec, które jako państwo sąsiednie już z racji położenia geograficznego musiało odziaływać na państwo młodsze kulturalnie. Równo-

---

[1]) Ibidem, 7—8.

[2]) *Bohusz-Szyszko A.* Rotunda śś. Feliksa i Adaukta na Wawelu, 68, 73; por. również: *Łuszczkiewicz W.* Komunikat o dawnym kościele na Skałce według płaskorzeźby św. Stanisława w Pławnie, pod Radomskiem. Spraw. do bad. Hist. Sztuki w Polsce, IV, XXXI—XXXII.

[3]) *Kopera F.* Historja architektury, R. K. VI, 71.

cześnie nawiązuje Polska stosunki z Zachodem i Południem.[1]) Najstarsze na naszej ziemi opactwo benedyktyńskie w Łęczycy, które założone przez św. Wojciecha istniało już w r. 1001, było misją klasztoru awentyńskiego w Rzymie.[2])

Już około r. 1000 łączyły Polskę stosunki z Burgundją, z Dijon.[3]) Również w klasztorach benedyktyńskich, w Międzyrzeczu, Kazimierzu pod Poznaniem i Trzemesznie osadzono nie Niemców, lecz Włochów.[4]) To nawiązywanie stosunków z Zachodem, Włochami, Burgundją, Lotaryngją i Flandrją świadczy, że Kościół polski usiłował radykalnie sprowadzić wpływy niemieckie w obrębie państwa polskiego do minimum.[5]) W czasach Kazimierza Mnicha, przy odbudowie upadłej organizacji kościelnej zwracano się nie do Niemiec, lecz dalej na Zachodzie szukano poparcia. Na tynieckiem wzgórzu osadził książe Benedyktynów, wezwawszy braci *ex conventu de Leodio.*[6]) Wpływy te płynące wprost z Zachodu nasilają się więc coraz bardziej. Na biskupiej stolicy krakowskiej, w odbudowanych dziedzinach Kazimierza Mnicha zasiada Aron, pierwszy opat tyniecki, pozostający w stosunkach z Leodjum, jak świadczy kronika śląsko-polska, a może również z dworem kolońskim arcybiskupa Hermana, brata Richezy, matki księcia.[7])

---

[1]) Por. *Podlacha W.* Historja malarstwa polskiego, 14—16.

[2]) *Zakrzewski St.* Opactwo benedyktyńskie św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie, Kraków, 1903, 73—73. Por. również *Kętrzyński St.* Kilka uwag o opacie Astryku Anastazym, Warszawa, 1905, 20; *Muczkowski J.* (Rocznik Krak. XIX, 23—24) w związku ze stosunkami Polski z Włochami przypisuje tym ostatnim wpływ na powstanie rotundy śś. Feliksa i Adaukta.

[3]) *Kętrzyński St.* Op. cit. 15.

[4]) *Abraham W.* Organizacje Kościoła w Polsce do połowy w. XII, Lwów, 1893, 172—173.

[5]) *Kętrzyński St.* Op. cit. 19.

[6]) Kronika śląsko-polska, Mon. Pol. Hist. III, 621.

[7]) Tradycje te żyją po śmierci księcia i Arona. Świadczy o tem dwukrotne pojawienie się imienia Lamberta w poczcie biskupów krakowskich. Z Kolonji otrzymała katedra „ordo divini officii" i relikwie św. Gereona, pod wezwaniem którego trwała czas jakiś zmieniona na kaplicę wschodnia część pierwszej katedry. Również herb kapituły krakowskiej „3 korony" wskazuje na Kolonję, jako miejsce pochodzenia; por. *Wojciechowski T.* Op. cit. 182—186.

Nazwisko Arona wiąże się ze sprawą drugiego z rzędu kościoła katedralnego na Wawelu, a raczej z jego częścią t. j. zachowaną po dziś dzień kryptą św. Leonarda, zbudowaną pod chórem zachodnim celem przygotowania terenu pod kościół górny.[1]) (fig. 5) Krypta, aczkolwiek zepsuta przez różne substrukcje, wtłoczone tu przy przebudowie gotyckiej i w XVIII w. przetrwała w stanie dobrym. Prostokątne wejście bez tympanonu było umieszczone w ścianie południowej. Krypta składa się z trzech naw i apsydy od Zachodu. Nawy równej szerokości, oddzielone są z każdej strony czterema kolumnami podtrzymującemi piętnaście pól sklepiennych. Architektura chociaż prosta, odznacza się pięknem proporcyj, których źródłem była miara, użyta przez architekta, t. zw. laska *(canna architectonica)* o trzech palmach, bo wszystkie większe cyfry wymiarów budowli są podzielne przez trzy.[2]) Kolumny spoczywają na zbarbaryzowanych bazach attyckich i wieńczone są kapitelami kostkowemi o ściankach zaokrąglonych dołem. Na osiach kolumn znajdują się przyścienne pilastry z kapitelami o formie gzymsików, zdobnych fryzem z kwadratów, ułożonych w szachownicę. Sklepienie krzyżowe o dość wydatnych krawędziach podtrzymują gurty o prostym profilu. W apsydzie były zdaje się trzy okna, z których ocalało jedno zasklepione, o glifach obustronnie skośnych. — Materjał budowlany jest trojaki: a więc, piaskowiec w murach twardszy, bardziej miękki w słupach i gurtach, — i t. zw. martwica (wapień gąbczasty) w polach sklepiennych. Małe kostki wątku układane są w warstwy równoległe rozmaitej wysokości.

Budowa krypty pochodzi prawdopodobnie z dwóch okresów; Starsza część t. j. nawy o kolumnach smuklejszych pochodzą z czasów Kazimierza Odnowiciela i Arona; natomiast budowę części apsydjalnej ze słupami grubszemi o bazach z liśćmi narożnemi, t. zw. szponami należy może odnieść do czasów rozpoczęcia budowy kościoła górnego za

---

[1]) Ibidem, 184; również *Kopera F.* O kościołach na Wawelu, R. K. VIII, 63—64.

[2]) Laska budownicza, to miara złożona z 10 dłoni większych, „palmi maiores".



Fig. 3. Katedra Bolesława Chrobrego na Wawelu;
fragment wykopalisk; północna apsyda boczna, reszty menzy i kolumny.



Fig. 4. Katedra Bolesława Chrobrego na Wawelu; kapitel znaleziony w transepcie bazyliki.

Władysława Hermana.[1]) Strukturę krypty wiążą z Nadrenją nietylko fakty historyczne, lecz również pewne analogje formalne, które prowadzą do Brunwilare (Brauweiler) niedaleko Kolonji, do tamtejszego kościoła klasztornego i jego krypty, założonej przez rodziców Richezy, poświęconej koło r. 1050.[2]) Kapitele wieńczące kolumny w krypcie w Brunwilare, duże, kostkowe, jak również bazy są jakgdyby prototypem krakowskich.[3])

Kościół górny pod wezwaniem św. Wacława powstał później od krypty. Budowa tej drugiej z rzędu katedry przypada na panowanie Władysława Hermana. Rozpoczęta koło r. 1030 zostaje konsekrowana dopiero za Bolesława Krzywoustego i biskupa Roberta w r. 1142. Z budynku tego tylko gdzieniegdzie, w murach późniejszej gotyckiej tedry pozostały nieliczne fragmenty. Należy do nich może dolna część wieży południowej z kaplicą Szafrańców i reszty w kaplicach przyległych.[4]) O wyglądzie jej można powziąść wyobrażenie na podstawie pieczęci kapituły krakowskiej z XII i XIII w.[5]) Katedra była bazyliką bez transeptu, z chó-

---

[1]) *Wojciechowski,* op. cit. 180—187; również *Odrzywolski,* Sprawozdanie z robót restauracyjnych na Wawelu, Spraw. III, szp. IV; *Sokołowskl M.* (Kościoły romańskie w Gieczu, Krobji, Lubiniu i Kotłowie w W. Ks. Poznańskiem, Spraw. III, 104) sądzi, że te kolumny apsydjalne z żabkami, które w Niemczech zjawiają się na bazach dopiero w XII w., czasem powstania nie są zbyt odległe od daty konsekracji kościoła górnego w r. 1142. Ale z drugiej strony wcześniej zjawiają się żabki w Belgji, już w pierwszej połowie wieku XI, jak podaje sam Sokołowski za *Reussens'em* (Elements d' Archéologie Chrétienne, 1885, I, 325, 382), co stanowićby mogło podstawę do wnioskowania, że i apsyda mogła powstać za Kazimierza Mnicha, pod wpływem Belgji (Leodjum).

[2]) *Wojciechowski,* op. cit. 187.

[3]) *Clemen P.* Die Kunstdenkmäler der Rheinprovinz, Düsseldorf, 1897, IV, 20—21, fig. 9.

[4]) *Wojciechowski,* op. cit. 110—112; por. również Sprawozdanie *Odrzywolskiego,* Sprawozdania III, IV.

[5]) Pieczęciami, jako materjałem dla historji sztuki, należy posługiwać się bardzo ostrożnie, gdyż przedstawienia na nich cechuje schematyczność; wystarczy np. porównać pieczęcie z przedstawieniami katedry krakowskiej i płockiej. (Por. *Piekosiński Fr.* Pieczęcie polskie wieków średnich. Spraw. VI, 180 181). Dlatego rekonstrukcję Woj-

rem i korpusem równej wysokości, wejściem może od południa, a może nawet z dwoma wejściami od zachodu po obu stronach apsydy. Miała dwie wieże od frontu i dwie apsydy, wschodnią i zachodnią nad kryptą św. Leonarda; kościół był pewno kryty stropem, a sklepienia nakrywały tylko mniejsze przestrzenie apsydy i może nawy boczne.[1])

Kościół nie był zbytnio ozdobny i z ornamentacyj znaleziono tylko resztki: kapitel, fragment nadproża i płytę z ornamentem wstęgowym. Kapitel z trzech stron rzeźbiony, typu kostkowego ma na rogach woluty połączone falistą wstęgą i palmety. Nadproże znalezione przy szukaniu odrzwi w krypcie (wmurowane później w jej ścianę), zachowane w połowie, zdobne jest płaskorzeźbą, przedstawiającą ongiś dwa bazyliszki z ogonami zakończonemi trójliściem, zwrócone do siebie paszczami. Podobne odnaleziono w kollegjacie wiślickiej, której części romańkie pochodzą z czasów Bolesława Krzywoustego.[2])

Być może, że i krakowska płaskorzeźba pochodzi z pierwszej połowy w. XII. Motyw dwóch symetrycznie rozłożonych na płaszczyźnie potworów, genetycznie wiążący się ze sztuką Wschodu, przyszedł do nas zapewne drogą przez Zachód, może z Nadrenji.[3]) Remanentem katedry św. Wa-

---

ciechowskiego na podstawie pieczęci (chociaż wyjątkowo zindywidualizowanej) można przyjąć tylko z zastrzeżeniami.

[1]) *Wojciechowski*, op. cit. 191—203.

[2]) W Wiślicy na wschodniej ścianie północnej wieży widać dwa zwrócone ku sobie gryfy, mające na tylnych udach po jednym ornamentowym liściu; por. *Szydłowski T.* O Wiślicy i jej zabytkach. Prace Kom. Hist. Sztuki, II, XXVI—XXXIV.

[3]) Motywy wschodnie do sztuki zachodnio-europejskiej dostawały się głównie za pośrednictwem tkanin. (Por. *Mâle É.* L'art religieux du XII siécle en France, Paris, 1922, 341). Przypuszczać należy, że niemałą rolę odegrały tu także inne wyroby wschodnie, krórych wpływu można się dopatrzeć w zabytkach miejscowych. W Krakowie spotykamy się z zabytkiem z XII w., zdobnym w motywy sassanidzkie roślinno-zwierzęce, pochodzącym ze Wschodu. Jest nim relikwiarz katedralny z wiekiem, na którego polach wyobrażono zwierzęta, rozdzielone rośliną, jako gryfy, lwy i pawie, co przypomina motyw nadproża w krypcie wawelskiej i podobną rzeźbę w Wiślicy. *(Sokołowski M.* Trzy zabytki dalekiego Wschodu na naszych ziemiach, Spraw. III, 142—161). Co do krakowskiego nadproża, jest rzeczą uderzającą, że

cława, może pozostałością parapetu oddzielającego chór od nawy jest zapewne również płyta kamienna z ornamentem plecionkowym rozwiniętym we wzór dywanowy, znaleziona przy północnym ramieniu transeptu, na murze, za kaplicą Maciejowskiego.[1]) Ornament ten t. zw. iryjski pochodzenia bardzo archaicznego przeniesiony do nas za pośrednictwem Benedyktynów pochodzi także z XII w.

W czasach Władysława Hermana powstał kościół św. Andrzeja (fig. 6), którego wezwanie jest może wynikiem stosunków z Węgrami.[2]) Był pewno kolegjatą i kościołem przygródka zamkowego.[3]) Fundatorem świątyni był najprawdopodobniej Sieciech z rodu Toporczyków, palatyn Władysława Hermana. Prawo prezenty i patronatu nad kościołem miało benedyktyńskie opactwo w Sieciechowie, co mimowoli przywodzi na myśl budowniczą działalność Benedyktynów i każe domyślać się pewnego związku między nimi a budową św. Andrzeja. Kościół jest bazyliką pułapową (przesklepioną w baroku), składa się z dwóch wież od frontu przy fasadzie zachodniej, trzech naw i długiego chóru, zamkniętego apsydą. Wątkiem jest cios w szychtach rozmaitej wysokości, piaskowiec drobnoziarnisty w częściach konstrukcyjnych i ozdobnych, a wapień w murach. Nawę środkową od bocznych oddzielają filary na rzucie kwadratu z czterema wyskokami, po dwa z każdej strony, które stoją w bezpośrednim związku z lizenami u ścian bocznych, u tęczy i przy ścianach obu wież. Na filarach rozpięto arkady. Pu-

---

spotykamy się z motywem podobnym w Nadrenji, np. w Brunwilare (portal zachodni kościoła z wieku XII; por. *Clemen,* op. cit. IV, 34, fig. 11) i w Herkenrath koło Mülheim, tu na czarze chrzcielnicy. (Ibidem, V, 51) Również w Normandji np. w Anthie dwa potworki wypełniają półkolisty tympanon. Por. *Dehio, Bezold,* Die kirchl. Baukunst des Abendlandes, Stuttgart, 1892, Atlas III, tabl. 291, 2. Motywy wschodnie dostawały się do Polski zapewne i wprost ze Wschodu i drogą na Zachód.

[1]) *Wojciechowski,* op. cit. 85. *Sokołowski M.* Ornament sznurowy w katedrze rom. na Wawelu. Spraw. VIII, CCCCVII—CCCCV.

[2]) *Łuszczkiewicz W.* Architektura romańska kościoła św. Andrzeja w Krakowie. Spraw. VII, 1—38.

[3]) Przywilejem z r. 1320 Łokietek oddał kościół klaryskom ze Skały a księży przeniósł do kościoła św. Idziego, Ibidem.

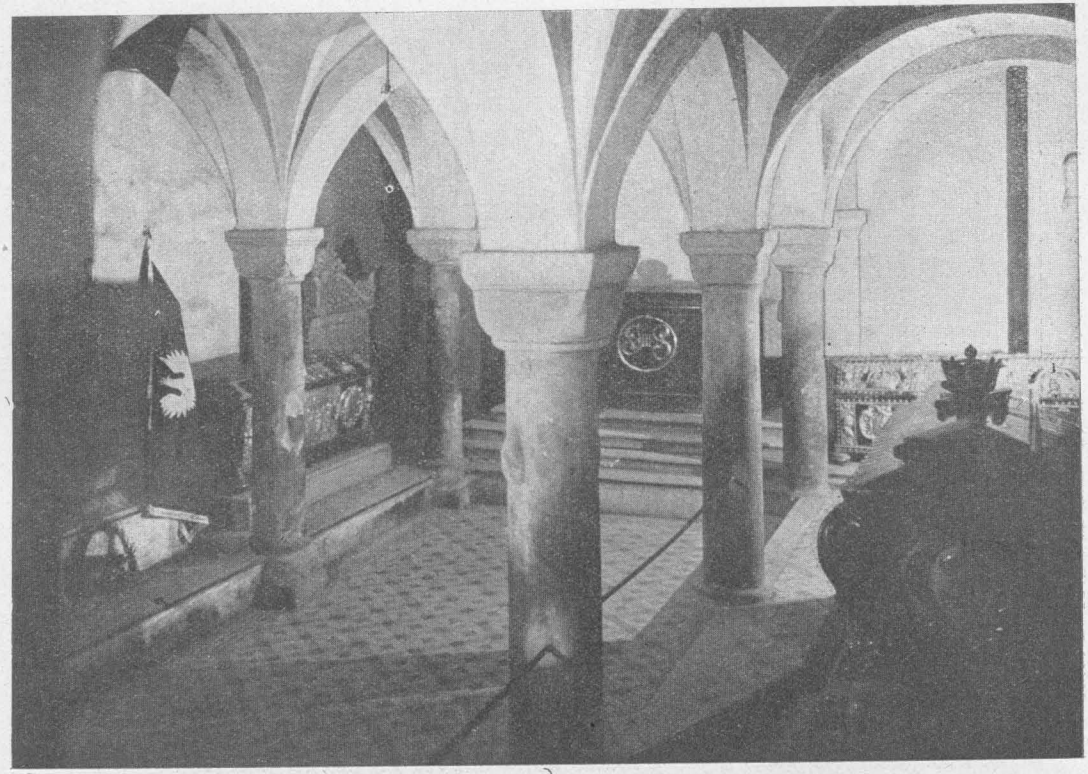


Fig. 5. Krypta św. Leonarda na Wawelu.



Fig. 6. Kościół św. Andrzeja.

łap mógł się wznosić na wysokości 13·50 m. Nawy boczne nie mają dachów pulpitowych, lecz kryją się pod dachem wspólnym. O związku budowy z zamkiem świadczą empory nad nawami bocznemi i w miejscu dzisiejszego chóru muzycznego (spoczywające na filarach), do których wprowadzały schody w wieży północnej. W wieży południowej były ubikacje mieszkalne, a między wieżami, nad pułapem kościoła dotąd zachowana sklepiona izdebka.[1]) Wieże założone na kwadracie górą przechodzą w ośmiobok; ozdobą tych części górnych są framugi dużych rozmiarów, kształtu półkolistych okien, a nad niemi przeźrocza romańskie przedzielone umieszczoną w środku światła kolumienką wieńczoną kapitelem krokształtnowym z piaskowca. Schody w wieży północnej systemu *Vis de St. Gilles* złożone w szeregu progów kamiennych, które spoczywają na sklepionkach wijących się około środkowego filaru, zachowały się tylko w części.[2]) Ściany zewnętrzne prezbiterjum i apsydy ujęte są w lizeny przechodzące górą w motyw fryzu arkadkowego. Kościół od innych wyróżnia się smukłością proporcji i charakterystyczną, prostą, masywną fasadą.[3]) Stylistycznie kościół wiąże się z zabytkami reszty Europy, ale przytem cechuje go pewna odrębność, polegająca na prostocie, masywności i braku ozdób, widoczna w charakterystycznej fasadzie wraz z wieżami, jak gdyby utopionemi w niej. Do związania go z Nadrenją, również z Czechami, brak precedensów formalnych; natomiast w pewnej mierze przypomina motywy architektoniczne kościołów saskich.[4])

---

[1]) Przy końcu w. XVI za biskupa Maciejowskiego i kardynała Radziwiłła zbudowano klasztor, a oratorjum urządzono w miejscu dawniejszej empory przodkowej.

[2]) Podobne schody znajdują się w kościele z w. XII w Żarnowie; od krakowskich różnią się tem, że klatka znajduje się w wieży okrągłej.

[3]) Dodać trzeba, że kościół od wewnątrz zatracił stylowy charakter. Od północnego wschodu za Władysława Łokietka dobudowano mniejszy kościółek. przybudowę gotycką.

[4]) Por. go z kościołami saskimi, np. z benedyktyńskim w Königsbutter (koło Brunszwiku), który fundowany r. 1135 ma fasadę zachodnią masywną, ujętą w dwie wieże dołem stanowiące jedną całość z fasadą, górą dopiero przechodzące w ośmiobok. *(Otte H.* Handbuch der kirchlichen Kunstarchäologie des deutschen Mittel-

Techniką, podobną do techniki budowlanej kościoła św. Andrzeja, odznacza się kościół św. Wojciecha na rynku krakowskim, co zdaje się świadczyć o wspólnej szkole budowniczej, może benedyktyńskiej. Maleńki ten kościół przebudowany prawie w zupełności w baroku stał pierwotnie na wzniesieniu, przedłużającem się ku wschodowi, w kierunku wzgórza kościoła św. Trójcy, centralnego punktu miasta przed lokacją.[1]) Dzisiaj wskutek podniesienia się terenu budynek tkwi głęboko w ziemi (1·65 m). Pierwotne ściany wznoszą się do wysokości 3 m; reszta jest nadbudową z XVII w. Kościół założony na bardzo prostym planie składał się z dwóch części, nawy i prostokątnego chóru, nakrytych pułapem. Mury są wykonane z kamienia wapiennego, obtłukiwanego w drobne ciosy prostokątne u lica, układanego w warstwy poziome. Wejście było od południa; okna kościół miał bardzo wąskie, umieszczone wysoko z ościeżami rozglifionemi. Z pierwotnego kościółka prócz murów zachował się portal i okienko od wschodu. Portal od południa, utopiony w ziemi z nadprożem występującem 6·60 m nad brukiem placu, składa się z prostych węgarów o profilu załamanym w dwa ustępy, przechodzących górą w półkolny tympanon. Stosugi portalu układają się promienisto, ale brak klucza wskazuje na pierwotność konstrukcji. Tympanon jest gładki, wejście prostokątne. Kościółek św. Wojciecha należy zaliczyć do grupy małych kościółków, rozsianych po wsiach

---

alters, Leipzig, 1885, II, 183, fig. 370). Kolegjata śś. Piotra i Pawła w Halberstadt z końca XI w. ma fasadę, która przypomina św. Andrzeja, tylko najogólniej, a wieże ma w całości na rzucie kwadratu. *(Doering O.* Beschreibende Darstellung der älteren Bau und Kunstdenkmäler der Kreise Halberstadt, Halle, 1902, 356, fig. 148). Są to wprawdzie kościoły albo współczesne, albo późniejsze od krakowskich, ale przypuszczcć należy, że miały prototypy w granicach Saksonji, które mogły wpłynąć na Polskę. Wogóle w kościołach saskich spotyka się wieże przechodzące z kwadratu w ośmiobok, ale niekoniecznie w związku z fasadą. Możnaby przeto przyjąć, że co do kościoła św. Andrzeja, schematu zaczerpnięto z Saksonji, poczem zmieniono go i uproszczono w sposób swoisty.

[1]) *Łuszczkiewicz W.* Dawny romański kościół św. Wojciecha w Krakowie, R. K. III, 155–171; por. również komunikat *Łuszczkiewicza* w Spraw. VI, LXXIII–LXXV.

i miasteczkach Europy. Ma swoje odpowiedniki w Wielkopolsce (Lubiń, Krobia, Giecz), pozatem w Czechach i Saksonji.[1])

W czasach Bolesława Krzywoustego ruch budowlany w Polsce rozwija się żywo. Biskup wrocławski Walter († 1169) i jego brat biskup płocki Aleksander (1129—1159) rodem z djecezji leodojskiej, z Malonne torują, jak się zdaje, drogę wpływom francuskim.[2]) Nieco w cześniej owocną działalność rozwija palatyn króla, wielkorządca Śląska Piotr Włostowicz, ożeniony z księżniczką ruską.[3]) Funduje cały szereg kościołów, z których zostało niewiele. Podobnie syn jego Świętosław i zięć Jaksa Gryfita, później towarzysz Henryka Sandomierskiego do Ziemi Świętej. Pozostałe reszty ich fundacyj wykazują wpływy z jednej strony Zachodu, z drugiej rusko-bizantyńskie. Tak samo zapewne rzecz się miała z fundacjami Krzywoustego w Wiślicy i na Łyścu.[4]) W Krakowie z postacią Piotra wiążą fundację kościoła św. Salwatora na Zwierzyńcu.[5]) Niestety kościół ten w zupełności zmieniony zatracił cechy średniowieczne.

Z końcem w. XII, w r. 1185 po translacji relikwij św. Florjana do Krakowa następuje fundacja kościoła na Kleparzu przez biskupa Gedkę, dedykowanego temuż świętemu. Data konsekracji 1216 za biskupa Wincentego schodzi się pewno z datą ukończenia kościoła.[6]) Dzisiejszy kościół pochodzi z epoki baroku. W r. 1887 odnaleziono przy burzeniu otaczającego kościół muru fragmenty baz fila-

---

[1]) Por. Topographie der hist. und Kunstdenkmale im Königreiche Böhmen, Praga, 1898, I, III, XV; również Beschreib. Darstellung der ält. Bau u. Kunstdenkmäler der Prov. Sachsen, Halle, 1886.

[2]) *Abraham W.* Organizacja Kościoła, Lwów, 1893, 181—182; również *Semkowicz W.* Rocznik t. zw. Świętokrzyski dawny, Rozprawy Wydz. hist.-filoz. Ak. Um. 1910, LIII, 259—260.

[3]) *Mosbach A.* Piotr, syn Włodzimierza. Ostrów, 1865.

[4]) *Wojciechowski,* op, cit. 33—34.

[5]) *Łuszczkiewicz W.* Romański portal XIII w. w kościele klasztornym na Zwierzyńcu, Spraw. IV, 2.

[6]) Tenże, Romańska architektura w Wąchocku, Sprawozd. V, 51; również *Dobrowolski K.* Dzieje kultu św. Florjana w Polsce do połowy XVI w. Warszawa, 1923, 38—39.

rowych romańskich i ułamki obramienia portalu (dzisiaj w muzeum narodowem, w Krakowie), pochodzące ze świątyni romańskiej.

We fragmentach zachowały się również przebudowane później kościoły św. Jana przy ul. św. Jana i św. Mikołaja na Wesołej. Z romańskiego kościoła św. Jana przetrwały dolne części muru z drobnych kostek piaskowca, poniżej poziomu dzisiejszego terenu ulicy i ślad romańskiego okna.[1]) Podobnie z romańskiego kościoła św. Mikołaja, wybudowanego może przez benedyktynów tynieckich, zachowały się w murach prezbiterjum dzisiejszej ceglanej budowli nierówne ciosy kamienne w nieregularnych warstwach, formą zbliżone do kostki.[2])

Z końcem XII w. zjawiają się w Polsce zakonnicy cysterscy, przybyli z Morimundu w Burgundji i stawiają w ciągu pierwszej połowy XIII w. szereg kościołów w stylu t. zw. przejściowym z romanizmu w gotyk. Wątkiem bywa tu jeszcze kamień, ozdoby są romańskie. Cegła, jako materjał budowlany zjawi się w budynkach na większą skalę dopiero wraz z przybyciem do Polski i działalnością Zakonów żebrzących, franciszkanów i dominikanów. Kościoły wznoszone w pierwszej połowie XIII w. naogół miały jeszcze strukturę kamienną.

Równie ważną postacią dla rozwoju architektury, jak w XII w. Piotr, syn Własta, jest zasiadający w latach 1218—1229 na krakowskiej stolicy biskupiej Iwo Odrowąż, fundator wielu kościołów.[3]) Prócz innych z jego imieniem wiąże się początek kościoła Marjackiego i dominikańskiego w Krakowie. Fragmenty romańskie przetrwały tylko w gotyckim kościele dominikanów, drugim z rzędu, jaki zbudowano na miejscu przediwonowego drewnianego kościoła św. Trójcy.

---

[1]) *Hendel, Kopera,* Resztki murów romańskich kościoła św. Jana w Krakowie, R. K. IX, 204—219; również *Chmiel A.,* Domy krakowskie, ulica św. Jana, Kraków, 1924, 32—33.

[2]) *Pagaczewski J.* Kościół pod wezwaniem św. Mikołaja, Teka Grona Kons. Galicji Zach. 1900, I, 55—56; tenże w Spraw. VIII, szp. CCIII.

[3]) *Długosz J.* Dzieje Polski, Kraków, 1868, II, 202—260.

W r. 1226 Iwo Odrowąż przenosi parafję z kościoła św. Trójcy do kościoła Najśw. Panny Marji; zaczyna budowę klasztoru od przeciwległej kościołowi części krużganku, przy której leży refektarz. Do niedawna dochowała się w kościele krypta, skromniejsza od wawelskiej, mniejsza i prostszej struktury. Zniszczono ją w nowszych czasach z powodu budowy wielkiego ołtarza.[1]) Z pierwszej epoki budowy pochodzi również piwnica pod refektarzem.[2]) Ściany jej zbudowano z kamienia, starannie obrobionego. Trzy filary dzielą lokalność na dwie nawy i podtrzymują gurty ceglane segmentowego kształtu, które przy ścianach wspierają się na pewnego rodzaju wspornikach prostego okroju z piaskowca. Sklepienie składa się z ośmiu płaskich pól krzyżowych, starannie zbudowanych z cegły. Każde z okien piwnicznych ujęto w trzy bloki wapienne; jedno jest wycięte górą w półkole. Nad piwnicą znajduje się refektarz nie wiele większy od położonej pod nim piwnicy, w którym pierwotne romańskie ruiny z kamienia nieregularnie obrobionego z grubsza do lica, zachowały się w wysokości 3·30 m. (fig. 7) Sala ta była oświetlona z trzech stron; od strony krużganku miała trzy okna o okrojach silnie profilowanych i wejście z ozdobnym portalem. Węgary portalu pokryte ongiś płaskorzeźbionym fryzem, z którego część się zachowała, mają w miejscu przejścia wałków profilu (przyczepionych do węgłów) z linji pionowej w łuk półkola archiwolty, rodzaj węzła, jak gdyby kapitelu. Kapiteliki te, to poprostu skręcone, ząbkowane listki. Ornamentacja zachowana w archiwolcie, wskazuje na to, że na najgłębiej cofniętej płaszczyźnie węgarów rozwinięto fryz geometryczny, jak gdyby z laseczek ułożonych zygzakowato, wypuszczających skręcone listki; natomiast na płaszczyźnie sąsiedniej, wysuniętej bardziej ku licu ściany, spleciono giętkie gałązki.[3]) Z dormitarza wzniesionego nad refektarzem zachowały się ceglane mury szczytowe o trójdzielnych półkolistych oknach, z których środkowe jest naj-

[1]) *Kopera F.* Historja architektury, R. K. VI, 76—77.

[2]) *Hendel J.* Sprawozdanie V, CXL et seq.

[3]) Zdjęcie portalu publikowane w dziele: *Lepszy L., Tomkowicz St.* Zabytki sztuki w Polsce, Kraków; — Kościół i klasztor OO. Dominikanów, Kraków, 1924, str. 77, fig. 78.

wyższe. Charakterystyczną tu rzeczą, to przenikanie się materjałów, kamienia i cegły, z których ta ostatnia wkrótce zwycięży.

Z połowy XIII w. zachowały się romańskie reszty w klasztorze Norbertanek i prócz tego przetrwały ślady fortyfikacyjnej działalności Konrada Mazowieckiego. Pod r. 1235 zapisuje Długosz w swej historji, że Konrad Mazowiecki inkasteluje krakowski kościół św. Andrzeja, kościół w Prandocinie, Skalbmierzu, oraz klasztor jędrzejowski. Ciekawą jest rzeczą, że dobudowana za Konrada na kościele prandocińskim wieża obronna, przypomina do pewnego stopnia wieże kościoła św. Andrzeja.[1]) W r. 1242 umacnia Konrad zamek na Wawelu i przeprowadza mur obronny *incipiens ab ecclesia beati Wenceslai, a Sanctuario altaris beati Thomae tendens ad ecclesiam Sancti Gereonis. et inde usque ad ecclesiam beatae Mariae rotundam*, a zatem od katedry do kaplicy św. Gerona (dawnego chóru katedry Bolesławowskiej) i stąd do rotundy śś. Feliksa i Adaukta.[2]) Reszty tych murów zachowały się wśród nowych renesansowych zabudowań.

Stosunkowo późno powstał romański klasztor i kościół norbertanek na Zwierzyńcu, fundowany dawno, bo koło r. 1162 przez Jaksę Gryfitę, zięcia Piotra, przypuszczalnego twórcy zwierzynieckiego również kościoła św. Salwatora.[3]) Pierwotne zabudowania były zapewne drewniane; murowane powstały zdaje się dopiero koło połowy XIII w. Dzisiejszy kościół jest przebudową z XVII w. z czasów ksieni Doroty Kątskiej. Plan tylko i może wątek murów pozostał średniowieczny. Od strony wieży można oglądać średniowieczny rohbau ceglany z resztami fryzu z przenikających się łuków. Kościół był jednonawowy, orjentowany; należał najpewniej do pułapowych. Okna miał zamknięte półkołem, (pozbawione glifów) o łukach zdobnych

---

[1]) Kronika Wielkopolska, M. P. H. II, 556; również: *Długosz*, Hist. Pol. II, 246. O inkastelacji por. *Sokołowski, Worobjew*, Kościoły i cmentarze warowne w Polsce, Spraw. VII, 481—528.

[2]) *Długosz*, op. cit. 285.

[3]) *Łuszczkiewicz W.* Romański portal XIII w. w kościele klasztornym na Zwierzyńcu, Spraw. IV, 1—14.

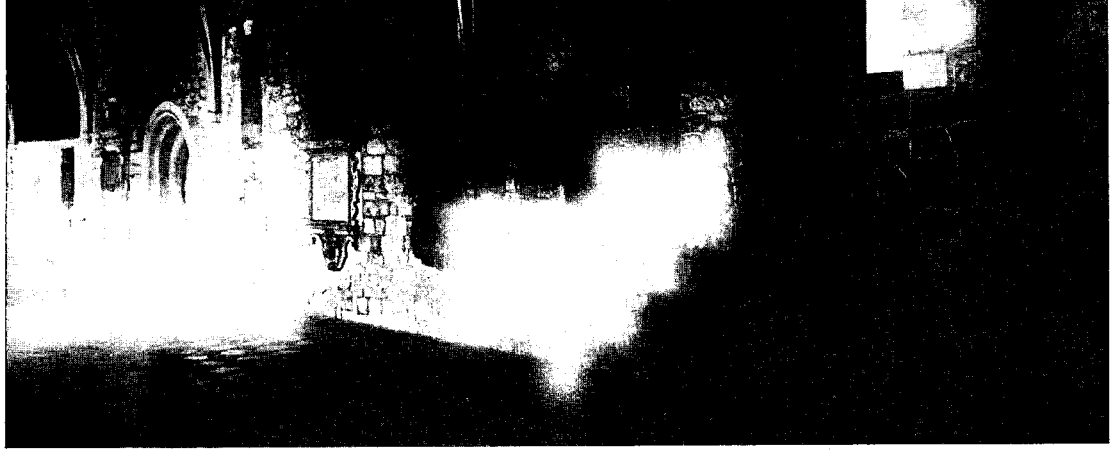


Fig. 7. Klasztor OO. Dominikanów.
fragment romańskiej budowy, przetrwały w północnem ramieniu krużganków.

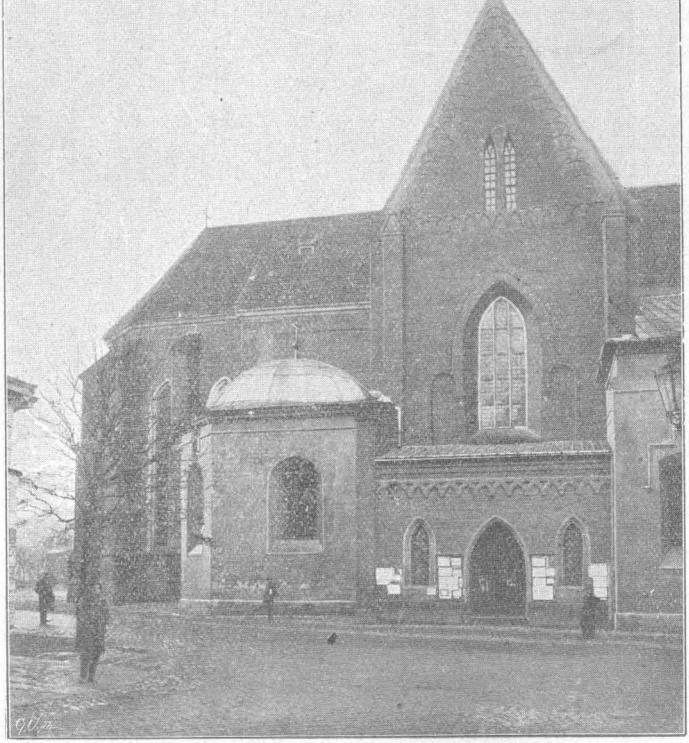


Fig. 8. Kościół OO. Franciszkanów.

prasowaną cegłą w dwóch rzędach. W kruchcie znajduje się fragment portalu, wieńczonego archiwoltą; węgary części dolnej składają się z trzech uskoków, w kątach których pomieszczono kolumienki, stojące na wspólnym cokole i nakryte abakusami związanemi w jedną całość. Zabytek odznacza się staranną techniką kucia. Odpowiednio do węgarów rozczłonkowano profil archiwolty. Trzonom kolumn odpowiadają tu wałki, węgłom odpowiednie profile. Kapitele kielichowe są zdobne w dwa naturalistycznie traktowane liście. I wątek muru (rohbau) i niektóre formy portalu są już zapowiedzią stylu nowego — gotyku. Użyciem cegły przypominał kościół norbertanek pierwsze dominikańskie i franciszkańskie kościoły, a ozdobami z cegły prasowanej kościół św. Jakóba w Sandomierzu.

W następnym okresie, w latach 1257—1330, t. j. między rokiem ukończenia kościoła w Zawichoście, a rokiem, w którym stanął klasztorny kościół w Starym Sączu, dokonał się zwrot od romanizmu do gotyku.[1])

W Krakowie kościół św. Franciszka fundacji Bolesława Wstydliwego ukończono koło r. 1270; zbudowany w ostrołukowym systemie konstrukcyjnym, zachował pewne reminiscencje romańskie w swej części najstarszej, transepcie. (fig. 8) Grubość murów (1·25 m), brak szkarp, a zamiast nich obecność skrajnych lizen i fryz arkadkowy na trójkątnym frontonie, również trzy kolumienki laskowania z kapitelami kielichowemi w nyszy gotyckiej od strony północnej, to wszystko ślady stylu minionego.[2]) Materjał budowlany — kamień został wyparty przez cegłę, która z końcem tego okresu ustąpi znowu miejsca na rzecz ciosu. Architektura gotycka w Polsce ustali się, jako ceglano-kamienna. Na podstawie omówionych zabytków budownictwa stwierdzić trzeba, że Polska w okresie od w. X do XIII ulegała przedewszystkiem wpływom kultury romańskiej, w bardzo słabym stopniu bizantyńskiej. Romanizm przenikał do Polski zrazu przez Niemcy, Czechy, później głównie z Nadrenji, Belgji, Francji; bizantynizm zaś drogą na Ruś i może przez

[1]) *Łuszczkiewicz W.* Architektura najdawniejszych kościołów franciszkańskich w Polsce, Spraw. IV, 178—180.

[2]) Ibidem, 139 et seq.

Niemcy. Architektura polska powtarza formy zachodnio-romańskie, ale zmienia je na swój sposób, upraszcza, czasem nawet barbaryzuje.

Przemysł artystyczny.

Styl romański ujawnił się nietylko w architekturze; wycisnął piętno na całej kulturze artystycznej epoki. Polska wzorowała się na Zachodniej Europie pod każdym względem. Książęta nasi, których wizerunki zachowały się na starych pieczęciach, noszą szaty czy rynsztunek wojenny zachodni; podobnie biskupi pontyfikalne szaty. Państwo młode kulturalnie musiało oprzeć się na gotowych wzorach, czerpanych u źródła, na Zachodzie. Syntetyczne ujęcie historji przemysłu artystycznego w wczesno-średniowiecznej Polsce jest niestety niemożliwe z powodu małej stosunkowo ilości przetrwałych zabytków. Tem trudniej wyśledzić w sztuce elementy rodzime, które musiały przecież wycisnąć jakieś piętno na niewątpliwie istniejącej produkcji rodzimej. Najmniej pamiątek przemysłu romańskiego zachowało się w Krakowie. Przeszłość można tu rekonstruować prawie wyłącznie na podstawie przekazów źródłowych, w mniejszym stopniu na podstawie materjału zabytkowego.

Z kościołem św. Salwatora wiąże się podanie, że miał się w nim znajdować krucyfiks, przysłany z Moraw pierwszemu chrześcijańskiemu księciu.[1]) W skarbcu katedralnym przechowano włócznię, którą, według kronikarzy i tradycji, miał otrzymać Bolesław Chrobry r. 1000 od cesarza Ottona III na znak przyjaźni.[2]) Kościół katedralny był wyposażony w liczne kosztowności i sprzęty, spis których przekazały nam najdawniejsze inwentarze skarbca katedralnego, jeden z czasów biskupa Baldwina z r. 1101, drugi sporządzony na polecenie biskupa Maurusa w r. 1110.[3]) W katedrze Hermanowskiej były złote i srebrne kielichy, cenne krzyże, liczne świeczniki, ampułki, bogate szaty kościelne, kadzielnice,

[1]) *Kopera,* Historja architektury, R. K. VI, 71.

[2]) *Lepszy L.* Przemysł artystyczny i handel, Rocznik Krak. VI, 263.

[3]) *M. P. H.* I, 376—377.

wiszące korony (pewnego rodzaju żyrandole), skrzyneczki, kobierce, opony, księgi liturgiczne i t. p.[1]) Na wielkim ołtarzu w katedrze, na menzie przystrojonej fałdzistym kobiercem stał krucyfiks, a obok lichtarz na trójnogu, jak to widać na pieczęci Leszka Czarnego.[2]) Wymienione księgi liturgiczne były zapewne oprawne w płaskorzeźbioną kość słoniową, podobnie jak inne sakramentarja i ewangieljarze, z których zachowały się oprawy.[3])

Podobnie, jak skarbiec katedralny, a może bardziej zasobny był skarbiec księcia. Kosmas, pisząc o najeździe Czechów r. 1039, podaje, że Brzetysław zabrał z Krakowa łupy i wywiózł odwieczne skarby, nagromadzone przez książąt w skarbcu.[4]) Były to zapewne przedmioty przeważnie sprowadzane z zagranicy. Z Niemiec, Nadrenji, Francji, również ze wschodu napływały do naszego kraju kodeksy illuminowane, relikwiarze, krucyfiksy, czary, kielichy, emalje limuzyjskie. Prawdopodobnie z czasem zaczęto produkować również w kraju. Z pierwszej połowy XII w. pochodzi t. zw. czara włocławska (dzisiaj w Muzeum Narodowem) ze scenami z historji Gedeona, powstała może w Polsce pod wpływem bizantyńskim i zarazem niemieckim.[5]) Jak się zdaje, koło połowy XII w. Płock stanowił ważne centrum artystyczne, w którem działał kapelan książęcy, złotnik i rzeźbiarz

---

[1]) Spis Maurusa wymienia między innemi: „...calices XVIII, sex ex eis de auro, — candelabra X argentea, — corona aurea, — cruces III auree, — vexillum auro paratum"; Ibidem. — O skarbcu katedralnym pisali: *Balcer O.* Skarbiec i archiwum koronne w dobie przedjagiellońskiej, Lwów, 1817. — *Kopera F.* Dzieje skarbca koronnego, Kraków, 1904.— *Wojciechowski T.* Kościół katedralny. — *Kutrzeba St.* Źródła ceremonjału koronacyjnego. (Przegl. hist. XII. Warszawa, 1911). — *Kłodziński Abdon,* O archiwum Skarbca koronnego na Zamku krakowskim, Archiwum Kom. Hist. Serja II, t. 1 (139—140).

[2]) *Wojciechowski T.*, op. cit. 204, fig. 55.

[3]) *Sokołowski M.* O okładce, własności X. Kanonika Petruszewicza. Spraw. V, CIV et seq.; również *Łuszczkiewicz,* O okładce Ewangieliarza tynieckiego, Spraw. V, CXVII, fig. 29.

[4]) *Kopera F.* Dzieje skarbca koronnego, Kraków, 1904, 5.

[5]) *Sokołowski,* Sprawozd. IX, XXVII—XLII; por. również *Stroner W.* Ibidem, XX-XXVII — i *Górzyński W. X.* Czara włocławska, Ibidem, VII—XX.

Leopard.[1]) Wpływ na produkcję rodzimą prócz dzieł Zachodnich, których pewno niemało było na naszych ziemiach, musiały wywierać też przedmioty sprowadzane ze Wschodu. Do takich np. należy przechowany w Krakowie relikwiarz katedralny z XII w. (przywieziony ze Wschodu może przez Jaksę Gryfitę) o motywach perskich, przedstawiający zapasy rycerskie, walki ludzi ze zwierzętami i walki fantastycznych zwierząt, z wiekiem, zdobnem w szereg motywów dwóch zwierząt, rozmieszczonych symetrycznie koło rośliny.[2])

W skarbcu koronnym znowu znalazł się, lecz znacznie później, zabytek XIII w. (skradziony r. 1795) miecz koronacyjny t. zw. szczerbiec. Był to miecz zdobny w grawirunki, żłobienia wypełnione niellem wyrobu może niemieckiego, ofiarowany zapewne Bolesławowi, księciu mazowieckiemu i łęczyckiemu, jako symbol władzy sądzącej, jak zdają się o tem mówić pokrywające go inskrypcje. Do skarbca koronnego przeszedł dopiero za Władysława Łokietka.[3]) Jak świadczą źródła rękopiśmienne, w katedrze, w XIII w. były liczne tkaniny, niektóre bardzo ozdobne. Opis jednej zachował się.[4]) Tkanina jedwabna, czerwona, gęsta a lekka była ozdobiona złotemi orłami; na plecach miała obraz Matki Boskiej, zaś pod nim wyhaftowane dwie postacie, któremi byli zapewne Henryk III wrocławski i jego żona Jadwiga, córka Konrada Mazowieckiego. Do dzisiejszego dnia zachowała się w skarbcu katedralnym mitra biskupia (niesłusznie t. zw. mitra św. Stanisława) z lamy srebrnej, usianej drobnemi perełkami, z których niewiele już pozostało. Zdobią ją prócz tego perły i ka-

---

[1]) *Semkowicz W.* Rocznik t. zw. świętokrzyski dawny. Rozprawy Wydz. hist.-filoz. Akad. Umiejęt. LIII, 259—260; *Gębarowicz M.* Drzwi kościelne t. zw. płockie w Nowogrodzie Wielkim. Spraw. Tow. Naukowego we Lwowie, III, 66—67.

[2]) *Sokołowski M.* Trzy zabytki dalekiego Wschodu na naszych ziemiach, Spraw. III, 142—161.

[3]) *Sadowski S. N.* Miecz koronacyjny polski „szczerbcem" zwany, Kraków, 1892. — Por. również *Kopera F.* O napisach na mieczu koronacyjnym królów polskich, Wiadomości numizm.-archeolog. Kraków, 1917, str. 229 et seq.

[4]) Por. *Wojciechowski*, op. cit. 106.

mienie osadzone na srebrnych, pozłacanych blaszkach.[1]) Z w. XIII również pochodzi po dziś dzień zachowany w kościele Bożego Ciała krzyż emaljowany i rzeźbiony sprowadzony może z Limoges. Odznacza się dość bogatą treścią ikonograficzną; obok postaci Chrystusa widzimy aniołów, Adama i symbole ewangielistów.[2])

Opisane i tylko wymienione przedmioty słabo rozjaśniają mroki, w jakich kryją się pierwociny naszej kultury. Na bardziej zasadnicze scharakteryzowanie krakowskiego przemysłu artystycznego w tej odległej epoce, określenie jego znaczenia na tle ogólnej produkcji polskiej, a w następstwie europejskiej, zdobyć się nie można z braku dostatecznego materjału zabytkowego.

---

[1]) *Przeździecki* i *Rastawiecki* (Wzory sztuki średniowiecznej w dawnej Polsce, Warszawa, 1853—1855, II, tablica 2) uważają mitrę za powstałą w XI wieku. Forma jej jednak wskazuje na wiek XIII, jako czas powstania — Por. *Braun J.* Die liturgische Gewandung im Occident und Orient, Fryburg w Bryzgowji, 1907, p. 468—469.

[2]) *Lepszy L.* Przemysł artystyczny i handel, R. K. VI, 264.

Tadeusz Dobrowolski.

Jubileusz pierwszego Soboru Powszechnego.

(325—1925).

W końcu maja upłynęło 1600 lat, jak do sławnego w owych czasach miasta Nicei, w ówczesnej prowincji Cesarstwa Rzymskiego, Bitynji (dziś zwie się Isnik i jest małą mieściną nad jeziorem tejże nazwy, w Małej Azji, niedaleko morza Marmora) zjechali się biskupi, przeważnie ze Wschodu, w liczbie trzystu ośmnastu.[1]) Tam, po przybyciu cesarza Konstantyna Wielkiego w połowie czerwca 325 r. zaczęły odbywać się przez dwa przeszło miesiące trwające narady i rozprawy, znane w dziejach Kościoła pod nazwą pierwszego Soboru Powszechnego, albo pierwszego Nicejskiego. Z tych obrad i rozpraw powstał ów sławny symbol wiary naszej: *Credo in unum Deum...* (Wierzę w jednego Boga...), który po dziś dzień, w formie tylko nieco zmienionej (na pierwszym Soborze Konstantynopolitańskim 381 r.), odmawia się i śpiewany bywa w czasie mszy św.

Pierwszy Sobór Powszechny, czyli pierwszy (od czasów Apostolskich) zjazd następców Apostołów, nauczycieli w Kościele, mających władzę od Boga sobie daną, aby naukę Jezusa Chrystusa w nieomylny sposób ludziom wykładali — ten sam już fakt duszę na jakąś poważniejszą nutę nastraja i zamyślić się każe nad wartością życiową tej władzy niezwykłej. Zwłaszcza w obecnych czasach, gdy z odmętu

[1]) Tę liczbę starożytna tradycja podaje; obecnie niektórzy historycy wątpią o jej prawdziwości i liczbę uczestników Soboru zmniejszają lub zwiększają.

zwalczających się i obalających wzajemnie, a tak licznych teoryj ludzkich, jedno zda się unosić pytanie: „Czy i gdzie jest prawda?“ — ten widok przed nami od wieków szesnastu stojących postaci Ojców Soboru Powszechnego, którzy odpowiadają nam z całą pewnością: „My posiadamy, my głosimy prawdę nieomylną“, ma moc wprowadzania otuchy i jasności w znękane umysły współczesne i rozpraszania mroków sceptycznej pokusy.

A przytem z punktu widzenia naukowego, historycznego niezmiernie ciekawe są dzieje tego pierwszego powszechnego Soboru. Herezja Arjusza, z powodu której został on zwołany, jest zjawiskiem w dziejach myśli ludzkiej, a w szczególności myśli religijnej, bardzo pouczającem. Wypadki, poprzedzające obrady Soboru, i następujące po nim, są pełne niezwykle interesujących wydarzeń. Oko historyka, pod formą zewnętrzną zawiłego sporu dogmatycznego odkrywa potężne zmagania się wielkich prądów filozoficznych i spostrzega zjawisko, niezmiernie charakterystyczne dla wszystkich niemal walk umysłów ludzkich: widok ludzi, niedość głębokich i wykształconych, aby objąć i zrozumieć istotę zagadnienia, którzy zatem, sądząc o niem, po omacku błądzą. Wreszcie i dla katolika wierzącego i miłującego Kościół święty, historja pierwszego Soboru Nicejskiego przynosi wiele pociechy i ufności: widzi on bowiem, że nawet z tak wielkiego niebezpieczeństwa, jakiem był Arjanizm w IV wieku, Opatrzność Boża zdołała ocalić Kościół swój, a następnie, że już wtedy, w początkach niemal dziejów Chrystjanizmu, cały świat chrześcijański, a w szczególności cały dziś w znacznej części odłączony od nas Wschód znajdował oparcie swojej wiary na opoce Piotrowej.

Nic więc dziwnego, że Ojciec św. Pius XI w liście, wystosowanym 4 kwietnia b. r. do kardynała Tacci, sekretarza Kongregacji dla spraw wschodnich, podkreśla i rozważa ważność tego Soboru, oraz wzywa wiernych, by w odpowiedni sposób uczcili pamiątkę tego wiekopomnego zdarzenia.

Niniejszą pracą chcemy w miarę sił przyczynić się do uczczenia tej rocznicy. [1])

[1]) W artykule tym opieramy się przedewszystkiem na szczątkach aktów Soboru Nicejskiego, wydanych w naszem dziele Mansi: *Sacrorum*

I.

Wprawdzie Sobór Nicejski 325 r. wydał bardzo znakomite przepisy prawno-kościelne, które potem przez długie wieki wskutek powagi i uznania, jakiem się ten Sobór cieszył, powszechnie a zwłaszcza na Wschodzie, były szanowane i wykonywane, nie ulega jednak wątpliwości, że główną osią, około której obracały się obrady Soboru, była sprawa herezji Arjusza, który, jak wiemy, zaprzeczył podstawowej prawdzie naszej Wiary: Bóstwu Jezusa Chrystusa. Dlatego to, zanim przypomnimy sobie dzieje samego Soboru i następujących po nim wydarzeń, trzeba nam w najogólniejszym zarysie przyjrzeć się tej herezji, poznać grunt i warunki, w jakich ona powstała i zbadać przyczyny jej niezwykłej żywotności. Pamiętamy bowiem, że Arjanizm, w latach nieledwie paru po potępiającym go Soborze, zdołał rozszerzyć się, choć na czas krótki, w sposób zatrważający.

Ażeby zaś poznać te podstawy Arjanizmu, wypadnie nam cofnąć się w dość odległą, w stosunku do IV-go wieku, przeszłość, bo aż do początków chrześcijaństwa. Jeżeli przypatrzymy się ogólnemu charakterowi nauczania Zbawiciela, to niewątpliwie zauważymy w opowiadaniu Ewangelicznem jasność i prostotę, brak zaś wszelkiego niemal aparatu naukowego oraz kunsztownych rozumowań i dowodzeń; i nie dziw, prawda jest jasna i sama przez się ma moc przekonywującą. To też św. Paweł Apostoł z naciskiem stwierdzał, że „mowa jego i przepowiadanie jego nie było w przekonywujących ludzkiej mądrości słowach, ale w okazaniu ducha i mocy“ (I Kor. 2, 4) oraz ostrzegał wiernych, aby „ich kto nie oszukał przez filozofję i próżne omamienie“ (do Kolos. 2, 8). Co więcej, pierwszą walkę, którą po rozprawieniu

---

Conciliorum nova et amplissima collectio. Tom II Florentiae 1759, następnie na znakomitej, do dziś dnia niezastąpionej „Historji Soborów“ Hefele'go (w tłóm. francuskiem wyd. w Paryżu w r. 1907 i nast.; o sprawach, nas obchodzących, mowa jest w obu częściach I-go tomu), dalej na kilku bardzo gruntownych artykułach w „Dictionnaire de Theologie Catholique“ (Paryż 1899 i nast.), wreszcie na dziele Duchesne: *Histoire ancienne de l'Eglise* wyd. III, Paryż 1908 t. II. Nadto tu i ówdzie zaczerpnęliśmy pewne szczegóły z innych poważnych źródeł.

się z nacjonalizmem żydowskim staczać musiał już od czasów Apostolskich Kościół Chrystusowy, była walka z gnostycyzmem, a wiemy, że wszystkie formy gnostycyzmu, przy całej swej różnorodności, były nieudanemi zresztą próbami filozoficznego ujęcia prawd chrześcijańskich. Nadto i ten wzgląd wziąć trzeba pod uwagą, że szeregi pierwszych chrześcijan tworzyli przeważnie prostaczkowie, zupełnie nie znający się na filozofji, stąd nawet powstał zarzut przeciwników chrystjanizmu, że jest on wiarą pospólstwa i nieuków. Taki zarzut znajdujemy u Celsusa, filozofa II-go wieku, z którym polemizował Orygenes. To też przez cały wiek I-y naszej ery czyli w epoce t. zw. „Ojców Apostolskich", nie spotykamy, naogół mówiąc, naukowego i filozoficznego uzasadnienia prawd wiary chrześcijańskiej, lecz jedynie proste wyłożenie tego, w co wierzyć należy, oraz jak postępować trzeba.

Jednakże już ten sam św. Paweł, przemawiając do Areopagu w Atenach (p. Dzieje Apost. 17), używa zastosowanego do słuchaczy, naukowego, pełnego erudycji i rozumowań, sposobu mówienia, i rychło w Kościele zrozumiano, że myśl ludzka nie jest wroga wierze, bo obie do prawdy prowadzą, a prawda jest tylko jedna. Dlatego już wcześnie bardzo, bo w II wieku, powstaje nauka teologiczna chrześcijańska, czyli rozumowe uzasadnienie wiary, a powstaje przedewszystkiem na Wschodzie, gdzie z jednej strony mniej się dawały wyznawcom Chrystusa odczuwać prześladowcze dekrety rzymskich cesarzy, z drugiej zaś myśl chrześcijanina-hellenisty, wychowanego w tradycjach filozofji greckiej z lubością zagłębiała się w powikłane częstokroć filozoficzno-religijne zagadnienia. Pierwsza ta teologja chrześcijańska powstała w dwóch miastach, sławnych w owych czasach, jako wielkie ogniska kultury ludzkiej, a zarazem będących od czasów Apostolskich stolicami dwóch patrjarchów, najbardziej poważanych na Wschodzie: w Aleksandrji i w Antiochji syryjskiej. Tam też powstały w II i III wieku dwie szkoły teologiczne, a jednocześnie dwa kierunki myśli teologicznej, które przez długie wieki potem trwały i bodaj że do dziś dnia jeszcze trwają. Na tle nieporozumienia między temi dwoma kierunkami zjawiła się niejedna błędna w Ko-

ściele teorja, a przedewszystkiem stąd wynikła w przeważnej mierze cała sprawa herezji Arjusza.

Najpierw, bo już w połowie II-go wieku rozwinęła się nauka teologiczna w Aleksandrji i stworzyła to, co my nazywamy szkołą teologiczną aleksandryjską.[1]) Założycielem jej, a w każdym razie pierwszym kierownikiem, był Panthenus, o którym jednak mało nas doszło wiadomości, prawdziwymi zatem jej twórcami byli dwaj zastępcy Panthenusa, genjalni mędrcy chrześcijańscy, Klemens Aleksandryjski i Orygenes, i oni to nadali szkole aleksandryjskiej ogólny jej charakter i kierunek. Nie wdając się w szczegóły, zaznaczymy jedynie, że zgodnie z ogólnym kierunkiem teologji Orygenesa szkoła aleksandryjska przejęła pojęcia i terminologję filozofji Platona, i tak, jak w wykładzie Pisma św. lubowała się nie w określaniu znaczenia dosłownego, lecz w alegorjach i przenośniach, tak też w całem uzasadnieniu wiary nie ścisłość racjonalnego myślenia, lecz raczej idealizm, poezji pełen, miała na widoku.

Przeciwnie, szkoła antiocheńska założona poźniej, bo w końcu III wieku przez S. Lucjana męczennika, odznaczała się zawsze chłodnym, ale też ścisłym i logicznym realizmem. Zamiast zagłębiać się w tajemnicze mroki prawd objawionych, jak to czynili pisarze aleksandryjscy, starali się zawsze uczeni teologowie antiocheńscy, jako to, że wymienimy tylko najgłośniejszych, św. Cyryl jerozolimski, św. Jan Chryzoston i Teodoret z Cyru, o jasność, gruntowność i ścisłość rozumowania, oraz o uzasadnienie i wykazanie, że wiara nie sprzeciwia się rozumowi. Stąd też wynika wpływ filozofji Arystotelesa na szkołę antiocheńską, oraz ten fakt bardzo ważny, że terminologję filozoficzną przejęli antiocheńczycy nie od Platona, jak to się stało w Aleksandrji, ale od Arystotelesa.[2]) Nic więc dziwnego, że między dwoma kierunkami

[1]) Mówiąc o szkole, mamy na myśli przedewszystkiem pewien określony kierunek naukowy; niemniej jednak i do Aleksandrji i do Antiochji zbierały się liczne zastępy słuchaczy, żądnych wiedzy, którzy pod okiem sławnych mistrzów kształcili się, przez co, zwłaszcza w Aleksandrji, wytworzyło się coś w rodzaju prawdziwego uniwersytetu chrześcijańskiego, opartego na pewnych przepisach i znajdującego się pod nadzorem patrjarchy, który mianował kierownika.

[2]) Jak ta terminologja była nieustalona w owych czasach, mamy na

myślowemi, zupełnie różnemi i mającemi odrębne słownictwo, które, co więcej, jednych i tych samych wyrazów używały dla wyrażenia zupełnie innych pojęć, nie mogło łatwo przyjść do porozumienia. I jeśliby nawet osobiste względy i zawiście żadnej nie odgrywały roli, w co wątpić należy, to i tak bardzo łatwo ludzie nawet dobrej woli, do jednej z tych szkół należący, mogli posądzić o fałsz i herezję przedstawicieli drugiej szkoły, którzy tę samą, co i pierwsi, głosili naukę, tylko innemi słowy. I teraz zrozumieć nam łatwiej przychodzi, że Arjusz, uczeń szkoły antiocheńskiej, mieszkając potem i działając w Aleksandrji, gdyby nawet nie był heretykiem, łatwo mógł popaść w nieporozumienie z tamtejszymi teologami.

To jest pierwsza uwaga wstępna, która nam pomoże zrozumieć istotę sporu, na Soborze Nicejskim rozstrzygniętego.

Druga rzecz, którą sobie przypomnieć musimy, są to zboczenia od wiary w tę najgłębszą i najbardziej niepojętą dla rozumu ludzkiego tajemnicę, jaką jest tajemnica Trójcy Przenajświętszej. Bóg nam o Sobie objawił, że jest jeden, co do natury, czyli istoty Swojej, ale w trzech Osobach, i my w to wierzymy i nie widzimy w tem sprzeczności bezwzględnej, bo nie jest tem samem pojęcie natury i pojęcie osoby, nie jest tem samem pojęcie mnie, że jestem wogóle człowiekiem, i pojęcie mojej osobistości ludzkiej, że jestem tym, a nie innym człowiekiem. W Bogu jest jedna natura Boska, a trzy Osoby, równe sobie, dla których określenia Objawienie podało nam imiona: Ojciec, Syn czyli słowo i Duch Święty. Tego nas uczy nasza wiara.

Lecz umysł ludzki, pragnąc zgłębić tę tajemnicę, łatwo

to dowody liczne w historji: n. p. wyraz *οὐσία* oznaczał przeważnie naturę jakiejś rzeczy, tymczasem Paweł z Somosaty, biskup Antiochji w III wieku, oznacza tym wyrazem pojęcie osoby. Wyraz *ὑπόστασις* w Azji, zgodnie z terminologją Arystotelesa oznacza tak samo naturę i w tem znaczeniu używa tego wyrazu Arjusz; po Soborze Nicejskim przeważnie oznaczają tym wyrazem osobę, podczas gdy inni, w Syrji, dla określenia pojęcia osoby używają wyrazu *πρόσωπον*. Już św. Augustyn poznał tę trudność, gdy pisał w swym traktacie o Trójcy Św. (ks. VII rozdz. 4): „Dictum est a nostris Graecis una essentia, tres substantiae; a Latinis autem, una essentia vel substantia, tres personae".

mógł popaść w dwa zboczenia: albo broniąc jedności Bóstwa, dążył do zmniejszenia różności między Osobami Boskiemi, albo też zbytnio podkreślając różnice osobowe, siłą rzeczy się skłaniał do podporządkowania jednej Osoby Boskiej drugiej Osobie. I tak się też stało: w połowie III wieku Sabelljusz starał się w Nubji rozpowszechnić naukę, że Bóg jest jeden i objawia się tylko w trojaki sposób, jako Stwórca, jako Odkupiciel i jako uświęcający dusze nasze (stąd od *modus* — sposób, nazwa herezji: modalizm). W Antiochji znowu w tym samym niemal czasie, Paweł z Samosaty uczył, że Bóg jest tylko jeden i stanowi jedną osobę, że Słowo Boże i Duch Boży nie są Bogiem, nie są odrębnemi osobami Boskiemi lecz tylko odrębnemi działaniami jednego Boga. Zatem Jezus Chrystus jest zwykłym człowiekiem, w którym jedynie zamieszkało w szczególny sposób Słowo i Duch Boga, podobnie jak przedtem mieszkało w Mojżeszu i w prorokach. Ta herezja Pawła z Samosaty, z łacińska subordynacjanizmem nazwana, tę jeszcze miała właściwość, że twórca jej nowe powprowadzał nazwy i wyrazy, a w szczególności dla określenia osoby używał słowa „οὐσία", które gdzieindziej znaczyło naturę. To też biskupi, zebrani w r. 269, czy też 270 na t. zw. III Synodzie antiocheńskim, odrzucili i potępili naukę Pawła z Samosaty i ogłosili, że Syn Boży nie jest ὁμοούσιος z Ojcem, gdy tymczasem nieco później Ojcowie pierwszego Soboru Nicejskiego określili, że Syn jest ὁμοούσιος z Ojcem. I jedni, i drudzy mieli słuszność, bo w pierwszym wypadku termin ten oznaczał jedność osoby, a w drugim jedność natury Bożej.

W świetle tych uwag i wyjaśnień przystąpić możemy już do przyjrzenia się osobie i działalności samego Arjusza. Jak wspomnieliśmy, był on uczniem szkoły antiocheńskiej, mianowicie samego św. Lucjana, jej założyciela, i posiadał w Antiochji licznych kolegów i przyjaciół, a przedewszystkiem Euzebjusza z Nikomedji, późniejszego towarzysza swoich walk z Kościołem, a wpływowego bardzo przez swe stosunki z dworem cesarskim. Urodzony w Afryce, w Libji, przybył Arjusz po skończeniu nauk do Aleksandrji i tam, już jako diakon, popadł w zatarg z władzą kościelną, mianowicie z św. Piotrem, biskupem aleksandryjskim. Po śmierci

męczeńskiej (w r. 310) św. Piotra, Arjusz przez jego następcę wyświęcony na kapłana, zaczął głosić swoje teorje, które nie łatwo ściśle powtórzyć się dadzą, gdyż herezjarcha, jak z nielicznych pozostałych po nim pism przekonać się można, zręcznie unikał ścisłego sposobu wyrażania się, chętnie używał sofizmatów i dwuznacznych słów. W ogólnym zarysie nauka Arjusza w ten sposób się przedstawia: Tylko Bóg Ojciec jest ἀγέννητος — niezrodzony, i ἄναρχος — bez początku, a zatem Syn Boży, który jest γεννητός — zrodzony, miał ἀρχήν — początek i był czas, kiedy nie istniał, przeto nie jest Bogiem, tylko stworzeniem. Z tego wynikło już podobne do tego, co głosił Paweł z Samosaty, pojęcie o Jezusie Chrystusie, jako najdoskonalszem ze stworzeń, gdyż w Nim zamieszkało Słowo Boże. Łatwo pojąć, że klucz do wyjaśnienia tej trudności znajduje się w rozróżnieniu niedość jasnego znaczenia wyrazów: „niezrodzony" i „bez początku". Nie oznaczają one absolutnie tego samego, co „niestworzony", i dlatego Syn Boży, choć był zrodzony i miał początek, nie może być nazwany stworzonym, gdyż rodzenie to przedwieczne i początek ten Syna Bożego mają inne, głębsze znaczenie, niż rodzenie się i początek stworzeń. Na tych zasadniczych podstawach oparł Arjusz całą swoją dalszą teorję, której tu bardziej szczegółowo omawiać nie widzimy potrzeby.

Jak łatwo domyśleć się można, wystąpienie Arjusza musiało wywołać burzę, zwłaszcza w Aleksandrji, gdzie nauka o jednej naturze i jednem Bóstwie Syna i przedtem i świeżo przez św. Piotra męczennika jasno określoną i stwierdzoną była. Przytem pamiętano tam jeszcze sprawę Dionizego Wielkiego, biskupa aleksandryjskiego, który w połowie III wieku, walcząc z Sabelljanami, użył mniej ścisłych wyrażeń i zdawał się Syna Bożego zaliczać do stworzeń. Wysłano wtedy skargę przeciw niemu do Rzymu do papieża, imieniem również Dionizego i ten zwoławszy synod (około 260 r.), niejasne wyrażenia biskupa aleksandryjskiego poprawił i jasno określił wiarę w bóstwo drugiej osoby Trójcy Św. [1])

[1]) Nie da się jednak zaprzeczyć, że i w Aleksandrji samej znajdował się poniekąd grunt podatny dla teoryj Arjusza o niższości Słowa

To też odrazu i energicznie wystąpił przeciw Arjuszowi ówczesny biskup Aleksandrji, Aleksander i zwoławszy synod w 320 r. teorje Arjusza potępił, a jego samego wykluczył z jedności kościelnej. Arjusz zwrócił się o pomoc do przyjaciół, a w szczególności do wspomnianego wyżej Euzebjusza z Nikomedji, który wziął się bezzwłocznie do obrony swego dawnego kolegi, i gdy Arjusz został wygnany z Aleksandrji, przyjął go u siebie. Stamtąd też rozszerzać się po kościołach Małej Azji i Syrji zaczęła herezja arjańska, i tam Arjusz napisał główne swoje dzieło: Θαλεία czyli uczta. Z drugiej strony katolicy prawowierni nie ustawali w swej działalności, biskup Aleksandrji posyłał encykliki do biskupów świata, ostrzegając ich przed herezją, słowem walka rozgorzała na całej linji.

Cesarz Konstantyn Wielki, na którego dwór przez wpływy Euzebjusza nikomedyjskiego, przedostawać się zaczęły prądy arjańskie, usiłował przywrócić pokój i usunąć walkę, która rozpoczęta na gruncie religijnym, już zaczynała przenosić się na pole polityki i zagrażać całości i pokojowi cesarstwa. Hozjusz, sławny biskup Kordoby w Hiszpanji, otrzymał w r. 324 polecenie, aby udać się do Aleksandrji i starać się załagodzić kwestje sporne.[1]) Ta misja jednak się nie udała, zaczęto więc myśleć o soborze powszechnym, jako o jedynym środku ratunku i dlatego z wiosną roku 325 zaczęli na wezwanie cesarza zjeżdżać do Nicei biskupi, przeważnie prawowierni.

II.

Najpierw zadać sobie musimy pytanie, dlaczego to cesarz zwołał ów sobór, a nie papież Sylwester I, podówczas zasiadający na Stolicy Piotrowej. Odpowiedź nie trudna: Konstantyn Wielki po wydaniu edyktu medjolańskiego i za-

---

Bożego od Boga Ojca: nie jasne i nie ścisłe wyrażenia Klemensa aleksandryjskiego i Orygenesa łatwo mogły być tłumaczone na korzyść arjańskiego pojęcia o Słowie-Demiurgu, który stoi pomiędzy Bogiem i stworzeniem.

[1]) Do tych spornych kwestyj należała przedewszystkiem, prócz sprawy Arjusza, bardzo zaprzątająca od lat wielu umysły w pierwszych wiekach chrześcijaństwa sprawa terminu obchodzenia Wielkiejnocy.

przestaniu prześladowań, siłą tego faktu musiał być uważany za naturalnego opiekuna Kościoła i nikomu ze współczesnych na myśl nie przychodziło się dziwić, że zabiera on głos w tej sprawie, która zresztą, jak wspomnieliśmy, nie posiadała charakteru wyłącznie religijnego. Zresztą znajdował się przy boku cesarza biskup Hozjusz z Kordoby, filar wiary katolickiej w walkach z arjanami i człowiek zaufania Stolicy rzymskiej. Wreszcie, choć brak na to pozytywnych dowodów, zdaje się być rzeczą pewną, że papież Sylwester, poinformowany o całej sprawie przez Aleksandra, wziął udział w akcji ratowniczej przeciw pożarowi, wywołanemu przez Arjusza. Bezwzględnie pewnem jest to, że dwaj kapłani rzymscy, Wiktor i Wincenty, jako legaci papiescy, zaraz po Hozjuszu, a przed wszystkimi innymi biskupami podpisali akta Soboru.

Największą trudnością w odtworzeniu dziejów Soboru jest brak aktów. Niewiadomo nawet, czy protokół posiedzeń był prowadzony; do nas doszły jedynie symbol wiary, dwadzieścia kanonów prawnych,[1]) list Soboru do kościołów Afryki, oraz podpisy uczestników Soboru, pozatem nic autentycznego nie posiadamy. Jedynie zatem na podstawie historyków i kronikarzy, zresztą niemal współczesnych, jak Euzebjusz z Cezarei, Sokrates, Sozomenus, Teodoret z Tyru, Rufin i Gelazjusz z Cyziku, oraz na danych, zawartych w dziełach św. Atanazego, który, jako diakon kościoła aleksandryjskiego, brał udział wraz ze swym biskupem w obradach Soboru, stworzyć sobie zdołamy obraz tego zebrania.

Otóż historja Soboru przedstawia się w świetle tych wyżej wymienionych źródeł historycznych, w sposób następujący. Od 20 maja 325 r. zaczęły odbywać się konferencje przygotowawcze, nie mające jeszcze charakteru uroczystych sessyj soborowych. Już na tych konferencjach okazały się dwa sprzeczne stronnictwa: większość znaczna była prawowierna, mniejszość z siedmnastu biskupów złożona, z Euzebjuszem nikomedyjskim na czele, mniej lub więcej otwarcie stała po stronie Arjusza. Było jednak i wielu chwiejnych,

[1]) Autentycznych: przechowało się bowiem w tekście arabskim jeszcze 80, czy nawet 84 kanony nicejskie, ale tych autentyczność jest bardzo wątpliwa.

jako to przedewszystkiem sławny historyk Kościoła, Euzebjusz z Cezarei, który i podczas Soboru, i potem, chwiał się i był nie zdecydowany w swych opinjach. Brał też udział w Soborze i Arjusz wraz z kilku stronnikami swymi, oraz pewna liczba świeckich chrześcijan, nawet filozofów pogańskich, którzy też zabierali niekiedy głos w rozprawach. Na tych zebraniach wstępnych omawiać zaczęto kwestje sporne, ale dopiero po przybyciu cesarza i po otwarciu przezeń w połowie czerwca Soboru rozpoczęły się walne rozprawy. Prezydowali, jak wspomnieliśmy, Hozjusz i dwaj legaci rzymscy, cesarz zaś piastował jak gdyby prezydjum honorowe.

Rozprawy zaczęły się od ożywionych i licznych oskarżań się wzajemnych, których sobie nie skąpiły obydwa obozy. Cesarz starał się pogodzić i uspokoić umysły i przemawiał stale w kierunku łagodzenia przeciwieństw. Niestety w kronikach ówczesnych brak bliższych sprawozdań ze sporów i dyskusyj dogmatycznych, i dlatego trudno nam wyrobić sobie zdanie pewne o wartości teologicznej tych rozpraw. Parę tylko zachowało się szczegółów o poszczególnych biskupach, biorących, udział w Soborze.[1]) Co do sprawy Arjusza, to stronnicy jego, widząc, że większość Ojców Soboru wyraźnie potępia jego teorję i odrzuca używane przezeń określenie, zaczęli atakować wyrażenie ὁμοούσιος — współistotny, użyte przez prawowiernych, najprawdopodobniej z inicjatywy Hozjusza, dla określenia stosunku między Bogiem Ojcem i Synem Bożym. Twierdzili bowiem, że wyrażenia tego niema w Piśmie św.

Na usprawiedliwienie ich częściowe przypomnijmy sobie fakt (p. wyżej), że Paweł z Samosaty wyraz οὐσία używał dla określenia osoby, stąd *homouzjos* zdawał się brzmieć w uszach biskupów syryjskich, jako wyrażenie pojęcia, że Ojciec i Syn stanowią jedną osobę. Ale ten fakt usprawiedliwia ich tylko częściowo, z całego bowiem przebiegu dyskusji okazuje się jawnie, że strona prawowierna szczerze dążyła do zgody i do zwycięstwa prawdy, arjanie zaś, albo jak ich nazywano (od imienia Euzebjusza z Nikomedji) „euzebjanie" szukali obrony w sofistycznych wykrętach.

[1]) Do tych należy przedewszystkiem sławny ze świętości i cudów biskup z Cypru, św. Spirydjon.

Ostatecznie Euzebjusz z Cezarei przedstawił symbol wiary, bardzo podobny do tego, który potem został uchwalony, ale bez spornego słowa *homouzjos*. Ojcowie soboru zgodzili się przyjąć ten symbol za podstawę, ale poczynili w nim uzupełnienia i zmiany, a przedewszystkiem umieścili wyraz *homouzjos*. Cesarz całym swym wpływem poparł użycie w symbolu tego wyrażenia *homouzjos* i wtedy odstąpiła od Arjusza znaczna część jego zwolenników. To też wreszcie po długich rozprawach Hermogenes, późniejszy biskup Cezarei w Kappadocji, a wówczas sekretarz Soboru, odczytał (daty ścisłej niestety nie znamy) owo sławne później przez wieki wyznanie wiary nicejskie:

„Wierzymy w jednego Boga, Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela wszystkich rzeczy niewidzialnych. I w jednego Pana, Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, z Ojca narodzonego, Jednorodzonego, to jest, z natury Ojca; Boga z Boga, Światłość z Światłości, Boga prawdziwego z Boga prawdziwego; narodzonego, nie uczynionego, współistotnego (ὁμοούσιον) Ojcu, przez którego (Syna) wszystko się stało, i co w niebie jest i co na ziemi, który dla nas ludzi i dla naszego zbawienia zstąpił, i wcielił się, i stał się człowiekiem. Poniósł mękę i zmartwychwstał trzeciego dnia; i wstąpił na niebiosa; i znowu przyjdzie sądzić żywych i umarłych. I w Ducha Świętego (wierzymy). Tych zaś, którzy mówią: był niegdyś (czas), kiedy Go nie było, i zanim się narodził, nie był, i że uczyniony jest z tego, czego przedtem nie było (to zn. stworzony), albo że jest z innej substancji lub natury (niż Boża) mówią, albo że jest stworzonym, albo podlegającym zmianom i przeobrażeniom Synem Bożym — (tych wszystkich) wyklina Kościół katolicki i apostolski".

Wszyscy biskupi obecni, z wyjątkiem jedynie dwóch Teonasa z Marmaryki i Sekunda z Plotomaidy, podpisali to wyznanie wiary, i ta lista podpisów doszła do naszych czasów. Jak już mówiliśmy, pierwsi podpisali ją Hozjusz z Kordoby i dwaj legaci papiescy. Kilku biskupów, a przedewszystkiem Euzebjusz z Nikomedji, uczynili to nieszczerze, bojąc się klątwy, którą Sobór obłożył Arjusza i dwóch biskupów wyżej wspomnianych, oraz wygnania, którem cesarz zagroził opornym. I rzeczywiście Arjusz, Teonas i Sekundus

zostali skazani na wygnanie, a pisma Arjusza rozkazano spalić i zniszczyć. Wkrótce potem i Euzebjusz nikomedyjski został złożony ze swej stolicy biskupiej i wygnany, słowem, zwycięstwo prawdy nad herezją zdawało się być zupełne i najważniejsze zadanie Soboru było spełnione.

III.

Pozostawały jeszcze inne sprawy do załatwienia, a przedewszystkiem sprawa terminu obchodzenia święta Wielkiejnocy. Spór o ten termin rozgorzał już dawno, w II jeszcze wieku pomiędzy Kościołami w Azji, które na wzór żydowski obchodziły Wielkanoc zawsze dnia 14 pierwszego miesiąca wiosennego żydów, zwanego Nizan, a Rzymem i innemi krajami, które nie trzymały się dnia miesiąca, lecz dnia tygodnia i święto Zmartwychwstania obchodziły stale w niedzielę. Jak pamiętamy, doszło nawet do tego, że papież Wiktor I. (189—198) zerwał na pewien czas łączność z kościołami Azji. Później ten spór złagodniał, ale niejasność przepisów co do obchodzenia Wielkiejnocy pozostawała i dlatego Sobór nicejski zabrał się do załatwienia tej kwestji. Trudność powiększało jeszcze to, że wchodziły w rachubę obliczania czasu Wielkanocy kombinacje astronomiczne, dotyczące terminu porównania dnia z nocą wiosennego; nadto chciano, aby Wielkanoc chrześcijańska kiedyindziej była obchodzona, niż pascha żydowska, wreszcie należało ustalić jeden termin dla całego Kościoła katolickiego. Zgodzono się jednomyślnie na przyjęcie terminu rzymskiego, czyli aby Wielkanoc obchodzić w niedzielę, przypadającą po 14 dniu pierwszego miesiąca wiosennego i po pełni księżyca i w ten sposób sprawa ta została załatwiona. [1])

Następną sprawą, załatwioną przez Sobór nicejski, była schizma Melecjusza, biskupa Likopolis w Egipcie, który w początku IV w. powyświęcał kapłanów w innych diecezjach, bez zgody miejscowych biskupów i wszedł w spór z ówczesnymi biskupami Aleksandrji, św. Piotrem męczen-

[1]) Nie wszystkie wszakże trudności zostały usunięte, ponieważ Rzym i Aleksandrja nie zgadzały się ściśle z sobą w obliczeniach kalendarzowych, tak że jeszcze w wiekach następnych, aż do czasów Djonizego Małego (w. VI) trwały spory o termin Wielkanocy.

nikiem i Aleksandrem na tle karności pokutnej. Melecjusz był nieubłaganym rygorystą i nie przyjmował pokuty tych, którzy raz odpadali od wiary w czasie prześladowań. Sobór sprawę postarał się załagodzić, uznał święcenia przez Melecjusza dokonane, za ważne, jego zaś samego zasuspendował, to zn. zachował mu jedynie tytuł biskupa, ale zabronił spełniania jakichkolwiek czynności pasterskich.[1])

Poza tem Sobór pozałatwiał kilka spraw mniejszej wagi, określił warunki przyjęcia do jedności kościelnej zwolenników paru nielicznych sekt, jak Nowacjanie i Pauliniści (wyznający teorje Pawła z Samosaty). Nadto wydał szereg zarządzeń, dotyczących karności kościelnej, jako to: o pokucie, o przeszkodach do święceń (t. zw. dziś w prawie kanonicznem irregularitates), o mianowaniu biskupów, o przynależności kleru do diecezji i t. p. Szczególną uwagę zwróćmy tu na kanon VI, który zapewnia biskupowi Aleksandrji władzę patrjarchy nad kościołami Egiptu, podobną do tej, jaką ma biskup Rzymu, oraz potwierdza istniejące prawa patrjarchy antiocheńskiego i innych metropolitów nad biskupami swoich prowincyj kościelnych. Wreszcie omawiana była na Soborze sprawa celibatu kleru, ale za i przeciw okazały się poważne głosy i ostatecznie nie doszło do wydania żadnych zarządzeń.

Przedmiot obrad był wyczerpany. Cesarz Konstantyn, z racji dwudziestolecia swych rządów właśnie przypadającego, wydał wspaniałą ucztę, na którą byli zaproszeni uczestnicy Soboru, i wkrótce potem w końcu lata 325 r. odbyło się ostatnie posiedzenie, na którem cesarz zalecił biskupom, by starali się szerzyć pokój wśród wiernych. Z tego też czasu pochodzi zapewne list, rodzaj encykliki, jaką Sobór wydał do biskupów Afryki, zawiadamiający o załatwieniu spraw Arjusza, Melecjusza i terminu Wielkanocy. W ten sposób zakończył się ów pierwszy przesławny Sobór powszechny Kościoła Chrystusowego.

* * *

[1]) W następstwie pokazały się złe skutki tej łagodności Soboru w stosunku do Melecjusza, który później połączył się z Arjanami i w ten sposób stał się powodem tych walk religijnych, których widownią była Aleksandrja za czasów św. Atanazego.

Zwycięstwo nad Arjanami przyszło zbyt łatwo i bez przeszkód, aby mogło być zupełnem i ostatecznem. Nie została usunięta ani zła wola przywódców herezji, ani przekonane całkowicie umysły zwolenników szkoły antiocheńskiej, którzy raczej byli zmuszeni do podpisania wiary nicejskiej, niż przekonani. Toteż wkrótce po Soborze rozgorzała walka na nowo, a gdy jeszcze niektórzy przedstawiciele partji prawowiernej, jak Marceli z Ancyry, popadli, zwalczając arjanizm, w przeciwną skrajność i powtórzyli błędy sabellińskie, wielu biskupów nawet dobrej woli, wypowiadać się zaczęło przeciw Soborowi nicejskiemu i wyrazowi *homouzjos.* W ten sposób mnożyły się zastępy t. zw. „Pół-arjanów", którzy zbierali się na liczne Synody i nowe formuły wiary uchwalali, mniej lub więcej różniące się od nicejskiej.

Następca Aleksandra na stolicy aleksandryjskiej, sławny Doktór Kościoła, św. Atanazy Wielki, kilkakrotnie wypędzany był z Aleksandrji i znów do niej wracał, stale i nieustraszenie walcząc o uznanie Bóstwa Chrystusowego. Po śmierci Konstantyna Wielkiego (337) wkrótce dwór cesarski na Wschodzie, w osobie Konstansa, całą potęgę swojej władzy politycznej oddał na usługi herezji. W połowie IV wieku herezja Arjusza szerzyć się zaczęła na Zachodzie i doszło do tego, że papież Liberjusz (352—366) choć zresztą bronić się starał biskupów prawowiernych przed prześladowaniami ze strony arjanów, uległ przemocy i podpisał formułę wiary, t. zn. III syrmijską (uchwaloną na III synodzie syrmijskim 358 r.), w której wprawdzie nic przeciwnego wierze katolickiej się nie znajduje, ale opuszczono znienawidzony wyraz *homouzjos.* [1])

Dopiero po śmierci Konstansa (w 361 r.) herezja, która już przedtem zresztą, jak to zwykle bywa z sektami religij-

[1]) Na usprawiedliwienie papieża Liberjusza to powiedzieć należy, że symbol wiary, przezeń podpisany, był powtórzeniem symbolu przedtem uchwalonego na synodzie antiocheńskim 341 r. zwanym *in encaeniis* a na tym synodzie większość biskupów zebranych należała do partji prawowiernej. Nadto III syrmijskie wyznanie wiary zawierało wyraźnie zastrzeżenie, że Syn Boży jest we wszystkiem podobny do Ojca, nawet co do natury swojej. Dlatego można oskarżać tego papieża o brak dostatecznego męstwa, ale niepodobna z punktu widzenia historycznego posądzać go o zbłądzenie w wierze.

nemi, zaczęła się dzielić na stronnictwa, słabnie powoli. Pisma i działalność Ojców Kościoła IV wieku, św. Atanazego przedewszystkiem, następnie trzech Ojców z Kappadocji: Bazylego, Grzegorza z Nazjanzu i Grzegorza z Nyssy, św. Hilarego z Poitiers na Zachodzie i innych dokonała reszty: arjanizm chylić się zaczął ku upadkowi i jak szybko przedtem objął cały niemal świat chrześcijański, tak też prędko zamienił się w nieznaczną sektę, ustępując miejsca innym dogmatycznym zagadnieniom. [1])

Wprawdzie Kościół katolicki poszedł po linji szkoły antiocheńskiej, która wydała Arjusza o tyle, że zamiast nieuchwytnych dociekań Aleksandryjczyków, oparł swą teologję w przeważnej mierze na realnej i ściśle logicznej filozofji Arystotelesa, na podstawie której wielcy scholastycy średniowiecza wznieśli cały wspaniały gmach rozumowego uzasadnienia wiary. Ale przez wszystkie wieki swego istnienia przeciwstawiał się i po dziś dzień się przeciwstawia rozmaitym racjonalistycznym umysłom typu Arjusza, którzy siłami własnemi chcieliby nie tylko wyjaśnić, ale zgłębić tajemnice wiary i przez to w najróżnorodniejsze popadają błędy. Tym wszystkim pysznym rozumom ludzkim stawia Kościół przed oczy prawdę, ogłoszoną światu przez Sobór I Nicejski, która po tylu walkach i przewrotach, zatriumfowała ostatecznie, niosąc ludziom wiarę, że Jezus Chrystus jest wcielonym Bogiem, że zatem dokądkolwiek nas wiedzie iść trzeba za Nim. I my, patrząc dziś z oddali na te walki i ścierania się różnych prądów myśli ludzkiej, z podziwem uznać musimy Opatrzność, która uchroniła od błędów Kościół Chrystusowy. Ci ludzie, którzy przed szesnastu wiekami staczali długie i zawzięte spory, czynili to w przeważnej mierze nie dla zysku, ani dla widoków osobistych, ale kierowani pobudką wyższą, jaknajdoskonalszego poznania i zgłębienia prawdy. Dziś ludzie mniej są czuli na punkcie objektywnej prawdy, raczej powtarzają za Piłatem sceptycznie: „Co jest prawda?“ i odchodzą, nie czekając na odpowiedź. Możeby przydało

---

[1]) Najpierw kwestji Bóstwa Ducha Świętego, a potem w V wieku trudności wynikającej z połączenia Boskiej i ludzkiej natury w jednej osobie Jezusa Chrystusa.

się zatem i nam, wpatrzonym przez tę chwilę w tamte dawnych doktorów i teologów wschodnich postacie, przejąć się bardziej ukochaniem prawdy i pragnieniem zgłębienia jej, jakiem odznaczali się tamci i przypomnieć sobie słowa Zbawiciela, że „Prawda nas wyswobodzi" (Jan 8, 32).

Ks. H. Cichowski.

Literatura i prasa.

Zastanawiającym jest obecnie stosunek prasy do literatury. Jest to stosunek antagonizmu. Z niemniejszą odpornością zresztą zachowuje się wobec literatury teatr, sztuki plastyczne, kino. Czysta teatralność, czysta plastyka, czysta kinematograficzność...

I „czyste" dziennikarstwo.

W tem oczyszczaniu z literatury tkwi symptom bardzo znamienny. Literatura zawiera w sobie (o ile jest realizmem *à outrance)* pierwiastki pięcia się w górę. Idealizowania życia, kondensowania drobin piękna w kształt artystyczny, zapowiedzi nowych, wyższych form.

Przed wojną, kiedy w narodzie tkwiła tęsknota do wyzwolenia, wcielona w literaturę-budzicielkę, kiedy związane społeczeństwo nie mogło się wyżyć inaczej, jak w dziedzinie wyobraźni, literatura zajmowała więcej miejsca w prasie. Każda nowa książka Wyspiańskiego lub Żeromskiego była zdarzeniem. W przeciągu paru dni po wyjściu z druku ukazywały się o niej recenzje. O książkach pomniejszych pisarzy informowano sumiennie. Nawet z dziennika można było dowiedzieć się tyle o literaturze, że się było dokładnie poinformowanym o bieżącym ruchu literackim.

Obecnie istnieją dzienniki (nawet w stolicy, nie mówiąc o prasie prowincjonalnej), które wogóle literaturą się nie zajmują. Powstał nowy typ dziennikarzy, przystosowany do nowego typu czytelnika.

Koła czytelników olbrzymio się rozszerzyły przez dwa pierwiastki społeczne: ludowy i paskarski.

Nowobogaccy wnieśli do społeczeństwa całą płytkość

niższych, zmaterjalizowanych istot, nie starających się w poczuciu swej przewagi nawet maskować chamstwa i brutalności. Wszechwładna zasada „kasowości" kazała obniżyć dla nich teatr, książkę, prasę perjodyczną. Grube nerwy potrzebują grubych podniet. I oto zapanowuje wszechwładna sensacja. Wstrętna, cielesna, krzycząca jak przekupka na targu, przecząca etyce, o estetyce iście „fryzjerskiej".

Na lep niezdrowej, krwawej, romansowej i zbrodniczej sensacji najłatwiej złapać półinteligenta i robotnika, który pozostał w swej sferze, ale jest „równy" inteligencji i ma już aspiracje umysłowe. O ile w stosunku do „nuworisza" prasa spełnia tylko akt własnego upodlenia, bo w nim już nawet sensacyjna prasa niema nic do popsucia, o tyle w stosunku do warstw niedokształconych spełnia ona cyniczną, ohydną zbrodnię. Równie okropną, jak gwałcenie małoletnich.

Fale ludzi, wychodzących wciąż na brzeg kultury z odmętu analfabetyzmu, zawierają w sobie niezużytą, świeżą receptywność i dużo naiwności. Im można jeszcze zaimponować, ich można jeszcze poprowadzić. Nie ich wina, że agitatorzy polityczni i prasa uczą ich wszędoplujstwa i cynizmu.

I wobec tych młodszych duchowo i umysłowo bezbronnych ludzi uprawia się rozbój bezkarny. Obrabowuje się ich z wartości cywilizacyjnych.

Wyobraźmy sobie dziecko, które oznajmia: — A ja chcę pokazywać język i mówić brzydkie wyrazy! — A wychowawca gładzi je po główce: — Użyj sobie, dziecko kochane, użyj!

To jest stanowisko różnych ilustrowanych i nieilustrowanych ekspresów i innych pism, które z cyniczną dumą ogłaszają, że nie mają większej ambicji, jak zadowolnić gusta szoferów i że nieudanym jest numer, w którym niema trzech ciężkich zabójstw, czterech kradzieży z włamaniem i sześciu śmiertelnych lub perwersyjnych romansów.

Oczywiście pismo takie jest najlepszą szkołą zbrodni i przestępstw seksualnych. Słuchanie śpiewaka lub mówcy wyzwala w człowieku zdolności głosowe i retoryczne. Patrzenie na obrazy rozwija oko. Obracanie się wśród zbro-

dni i erotomanji, ciągłe wczytywanie się w ich opisy miałożby zalążków złego nie rozwijać?

Prasa stała się ową „Tyfusową damą", którą opisuje Hans Heinz Ewers. Stała się uprawnionym rozsadnikiem zarazków moralnych.

Niedawno jeden z poważnych dzienników, który sam zamierzał przeprowadzić sanację prasy, umieścił apoteozę metod dziennikarstwa francuskiego, określoną z niebywałym entuzjazmem przez swego korespondenta paryskiego.

Jesteśmy we wszystkiem zbytnimi entuzjastami, wieczna „pawiość i papuziość" nie pozwala nam krytycznie brać obcej, imponującej nam kultury. Kiedy lewica zachłystuje się zachwytem dla Rosji bolszewickiej, a „Skamander" drukuje Jesienina i Majakowskiego, zaś rodzona jego siostra, „Wiadomości literackie", komunikuje nam wiadomości poufne o pisarzach rosyjskich, których szeroki ogół polski nie zna nawet z nazwiska, — prawica czci pokłonem wszystko, co jest *made in France.*

Lotny genjusz francuski, nie od dziś wlecze na swych skrzydłach jaskrawe, zabłocone płachty. Obok Pascal'ów nie brakowało nigdy Rabelais'ch. Tylko nam dawano zawsze raczej Rachilde'ę niż Claudel'a. Z Francji w ostatnich czasach bierzemy okropne metody dziennikarskie i okropny trójkątowy i erotomański repertuar teatralny. Bo tu znowu rozstrzyga „czyste dziennikarstwo" i „czysta teatralność".

I we Francji biją źródła czyste i niezatrute — wszakże to kraj, w którym w naszych czasach kanonizowano św. Teresę od Dzieciątka Jezus. Jest i tam łaska duchowa i świeże powietrze. Tylko brak tych, którzyby, jak drut elektryczny, umieli je przenosić.

Grając na najgorszych instynktach ludzkich, dzienniki prowadzą dział „wiadomości bieżących". I ten jest uważany za tak ważny, że można wyrzucić nawet mniej aktualny artykuł polityczny nie mówiąc o wierszu, odezwie społecznej i t. d., byleby tylko został wydrukowany opis bójki lub przejechanie dorożką z wypadnięciem wnętrzności.

Dużo się gada o postępie. Ale jeżeli przejrzymy dawniejsze gazety i porównamy z obecnemi, porównanie wypadnie stanowczo na korzyść tych pierwszych. Tam często-

kroć nie było wcale „wiadomości bieżących", owego działu, który jest hańbą współczesności. I o ileż mniej rzeczy płytkich, głupich, błahych, nikczemnych, napełniających niesmakiem i obrzydzeniem!

Od „wiadomości bieżących" ze względów konkurencyjnych nie mogą się otrząsnąć najpoważniejsze, całkiem szanowne dzienniki. Ponieważ słowo poważne mało wpływa na zawodowych rycerzy persiflażu, jakim są przeważnie dziennikarze, mający zamiast sumienia węch sensacji i zawodowo zwalczający względy etyczne i głębię intelektualną, wdzięczne zadanie mieliby moraliści, którzyby działali przy pomocy karykatury. Byłoby to niesłychanie łatwe! wystarczyłoby tylko trochę zgęścić typowe cechy i działy współczesnego dziennika.

Zatrważającem jest, że niższej prasy sensacyjnej nie wstydzą się już czytać nie tylko ubożuchni umysłem, lecz i inteligenci. Widzi się nieraz takie płachty w rękach oficera, akademika i t. d. Jest to objaw lenistwa umysłowego. Czyta się dla wytchnienia, nie analizując wcale, że trzymanie w ręku takiego dziennika kompromituje, jako *testimonium paupertatis.* Nikt nie zastrzykuje sobie publicznie opjum lub kokainy. Tymczasem nie razi nikogo zastrzykanie sobie publicznie dawki chorobliwej sensacji.

Tak dużo wciąż się pisze i mówi o ekonomji środków i sił w społeczeństwie. Trzeba obliczyć tylko, ile to jest środków i sił wdeptanych w błoto — to drukowanie trocin i trucizn! Ile zamiast tego można byłoby wydrukować dobrych książek, myśli ładnych i pożytecznych, któreby wstrząsnęły ludźmi i przyspieszyły duchowe odrodzenie narodu.

Działalność dziennikarska bez odpowiedzialności i myśli przewodniej, służąca interesom a nie ideom, jest wytworem powojennym. Pamiętam rozmowę między dziennikarzem nowego pokolenia, piejącym triumfalnie dytyramb na cześć aktualności i sensacji z refrenem: *à bas la littérature!* — i starym dziennikarzem, który kiwał ze smutkiem głową: — Mój Boże, za moich czasów myśmy wierzyli w posłannictwo!

Niewątpliwie dział „wiadomości bieżących" zostanie usunięty z prasy. Jak prędko? Zależy to od tego, jak prędko

społeczeństwo się opamięta i spoważnieje. Wypadki i zbrodnie powinny być notowane. Odnośna statystyka może nawet trafić do rąk dziennikarza-socjologa i posłużyć mu do interesujących refleksyj i uogólnień o życiu współczesnem. Ale zaraza rozsmarowywania po szpaltach krwi, trupiego zapachu i szaleństwa płciowego musi ustać. Tylko nikomu jeszcze nie przyszło do głowy szukać surowicy na tę epidemję.

Roznamiętnienie polityczne jest drugą chorobą dziennikarstwa. Każdy wierzący katolik spowiada się z obmowy i potwarzania bliźniego. Ale dziennik uważający się za chrześcijański praktykuje te procedery bez drgnienia pióra. Papier jest tak cierpliwy... Ale czy Chrystus, wypędzający biczem kupczących ze świątyni — też?

August Cieszkowski pisał o schrześcijanieniu polityki! Miał na względzie głównie stosunki międzynarodowe. Stoimy jeszcze na tak niskim stopniu rozwoju, że moralność społecznie obowiązująca jeszcze jest praktykowana tylko przez jednostki, nie przez grupy.

Dlatego widzimy cały szereg napaści partyjnych na jednostki, ustających z chwilą, gdy jednostki te stają się „naszemi". Dlatego widzimy w prasie wyrafinowany system oszczerstw, deprecjonowania i ośmieszania jednostek, które widokom partyjnym stoją na zawadzie.

I nie tylko względy partyjne, przez które robiło się z zacnych obywateli zdrajców, szubrawców i kretynów. Jakieś osobiste, koteryjne powody wpływają w ten sposób, że o żadnej rzeczy w dzienniku nie wypowiada się zdania zgodnego z rzeczywistością. Każda opinja opiera się na całej zawiłej maszynerji przesłanek i kombinacyj. Autor odmiennego kierunku napisał dobrą książkę — ale nie można go pochwalić, bo jest z innego obozu politycznego. Dramatopisarz zblamował się raz sztuką tendencyjną — już żadna inna jego sztuka nie znajdzie sprawiedliwej oceny w dzienniku przeciwnego kierunku. Autor napisał jeden rażący wiersz lub artykuł — można go za to potępić, zachowywać zawsze ostrożność w stosunku do niego, ale nie można mu za to ryczałtem odmówić talentu i nie uznać rzeczy wartościowych w innych utworach.

Albowiem postępując w ten sposób zatracamy kryterja. Publiczność nie wierzy żadnej z ocen i mozoli się nad wytłómaczeniem sobie, z jakich powodów sąd dziennika wypadł tak, a nie inaczej. W tym stanie chronicznego załgania się nie może być mowy o kierowaniu opinją publiczną.

Publiczność jest tem zmęczona. Nie stołeczna zdeprawowana publiczność, która sama bierze udział w boksie politycznym i kopaniu wszelkich piłek, rzucanych na teren walki przez prasę. Ale publiczność na prowincji, zupełnie już nie rozumiejąca i zderutowana. Choć jeden uczciwy organ! Żeby wiedzieć, że tam napisano naprawdę tak, jak jest — podług istoty rzeczy i sumienia.

Z konieczności życiowej wynika, że przy rządach parlamentarnych, kiedy dochodzą do władzy przedstawiciele to tej, to innej warstwy narodu, pozostałe warstwy muszą zaciekle bronić swych interesów. Bo każda z warstw ma jednakowe prawo do życia, aczkolwiek współczesny demokratyzm tego prawa niektórym warstwom odmawia. Obok obrony własnych interesów każda klasa powinna nie spuszczać z oka interesu ogólno-narodowego. Ten punkt szwankuje w prasie. Egoistyczny interes klasowy, kwestja własnej skóry przesłania nieraz zrozumienie interesu całości.

Rząd nieparlamentarny, ponadklasowy miałby tę dobrą stronę, że ciągłą dynamikę, ciągłe przesuwanie się i walkę sił w państwie zastąpiłby pewną statyką, choćby czasową. Pewność, że potrzeby wszystkich warstw w państwie są jednakowo uwzględniane i że jedna klasa, uzyskawszy chwilową przewagę, nie czyha na zgubę drugiej, uspokoiłaby rozdrażnienie, zaognienie i zdenerwowanie, jakiemi ogarnięte jest nasze życie społeczne.

Zyskuje w chwilowem ustosunkowaniu sił to jedna, to druga warstwa — a ileż w ostatecznym wyniku wszyscy tracą?

Wiara w kryterja — oto czego brak prasie! Wrócić wiarę w ogólnie-obowiązujące kryterja! Przerwać trans załgania się! Zabronić coraz cyniczniejszego obniżania poziomu idei, topienia ich w brudnej aktualności!

Narodowi potrzebna jest jakaś więź. Więź ideowa, nie tylko łączność w businessie państwowym i międzynarodo-

wym. Dawniej więzią taka była wspólna wiara. Skarga (w kazaniu czwartem i piątem sejmowem) kładł nacisk na potrzebę jednej wiary, która odśrodkowe żywioły narodu może skupić w całość organiczną. Wielkie kryterja chrześcijańskie, które dadzą się zastosować zarówno do czynów pojedynczych, jak i społecznych odrazu odwiałyby mnóstwo plew i przywróciły dostojność prasie.

Ale tu natrafiamy na najgorszy sęk. Prawie wszystkie stronnictwa w Polsce, z wyjątkiem najskrajniejszych „konfederują się przy religji katolickiej". W wielu programach z gorliwością podkreślono, że stoi się na gruncie katolickim.

A wykonanie? Otóż prawie niema organów katolickich, w którychby pracowali wierzący katolicy. Ludzie grupują się tylko podług klucza partyjnego. I dlatego spotykamy się z takiemi faktami, że w jednym organie narodowym nagle atakują religję chrześcijańską, jako sprzeciwiającą się ideałom nietzscheańskiego nadczłowieczeństwa, w drugim — nagle chwalą heretycki miesięcznik religijno-filozoficzny i zaczynają okropnie reklamować wszystkie utwory grupy notorycznie masońskiej, w trzecim — entuzjazmują się sztuką, w której główną rolę odgrywa — łóżko, zaś celem jej jest obalenie pojęć monogamicznych.

Widzimy stąd, że redakcje są obsadzane przez ludzi ideowo im nie odpowiadających. Niestety, dotąd „prawdziwy", „fachowy" dziennikarz uważa, że może pracować w każdym dzienniku, niezależnie od kierunku. Traktuje tę rzecz tylko zarobkowo. Mogą oczywiście tak stawiać kwestję ci, co robią wiadomości bieżące, łamią numer lub przyjmują depesze, opatrując je podtytulikami. Ale publicysta może dobrze służyć czasopismu tylko wtedy, gdy ta sama krew ideowa płynie w nim i w dzienniku. Inaczej pierwej czy później wpadnie w konflikt ze swym organem i będzie musiał zrewidować, czy istotnie założenia pisma są jego założeniami?

Z tego, że tak trudno jest skompletować ludzi jednogatunkowych w redakcji, wynikałoby, że nadprodukcji dziennikarzy u nas niema. Tak jest w rzeczy samej. Bo gdy byle wykolejeniec na przeczekanie bierze się do dziennikarstwa, nie znaczy to, że staje się naprawdę dziennikarzem. Jest dyletantem i „robi w dziennikarstwie", jak „w stali" lub „w cu-

krze". Że brak naszym dziennikarzom fachowości, widać to choćby z niskiego poziomu naszego reportażu. Prasa nasza choruje na chroniczne spóźnianie się (brak sprężystości u reporterów). Prócz tego, mnóstwo informacyj o różnych dziedzinach życia podawanych jest bez znajomości rzeczy. Jeden z najwybitniejszych dziennikarzy lewicy stwierdził, że prawdziwy dziennikarz musi umieć pisać o wszystkiem, począwszy od recenzyj teatralnych, kończąc na artykułach wstępnych. To też biedne bywa i jedno, i drugie — a już zwłaszcza recenzje teatralne!

Dzięki Bogu, zaczyna się ustalać zasada specjalizacji działów i typ dziennikarzy piszących o wszystkiem zanika stopniowo.

Na tle tych stosunków zrozumiałym się staje antagonizm dziennikarza i literata. Dziennikarz *für Alles* traktuje z pełną pogardy wyższością literata, który ma idee i chce publiczność ciągnąć w górę, gdy dziennikarz ma kombinacje i chce publiczność ciągnąć w dół.

Albo też tylko do niej się przystosować, co na jedno wychodzi.

Stąd miejsce najgorszego kopciuszka, jakie wyznaczono literaturze w prasie. Teatr zawierający tak wiele pierwiastków sensacyjno-emocjonalnych (zwłaszcza współczesny teatr) jest pobłażliwiej traktowany przez dziennikarzy. Istnieją teraz pisma, gdzie zupełnie się nie umieszcza recenzyj o książkach, ani artykułów literackich. Są takie gdzie pisze się tylko o książkach najsensacyjniejszych.

Prócz tego, obowiązek informacji, obowiązek dziennikarza nie istnieje wcale w stosunku do literatury. Nie informuje się wcale o ruchu zagranicznym. Zdarzają się luźne notatki reporterskie o śmierci A. France'a, o skandalu z „La garçonne" Margueritte'a i t. d. Zdarzają się korespondencje o wystawach paryskich. Ale poważnej, systematycznej informacji niema.

Fejletonowość zatapia wszystko. Prócz tego, niektóre kierunki i autorzy są wyłączeni od wzmianek. System ochronny, dający najgorsze skutki. Nasamprzód odbywa się to kosztem naszej kultury — można coś odczuwać, ale Europejczyka obowiązuje wiedza o współczesnych kierunkach

umysłowych. Powtóre nie ochrania to od informowania się z innych źródeł — i to informowania się bez przewodnika krytycznego.

Literaturę odsyłają do tygodników i miesięczników. Tymczasem tygodniki tracą coraz bardziej swój charakter poważny. Weźmijmy numer którego ze starszych naszych tygodników z okresu symbolizmu i teraz. Różnica rażąca. Aktualność życia czynnego, zawsze płytka i beztreściwa, zwyciężyła aktualność życia umysłowego. Tygodnik przetwarza się w ilustrację z tekstem coraz lżejszym, aż zamieni się całkowicie w nieważnik.

Miesięczniki nasze w stosunku do literatury to często *bric-à-brac* bez linji wytkniętej.

Nie w płynnym materjale aktualności, lecz w skupieniu większych dzieł twórczych wykluwają się idee przewodnie życia i wykuwa się nowa uczuciowość. Zepchnięcie literatury ze wszystkich stanowisk pociągnęło za sobą niesłychane zubożenie życia duchowego i wyschnięcie wielu jego źródeł.

Śmiesznem byłoby, gdyby nauczyciele wobec uczniów zamieniali się w ich lokajów. Jednakże dziennikarze nie zawahali się w ten sposób zamienić swe role wobec publiczności. Zamiast zmuszać nawet pół-inteligentów robić wysiłki umysłowe i dociągać się do wyższego poziomu, zniżają się do nich.

Nie chodzi tu o formę. Można ją nawet uprzystępnić i spopularyzować w dziennikach przeznaczonych dla mas, ale nie obniżyć lotu, nie obniżyć atmosfery duchowej.

Prowodyrom stronnictw, gdy zaczynają wydawać dziennik lub tygodnik, nie przychodzi do głowy, że prowadząc go na wyższym poziomie, skrzyknie się do pracy ludzi o wyższej duchowości i silniejszej władzy suggestyjnej. Prowadząc go dla ubogich duchem, takich tylko się pociągnie.

Sanacja prasy w chwili obecnej może wyjść tylko ze sfer katolickich (sferą katolicką nie nazywa się dziennik, mający w nagłówku hasło katolicyzmu, a robiony przez notorycznych ateuszy). Wierni nawet tam, gdzie się nie dąży do zadań czysto-religijnych, wniosą do pracy etykę i ciche jarzenie wieczności, niedostrzegalne, lecz dające się wyczuwać.

Byłoby w najwyższym stopniu wskazanem, żeby np. przy uniwersytecie lubelskim albo przy jednej z organizacyj katolickich (np. Tow. im. Piotra Skargi) urządzono kursa dla dziennikarzy. Mogliby pracować potem w czasopismach różnych kierunków politycznych, ale wszędzie wnieśliby czystość intencji, uczciwość umysłową, poczucie odpowiedzialności wobec społeczeństwa i jego przeszłości.

W odrodzonej prasie literatura zajęłaby niewątpliwie miejsce jej należne.

Ale i ona też musiałaby się otrząsnąć z wielu naleciałości dziennikarskich, wyzbyć się rewolwerowości, sensacyjności, pozaetyczności, które nieraz robią z niej kinematograf czytany.

Anna Zahorska.

Ksiądz Antoni Tyczyński w Leżajsku i pomniki jego działalności w Albigowej.

Mało jest takich ludzi, którzy poza zawodowemi zajęciami oddają resztę sił i zdolności na usługi społeczeństwa, zapominając o sobie. Tem więcej przeto należy ich cenić i pamięć o nich zachowywać.

Jednym z takich pracowników na niwie społecznej był zmarły dnia 15 kwietnia 1925 r. proboszcz parafji w Leżajsku, ks. Antoni Tyczyński. O jego pracy na polu społecznem w Leżajsku i o trwałych pomnikach jego działalności na probostwie w Albigowej chcę pokrótce napisać.[1]) W przedstawieniu tego nawiązać muszę do rozprawy prof. Franciszka Bujaka p. t. „Ks. Antoni Tyczyński w Albigowej", drukowanej w *Przeglądzie Powszechnym* (Kraków 1912, rocznik 29, tom 114, s. 137—152), przedrukowanej następnie w jego książce p. t. „Z odległej i bliskiej przeszłości" (Lwów 1924, s. 195—209). Z okazji 25 letniej działalności ks. Tyczyńskiego na parafji przedstawił prof. Bujak jego prace nad podniesieniem kultury materjalnej, umysłowej i moralnej wsi Albigowej od r. 1886, daty przybycia ks. Tyczyńskiego na pro-

[1]) Jeszcze w ubiegłym roku powziął prof. Bujak plan kontynuowania swej rozprawy o ks. Tyczyńskim. Korespondował w tym celu z nim i ze mną, gdy byłem na wakacjach w Albigowej. Rezultatem tego był list bardzo obszerny i szczegółowy napisany przez ks. Tyczyńskiego o jego pracy społecznej w Leżajsku, ja zaś przysłałem sprawozdanie z rozwoju Albigowej od czasu odjazdu z niej ks. Tyczyńskiego do Leżajska do r. 1924. Materjały te dostałem obecnie od prof. Bujaka i na ich podstawie opracowałem powyższy temat, wyręczając go tem chętniej, że Albigowa jest moją wsią rodzinną, a z ks. Tyczyńskim, gdy był tam proboszczem, sąsiadowałem.

bostwo do tej wsi do r. 1911. Już przedtem działalność ks. Tyczyńskiego zwróciła uwagę inż. Z. Chmielewskiego, dziś następcy Fr. Stefczyka w kierownictwie spółdzielnością rolniczą, w r. 1905 organizatora spółdzielni mleczarskich przy Patronacie spółek raiffeizenowskich, który przedstawił ją w „Czasopiśmie dla Spółek rolniczych" (roczn. 1905 nr. 4) i prof. Bujaka, który jej w r. 1908 poświęcił str. 141—146 I-go tomu swojej „Galicji".

Z końcem 1912 r. opuścił ks. Tyczyński Albigowę i przeniósł się do Leżajska. O nowe probostwo nie ubiegał się początkowo zupełnie, nie poczynił też żadnych starań, by jego nazwisko umieszczono na liście kandydatów na to probostwo. Zajęty gromadzeniem funduszów i materjałów na budowę plebanji i restauracje zniszczonych budynków plebańskich gospodarczych, pracą twórczą, która mu najlepiej odpowiadała, nie myślał wogóle o staraniach w kierunku zajęcia jednego z najbogatszych probostw w diecezji przemyskiej. Rozgłos jednak, jaki uzyskał sobie swą pracą wydajną, nie pozwolił, by pozostawiono go w spokoju. Na trzy dni przed upływem terminu konkursu na Leżajsk w kwietniu 1912 r. przybyli do niego starosta powiatu łańcuckiego i wicemarszałek Żardecki z propozycją, by stanął w liczbie kandydatów na Leżajsk, zapewniając powodzenie. Umieli pozyskać ks. Tyczyńskiego, przedstawiając mu nowe rozległe pole pracy społecznej przy pomocy ludzi temi samemi ideami przejętych. Lepszego sposobu do pozyskania jego zgody istotnie trudno było użyć. Otwierające się przed nim horyzonty nowych wysiłków i trudów na szerszą niż dotąd skalę, by oświecać i podnosić kulturę materjalną, były najlepszemi argumentami przemawiającemi za zmianą dotychczasowego miejsca. Ks. Tyczyński zgodził się tedy na wniesienie podania, które we wrześniu 1912 r. zostało pomyślnie załatwione. Na nowe probostwo udał się dopiero w pierwszej połowie grudnia. Wiadomość o tem wywołała wśród włościan albigowskich wielkie zaniepokojenie. Nie pomogły jednak prośby wójta i radnych wydelegowanych do niego z prośbą o pozostanie w Albigowej. Ks. Tyczyński należał do ludzi, którzy, gdy raz coś postanowią, tego nie cofają, ani nie zmieniają. Choć żal mu było opuścić wieś, jemu

zawdzięczającą swój pomyślny rozwój, w której też, dzięki umiejętnemu stawianiu nasuwających się spraw, miał zawsze do działania grunt podatny, nie uległ prośbom.

Miasteczko Leżajsk, należące pod względem administracyjnym do powiatu łańcuckiego, leży na lewym brzegu Sanu w okolicy zupełnie równej, piaszczystej i pokrytej sosnowemi lasami. Liczy 6.000 mieszkańców, z tego 3.500 Polaków, 400 Rusinów, 2.000 Żydów. Zajęciem mieszczan jest przeważnie murarstwo, pozatem rolnictwo; zgórą 600 osób wyjeżdża na lato na roboty murarskie po całej Polsce. W skład parafji leżajskiej wchodzi 11 gmin. Stan kultury ogólnej tych okolic jest dość niski. Jeżeli chodzi o wsi okoliczne Leżajska a Łańcuta, stwierdzić się musi krańcowe różnice na niekorzyść pierwszych, tembardziej, że ludność tamtejsza jest innego typu fizycznego, jest mniej podatna na usiłowania zdążające do polepszenia jej bytu i podniesienia kulturalnego. Podobnie jak gleba tamtejsza piaszczysta, mało urodzajna, tak ludność ją zamieszkująca trudna jest do urobienia, a wysiłki w tym kierunku mały przynoszą plon.

Na taki to grunt i na takie pole pracy przybył ks. Tyczyński. Doświadczenie, jakie posiadał i sława pracownika społecznego, jaką się cieszył w okolicy, ułatwiały mu nieco zadanie, jakie go tu czekało. Najlepszy tego dowód, że jeszcze w sierpniu 1912 r., zatem kiedy przebywał w Albigowej, wybrano go tu przewodniczącym Komitetu, mającego się zająć założeniem i utrzymywaniem prywatnego gimnazjum w Leżajsku. Godność tę piastował aż do upaństwowienia gimnazjum, co nastąpiło w r. 1922 w głównej mierze dzięki jego staraniom. Rachuba na pomoc w pracy, jaką spodziewał się tu znaleźć, przeważnie go zawiodła. Był jeden człowiek ożywiony podobnemi ideami, a mianowicie burmistrz miasta, notarjusz Bronisław Nowiński. To też kiedy umarł, na ręce ks. Tyczyńskiego złożono godności, które piastował, jak przewodnictwo w Radzie szkolnej miejscowej, Komitetu parafjalnego, Komitetu domu chorych i Opiekuństwo szkoły koszykarskiej. Świadczy to, że brakowało ludzi pomiędzy których przynajmniej rozdzielićby można podobne funkcje. Wymienić by jeszcze należało kilka osób, które pracowały nad podniesieniem oświaty miejscowej ludności,

nie była to jednak praca ciągła, ani więcej wydajna. Zresztą ks. Tyczyński po innej szedł linji i inaczej rozumiał produktywną pracę społeczną. Wierzył w to, że podniesienie kultury materjalnej ludności czyni pracę na polu moralnem i umysłowem bardziej produktywną. Gdy zorjentował się w nowem położeniu, poznał ludność, wśród której miał przebywać, zaczął pracę od zreformowania sklepu Kółka rolniczego i Spółdzielni kredytowej systemu Raiffeisena dziś nazywającej się Kasą Stefczyka, których kierownictwo powierzyli mu mieszczanie w r. 1913. Spółki te przez mieszczan założone i przez nich prowadzone licho się rozwijały. Do pracy w nich, choć nie na długo, udało się mu wciągnąć miejscowego nauczyciela, który też pod jego światłym kierunkiem doprowadził je do stanu normalnego rozwoju. Wnet potem zreformował ks. Tyczyński Kółka rolnicze w dwóch gminach, należących do parafji leżajskiej i skłonił je do założenia kas Stefczyka. W drugiej połowie 1913 r. założył jeszcze Kółka rolnicze w dwóch innych gminach.

Tymczasem wybuchła wojna światowa. Dłuższa walka pozycyjna nad Sanem, od którego Leżajsk jest odległy w linji powietrznej 2 klm., potem $6^1/_2$ miesięczna inwazja sprawiły, że o pracy społecznej mowy być nie mogło. Uszkodzenia z powodu pobliskich walk dotknęły sklep Kółka rolniczego, który spalił się wraz z całym budynkiem. Trzeba więc było pomyśleć o ponownem założeniu takiego sklepu. Uczynił to ks. Tyczyński w r. 1916, w następnym już przekształcono go na Składnicę Kółek rolniczych. Kierownictwo sklepu powierzył ks. Tyczyński jednemu ze swoich wikarych, który w drugiej połowie 1913 r. objął w Leżajsku posadę i miał chęci do pracy społecznej. Kiedy jednak po 3 latach przeniesiono go na posadę do Jasła, funkcje kierownika Zarządu Spółki z powrotem spadły na barki ks. Tyczyńskiego. Obawa, że Składnica zacznie upadać, gdy przestanie się nią zajmować i Zarząd jej przejdzie w ręce mieszczan, skłoniła go do nakłaniania ekspedjentów tej Spółki, by na własną rękę zakładali sklepy. Robił to ks. Tyczyński planowo, by handel choć stopniowo przechodził w ręce polskie. Dzięki jego inicjatywie powstały dwa nowe sklepy, co podziałało na innych mieszczan zachęcająco.

W r. 1919 założono w Leżajsku oddział Towarzystwa Rolniczego na okręg powiatu sądowego leżajskiego, odrębny od takiegoż oddziału w Łańcucie. Tym razem inicjatywa wyszła od jednego z nauczycieli. Jak jednak zdanie ks. Tyczyńskiego ważyło na każdej sprawie, którą tu poczynano, świadczy również fakt, że inicjator po opinję i przyjęcie planu zgłosił się do ks. Tyczyńskiego. Myśl powyższa stworzenia takiej placówki w Leżajsku, oddalonym 29 klm. od Łańcuta, była pożyteczna, chętnie ją też widział ks. Tyczyński. Wnet nadał jej ton cały, a kierownictwo, mimo że zapowiedział, iż z powodu nawału pracy będzie tylko figurantem, jemu oddano. Znalazło się jeszcze dwóch ludzi, którzy wzięli czynny udział w nowej pracy. Kiedy jednak przy wyborach do Sejmu wszyscy trzej, jako kandydaci na posłów, nie uzyskali mandatów, stracili ochotę do pracy społecznej. Wskutek tego znaczenie Towarzystwa podupadło silnie, choć go nie rozwiązano. Było dążeniem ks. Tyczyńskiego, do ostatniej chwili, wzmóc przerwaną jego działalność, brak jednak ludzi chętnych i bardziej pracy tego rodzaju oddanych, stawał temu na przeszkodzie.

Dbał ks. Tyczyński o wychowanie należyte dzieci, które nie zawsze miały dostateczną opiekę, zwłaszcza gdy ojcowie w poszukiwaniu za zarobkiem opuszczali rodziny, pozostawiając matkom troskę o gospodarstwo całe. Myślał też o utworzeniu ochronki, któraby opiekę taką zapewnić mogła. Solidaryzował się z nim również wspomniany burmistrz miasta Nowiński. Fundusze, jakie zebrano na ten cel, były niestety tak szczupłe, że realizację planu musiano ciągle odkładać. Dopiero w r. 1916 sprowadził ks. Tyczyński ze Starej Wsi na własną rękę i ryzyko trzy służebniczki N. M. P., wynajął dla nich jeden lokal na mieszkanie, drugi na ochronkę dla dzieci, trzeci na naukę robót ręcznych kobiecych, dostarczał żywność potrzebną z plebanji, drzewo na opał i w ten sposób uruchomił ochronkę. W 1917 r. złożył ks. J. Ramocki, obecny proboszcz w Głogowie, w konsystorzu biskupim w Przemyślu 40.000 Kor. jako fundusz żelazny na utrzymanie ochronki i darował na nią ogród morgowy. Z powodu dewaluacji fundusz żelazny przestał być aktualny. Dopiero w r. 1924 Rada gminna uchwaliła na ochronkę niewielką,

ale stałą subwencję i w ten sposób zapewniono jej byt trwały, choć skromny. Postanowienie Rady gminnej znowu wpływowi ks. Tyczyńskiego przypisać należy.

Metoda działania ks. Tyczyńskiego inną być musiała w Leżajsku niż w Albigowej. By plany raz powzięte skutecznie przeprowadzić, musiał metodę swą dostosować do warunków. W Albigowej rozkazywał, jego wpływ na włościan tamtejszych był tak silny, że zgóry mógł być pewnym uzyskania aprobaty gminy na swe projekty, ze sprzeciwem rzadko się spotykał. Inaczej musiał postępować w Leżajsku, metoda albigowska zraziłaby mu tu ludzi. Wiedząc o tem, nadawał zawsze swoim poczynaniom charakter doradczy, często posługiwał się osobami trzeciemi i dlatego, mimo warunków o wiele gorszych, powodzeniem się cieszył także i tutaj. Miasto choć nieraz głośno narzekało na swego proboszcza, zdobyło się na akt wdzięczności wobec niego, mianując go honorowym obywatelem Leżajska.

Ks. Tyczyński nie ograniczał swej działalności tylko do czynu, słowem często z ambony również wiele wskazówek i rad umiał podać, godząc „dobre z pożytecznem". Był zdania, że ksiądz może dobrze i dużo zdziałać społecznie nawet w kościele. W Albigowej miał ułatwione zadanie. W niedzielę kościół był zawsze pełny, jego położenie w środku wsi ściągało tu wszystkich mieszkańców nie pozwalając, by udawali się do kościołów w sąsiednich parafjach. Niefortunna konfiguracja parafji utrudniała w Leżajsku tak intensywne oddziaływanie na ludność. Kościół leżajski mieści się w samem mieście, 2 klm. na północ od miasta jest klasztor. Wsi należące do parafji leżajskiej, z wyjątkiem jednej Wierzawice, leżą za klasztorem, od kościoła w kierunku północnym. Wskutek tego ludność, mając bliżej klasztor, niż kościół parafjalny, częściej udaje się na nabożeństwo do klasztoru. Dzięki temu osłabia nieco węzły, łączące ją z życiem parafjalnem i wymyka się z pod wpływów proboszcza. Zdawał sobie z tego sprawę ks. Tyczyński i dokładał starań, by ze wsi leżących na północ od Leżajska stworzyć nową parafję. Ś. p. biskup przemyski Pelczar solidaryzował się z tą ideą. Wojna, potem nieunormowane stosunki gospodarcze, uniemożliwiły przedsięwzięcie. Nastąpiła

wkrótce śmierć biskupa Pelczara i sprawa się odwlokła. Do ostatniej jednak chwili życia ks. Tyczyński nie zapominał o niej. Drugą kwestją, którą wraz z gronem czynniejszych osób żywo się ks. Tyczyński zajmował, było utworzenie Starostwa w Leżajsku. Gdyby usiłowania te pozostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, było by to znacznem udogodnieniem dla Leżajska i okolicy. Sam Leżajsk jest bowiem odległy od dotychczasowego powiatu w Łańcucie o 29 klm., ostatnia wieś leżąca na północ od niego o 52 klm.

W ten sposób dobieglibyśmy do końca prac i poczynań ks. Tyczyńskiego w Leżajsku. Była to zaledwie część jego działalnoścl społecznej. Zajęty pracą na nowem probostwie, często zwracał baczną uwagę w przeciwną stronę, południową powiatu, w stronę Albigowej swej poprzedniej parafji. Tam dojrzewało jego dzieło i twórcza jego praca obfity wydawała plon.

Dalszym rozwojem wsi Albigowej od czasu wyjazdu ks. Tyczyńskiego do Leżajska i losem instytucyj, które tu powołał do życia, zajmiemy się z kolei. Będziemy to czynili w ciągłym kontakcie ze wspomnianą rozprawą prof. Bujaka o ks. Tyczyńskim tembardziej, że wyszła ona w 1912 r., a więc nie na długo przed odjazdem ks. Tyczyńskiego do Leżajska. Prace i działalność ks. Tyczyńskiego do r. 1911 zostały tamże przedstawione, chodzi teraz o rezultaty tej pracy i realizację planów, których już nie mógł przeprowadzić.

Ważnem środowiskiem wpływającem na oświatę i ogólną kulturę wsi jest niewątpliwie s z k o ł a. Jednoklasowa szkoła ludowa istniała w Albigowej od r. 1880, na sześć lat przeto przed przybyciem tamże ks. Tyczyńskiego. Już w r. 1897 doprowadził ks. Tyczyński do jej przekształcenia na szkołę dwuklasową, a w r. 1904 na czteroklasową, do której dodano w r. 1910 klasę eksponowaną na przysiółku Honie. W r. 1904, dwa lata po ukończeniu budowy pięknego kościoła parafjalnego, postawiono nowy budynek szkolny o czterech klasach. Budowa kościoła i szkoły, to dzieło ks. Tyczyńskiego, który do budownictwa miał szczególne zamiłowanie.

Jak się przedstawia obecnie szkoła w Albigowej i jaki

jest jej rozwój? Była to jeszcze w r. 1923/24 czteroklasowa szkoła z planem szkół sześcioklasowych, a od r. 1924/25 już z planem szkół siedmioklasowych. Klasa eksponowana na przysiołku Honie została zamieniona od r. 1924/25 na szkołę samoistną jednoklasową. Kierownikiem szkoły jest obecnie p. Bolesław Stecki, który to miejsce objął po śmierci Andrzeja Mazanka, dzielnego współpracownika ks. Tyczyńskiego. Oprócz niego było w r. 1923/24 9 sił nauczycielskich, w r. 1924/25 11 sił. Ciekawe jest porównanie liczby dzieci uczęszczających do szkoły w r. 1923/24 i w r. 1911/12. W wymienionym ostatnio roku uczęszczało do szkoły 426 dzieci, z tego 60 było obowiązanych do nauki nadobowiązkowej, zaś w r. 1923/24 448 dzieci. Frekwencja zatem wzrosła tylko o 22, ale wynosiło to 19%, a więc $^1/_5$ całej ludności. Kierownik nie ma potrzeby korzystania z przymusu szkolnego, dzieci bowiem uczęszczają do szkoły bardzo chętnie.

Jak Albigowa rozumie wartość nauki, poznać można choćby z tego, że gdy w czasie inwazji rosyjskiej nie uczono w żadnej gminie powiatu łańcuckiego, w głównej mierze z powodu braku opału, to w Albigowej nie przerwano nauki. Dzieci idące do szkoły brały ze sobą po kawałku drzewa i w ten sposób ją opalano. Niema też prawie w Albigowej analfabetów, jeżeli nie będziemy liczyli upośledzonych fizycznie i umysłowo. Należy więc Albigowa do najkorzystniej przedstawiających się pod tym względem wsi w województwie lwowskiem. W r. 1924 powstał osobny Komitet rozbudowy szkoły, który powziął plan jej rozszerzenia na dwanaście klas. Wiemy, że Ministerstwo W. R. i O. P. nie daje nic na rozbudowę szkół, warto więc zaznaczyć, jak wieś sobie radzi, by budowę postawić na realnym gruncie. Sprzedano mianowicie hr. Potockiemu prawo polowania na terenie gminy na okres lat 12, za co otrzymała wieś 120 m^3 drzewa budowlanego. Jak obliczają, potrzeba będzie na budowę najwyżej 40 m^3, 80 zaś można będzie sprzedać na pokrycie kosztów budowy.

Bliskie położenie gimnazjum i seminarjum żeńskiego, mieszczących się w Łańcucie, a w głównej mierze inicjatywa w tym kierunku obecnego kierownika wpły-

nęły dodatnio na pokaźną liczbę uczęszczających z Albigowej do tych szkół. Podczas gdy w r. 1910/11 zaledwie 3 chłopców uczęszczało do szkół średnich, to w r. 1923/24 było ich już 52, dziewcząt zaś 7. Do gimnazjum uczęszcza 46 chłopców, do seminarjum 6 i 7 dziewcząt. W r. 1919/20 poszło z Albigowej 7 chłopców do szkoły handlowej w Przemyślu. Nauka w tej szkole trwa 3 lata. Wielka trudność dostania posady po jej ukończeniu nie pociągnęła za nimi innych tak, że do szkół handlowych nie było dotąd z Albigowej kandydatów.

Małą liczbę uczęszczających do szkół średnich przed wojną tłumaczy okoliczność, że ks. Tyczyński nie radził nigdy włościanom albigowskim wysyłania swych dzieci do szkół średnich. Nie zgadzało się to z jego przekonaniami na tym punkcie. Dążeniem jego było podniesienie wsi przedewszystkiem materjalne, potem umysłowe. Zdawał sobie z tego sprawę, że szkoły średnie zabierają wsi młodzież przeważnie najzdolniejszą, która nigdy prawie po zdobyciu wykształcenia, choćby tylko średniego, nie wraca pod rodzinną strzechę. Nakłaniał za to do oddawania dzieci do szkół zawodowych. Wyszkolenie jak największej liczby rzemieślników, którzyby z pożytkiem we wsi i dla wsi pracować mogli, było jego dążeniem. Jeżeli widział, że rodzice nie są w stanie ponosić kosztów utrzymania swych dzieci, a sądził, że się do rzemiosła nadają, wysyłał je na naukę na własny koszt. Z tych niewątpliwie także nie wszyscy do wsi wrócili, przeważna jednak liczba z pożytkiem dla niej pracuje i cieszy się opinją dobrych rzemieślników. Zwłaszcza dwóch z nich, kołodziej i murarz, mają taką opinję i liczą się do zamożniejszych mieszkańców wsi. Gdy albigowianie przybywali do niego po radę już do Leżajska, jak i gdzie kształcić swe dzieci, co się często zdarzało, zawsze raczej zawodowe i handlowe szkoły zachwalał. Dzięki tym jego tendencjom, jak i naturalnym warunkom związanym z coraz większem rozdrobnieniem ziemi, liczba rzemieślników w stosunku do r. 1910 znacznie wzrosła. Podczas gdy do r. 1910 około 30 chłopców zdobyło wykształcenie w rzemiośle, to od tego czasu do r. 1923 poszło do rzemiosła jeszcze 50.

We wsi prowadzi własne warsztaty 37 rzemieślników.

Rozdział na poszczególne zawody wypada następująco. Jest 9 kowali, 8 stolarzy, 6 szewców, 5 krawców, 4 cieśli, 3 kołodziei, 1 bednarz, 1 murarz. Pracują nie tylko dla wsi rodzinnej, ale i w sąsiednich, zwłaszcza szewcy i kowale, mają licznych klijentów.

Pomyślał też ks. Tyczyński, by we wsi samej stworzyć placówkę, któraby pewnej liczbie ludności dała zarobek. Założył bowiem w r. 1898 pracownię i szkołę koszykarską. Wysłał na własny koszt na wykształcenie w zawodzie wiejskiego chłopca, Andrzeja Albigowskiego, najpierw do szkoły koszykarskiej w Czerwonej Woli pod Jarosławiem, potem do Lwowa, wreszcie zagranicę. Początkowo kierował instytucją sam, p. Andrzej Albigowski udzielał tylko nauki zawodowej. Gdy widział, że daje sobie radę i szkoła z powodzeniem się rozwija, oddał mu całkowicie kierownictwo. Szkoła i pracownia mieszczą się w murowanym domu piętrowym, obok którego jest obszerny magazyn na wyroby koszykarskie i materjał surowy. Dotąd prowadzi ją jako prywatne przedsiębiorstwo p. Andrzej Albigowski. Nauka w szkole trwa cztery lata, już jednak w drugim miesiącu nauki uczeń jest płacony od sztuki wyrobionego towaru. Po 4 latach przechodzi do pracowni jako czeladnik, zarabia wtedy od sztuki $2^1/_2$—3 zł. dziennie. W r. 1924 było w szkole 4 uczniów, w pracowni 14 czeladników pracujących stale. W r. 1923/24 zakupiono materjału surowego za 8.000 zł. Wiklinę koszykarską nabywa się w okolicach Radymna, Jarosławia i Leżajska, rogożynę w okolicach Jaworowa. Za cetnar metryczny wikliny płacono w r. 1924 35 zł., za wiązkę 40-metrowej długości rogożyny 35 grosze. W r. 1923 wyrobiono towaru za 30.000 zł. Wynagrodzenie roczne za pracę czeladników wynosiło 6.000 zł.

Wykształconych w Albigowej koszykarzy żyje dotąd 120. Jak już wspomnieliśmy 14 pracuje stale w koszykarni miejscowej, 4 pracuje w domu na własną rękę, towar zaś sprzedaje p. Albigowskiemu lub w Łańcucie, również tylu prowadzi poza Albigową małe warsztaty koszykarskie. Są to ci, którzy zakupili ziemię w Małopolsce wschodniej. Kilkunastu koszykarzy przebywa w Ameryce. Wreszcie jest jeszcze we wsi 50 takich, którzyby mogli pracować, jednak

z powodu braku miejsca w koszykarni jak też inicjatywy i środków do zajmowania się samodzielnie koszykarstwem, trudnią się rolnictwem.

W dwa lata po utworzeniu pracowni i szkoły koszykarskiej wybudowano pod kierunkiem ks. Tyczyńskiego nowy obszerny budynek na Szkołę gospodyń wiejskich. Szkołę taką założyła najpierw Rada powiatowa we wsi Gorliczynie (dziś w powiecie Przeworsk), dzięki jednak ks. Tyczyńskiemu przeniesiono ją po dwóch latach wegetacji do Albigowej, gdzie pomyślnie się rozwijała. Z powodu wojny światowej była zamkniętą przez dwa lata. Otwarto ją na nowo w r. 1916. Przez cztery lata z kolei była wprawdzie nauka, lecz z ciągłemi przerwami, co przyczyniło się do postanowienia Rady powiatowej, by szkołę zamknąć, zwłaszcza że funduszów na utrzymanie nauczycielstwa i szkoły nie było. To działo się w czerwcu 1920 r.

Tymczasem już w lipcu wyszła ustawa podpisana przez ówczesnego ministra rolnictwa, Fr. Bujaka, o szkołach ludowych rolniczych. Ustawa ta zapobiegła zlikwidowaniu szkoły. Z powodu zniszczenia budynku szkoły i robót restauracyjnych, nauka normalnie mogła się zacząć dopiero w r. 1921 w lutym. Kierowniczką szkoły jest obecnie p. Teofila Gorgoniówna, oprócz niej są dwie nauczycielki i instruktorka, nauki religji udziela miejscowy proboszcz ks. Edward Sandałowski. Personal nauczycielski opłaca Ministerstwo Rolnictwa, które oprócz tego udzieliło szkole na r. 1924 1.600 zł. zapomogi. Utrzymanie dla internatu powinna dawać Rada powiatowa. Tymczasem dostarcza szkole tylko drzewo na opał, pozatem nic, tłumacząc się ciągle brakiem funduszów. Znaczną pomocą dla szkoły jest ordynacja hr. Potockiego. Z jej ramienia, mianowany zarazem przez Radę powiatową opiekunem szkoły, administrator folwarków Potockiego, p. Fangor dostarcza jej corocznie paszę dla inwentarza i deputat z ziarna w wysokości 10 metrów zboża. Pozatem do utrzymania internatu przyczyniają się dochody z własnego gospodarstwa, które prowadzi szkoła.

Według ustawy nauka w szkole trwa 11 miesięcy, ale warunki miejscowe stoją temu na przeszkodzie tak, że faktycznie czas trwania kursu wynosi 10 miesięcy. W r. 1923/24

było zapisanych tylko 17 uczennic, z tego 4 miejscowe, 8 z powiatu łańcuckiego, reszta z innych powiatów Małopolski. Podniesienie frekwencji do normalnej liczby 40 uczennic jest tedy sprawą bardzo pilną. Opłata za utrzymanie wynosi miesięcznie 15 zł. lub równoważnik w prowiantach. Na wykształcenie praktyczne dziewcząt wpływa program Ministerstwa niekorzystnie. Jeszcze ks. Tyczyński, wówczas kurator szkoły, spierał się z ówczesną jej kierowniczką, p. Gostkowską, o to, jaki kierunek wychowania powinien w szkole przeważać. Opowiadał się zawsze za szczególnem uwzględnianiem wykształcenia zawodowego dziewcząt. Była to idea niewątpliwie trafna. Tembardziej dzisiaj powinna być urzeczywistniona, gdy szkoły powszechne, nawet po wsiach, powinny dawać dostateczne ogólne wykształcenie.

Mówiąc o Szkole gospodyń wiejskich, nie można pominąć mleczarni, od początku bowiem swego istnienia była z nią związana. Stwierdzić się musi, że mleczarnia albigowska nigdy nie cieszyła się pomyślnym rozwojem. Miała wprawdzie i ona okresy, w których się żywiej rozwijała, były to jednak błyski, które wnet znikały. W każdym razie o wiele pomyślniejszy był jej rozwój przedwojenny, niż powojenny. Założona w r. 1900 jako przedsiębiorstwo ks. Tyczyńskiego, od r. 1906 przeszła pod zarząd szkoły, wreszcie w r. 1912 przekształcono ją na Spółkę mleczarską, pozostającą pod patronatem Wydziału krajowego, w tym też charakterze do dziś pozostaje. Po 9 letniej nieczynności puszczono ją w ruch dzięki znacznej pożyczce ks. Sandałowskiego. Nie cieszy się jednak powodzeniem z powodu braków w kierownictwie technicznem, a wskutek tego, przynajmniej w r. 1924, złego wyrobu serów i braku na nie dostatecznego zbytu.

Podczas gdy w r. 1904 przerobiła 157.000 litrów mleka, zaś w r. 1911 165.900, to od czerwca 1923 r. do czerwca 1924 tylko 48.498 litrów. Za 1% tłuszczu w litrze mleka płacono w r. 1924 od 4—6 groszy. Wyrabiano masło i sery pełne (trapistów). Wysyłano towar do Małopolskiego Związku Mleczarskiego we Lwowie lub takiegoż w Krakowie, oraz sprzedawano prywatnym konsumentom, zwłaszcza jeżeli o masło chodzi.

Należy poczynić gruntowne zmiany, by zapewnić mleczarni pomyślniejszy rozwój, a zarazem utrzymać ją w charakterze spółki. W tym celu byłby wskazany współudział szkoły gospodyń wiejskich w jej prowadzeniu. Szkoła mogłaby łatwiej wysłać na kurs przynajmniej jednoroczny mleczarsko-serowarski swoją stałą instruktorkę, którąby potem mogła się z powodzeniem oddać kierownictwu technicznemu mleczarni. Dziewczęta ze Szkoły pomagałyby w pracy i uczyćby się mogły mleczarstwa. Dawniej było ono jednym z głównych przedmiotów nauki w Szkole gospodyń wiejskich w półroczu letniem. Kierunek administracyjny zaś pozostawiliby sobie włościanie.

Pomyślał też ks. Tyczyński wcześnie o tem, by nie tylko młodzież, lecz i starsi włościanie mogli nabywać wiadomości obchodzące ich bezpośrednio. W tym to celu założył w r. 1889 Kółko rolnicze i Czytelnię Towarzystwa oświaty ludowej. Działalność w tych dwóch ważnych placówkach na terenie wsi podzielił ks. Tyczyński między siebie i b. kierownika szkoły, Andrzeja Mazanka, początkowo także wciągnął do niej administratora miejscowego folwarku. W owym czasie były te placówki dla włościan albigowskich prawdziwą szkołą, w której ks. Tyczyński miał szerokie pole podniesienia wsi.

Tradycyjnie zachowało się do dziś przewodnictwo Kółka w ręku proboszcza miejscowego ks. Edw. Sandałowskiego. Liczy ono obecnie 170 mężczyzn, 50 kobiet. Na częstych zebraniach ma ks. Sandałowski referaty z zakresu rolnictwa i hodowli zwierząt, sam zaś będąc wzorowym gospodarzem żywym swoim przykładem dodatnio wpływa na kulturę rolniczą wsi. Dobry przykład w tej zwłaszcza dziedzinie bardzo dużo znaczy, to też zebrania Kółka rolniczego są zawsze liczne. Należy tu zaznaczyć, że dzięki swej wzorowej gospodarce, a wskutek tego o wiele większej wydajności ziemi, mógł ks. Sandałowski wydzierżawić 47 najbiedniejszym rodzinom we wsi $58^1/_2$ morgów ziemi uprawnej, sobie zaś pozostawił około 40 morgów i las. W skład uposażenia parafji wchodzi bowiem 100 morgów ziemi uprawnej i 50 morgów lasu.

Przy Kółku istnieje dziś Sekcja oświatowa, zało-

żona w r. 1922 na miejsce dawnej czytelni Towarzystwa oświaty ludowej. Prowadzi ją kierownik szkoły, pod którego zarządem znajduje się bibljoteka.

W związku z Kółkiem rolniczem pozostaje cały szereg instytucyj, które do życia powołał ks. Tyczyński. Na pierwszem miejscu postawić należy sklep Kółka rolniczego, powstały w 1910 r. w charakterze Spółki spożywczej. Ma 259 członków udziałowych. Prowadzi go włościanin albigowski. O rozwoju sklepu najlepiej powiedzą cyfry. Lustracja za rok administracyjny 1923/24 odbyta na polecenie Głównego Zarządu Towarzystwa Kółek rolniczych 27/IV 1924 wykazała czysty zysk na 444 zł., wartość towarów będących w sklepie 1732.50 zł. Stan ten dowiódł, że w porównaniu z innemi sklepami Kółek rolniczych w powiecie łańcuckim albigowski najlepiej się rozwija. Przy sklepie powstała w r. 1920 filja Spółki hodowli drobiu, która mieści się w Łańcucie. W r. 1923 odstawiła ona do Łańcuta 45 skrzyń jaj (skrzynia 24 kóp) o wartości 4.500 zł. Również przy Kółku rolniczem powstała Straż pożarna, od początku jest prowadzona przez włościanina albigowskiego. W skład jej inwentarza wchodzą sikawka 4-kołowa ssąco-tłocząca o średnicy 80 m/m, beczkowóz 4-kołowy o pojemności 700 litrów, 4 sikawki pachowe, 5 tłumnic, 2 osęki, 2 haki do stogów, 2 drabiny i dwie latarnie.

W r. 1901 utworzył ks. Tyczyński w Albigowej Spółdzielnię kredytową zwaną dziś Kasą Stefczyka, w r. 1903 zaś Spółkę drenarską. Pierwsza z nich należała przed wojną do silniejszych Spółek w kraju, jednak z powodu dewaluacji, bez żadnego kapitału była nieczynną do r. 1924. Tak samo z powodu braku gotówki nieczynną jest dotąd druga Spółka, która przed wojną doprowadziła do zdrenowania połowy gruntów wiejskich.

Wymienione tu instytucje mieszczą się obecnie w lokalach Domu ludowego. Inicjatywę budowy Domu ludowego rzucił jeszcze ks. Tyczyński, ale z powodu wybuchu wojny zrealizowaną być nie mogła. W pamięci albigowian utrzymała się jednak piękna myśl wybudowania takiego ogniska, któreby potrafiło wieś całą skupić i zainteresować, do czego przyczynili się najwięcej miejscowi studenci, któ-

rzy urządzając przedstawienia odczuwali brak sali, mogącej się pomieścić poważniejszą liczbę ludności. Dopiero jednak w 1920 r. myśl ta została wprowadzona na realny grunt dzięki następcy ks. Tyczyńskiego, ks. Sandałowskiemu i dobrej woli albigowian. Budowa domu z kamienia i cegły, jak to projektował ks. Tyczyński, okazała się za kosztowną, zrezygnowano więc z niej a postanowiono wybudować dom z drzewa o takiej jednak wielkości i takim rozkładzie, jak to projektował ks. Tyczyński. Znalazł się człowiek, który dzięki swej bezinteresownej skrzętności, zapobiegliwości i umiejętnemu postawieniu sprawy, budowę domu bardzo przyspieszył. Był nim były naczelnik miejscowego Urzędu pocztowego, p. Jan Jarosiewicz. Dzięki jego w głównej mierze staraniom dostała Albigowa na budowę drzewo z lasu hr. Potockiego po minimalnej wprost cenie, mianowicie ze 75% zniżką ówczesnej ceny drzewa. Na zwołanem zgromadzeniu gminnem uchwalono daninę z gruntu stosunkowo wysoką, którą wnet złożono tak, że budowę ukończono w czerwcu 1921 r.

Do urządzenia wewnętrznego Domu ludowego przyczyniły się dochody, jakie dawały przedstawienia urządzane przez miejscowe Stowarzyszenie teatru i chóru włościańskiego. Założył je i prowadził p. Jarosiewicz, były z zawodu aktor. Po jego odjeździe z Albigowej zajął się niem energicznie miejscowy listonosz Władysław Szpunar, którego pracę dla wsi w zarządzie mleczarni i innych instytucjach mieszczących się w Domu ludowym szczególnie podnieść należy.

Nie zrealizowano dotąd planu ks. Tyczyńskiego dotyczącego budowy łaźni ludowej, choć mogłoby to być łatwo uskutecznione obecnie i z niewielkim nakładem. Łaźnia taka mogłaby być przybudowana do zabudowań Domu ludowego. Zważywszy, że blisko Albigowej niema większej rzeki, byłaby to przybudowa bardzo pożądana i wpłynęłaby dodatnio na czystość i zdrowotność ludności, nie mówiąc już o tem, że gmina miałaby z niej pewien dochód.

Należy jeszcze wspomnieć o młynie parowym i fabryce dachówek, drenów i cegieł. Oba te przedsiębiorstwa założone zostały w r. 1906 dzięki ks. Tyczyńskiemu

funduszem Spółki przemysłowo-rolniczej, złożonej z włościan albigowskich. W r. 1910 sprzedano je Bankowi meljoracyjnemu ze Lwowa, który przedsiębiorstwa rozszerzył znacznie, prowadził je jednak bez większego powodzenia, w końcu sprzedał obywatelowi ziemskiemu z Sieteszy (powiat Przeworsk) Bronisławowi Łastawieckiemu. Ten znowu wydzierżawił oba przedsiębiorstwa z końcem r. 1923 Stefanowi Bułaszczakowi i Spółce na 10 lat na warunkach z dochodów fabryki 25%, z młyna 10% brutto. Puszczono je w ruch od 8 maja 1924 r. W fabryce i młynie jest zajętych 30—40 robotników, którzy rekrutują się z włościan albigowskich i sąsiednich wsi. W r. 1924 płacono tu zwykłemu robotnikowi 1·30 zł. dziennie, robotnikom technicznym płacono miesięcznie 55 zł. Rozwój obecny obu tych przedsiębiorstw jest słaby, z powodu braku dostatecznego zbytu na towar, znacznej odległości od stacji kolejowej, co odbija się dotkliwie na dostawie węgla. Zresztą w r. 1924 powstał w Albigowej drugi młyn parowy hr. Potockiego; położony w dogodniejszem miejscu u zbiegu dwóch bitych gościńców, 3 klm. od Łańcuta, ma lepsze warunki rozwoju, a tem samem wpływa niekorzystnie na młyn wyżej omówiony.

W Albigowej jest jeszcze jedna placówka, gdzie młodzież wyszła ze szkoły ma możność dalszego kształcenia się i ciągłego kontaktu z książką. Jest to Stowarzyszenie polskiej młodzieży, które w r. 1920 założył delegat Związku Stowarzyszenia młodzieży polskiej ks. Matusz. Stowarzyszenie to o celach kulturalno-oświatowych wchodzi w skład Związku Stowarzyszeń młodzieży polskiej w Przemyślu, który jest znowu podporządkowany Zjednoczeniu Związków Stowarzyszeń młodzieży polskiej w Poznaniu. Prenumeruje ono dla swych członków gazetkę p. t. „Przyjaciel młodzieży", wychodzącą raz na miesiąc w Poznaniu. Początkowo było w Albigowej jedno tego rodzaju Stowarzyszenie, należeli do niego zarówno chłopcy, jak i dziewczęta. Później nastąpił rozdział, powstało drugie stowarzyszenie dziewcząt. Oba liczą obecnie 60 członków. Mają często zgromadzenia, na które wyznaczeni członkowie przygotowują referaty najczęściej z historji polskiej, również z przyrody (geografji, fizyki i chemji), oprócz tego odbywają się

tu deklamacje i śpiewy, gry i zabawy pokojowe lub w polu.

Rzućmy teraz okiem na obecny stan wsi. Albigowa liczy obecnie 2000 morgów ziemi uprawnej, lasy i łąki obejmują 530, razem 2530 morgów tj. 1440 ha, zaś folwark hr. Potockiego 670 morgów tj. 380 ha. Według ostatniego spisu liczyła 2360 ludności, w tem 95 Żydów. Gospodarstw ma 460. Należy tu zauważyć, że w stosunku do przedwojny, mianowicie do r. 1910, liczba ludności wzrosła zaledwie o 169 osób (7·4%), bowiem wieś w 1910 r. liczyła 2281 osób, w tem 64 Żydów a w r. 1900 2066 osób w tem 76 Żydów. Liczba gospodarstw wzrosła o 40, ilość ziemi uprawnej nie powiększyła się, rozdrobnienie zatem wzrosło znacznie. Pod względem rozmiaru poszczególnych gospodarstw przedstawia się Albigowa następująco:

od	20—23	morgów	jest	2	gospodarstw	czyli	0.43%	ogółu gospodarstw
„	15—20	„	„	20	„	„	4·34%	„ „
„	10—15	„	„	36	„	„	7·82%	„ „
„	5—10	„	„	90	„	„	19·56%	„ „
„	1— 5	„	„	170	„	„	36·95%	„ „

142 gospodarstw posiada tylko domy z ogrodami, co stanowi 30·87% ogółu gospodarstw; pozatem jest 16 rodzin żydowskich.

Ruch ludności w trzech latach przedwojennych i trzech powojennych przedstawia się następująco:

Lata przedwojenne	ślubów	zgonów	urodzonych			Lata powojenne	ślubów	zgonów	urodzonych		
			ślubnych	nieślubn.	nieżywo				ślubnych	nieślubn.	nieżywo
1911	14	34	75	—	—	1921	42	28	66	3	1
1912	10	30	80	1	1	1922	25	35	64	2	—
1913	22	40	89	—	5	1923	11	35	70	1	3
Raz.: 3 lat	46	104	244	1	6	Raz.: 3 lat	78	98	200	6	4
Średnia	15·33	34·66	81·33	—	3	Średnia	26	32·66	66·66	2	2

W powojennem trzechleciu było zatem w stosunku do przedwojennego:

32 ślubów więcej
6 zgonów mniej
44 urodzonych ślubnych mniej
5 „ nieślubnych więcej
2 „ nieżywo mniej.

Podczas gdy w przedwojennem trzechleciu naturalny przyrost ludności w stosunku do spisu z 1910 r. wynosił 6·15%, to w powojennem w stosunku do ostatniego spisu wynosi 4·57%. Powojenny przeto przyrost ludności jest o 1·58% mniejszy od przedwojennego, chociaż liczba ślubów jedynie tylko z r. 1921 dorównywa prawie liczbie tychże w przedwojennem trzechleciu. Ilość dzieci nieślubnych w powojennem trzechleciu wzrosła, chociaż stosunkowo nie jest ona duża. W przedwojennem trzechleciu ilość dzieci nieślubnych wynosiła 0·44% ogółu urodzonych w tym czasie, w powojennem zaś 2·91% ogółu urodzonych. Emigracja w dziesięcioleciu przedwojennem wynosiła 3% ogółu ludności, w trzechleciu powojennem wynosi 6·77%. Emigranci przebywają obecnie tylko w Ameryce i Francji, w pierwszym kraju jest ich 140, w drugim 20. W latach 1920—1922 opuściło Albigowę 20 rodzin włościańskich i przeniosło się do Małopolski wschodniej. W Albigowej gospodarstwa ich nie przekraczały 4-ch morgów, pokupili zaś ziemię w ilości od 1—20 morgów.

W związku z ogólną kulturą wsi duże jest wyrobienie obywatelskie włościan albigowskich. Powstałe państwo polskie witali z radością, a kiedy 1919—20 niebezpieczeństwo mu zagrażało, poszło z Albigowej kilku z młodzieży w charakterze ochotników bronić jego granic.

Politycznie czynnych włościan w Albigowej niema, nie wielu również takich, którzyby objawiali większą inicjatywę do społecznego działania. Przyczyna takiego stanu jeszcze dziś leży w głównej mierze w tem, że ks. Tyczyński za dużo sam robił, za mało dbał o wyrobienie sobie z pośród albigowian współpracowników a potem samodzielnych pracowników. Zauważył to już prof. Bujak w swej rozprawie o ks. Tyczyńskim. Ci sami włościanie, którzy sty-

kali się z nim bliżej, i dzisiaj odgrywają we wsi przodowniczą rolę. Do takich zaliczyć należy w pierwszym rzędzie długoletniego pisarza gminnego Franciszka Falgra, byłego sekretarza wspomnianej już Spółki przemysłowo-rolniczej, byłego dziesięcioletniego kierownika sklepu, wreszcie przewodniczącego Spółki mleczarskiej. Po nim wymienićby należało Jana Bartmana, obecnego zastępcę wójta i długoletniego naczelnika Straży pożarnej. Z włościan albigowskich on najwięcej dołożył starań do przyspieszenia budowy Domu ludowego. Trzecim z kolei, który większą wartość przedstawia, jest Andrzej Trojnar, wzorowy gospodarz z ukończoną niższą Szkołą rolniczą, do której wysłał go ks. Tyczyński. Jest on obecnie przewodniczącym Rady szkolnej miejscowej, należy do zarządu Kasy Stefczyka i Spółki mleczarskiej. Ze starszych włościan wybija się jeszcze Wojciech Szpunar, który, w przeciwieństwie do wymienionych, zaznaczył swą działalność na terenie gminy od kilku dopiero lat. Należy do zarządu Kasy Stefczyka i Rady szkolnej miejscowej. Z młodszych włościan dużo na terenie gminy społecznie pracuje Jan Inglot, obecny kierownik sklepu Kółka rolniczego, przewodniczący Spółki drenarskiej i członek zarządu Kasy Stefczyka. Są to włościanie zajmujący się jedynie rolnictwem. Z rzemieślników niema takiego, któryby zasługiwał na szczególniejszą uwagę, jako pracownik społeczny. Zaznaczyć tylko należy, że młodsi z nich, przebywający stale w Albigowej lub też pracujący w Łańcucie są ważną podporą miejscowego Stowarzyszenia teatru i chóru włościańskiego, o którego obecnym kierowniku wspomnieliśmy wyżej.

Jeżeli chodzi o zapatrywania polityczne włościan albigowych, to zróżnicowania tu niema. Wszyscy należą do stronnictwa P. S. L. Piasta. W związku z tem i organ tego stronnictwa tygodnik *Piast* najbardziej jest tu czytany, choć czytają włościanie i inne czasopisma. W roku 1924 przychodziło do wsi:

30 egzemplarzy *Piasta*
3 „ *Przyjaciela Ludu*
2 „ *Sprawy Ludowej*
1 egzemplarz czasopisma *Chłopski Sztandar*
10 egzemplarzy *Przewodnika Kółek rolniczych.*

Zaznaczyć należy, że czytelników jest znacznie więcej, jedną bowiem gazetę czyta kilku a nawet kilkunastu włościan.

Wojna światowa wstrzymała rozwój Albigowej, wstrzymała ją w postępie po tej linji wytycznej, jaką nakreślił jej ks. Tyczyński. Odbiła się też silnie na niektórych instytucjach, które powołał do życia. Na terenie Albigowej nie było coprawda żadnej akcji wojennej, lecz ciągłe przemarsze wojsk przyniosły w rezultacie znaczne spustoszenie. Zwłaszcza dłuższy pobyt wojsk rosyjskich podczas inwazji w 1914/15 wycisnął swe piętno na niektórych instytucjach. Ucierpiała znacznie Szkoła gospodyń wiejskich, młyn parowy i fabryka dachówek, uległy zniszczeniu plany i kosztorysy Spółki drenarskiej, przygotowane w celu kontynuowania drenowania gruntów drugiej połowy wsi.

Takby się przedstawiał rozwój Albigowej po odjeździe z niej ks. Tyczyńskiego.

Gdy ks. Tyczyński przybył do Albigowej, była to wieś zacofana pod każdym względem. Jego to w głównej mierze zasługa, że liczy się obecnie do wsi pierwszorzędnych nie tylko w powiecie, ale i w całej Małopolsce. Jego wytrwała praca społeczna pozostawiła tam na wieki godne naśladowania pomniki. Gdyby Albigowa nie wstrzymała się w swym rozwoju, gdyby prace nad podniesieniem ogólnej swej kultury dalej po odjeździe ks. Tyczyńskiego, tak dzielnego pracownika na niwie społecznej, inicjatora rzec można, prac na tym polu, w takim tempie posuwała, mogłaby do dziś stać się wsią pod względem swego ogólnego rozwoju pierwszą w Polsce. A że się tak nie stało, wyprzedziła ją w tym postępie wieś inna, która, dzięki niespożytej energji i pracy również swego proboszcza ks. Wacława Blizińskiego, [1]) posiada dziś te wszystkie organizacje społeczne i placówki umysłowe, jakie każda wieś wzorowa mieścić u siebie powinna. Jest to wieś Lisków, położona w powiecie kaliskim, województwie łódzkiem. Posiada ona piękny kościół, „Sierociniec“ dla 330 dzieci, Seminarjum nauczycielskie, Szkołę rolniczą, Szkołę stolarsko-zabawkarską, kursy rękodzielnicze

[1]) Do takich pracowników społecznych dbających o rozwój ogólnej kultury wsi polskiej należy też ks. Siemieński, proboszcz parafji Szynwald pod Tarnowem.

dla dziewcząt, dwie szkoły powszechne, Dom ludowy, Straż ogniową, Kółko rolnicze, Koło gospodyń, Koła młodzieży, Koła sportowe, drużyny harcerskie, trzy orkiestry, chóry śpiewacze, zespoły teatralne, Klub dla inteligencji, Stowarzyszenie spożywców, piekarnię spółdzielczą, Kasę Stefczyka, Spółdzielnię mleczarską, Stowarzyszenie zbożowe, Spółdzielnię budowlaną, szpital ze stałym lekarzem, ambulatorjum, gabinet dentystyczny, budynek kąpielowy, pralnię mechaniczną. Ma u siebie takie wymogi nowożytnej kultury ak oświetlenie elektryczne, częściowo kanalizację, studnie artezyjskie, dużą ilość drzew owocowych, pocztę, telegraf i telefon.

Przeniesienie się ks. Tyczyńskiego do Leżajska było zatem dla Albigowej wielkim ciosem, tem większem jego śmierć. Mimo bowiem dużej odległości (34 klm.) Albigowej od Leżajska łączność i kontakt ks. Tyczyńskiego z tą wsią do chwili jego śmierci były stale utrzymywane. Albigowianie przybywali do niego często po radę. Ułatwiały im to odpusty w klasztorze leżajskim, chociaż także udawali się do niego umyślnie. On sam do ostatniej chwili żywo interesował się Albigową. Z gości, przybywających do niego w różnych sprawach zawsze najchętniej i najdłużej przyjmował włościan albigowskich, a kiedy w 1924 r. było prawdopodobieństwo, że mógłby powrócić do Albigowej po przeniesieniu się z tej parafji obecnego jej proboszcza, chciał z tego skorzystać. Pamięć o ks. Tyczyńskim i wdzięczność za jego pracę silnie utkwiły w umysłach albigowian. By dać tego naoczny dowód jeszcze w r. 1924 uchwalono na jednem z posiedzeń Kółka rolniczego umieścić portret ks. Tyczyńskiego w sali Domu ludowego. Kółko rolnicze było pierwszą instytucją powołaną do życia przez ks. Tyczyńskiego, ono też pierwsze wystąpiło z inicjatywą upamiętnienia jego działalności przez zawieszenie jego portretu w sali, gdzie odbywają się zgromadzenia.

Ks. Antoni Tyczyński miał głęboką znajomość duszy włościanina i warunków jego życia. To też pracy swej nad podniesieniem jego kultury materjalnej, umysłowej i moralnej umiał nadać taki charakter, że była zawsze produktywną. Każdy swój krok po tej drodze ważył i przygotowywał starannie, to też choć warunki nastręczały

mu nieraz pewne trudności, niepowodzeń stosunkowo było mało. Jak już wspomnieliśmy, warunki jego pracy społecznej w Leżajsku o wiele były gorsze niż w Albigowej. Tu rozkazywał, a jego osoba wśród włościan, można powiedzieć, postrach wzbudzała. [1]) Postępowanie takie zakrawało może na rygor wojskowy, było jednak konieczne, zwłaszcza w początkach jego pracy społecznej w Albigowej. W Leżajsku podobną metodą posługiwać się nie mógł, tu działać musiał więcej jak dyplomata, posługiwał się osobami trzeciemi i zawsze raczej doradzał, niż rozkazywał.

Mówił zwykle niedużo, jednak bardzo jasno, trzeźwo i zrozumiale dla włościan, a siła jego argumentacji była tak zawsze wymierzona i obliczona, że przemawiała do ich przekonań. Przy przeprowadzaniu swych planów zważał nawet na porę roku. Sądził, że najskuteczniejszą w tym celu jest zima, kiedy włościanie stosunkowo najwięcej odpoczywają. Wszystkie też plany w Albigowej rzucał w zimie i w zimie zapadały uchwały tyczące się ich wykonania. Ze zbliżeniem się jej można było często usłyszeć od włościan albigowskich: „oho idzie zima, znowu tu będzie coś nowego".

Mimo tak dużej i intenzywnej pracy miał ks. Tyczyński dosyć czasu na odwiedziny znajomych, a jego plebanja często obfitowała w gości; w Leżajsku mówiono, że plebanja jego to hotel, do którego musiał zajechać każdy przyjeżdżający do tego miasteczka w jakiejś sprawie. Pracy jednak nigdy nie zaniedbał, często zdarzało mu się, nie tylko w Albigowej, ale i w Leżajsku, że po całonocnej pracy przy biurku nad planami i rachunkami bezpośrednio szedł do kościoła odprawiać nabożeństwo.

---

[1]) Dla zilustrowania tego przypomnimy, jak doprowadził ludność do ustawiania się w należytym porządku w kościele podczas nabożeństwa zwłaszcza gdy kościół był pełny. Ten sposób ustawiania się do dziś pozostał. Dziewczęta i kobiety mają miejsce po prawej stronie kościoła, po lewej stronie chłopcy i starsi włościanie w porządku idąc z wiekiem, przyczem dzieci stoją przed głównym ołtarzem; środkiem kościoła było zawsze wolne przejście. Albigowianie, przyzwyczajeni do ustawiania się gdzie kto chciał i jak kto chciał, nie od razu podporządkowali się jego poleceniom. Kilka jednak napomnień, które zwykle wypowiadał z ambony tak poskutkowały, że potem, gdy tylko zobaczyli, iż ksiądz zdąża w kierunku ambony w kilku minutach ustawiali się, jak polecił.

O swe gospodarstwo nie miał czasu się troszczyć, zdawał cały nad nim zarząd w ręce służby; z tego powodu tak w Albigowej jak na parafji w Leżajsku, uposażonej bardzo bogato, ledwie łączył koniec z końcem. W gospodarstwo rolne na tej ostatniej parafji wkładał prawie wszystkie znaczne dochody pieniężne. To też po jego śmierci, która nastąpiła we śnie, skutkiem choroby sercowej, znaleziono u niego 50 zł. całego majątku, nie licząc naturalnie inwentarza gospodarskiego.

Stefan Inglot.

Towianizm na tle historycznem.

(Ciąg dalszy).

A on wtedy:

„Prawda, prawda!“ — i znów, jak raniony się cofa i marszczy czoło i przymyka oczy, i nozdrzami chwyta więcej powietrza! Z rozmów moich tyloletnich z Augustem i z wiedzy o wielu myślach, powszechnie za naszych czasów po świecie kołujących, wynika, że nieraz to, co on myśli, że mi objawia, ja uprzedzam i nie czekając wypowiedzenia, trafiam w konieczny ciąg jego wiar i co miał mi oznajmić, sam ja jemu oznajmiam. Wtedy oko jego spocznie na mnie z podziwem: „prawda, prawda“ — i westchnie i jęknie i przejdzie się po pokoju.

Czasem znów muszę odpierać pewne, jak mi się wydaje, bałamuctwa, gmatwaniny, błędności w pojęciu istotnem, ale nierozdzierzgniętem. — Tak n. p. o Duchu — co to Duch? — zerwałem się, mówiąc mu, że to co powiada o Duchu, wygląda mi na chaos. Okrutnie zrazu tym wyrazem ranny, wstrząsł się; ja mu wtedy się wytłumaczyłem; znów zaczął chodzić i powtarzać: „prawda, prawda, masz rację“. Lecz jak w Władysławie, [1]) jak w Kaysiewiczu, jak w każdem stronnictwie, jak w każdej pysze, jak w każdym kierunku jednostronnym, Idea-gwóźdź tkwi mu na czole; z tą różnicą, że Władysław i Kaysiewicz dobrze wychowani, miarowi, nie gwałtem rzucający się, światowi, — a on ze światem zerwał, to zerwanie ma za cnotę, więc gwałt ciągły, jeśli nie wywarty, to czyhający przynajmniej. Stąd bolesne wrażenie walki, stąd kochającemu nawet, do serca ciągle wtykany bunt i opór przez oddziaływanie Ducha. — Niezawodnie, on jako narzędzie poddał się pod Towiańskiego. Tylko niewolnik może być takim despotą — i wierzę w jego całką, dobrą wiarę, wierzę, że nim trzęsie Towiański, wierzę, że się jego lęka, że go uwielbia. Ale wszystko, wszystko w końcu

[1]) Zamoyskim, generale.

końców z Polski, z miłości świętej i tytańskiej do Polski — z żądzy nieskończonej wydobycia Jej na światło żywota.

Bardzo wiele rzeczy pięknych mówi; zupełnie to samo mistycznie, co August logicznie i historycznie, ani dźbła różnicy. — O Chrystusie pięknie mówił, nie mówię, że prawdę, ale pięknie: „We wszystkich Duch, czystość, cnota, poświęcenie budzi się przez podniety zewnętrzne, duszy lub ciała dotykające, przez żądze lub nieszczęścia; w Nim [1]) jednym obudził się Duch przez absolutną miłość dla ludzi. Chciał, by było lepiej na ziemi i tylko to go wiodło — i o to zniósł najsroższe walki duchowe, w sobie a śmierć za sobą, jeśli tak można się wyrazić.

Już w dzieciństwie, w ośmiu latach, odbył był pracę ducha, na którą innym kilku żywotów potrzeba. On był Bogiem..."

...Tu mu przerwałem, mówiąc: „Był — ale schodząc na ziemię, by dopełnić warunków człowieczeństwa, o tem, że był Nim, zapomniał i dopiero własną usilnością ludzką, trudem i pracą dostąpił przypomnienia i wiedzy tej" — oczywiście to wypadało ze stanowiska, z którego uważają losy Duchów w stworzeniu.

Ogromnie się zdziwił Mickiewicz, żem mu wyrwał to słowo z ust. — „Prawda, prawda!" — I spojrzał na mnie zdziwiony, zaciekawiony.

Do 12-tej takeśmy mówili. Odprowadzając mnie do drzwi, oznajmił, że ma mi gadać o stanowisku, jakie mą powinnością zająć w kraju, a którego hasłem dojść do tego, bym ani dostając się tam, gdzie August był, [2]) ani znów tracąc na godności, mógł poważnie i spokojnie przed samym Paszkiewiczem [3]) mówić o Polszcze, jako Polszcze — jako rzeczy istniejącej i niepokonalnej!!! Obaczymy, jak mi to on wyłoży!"

Zanim podamy następny list Krasińskiego do pani Delfiny, przytoczmy w tymże czasie pisany list do Trentowskiego, a zrozumiemy najlepiej różnicę w stopniu poufności i w rozmiarach szczegółów. Trentowski dowiadywał się tylko o powierzchni — że tak powiem — wrażeń zbiorowych:

„Pan Adam tu przybył przed kilku dniami... Istotnie przejęty potęgą mistrza swego, jest u niego w niewoli, z czego płynie, że sam często w stosunku do drugich wygląda na

[1]) T. j. w Chrystusie.

[2]) August Cieszkowski był niedawno przedtem więziony w cytadeli warszawskiej.

[3]) Namiestnikiem ówczesnym Królestwa Polskiego.

despotę. Ale zawsze to ten sam, żadnem cierpieniem niezużyty duch, duch Tytański, Prometej, przykuty do skały czy nieszczęść narodowych, czy wiar własnych, ale piersią podnoszący kajdany ludu swego, nałożone od Bogów, jedną myślą, co gwoździem wrosła mu u czoła, chcący przewiercić świat myślą o zbawieniu Ojczyzny!" [1])

A teraz wróćmy do zwierzeń Krasińskiego wobec pani Delfiny:

Rzym, 13 lutego 1848 r.

„...Widziałem wczoraj więc po drugi raz pana Adama. Pamiętasz Ty w drugim tomie Blanca [2]) rozdział o Illuminyzmie? Otóż rozważ! Illuminyzm, St Martynizm, lub jak tam, nie przyszedł do nas prosto z Francji lub Niemiec, — prosto szły idee jasne, oczewiste, idee ogłoszone 1789 r. — Lecz on zawrócił się i dłuższą powędrował drogą: przez Rygę i Petersburg i Moskwę. Dopiero na się pewne rysy moskiewskie oblekłszy, zjawił się w Wilnie. — Każda w świecie idea tyle prawie bierze od przyjmujących ją, ile oni, i przyjmujący ją od niej. — Więc nawet prawdy niebieskie, nawet widzenia magnetyczne, mogą się przenastajaszczyć; [3]) to im się wydarzyło na ziemi moskiewskiej. Stamtąd, a później i tam, prąd ich tajemniczo płynący napotkał p. Adam. Zdaje się, że taka sama tragedja później uderzyła i w jego mistrza. [4]) Stąd mongolski t o n, tak wysoko ceniony. Stąd ucisk hierarchiczny, despotyzm wściekły, przypominający urządzenia Weisshaupta [5]) i Piotra Wielkiego. Stąd zwrócenie uwagi raczej na ducha, jako na jakiś materjał, podobny do pary, galwanizmu, elektryczności itd. itd., do jakiejkolwiek siły, stworzonej w naturze, z której własności i przymiotów można wydobyć potęgę, cud. A wszystko służyć ma do ustalenia w ł a d z y, jako celu najwyższego. — Przez świętość tak potrafisz działać na to, co się zwie Duchem, że to, co tak się zwie, stanie się jak piorun, jak piorun do użycia. I to prawda. Ale błąd zależy na tem, że się wtedy

---

[1]) Do Trentowskiego, 13 lutego 1848 r. (Listy, III. 215).

[2]) Mowa tu o dziele p. t. Histoire de la Révolution Française par M. Louis B l a n c. Bruxelles, 1848. Tome deuxième, Tam na str. 61—101 znajduje się rozdział III: „Les révolutionnaires mystiques".

[3]) Z rosyjskiego „nastajaszczyj", prawdziwy, szczery, prawdziwie rosyjski, tu tyle co *zmoskwicić*.

[4]) Towiańskiego.

[5]) Weishaupt, profesor prawa kanonicznego w uniwersytecie w Ingolstadt, był w r. 1776 założycielem sekty i l l u m i n i z m u. Szczegóły tajnej organizacji podaje wspomniany L. Blanc w tomie drugim na str. 73—84.

z Duchami obchodzi mistrz Duchów zupełnie tak, jak pułkownik z sołdatami: musztruje ich batem moralnym, aż się wyuczą strategji, zwanej świętością, zapomocą której można stoczyć bitwę. Myśl zaś prawdziwie polska szanuje Ducha i uważa go za świętą wolność, z której trzeba wydobyć nie tak siłę, władzę, konieczność jakąś, choćby najwyższą, jak raczej Harmoniję! Nie używa więc Ducha, ale prowadzi go i nawodzi ku jego własnemu, wiecznemu celowi! Czy pojmujesz różnicę?"

Rzym, 14 lutego 1848 r.

... Pisałem Ci w liście ostatnim, że p. Adam mi oznajmił, że moje stanowisko istotne w Petersburgu, że tam powinienem reprezentować Topolinę *(Polskę)*. Więcej i szerzej nie chciał mówić, obiecał na drugi raz. — Dziwny duch! taki twardy, taki rewolucjonista w gruncie, a taki despota na powierzchni. Taki konwencją i Piotrem Wielkim przepojon. Taki sam niewolnik, a taki tyran! Powiedziałem mu w oczy ostatnią razą, com go widział, kiedy mi wielkiemi przysięgi dowodził, że, co mówi, nie z siebie mówi, że to prawda Boża. „Wierzę, wierzę, że nie z siebie mówisz — bo dawniej, uważasz, myślałem nieraz, że wszystko z siebie snujesz, z siebie tylko, a używasz drugich imienia, jako pozoru ułatwiającego. Alem odkąd cię spotkał, czuję w głębi serca, czuję nerwami, że to nie Ty, ale cudza w tobie potęga przez ciebie mówi. — Chcesz prawdy? oto czuję, żeś w niewoli!" Na to słowo, co mi się wymknęło, na ten wyraz niewola zmarszczył się i zachmurzył. Ale nic nie odgwałtownił na to, tylko rzekł: „prawda — jeżeli to się zowie niewolą".

Główną jego ideą, czuciem jego zażartem: stworzyć siłę taką przez świętość, którąby mogła od razu wziąć górę tonem swej potęgi nad tonem mongolskim — i zburzyć budowę złego! — Całe działanie powszechne Polski przez wieki i w historji, to co w istocie ona czyni, czego dokonywa, chce on skupić w piersi indywidualne, wyciągnąć, że tak powiem filtr magiczny ze swego narodu ! nim zwalczyć magicznie drugi naród! Chce świętych, musztry wyuczonych, chce świętych, kierowanych przez sierżantów, oficerów, pułkowników. — Śni mu się metoda moskiewska, a w nowej Hierozolimie!

Myślę, że w tem błąd, bo są pewne sprzeczności niepogadzalne — a to owe sprzeczności, z których obie nie połowicami wyższej prawdy zarówno (jak np. arystokracja i demokracja, dające się ściągnąć do jednego narodu), ale z których jedna prawda, jak np. Nowa Hierozolima, a druga czczem kłamstwem, wszelkiej prawdy zaprzeczeniem, jak

np. metoda moskiewska! — Połącz-że fałsz zupełny z prawdą! powstanie nie wyższa, trzecia prawda, ale owszem prawdy pierwszej kalectwo!

15 lutego 1848 r.

(z listu drugiego tejże daty)

„...Był wczoraj u mnie pan Adam. Cały wieczór siedział w moim pokoiczku; mówił otwartszym, wolniejszym sercem, niż dotąd. Rysy tej kolosalnej natury mimo wszystką jednostronność, w którą wpadła, wolniej się odznaczały, niż zwykle. Odnalazłem tego, któregom znał. Wiele mi przywiązania i serca pokazał. Jest wielkość rodzima w tym duchu, coś na kształt rozmiarów Michała Anioła. Otóż mówił o moim położeniu — i rozważał, że dwie tylko drogi wielkie i szerokie dla mnie; inne wszystkie fałszywe, połowiczne, pokrzyżowane, nie drogi, ale ścieżki, a wkońcu przepaść. Więc albo Petersburg, i to mistycznie pojęty: trzaby przemówić do — wiesz kogo,[1]) duchem proroka, duchem wyższej natury, która tak się wyrobiła i podniosła, że pełna już tylko zbawczej miłości ku dobru świata, a litości ku złym — i żeby w istocie tak to się prawdą tej natury było już stało, żeby źli na jej widok uczuli, że granit ich serca pęka i przemienia się na wosk topniejący — więc rozumiesz, pojmujesz, co za ideał wysoki jako Ideał, — a co za śmieszność bezdenna jako praktyka, kiedy się nie jest Chrystusem samym, lub przynajmniej prorokiem, Mojżeszem, Isaim itd. itd.

I ten człowiek tak pewny swego, tak wysoko ceniący potęgi, zawarte w człowieczym duchu, że mi przez chwilę radził to — i chciał namaszczać na takie kapłaństwo. Jednak z wielkim rozsądkiem pojął, że niepodobna — i wnet wtedy drugą drogę, łatwiejszą wskazał: wyniesienie się i służenie z tej strony granicy — to samo, co August radził... zupełnie to samo — „bo inaczej, obaczysz — dodawał, zamiesza się świat, Ty zaś, nie oparty t a m, ni już ocalon t u, przepadniesz, a przynajmniej żyć będziesz w ciągłej fałszywości położenia, w kłamstwie wiecznym, w trwodze nieustannej...“ — Na to odpowiedziałem mu opisem mego położenia i dni stroskanych onych i sędziwych,[2]) z któremi boju nie chcę. — Głowa wtedy wieszcza pochyliła się na piersi, zamknął oczy, jakby uderzony ciosem, — ani jednem słowem się nie sprzeciwił, wziął tylko za rękę mnie i rzekł: „prawda, prawda, szkaradne, arcytrudne położenie, niema co robić, tylko Bogu cię polecić“.

[1]) Cara Mikołaja I.

[2]) Mówi tu o swym ojcu, generale Wincentym.

Ta wyrozumiałość mnie uderzyła w tak straszliwie niewyrozumiałym. — To wszelkie odstanie wnet od rozprawy, to nie przyłożenie do rany żadnego jadu, to milczenie i opuszczenie rąk, dowiodły mi, że jest wielkość w nim, — bo niezawodnie piętnem wielkości dla ducha potężnego jest: umieć się wstrzymać przed pewnemi zapory, jest umieć mieć serce i uczuć serca cudzego uczucie w pewnych, wyrocznych razach.

O komuniźmie potem się zgadało — a on: „ot, widzisz, jest pewien jednak święty komunizm ducha; przecież i tyś w stosunku do mnie go tyle razy sprawował z ducha, z serca, z serca, z uczucia — nie z musu, nie z prawa, nie z obowiązku, kiedyś mi przysyłał pieniądze".

Pod takim kształtem wspomniał i podziękował. To także podziękowanie na rozmiar posągów Michała Anioła... Znać było w tej chwili wielkość w nim... A potem się zbliżył do mnie, znów za rękę chwycił: „Pamiętaj — rzekł — (i to z bolem i wstrętem przychodziło mu mówić) proszę cię, nikomu o tem, com ci o Petersburgu wspominał, nie mów! — bo ty wiesz, jak *oni* to fałszywie rozumieją". — Nie mogę oddać tonu, z którym to *oni* wyrzeczonem zostało. Głęboka w tem boleść, ale jakaś litosna zarazem, choć piołunna była... Przyrzekłem mu święcie i „właśnie dlatego, że wiem doskonale, jak *oni* to rozumieją..."[1])

Rzym, 16 lutego 1848 r.

2-ga z południa. — Od 10-tej z rana siedział p. Adam u mnie. Nie mogłem więc pisać — patrz, jak mi ręce drżą,[2]) — a wiesz, z czego? — Ogromnie się unosił. Boże furory go porywały, gdym mu wystawiał, że nie miecz, ale pokój i harmonję powinien nieść ludziom, nie wyglądać na stronnictwo, które walczy, ale na prawdę i miłość, które koją i do każdego umieją właściwym przemawiać językiem. — Ja zaś użyłem przeciw niemu tego daru, zlanego mojej naturze, który dozwala jej, słabej i nędznej aż do wściekliznу czasem, tam gdzie kocha, stać się zimną, poważną, spokojną nad miarę, — tam, gdzie napotyka walczącą i napadającą na się wściekliznę!

Ten spokój mój doprowadził go do najgwałtowniejszego uniesienia; ale to uniesienie nic nie pomogło. Spokój we mnie trwał; więc o skałę rozbiła się chwilowo wzdęta fala — i wrócił do równowagi i ciszy.

---

[1]) Rozmowa powyższa z Mickiewiczem trwała c z t e r y g o d z i n y, jak w dalszym ciągu tego listu zaznaczył sam Krasiński.

[2]) Istotnie w ośmiu pierwszych linjach tego listu litery są całkiem zmienione, w porównaniu ze zwykłem pismem Krasińskiego.

...Dziwna rzecz, jak człowiek tak odważny, jak p. Adam, w końcu końców lęka się śmieszności i jak mu bolesnem, gdy myśli, że jej wrażenie wywarł na widzach lub słuchaczach. Za to zaraz gniewa się na nich i prawie ich nienawidzi. — Wciąż na Mycielskiego, — nawet na biednego Izydora[1]) wyrzeka, że nie dosyć mężni, że w nich c o ś, ale że się lękają narażenia się na sądy świata i przed klubem Gramont[2]) boją się sławić Chrystusa itd. itd.

Jest w nim wielkość, ale też dzika jednostronność i wszystkie twardości fanatyzmu. Nieraz mi Omara przypomina z bibljoteką aleksandryjską. On-by tak samo rad począć ze światem. Coś zmysłowego w takiej miłości chrześcijańskiej i to ją zamienia w namiętność ludzką, zawistną i zazdrosną. — Zmysłami miłości Bożej mistycyzm — staje się ona wtedy w niektórych silniejszą, ale i walczącą przeciw wszystkim — ale i jednostronną i ślepą! Czy nie prawda?"

17 lutego 1848 r. Rzym.

„...Z panem Adamem zawsze to samo. Strach, strach, w jaką niewolę się dostał ten duch granitowy; jak go Mistrz jego okuł w kajdany i rozbił prometejsko na Kaukazie jakimś ślepej wiary, ślepego posłuszeństwa, — i tylko duchy poezji, co go dawniej znały, jutrzenki, gracje, nimfy, zefiry wiosen natchnienia i niepodległości, płyną przez powietrze po nocy i otoczywszy więźnia, płaczą nad nim łzami tkliwości, żalu, ukochania. Lecz on nie słyszy tych sióstr dawnych swych, jedno trzęsie łańcuchami, nie, by je zerwać, ale, by niemi świat cały rozbić i zdruzgotać — oto obraz jego! Zdaje się w istocie, że ogromna potęga w Towiańskim, że umie obwiązać duszę tak, jak karność mongolska umie ciało, że nakazuje uczniom swym ofiary straszliwe, i że oni, jak Araby przed Mahometem, jak Araby przed Omarem stojący, gotowi palić aleksandryjskie bibljoteki! Wszystko, co p. Adam uczynił na katedrze postradanej, wszystko, co mu poczytali za szaleństwa, wszystko, domyślam się, było z rozkazu: takie posłannictwo mu dano, taką drogę mu wskazano, bez pozwolenia miarkowania kroków swoich na niej.

Opowiada tu Łopacińska, Litewka, granicząca dobrami z wioską Towiańskiego, że już od lat dwudziestu on założył „swą sektę", że na wieść o wzięciu Warszawy[3]) cieszyli się i tańczyli noc całą; bo zawsze odmawiali od iścia do rewolucji, mówiąc, że czas nie przyszedł i że na niczem się

[1]) Sobańskiego ob. Słowackiego listy, t. III, str. 225.

[2]) Arystokratyczny klub paryski ówczesny.

[3]) 7 września 1831 r.

skończy; że Gut, jeden z pierwszych uczniów, nienawidził na śmierć panny jednej w Wilnie; wtedy Mistrz kazał mu się z nią ożenić, żądając tej ofiary, jako dowodu, że się duch jego potrafi przełamywać. — Posłuchał rozkazu, jak Fakir.[1]) — Dalej, straszniejszy jeszcze szczegół opowiada Łopacińska — czy można wierzyć? — że Gut, będąc doktorem, leczył kogoś — pyta się go Mistrz: „czy prędko wyzdrowieje?" — a Gut: „lekko chory — wyleczy się za tydzień". A Mistrz: „znam dzieje tego ducha, wymagają pokuty dłuższej dla podniesienia się i ekspiacji" — a Gut: „mogę mu lekarstwami sprawić zatwardzenie wątroby, wtedy pociągnie choroba ze sześć miesięcy". A Mistrz: „Niech się stanie tak"; a Gut: „Dobrze". — I usłuchał rozkazu! Czy to być może?

Ślepa wiara, ślepe wszelkie posłuszeństwo, zdanie się na łaskę sumienia cudzego, kiedy Bóg każdemu z nas udzielił się sam pod postacią sumienia jego, wiedzie do okropnych zjawisk. Zaprzedać wolność sumienia komubądź, nawet wyniosłemu czemuś, to jest: po djabelsku dążyć do piękna i dobra. Wolność złotym przywilejem ducha ludzkiego; — skoro ją kto w nim zaćmi, to go opęta — i bywają czarty o twarzy anielskiej ze skrzydłami ze światła!

Duch polski odpiera taką niewolę!

Ale, że jest namiętność szalona, że jest potęga ogromna, że jest życie ponure, pogrzebne, skazane, fatalne, ale życie wrzące w panu Adamie, to pewno! 49 lat, a jak młodzieniec krzyczy, skacze, zapala się, wierzy, stąpa! Wszystkie mury głową-by rozwalał — wszystkie piersi ludzkie targał rękoma, by po meksykańsku serca z nich wydobyć i na ofiarę poświęcić woli mistrza! Jakby mu płynem magicznym kto żyły ponapajał i odstarzył. Włosy mu się jeżą, gdyby siwe promienie — oczy iskrzą, jak żądła djamentowe. Czerwienieje, jak purpura królewska. Przeciw takiemu człowiekowi trzeba być bladym, zimnym, poważnym, spokojnym — a to wszystko jednak od głębokiej miłości. Kto się miłością nadeń nie podniesie wyżej, ten będzie musiał paść w konwulsjach na ziemię przed nim!"

---

[1]) Jest to przykład jednej z licznych plotek, krążących wówczas o Towiańskim. Gut ożenił się z rodzoną siostrą p. Towiańskiej. Siostry żyły razem na emigracji w najlepszej zgodzie. Inne szczegóły charakterystyczne o propagandzie Andrzeja Towiańskiego na Litwie przed wyjazdem do Paryża opowiada w swych pamiętnikach Edward Massalski. Ob. Zbiór wspomnień, wydanych przez H. Mościckiego p. t. „Z filareckiego świata" Warszawa 1924 r., zwłaszcza str. 272—274 i 355—356.

Rzym, 19 lutego 1848 r.

„...Jużem p. Adama od ostatniego razu nie widział. Chcę mu dać poczuć, że uniesień takich nie kocham, choć wytrzymać je podołam. Potem niewolniczość jego mnie boli, rani, obraża. Po rozmowie z nim każdej, jak gdyby po bitwie, w której musiałem stać na miejscu i niewzruszonością tylko opierać się gradom kul i bomb. — On mnie boli!"

Rzym, 20 lutego 1848 r.

„...Wczoraj w wieczór poszedłem do księży. Jełowicki i blady Hube mnie przyjęli — o potędze piekielnej Towiańskiego mówili. — Jam im twierdził, że nie wiem, czy piekielna, że wiem to tylko, że potęgą jest niechybnie, niezawodnie — i że przeciwko niej tylko jedną znam do postawienia, jeśli chodzi im o rozkucie więzów Adama — a ta jest potęga Makryny, nabyta zasługą męczeńską...[1]) Pan Adam więc musi ukłon oddać w niej, swojej własnej zasadzie, a jeśli ona wtedy natchniona powie mu, że służy potędze złej, toć go to wzruszyć powinno.

Tak mówiłem księżom. Dziękowali za radę. Zresztą-m o żadnym szczególe rozmowy z p. Adamem żadnej mojej ani wspomniał. Ale wiesz? to dziwnem: Makryna nie może się modlić o niego.[2]) Skoro zacznie, powiada, że w kamień się język jej obraca, że wszelka tkliwość ducha w kamień, wszelkie natchnienie w kamień. O Towiańskim zaś samym mówi, że ogromna, niesłychana potęga, ale zła — i że wielu ludzi zwiedzie, wielu księży nawet przeciągnie do siebie. — Adam żądał posłuchania od papieża; — przystał papież, ale pod warunkiem, by przynajmniej jeden świadek był przytomny. Adam zaś żądał, by nikt. Jużci, że to wszystko dziwne, to pewno. — Osobliwie, to kamienienie duszy w Makrynie, to niepodobieństwo pomodlenia się za człowiekiem, o którym sama mówi, że go kocha za to wszystko, czem się narodowi przysłużył.

Od księży poszedłem do pana Adama, który zaraz obok mieszka. Jemu, naturalnie anim wspomniał o księżach. Rozmawialiśmy do pierwszej w nocy. Nie wprowadzał na scenę Mistrza. Gadał o rządzie francuskim — o ex-profesorach,[3]) o królu, wybornie, malowniczo i głęboko... O Sandowej[4]) się zgadało. Ja mówię: „wszystko zanegowała, jest

[1]) Prawdziwą postać Makryny Mieczysławskiej odkryły dopiero badania ks. J. Urbana, ogłoszone drukiem w rozprawie p. t. „Makryna Mieczysławska w świetle prawdy". Kraków. 1923 r., str. 139.

[2]) O Mickiewicza.

[3]) Guizot.

[4]) Pani George Sand.

tylko krytyką samą i burzeniem. Lecz iskry bożej żywota harmonizującego i stawiającego coś na miejscu gruzów poczynionych — niema!" — „Wielki duch — powiada on, ale nie umie tak żyć, jak pisze". — „O, tak" — odpowiadam — „wszędzie w pismach ideał miłości stawia, a sama rozpustnicą obrzydliwą". — „To nie to" — odpowiada — „mnie nic do tego; ale wszędzie głosi, że się z *ouvrierami*[1]) trzeba łączyć, a czemuż córkę za robotnika nie wydała? — albo nie pisz, albo tak czyń, jak piszesz; albo nie stawaj wodzem w bitwie, albo giń i gub się z wojskiem, które prowadzisz". Tak pojął u Sandowej nieurzeczywistnienie Ideału!"

Rzym, 22 lutego 1848 r.

...Wczoraj p. Adam przyszedł do Makryny. Na jego widok wstała ku niemu i nic mu zrazu powiedzieć nie mogła, tylko westchnęła ogromnie. To westchnienie tyle prawdziwej boleści w sobie wyrażało, że p. Adam mówi, iż jak nożem serce mu przeszyło. Potem, jak w epopeach wymieniali sobie swoje nazwiska: „Ja jestem Adam Mickiewicz, wygnaniec z Litwy". — „A ja jestem ona mniszka, przerzucona przez świat cały z Litwy na tę ziemię włoską". — To bardzo śliczne! jakby chronika lub poema średniowieczne! Trzy godzin siedział Adam. Co mówiła mu, nie wiadomo; ani co on jej; bo ona mówi, że w natchnieniu wszystko mówiła i zapomniała. Dość na tem, że się z krzesła obalił pan Adam, spłynął do nóg jej, płakać, szlochać zaczął okrutnie i wołać: „wszystko uczynię, co każesz, wskaż drogę, a tylko duszę moją zbaw, zbaw duszę moją, bo bardziej skołatana i zmęczona niż ciało tułacze".

I klął obok niej — i ona modliła się z nim — a wśród modlitwy wyrzekła, na to, by on powtórzył za nią: „wyrzekam się Towiańskiego, a on powtórzył, może mimowoli. — Wczoraj w wieczór poszedłem doń, alem zastał u niego Norwida; więc wyszedłem. Później Norwid mnie dognał na Piazza di Spagna i nie wiedząc o tem, co się było stało zrana, opowiadał mi, że zastał p. Adama jakby rażonego jakimś nadzwyczajnym wypadkiem i często monologującego z sobą samym: „strach, strach, jaka to mniszka. Spojrzeć tylko na nią — strach!" a to mówiąc, garbił się i pochylał ciało całe. Dziś o $6^1/_2$ zrana był na mszy u niej i siedział z nią do 10-ej; płakał, w piersi się tłukł — mówił jej, że go wszyscy ścigali, prześladowali, słowa dobrego nie dali, że on był bardzo biedny, że tylko u niej miłość znalazł, że wszystko, co każe, uczyni.

Więc odgadłem, że na tem polu ona tylko jedna z na-

[1]) Robotnikami.

dzieją jakiejś wygranej przeciwko niemu wystąpić mogła, a raczej przeciwko jarzmu niewoli tej olbrzymiej, nałożonemu jego duchowi przez Mistrza. Doskonale się jej udało wprzód jeszcze o Towiańszczykach: „ci ludzie psują język polski. *Mistrz* po polsku to: *Kat*".

Pamiętasz, ilekroć w tym samym Rzymie mówiłaś do mnie: „Ah, żeby Chrystus był za dni naszych gdzie — jak żebym poszła do nóg Mu się rzucić". I nie ty jedna tak czuła — świat podobno wszystek tak czuł. — Gdy jakie czucie w świecie powszechne, zawsze się zdarza, że pojedyńczy jakiś człowiek to czucie na siebie jednego przemieni i wystąpi krystalizacją tego czucia. Wielu nawet pojedyńczych ludzi o to się kusi i stara — i wielu przepada w tem kuszeniu się o wyrażenie sobą powszechnej żądzy ludzkiej. — Jednym z takich zapewnie Towiański. Ale musiał do wysokiego stopnia doprowadzić panowanie sobie, moc ducha, potęgę skupienia się w sobie.

Niebezpieczna to droga! straszna! reprezentować Boga na planecie, kiedy już tak trudno powiat jeden na Sejmie, naród jeden w Europie!

Bądź co bądź, to sobie zachowaj w pamięci, że twierdzę, iż w tym człowieku niesłychana jest siła! — myślę zaś przytem, że nie zupełnie czysta! Na Mahometa wygląda!"

Rzym, 25 lutego 1848 r.

„...Wczoraj wieczorem byłem u Adama. Czytał mi list Aleksandra Chodźki, pisan do Mikołaja,[1]) a dyktowan przez Towiańskiego, z dymisją, posłaną przez Chodźkę, który był w Persji konsulem. — O ten to list, zaniesion do ambasady moskiewskiej w Paryżu, Kamiński wystąpił[2]) i oskarżył ich o dążenie panslawistyczne. — Oczywiście Kamiński inaczej tego listu nie potrafił pojąć i żaden z Polaków niewysubtilizowanych wielu myślami i nie przywykłych do gimnastyki umysłowej wieku naszego, nie zdołałby inaczej go pojąć. — Trzeba mi było, gdym słuchał jego czytania, wszystkiej siły subtelnej mojego umysłu, by usprawiedliwiać co chwila nadarzające się w nim frazesa. — Poprostu myśl główna, pokusa niebieska, którą kuszon przez Towiańskiego w tym liście Mikołaj, taka, żeby zrozumiawszy Chrystusa, który dotąd jeden tylko na ziemi umiał i zdołał być P a n e m i M i s t r z e m, — stał się na czele szczepu słowiańskiego, w którym jedynie się zachowała iskra Chrystusa, P a n e m

[1]) List z d. 18 sierpnia 1844 r. — Ob. Wybór pism Towiańskiego w wydaniu II Stan. Pigonia (Bibl. Narod. Nr. 8) str. 126—133.

[2]) Mikołaj Korwin Kamieński, podpułk. 7-go pułku ułanów (1799—1875) ogłosił swą odezwę w sprawie listu Al. Chodźki 16 lutego 1845 r.

wszechwładnym świata, a zamiłośniona wtedy w nim Ludzkość odda mu rządy nad sobą! Pojmujesz? Pojmij, jak oni pojmują: wyzew posłany sumienia do Mikołaja, do potęgi ogromnej w świecie, by pierwsza śród wszystkich przechrystusowała się, a wtedy w istocie stała się Triumfem Chrystusowym, ogarniającym planetę, rządzącym planetą.

Oczewiście rząd moskiewski żąda tego samego, ale ku temu zdąża piekielnemi sposoby; — oni [1]) mu powiadają: „piekielnemi nie potrafisz, ale anielskie przybierz, a stanie się prawdą sen twój". Taki sens główny całego listu. Nad szczegółami się nie rozwodzą; dają do zrozumienia, że jeśli chcesz zostać wszechcarem świata, to się z nami zapoznaj, my ci damy tę władzę, ale ty nas słuchaj, bo człowiek, który ci ten wyzew posyła, jest organem Słowa, kiedy Chrystus był Słowem samym.

Jest tam taki frazes: *Dans ces temps, Sire, de miséricorde du Seigneur, la dure limite, établie entre les vivants et les morts, s'est radoucie et les Esprits des morts, entre autres l'esprit de l'empereur Alexandre, entourent le trône de votre Majesté.* [1])

Cette limite radoucie bardzo mnie uderzyła, bo nieraz tak-em mówił, że przyjdzie do tego za dni naszych jeszcze. Zresztą rozumiem, że każdy Polak, który list ten przeczyta, odbierze wrażenie zmoskalenia się Towiańczyków. — Inaczej być nie może — a rząd, do którego ten list pisany, niezawodnie dość subtelny i przenikliwy, by pojąć, że mógłby wielu pomiędzy niemi, udając, że przystaje na ich mistycyzm, zyskać sobie i sługami swemi obłąkanemi uczynić. — Jednakowoż, wszystko to pochodzi z tej zasady, że Towiański, wciąż się stawiając na stanowisku Chrystusa, całkiem przybiera ruchy i postawę rozkazową Chrystusa; nie tylko przepis Chrystusowy chce wprowadzać dalej w czyn, — ale zupełnie drapuje się jako drugi Chrystus. Pojąć-by można, że Bóg tak wzywa Mikołaja — rozumiesz? i dlatego Bóg by nie był moskalem.

Lecz Polak, który tak wzywa Mikołaja, musi niechybnie wpaść w pewną barwę moskwicyzmu! Pojmujesz? Że go zaś słuchający i czytający za Boga nie uznali wszyscy, więc tym, którzy go nie uznali, musi koniecznie w optyce ludzkości swej wydawać się nieco zmoskwiciałym, a raczej ku Moskwie nakłonnym! Chciałbym, byś to dobrze zrozumiała.

...W głębi ducha Adamowego niezawodnie wre dla

---

[1]) Towiańczycy.

[2]) Ob. Wybór, 2 wyd., str. 132 i uwagę p. Pigonia na str. 126 o stosunku tekstu francuskiego do oryginału polskiego.

Polski wulkan i dymy tylko tego wulkanu czasem mogą zmylić wzrok, szukający jego wrzących płomieni; — niema na tej ziemi ogni bez dymu!

Makryna ogromne wrażenie na nim wywarła. — Wciąż o niej mówi. Między jej potęgą, w istocie nadzwyczajną, i potęgą Towiańskiego, w istocie niezwykłą, odbywa się rozdzierający bój w sercu tego człowieka.

Jednak myli się, kto myśli, że Towiański pobity, pokonany! O, nie! Wczoraj mi mówił:

„Jeden tylko był Chrystus na ziemi, który to samo czynił w każdej chwili, co myślał i mówił; — myślał zaś i mówił po bosku. — Drugi zaś był człowiek, Napoleon, który najwięcej się zbliżył do tego pod tym względem, że także wciąż działał, jak myślał i mówił. Ton jego czynów ten sam, co ton jego bulletynów; i to wielkości znamieniem *(wielka prawda!)*. Jednak nie myślał i nie mówił bosko, — ale dość na tem, że ciągle równy był działaniem swym swemu myśleniu. Otóż znałem człowieka, który tę sztukę doprowadził do najwyższego stopnia doskonałości, który całym sobą jest tem samem, co myśl w głowie jego, co słowo na ustach. Inny każden duch, coby tak trzy dni przeżył, jak ten człowiek żyje, dopełniając w każdym postępku, za każdym krokiem, całkowitości swojego pojęcia — nie wytrzymałby, zginąłby, p o d e r w a ł b y s i ę. Otóż nie wiem, kiedy zdarzą się przeczucia tego człowieka, ale wcześniej czy później — może za kilka wieków — duch tego człowieka... tak! być nie może inaczej — duch tego człowieka świat przebije!"

Na te słowa pomyślałem sobie w smutku, gorzkim jak piołun wieczności: „Czyż znów to samo? czyż znów po wiekach tylu oblężona Hierozolima? Rzymianie podsuwają się z taranem pod bramy, bronią się zelatory wściekle, a bramą jakąś tam boczną wychodzą pierwsi chrześcijanie, gardzący obroną miasta świętego, idący obalić Rzym i pogaństwo; — ale dopiero za wieków trzy lub cztery!

Jak błyskawica ze stopionych sztyletów płynna, przeleciała mi ta myśl przez mózg.

Wiesz, wszystko co widzę, wszystko, czemu się przypatruję, raczej wiarę moją obala — (nie bój się — nieobalalna!) niż podpiera! Wydaje mi się, że ten planeta mgłą czarną oddzielon od Boga; że czasem po mgle tej okrężnej rozlewają się czerwonawe połyski, odbicia świateł wiekuistych z oddali — ale nie samo światło. Wygląda mi na to, jakby nie było obcowania Duchów naszych ze samem światłem, jedno z temi czerwonawemi na mgle odbłyski!

Moment ci jeden duszy mej rozpowiadam, smutny bardzo, ale nic więcej, moment tylko! — To mistycyzm ma do

siebie, że duszę upaja, ale nie uspokaja — on wstrząsa, obala o ziemię, lub porywa w niebieskie lazury, ale nie koi! nie koi!

Jednak jest, jednak żyje, istnieje. Kto mu zaprzeczy? Jest! — Smutno mi!

Widok takiego boju między potęgami dwiema mistycznemi — jakby na ziemi, duchów bój nieziemskich!

. . . . . .

Wielu z nas nie ujrzy, chyba z zaziemskich przestrzeni, dnia triumfu! Iluż-to poginie jeszcze wprzód po lochach, twierdzach, Sybirach, — ilu na polu rzezi, na polu bitew! Bo wszystkiego tego poddostatkiem będzie. Będą po pewnych miejscowościach rzezie, w innych bitwy wielkie! Ah, co ofiar, mąk, prób, łez, krwi, — nim wola Boża zwycięży ludzką zszatańszczoną wolę!

Ja z tych, którzy nie wejdą do ziemi obiecanej".

Rzym, 27 lutego 1848 r.

„...Dziwnie, dziwnie wszystko tu się odbywa. Wiesz, pan Adam, gdy tu przybył, dziewięć pawłów [1]) wszystkiego mu pozostawało w kieszeni. Jednak nikomu ani słówka nie mówił — w wierze najsilniej stał, że Bóg mu przyszle. Dowiedziałem się o tem wczoraj z boku.

Ktoś [2]) mu zadawał to pytanie: „ale jakże? toż trzeba było powiedzieć; jakże dalej by było poszło?"

— „Alboż to pierwszy raz? tak zawsze się dzieje; ileż to już razy w domu ani grosza, i ani kawałka chleba. Dzieci wołają *jeść!* a niema za co im dać. Lecz ja się nigdy nie troszczę o to. Pan Bóg zawsze nadeszle".

Kuty duch na Michał-Anielskie rozmiary. Co dzień z rana u Makryny mszy słucha we łzach, biciach się piersiowych, nikogo z otaczających nie spostrzegając, czasem w nerwowych podrzutach. Potem idzie do *Scala Santa*, tam kilka godzin przepłacze, przemęczy, przemodli, przeklęczy, przeduchni...[3]) Koniecznie, koniecznie chce z siebie wydobyć oną potęgę świętości, która zdoła wygrać we wszelkiej walce na planecie. — Tytany dawniej chciały wszturmić się do Olimpu — on dziś wżyć się, wkonwulsyjnić się do Nieba.

. . . . . .

Do pierwszej siedziałem u p. Adama. Dziwne, dziwne rzeczy mówił, prawdy wiele, a przy prawdzie niestworzone

---

[1]) *Paolo*, ówczesna moneta papieska.

[2]) Najpewniej tym ktosiem był sam Z. Krasiński.

[3]) Tak w autografie, tyle co: *zatopi się w duchu.*

czasem połyski czegoś takiego, czego i nazwać nie sposób; bo jakżeż chcesz nazwać opowiadania o człowieku, który nie będąc szpitalnym, związanym warjatem, o sobie mówi: „Ja Bóg", a niezawodnie z opowiadań i słów p. Adama to wypada o Towiańskim. Wierz mi, który śmie taki ciężar podźwignąć, który śmie takie słowo wyrzec przed bracią, przed bliźnimi, przed ludźmi drugiemi, a nie jest warjatem, powtarzam, ale po wyrzeczeniu tego słowa, po daniu sobie takiego świadectwa jeszcze żyje, chodzi, spokojny jest — taki człowiek jest duchem niezmiernie silnym i okropnej może, lecz ogromnej potęgi.

„Znałem i widziałem, znaliśmy i widzieliśmy człowieka takiego, który chrześcijańską siłę pierwszy w świecie władnącą siłą, siłą rozkazu, siłą panowania, siłą strachu uczynił. Widziałem i znałem, widzieliśmy i znaliśmy go jedzącym, pijącym, nawet tańczącym (i to słowo całą piersią krzyknął).

Zaprosił do poloneza nas i poszedł w pierwszą parę, a wszystko to odbywał nie po ludzku; coś tam niebieskiego, nadludzkiego było w każdym ruchu i kroku: taka powaga, godność, zacność, takie chrześcijaństwo żywe. I po polonezie rzekł:

„Dopomnę się po wiekach u Polaków takiej zabawy".

Na tom się zapytał, niby nie dosłyszawszy: „Dopomną się, kto? jacy dopomną się po wiekach?"

— „Dopomnę się, nie dopomną się — odrzekł — co znaczy dopomni się Bóg po wiekach u Polaków takiej zabawy, dopomni się, czyli doszli do takiego wykształtu przyzwoitości i zacności w zabawie".

I Gierycz, uczeń przytomny [1]) wstał, bo był tam i rzekł: „Strach, co jest, znam. Kiedy wściekły książę Konstanty rzucał się na nas, drżałem, jak przed psem wściekłym, ale to nic, nic, nic w porównaniu z strachem doznanym, gdy Mistrz przemówi, a nigdy jednak się nie gniewa, ni unosi". — „Na cóż pierwiastek strachu zawsze — odrzekłem — ludzie śladów bożych na ziemi w strachu nie mogą odnaleść, szukają ich w miłości".

Wtedy p. Adam: „Jakto? strachu nie potrzeba na złe, przeciwko złemu? przeciwko Moskalom? alboż kawał Moskala w tobie, we mnie, w każdym nie siedzi? Jakże go wyrzucisz?" — Jednak to pewno, odparłem, że was o gwałt i sianie tego strachu oskarżają najwięcej i pojmuję, że gniew i gwałt nie trafia do serc ludzkich za posłanników Boga".

— „O nas mniejsza, odpowiedział, my ludzie, my nieraz przewinili i zbłądzili, my nawet i apostołami jego nie będziem, nie jesteśmy — prawda, my nieraz przewinili gnie-

[1]) Obecny.

wem i uniesieniem — ale, żebyś był widział, jak nas prześladowali, ścigali, jak odpierali Polacy, jak wołali: „szpieg i oszust!“ — ah! tego na zimno wytrzymać nie można. A wszystko Faryzeusze, wszystko za to, że im spokój ducha przychodzimy mieszać, o Bogu mówić. Polacy Boga nadewszystko nie cierpią — wszystko przebaczą, darują, zapomną, tylko wspomnienia o Bogu, nie!“

Na to ja: „Są i tacy, prawda! Lecz ja znałem innych — słuchaj, znałem takich, którzy pewni byli, a pewni przeczuciem, ową siłą ducha, przekonani, wierzący tak jak wy — wiesz w co?“ — „W co?“ — „Oto w to, żeście z piekła — że wasza potęga piekielna“.

— „A więc dobrze, dobrze! dawaj mi takich, a szczerych. Niech więc duch na ducha pójdzie, niech się odbędzie walka duchów i niech się pokaże, kto zwycięży?“

I znać w tej chwili było w nim, że chciałby nieskończenie gorąco p r a w d y p r a w d z i w e j — i w istocie walki takowej, by się przekonać, kto zwycięstwo otrzyma.

Makryna nim wstrząsła ogromnie, ale... ale — ale... on wciąż Mistrza ma... sama widzisz, za co!

Mnóstwo w Mickiewiczu Augustowych[1]) rzeczy, tylko że pod kształtem czucia rozgorączkowanego, a nie spokojnej rozwagi i dowodu myślnego — ale mnóstwo! W końcu końców moralność zupełnie ta sama — w dogmatyzmie także zasady jedne. Jakżeż oni, ci dwaj ludzie tak mało się zrozumieli?! Forma ich tylko przedzielała. Tu uczucie, tam inteligencja! O, Boże! sam rozstrzygnij! o, Boże! na pomoc, na pomoc!...

Biedna Polsko moja, co się dzieje w twojem łonie!? Jakżeś ty rozdarta i rozbita![2]) O, Boże! na pomoc! — Ktoby mózgu nie miał *à trois rubis*, jak dobre zegarki, toby mózg mógł mu stanąć! Wciąż o duchach słyszeć! wciąż o cudach! wciąż widzieć ślady potęg nadzwyczajnych na twarzach i w gestach ludzkich!

Ale dość już o tem. Cobądź się stanie, myślę, że w tym wieku, że o tej godzinie dziejów człowieczeństwa, trzeba umieć być zarazem i z e l a t o r e m na okopach i p i e r w s z y m c h r z e ś c i j a n i n e m. Pod tym warunkiem pogodzenia wszystkiego, wszystko utrzyma się!“

Rzym, 1 marca 1847 r.

...Wczoraj z rana Adam się spowiadał tam, gdzie mieszka Makryna, a wiesz komu? śmiertelnemu nieprzyja-

---

[1]) T. j. Cieszkowskiego.

[2]) Westchnienie Krasińskiego z roku 1848, ale czy nie można tak samo westchnąć w roku 1925?!

cielowi: Jełowickiemu księdzu. Eliza [1]), która była u Makryny podczas tej spowiedzi, w przyległej sali się odbywającej, mówi, że słyszała jakby krzyki rozpaczy, jakby ryki krajanego nożem. Wystaw sobie, że jakaś siła nadludzka zmusiła posąg Mojżesza [2]) wstać z kamiennego siedzenia w kościele św. Piotra *in vinculis* i pójść przez Corso do Hojera (tego, co medalion twój robił) i prosić go o to, by mu kształty poprawiał — posąg Michał-anielski ten, wystaw sobie pod dłótem poprawczym otyłego Saksona!; — albo Venus medycejską żywą pod nożem chirurga jakiegoś, co jej pierś rozkraiwa i chce ją przemienić na takiego *vernished gentleman* — a będziesz miała wyobrażenie mąk Adamowej duszy, spowiadać się zmuszonej takiej miernostce złośliwej i małej, staropanieńskiej i cierpkiej, karlanej i suchej jak Jełowicki! Tytan w więzach u karła jak w Eddzie skandynawskiej bywa; lew konający pod łapą lisa lub borsuka... Bo jużci Jełowicki przez lata ścigał za tym ideałem, by on, mierny i próżny, dostał w moc swoją urzędniczą — pychę i gieniusz Adamowy, który jego próżność złajał, podeptał, skaleczył. — I stało się!

Urząd doprowadził messjanizm do zgięcia kolan przed sobą. Ryczał też z bólu messjanizm! Lecz rozważ także jaka to pycha, chcąca szturmem zdobyć władzę cudowną, niebieską — u Adama. Tą żądzą bez miary miotan, to u Towiańskiego sił nabiera, to znów padnie do stóp konfessionału Jełowickiego! Czy tak, czy owak chce celu dostąpić.

Zapewnie myślał, że gdy dopełni takiej nieskończonej ofiary, gdy tak się przegnie w dziesięcioro, tak się poniży i upokorni duchem, toć zaraz potem wstanie z pod tego konfesjonału jak olbrzym w obliczu Boga; że nieskończoność pokory da mu nieskończoność potęgi! Szturmem wziąć Boga! Boga, czy tak owak zmusić! oto myśl. oto zamiar!

A małe serce Jełowickie jakżeż musiało się ropuszyć z radości, z odniesionego nadymać się triumfu; bo ono nie czuło, że Adam w tejże samej chwili ma je tylko za narzędzie do swojego celu, że używa jego jak kleszczy brudnych i twardych do brania z niebieskiego pożaru — węgli rozżarzonych! Ono pewnem było, że w tej walce zwycięstwem się już cieszyć może — a to pewno próba tylko Adamowa: czy pokora najgłębsza dobrym jest sposobem do najwyższej potęgi!?

Dramat to cały: [3]) Makryna, Adam i Jełowicki. — Bło-

---

[1]) Żona Zygm. Krasińskiego.

[2]) Rzeźby Michała Anioła.

[3]) Dramat ten, jak wiadomo, odczuł po wielu, wielu latach Wyspiański w znanej scenie *Legjonu*.

gosławiona, a prosta, Tytan szturmujący do sztucznych cudów — i prozaiczny, mierny, próżny człowieczek. Tragedję bym mógł z tych trzech osób napisać. Tymczasem nie napiszę jej!

. . . . . .

Dowiaduję się w tej chwili, że wczoraj spowiedź Adamowa $2^1/_2$ godzin trwała i jeszcze nie dokończona, bo dziś znów tamże poszedł i spowiada się, a wczoraj oba: on i spowiednik wyszli z konfesjonału łzami zalani. — Jednak po południu w jakiejś kawiarni Norwida napotkanego złajał pan Adam i tak spojrzał nań, gdy ten mówił, że Kościół ma prawo wymagać cierpliwości od ludzi i nie spieszyć się na drogach swoich, — że aż struchlał i powiada, że już nigdy nie przemówi do p. Adama.

Rzym, 2 marca 1848 r.

. . . . . .

„W tejże chwili dowiaduję się, że p. Adam wczoraj się jeszcze spowiadał od 10-ej do 2-ej temu karłowi moralnemu, zwanemu Jełowickim — i dziś ów karzeł napuszony głośno oświadczył po mszy osobom przytomnym, że p. Adam poddaje stę decyzji Kościoła i Papieża. Dał mu zaś absolucję wczoraj z pełnomocnictwa papieskiego, po które był się udał, nim przystąpił do spowiadania tak wielkiego Heretyka! Twierdzi zaś karzeł, że cechą tej herezji jest, iż utrzymuje, że Chrystus nie Bogiem przyszedł na ziemię od Ojca, ale przez pracę duchową na ziemi z człowieka wyrobił się Bogiem.[1]) To twierdzenie karła może prawdą; mnie jednak się wydaje, że oni[2]) myślą tylko, iż, podlegając prawu ludzkości, Chrystus, który był istnie Bogiem, skoro się wczłowieczył, zapomniał, że był Nim i dopiero pracą duchową się podnaszał nazad do Bóstwa tak, że się stało, iż będąc Bogiem i bywszy Bogiem, nie mniej jeszcze i stał się Bogiem.[3])

Bądź co bądź, karzeł triumfuje: Pana Adama nie widziałem. Biedny, rozdarty, walczący duch! Skała granitowa, miotana na wsze strony jak trzcina, trzęsieniem ziemi! Płacząc zacząłem, płacząc ten list kończę".

Rzym, 3 marca 1848 r.

. . . . . .

„Widziałem wczoraj w wieczór p. Adama... Łagodniejsza twarz, spokojniejszy umysł; jednak myślę, że mimo spo-

[1]) Podkreślone w autografie przez Krasińskiego.
[2]) Towiańczycy.
[3]) Podkreślone w autografie przez Krasińskiego.

wiedzi i wyrzeknień się, nie odstępują go jego myśli. Może osobistości Towiańskiego samego się wyrzekł i pomysłu o Chrystusie, lecz reszta trwa. Zresztą trudno osądzić jego ducha. To pewno, że łagodniejszy daleko i wytrzymujący z słodyczą rozprawę i zaprzeczenie.

. . . . . .

...Towiańszczyzna piekielnemi sposoby radaby świętość i dobro wprowadzać — tak, jak na politycznej niwie równość, wolność i braterstwo rok 1793 chciał wprowadzać. Głowę ściąć rodowi ludzkiemu na to, by mu szczęście dać. Każda prawda, choć najwyższa, co takiego środka się chwyta, natychmiast się staje tylko prawdy połową — absolutność swą traci, bo świętości się swej pozbywa. Otóż to mongolski pierwiastek w objawianiu Bożych prawd. — Duch polski, spragnion przedewszystkiem wolności, występuje przeciw takowemu pierwiastkowi...

Pan Adam musiał wkońcu klęknąć u stóp Jełowickiego, Jełowickiego nawet! za to, że był tyranem lub niewolnikiem (bo to jedno wkońcu) — upokornić ducha przed karłem! — Jedno prawo rządzi wszystkiem. Miłość tylko miłością się rozlewa — światło światłem tylko!"

Na wiadomość o ucieczce Ludwika Filipa z Paryża i o ogłoszeniu rządu rzeczypospolitej we Francji, Krasiński wzburzony i zaniepokojony o los pani Delfiny, przebywającej w rewolucyjnym Paryżu, pisze do niej d. 3 marca 1848 z Rzymu:

„Od szóstej godziny, o której się dowiedziałem *(o rewolucji paryskiej)* wciąż się pasuję z duchem Adamowym, który mnie przeklina, że ja się nie dość cieszę — a ja jego, że on serca ludzkiego już w piersiach niema. — Okrutnieśmy się pasowali.

Straszny człowiek! fanatyk, ale pełen wiary swej. Mówi, że wiedział i do najdrobniejszych szczegółów o wszystkich tych zgonach, o końcu tej rodziny, [1]) przepowiedzianym przez Towiańskiego. — Według tych proroctw Ludwik Filip ma być wpół żywy jeszcze w ziemię zakopan — *horrendum* — wszyscy synowie mają skończyć okropnie".

Rzym, 8 marca 1848 r.

„...Przed kilku dniami Makryna przepowiadała, że trzech królów przybędzie do Rzymu prosić Piusa o opiekę. Dziwnie ta kobieta zgaduje przyszłość. Ona to zawsze twierdzi,

[1]) Ludwika Filipa.

że w Towiańskim piekielna potęga. Zupełniem tej samej myśli. Pamiętaj, o duszo! pamiętaj, że to ostatnie moje zdanie o nich — i strzeż się ich, a zwyciężysz zawsze każdego z nich, gdy im te słowa powiesz: „Chrystusa w sercu nie macie, a Chrystus jeden zwycięży". Skoro to im powiedzieć, natychmiast umilkają — i p. Adam umilka. Kilkam razy spróbował; umilkł, jak dziecko. Krzyk i pisk zaraz upadł.

Doskonale Norwid zdefiniował dążenie Towiańskiego: „nie wyprowadzają władzy z Boskości, ale Boskość z władzy. Kto władny, ten u nich Bóg". — Ogromna prawda".

(Ciąg dalszy nastąpi)

Prof. J. Kallenbach.

Kartki z dziejów katolicyzmu w Rosji, w pierwszej połowie XIX w.

(Dokończenie).

Do Paryża przyjeżdża bez środków. Ojciec nie daje znaku życia.

„Ty lepiej odemnie znasz Paryż", mówi Łunin do Auger'a, „wymyśl, jakbym mógł urządzić się najtaniej. Później ci to wynagrodzę. Potrzebny mi jest tylko: pokój, stół i krzesło; tytoniu i świec mam zapas na kilka miesięcy. Będę pracować, wezmę się do mego „Samozwańca"; może być, że potrafię zarabiać na chleb codzienny."

Łunin nigdy nie pisał po rosyjsku. „Ojczystym" jego językiem był francuski lub angielski.

„Czy ja znam język rosyjski? Ale kto go zna w Rosji, nie mówiąc już o Francji: Karamzin, Batiuszkow, Żukowski... a także wschodząca gwiazda Puszkin.[1]) Ci wszyscy rokują wielką przyszłość naszemu językowi. Dla mnie ważną być musi teraźniejszość".

W Paryżu drogi przyjaciół się rozchodzą. Prawdopodobnie unikać zaczyna Francuz-emigrant niegdyś bogatego, a dziś biednego przyjaciela-cudzoziemca.

Po kilku miesiącach Łunin próbuje pierwszy nawiązać stosunki z zamożnym francuzem. Pisze list:

„Ze zdrowiem kiepsko, nie mogę wstać z łóżka, świece wszystkie zużyłem, tytoń wypaliłem, pieniądze wydałem..."

[1]) Trzeba podkreślić, że i w wypadku Puszkina z r. 1816 Łunin — podobno jak i z Bethowenem — jeden z pierwszych wyczuwa genjalność rosyjskiego wieszcza. Świadczy to o wielkiej inteligencji Łunina.

Francuz zaczyna moralizować. Bezkompromisowość Łunina (chce chyba pisać do domu list błagalny) gorszy go. Zarzuca mu pychę, szydzi z niego, że „chce on odgrywać wielką rolę w przyszłych wypadkach świata". Są to aluzje do jego saintsimonizmu (patrz niżej). Ma dla niego wyjście „burżuazyjne" — bogaty ożenek. Swata go z baronową — z 15.000 franków renty rocznej. Łunin zrywa z Auger'em.

Dalsze szczegóły „tajemniczego" życia czerpać można ze wspomnień dekabrysty Zawaliszyna. (Są to wspomnienia samego Łunina. Zawaliszyn streszcza rozmowy syberyjskie).

Pozostawiony samemu sobie, Łunin znalazł nareszcie środek utrzymania — stał się doradcą prawnym, czemś w rodzaju adwokata w kolonji angielskiej w Paryżu. Zaczął żyć nędznie, ale nareszcie samodzielnie. Wspólnie z pięcioma takimi samymi, jak on, mizerakami, zwykłymi robotnikami, syn nababa moskiewskiego, zajmuje pokój w jakiejś mansarni paryskiej. Żyją ci wszyscy współlokatorzy jednego pokoju w idealnej harmonji. Mają wspólne kalosze, parasol, stolik (używany po kolei).

Lubiany jest „Mr. Michel" powszechnie. Zmienił się do niepoznania. Nie tylko zewnętrznie...

Pozostawiony bez swego przyjaciela-biografa, zapisującego skrzętnie jego zewnętrzne czyny, słowa, rzucane podczas nieobowiązujących rozmów i t. p. Sam Łunin nie miał zwyczaju zapisywać wrażeń lub myśli. Później to stanie się na Syberji — jedynym jego duchowym odpoczynkiem po pracy katorżnika. Część tamtych zwierzeń przedostała się chyba do listów do siostry (żony mikoławskiego ministra oświaty, hr. Uwarowa). Prawdopodobnie tylko wyjątki tej korespondencji zostały ogłoszone w *Polarnej Zwiezdie* (1861 r.).

Oto dlaczego nic nie wiemy o procesie „nawrócenia" Łunina.

Prawdopodobnie proces ten odbył się przed zamieszkaniem w „komunie". Gosposia wspomina Mr. Michela jako porządnego, solidnego, skromnego człowieka i... gorliwego katolika.

O nawróceniu swem podobno często mówił podczas wieczorów syberyjskich z Zawaliszynem. I ten świadek niezupełnie jest miarodajny, gdyż sam jest dość niejasnym pod

względem duchowym, mistykiem-pietystą. Niegdyś w 1815—1816 r. Zawaliszyn nosił się z zamiarami zorganizowania jakiegoś wszechświatowego związku religijno-społecznego i chciał wciągnąć do tego prywatnego „Świętego Przymierza" cara Aleksandra I.

„Zapiski" Zawaliszyna są niechętnie widziane przez towarzyszy niedoli, moc w nich megalomańskiego egotyzmu i niechęci względem przyjaciół, którzy mogliby go zasłonić. Mimo to w poglądzie na „izwraszczenje [1]) w katolicizm" Zawaliszyna dużo jest trafnych spostrzeżeń:

„Sprawa polegała na tem, że niewiara Łunina, podobno jak i całego współczesnego mu środowiska arystokratycznego, była wynikiem mody i odziedziczonych przyzwyczajeń, a wcale nie opierała się o wzbudzające wątpliwość naukowe badania (!), a co za tem idzie nie opierała się na silnych argumentach, któremi ateusze walczyli z ewangelicznémi kazaniami" (?).

„Czyż wobec tego można się dziwić, że Łunin nie oparł się uczonym kapłanom francuskim? Do tego przyłączała się i ta smutna okoliczność, że w rosyjskim klerze Łunin spotykał się z wielkim upadkiem moralnym: kupczenie świętościami, pijaństwo, nawet wśród mnichów".

„Być może, że gdyby Łunin po powrocie pozostał w Rosji, to poprzednie wpływy (jakie? — pijanych popów!?) zniszczyłyby ślady katolicyzmu, ale los zrządził (priwiełoś), że żył w Warszawie, i polskie duchowieństwo umocniło go w katolicyzmie".

Dziwną była „droga" Łunina. Z kompletnej niewiary, z jakiegoś dyletanckiego nitzscheanizmu Łunin do Kościoła przychodzi po-przez Saint-Simona.

Wpływ to osobisty.

Łunin zna osobiście Saint-Simona, „mistrz" ceni go bardzo i chce go mieć jako apostoła saint-simonizmu na Rosję. Łunin po przejściu na katolicyzm zaczyna unikać mistrza.

---

[1]) W ten sposób zwykło się mówić w sferach „liberalnych" rosyjskich o konwersji katolickiej. Cała nasza monografja będzie tyczyła się owych „izwraszczonnych w katolicizm".

Opiszemy życie „sielskie" nawróconego Łunina. „Szóstka golców i nienasyceńców", jak ich nazywała właścicielka pensjonatu, żyła pobożnie i schludnie. Jedynem ich pragnieniem, to jeszcze pomóc biedniejszym. Gospodyni miała córkę. Strzegła jej, by się z „golcami" owemi nie zadawała. Mogła się zakochać i wyjść za którego z nich.

Łunin nie stracił nic na humorze. Nie narzekał na los. Zaczął nawet oszczędzać. Po dwu czy trzech latach ma już uzbieranych ...całe 50 fr. „Naprawdę", pisze w pamiętniku (dostępnym jeszcze Zawaliszynowi, pamiętnik później na Syberji zaginął) „wtedy przydawałem większe znaczenie owym 50 fr. niż w innych okolicznościach życiowych 80.000 rubli kapitału zapasowego."

Nagle Bóg zmienia kompletnie scenerję życia swego dziecka. Pewnego wieczora, gdy strudzony Mr. Michel wraca do swego mieszkania — widzi rozgorączkowanych przyjaciół, gospodynię, córkę jej i t. d., stojących na progu domu i wołających mu na przywitanie:

„Panie Michel, panie Michel! sam Laffite był u pana! Chodź pan prędzej!"

Gdy się zorjentował, co się stało, z początku sądził, że ten największy francuski bankier przyszedł w sprawie jednego z jego klijentów angielskich.

Poszedł zaraz do pałacu Laffite'a.

Uprzedzająco grzeczny w tym wypadku Laffite powiadomił go, że otrzymał list z Petersburga od swego przyjaciela, bankiera Livio, w którym ten mu donosi, że Sergiej Łunin umarł, i że Michał Sergejewicz, jako jeden z trzech spadkobierców (miał Łunin jeszcze brata Mikołaja i siostrę Uwarowową) odziedziczył majątek ziemski, przynoszący 200.000 rubli renty rocznej. Livio zarazem zawiadamiał Laffite'a, że odkrywa się Łuninowi kredyt w wysokości 200.000 fr. Bankier zaproponował natychmiast 20.000 fr., po resztę upoważnił go zgłosić się nazajutrz.

Nazajutrz Mr. Michel zamówił u gosposi obiad dla całej kompanji po 10 rubli na osobę. Radość była powszechna... prawie. Jedna tylko „gosposia" posmutniała. Robiła sobie wyrzuty, że stanęła w poprzek... karjery córki.

„O, gdybym wiedziała o tem — mówiła zasmucona gosposia — napewnobym nie broniła córce zaprzyjaźnić się z Mr. Michelem. Chociaż jest Rosjaninem, ale to taki gorliwy katolik".

„Boże mój! — wołali ucztujący biedacy, przyjaciele „prince Lunina", gdyż tak go nazywać poczęli — gdyby majątek wynosił 200.000 franków to i tak możnaby oszaleć, cóż dopiero 200.000 rubli dochodu rocznego".

Po pewnym czasie pożegnał się „prince Lounina" z całą swą „rodzinką" po pańsku. Przyjacielom z mansarni zapewnił byt na przyszłość.

Auger się odnajduje; przychodzi gratulować. Zastał go wysoce zmartwionego po utracie ojca. Syn czynił sobie wyrzuty, że za mało go kochał.

„Wiesz przecież, jak należy pojmować moje żarty, wiesz chyba, że zdolny jestem na poważne uczucie, chociaż ze słów mych, z pozoru, można wnioskować inaczej..."

„Jestem teraz bogaczem. Ale to bogactwo nie raduje mię. Zupełnie byłoby inaczej, gdybym sam się wzbogacił, swoją własną pracą, swoją głową... wtedy byłbym dumny z siebie..."

„Śmierć ojca nigdy nie wchodziła w moje rachuby... Chociaż to bardzo mię zasmuca, musimy się rozstać. W Rosji dla Ciebie niema miejsca obecnie... Żyć przecież na mój rachunek nie zechcesz..."

Auger zapisuje pod tą datą ponownego spotkania scenę osobistego zetknięcia się Łunina z Saint-Simonem.

„Tego dnia (po otrzymaniu wiadomości o spadku) udaliśmy się do baronowej Rogèr. (Auger nie traci nadziei ożenienia Łunina z wdówką francuską o 15.000 renty). Wkrótce przyjechał tam Saint-Simon. Dowiedziawszy się, że gospodyni zna osobiście Łunina, przyjeżdżał aby ją rozpytywać o szczegóły dotyczące się jego charakteru i t. p."

„Niedawno przedtem on sam poznał się z Łuninem. Odrazu ocenił jego żywy umysł i zalety charakteru, i myślał o tem, by go użyć jako emisarjusza swych idej".

Ten mądry człowiek unika mnie obecnie — powiedział Saint-Simon.

Zaczął go agitować...

„Przez Ciebie Panie mógłbym nawiązać kontakt z młodym narodem, jeszcze nie zepsutym sceptycyzmem. Tam wyśmienity grunt do szczepienia nowej nauki..."

Co odpowiedział na to Łunin — Auger nie podaje. Szkoda — mogło to być bardzo ciekawe, ze względu na dowcip Łunina. Wypowiedział podczas tej rozmowy Saint-Simon jedną bardzo ciekawą myśl:

„Od czasu Piotra Wielkiego, wy coraz bardziej rozszerzacie swoje granice — nie zgubcie się w bezgranicznej przestrzeni. Rzym zgubiły jego podboje".

Nawet i przełom wewnętrzny nie zmienił typu Łunina. Został tym samym junakiem „o nadmiarze zbytku sił..." jak w 1818 r., siadł po prostu na okręt i przybył, tak jak wyjechał, bez żadnych pozwoleń, do Petersburga.

Zawaliszyn podaje szczegóły junackiego powrotu pułkownika „w niełasce".

Prosto z wybrzeża udaje się do pałacu. Melduje się u mieszkającego tam księcia Wołkowskiego, przybocznego generała-adjutanta cesarza.

Wołkowski na widok Łunina oniemiał. Radzi mu, by zmykał czemprędzej, skąd przybył.

Łunin odpowiada:

— Bynajmniej, ani myślę, proszę Was generale, zaanonsujcie cesarzowi, że Łunin przyjechał i prosi, aby go przyjęto na służbę, wszystko jedno gdzie...

— Zwarjowałeś — odpowiada Wołkowski — czyż nie wiesz co cię czeka?...

— To już nie Wasza sprawa książe; jeżeli nie chce książe tego uczynić, pójdę prosić o to zwykłego generała-dyżurnego.

Wołkowski pełen strachu wchodzi do gabinetu cara. Car był tego wieczoru źle usposobiony. Groźnie spojrzał na wchodzącego o tej porze Wołkowskiego. Wołkowski do reszty „raztierjałsja".

— Wasza cesarska Mość — zaczął się jąkać — Łunin.

— Co takiego? Co Łunin? — zapytał cesarz, nagle zwracając się w jego stronę i szybko podchodzi do mówiącego.

— Mówże — co Łunin?

— Wasza cesarska Mość — Łunin powrócił.

— Jakto... gdzież on jest?

— Najjaśniejszy Panie — tutaj w pałacu, u mnie w gabinecie. Przyjechał i prosi o służbę.

Cesarz podszedł bardzo blisko do Wołkowskiego, stał przez długą chwilę zdumiony; nareszcie zaczął się przechadzać po pokoju. Potem powiedział:

„Dobrze — ale tylko w armji i w tejże samej randze, co przedtem"

Wołkowski niebawem przyniósł wiadomość, że Łunin na wszystko się zgadza.

Cesarz nagle dodał. — Ale jeszcze jeden warunek: będzie służył w wojskach, komenderowanych przez W. Księcia Konstantego.

Pułkownik Łunin jedzie do Warszawy. Jako wyśmienity oficer — w krótkim czasie podbija serce W. ks. Konstantego, zakochanego w wojsku, manewrach i paradach.

Łunin tak dalece serce swego wodza podbija, że staje się jego osobistym przyjacielem.

Prowadzą ze sobą intymne rozmowy. Im chyba należy zawdzięczać wielkie sympatje dla katolicyzmu ze strony Konstantego. Podobnie jak Aleksander, może nawet konkretniej, planuje po wyrzeczeniu się praw do tronu, ucieczkę zagranicę i żyć prywatnie, jako katolik. Radzi mu to przyjaciel podwładny.

„Zawaliszyn pisze: ...Przestrzegał Łunin Konstantego i mówił mu, że jeżeli zrzekł się tronu, to nie powinien dłużej przebywać w Polsce, ale wyjechać do Petersburga, albo zagranicę i żyć jako człowiek prywatny.[1])

A jednak... o mało się nie powtórzyła sprawa z Labèdoyèrem.

Niegdyś niepanujący nad sobą Konstanty obraził przed frontem oficerów „czwartaków".

Gdy się zreflektował, chcąc załagodzić tę sprawę, zwrócił się do oficerów tuż przed frontem i powiedział, że gdy się czują obrażeni — mogą otrzymać satysfakcję. Po-

[1]) O projekcie przejścia na katolicyzm W. Ks. Konstantego wspomina oficjalny historyk dworu — Szyider.

wiedział to dla pozy, nie licząc się z możliwością podjęcia takiego wyzwania. Z zimną krwią występuje Łunin i głośno oświadcza, że zamiast kolegów-Polaków z innego niż on pułku, nawet [1]) on Rosjanin wyzwanie przyjmuje.

Zdumiony Konstanty podszedł do Łunina i zaczął z nim po przyjacielsku rozmawiać.

Konstanty wkońcu szczerze przeprosił czwartaków: prasleziłsia i poszoł...

Z tego okresu zanotowali biografowie Łunina bajeczny dowcip jego, a właściwie kawał, służący mu, jak zwykle, do ośmieszenia pewnego, groźnego dla podwładnych dziwactwa zwierzchności.

W. ks. Konstanty odziedziczył po swym ojcu nieugięty kult dla zewnętrznego żołnierskiego „regime'u". Lubował się w paradach, manewrach, „szagistyce" i ułańskiej ekwilibrystyce. Łunin szczerze i jawnie podkpiwał z tego. Kiedyś wręcz powiedział Konstantemu, że tego rodzaju zamęczanie ludzi, pod względem celowości wojskowej, jest absurdem.

— Założę się, że podczas ataku wszystkim tym okazowym ułanom szelki i popręgi na koniach popękają. Śmieszni ci ułani bez spodni będą, ale gorsze, że na froncie stać się mogą tragiczni.

— Dobrze, załóżmy się, że mi pan to udowodnisz.

Założyli się o funt czekolady.

Łunin umówił się, że na ćwiczeniach obejmie zamiast niego komendę nad wojskiem.

Przed frontem Konstanty oddaje komendę Łuninowi. Ten wydaje rozkaz: „Na koń!" Po chwili: „Z konia!" A potem znów: „Na koń!" Towarzyszy temu trzask szelek, pasów, popręgów. Ogólna konsternacja. Konstanty się nie gniewa. Nawet uśmiechając się, mówi: „O, ten się zna na naszych sztuczkach". Ale — nie przestawał przecie nadal dręczyć biednych oficerów. Nacierpiał się z tego powodu, jak wiemy, Łukasiński. [2])

Ze wspomnień sybirskich, zawartych w listach do siostry, dowiadujemy się o milczącej miłości Łunina z tego

[1]) Łunin służył w grodzińskim pułku ułanów.

[2]) Patrz. Sz. Aszkenazy: „Łukasiński".

czasu. Ukochaną jest jakaś arystokratka Polka, potomkini króla Sobieskiego.

Miłość to czysta, a może bardziej jakiś stosunek kochającego konwertyty z duchową towarzyszką i kierowniczką. Oto list - wspomnienie. Łunin opisuje sen — wspomnienie pożegnania w 1826 r.:

„Jest w czarnej jedwabnej sukni, złoty łańcuszek nosi na szyi, a na ręku bransoletkę wysadzaną szafirami, z portretem przodka, wybawcy Wiednia.

Znajdują się w Zamku, patrzą przez okno, wychodzące na Wisłę...

Wtem dźwięk dzwonów zahybotał szybami okien — dzwoniono na „Anioł Pański". Ona odmówiła *Ave Maria,* wyciągnęła ku mnie ręce i — zniknęła.

Od tej chwili szczęście doczesne znikło dla mnie. Modliwę pożegnalną Bóg wysłuchał...

Pokój duszy, którego nikt i nic odebrać już nie może, szedł za mną wszędzie: na miejsce kaźni, do ciemnicy fortecznej, na zesłanie. Nie żałuję żadnej z moich utrat...

Potomkini rycerza zjawia się czasem we śnie, i uczucie, któreby w innych okolicznościach tylko do niej należało, dziś rośnie i oczyszcza się, rozprzestrzeniając się na moich wrogów."

Dla Polski żywi Łunin uczucie szacunku i głębokiej, szczerej przyjaźni. I pod tym względem jest jednym z wyjątków pośród dekabrystów. (Podobnym jest do niego ks. Odojewskij, potomek Ruryków, znany Mickiewiczowi z 1824 r. z Petersburga, też religijny). W innym liście do siostry Łunin tak pisze o r. 1831:

„W tym czasie (katastrofy władzy rosyjskiej w Polsce) trzymano w więzieniu człowieka, który przepowiadał burzę i mógł ją odwlec".

Łunin należał do organizatorów Związku Ocalenia, w 1820 r. był nawet członkiem Zarządu. Należy do zwolenników rewolucyjnego przewrotu.

Chociaż chyba legendową jest wersja o projekcie Łunina w 1823 r. zorganizowania *„Cohorte-perdue"* — czyli sprzysiężenia carobójczego. Śledztwo nic o tem nie mówi. Faktem jest, że krytycznie się odnosi do pracy dekabrystów.

Zarzuca im małą konkretność, zarówno celom jak i metodzie działania. O Postelu (chyba najkonkretniejszym z dekabrystów) wyraża się: „że ten chyba ma zamiar przedtem encyklopedję napisać, a dopiero później o rewolucji pomyśli".[1])

Przez niego były prowadzone pertraktacje między Postelem a ks. Jabłonowskim.

Po przekształceniu związku na tajny w 1821, prawdopodobnie wycofuje się z czynnego współdziałania. Jako bliski człowiek Konstantego — nie czuje szacunku dla Mikołaja. Konstanty bowiem, podobnie jak i Aleksander na młodszych braci Michała i Mikołaja patrzyli z pewną lekceważącą wzgardą. Tłumaczyło to się tem, że pod względem wychowania i wykształcenia mocno się różniły te dwie generacje w. książąt. Starszych synów Sz. Pawła — wychowywała, czy to osobiście, czy przez wybieranych przez przez siebie wychowawców — Katarzyna. Wychowawcami byli najświatlejsi, jacy się znajdowali na dworze.[2]) Wyróżnienie takie powodowało to, że Paweł starszych synów nienawidził i chorobliwie się ich bał, podobnie jak i żony.

Tem zazdrośniej wychowywał sam — młodszych dwóch. Nie otrzymali oni w gruncie rzeczy żadnego wykształcenia. Znali się tylko fachowo na wojskowości, do której zresztą inklinacje też wielkie zdradzał, zewnętrznie nawet podobny do ojca W. Ks. Konstanty.

Chyba pod wpływem Konstantego wytworzył się lekceważący stosunek Łunina do niespodziewanego następcy tronu (podobny ten stosunek cechuje Czaadajewa, ulubieńca Aleksandra do cara przed 1830 rokiem).

Wystarczy przeczytać dziwną, chyba nigdzie w Europie nie spotykaną korespondencję między dwoma pretendentami do tronu (po śmierci Aleksandra), czy właściwie między tym, co choć się zrzeka, tem nie mniej władczo pisze, i nic sobie nie robi z drugiego władcy prawdziwego, a tym drugim, z pozoru potulnym, a w gruncie rzeczy do żywego obrażonym zlekceważeniem. Ten sam ton przebija się w ko-

[1]) Postel istotnie napisał wielką elekebrację p. t. „Ruskaja Prawda".

[2]) Jak już nadmieniliśmy, wychowawcą starszych w. książąt był Mikita Murawiew — stryj Łunina. Stąd pewnie to wzięcie Łunina na dworze.

respondencji między Konstantym a Mikołajem, o ulubieńca tego ostatniego, Łunina.

Mikołaj zażądał od Konstantego wydania Łunina komisji śledczej (1826). Konstanty zwleka, prosi, tłumaczy... lekceważy rozkaz cara.

Nareszcie Konstanty widząc, że nic nie wskóra (Mikołaj na tronie mści się za dotychczasowe lekceważenie) — wyraźnie popycha Łunina do ucieczki.

Mimo przyjazdu do Warszawy — feldjegra — zezwala Łuninowi udać się na polowanie do majątku leżącego na granicy. Bierze od niego formalne tylko słowo, że na żądanie jego — się stawi. [1])

Łunin dobrowolnie oddaje się w ręce feldjegra.

Przy ostatnim widzeniu się Łunina z protektorem, charakterystyczną była między nimi rozmowa:

„Teraz sarkaj już na samego siebie. — Michajło Sergejewicz — mówi Konstanty — ja długo broniłem ciebie i dawałem ci przecież czas na ucieczkę zagranicę... Niestety w Petersburgu już ci pomóc w czemkolwiek nie będę w stanie".

A na to Łunin:

„Nic nie szkodzi Wasza Wysokość... Uciekać za granicę unikając tego losu, który spaść ma na przyjaciół... Przecież byłoby to tchórzostwem. Teraz proszę W. Wysokość o jedno: pozwól moim przyjacielom pożegnać się ze mną, jak należy. Zobaczy W. Wysokość w jakim triumfie wyjadę z Warszawy".

„Co się tyczy Waszej Książęcej Mości — to niech popamięta na moje słowa: dlatego że nie zechciał posłuchać naszej rady (Łunina i Nowosilcewa) — nie wyjedzie Wasza Ks. Mość z Warszawy spokojnie („po dobru, po zdorowu").

Bardzo ciekawe są wspomnienia o Nowosilcewie (List do siostry — XI):

---

[1]) Zachowała się wersja o rozmowie Konstantego z Kurutą — na temat zagadnienia: czy Łunin wróci z polowania, czy ucieknie.

W. Książę tak miał się o swym ulubieńcu wyrazić:

„Wiesz, gdybyś miał spać w jednym pokoju z tym czortem — to mógłbyś się o swe życie lękać — ale słowa on dotrzyma. Taki to już człowiek".

„Z żywym współczuciem dowiedziałem się o śmierci mego politycznego przeciwnika, prezesa senatu hr. Nowosilcewa. Występowałem przeciwko systemowi jego rządów w Warszawie — systemowi o tak opłakanych skutkach dla królestwa i imperjum. Ale różnica politycznych poglądów nie przeszkadza mi sprawiedliwie go osądzić.

„Był to człowiek mądry, miał wiele doświadczenia w rządzeniu i... płomienny zapał dla sprawy narodowej (?).

„Jakaż różnica w losach naszych: Jednemu on zgotował miejsce na szafocie ale i w historji; drugiemu nadał krzesło marszałkowskie i... jedyną w zmiankę w... kalendarzu adresowym.

„Wspominając go w tym piśmie — odkrywam w ten sposób dla niego jedyną możliwość przejścia do historji..."

Gdy Łunin dowiedział się o śmierci drugiego „przeciwnika politycznego" W. Ks. Konstantego, uprosił siostrę, aby za jego duszę odprawiono katolicką mszę w Petersburgu.

Podczas badań szydził i kpił z dostojników cara. Tak samo wyzywająco się zachowywał wobec niego. Wyrok głosił: „był współuczestnikiem w zamyśle carobójstwa i w „zamyśle" buntu. Był za przyjmowaniem do tajnego związku członków i za prowadzeniem litografji dla wydawnictw tegoż towarzystwa".

Za te „zamysły", a nie czyny — skazany został na: „położenie głowy na katowskim pniu i dożywotnie ciężkie roboty".

„Łaska" cara zmiejszyła termin ciężkich robót. Jednak potem, znowu pół-żywego suchotnika z osiedlenia, — za listy do siostry i za krytykę śledztwa przeniesiono do katorgi, gdzie też wkrótce zmarł. Gdy wychodził ze śledztwa w kajdanach taką miał postawę, że żołnierze mimowoli prężyli się, by mu oddać honory wojskowe.

W więzieniu pogłębia się znacznie życie duchowe Łunina.

Zacytujemy ustępy z korespondencji do siostry, bardzo pięknie malujące stan duszy głęboko wierzącego zesłańca.

„Carrisima Soror".

„Byłem na przechadzce wzdłuż brzegów Ancary z zesłanką, której imię już przedostało się chyba do ojczystej

kroniki bohaterstwa (mowa o ks. Wołkońskiej, o której pisał Słowacki w „Anhellim"). Rozmyślają wspólnie o Bogu, zachwyceni pięknem przyrody i wdziękiem bawiących się nieopodal dzieci Wołkońskiej („Maryli" — Puszkina). Jego bezmierna doskonałość — wydawała nam się widoczną po przez myśl, jaką wywołują Jego twory.

„Wspaniały obraz przyrody — był tylko tłem dla tej, z którą się przechadzałem. Ona ucieleśniała sobą myśl apostołów, zarówno osobistą gracją jakoteż i pięknem moralnem swego charakteru... Rozmowa przeszła na temat śmierci, do której przyzwyczaja się myśl ludzi o burzliwem życiu.

Na Syberji wiedzie żywot samotniczy. Zdala się trzyma do dekabrystów. Nie prowadzi politycznych sporów. Modli się w swej ciemnej komórce, gorszej niż cele pustelnicze. Śpiewa psalmy. Czyta stale Pismo św. Na osiedleniu wybudował sobie dość obszerny domek. Sprowadził dużą bibljotekę. Tak o tem pisze siostrze:

„Życie moje przepływa naprzemian między widocznemi istotami, które mnie nie pojmują a istotą niewidoczną, której ja nie pojmuję. Mrok tajemnicy zasłania go przed memi oczami — ale ja zgaduję, domyślam się jego piękna. Słyszałem poszum jego skrzydeł w tym momencie, gdy zabójczy ołów spłaszczał się w mym ciele (pojedynek z hr. Orłowym). Przeczułem odblask jego wzroku i wtedy, gdy miecz katowski ześlizgiwał się z mej szyji... Któż towarzyszył mi na dno mej ciemnicy? Któż pomniejszał ciężar mych kajdan, i leczył me rany?

Zawsze ta sama siostra (Anioł Stróż) unosiła się z troską o mnie nad moim losem.

„Podczas okresu oczekiwania na moment, gdy stanie widomie po mym zgonie — Ona otacza mnie opieką, dając mi poznawać swą obecność stale...

„Chata na zesłaniu — ma dla mnie całe piękno ogniska rodzinnego — spokojny jestem podczas niebezpieczeństw, szczęśliwy w odosobnieniu. Teraz dopiero rozumiem, że Bóg zesłał swego Anioła, aby mnie on wybawił z rąk Heroda i od wszelkich prześladowań narodu izraelskiego.

Bliżej niż z dekabrystami żyje Łunin na Syberji z polskimi zesłańcami. Osiedla się tam pod Irkuckiem. Ma

w swym domku kaplicę, w której msze odprawia ksiądz zesłaniec Tyburcy Pawłowski franciszkanin, zesłany za sprawy Szymona Konarskiego. Księdza Pawłowskiego Łunin poznał w podróży do Nerczyńska i odtąd go na stałe u siebie zatrzymał.

Pracuje teraz bardzo poważnie naukowo. Uczył u Zawaliszyna greki, udzielając sam i jemu i dzieciom Wołkowskich i Trubeckich angielskiego. Ks. Marja Wołkowska tak wspomina Łunina.

„Łunin pędził życie samotne. Był namiętnym myśliwym i ciągle przebywał w lasach; tylko zimą prowadził żywot osiadły. Dużo pisywał. Bawił się w ten sposób, że w listach do siostry złośliwie charakteryzował ówczesnych wielkich dygnitarzy". Znał ich bardzo dobrze jeszcze z czasów przedmikołajewowskiej karjery.

Listy te cenzurowano. Nic nie mógł III-ci Oddział poradzić (pisane były do „ich człowieka", przecież hr. Uwarowa, mikołajewowskiego ministra oświaty).

Nareszcie przychwycono rękopisy: *Aperçu sur la societe en Russie (1816—1826) i Coup d'oeil sur les affaires de Pologne*[1]). Za to został ponownie skazany na ciężkie roboty chyba w r. 1844.

„Dużo zmartwienia sprawiło nam to zabranie go od nas" — pisze ks. M. Wołkowska. „Przesłałam mu kilka książek, czekoladę pożywną dla chorych piersi i... jako lekarstwo, atrament w proszku oraz kilka stalówek, odebrano mu bowiem wszystko, surowo zabraniając pisać i czytać cokolwiek poza jedyną Biblją."

A mąż, Sergjusz Wołkowski, jego bliski przyjaciel, mówi o nim: „Posiadał umysł żywy i wysoce wykształcony (dużo zrobił Paryż i Syberja), a zarazem, jak wszyscy podówczas ludzie, był niespokojnego ducha.

„Później, gdy zesłany był na Syberję, dał dowody niepospolitej konsekwencji myśli i dużej energji czynów. Umarł na Syberji; pamięć jego jest dla mnie świętą, tem więcej, że cieszyłem się jego przyjaźnią i zaufaniem.

[1]) Wyd. później: pierwsze wraz z „Krytyką komisji śledczej" 1826, w „Polarnej Gwieździe" w 1859; drugie podobno — jak twierdzi Encyk. wielka t. 45, str. 92 — w Paryżu w 1841.

„Grób jego powinien być drogim każdemu prawdziwemu Rosjaninowi".

O stoickim zachowaniu się na Syberji i o jego dowcipie z tego czasu mówiliśmy już na wstępie[1]).

Ciało jego odprowadzali na cmentarz polscy wygnańcy i ksiądz Tyburcy Pawłowski, który był w Akatui przez kilka lat kapelanem kapliczki Łunina.

Przez czas jakiś w Rosji głośne jeszcze było nazwisko Łunina. A to z takiego powodu:

Łunin przed wyjazdem na katorgę zrobił testament. Chłopów ze swego majątku uwolnił za wykupem. Majątek nakazał prowadzić bratu (zdaje się, młodociany nie chcąc, by szwagier biurokrata uciskał chłopstwo, 10% dochodu stałego przeznaczył na instytucje filantropijne, katolickie przeważnie). Zaraz jednak po zesłaniu, prawem kaduka ks. Uwarow zagospodarował się w majątku. Brat wystąpił z procesem umotywowanym testamentem Michała Sergiejewicza. Intrygant Uwarow, przy protekcji dworu, zwalił testament... „zbrodniarza". I ciągnął zyski bez żadnych zastrzeżeń. Oburzało tō nawet najskrajniejszych konserwatystów[2]).

Kto wie, czy nie intrydze szwagra zawdzięcza Łunin swą powtórną katorgę i śmierć?

Manuskrypty jego analiz historycznych przedostały się do Londynu i tam zostały przez Hercena i Ogarewa wykorzystane. Dopiero w końcu roku dowiedział się redaktor, że są one pióra Łunina (co stwierdza w aneksach). Są to kapitalne pod względem konkretności analizy historycznej przyczynki do zrozumienia prawdziwego charakteru dekabrynu. Łunin broni w nich tezy takiej, iż „Zw. Ocalenia" nie był niczem innem, jak szeroko rozgałęzionym ruchem konstytucyjnym, a nie jakimś sporadycznym buntem odruchowym. Wskazuje na charakter zeznań dekabrystów, zeznań, które przypominały interpelacje opozycji parlamentar-

---

[1]) Dosłownie to westalskie zaproszenie do... grobu brzmi: „Permettez moi de vous faire les honneurs de mon tombeau".

[2]) Porównaj korespondencję Bułhakowa z bratem w *Russkom Archiwie* 1901.

nej. Wskazuje na fakt obietnicy Aleksandra, czynionej na polskim sejmie 1818 r. — wprowadzenia konstytucji na całym obszarze Rosji.

Zestawia ruch dekabrystów (1816—1826) z pałacową rewolucją 1801, w której przecież brał udział konstytucjonalista Panin, Zubow, no i car Aleksander. „Krytyka działalności komisji śledczej" — jest to objektywna, choć złośliwa analiza czynów komisji i jej zewnętrznego efektu — sprawozdania pisanego nie rzeczowo, nie fachowo, łgarsko, bezczelnie, by „zasypać piaskiem oczy" oburzonej ludności niesamowitemi wyrokami... „ćwiartowania", później dzięki łasce carskiej zamienionego na proste... trzykrotne wieszanie (skazańcy trzy razy obrywali się ze stryczka).

Pracy z r. 1831 nie mogliśmy dostać; jest „białym krukiem".

Postać Łunina, to chyba najsympatyczniejsza z postaci aleksandrowskiej epoki. Posiada ona urok artystycznej rzeźby, wykutej z jednej bryły...

Na zakończenie przypomnijmy sobie te obawy Auger'a przed wyjazdem Łunina do Paryża. Gdyśmy poznali „losy tej nieokiełznanej natury", jasno widzimy, ile zawdzięczał on Bogu, który go wyzwolił, wychował i swą łaską utrzymywał na katordze, na Syberji. Z całej naszej galerji on jeden zdaje się nie posiadał wielkiej wady ludzi Wschodu, n i e g o r s z y ł s i ę k r z y ż e m. Cierpieć umiał, krzyż mocno w rękach trzymał i dlatego to tak raźno szedł za Bogiem, mimo cięższych warunków od innych i mimo bujnej swej natury, swego „nadmiaru sił żywotnych".

Rafał Blüth.

Walka o zasady na kresach.

(Dokończenie).

Na sejmiku chełmskim marszałek konfederacji miejscowej Łukasz Węgleński, jak sam pisze, „na skutek choroby“ nie przyjął ofiarowanego mu poselstwa; obrano na miejsce jego Józefa Sosnowskiego; drugim posłem był Józef Rzewuski starosta drohobycki, podobnie jak ojciec, hetman polny kor., zwolennik starej formy rządów. O tym to sejmiku czytamy w uniwersale barskim, że posła już obranego i przysięgłego oddaliło wojsko i instrukcję odmienić przymusiło. Niewątpliwie także wiszeński, a także podolski sejmiki były pogwałcone,[1]) ale manifesty przeciwko gwałtom kazał Repnin nie przyjmować, a tak miał według swego żądania posłów i przeprowadził, co zamierzał względem dyssydentów. Tylko na sejmie pacyfikacyjnym w lutym 1768 r., na którym potwierdzono te repninowskie kabały i gwarancję Moskwy, założył protest poseł Józef Wybicki, tem dając po-

[1]) O tych sejmikowych gwałtach czytamy w akcie konfederacji ziemian chełmskich z dnia 18 lipca 1769 r.: „Sejmiki jedne bez asystencji gwałtownej a bardziej woli ich uskutkowania nie obeszły się; posłowie głosem wolnym zgodnie obrani nie przyjęci a na miejsce posła obranego insi w kilka dni po sejmikach przez wstrzymanie gwałtownie obywatelów i otoczenie zamku zbrojnym żołnierzem obrani, o co nawet przed najwolniejszymi każdemi aktami uskarzyć się nie można było z przyczyny wzbronionej i przez wojsko rosyjskie surowo zakazanej kancelaryom Inscepty.“ Por. H. Schmitt. Panowanie Stanisława Augusta II. 258, 276 III. 42. O gwałtach moskiewskich wogóle ob. konfederację wojska ruskiego z dnia 30 maja 1769 r. Rkp. Bibl. Ossol. 716, p. 310. O zakazie przyjmowania manifestów do akt grodzkich ob. Rozkaz pułkownika rosyjskiego Wejsmana z dnia 23 marca 1768 r. — u Morawskiego. Materjały I, 65.

czątek do konfederacji Barskiej, jaka wnet dnia 29 lutego 1768 r. zawiązała się w Barze i której duszą był Józef Puławski, starosta warecki, a marszałkiem brat biskupa kamieńskiego Michał Krasiński, podkomorzy różański.

Wybuch był nieprzygotowany, przedwczesny, ale ziemianie oddający poniewolnie kontrybucję wojsku moskiewskiemu, odbywający zjazdy celem podziału kontyngentu do moskiewskich magazynów, zwłaszcza drobna szlachta spieszyła bez namysłu w szeregi walczących za wiarę i wolność. Ociągający się podczaszy litewski Joachim Potocki za przesadnym odgłosem o powodzeniu konfederatów zawiązał konfederację w Trębowli, zabrał w Podhajcach oddział wojska koronnego i w 1500 ludzi rozpoczął z Moskwą utarczki. Dnia 2 maja w Winnicy powstał związek konfederacki województwa bracławskiego, który też Joachima obrał marszałkiem. Skonfederowana pod Marjanem Potockim szlachta halicka przystąpiła dnia 17 marca do barskiego związku.[1]) Starosta smotrycki Teodor Potocki nie ruszał się z Horodenki, pilnowany przez pułkownika moskiewskiego Wejsmana i chorągwie Tadeusza Dzieduszyckiego, które atoli opuszczały swego dowódcę, przechodząc do konfederatów tak, że pobity przy przejściu przez Dniestr, opuszczony przez wojska resztki, udał się na Wołoszczyznę. Mimo ognistych uniwersałów Joachima Potockiego, z pod Podhajec rozwijającego czynność wojenną i pełnomocnictw przez niego dawanych, zwoływania ziemian po innych województwach i ziemiach i zaprzysięgania do związku, tudzież by szlachta jak najspieszniej do obozu przybywała — ruch już to z powodu wojsk królewskich, już to z powodu operacji moskiewskich korpusów był powolny. W Przemyślu np. dnia 9 kwietnia

---

[1]) Aktu konfederacji, raczej akcesu halickiej ziemi do Barskiej konfederacji, niema w aktach halickich; jest tylko uniwersał Joachima Potockiego z pod Podhajec 29 kwietnia 1768 r. Castr Hal. 293 p. 1416, z wezwaniem do przybycia do obozu i opłacenia podatku na żołnierza; z Podhajec 2 maja mianowanie Antoniego Borzysławskiego pułkownikiem konnej milicji ziemi halickiej. Jest u Morawskiego: Materjały do Konfederacji Barskiej I, p. 108. Marszałka konfederacji halickiej Marjana Potockiego znany tylko manifest, datowany w Latyczowie d. 17 maja 1768 r. Rkp. Bibl. Ossol. 329, p. 83 b, druk także u Morawskiego l. c. I, p. 121—4.

zebrało się kilkuset ziemian; wypłoszyli oni mały oddział moskiewski, ale śpieszne wysłanie dwóch szwadronów karabinierów przeszkodziło zawiązaniu konfederacji. Z ziemi sanockiej i dalszych nadchodziły do Warszawy codziennie wiadomości o przygotowaniach do ruchu. Komendant załogi królewskiej we Lwowie, Korytowski, pod koniec kwietnia uwiadomił generała Kreczatnikowa, że jeśli wojsko moskiewskie nie wyjdzie z okolicy miasta, szlachta zawiąże konfederację. Miał tu nadciągnąć podczaszy, który pobił Moskwę, zabrał garnizon wojewody ruskiego w Brzeżanach, poczem zwrócił siły swe na wschód, atoli pułkownik Weissman rozbił naprzód Antoniego Borysławskiego, którego Joachim Potocki nad milicją konną i pieszą halicką pozostawił w Podhajcach, a potem i samego podczaszego litewskiego na przeprawie tegoż przez Dniestr, zabrał mu sześć dział i moździerze, nieco ludzi i przepędził go za granicę. Widzimy go potem pod Barem, wziętym przez Moskwę, i Franciszka Ksawerego Branickiego dnia 19 czerwca, a w dwa miesiące później za Dniestrem w Mołdawji, skąd wysyła do tegoż Branickiego ordynata, aby się połączył z konfederatami.

Gdy dnia 21 czerwca stanęła konfederacja w Krakowie, zawiązała się także i w Sanockiem konfederacja pod Joachimem Korwinem Bronickim, imieniem Joachima Potockiego marszałka działającym. Zwerbowali Sanoczanie dezertujących Węgrów, stojących w Baligrodzie; 29 czerwca przyciągnęli do Sanoka od Liska pod Pieniążkiem, wzięli chorągiew tu konsystującą i milicję wojewody wołyńskiego Sanguszki i zaprowadzili do Branickiego do Nowotańca, gdzie jako regimentarz wyznaczony przez konfederację fungował. Z Dukli, Jasła, Robczyc, Sącza zabrali Sanoczanie milicję i naznaczyli na 6 lipca popis pod Rymanowem. Jerzy Marcin Lubomirski w 300 ludzi wzmocnił tę konfederację Sanoczan. Rzucił się on z nimi na odsiecz Krakowa przeciwko Moskalom, którzy 17 sierpnia zajmują Kraków i odbijają odsiecz. Lubomirski chroni się w Tatrach. Dodać należy, że Bronicki z pod Targowisk dnia 12 lipca zapraszał, w zastępstwie Joachima Potockiego, także i ziemię lwowską i przemyską, by *ad normam* ziemi sanockiej przystąpiły do

związku, [1]) tudzież że w sanockiej ziemi objęła konfederacja nietylko szlachtę ale i mieszczaństwo; dnia 17 lipca widzimy składających w sanockim ratuszu przysięgę na obronę rzymskiej i greckiej unickiej wiary: Cieleckiego wójta i Lubojemskiego i Paszkiewicza rajców i innych mieszczan. Także i przemyska ziemia miała swych konfederatów wraz z sanocką przy odsieczy Krakowa. [2]) Tylko lwowskich ziemian tu nie było, albowiem we Lwowie stali Moskale, dokąd przysyłali nadsyłanych ze wschodnich kresów hajdamaków ukraińskich do egzekucji. Było to pod koniec sierpnia po wypowiedzeniu wojny przez Turków Moskwie, kiedy to nad wojskiem konfederackiem objął komendę Joachim Potocki wraz z marszałkiem Krasińskim, a starosta warecki Puławski stanął w Sokalu.

W czasie przechodów wojsk rosyjskich mnożą się gwałty w kresowych ziemiach, tak, iż mówiono: niemasz domu, w którymby nie pozostały ślady gwałtów i rabunków moskiewskiego żołdaka.

W tym czasie umarł Branicki, marszałek sanocki. Ziemianie konfederaci, w Muszynie podówczas będący, obrali marszałkiem starostę kaniowskiego Ignacego Potockiego, dnia 17 kwietnia 1769 r., zobowiązując go, by jako raz ziemia sanocka złączoną była z województwem krakowskiem, ponownie ją z nim złączył i wraz z konfederacją barską nieprzyjaciół znosił. [3]) Przysięgę złożył Ignacy Potocki przy marszałku sieradzkim Bierzyńskim, tudzież wieluńskim Morzkowskim. Wreszcie i przemyska ziemia, gdy dnia 22 maja 1769 r. regimentarze Józef i Franciszek Xawery Puławscy [4]) zbliżyli się do niej, zasłaniając ją od wojsk rosyjskich, oburzeni narzucaniem prawa przez Moskwę, zawiązali konfederację w Przemyślu. Niosą oni krew na obronę wiary św. rzymskiej z unicką złączonej, znoszą ustawy, traktaty, wierze świętej przeciwne, a po śmierci Józefa Puławskiego obie-

[1]) Fasc. Cop. Castr. Sanoc. 85 Nr 545.

[2]) Fasc. Cop. Castr. Sanoc. 85 Nr 549.

[3]) Fasc. Cop. Castr. Sanoc. 86 Nr 265.

[4]) Wezwany przez nich przem. kaszfelan Drohojewski celem zwołania szlachty na zjazd wymawiał się wiekiem podeszłym od osobistej bytności, ale zachwalał zamiar Puławskich.

rają swym marszałkiem Franciszka Xawerego Puławskiego, augustowskiego starostę.[1]) Natomiast marszałkiem całego województwa ruskiego obrano w Wiśni dnia 30 maja Ignacego Potockiego,[2]) wspomnianego marszałka sanockiej ziemi z tem, że kogoby upraszał za pomocnika pracy swej, tego przyrzekają obrać marszałkiem. Uniwersałów o tym wyborze, głoszących o gwałtach żołnierza moskiewskiego nie rozesłano — już nie było sposobności do tego.[3])

Było to bowiem pod koniec miesiąca maja, kiedy to Ignacy Potocki, po złożeniu przysięgi, z Wiśni podążył do Lwowa, dla skłonienia ziemian tamecznych do konfederacji. Przez starostę werdulskiego Dzierzbickiego, który wraz z dwoma adjutantami i trębaczami wyjechał z paktami kapitulacji, zażądano wolnego wejścia do miasta. Komendant Korytowski, wzywany przez starostę zezulnickiego Puławskiego do kapitulacji, kazał dać ognia i trębacz padł, a pod oficerem konia zabito. Ze starostą werdulskim nawet widzieć się nie chciał komendant, ani go dopuścił do miasta, wzgardziwszy prośbami ziemian i przełożonych klasztorów w mieście będących; spędził garnizon a miasto przymusił do dawania odporu wojsku konfederackiemu, złożonemu z samej jazdy. Od godziny siódmej wieczorem do szóstej z rana trwały utarczki ze stratą ludzi, osobliwie konfederatów, spędzonych po trzykroć z wałów. Ścigając wracających się od bramy krakowskiej konfederatów, kazał Puławski puszkarzowi zapalić dworek naprzeciwko wałów przy jezuickim kościele, od którego to ognia pogorzało wiele świątyń, klasztorów, dworów, pałaców. Skarżyli się też konfederaci, że Korytowski do Moskali o posiłki posyłał, ci jednak patrol moskiewską odpędzili, że kapelana związkowego pod areszt wysłał, łajał i łajać dozwolił, a ziemian odcina od związku z konfederacją i nie dozwala przystąpić do niej... dodajmy, już upadającej...[4])

---

[1]) Rkp. Bibl. Ossol. 329 p. 101. Uniwersał marszałka dat. z Przemyśla 23 maja 1769 r. Fasc. Cop. C. Prem. 149 p. 1075.

[2]) Rkp. Bibl. Ossol. 716 p. 310—311.

[3]) Rkp. Bibl. Ossol. 327 p. 210—211.

[4]) Manifest w grodzie buskim dnia 6 czerwca 1769 przez marszałków konfederacji wniesiony. Prot. Rel. Castr. Busc. 66 p. 321—327.

Starali się konfederaci rzucić winę na żołnierza regalistę, który spełniał wiernie dany rozkaz, podobnie jak zawiązana dnia 18 lipca 1769 r. w Chełmie konfederacja w obronie poniżonej wiary i pogwałconej wolności zawiązana pod Józefem Wereszczyńskim starała się w uniwersale swym rzucić winę poniżonej wiary i wolności na stronnictwo reformy,[1]) ono atoli nawet w tym chaosie, kiedy to wśród przechodów i przeciągów wojsk różnych ziemianie w ostatecznym niemal pozostawali niedostatku, a przecież uchwalało i oddawało pobory tak swoim konfederatom, tak znowu na wyżywienie wojsk moskiewskich, i jaki taki w ziemi utrzymywało porządek, nie rzucając kamieniem na tych, którzy wśród rozpaczy tracili nawet ów zmysł gospodarski trzeźwego kresowca, umiejącego sobie radzić w krytycznych przygodach.

Puławscy po nieudałym ataku na Lwów udali się do Brześcia Litewskiego, skąd już 15 czerwca wezwali ziemian do konfederacji, ale pod Łomazami i Włodawą stanowczą od Moskali ponieśli klęskę. Projekt zawiązania na nowo konfederacji już rozluźnionej i upadłej, a mianowicie na tyłach armji moskiewskiej w Glinianach, dokąd zwoływał biskup Krasiński, nie przyszedł do skutku — rozwiał się z powodu pobicia Turków przez Moskali. Konfederacja barska upadła, lubo jeszcze 13 października na zjeździe w Białej miała wielu marszałków, a w kraju u warstw uboższej szlachty i szacunek i poparcie. Brakło atoli zgody między Pułaskimi a Potockimi, brakowało organizacji i głowy do jej utworzenia i wprowadzenia w życie, jakby na dowód, że stary tryb rządzenia nie wystarczy, że przeto stronnictwo przeciwne, dążąc do reform, i to na każdem polu, chociażby przy użyciu obcej pomocy, miało słuszność. Upadek barskiej konfederacji był klęską tak dobrze opozycji jak i stronnictwa reformy. Niezgoda, współzawodnictwo, walki domowe oddały obadwa stronnictwa pod przemoc obcą.

[1]) Oto słowa chełmskich konfederatów: Piąty rok jak bezprawność (protestantów i schizmatyków) wzięła górę nad wiarą rzymską i wolnością, kiedy od sejmu konwokacyjnego inna forma rządu, wiarę, wolność i prawo znosząca, pomimo kontradykcji, patrjotycznym duchem tchnących obywatelów nastąpiła gwałtownie wymuszona.

III.

Charakterystyka walki o reformy na kresach. Dwa stronnictwa. Rzeź humańska. Radomscy konfederaci przystępują do barskiej. Powody, że walka odbywa się na kresach. Błędy stronnictw i charakterystyka ich.

Tak się przedstawia walka o zasady na kresach. Oba stronnictwa walczą w obronie zasad, jedno reformy i nowych w Rzptej porządków, które zręcznie w życie wprowadza, drugie w obronie starego ładu. Z jednej strony postępowi, z drugiej konserwatyści. Z konieczności niemal, nie mając sił dostatecznych, oparli się pierwsi o Moskwę, by przy jej pomocy wprowadzić konieczne zmiany w rządzie, zreformować przestarzałe instytucje, wprowadzić ostrożnie nowe bez zrażania do nich tak ziomków, przyzwyczajonych do starych porządków, jak i zazdrośnych sąsiadów, obawiających się, że z reformą wojska i skarbu Polska stanie się dla nich niebezpieczną. Konserwatyści nie chcą zmian w ustroju Rzptej, żądają nienaruszania starego ładu i z zazdrością patrzą na zręcznie robioną, w oczach rosnącą budowę nowej Rzptej, przez „familję" dokonywaną. Oparłszy się na najniższej warstwie nieuświadomionej szlachty, walczą terrorem, przekupstwem, jak to dowodnie przekonywują losy walki w halickiej ziemi. W zapale walki popadają w błąd, jaki przeciwnicy już uczynili. Widząc bowiem, że siłę przeciwników stanowi Moskwa, szukają oparcia o carową i wpadają w jej sieci, starając się użyć za narzędzie Moskwę do podkopywania zaczętej reformy. Pierwsze stronnictwo ma inteligencję za sobą, świat urzędniczy, ziemiański, dygnitarski, drugie nieuświadomioną szlachtę zagonową, która też niezmiernie wiele ucierpiała od Moskwy, tak od wojsk, jak i od rzezi, jakie w kresowych ziemiach wyprawiła, podżegnięta przez Moskwę ludność wieśniacza. Jakby przez ironję losu plebejusze chłopi na dużym kresowym obszarze wycięli w pień plebejuszów szlacheckich. Oto jak opisuje jakiś plebejusz szlachecki, palestrant lwowski, rzeź humańską:[1])

We krwie kościelne pławiły się progi,
Z szlachtą zarówno padał lud ubogi,
We krwi pływały pola i kamienie,
Wiek nie obronił, ani urodzenie...

[1]) Wiersz ten w Castr. Leop. 605. p. 71 wniósł do oblaty Stanisław Kostka Horodyński dnia 25 sierpnia 1767 r.

Wspomniawszy Gontę, tak dalej ciągnie:

Jestto przypowieść w świecie starodawna,
Również prawdziwa jak i wszystkim jawna:
Długo wilk nosi a nosiwszy kilka
Czasów, czas przyjdzie, gdy poniosą wilka.

Kiedy słuszności już przechodzą szranki
W swoich poddanych traktowaniu panki,
Niedziw, przed tymi, których srodze biją,
Że uciekają, jak przed leśną żmiją.

Wylawszy swe demokratyczne przekonania, tak kończy:

Lecz że na samo rzecz wspomnienie smutna,
Jak się srożyła złość chłopów okrótna,
Tę niezgojoną naszej Polski ranę
Milczeniem kryję i mówić przestanę...

Tak patrzał szlachcic plebejusz na ruchy, podżegnięte przez obcą rękę a ku zgubie dźwigającej się z upadku, lecz jeszcze w zamęcie będącej Rzptej. Dziś dowodnie wiemy, że nieszczęsne stanowisko w sprawie dyssydenckiej ze strony przeciwników reformy dało Moskwie sposobność do intryg kresowych i do ustalenia przewagi w Rzptej. W dalszej konsekwencji walki z reformą, rozpoczętej działalnością stronnictwa konserwatystów musiało ono w obronie zagrożonych praw Rzptej, a co większa religji katolickiej, chwycić za broń przeciwko Moskwie. W taki sposób ci, którzy wraz z Moskwą utworzyli i popierali konfederację radomską, stanęli teraz po stronie konfederacji barskiej przeciwko Moskwie, jako wrogiej katolicyzmowi. Takich karkołomnych skoków nie popełniało stronnictwo reformy i nie potrzebowało usprawiedliwiać się z postępowania swego w sposób kompromitujący tak imię kierowników ruchu i całego stronnictwa, jak to czynili przeciwnicy reformy.[1])

Opowiadają historycy o rozmowie Repnina z marszałkiem konfederacji halickiej Marjanem Potockim, że gdy tenże skarżył się na nadużycia Moskali, Repnin rzekł obcesowo: „Żeby to inny naród, toby się już dawno bił za swoje".

[1]) Dodajmy; ani też powoływać wieśniaków pod broń pro hac sola vice, jak uczynili ziemianie bracławscy w swej konfederacji z dn. 2 maja 1768 r. Ob. Morawski, Materjały do konfederacji barskiej I.

Na to Potocki: „Nie znasz pan polskiego przysłowia: Zdejmij Polakowi kontusz i żupan — on nic nie powie, ale biada, gdy mu kto dobierze się do koszuli". — „Ciekawym, kto się ruszy", zagadnął Repnin. — „Ja pierwszy w kilkunastu dniach stanę na czele konfederacji przeciwko wszystkiemu, co się tu robi, i jeżeli mnie każesz aresztować, abym tego nie zrobił — mniejsza o to; pięćdziesiąt tysięcy Polaków podziela moje zdanie". [1])

Istotnie Potoccy stanęli na czoło partykularnych konfederacji i byli marszałkami, należącymi do barskiej; i tak marszałkiem prowincji ruskiej był Józef Potocki, halickiej Marjan, podolskiej Teodor, starosta śniatyński, bracławskiej Joachim, podczaszy litewski, trembowelski starosta. Tylko na czele chełmskiej stał Lubosz Węgliński, a na czele wołyńskiej Adam Olizar.

Tymczasem ten sam Marjan Potocki, co prawda pod presją, podpisał był rewers Repninowi, pod utratą szlachectwa i karą korporalną! [2])

Rozumiemy tedy, z jakich głównie zasobów walka o zasady odbywała się na południowo-wschodnich kresach Rzptej. Najwięcej było tu przeciwników reformy, wszczętej przez znienawidzonych na kresach Czartoryskich, a wielkich wrogów familji w domu Potockich. Strony te obfitowały w czynszową nieuświadomioną szlachtę, dającą się łatwo nakłonić do opozycji; wreszcie najwięcej tu było żywiołu schizmatyckiego i dyssydenckiego, łatwego do ustępstw dla opozycji, do żądania gwarancji Moskwy, a temsamam do udaremnienia reformy. Beocja zdobyć się umiała na Pelopidasów i Epaminondasów, ale nie dojrzała dla zrozumienia konieczności reformy.

Charakteryzując stronnictwa w tej walce o zasady, wyraził się Leon Rzewuski w swej kronice Podhoreckiej (44) że ani monarchistom ani partji republikańskiej zamiarów samolubnych nie godzi się podsuwać. Upatrywała ta druga partja w Polsce te przymioty, które ją utrzymywały, upatry-

---

[1]) Rulhière l. c. II, 267.

[2]) Rewersy takie wydawali i inni. Ob. Schmitt: Panowanie Stanisława Augusta III, 17.

wała pierwsza tylko te przywary, które ją osłabiały. Zbłądziły obie, ale nie bez większej winy są może ci, którzy pierwsi postronnymi wojskami na sejmowe wpłynęli obrady. Trudno jednak zgodzić się na wniosek taki. Wszakże ci, pierwsi będąc w mniejszości, a mając przeprowadzić reformy, musieli się oprzeć na sile, aby móc zapoczątkować przebudowę Rzptej. Niechajby nie zaczynali wcale, odpowie zwolennik patrjotów, chociaż jest jasnem, że w takim razie wcaleby do reform nie przyszło, a przecież zaczęły się one dobrze i doprowadziły w końcu do konstytucji trzeciego maja.

Ci, którzy dzieło reform poczęli, przewyższali przeciwne stronnictwo potęgą myśli, wzniosłością celu a także i środkami użytemi do celu. Ponieważ bez oparcia o siłę reformy były niemożliwe, oparli się o Moskwę, lecz nie dla upokorzenia, nie dla zemsty, ale celem usunięcia przeciwnika z drogi, ubezwładnienia go w walce. Uświadomieni narodowo, opierają się oni nie na tłumie szlacheckim, ale na światłej jego warstwie, uświadomionej i umiejącej pracować. Program ich obszerny a tak w duchu narodu poczęty i z dobrem jego związany, że przeciwnicy ani się spostrzegli, że idzie tu o przebudowę Rzptej z gruntu. Spostrzegli się równocześnie z Moskwą, która z tą chwilą gotowa była w spółce z kimkolwiek burzyć dzieło reformatorów. Że patrjoci dali się użyć za taran do burzenia rozpoczętego dzieła reformy, w tem leży ich wina, tem większa, że mogli oni już dostrzec dobre owoce reform tak w skarbie jak i w administracji lepszej, rządniejszej, usuwającej nadużycia, stary nierząd, słowem ujrzeć dodatnie skutki reformy, przeciwko której oślepieni zazdrością, walczyli oszczerstwem. Stronnicy reformy nie podawali też Moskwie broni do rąk wzniecaniem sporów religijnych na kresach, a więc w terytorjach, gdzie zgóry można było przewidzieć ujemny skutek walki i upadek kultury, całymi stuleciami tu szczepionej z korzyścią kresowej ludności.

Już przy zawiązywaniu konfederacji w Radomiu pod naciskiem Moskali oświadczył jeden z patrjotów:[1]) „Zwiedzeni jesteśmy, jak ptaszęta na lep złapane; ratując ojczy-

[1]) Szujski, H. P. IV 459, z rękopisu Publica.

znę, zgubę jej przyspieszamy, wolność chcąc wzmocnić, stajemy się sami niewolnikami, wiarę świętą ocalając, niszczymy ją, a co najnieznośniejsza, taka w nas wszystkich podłość panuje, iż lubo widzimy, że wszystkie czynienia nasze są nieomylną zgubą, obrzydliwym sposobem do niewolnictwa przyzwyczajać się nie wstydzimy".

Dr. Antoni Prochaska.

Przegląd piśmiennictwa

Jan Kucharzewski: Od białego caratu do czerwonego. Tom II. str. 457 in 8⁰. Instytut popierania nauki. Kasa im. Mianowskiego. Warszawa 1925.

Drugi tom niniejszego dzieła, który ukazał się względnie szybko, bo niespełna w półtora roku po pierwszym, chronologicznie rzecz biorąc, nie posuwa nas daleko naprzód. Snują się przed nami przeważnie te same, co przedtem, mikołajowskie czasy, zachodzące tu i ówdzie w epokę Aleksandra II. występują po części ci sami ludzie, których poznaliśmy już poprzednio jako głównych aktorów olbrzymiego dramatu, mającego zakończyć się rewolucją. Ale chociaż chronologiczny postęp na drodze wiodącej od białego caratu do czerwonego jest w tym tomie nieznaczny, rzecz sama posuwa się wyraźnie naprzód, to znaczy przybywa analiza całego szeregu zjawisk, składających się na skomplikowane psychologiczne podłoże nadchodzącego bolszewizmu.

W pierwszej części, której daje tytuł „geneza maksymalizmu", prowadzi nas autor najpierw w głąb duszy rosyjskiego chłopa, kreśląc w dwóch świetnych rozdziałach stan umysłów włościan przed zniesieniem poddaństwa i po aleksandrowskiej reformie, potem przechodząc do inteligencji, duszącej się w żelaznej obręczy starego systemu, pokazuje konieczność, z jaką wytwarzał się wśród lepszych synów mikołajowskiej Rosji typ „ludzi zbytecznych", którzy nie mogąc w rzeczywistej ojczyźnie znaleźć żadnego miejsca ni pola do działania, bądź to przez „emigrację wewnętrzną" przenosili się w krainy chorobliwych rojeń, bądź to opuszając istotnie kraj rodzinny, rzucali się za granicę w wir konspiracyjnej, przewrotowej pracy. Jako typ tego ostatniego kierunku występuje przedewszystkiem najpotężniejszy przedstawiciel wzmagającego się w Rosji ducha buntu, dziwaczny a złowrogi Bakunin. Starannej charakterystyce tego głównego prekursora bolszewizmu poświęca autor osobliwie dużo miejsca. Najpierw w rozdziale piątym części pierwszej maluje go takim, jakim był sam w sobie pod względem działania i psychologicznego rozwoju, potem w całej części drugiej zestawia jego osobę i plany z tendencjami rewolucjonistów polskich, przygoto-

wujących równocześnie z nim dzieło przewrotu. Porównawcze to studjum obejmujące cały szereg rozdziałów wykazuje niezbicie, że polskie i rosyjskie rewolucyjne plany to były istotnie, jak autor mówi, „dwa światy", bo mimo pewnych punktów stycznych i pewnych wzajemnych wpływów, duch i nastrój obu obozów był o całe niebo odmienny. U Polaków najgorętsze przywiązanie do przeszłości narodowej, u Rosjan nienawiść do wszystkiego, co było, z wyjątkiem jakichś zamierzchłych, raczej wyśnionych niż stwierdzonych historycznie urządzeń; u Polaków chęć odbudowy, u Rosjan żądza burzenia aż do fundamentów; w duszy Polaków ciągłe działanie starej, zachodniej, pod wpływem religji urobionej kultury, u Rosjan absolutna pustka i beznadziejny nihilizm pod względem filozoficznych i religijnych zasad. „W głębi ich dusz — pisze Hercen o Polakach — jest nam obcy odblask średnich wieków i krucyfiks, przed którym w chwilach zgryzoty i znużenia mogą się modlić". Silne i na najpierwszych źródłach oparte uwydatnienie tej przepaści, jaka dzieli pokrewnych sobie na pozór polskich i rosyjskich przewrotowców jest wielką autora zasługą. Z wielką przyjemnością czyta się też zebrane w ostatnim rozdziale głosy polskich pisarzy, którzy już w pięćdziesiątych i sześćdziesiątych latach z wielką bystrością ostrzegali Europę i Rosję, dokąd takie zasady, jakie głosił Bakunin i ludzie jemu podobni, doprowadzić muszą.

Pomimo pewnych powtarzań i nie dość jasno rysującego się planu dzieła, czyta się pracę p. Kucharzewskiego z najżywszym interesem. Całe mnóstwo głębokich myśli rzuca jasne światło na logiczne powiązanie etapów, po których rozwijały się dzieje Rosji; głębokie i subtelne charakterystyki pozwalają zdać sobie sprawę nietylko ze świadomych nastrojów, ale z podświadomych dążeń nieobliczalnych dusz rosyjskich. Wynik zaś tego całego studjum, choć autor praktycznych konkluzyj nie wyprowadza, jest poważnem memento dla Polski i Europy. Między wierszami tej książki przegląda ustawicznie potężny obraz końcowy „Psalmu dobrej woli" i ta przestroga, że jeślibyśmy kiedykolwiek zwrócili się do teoryj, które zrodziły się w duszach rosyjskich apostołów przewrotu, to „na dnie ich sobie nicestwo pościelem". Mamy nadzieję, że spodziewany tom trzeci prawdę tę jeszcze dobitniej wyświetli i nowemi dowodami uzasadni. Życzymy więc szanownemu autorowi, by tę niezmiernie ważną i potrzebną pracę na większy pożytek nietylko nauki, ale sprawy polskiej, szczęśliwie doprowadził do końca. *Ks. Jan Rostworowski.*

Ks. Marjan Morawski (senior): Dogmat łaski. 19 wykładów o porządku nadprzyrodzonym. Z papierów pośmiertnych autora. Kraków 1924. Wyd. Ks. Jez. str. 320.

Na książkę niniejszą złożyły się wykłady publiczne, miane na uniw. Jagiellońskim w latach 1888/9, a pilnie notowane przez

kogoś ze słuchaczy. Rękopis owych notatek sam śp. autor zaczął był tu i ówdzie poprawiać, ale pracy tej z niewiadomych przyczyn nie dokończył. Rzecz całą opracował, opatrzył szeregiem objaśnień, uzupełnił i tak przygotował do druku bratanek zmarłego, O. Marjan Morawski młodszy. Za to, że owym zapomnianym już wykładom nie pozwoliło zginąć zupełnie, będą Wydawnictwu szczerze wdzięczni uczniowie i wielbiciele niezrównanego myśliciela. Jakkolwiek bowiem tej rzeczy nie można postawić obok dzieł, którym śp. autor własną pracą dał ostatnie wykończenie, poglądy jego na nadprzyrodzony porządek, który tak niezmiernie kochał i tak głęboko rozumiał, dla nikogo zajmującego się nauką objawioną nie mogą być obojętne. I w rzeczy samej wystarczy książkę wziąć do ręki, by znaleźć w niej to, co było pism O. Marjana Morawskiego największym skarbem: świeże a głębokie poglądy, oryginalne ujęcia, słonecznie jasne i przejrzyste rozróżnienia. Owych wybitnych ustępów jest najwięcej w wykł. 1, o pojęciu nadprzyrodzoności, w 7, o łasce uczynkowej wogóle, w 9, o zgodności łaski z wolną wolą, ale dają się odszukać i gdzieindziej. Tam, gdzie górę bierze pewien schemat szkolnej teologicznej tezy, polot myśli nieco się obniża i czuć pewne znużenie nie tyle przedmiotem ile formą. W każdym razie jednak książka ta będzie bardzo pożyteczna tak dla inteligentnych katolików, jako wprowadzenie w trudny dogmat łaski, jak dla teologów, jako próba zastosowania ścisłej teologji do umysłowości ludzi świeckich. Teologów zainteresują również te wykłady jako przyczynek do wyrobienia słownictwa teologicznego polskiego, a przyczynek wogóle udatny.

J. R.

Jan Kochanowski: Pisma zbiorowe. Wydał Al. Brückner. Warszawa, Bibljoteka Polska. 2 tomy, str. 453 + 383.

Pierwszy mistrz słowa polskiego, Jan z Czarnolasu staje się, jak się wyraża prof. Kallenbach — po wiekach znowu „Kochaniem" stulecia naszego. Po wydaniu kompletnem dzieł jego przez Lorentowicza ukazują się one obecnie w opracowaniu niezmordowanego badacza kultury literackiej naszego narodu, prof. Aleksandra Brücknera. Podnosi on w treściwym i dobrze przemyślanym wstępie znamienną cechę utworów Kochanowskiego, a jest nią wykwintny artyzm i głębokie odczucie umiaru piękna. Trafnie określa Brückner znaczenie mistrza czarnoleskiego zaraz z początku: „Jak od Mickiewicza — mówi — cała nowsza, tak od Jana Kochanowskiego wyszła dawniejsza poezja — wieszcz małopolski stworzył ogółem poezję, bo uwolnił ją z powijaków dydaktycznych, wyniósł nad banalność prozaicznego wysłowienia, oddał na służbę poważnym myślom i poważnym obrazom. On pierwszy i w ciągu wieków jedyny

„śpiewał sobie i muzom". Mylne są przecież konkluzje prof. Brücknera co do religijności Kochanowskiego, uważa on poetę za „deistę nie uznającego wiary dogmatycznej, oprócz wiary w samego Boga". Trafnie zauważa prof. Kallenbach, iż (*N. Reforma* Nr. 275) w Satyrze „sam uprzedza poeta podejrzliwości: oko, znać papieżnika! Stwierdza tamże, „że prostak w tej mierze", wyprawia mądrzejszych, by na sobór trydencki się wybrali — wreszcie jasno konkluduje: Dobrym chrześcijaninem nie tego ja zowię, co umie dysputować i ma gładką mowę, ale kto żywie według woli Pana swego". Nie o słowa mu zatem chodziło, ale o praktykę w codziennem postępowaniu". Zresztą sam prof. Brückner mówi o „żywej wierze" (str. 73) Kochanowskiego. Prawdą jest jednak, że niektóre wyrażenia Kochanowskiego tchną liberalizmem. Rzecz cała wymagałaby zapewne dokładniejszego studjum, niejedno w tej mierze mogłoby się zapewnie wyjaśnić, gdybyśmy dokładniej znali wpływy, jakie wywierało na poetę otoczenie.

Dobrze zrobił prof. Brückner, że z pomiędzy „fraszek" usunął najbardziej niewłaściwe, zdałoby się i niejedną z pozostałych opuścić, gdyż są jeszcze drastyczne między niemi.

Zaznaczywszy te braki i usterki, jakie zakradły się do obecnego wydania, podnieść należy pietyzm i staranność, z jaką znakomity krytyk tak co do rzeczy samej, jak układu materjału i strony językowej pracę swą, dla literatury doniosłą przeprowadził.

Ks. Tadeusz Karyłowski.

Ks. Jan Urban: Na ślubny kobierzec. Księgarnia św. Wojciecha, 1925, str. 163.

Dr. Karl Rieder: Der Brautunterricht. Herder, Freiburg i Br. 1925, str. 40.

O. Hardy Schilgen T. J.: Na usługach Stwórcy. Wyd. Ks. Jezuitów, Kraków, 1924, str. 135.

Potrzeba literatury, uświadamiającej w kwestji małżeństwa, staje się coraz bardziej aktualną wobec dzisiejszego obniżenia poziomu moralności publicznej. Ludzie młodzi padają często ofiarą niedoświadczenia własnego lub nieuczciwości drugich, rodzice zaś ich i doradcy stoją bezradni, zamiast im pomóc, owszem niekiedy przyczyniają się jeszcze do nieszczęścia. Stąd książka, któraby udzieliła trafnych wskazówek w tej mierze, a zarazem dawała rękojmie bezpieczeństwa ze stanowiska moralnego i religijnego, będzie nieraz nieocenionym skarbem dla jednych i drugich. Parę z pośród tego rodzaju prac podajemy właśnie poniżej.

Pierwsza z nich, napisana przez ks. Urbana, przeznaczona jest dla panien narzeczonych i młodych mężatek, którym wyjaśnia całe zagadnienie miłości i małżeństwa we wszystkich jego fazach, a przytem wszechstronnie, zarówno z punktu teoretycz-

nego, higjenicznego jak religijno-moralnego, indywidualnego jak społecznego. Obszernie zwłaszcza wyłuszczone jest katolickie pojęcie małżeństwa oraz wszelkie przepisy prawa kościelnego, z przystępnem uzasadnieniem tych kwestyj, które częściej zachodzą w praktyce i więcej przedstawiają trudności. Nie mniej dokładnie uwzględnioną jest także moralna strona małżeństwa, wszelkie nawet delikatnej natury sprawy poruszone są z wielką znajomością rzeczy i taktem. Ta właśnie okoliczność, że autor umie powiedzieć wszystko jasno, a jednak nie tylko oględnie, ale w sposób podniosły, przez nieustanne wskazywanie na wyższą, duchową stronę tych zagadnień, sprawia, że książka jego zasługuje na najszczersze polecenie i spotkała się dotychczas z ogólnem uznaniem.

Druga książeczka, ks. K. Riedera, przeznaczona jest dla księży. Według kan. 1033 prawa kanonicznego jest proboszcz obowiązany pouczyć nowożeńców przed ślubem o świętości sakramentu i obowiązkach małżonków względem siebie i dzieci. Autor, który jako długoletni proboszcz ma doświadczenie w tej trudnej a ważnej pracy, chce niem służyć innym i w kilku rozdziałach niniejszej książki zestawia materjał takiego pouczenia, na tyle obszerny, by można było z niego czerpać w różnych wypadkach zależnie od jakości osób, z któremi się ma do czynienia. Po krótszych wstępnych objaśnieniach o stanie małżeńskim i jego godności, o przygotowaniu do niego tak dalszem przez okres narzeczeństwa, jak bliższem przez spowiedź i komunję św., oraz o znaczeniu obrzędów ślubnych, przechodzi autor do najważniejszej części o obowiązkach małżonków. Obowiązki te: czystości, wierności i miłości małżeńskiej tłumaczy szerzej, zwłaszcza pierwszy, a całość kończy wskazaniem na wielkie znaczenie rodziny chrześcijańskiej i uwagami na temat zgodnego urządzenia życia domowego i wychowania dzieci. Dość liczne cytaty innych pisarzy urozmaicają rzecz i dodają siły twierdzeniom autora, którego praca została nadto przeglądnięta przez doświadczonego lekarza. Nie wielkie jej rozmiary, rozkład systematyczny i jasny, ułatwiający zorjentowanie się w materjale, uczyni tę książkę z pewnością bardzo pożyteczną dla duchowieństwa.

W godzinnem pouczeniu, na jakie najwyżej może sobie pozwolić proboszcz, trudno jednak wyjaśnić wszystko, zwłaszcza jeśli się uwzględni nastrój nowożeńców, którzy, zdecydowawszy już sprawę, mniej są sposobni do korzystania z otrzymanych wskazówek. Tę okoliczność miał na myśli ks. H. Schilgen, kiedy pisał „Na usługach Stwórcy". Pragnął on dać nowożeńcom i małżonkom do ręki książkę, do którejby mogli zaglądnąć częściej i uświadomić sobie obowiązki, jakie podejmują albo którym już podlegają. W sposób przystępny i podniosły stopniowo wprowadza on czytelnika w zrozumienie wysokiej godności małżeństwa chrześcijańskiego i miłości, która do niego wiedzie, w prawa

i obowiązki, jakie stąd wypływają, wywody zaś swoje popiera racjami z porządku przyrodzonego i nadprzyrodzonego; obszernie jest też uwzględniona kwestja dzieci i łączące się z nią możliwości. Dodatek końcowy podaje zwięźle zestawione przepisy prawa kościelnego, dotyczące zaręczyn, małżeństwa i jego nierozerwalności, przeszkód małżeńskich oraz chrztu dzieci. W miejsce listu biskupów niemieckich, zamieszczonego w oryginale, wstawione zostały odpowiednie ustępy z Listu Pasterskiego episkopatu polskiego, wydanego w sprawie małżeństwa w r. 1921. Tłumaczenie polskie jest jasne i potoczyste, a fakt, że w krótkim czasie rozeszła się przeważna część nakładu, jest dowodem, jak potrzebną jest u nas tego rodzaju książka i jak przychylne znalazła przyjęcie. *Ks. St. Podoleński.*

Engelbert Krebs: Die Kirche und das neue Europa. Sechs Vorträge für gläubige und suchende Menschen. 1924. Herder et Comp, Freiburg im Breisgau.

Dziełko niniejsze to wydanie książkowe sześciu konferencyj, jakie wygłosił w zeszłym roku we Fryburgu autor dziełka, profesor wydziału teologicznego tamtejszego uniwersytetu. Przeznaczone one były nietylko dla katolików wierzących, ale i dla niekatolików, ale ludzi dobrej woli, szukających dla współczesnej ludzkości bezpiecznej i pewnej przystani wśród powojennego, powszechnego rozprzężenia. Pierwszym ma ona uprzytomnić, drugim zaś wskazać, gdzie znaleźć tę przystań wśród tego rozprzężenia zarówno politycznego i gospodarczego, jak i społecznego i duchowego. Jako taką przystań wskazuje autor obu tym kategorjom słuchaczy, a obecnie czytelników — Kościół katolicki w jego boskiej, niespożytej organizacji. Już nie o pojedyncze dogmaty i prawdy, ale o najgłębsze fundamenty religji i wiedzy walczył bezgraniczny subjektywizm i najdalej już posunięty relatywizm współczesny. Taki jednak światopogląd musi nieuchronnie doprowadzić do zaprzeczenia samej rzeczywistości a „ścisłej" nawet wiedzy odebrać jej objektywny fundament. W życiu zaś praktycznem zniszczyć musi wszelką religję i wprowadzić panowanie skrajnego egoizmu, co też się stało istotnie w ostatnich czasach;— ale też ostatecznie to wszystko doprowadzić musiało do obecnego, całkowitego rozprzężenia — do rewolucji i anarchji. I w tem to tak całkowitem rozprzężeniu na wszystkich niemal polach ludzkiego życia i ludzkiej myśli — jako taką bezpieczną przystań, przynoszącą ratunek i ocalenie wskazuje autor Kościół katolicki, w jego dziejowej i ogólno-ludzkiej misji: odradzania i prowadzenia ludzkości przez swoją boską wiarę i katolickie dogmaty, przez sakramenta święte i łaskę, przez liturgję Ofiary świętej bezkrwawej i cnotę miłości chrześcijańskiej. Równocześnie coraz to częściej i coraz to powszechniej słychać o renesansie katolicyzmu w życiu narodów. Katolicki Kościół poczyna znowu coraz to sil-

niejszą moc attrakcyjną wywierać i na zewnątrz: mnożą się już nie pojedyncze tylko konwersje, ale owszem i w oderwanych Kościołach chrześcijańskich coraz to częściej i żywiej odzywa się tęsknota za jedynym Kościołem, obejmującym wszystkich wyznawców Boga prawdziwego, o który boski jego Założyciel tak tkliwie się modlił przy ostatniej wieczerzy. Wnikając w te fakty i tęsknoty, przytaczając całą masę współczesnych dokumentów, dotyczących tak nowszych konwersyj jak i współczesnego ruchu za połączeniem Kościołów rozdzielonych — a opierając się przytem z całą znajomością rzeczy na dogmatach katolickich — autor prowadzi do wniosku, że jak już w przeszłości dwa razy, tak i obecnie po raz trzeci tylko Kościół katolicki przy pomocy działającej w nim mocy Bożej, może powojenną Europę wyprowadzić z tego nieszczęsnego chaosu i dalej szczęśliwie poprowadzić.

W doskonałej tej pod względem dogmatycznym i literackim pracy razi jednak niemile to, że autor dotykając unji prawosławnej Cerkwi — nie bardzo widocznie obeznany jest ze sprawami bliższego i dalszego wschodu Europy, skoro wcisnęły się takie przynajmniej „nieścisłości", jak nazwanie arcyb. Teodorowicza: „arcybiskupem-infułatem ortodoksyjnego metropolitalnego Kościoła w Warszawie", albo przekręcenie nazwiska Mgra Około-Kułaka na Około-Kuak. *Ks. Chomrański*

Dr. Joseph Feldmann: Schule der Philosophie. Auslese characteristischer Abschnitte aus den Werken der bedeutendsten Denker aller Zeiten. Paderborn, F. Schöningh, 1925, str. XIV+512.

Typowo niemiecka książka. Owoc niestrudzonej skrzętności. Jak na zrębie ciemnego boru dostrzec można korowody zaspieszonych mrówek, które z przepastnych debr, poprzez kręte ścieżyny znoszą do gniazda żywiczny aromat sosen i jodeł; tak i na łamy niniejszego dzieła wielu wybitnych uczonych niemieckich zbierało i znosiło odwieczny dorobek filozoficznej myśli. Do współpracy udało się Dr. J. Feldmannowi wciągnąć rozgłośne w Niemczech osobistości; że wymienię tylko: O. Becker'a, E. Husserl'a, E. Hartmann'a, M. Hartmann'a, L. Macha, J. Vaihinger'a, P. Natorp'a, M. Scheler'a, A. Einstein'a. Przy ich pomocy stworzył J. Feldmann oryginalną „antologję", czy „chrestomatję" filozoficzną.

Na wstępie dzieła widnieje reprodukcja „Ateńskiej Szkoły" Rafaëla i symbolicznie wyraża myśl przewodnią wydawcy. Chodziło mu mianowicie o zebranie najbardziej charakterystycznych i najgłębszych myśli filozofów i myślicieli całego świata, zaczynając od Heraklita i Parmenidesa, a kończąc na modnym dziś Bergsonie i Einsteinie.

Wyimki na ogół są trafne i znamienne. Orjentację wśród nieprzejrzanego lasu cytatów ułatwia systematyczny skorowidz, w którym autor ideowo ugrupował zapatrywania 73 uczonych na filozofję, problem kryterjologiczny, ich poglądy na metafizykę,

psychologię, poznawalność istnienia i natury bożej, na etykę, socjologię, estetykę, pedagogikę i t. d. Jedną piątą dzieła zajmuje dodatek bio- i bibljograficzny. W tym dodatku znajdujemy krótkie życiorysy najwybitniejszych filozofów, ocenę ich orjentacji filozoficznej i stosunku do filozofji chrześcijańskiej.

„Szkoła Filozofji" Feldmanna może oddać wielką przysługę jako pomocnicze źródło przy studjum filozofji ścisłej. Jak różne „Wypisy" szkolne dają jakie takie wyobrażenie o pewnej epoce literatury, tak dzieło Feldmannna daje w zarysie pewne wyobrażenie o najbardziej znanych myślicielach.

W. Lohn.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji

Ks. K. Thullie: Życie chrześcijanina w obrzędach Kościoła. Modlitewnik liturgiczny. a) wydanie dla młodzieży, str. 668 b) wydanie dla dorosłych.

Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawá 1925.

C. H. Henderson: Nowe wychowanie, tłumaczyła I. Moszczeńska str. 405.
Stef. Barszczewski: Czandu, powieść z XXII w., str. 270.
Hoene-Wroński: Propedeutyka mesjaniczna. Elementy filozofji absolutnej. Przełoż. z franc. P. Chomicz, str. 41.
Jul. German: Iwonka, powieść, str. 307.
Tad. Czerniawski: Pierwsze zasady muzyki w teorji i praktyce, część III, str. 109.
Art. Oppman: Hymn wolności, poezje, str. 167.
Wł. A. Reymont: Chłopi, wyd. 6 popularne, t. 4.
Elżb. Dorożyńska: Na ostatniej placówce. Dziennik z życia wsi podolskiej w latach 1917-1921, str. 334.
A. F. Ossendowski: Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów, 10-13 tysiąc, str. 345.
A. Grzymała-Siedlecki: Samosęki, powieść, wyd, 2, str. 334.

Nakład Księgarni św. Wojciecha, Poznań 1925.

Miecz. Smolarski: Uczta Baltazara, powieść współczesna, str. 247.
Zyg. Bartkiewicz: Wyzwolenie, nowele, obrazy, str. 302.
Mich. Domańska: Brzydka, powieść, str. 194.
Stef. Kiedrzyński: Dym ofiarny, powieść, str. 514.
Wacł. Naake-Nakęski: Saltomortale wielkiego pisarza. List otwarty do Stefana Żeromskiego z powodu „Przedwiośnia", str. 42.

Fiszer i Majewski, Poznań.

Dr. Jul. Gawroński: Szkoła odrodzenia. Prodrom nowego wychowania i nowej szkoły w Polsce współczesnej, str. 40.
Ernest Psichari: Głosy wołające na puszczy. Wspomnienia z Afryki, przeł. Z. Morstinowa, str. 257.
Mich. Sobeski: Kwiat złoty. Gobineau redivivus, str. 121.
Dr. Bron. Szulczewski: Dusza dziecka, wyd. 2 rozszerzone, str. 115
Pisma Ojców Kościoła:
T. II. Minucjusz Feliks: Octavius, z łaciny tłumaczył, dał wstęp i objaśnienia dr. J. Sajdak, str. LXVIII i 100.

T. III. Euzebjusz z Cezarei: Historja kościelna. O męczennikach palestyńskich, z greckiego tłumaczył, dał wstęp, objaśnienia i skorowidze ks. Ark. Lisiecki, str. 646.

Nakład Polskiej Akademji Umiejętności:

Izydor Kopernicki: Textes tsiganes. Contes et poésies avec traduction française, I fasc., str. 103.
Józ. Feldman: Polska w dobie wielkiej wojny północnej 1704-1709, str. 318.
Ad. Heydel: Podstawowe zagadnienia metodologiczne ekonomji, str. 87.
M. Smoluchowski: Pisma, wyd. Wł. Natanson i J. Stock, t. I.
— Sprawozdanie Komisji fizjograficznej za rok 1923 i 1924 oraz Materjały do fizjografji kraju. Tom 58 i 59, str. 117.
— Pierwszy zjazd fizjografów polskich w Krakowie, str. 30.
— Sprawozdanie z czynności i posiedzeń Pol. Akademji Umiejętności, marzec 1925.

Bibljoteka Domu Polskiego, Warszawa:

Miecz. Smolarski: Białe moce. Powieść na tle życia korsarzy polskich XVI wieku, str. 109.
Andrzej Strug: Ich syn. Mogiłka, pan i parobek, str. 123.

Instytut wydawniczy: „Sfinks", Warszawa:

Mig. de Cervantes Saavedra: Cyganeczka. Tłum. z hiszpańskiego F. Baturewicz. Str. 146.
Mar. Moretti: Moja matka. Tłum. z włoskiego F. Baturewicz.

Nakład Ferd. Schöningh'a, Paderborn:

L. Aen. Seneca: Von der gefestigten Sicherheit des Weisen (Dialog lib. II). Str. 86.
Anselm: Proslogion. Str. 38.
Thomas von Aquin: Gemeinschaft und Wirtschaft. str. 56.
Fr. Ritter von Lama: Papst u. Kurie in ihrer Politik nach dem Weltkriege. I Heft. Illertissen (Bayern) 1925, Martinusbuchhandlung, str. 48.
Ks. St. Kujot: Dzieje Prus Królewskich, część II, str. 365. (Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu, rocznik XXIX—XXXI, 1922—24). Toruń 1925.
Ad. Bochnak: Giovanni Battist'a Falconi. Kraków 1925. Nakład Muzeum Przemysłowego, str. 19, ilustracyj 27.
M. Marja Loyola: Powitanie P. Jezusa w komunji św. Warszawa. „Kronika Rodzinna",
Mich. d' Herbigny S. J.: Après la mort du patriarche Tykhon. Roma. Pontif. Instituto Orientale, str. 88. (Orientali christiana, num. 15).

Nakład Herdera, Fryburg:

Jos. Aug. Lux: Roma sacra. Eine Pilgerfahrt mit 8 Bildern, str. 40.
P. Bergmann: Neugestaltung des biblischen Geschichtsunterrichtes für die Oberstufe der Volksschule mit Lehrauftritt Jesus u. die heidnische Kanaaniterin, str. 40.
Z. Ciechanowska: Mickiewicz a Goethe. Ze studjów nad znajomością Goethego w Polsce. Lwów 1925., str. 36.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Tegoroczne kanonizacje i beatyfikacje. — Rozłamy w Kościołach schizmatyckich w Polsce.

Wewnętrzne życie Kościoła nie zna chwil uroczystszych nad uroczystości kanonizacyj i beatyfikacyj. Kiedy Namiestnik Chrystusa, w poczuciu pełnej swej apostolskiej władzy, orzeka, że któremuś ze sług Bożych ma odtąd przysługiwać cześć świętego albo błogosławionego, chwila ta jest nie tylko oddaniem hołdu heroicznym cnotom, jakiemi nowy święty jaśniał za życia, albo i męczeństwu, jakiem swą wiarę w Zbawiciela stwierdził; chwila ta jest nadto chwilą domowej radości owej wielkiej rodziny Bożej, jaką jest Kościół katolicki, szczęśliwej, że znowu w jednym ze swych członków oddała Bogu najwyższą chwałę, urzeczywistniając w stopniu niepospolitym Jego wolę, którą jest „uświęcenie nasze". Kanonizacje i beatyfikacje w Kościele rzymskim, to dowody dla wiernych i obcych, że „płodność świętości", ów przymiot nieodłączny Królestwa Chrystusowego, nie ubożeje w żadnym wieku, że Kościół nie przestaje być szkołą świętych i bramą do miejsca, gdzie nic niema oprócz świętości.

Szczególnie bogatym w te chwile radości dla Kościoła jest obecny rok jubileuszowy, jakoby stwarzający w uczczeniu wielu błogosławionych i świętych, znajdujących się w niebie, odpowiednik do tego bogactwa łask odpuszczenia, których dostępują także żyjący na ziemi. Samo wyliczenie imion wyniesionych w tym roku na ołtarze przez Piusa XI świętych i błogosławionych niech uprzytomni czytelnikom naszego pisma to szczęście, jakie zawiera się w przynależeniu do Kościoła, który jaśnieje taką niegasnącą świętością swych wyznawców.

Oto długa lista podług dat uroczystości beatyfikacyj i kanonizacyj.

19 kwietnia beatyfikacja błog. Antoniego Marji Gianelli, biskupa z Bobbio w Lombardji, zmarłego w r. 1846;

26 kwietnia beatyfikacja błog. Wincentego Marji Strambi, z zakonu Pasjonistów, biskupa z Maceraty i Tolentino we Włoszech, zmarłego w r. 1824;

3 maja beatyfikacja błog. Józefa Cafasso, kapłana diecezji turyńskiej, zmarłego w r. 1860;

10 maja beatyfikacja 32 zakonnic, należących do pięciu rozmaitych zgromadzeń, które poniosły śmierć męczeńską za wiarę w Orange podczas rewolucji francuskiej w r. 1794;

17 maja kanonizacja św. Teresy od Dzieciątka Jezus, Karmelitanki bosej z Lisieux, zmarłej w r. 1896;

21 maja kanonizacja św. Piotra Kanizjusza, Jezuity, wielkiego działacza katolickiego w Niemczech i krajach przyległych, zmarłego w r. 1597;

24 maja kanonizacja św. Magdaleny Zofji Barat, założycielki zgromadzenia Sacré-Coeur, zmarłej w r. 1865 i św. Marji Magdaleny Postel, założycielki zgromadzenia Sióstr od szkół chrześcijańskich Miłosierdzia, zmarłej w r. 1846;

31 maja kanonizacja św. Jana Eudesa, założyciela zgromadzenia Eudystów, zmarłego w r. 1680 i św. Jana Marji Vianneya, proboszcza w Ars, zmarłego w r. 1859;

7 czerwca beatyfikacja błog. Marji Michaliny od Najśw. Sakramentu, założycielki Sakramentek z Walencji w Hiszpanji, zmarłej w r. 1865;

14 czerwca beatyfikacja błog. Bernadetty Soubirous, której objawiła się Najśw. Panna w Lourdes, zmarłej jako Siostra miłosierdzia w Nevers w r. 1879;

21 czerwca beatyfikacja 8 błog. Jana de Brébeuf, Gabrjela Lalemant, Antoniego Daniela, Karola Garnier, Noela Chabanel, Izaaka Jogues, René Goupil i Jana de la Lande, francuskich Jezuitów, misjonarzy w Kanadzie, pomordowanych za wiarę przez plemię Irokezów w latach 1642—1649;

5 lipca odbędzie się beatyfikacja błog. Wawrzyńca Józefa Imbert, Jakóba Honorata Chastan i Piotra Filiberta Maubant, kapłanów ze zgromadzenia Misyj Zagranicznych w Paryżu, którzy ponieśli śmierć męczeńską w Korei w r. 1839;

12 lipca beatyfikacja błog. Piotra Juljana Eymard, założyciela Zgromadzenia kapłanów od Najśw. Sakramentu, zmarłego w r. 1868.

Razem ogłoszono w tym roku świętymi 8, błogosławionymi 49 sług i służebnic Bożych. Przedstawione są tu cztery ostatnie stulecia historji Kościoła: stulecie pseudoreformacji protestanckiej ale i odrodzenia katolickiego, stulecie mrożącego jansenizmu, ale i rozwoju mistyki katolickiej, stulecie niewiary encyklopedystów i otwartej walki z Bogiem, ale i najszczytniejszego heroizmu męczenników, wreszcie stulecie materjalnego postępu, sceptycyzmu i płytkości religijnej, ale i największego w dziejach Kościoła rozkwitu zgromadzeń zakonnych, których kwiat najświeższy w osobie „Małej Tereski" pociągnął już za naszych dni swą przedziwną wonią niemal cały świat do uznania cichych cnót ewangelicznych.

Obok radosnych refleksyj, których na temat tegorocznych kanonizacyj i beatyfikacyj możnaby snuć długi szereg, za długi na rozmiary „Spraw Kościoła", ciśnie się jedna refleksja mniej radosna. Polscy pielgrzymi, zwiedzający w tym „roku świętym" stolicę chrześcijaństwa i obecni niektórym z wyliczonych uroczystości kanonizacyjnych lub beatyfikacyjnych, musieli zadać sobie pytanie: dlaczego w tym długim szeregu świętych i błogosławionych, których obrazami świeżo przyozdobiono katolickie ołtarze, niema żadnego imienia syna albo córki polskiego narodu? Czyśmy do tego stopnia wyjałowieli duchowo, że na naszej niwie nie rodzą się już heroiczne cnoty? czy my, „przedmurze chrześcijaństwa", nie mieliśmy już sposobności do przelewania krwi za wiarę? czy „Bóg dziwny w świętych swoich", czyniący cuda, cofnął od nas wszechmocną rękę swoją? Jeżeli w chrześcijańskiej pokorze postawimy się na jednem z ostatnich miejsc między narodami katolickiemi pod względem bujności naszego duchowego życia, to wszakże nie możemy zapomnieć, że nasz naród wydał Bobolę i cały zastęp jego towarzyszów, że nasi kapłani pierwsi zatykali katolickie krzyże na nieprzejrzanych przestrzeniach Rosji i Syberji, że na naszej ziemi przed pół wiekiem lała się krew Podlasiaków, broniących swej wiary i swych ołtarzy, że w ostatnich lat dziesiątkach stworzyliśmy zastęp własnych zgromadzeń zakonnych, dostosowanych nawet do najtrudniejszych warunków niewoli, że ostatni męczennicy i wyznawcy wiary katolickiej — to przeważnie nasi Budkiewicze i Cieplaki, stawiający mężne czoło temu najbezwzględniejszemu wrogowi Boga i religji, jakiego widziało chrześcijaństwo — bolszewizmowi rosyjskiemu. Czyżby wśród tych kapłanów, misjonarzy, założycieli i założycielek nowych rodzin zakonnych nie było nikogo, o którym Namiestnik Chrystusa mógłby powiedzieć przed światem: to święty!?

Przyczyna, że od r. 1853, daty beatyfikacji Andrzeja

Boboli i r. 1867, daty kanonizacji św. Józafata Kuncewicza, świat nie słyszał o żadnym nowym świętym naszego i najbliższego nam ruskiego narodu, przyczyna tego pomijania Polski w uroczystościach kanonizacyjnych leży, zdaje się, niestety, w naszej własnej obojętności na tego rodzaju chwałę.

Kanonizacje i beatyfikacje są zwykle uroczystem stwierdzeniem uznania, jakie świętość i zasługi dla Kościoła wielkich sług Bożych znajdowały u własnych ich ziomków i odpowiedzią na ich gorące pragnienie i starania o to, aby ich widzieć na ołtarzach kościelnych. Cuda, któremi Bóg stwierdza świętość sług swoich i skłania najwyższą powagę w Kościele do policzenia ich w poczet świętych lub błogosławionych, są dziełami Bożej wszechmocy, ale wszechmoc ta, jak w Ewangelji, objawia się tam najczęściej, gdzie jej szuka wielka wiara i ufna modlitwa ludzi. W Polsce tego wszystkiego, co składa się na ową pewną ambicję posiadania własnych świętych, jest za mało: za mało znajomości naszej własnej historji kościelnej, za mało uznania dla naszych bohaterów wiary i cnoty, za mało ufności w ich przyczynę u Boga, kiedy szczególnej pomocy z góry nam trzeba, za mało wreszcie starania, by te szczególne łaski, któremi niewątpliwie i nas darzy Bóg przez świętych naszych, były spisywane, udowodnione i do wiadomości najwyższej władzy w Kościele podane.

Tej obojętności i tego braku ambicji nie można chrzcić mianem pokory i skromności. Chodzi tu nie o prywatne, lecz o publiczne dobro narodu i Kościoła. Niedawno naczelnik radykalnego rządu francuskiego, Herriot, wyliczając tytuły, jakie Francja posiada do szczególnych względów Stolicy Świętej (których jakoby za mało od niej doznawała), potrącił i o bogactwo świętych francuskich. Naród, nie mogący się powołać na świętość swoich synów, uznaną przez Kościół, skazuje się na reputację upośledzonego w rodzinie narodów katolickich. Najważniejsze, że pomniejsza się także chwała Boża, gdy niepamięcią pokrywamy tych, w których Bóg działał dzieła swoje.

Zbudźmy z zapomnienia nasze sługi Boże i dołóżmy starań, by i nasi święci znaleźli się na ołtarzach katolickiego świata. Winniśmy to ich zasługom, sobie, Kościołowi i Bogu.

Losem oderwanych od pnia gałęzi jest to, że próchnieją i rozpadają się tam, gdzie padły. To porównanie stosowali niejednokrotnie apologeci katolicyzmu do sekt schizmatyckich. Podczas gdy Kościół katolicki skupia się coraz ściślej w swojej jedności, wszelkie Kościoły i sekty, które się od niego oderwały, ustawicznie dzielą się dalej i rozpadają bez nadziei utworzenia z siebie jakiejś większej całości.

Parę świeżych faktów, o jakich słyszymy u nas, ilustrują i potwierdzają to stałe prawo. W granicach Polski istnieje, jak wiadomo, dość duży odłam Kościoła wschodniego, który zachowując hierarchję kościelną i posiadając ważne święcenia, oderwał się od centrum jedności chrześcijańskiej — Rzymu. Jest to tak zwane popularnie „prawosławie", w kościelnym języku „schizma grecka". Podobnemiż w zasadzie, choć liczbowo nie dorównywującemi tamtej i występującemi w innej szacie — niby polskiej, są schizmy przeróżnych Kościółków, jakie, na nieszczęście i na wstyd narodowi naszemu, powstały w ostatnich lat dziesiątkach. Wymienić tu należy odszczepieństwa marjawitów, polskich księży z Hodurem na czele w Ameryce i niektóre inne. Rzekomo przyznają się one do jakiejś między sobą jedności, niby do związku tak zwanego Kościoła staro-katolickiego; od niedobitków jansenizmu lub odszczepieńców z epoki Koncyljum Watykańskiego przyjęły święcenia biskupie, poza tem różnią się między sobą wierzeniami, organizacją i liturgją. Kiedy janseniści przyganiali Kościołowi katolickiemu, że zbyt często pozwala wiernym przystępować do Komunji świętej, marjawici pozostający z jansenistami niby w kanonicznej jedności, właśnie są zwolennikami Komunji codziennej. Zresztą swemi „małżeństwami mistycznemi", rodzeniem dzieci w dziewictwie i bez grzechu pierworodnego, adorowaniem „mateczki" wraz z Jezusem w Hostji świętej i tym podobnemi idjotyzmami, skompromitowali się już w oczach swych starszych braci-sekciarzy do tego stopnia, że nie dopuszczono ich wysłanników na jakiś kongres staro-katolicki. Nasz „biskup" Hodur także nie w łaskach u staro-katolików, a za jego przykładem tworzą swoje Kościółki, w niezależności od niego, różni inni awanturnicy, których wszystkich nazwisk wyliczać nie warto. Wszyscy, począwszy od Kowalskiego z Płocka do jakiegoś Zielonki w Ameryce, rekomendują swoje „Kapliczki", jako Kościoły iście narodowe polskie.

Nie mówiąc o Polonji amerykańskiej, u nas w kraju mamy już przynajmniej cztery takie „narodowe" Kościoły. Obok marjawitów, mamy „Kościół" hodurowskiego „biskupa" Bończaka, mamy w Krakowie „Kościół" Antoniego Ptaszka, który świeżo Hodurowi i Bończakowi wypowiedział posłuszeństwo. Jak widzimy, rozkład odszczepieństw narodowych postępuje w dość szybkiem tempie. Jest to zwykłe zjawisko we wszystkich podobnych schizmach, jeżeli ich w jakiej takiej jedności nie utrzymuje władza polityczna. Nasi schizmatycy taką opieką rządu jeszcze się nie cieszą, więc i rozpadanie się ich dalsze jest więcej niż prawdopodobne.

Trudniejsze jest rozpadanie się prawosławia w Polsce. W Rosji po upadku caratu Cerkiew się dzieli na liczne

zwalczające się odłamy; u nas rząd polski ją organizuje, tworzy dla niej instytucje naukowe, daje wydział teologiczny na uniwersytecie, użycza swego „ramienia świeckiego" biskupom prawosławnym, chcącym ukarać kogoś z nieposłusznych poddanych. W tym stanie rzeczy prawosławie w Polsce znajduje takie warunki egzystencji i trwałości, jakich nie posiada już w Rosji. Mimo to są i tu próby rozłamów. Świeżo garstka nacjonalistów rosyjskich, z senatorem Bogdanowiczem na czele, nie zadowolonych z autokefalji prawosławia w Polsce, zgłosiła w Wilnie wystąpienie z organizacji tej Cerkwi prawosławnej, która jest uznana przez państwo polskie, i zażądała rejestracji nowej gminy wyznaniowej, zależnej od patrjarchatu moskiewskiego. Zasadniczo państwo, stojące na stanowisku tolerancji religijnej nie powinnoby odmawiać uznania gmin, odrywających się od urzędowego prawosławia. Dlaczegóżby bowiem miało się prawosławie cieszyć większą opieką rządu, niż katolicyzm, od którego wolno bezkarnie się odłączyć, w celu założenia nowej organizacji schizmatyckiej?

Na jedno wszakże rząd winien zwracać baczną uwagę przy tworzeniu się wszelkich sekt zarówno wśród polskiej, jak i prawosławnej ludności, mianowicie, by żadna z tych sekt nie chciała zależeć od jakiejś organizacji zagranicznej. Dotyczy to zarówno stosunków p. Ptaszka ze starokatolikami niemieckimi lub austrjackimi, jak p. Bogdanowicza z patrjarchatem moskiewskim. Właśnie jedna z istotnych różnic dogmatycznych między katolicyzmem, a wszelkiemi sektami schizmatyckiemi polega na tem, że tylko katolicyzm posiada swój centralny, ponadnarodowościowy ośrodek w Rzymie, podczas gdy wszelkie inne wyznania, będące odszczepieństwami od Rzymu, wyrastały na negacji centralnej władzy w Kościele. Żadna więc sekta, stara czy nowa, nie może twierdzić, że jej „wiara" wymaga zależności, albo organizacyjnej łączności z jakimś ośrodkiem, znajdującym się gdzieś zagranicą. I jak utrudnianie katolikom stosunków ze Stolicą Apostolską byłoby gwałceniem wolności samejże wiary katolickiej, tak przeciwnie przecinanie wszelkim innym sektom zależności od zagranicy będzie tylko wyciągnięciem konsekwencyj z założeń schizmy, a zatem krokiem, który w żaden sposób nie może być uważany za gwałcenie czyjejś wolności religijnej. Tą zasadą kierują się wszystkie państwa, stawiające swoim „prawosławnym" obywatelom żądanie zorganizowania się w Cerkiew autokefaliczną; tęż samą zasadę zastosować należy do wszelkich innych sekt religijnych. Niech się rozpadają tam, gdzie się od drzewa Kościoła powszechnego odłamały.

Ks. Jan Urban.

Tydzień Tomistyczny w Rzymie.

Na audjencji 24 listopada 1923 r. po zakończeniu „Tygodnia Tomistycznego", urządzonego w Rzymie staraniem „Akademji Św. Tomasza" ku czci 600-letniej rocznicy kanonizacji Doktora Anielskiego, wyraził Ojciec św. życzenie, aby i w roku jubileuszowym, — w którym wierni synowie Kościoła spieszyć będą do Rzymu celem odświeżenia u grobów Apostolskich swej wiary i zaczerpnięcia nowego impulsu do dalszej pracy w duchu katolickim, — zjechali się również filozofowie katoliccy na kongres naukowy. Z zadością przyjęli zebrani wezwanie Ojca św.; Akademja św. Tomasza postanowiła urządzić w Rzymie międzynarodowy Zjazd Tomistyczny; rozpisała zaproszenia do wszystkich katolickich uniwersytetów, wyższych uczelni naukowych, kolegjów oraz seminarjów. Wezwaniu temu odpowiedział względnie dość liczny zastęp uczonych, ze wszystkich prawie krajów Europy a nawet Ameryki.

Kongres trwał od 15 do 20 kwietnia, składał się z 10 posiedzeń, na których wygłoszono 26 referatów; wszystkie posiedzenia prócz ostatniego miały charakter ściśle prywatny; kładziono w nich nacisk nie tyle na zewnętrzną wystawność, na formę, lecz na mozolną, żmudną pracę, na poufną wymianę zdań i dyskusję; celem referatów nie było odkrywanie nowych, nieznanych prawd, lecz raczej oświetlenie metody jakiej się należy trzymać w przedstawianiu i rozwijaniu głównych problemów nowszej filozofji w myśl nauki św. Tomasza, oraz uświadomienie sobie, — jak to w mowie inauguracyjnej zaznaczył mons. Talamo — *come penserebbe l'Angelico Dottore se egli rivivesse nelle odierne condizioni della filosofia e della scienza fra le nuove tendenze dei nostri tempi* (jakby właściwie myślał Doktor Anielski, gdyby odżył w dzisiejszych warunkach filozofji i nauki wśród nowych dążności naszych czasów). „Mamy się zastanowić — ciągnął dalej mówca, — jakby się św. Tomasz zabierał ze swojemi kryterjami, ze swemi metodami, ze swemi zasadami, do dzisiejszych problemów nauki i życia; interpretując św. Tomasza w ten sposób, prowadzimy dalej jego dzieło; szkoła tomistyczna, ściśle związana w ten sposób z całą tradycją filozoficzną i naukową przeszłości i doskonale obznajomiona z warunkami intelektualnemi obecnej chwili kroczy pewna siebie i gotuje sobie wielką przyszłość.

Tematy rozpraw obracały się około trzech fundamentalnych problemów filozofji, t. j. gnozeologicznego, kosmologicznego i ontologicznego. Problem pierwszy obejmował różne podstawowe zagadnienia teorji poznania oraz metody wykazywania jego objektywności; w zasadniczych kwestjach panowała na tym punkcie doskonała harmonja i jednomyślność; i tak n. p. powszechnie godzono się na to, iż w nauce św. Tomasza znajdują się wszystkie elementy, potrzebne do rozwiązania problemu kryterjologi-

cznego — należy je tylko zebrać i w jedną syntezę ująć; dalej wszyscy niemal byli zdania, iż pomiędzy nauką św. Tomasza a Kantem istnieje bezdenna przepaść tak, iż żaden uczeń św. Tomasza nie może być równocześnie zwolennikiem Kanta. Zarysowały się jednak również bardzo wyraźnie i różnice poglądów, dotyczące metody rozwiązania problemu kryterjologicznego; gdy jedni utrzymywali, iż należy koniecznie wyróżnić w całej tej kwesji problem „epistemologiczny" („wartość poznania wogóle") od problemu „krytycznego" (wartość objektywna tej lub owej władzy poznawczej), to inni twierdzili, że problem pierwszy niema wogóle żadnego realnego znaczenia ni sensu; dalej podczas gdy jedni sprowadzają rzecz całą do dwóch oddzielnych zagadnień: „sceptycznego i idealistycznego", to inni byli zdania, iż rozwiązanie problemu „sceptycznego" jest już pełnem rozwiązaniem „kryterjologicznem"; jeżeli wreszcie ogół uczestników sądził, że nie należy zaczynać od wątpienia nawet „metodycznego", to niektórzy obstawali przy wątpieniu t. zw. precyzywnem (dubium praecisivum); („trzy prawdy" nie znalazły jednak prawie w nikim obrońcy).

Problem kosmologiczny nadarzył uczestnikom Kongresu bardzo interesującą i ożywioną wymianę myśli odnośnie do roli nauk doświadczalnych i matematyki w filozofji, teorji hilomorfizmu, filozoficznej wartości nowożytnych hipotez przyrodniczych oraz matematycznej teorji relatywistycznej Einsteina.

Lecz największe ożywienie wywołał problem ontologiczny; świadczyło o tem już dość wymownie przepełnienie sali, zdradzały to uderzająco burzliwe oklaski, zrywające się raz po raz jużto w obronie jużto przeciw mówcy, rozwijającemu z wielką siłą przekonania i werwą oratorską swoje poglądy na teorję „aktu i potencji", stanowiącą podstawę systemu tomistycznego oraz „logiczny podkład" sławnych 24 tez. W dyskusji, jaka się następnie rozwinęła, zaatakował naprzód ks. de Soma, członek Akademji św. Tomasza, w sposób energiczny teorję niektórych tomistów „de decretis praedeterminantibus" dowodząc, iż była ona zupełnie obca św. Tomaszowi. Rezultatem tego przemówienia było wykluczenie przez Prezesa Kongresu owej teorji dekretów z pod obrad. Dyskusja cała skoncentrowała się teraz około innej tezy, która znalazła również silne sprzeciwy wśród wielu uczestników kongresu: około słynnej tezy „de distinctione reali". Wśród mowców, przemawiających przeciw niej, zwrócił znów szczególną uwagę na siebie wzmiankowany powyżej ks. de Soma (prof. kolegjum de Propaganda Fide) zarzucając referenta mnóstwem trudności, zaczerpniętych z pism samego św. Tomasza; ożywioną do najwyższego stopnia dyskuję na ten temat, rozpoczęto rano, kontynuowano na wieczornem zgromadzeniu; i nie wiedzieć, jakby długo ona jeszcze trwała, (tem bardziej, że wielu jeszcze mowców było zgłoszonych do dyskusji), gdyby wreszcze znużony kilku go-

dzinną walką referent nie był oświadczył, iż bynajmniej nie miał zamiaru w swym referacie u d a w a d n i a ć dystynkcji realnej, iż ponadto nie jest absolutnie w stanie rozwiązać wszystkich trudności przeciw niej, nie mając przed sobą ni dzieł św. Tomasza ni chwilki wolnej do refleksji. Na tem skończyły się debaty nad teorją aktu i potencji.

Czyniąc widoczną aluzję do tej dyskusji, zachęcał Ojciec św. na audjencji dn. 18 kwietnia uczestników kongresu do ponawiania od czasu do czasu podobnych zjazdów filozoficznych; „choćby dyskusje — mówił on — nie wiodły do definitywnych rezultatów, to jednak wymiana myśli jest zawsze bardzo pożyteczna". W słowach, pełnych ojcowskiej troskliwości i wyrozumiałości zalecał wszystkim gorliwie studjum filozofji k a t o l i c k i e j (niewymieniając zresztą i m i e n n i e żadnego z pośród Doktorów filozofji katolickiej), a nadto studjum nauk nowoczesnych,

Uwaga ta była niezmiernie doniosła i praktyczna dla członków Zjazdu. Chociaż bowiem wszyscy byli zgodni w wielu podstawowych zasadach systemu św. Tomasza, chociaż wszystkich łączyła wspólna miłość i bezgraniczne uwielbienie dla genjuszu Doktora Anielskiego, to jednak każdemu, kto śledził z uwagą przebieg dyskusji, było widoczne, iż nawet w łonie tych członków Kongresu, którzy sobie rezerwują miano „tomistów" (w przeciwieństwie do innych, których zowią skotystami, suarezjanistami i t. d.) niema bynajmniej j e d n o m y ś l n o ś c i w wielu dość zasadniczych kwestjach, niema — na co z naciskiem zwracał raz po raz uwagę Prezes — wspólnej metody, wspólnych miar i kryterjów w ocenie, czy ten lub ów punkt nauki „ścisłych tomistów" należy naprawdę do „pierwszorzędnych punktów" w nauce św. Tomasza, owszem czy wogóle oddaje wiernie jego myśl. Od samego zaraz początku zarysowały się wśród „ścisłych tomistów", wśród samych nawet członków Akademji Św. Tomasza dwa skrajne obozy. Jeden z nich nazwaćby można tomizmem „krytycznym", drugi „naiwnym", lub ze względu na metodę postępowania — „hurra-tomizmem". Podczas gdy pierwszy stara się wniknąć w d u c h a św. Tomasza i dalej w tymże samym duchu dzieło jego prowadzić i rozwijać i doskonalić, to drugi chce się zamknąć w martwej literze, chce system św. Tomasza odciąć od życia, od wpływów kulturalnych i naukowych obecnej doby. Gdy się słucha zwolenników takiego „tomizmu", zdaje się, że są głęboko o tem przekonani, iż gdyby św. Tomasz dzisiaj zmartwychwstał, który przez całe życie poprawiał i uzupełniał i doskonalił i precyzował i rozwijał myśl swoją i teorje swoje naukowe i trzymał stale rękę na pulsie postępu nauk ówczesnych, zaglądał do pism ówczesnych „fizyków" i „lekarzy" (fizjologów), na których powagę raz po raz się powołuje — to dzisiaj po upływie całego szeregu wieków nie miałby literalnie nic do powiedzenia ponad to, co już powiedział!

Jeśli tomizm ma liczyć na obiecaną w mowie inauguracyjnej przez mons. Talamo „wielką przyszłość", to musi przejąć się nawskróś duchem św. Tomasza, duchem miłości prawdy, duchem bezpartyjnym i szerokim, musi być tomizmem krytycznym.

Ks. P. Siwek.

Jubileusz Katolickiego Związku Polek.

Dnia 4 czerwca 1925 r. obchodził Katolicki Związek Polek 25 letni jubileusz swego istnienia i działalności. Ćwierć wieku upłynęło jak grono osób, połączonych wspólną miłością Boga, ojczyzny i zrozumieniem obowiązku pracy społecznej, za inicjatywą Ks. Włodzimierza Ledóchowskiego, obecnego Generała OO. Jezuitów, połączyło się w Związek, nazwany pierwotnie Związkiem Niewiast Katolickich. Pierwszą prezesową była p. A. Dziewicka, następną p. Jadwiga Rostworowska, po jej śmierci p. Marja Turska, a wreszcie w r. 1909 została wybrana hr. Marja Wodzicka, która po dziś dzień godność tę piastuje.

Pro Christo et Patria — to hasło Katolickiego Związku, to hasło, w imię którego rósł on, rozszerzał się i starał tak w swych członkach jak i w najszerszych warstwach społeczeństwa pogłębić uczucia religijne i narodowe. Dla Chrystusa i Ojczyzny podejmowano stosownie do czasu i okoliczności wciąż nowe prace i wciąż nowe tworzono placówki. Pierwszem polem pracy Związku to stworzenie Zawodowych stowarzyszeń, opartych na własnych statutach. A więc Stowarzyszenie sług pod wezwaniem św. Zyty, Stowarzyszenie Pracownic cygar pod wezwaniem św. Józefa, Stowarzyszenie Pracownic konfekcji pod wezwaniem św. Antoniego.

Stowarzyszenie św. Zyty, należące do kat. zw. P. w charakterze członka, stanowi jednak stowarzyszenie zupełnie samodzielne, stowarzyszenia zaś Pracownic fabryki cygar i konfekcji są ze Związkiem najściślej połączone a ich przewodniczące z urzędu wchodzą do wydziału tegoż.

W celu ułatwienia i lepszego zorganizowania pracy Związek podzielił się na sekcje.

Sekcja czytelniana posiada bibljotekę, liczącą 5.440 dzieł, tomów zaś o wiele więcej, gdyż bardziej poczytne książki znajdują się w kilku egzemplarzach. Czytelnia należy do najtańszych wypożyczalni, gdyż jej celem nie jest zysk materjalny lecz umożliwienie jak najszerszym warstwom korzystania z książek dobrych i odciągania od instytucyj, które zapomocą pornograficznych wydawnictw szerzą zepsucie nie tylko wśród starszych ale i młodzieży. Czytelnia liczy abonentów około 500. Utworzony został również specjalny dział religijny, z abonamentem o połowę niższym, aby ułatwić tak konieczne w naszych czasach wykształcenie i uświadomienie religijne.

Sekcja Burs utrzymuje dwa internaty dla chłopców szkół średnich, w których znajduje pomieszczenie około 90 uczniów i dla seminarzystek, których liczba dochodzi 60. Celem burs jest dostarczyć za jak najniższą opłatą młodzieży naszej zdrowego pożywienia i otoczyć ją troskliwą opieką moralną, rozwijać i wychowywać na pożytecznych dla kraju obywateli i obywatelki, wpoić w dusze dziewcząt, kształcących się na nauczycielki, ducha apostolstwa, aby pracując na swe utrzymanie pracowały również dla idei, dla Boga i Ojczyzny.

Sekcja Ochrony kobiet ma kilka działów, mianowicie: a) Schronisko, dające przytułek tysiącom bezdomnych kobiet; w roku ubiegłym znalazło w niem pomieszczenie 2.383 osób; noclegów udzielono 9.476, z czego bezpłatnych 1.265. Najbiedniejszym udziela się zapomóg z funduszów sekcji, mieszkanki otacza się opieką, kieruje do lekarzy, umieszcza w szpitalach, klinikach, a dzieci w zakładach. b) Biuro pośrednictwa pracy umieszcza nauczycielki prywatne, bony, pielęgniarki, krawcowe i t. d. starając się dla wszystkich wynajdywać odpowiednie posady; prócz tego udziela przyjezdnym, nie znającym miejscowych stosunków, wszelkich potrzebnych informacyj; w ten sposób w ostatnim roku załatwiono w biurze spraw 1.386. c) Misja dworcowa czuwa nad młodzieżą żeńską, jeżdżącą kolejami i nad kobietami, potrzebującemi pomocy; trzy funkcjonarjuszki sprawują na dworcu dyżury dzień i noc z opaskami na ramionach, aby je łatwo poznać można; skutecznie przeciwdziałają one robocie nieuczciwych doradców, odprowadzają przyjezdne do Ochrony kobiet lub innach przyzwoitych lokali, towarzyszą do szpitali itd. d) Sekcja szpitalna zajmuje się choremi wenerycznie kobietami; jedna funkcjonarjuszka prowadzi w szpitalu u tychże kobiet roboty ręczne przez dwie godziny dziennie; oprócz tego dwie panie sprawują dyżury, starając się oddziaływać moralnie na chore.

Sekcja Ochrony dzieci ma opiekę pozaszkolną nad dziećmi szkół ludowych; prowadzi ona dwie szkółki szycia, na Zwierzyńcu i w Dębnikach. — Sekcja pedagogiczna urządza wykłady w dziedzinie wychowania, śledzi ruch wychowawczy w kraju i zagranicą i ma za zadanie opiekować się uczącą się młodzieżą. — Sekcja Odczytowa co tydzień w czytelni urządza odczyty z zakresu religijnego, społecznego i naukowego. Urządza również kursa i wykłady, jak n. p. ostatnio z teologji i filozofji chrześcijańskiej, które wygłaszał ks. profesor Grzelak. — Sekcja Tanich kuchen prowadzi dwie kuchnie dla inteligencji i jedną ludową na Kaźmierzu. W kuchniach dla inteligencji wydano w roku ubiegłym obiadów 232.981, z tego bezpłatnych 9.723, ulgowych 32.401. W kuchni ludowej 111.198 z tego ulgowych 7.816, bezpłatnych 1.460. Panie zarządzające kuchniami nie tylko o ile możliwie dostarczają swym gościom dobrego i taniego pożywienia, ale wogóle starają się spieszyć im z pomocą we wszel-

kich potrzebach, urządzają święcone i wilje, otaczają opieką młodzież i staruszków; to też wytworzyła się dziwnie miła atmosfera wzajemnego przywiązania i życzliwości. W kuchniach stołuje się bardzo wiele młodzieży akademickiej.

Na nowo reaktywowane Koło panien ma za zadanie przygotowywać młode pokolenie do pracy, na gruncie religijnym i społecznym; liczy ono kilkadziesiąt członkiń, które się zbierają raz w miesiąc na ogólne zebranie, a co tydzień na sekcyjne. Panienki zajmują się opieką pozaszkolną nad dziećmi w szkole na Zwierzyńcu, założyły tamże bibljoteczkę, urządzają jasełka, drzewko itd., udzielają korepetycji w internacie katolickiego Związku Polek i bezpłatnych lekcyj, głównie języków, biednym uczennicom.

Tak w głównych zarysach przedstawia się po 25 latach istnienia działalność Katolickiego Związku Polek, który liczy w Krakowie samym około 1000 członków i 30 kół zamiejscowych w województwie krakowskiem i kieleckiem.

Minęło ćwierć wieku, jak przeszła straszna wojna światowa, w czasie której Katol. Zw. Polek starał się spieszyć z pomocą wszelkiej nędzy materjalnej i moralnej, obejmował placówki i zwijał je w miarę potrzeby, zajmował się żołnierzami, tworząc osobną sekcję Opieki nad żołnierzem, otwierał bezpłatne herbaciarnie, wysyłał książki na front, zajmował się inwalidami i chorymi po szpitalach. W tanich, bardzo licznych kuchniach wydawał do 6 tysięcy obiadów dziennie, stworzył szwalnie dla bezrobotnych, słowem, idąc za swem powołaniem, przykładał rękę do każdego dzieła, mającego na celu chwałę Bożą i dobro Ojczyzny.

Minęła zawierucha wojenna i dziś w odrodzonej i niepodległej Polsce da Bóg z rokiem każdym Związek bardziej rozszerzać się będzie. Ufamy, że w każdej wsi i miasteczku, w każdej fabryce i w każdem środowisku pracy powstanie koło tej dziś już tak wielkiej organizacji, należącej do wszechświatowej Unji kat. Związków kobiecych, Unji, która ogarnęła już cały świat i zrzeszyła wszystkie katolickie kobiety do wspólnej walki w obronie wiary, Kościoła i czystości ogniska domowego. *Pro Christo et Patria* to najdroższe i najświętsze hasło, które jak brzmiało tym 5-u, którzy Związek zakładali, tak brzmi i dziś, już nie stokrotnem ale tysiącznem echem zapalając serca do każdej pracy choćby najcięższej dla Chrystusa i Ojczyzny.

Róża Łubieńska.

Z ruchu kobiecego.

Zjazd Koła Polek. — Kongres Międzynarodowej Rady Kobiet w Waszyngtonie. — Zjazd Narodowej Organizacji Kobiet. — Zjazd Stowarzyszenia Ziemianek. — Zjazd Koła Młodych Ziemianek. — Dzień Kobiet P. P. S

Ostatnich parę miesięcy było okresem żywej ruchliwości różnych organizacyj kobiecych. Obok jubileuszowego obchodu

Związku Polek Katolickich, z którego sprawozdanie zamieściliśmy powyżej, odbył się szereg innych zjazdów, które dają nam pewien obraz życia i działalności związków kobiet w naszym kraju.

W dniach od 25 do 26 kwietnia b. r. odbył się w Warszawie VII zjazd Rady naczelnej Koła Polek, w którem wzięły udział delegatki koła miejscowego i kół prowincjonalnych. Instytucja ta, powstała w r. 1917, jest bezpartyjną organizacją, dążącą do uświadomienia narodowego kobiet i werbowania ich do służby dla kraju. Służbę tę pojmowała przedewszystkiem jako wojskową i społeczną. W okresie wojny zajęła się wszechstronnie żołnierzem polskim; prowadziła akcję sanitarną na froncie, do której przyjmowała tylko Polki-chrześcijanki i akcję kulturalno-oświatową wśród wojska przez urządzanie odczytów na prowincji i na froncie, zakładanie bibljotek podręcznych dla domów żołnierskich i ludowych oraz tworzenie kursów dla wyrobienia fachowych kierowniczek i sanitarjuszek. Środki materjalne do tej pracy czerpało Koło Polek z hurtowni, mieszczącej się w centrali, w pałacu Staszica w Warszawie. Obok niej istniała szwalnia, która wyrabiała dziennie do 2.000 kompletów bielizny dla żołnierzy, i pralnia, która oddała im również ogromne usługi.

Z chwilą demobilizacji opieka nad żołnierzem zmniejszała się stopniowo i skierowała na inne pola akcji społecznej. Ogniskiem jej stały się poszczególne koła, rozsiane dziś po licznych miejscowościach tak wewnątrz kraju jak na kresach. Jednym z pięknych działów ich pracy jest prowadzenie świetlic dla kobiet różnego stanu, pragnących godziwej rozrywki albo i nauki; uczestniczki zjazdu kwietniowego były właśnie obecne przy akcie zaprzysiężenia nowego zastępu kierowniczek takich ognisk, przygotowanych w Warszawie. Tematem obrad były także sprawy gospodarcze, rodzinne, opieki nad dzieckiem, pracy zarobkowej kobiet, służby domowej; we wszystkich tych działach uchwalono odpowiednie rezolucje, w których uwzględniono też w wysokim stopniu troskę o moralny poziom kobiety i społeczeństwa. W wyborach do Zarządu przeszła między innemi paniami niestrudzona dotychczasowa przewodnicząca, p. Konstancja Łubieńska.

* * *

Z końcem kwietnia wyjechało parę delegatek polskich do Waszyngtonu na kongres Międzynarodowej Rady Kobiet, który rozpoczął obrady dnia 4 maja pod przewodnictwem lady Aberdeen, przy udziale około trzystu kilkudziesięciu przedstawicielek 40-tu narodów. Celem tej światowej organizacji jest utrzymanie pokoju i współpracy między narodami, zdobycie równych praw politycznych i ekonomicznych dla kobiet, walka z prostytucją i zasadą podwójnej moralności, oraz opieka nad dzieckiem, w szerokiem tego słowa znaczeniu.

Ogólne kongresy Rady odbywają się co 5 lat; ostatni miał

miejsce w Chrystjanji. Nadto co roku odbywa się posiedzenie Zarządu, a co dwa lata posiedzenie Wydziału wykonawczego, do którego oprócz Zarządu wchodzą przewodniczące wszystkich Rad narodowych i przewodniczące komisyj. Komisyj takich jest obecnie 11, jak: prawnicza, politycznego równouprawnienia, zdrowia, pracy zawodowej, opieki nad dzieckiem, wychowania, moralności i t. d. Na zjeździe obecnym pracowały w nich wszystkie cztery delegatki polskie; posł. Holder Eggerowa w sprawach handlu żywym towarem, emigracji i zdrowia, p. Wrzesiewiczowa w kwestji pracy zawodowej kobiet, p. Makowiecka w sprawie prasy, i senatorka J. Szebekówna, z której sprawozdania w *Kurjerze Warszawskim* czerpiemy niniejsze informacje, w komisji pokoju i sądów rozjemczych, prawniczej i oświatowej. Panie te zostały wysłane na kongres przez Radę narodową Polek, która powstała w styczniu 1924 r. jako zrzeszenie większości stowarzyszeń kobiecych narodowo-społecznych. Ma ona na celu podwójną pracę: jedną wewnątrz kraju, zmierzającą do skoordynowania działalności różnych związków kobiecych polskich, drugą zewnętrzną, polegającą na zawiązywaniu i utrzymywaniu stosunków z pokrewnemi organizacjami zagranicą i z Radą międzynarodową kobiet.

Bardzo znamiennym dla poznania nastrojów amerykańskich był fakt, że we wszystkich komisjach pracowano w zgodzie, burza wybuchła tylko w komisji pokoju i sądów rozjemczych, a spowodowały ją sprawy mniejszości narodowych, powszechnego rozbrojenia i przyjęcia wszystkich narodów do Ligi. Te ostatnie zagadnienia, wypływające z politycznego zabarwienia, jakie po wojnie przybrała Międzynarodowa Rada Kobiet, oraz z ścisłego jej związku z Ligą narodów, były też przyczyną chłodnego a nawet częściowo nieprzychylnego stanowiska, jakie wobec niej zajęła część prasy i społeczeństwa amerykańskiego. Odbiło się to nieco i na samych delegatkach, które pozbawiono zapowiedzianego bankietu i innych uroczystości w New Yorku, a w samym Waszyngtonie zamiast obiecanej pięknej sali Memorial Hall, wyznaczono im jako miejsce obrad Auditorjum, pod wielu względami zupełnie do tego celu nieodpowiednie. Wskutek tych braków oraz niedostatecznego przygotowania ucierpiały niemało same narady kongresu. Delegatki polskie miały jednak tę satysfakcję, że mogły się przyczynić do propagandy na rzecz Polski i dopilnować niektórych spraw, dla niej szczególnie żywotnych.

Dnia 7 i 8 czerwca odbył się w Warszawie V walny zjazd Narodowej Organizacji Kobiet przy udziale 176 delegatek z całego kraju.

Założona w roku 1918 rozrosła się szybko i liczy dziś 43.000 zorganizowanych członkiń, które przejęte ideałem służby dla narodu i religji, stoją wytrwale pod obranem od początku hasłem „Bóg i Ojczyzna!" Dla zrozumienia charakteru Narodowej

Organizacji Kobiet ważnym jest moment, że od zarania swego istnienia oświadczała, że chce stać poza partjami i zasadzie tej pozostała wierną dotychczas; owszem, zjazd czerwcowy postanowił zabronić swym członkiniom należenia do kół kobiecych partyj politycznych (nie jest zakazana przynależność do stronnictwa), gdyż pokazało się, że walki partyjne rozbijają tylko ich jedność, jak się to stało na Górnym Śląsku.

Działalność Nar. Org. Kobiet jest rozległa; w początkach rozciągała się głównie na opiekę nad żołnierzem i uświadamianie narodowe szerokich warstw społeczeństwa w celu przygotowania wyborów. Z czasem akcja jej poczęła obejmować coraz szersze pola, a ogrom tejże wykazało sprawozdanie, złożone na zjeździe obecnym. Około 200 oddziałów N. O. K. pracuje dziś we wszystkich województwach Polski w ścisłej łączności z innemi organizacjami społecznemi i oświatowemi, ideowo spokrewnionemi. Praca ta obejmuje głównie cztery dziedziny: polityczną, oświatową, ekonomiczną i humanitarną (opieka społeczna). W dziale oświatowym N. O. K. prowadziła w ubiegłym roku świetlicę przy każdym oddziale, wypożyczalnie książek, czytelnie lotne, 2 uniwersytety ludowe, 18 bibljotek, 7 ochron, 24 kursów analfabetów, 12 biur kolportażu pism i broszur; nadto urządziła 1.868 odczytów i pogadanek, 73 teatrów amatorskich, 6 koncertów, 130 obchodów okolicznościowych, 5 wystaw pracy kobiecej; sekcja oświatowa wydaje również bibljoteczkę pogadankową dla prelegentek, a sekcja nauczycielska pisemko dla nauczycielek szkół powszechnych. W dziale pracy ekonomicznej N. O. K. posiada 157 placówek gospodarczych. Na polu opieki społecznej utrzymuje szpital dla niezamożnych chorych w Solcu, przytułek położniczy w Radomiu, a oprócz tego pracuje w różnych instytucjach humanitarnych.

Rezolucje, uchwalone na zjeździe czerwcowym, uwzględniły, poza powyższym programem, silnie moment wychowawczy i sprawę nauczania religji w szkole. Wybory końcowe pozostawiły w niezmienionym składzie dotychczasową Radę naczelną N. O. K., z posłanką ks. Puzynianką, jako przewodniczącą.

Organizacja Ziemianek, założona w r. 1895, jest najstarszą z pośród stowarzyszeń gospodarczych kobiecych na świecie, a dziś obejmuje, można powiedzieć, dwie odrębne gałęzie, starszych i młodszych. Cechą charakterystyczną tej instytucji jest, że koła jej nie ograniczają się do przedstawicielek większej własności, ale obejmują wszystkie warstwy rolniczek, tak że włościanki stanowią około 90% członkiń. Poszczególne koła łączą się w okręgi, te zaś w stowarzyszenia, których podstawą jest dzielnica, a ponad wszystkiemi stoi Rada naczelna, obradująca co pewien czas w Warszawie.

W czerwcu odbył się walny zjazd Stowarzyszenia Ziemianek w b. Królestwie, obejmującej około 6.000 członkiń,

skupionych w 380 kółkach i 28 okręgach. Odbywa ono dwa razy do roku zebrania ogólne, w czerwcu sprawozdawcze a w grudniu projektodawcze. Pracę swą prowadzi w czterech sekcjach: 1) organizacyjnej, 2) gospodarczej, która kieruje sklepami stowarzyszenia (28 sklepów) i sprawami gospodarskiemi; 3) wychowawczej, która między innemi prowadzi trzy szkoły zawodowe na prowincji i szkołę dla instruktorek w Puławach; 4) społecznej, zajmującej się różnorodnemi zagadnieniami z tej dziedziny. Sprawozdanie wykazało wielką żywotność stowarzyszenia w ubiegłym roku: urządzono 970 zebrań, 1.112 odczytów, 45 kilkodniowych kursów (ogrodniczych, kucharskich, pielęgniarskich) i 22 kilkotygodniowych kursów szycia, gotowania, ogrodnictwa i gospodarstwa domowego. Na czele stowarzyszenia stoi p. Aleks. Grzybowska. Z pośród uchwał zjazdu nadmienić należy, obok kwestyj gospodarczych, zajęcie się opieką nad dzieckiem w wieku przedszkolnym.

Koło Młodych Ziemianek, pracujące łącznie ze wspomnianem wyżej Stowarzyszeniem Ziemianek, odbyło w dniach od 10—11 maja swój walny zjazd, przy udziale 200-stu członkiń.

Organizacja ta, licząca około 150-ciu członkiń czynnych, stara się, podobnie jak powyższa, złączyć razem w miłości Boga i Ojczyzny młode panny obywatelki i z inteligencji oraz wiejskie dziewczęta; zorganizowanie tej pracy, przygotowanie fachowych sił i wciągnięcie do współpracy innych czynników, stanowi najważniejsze zadanie Koła. W tym celu pragnie ono przedewszystkiem skupić w swych szeregach wszystkie młode ziemianki i uzdolnić je do pracy na terenie wsi polskiej. Dążąc do rozwinięcia szerokiej akcji oświatowej na wsi, starało się Koło wciągnąć do pracy nauczycielstwo, duchowieństwo i wogóle całą inteligencję wiejską, dla której łącznie z „Macierzą Szkolną", organizuje szereg kursów oświaty pozaszkolnej, cieszących się wielkiem uznaniem i frekwencją; z początkiem marca b. r. urządzono również trzymiesięczny kurs gospodarczy dla panien w Rudzie Czechowskiej pod Puławami. Osobna „Sekcja kół dziewczęcych" (około 30) prowadzi pracę wśród dziewcząt wiejskich i urządziła w dniach od 21—22 maja zjazd tychże w Warszawie, wspólnie ze zjazdem kobiet wiejskich ze Stowarzyszenia ziemianek. Nadto, w celu wzajemnego zbliżenia się między sobą założyło Koło „Klub młodych ziemianek", który przez sekcje: samokształcenia, artystyczną, towarzyską i sportową, dąży do duchowego i fizycznego podniesienia członków, oraz do ułatwienia serdecznego współżycia i pracy. Na czele Koła stoi obecnie p. Halina Dernałowiczówna.

W przeciwstawieniu do powyższych zjazdów był „Dzień Kobiet", urządzony dn. 21 czerwca w całym kraju przez Polską Partję Socjalistyczną, dniem propagandowym dla idei socjalizmu wśród kobiet.

Historja tego ruchu sięga kilkanaście lat wstecz. Międzyna-

rodowa Konferencja kobiet, która w r. 1910 obradowała równocześnie z Kongresem Międzynarodówki Socjalistycznej w Kopenhadze, uchwaliła, by w celach propagandy urządzać co roku t. z. „Dzień Kobiet". Projekt ten spotkał się z ogólną aprobatą i już w następnym r. 1911 wprowadzono go w czyn, a po czasowej przerwie wznowiono na polecenie międzynarodowej Konferencji kobiet, odbytej w Hamburgu w r. 1923. W Polsce obchody te odbywały się od r. 1911 aż do wybuchu wojny światowej tylko na terenie Małopolski i Śląska Cieszyńskiego, a od r. 1924 objęły cały kraj.

Przygotowania do obecnego „Dnia Kobiet" rozpoczęły się wcześnie i prowadzone były z wielkim nakładem pracy. Już od początku czerwca *Robotnik* i krakowski *Naprzód* nawoływały do udziału i zamieszczały odezwy. Wydano jednodniówkę „Głos Kobiet", rozsyłano afisze, a w odezwach ostatnich dni obok szczegółowych postulatów na rzecz kobiety nie pominięto także wysunięcia właściwego programu:

„Walczymy o nowy ustrój społeczny, o ustrój socjalistyczny, w którym praca będzie źródłem dobrobytu i radości dla wszystkich, dla całego społeczeństwa solidarnego, bo nie podzielonego na klasy.

Ale już w obecnym ustroju dążymy do zdobycia dla kobiet-proletarjuszek takich warunków życia i pracy, by mogły stać się uświadomionym czynnikiem w walczącej armji proletarjatu.

Uświadamiajmy kobiety pracujące... Wskazujmy, że ich miejsce jest jedynie w szeregach socjalistycznych..."

Właściwa sprawa jest więc jasno postawiona, reszta zaś haseł — ochrona pracy kobiet, opieka nad matką i dzieckiem, walka o domy robotnicze, walka z drożyzną i bezrobociem, z alkoholem i prostytucją — to postulaty, godne wprawdzie zrealizowania, ale które kierownicy partji chcą przedstawić jako swój monopol w celu wciągnięcia kobiet pod czerwony sztandar. Do tego celu zmierzały też rozliczne przemówienia, wiece i akademje, urządzane we wszystkich ośrodkach socjalistycznych. W samej Warszawie odbyły się w tym dniu cztery akademje, na których nie brakło również produkcyj artystycznych i literackich; dla dzieci urządzono popołudniu dwie wielkie zabawy. W Krakowie odbyło się zgromadzenie i pochód, a popołudniu zawody sportowe. Podobny przebieg miał „Dzień Kobiet" i w innych miastach, a prasa socjalistyczna przez parę następnych tygodni zamieszczała ciągle sprawozdania z różnych stron kraju.

Spełniając w tej chwili tylko rolę sprawozdawcy, nie wdajemy się w ocenę całej tej akcji i wogóle stusunku socjalizmu do kobiety. Temat to zbyt obszerny i zasługujący na osobne opracowanie. Trudno tę rzecz rozstrzygnąć krótkim, apodyktycznym gestem; chcąc przedstawić ją zgodnie ze sprawiedliwością i prawdą, należałoby ująć sprawę na szerszem tle systemu socjalistycznego. Czytelnicy zdają sobie jednak sami sprawę z niebezpieczeństwa tej akcji. Ruch ten bowiem, dzięki ukrywaniu tendencyj antyre-

ligijnych i częściowo antyspołecznych a wysuwaniu haseł i żądań zupełnie słusznych, będzie z pewnością przybierał na sile i powinien dlatego być przestrogą dla wspomnianych powyżej katolickich i narodowych organizacyj kobiecych, powołanych na pierwszem miejscu do przeciwdziałania na tym terenie.

Ks. St. Podoleński.

Z kroniki społeczno-ekonomicznej.

Trzeci Kongres Chrześcijańskiej Demokracji. — Trzeci Kongres klasowych Związków Zawodowych. — Siódma Międzynarodowa Konferencja pracy.

Kongres Chrześcijańskiej Demokracji, który się odbył w dniach 30 maja i 1 czerwca b. r. należałoby właściwie podciągnąć pod rubrykę zjawisk politycznych, której zasadniczo *Przegląd Powszechny* nie prowadzi. Są jednak pewne momenty, tkwiące w samej istocie tego ruchu, które każą ten doniosły fakt uwzględnić w naszem piśmie.

Ch. D. jest przedewszystkiem ruchem, którego korzenie tkwią głęboko w Kościele katolickim. Ch. D. żyje sokami prawd Kościoła i Kościół przez ruch ten zyskuje nową moc i dzielność. Następnie, jakkolwiek dziś ruch chrześcijańsko-społeczny przybrał z konieczności formę także polityczną, z konieczności dlatego, że katolicyzm nie może pozwolić usunąć się poza nawias życia, a życiem codziennem obecnej doby jest polityka, to jednak kolebką tej politycznej formy jest nie co innego, ale zasady sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej, zasady społeczne zarazem i moralne.

To są pewniki, wynikające z samej istoty ruchu chrześcijańsko-społecznego, względnie z natury Ch. D.

Lecz i historja stwierdza je doskonale. Uwzględnimy tylko stosunki polskie. To przecież, co dziś nazywamy Ch. D. miało lat temu trzydzieści fizjonomję wyłącznie społeczną, moralno-religijną. I w Wielkopolsce i w byłej Kongresówce czy Galicji potężne słowo Leonowe w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i — coraz bardziej zbliżające się do polskiego społeczeństwa niebezpieczne widmo socjalizmu, socjalizmu o wiele radykalniejszego niż dzisiejsza P. P. S. — rozniecilo najpierw w kapłanach świadomość potrzeby ratowania dusz robotniczych, a za tą świadomością poszedł organizacyjny czyn.

Ruch rozwijał się zupełnie normalnie, rzecby można organicznie. Najpierw (między r. 1890—1900) powstawały zrzeszenia kulturalno-oświatowe, które szerzyły i umacniały w robotniczych masach chrześcijańską, powiedzmy ściślej katolicką, ideologją społeczną, przysposabiały do katolickiego czynu społecznego; następnie (między r. 1900—1910) pojawiły się pierwsze chrześcijańskie organizacje zawodowe i te znów stworzyły możność dalszej ewolucji w kierunku akcji chrześcijańsko-politycznej, która

doszła do skutku dopiero w r. 1918 z brzaskiem polskiej wolności. Równocześnie ruch ten przybrał i tę najnowszą na polskim terenie formę, która przed wojną miała powodzenie raczej wśród ludu wiejskiego niż robotniczego, mianowicie, formę spółdzielczości. Tak więc dziś ruch ten jest już organicznie pełny, doskonały.

Ostatni, trzeci z rzędu,[1]) Kongres jest i wyrazem i rękojmią jego siły. Tu już nie chodzi o popieranie faktu cyframi, które zresztą są bardzo poważne — 1239 delegatów, w tem 453 gości — ale o atmosferę, w jakiej Kongres pracował i cała Ch. D. w przyszłości pracować chce.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Ch. D. musi w naszem społeczeństwie napotykać na tysiączne trudności. Trudnością taką jest ów rozwodniony katolicyzm, który się niestety da dopasować tak do skrajnego konserwatyzmu, jak radykalizmu, czy wreszcie nacjonalizmu. Trudnością jest to, że każde odezwanie się Ch. D. za reformą społeczną nawet w najpoważniejszych kołach jest uważane za flirt z socjalizmem, i każdą obronę niewzruszonych zasad etyki i sprawiedliwości obóz lewicowy wygrywa, czy stara się wygrać jako zdradę interesów robotniczych. Wreszcie trudność, według naszego zdania, stanowił fakt, że stosunkowo za mały udział w ruchu brały uświadomione i tęgie jednostki świeckie a za duży duchowieństwo. Przypuszczenie to wygląda wprawdzie na paradoks, ale da się napewno uzasadnić i faktami i psychologją, jaka wynika ze stanowiska duchowieństwa, i ze stosunku osób świeckich do duchowieństwa, jednakowoż nie tu miejsce, by szerzej o tem rozprawiać. Stwierdzamy z zadowoleniem fakt, że wśród i mimo tych trudności Ch. D. idzie śmiało naprzód.

Dziś już stronnictwo to posiada spory zastęp menerów świeckich i reprezentanci wszystkich dzielnic i wszystkich środowisk idą zdecydowanym krokiem w stronę ześrodkowania, ujednostajnienia nie tylko jakichś dalekich ideałów, ale kierownictwa i taktyki.

Ch. D. zdaje sobie jasno sprawę, że jej miejsce wśród ugrupowań politycznych musi być centralne. Nie wstydzi się tego, owszem, uważa to za swą najszlachetniejszą ambicję, że społeczne reformy, są jej okiem w głowie, ale sprawy tej nie załatwia jednostronnie, nie kokietuje robotnika, nie twierdzi, że robotnik wyłącznie jest wszystkiem, ale tak, jak w swem łonie ma reprezentantów wszystkich społecznych warstw, tak w swej pracy i w swych dążeniach uwzględnia je wszystkie i żadnej z nich nie uważa za wydziedziczoną. Fakt ten stwierdził ostatni Kongres nie tylko przez obecność przedstawicieli społecznego dołu i góry, ale przez usta wszystkich niemal mówców i przez zaprojektowany program stronnictwa.

[1]) Pierwszy odbył się w Krakowie we wrześniu 1919 r., drugi w Warszawie w r. 1920.

I tu właśnie jest jedna z owych przepaści, dzielących Ch. D. od P. P. S. mimo wielu punktów stycznych, jakie istnieją w sferze zagadnień społecznych. Nie Ch. D. kokietuje lewicę, ale lewica to, czem świeci, bierze z świętego znicza praw naturalnych i objawionych. Zaś bezpośrednią konsekwencją tego ogarnięcia ruchem chrześcijańsko-demokratycznym jest usuwanie z widowni społecznej tego, co w socjaliźmie stanowi pierwszy atut agitacyjny t. j. walki klas. Nie walka, lecz solidaryzm społeczny, oto nuta, która brzmiała najwyraźniej w całej mozolnej pracy Kongresu i znajdzie odpowiednio silny wyraz w programie.

Kiedy się czyta choćby taki urywek mowy p. Błażejewicza: „Nie godzimy się na liberalne pojęcie państwa; ono musi być chrześcijańskiem, musi — między innemi — p o m a g a ć K o ś c i o ł o w i w s p e ł n i a n i u j e g o z a d a ń", to się nieomylnie wyczuwa, że tu tkwi zrozumienie posłannictwa Kościoła i tego, że racją wierności dla Kościoła nie jest wyłącznie jego dodatni wpływ na doczesne stosunki narodowe, a przecież prawda ta kardynalna jest naopak postawiona w przerażająco dużej części naszego narodu i jego parlamentarnych reprezentantów.

Z tych kilku szczegółów widać, że Ch. D. z trudnościami umie sobie radzić i szczegóły te zwiastują, że z czasem trudności będzie coraz mniej. Lecz nie tylko to. Dorobek obecnego Kongresu jest tego rodzaju, że budzi najśmielsze nadzieje. Ustalenie programu, sprecyzowanie wielu punktów bieżącej chwili, projekty kształcenia przewódców ruchu i szerokich warstw przez zorganizowanie chrześcijańsko-społecznego Uniwersytetu Powszechnego, skoordynowanie i ujęcie w jedną całość wszystkich organizacyj ruchu chrześcijańsko-społecznego, nawiązanie ścisłego kontaktu z analogicznym ruchem na terenie międzynarodowym, wzmożenie działalności tak ważnego czynnika, jak prasa przez założenie Chrześcijańsko-społecznej Ajencji Prasowej, oto projekty, których realizacja bezwątpienia wpłynie poważnie nie tylko na wewnętrzną wartość całego ruchu chrześcijańsko-demokratycznego, ale na nasze polityczne, narodowe i religijne stosunki.

Cieszyć się można i trzeba, że się skończył ten okres, kiedy się nawet w tej akcji mówiło: „my i oni", kiedy poszczególne ośrodki występowały z własnemi ambicjami i że teraz ponad to wszystko wzbiła się wysoko zasada jedności, jak jeden jest Chrystus, z którego moc swą czerpie Ch. D. i któremu swemi wysiłkami programowo służyć chce!...

* * *

Z wielu względów bardzo interesujący był również trzeci Kongres Związków Zawodowych, który się odbył w Warszawie od 11—14 czerwca. Mówimy o związkach znanych do tej pory pod mianiem „bezpartyjnych". Po tym Kongresie można je już bez cienia jakiejkolwiek insynuacji nazwać socjalistycznemi. Przy-

znali się do tego zresztą sami socjaliści, stwierdzając, że „istnieje tu stosunek wzajemnej zależności, że nie tylko ruch i organizacja polityczna oddziaływują na ruch i organizację zawodową, ale i odwrotnie". Wiedzieliśmy o tem wszyscy, ale miło nam to wyczytać w naczelnym organie P. P. S. i uważamy to za jedną korzyść, jaką przyniósł ze sobą Kongres już nie ludziom partji, ale, powiedzmy obserwatorom ruchu.

Kongres ten nie był tak masowo obesłany, jak wyżej omówiony Kongres Ch. D. Obecnych było 174 członków z głosem decydującym, w tem 25 członków Komisji Centralnej i Komisji Rewizyjnej. Lecz ci delegaci reprezentowali 300.000 zorganizowanych robociarzy.

Z racji tej liczby pozwolimy sobie dodać dwie uwagi: 1) że nikt mądry w okrągłe cyfry nie wierzy 2) że od r. 1921 liczebność członków Zw. Z. spadła o 155.000. Spadek ten tłómaczą sobie socjaliści „kryzysem i ogromnem bezrobociem", ale i w to tłómaczenie nikt mądry nie uwierzy. Robotnik garnie się do związków zawodowych ze względu na materjalne korzyści i realną pomoc, jakiej mu organizacja zawodowa dostarcza. Każdy zaś wie o tem, że więcej pomocy materjalnej potrzebuje bezrobotny, niż robotnik mający zajęcie i znośnie płatny i dlatego wszędzie na świecie podczas kryzysów do tej pory wzmagał się organizacyjny ruch zawodowy. Przytoczymy na dowód choćby jeden drobny szczegół.

Kiedy po wojnie w Holandji, jak i w innych neutralnych państwach, które na wojnie robiły złote interesa, rozpoczął się gospodarczy przełom, bezrobocie, liczebność związków zawodowych gwałtownie zaczęła wzrastać. W r. 1917 chrześcijańskie związki zawodowe robotników budowlanych liczyły 7.800 członków, pod koniec roku następnego liczba ta wzrosła do 12.200, w rok później aż o 100% a w roku 1920 liczba dosięgła 27.450 członków. W tym też roku Holandja rozpoczęła drogę normalnego życia gospodarczego, bezrobocie poczęło szybko znikać i w rok później związki straciły 50% członków.

Więc nie bezrobocie jest przyczyną przerzedzenia się szeregów organizacyjnych, bo to byłoby ciężkim zarzutem przeciwko P. P. S. i Związkom, znaczyłoby bowiem nic innego jak to, że związki w najkrytyczniejszej chwili robotnika opuszczają. Przyczyną nie ulegającą żadnej wątpliwości jest poprostu przeagitowanie sprawy. Pewnie, że robotnik jest naogół ciemny i że się go da wziąć na lep obiecanek, ale ma przecież na tyle rozumu, że wcześniej czy później spostrzega to, iż błyszczące słowa towarzyszy nie były szczerem złotem prawdy...

To samo zjawisko cofania się liczby członków socjalistycznych związków zawodowych, stwierdził reprezentant międzynarodówki amsterdamskiej na warszawskim Kongresie. Bezpośrednio po wojnie, kiedy większa część robotniczego świata uwierzyła

w rewolucję i w dyktaturę proletarjatu, zastępy związkowe liczyły 24 miljony członków, obecnie, kiedy nastąpiło znaczne otrzeźwienie, już tylko 15 miljonów. Jest to w każdym razie poważna organizacja i możnaby sobie śmiało życzyć, by tę i liczebność i zwartość zdobyły chrześcijańskie organizacje.

Warto zwrócić uwagę, że prócz wspomnianego wyżej reprezentanta międzynarodówki, w Kongresie brali udział reprezentanci niemieckiej, czeskiej, rumuńskiej i szwedzkiej centrali Zw. Z. Prócz tego z czułościami przyjechali z Niemiec przedstawiciele Niem. Socjalnej Demokracji i niemieckiej Partji Pracy i nie mniej sentymentu żywili dla Kongresu, znani na całym świecie proletarjusze i uznojeni robociarze: delegaci Bundu i Poale Sijonu.

I nic dziwnego, że mają ten sentyment, bo są pewni uprzedzającej wzajemności. Tow. Żuławski, jako przedstawiciel centrali Zw. Z. z wielką mocą wystąpił przeciw „bojkotowi, stosowanemu wobec robotników żydowskich w przedsiębiorstwach państwowych i komunalnych". Wątpimy w to bardzo, czy tow. Żuławski powiedział to po zastanowieniu się nad tem, gdzie jest procentowo więcej bezrobotnych wśród Żydów, czy wśród Polaków? Kto ma procentowo większe zasługi w tem, że Polska posiada rządowe i komunalne przedsiębiorstwa, Żydzi, czy Polacy? Komu łatwiej otoczyć opieką bezrobotnych, międzynarodowej finansjerze, czy niezasobnemu polskiemu Ministerstwu Pracy i Opieki Społecznej. I robotnik polski powinien sobie to zapamiętać, że p. Żuławski swojem wystąpieniem strasznie go skrzywdził, bo dziś na ojczystej ziemi odbiera chleb swoim rodakom, by go dać tym, którzy z pośród wszystkich obywateli polskich najmniej go potrzebują i najmniej praw do niego posiadają.

Incydent ten jest najprzykrzejszy w przebiegu całego Kongresu. Poza nim dowiedzieliśmy się ze sprawozdań jeszcze parę szczegółów pocieszających. „Kongres uznaje działalność partji komunistycznej za wrogą dla interesów klasy robotniczej i organizacyj zawodowych i przestrzega ogół robotników przed zgubnemi następstwami szerzonych haseł pozornej jedności organizacyjnej", Kongres uważa, że „wywoływanie w obecnych warunkach powszechnego strajku byłoby nierozumowe i bezcelowe". Te dwa oświadczenia mówią jednak mimo całej bojowości socjalizmu o dużem otrzeźwieniu i o jakiej takiej tamie nawet z tej strony przeciwko infiltracji bolszewizmu.

Rezultatem Kongresu było przyjęcie całego szeregu wniosków, z których kilka uważamy za bardzo szczęśliwe tak, że nie potrzebowałby się ich wstydzić żaden kongres nawet najbardziej ch-decki. Np.: „Kongres domaga się zawarcia odpowiednich traktatów handlowych, potępiając równocześnie dążność przemysłowców do zdobywania obcych rynków zbytu przy pomocy konkurencji, opartej na zwiększonym wyzysku pracy. W dążeniu tem widzi Kongres jedynie źródło międzynarodowych konfliktów nie

zaś podstawę trwałego rozwoju produkcji krajowej". „Kongres domaga się rozbudowy dotychczasowej inspekcji pracy... oraz nadania Inspektorom Pracy władzy wykonawczej". „Kongres domaga się na całem terytorjum państwa wprowadzenia sądów przemysłowych, obieranych z grona obu zainteresowanych grup". „Widząc w niedostatecznej ilości środków obiegowych i w połączonej z nim drożyźnie kredytu jeden z powodów zastoju w przemyśle, a równocześnie środek do wyzysku klasy robotniczej — Kongres domaga się utworzenia obok pieniądza emitowanego przez Bank Polski — osobnego państwowego kapitału obrotowego, nisko oprocentowanego na cele produkcji, opartego nie na walucie zagranicznej lub złocie, lecz na hipotece całego państwa i prywatnego majątku".

Trudno zaprzeczyć, że myśli w tych wnioskach zawarte są trafne, choć napewno łatwiej je wypowiedzieć, niż konkretnie przeprowadzić. No i — kogo nie zdziwi to osobliwe *Confiteor*, jakie zawiera ostatni wniosek, dający prawo obywatelstwa w produkcji i na świecie nie tylko pracy, ale i kapitałowi?... Dziwnie brzmi taka rezolucja w ustach socjalisty, tak dziwnie jak dziwny jest następujący wniosek: „Kongres jaknajostrzej potępia wszelkie próby przeprowadzenia reorganizacji przemysłu przez zastosowanie t. zw. „naukowych metod organizacji pracy..," Wniosek ten nasuwa przypuszczenie, że socjalizm boi się bardziej produkcji, niż pracy, ale że taka obawa jest dość przeciwna naturze ludzkiej, dlatego trzeba z tym wnioskiem stwierdzić, że wniosek ten przeszedł tylko w imię doktryny, dla zamanifestowania, że socjalizm nie jest nieomylny...

* * *

Siódma Międzynarodowa Konferencja Pracy, trwająca kilka tygodni, posiadała kilka momentów, które bodaj nie najlepiej wróżą o jej przyszłości, coraz wyraźniej bowiem występują na niej cienie nacjonalizmu i polityki. Niemcy n. p. z uporem sobie właściwym zdołały faktycznie, choć nieprawnie, przeforsować swój język jako urzędowy i nie zdołano się ich pretensjom oprzeć. Szczegół może drobniejszy i zasadniczo niesprzeczny ze społecznemi potrzebami, którym ma zaradzać Konferencja. Natomiast dwa inne incydenty godzą wprost w rację bytu i działalności Międzynarodowego Biura Pracy.

Oto państwa ekonomicznie słabsze, albo raczej nie najsilniejsze, gotowe są w każdej chwili ratyfikować przyjęte na poprzednich Konferencjach konwencje, tymczasem państwa ekonomicznie silniejsze nie chcą tego uczynić, wobec czego i pierwsze uczynić tego nie mogą. Sytuacja ta występuje bardzo wyraźnie w kwestji 8-mio godzinnego dnia pracy. Francja nie jest od tego, by tę głośną zdobycz pierwszej, waszyngtońskiej Konferencji uznać w całej pełni, ale pod warunkiem, że się jej będą trzymali ofi-

cjalnie i Niemcy; Niemcy nie chcą się zgodzić na ratyfikację, ze względu na Anglję, która 6 kwietnia odrzuciła w Izbie Gmin wniosek o ratyfikację i napewno tej konwencji ustawowo nie przyjmie, dopóki Ameryka nie będzie brała oficjanego i wiążącego udziału w Konferencjach. Ameryce zaś na Konferencji Pracy prawdopodobnie najmniej zależy. Ona ma swój system pracy i z tem jej dobrze, bo idzie na przedzie gospodarczych potęg.

Taka sama mniej więcej sytuacja jest i w innych sprawach uzgodnionych, względnie dyskutowanych na Konferencjach. Tak np. Anglja na obecnej Konferencji zajęła całkiem odrębne stanowisko w sprawie 24-godzinnego spoczynku raz w tygodniu w hutach szklanych z systemem wanien. Postawionemu wnioskowi się sprzeciwiła i zdołała go nawet obalić. Również i w sprawie pracy nocnej w piekarniach Anglja szła najdalej za umożliwieniem tej pracy i choć na Konferencji przyjęto kowencję zakazującą pracy nocnej po piekarniach, Anglja może nie zechce jej ratyfikować i niema na to rady.

W tym punkcie występuje cała słabość Konferencji. Wszak nie chodzi o samą dyskusję, choćby nawet bardzo pouczającą, ale o pewne postanowienia, któreby naprawdę i skutecznie kładły kres społecznym bolączkom i nie można się zgodzić na to, by państwa syte gospodarczemi zasobami eksperymentowały na lichszych podmiotach państw ekonomicznie słabszych. I właśnie wskutek takiej sytuacji ze sprawozdań przedstawicieli lewicy widać już pewne zniechęcenie i zanik zaufania do tej tak wiele obiecującej w swych początkach instytucji.

A jednak byłaby wielka szkoda, gdyby ten trybunał dla tak drażliwych spraw, jak sprawy społeczne, stracił swą powagę. Bądź jak bądź jest to międzynarodowa reprezentacja i rządów i przedsiębiorców i robotników i, jeśli gdzie, to tam jeszcze powinnoby być miejsce do spokojniejszego i sprawiedliwego rozstrzygania piekących zagadnień, do hamowania za wczesnych i w niejednym wypadku fantastycznych dezyderatów socjalizmu i do pchania w stronę społecznego postępu wciąż jeszcze zbyt tępego pod tym względem liberalnego kapitalizmu.

Również nie wesoło wróży Konferencjom już po raz wtóry zainscenizowana na obecnej Konferencji walka z faszyzmem, reprezentowanym w osobie Rossoni'ego. Wszak nie o to chodzi na tego rodzaju konferencjach, jaki jest ustrój polityczny państw, ale jak się przedstawia położenie robotnika w atmosferze tej lub innej polityki. I, jeśli faszyzm zdoła się wykazać, że mimo swej polityki robotnikom źle się nie dzieje, niema najmniejszego powodu do eliminowania jego reprezentantów.

Powód, wysunięty przez socjalistów, że faszyzm rozwiązał związki zawodowe nie jest racją walki. Przecież związki te mają tylko jeden sens: zaspokoić, czy zabezpieczyć sprawiedliwe postulaty robotnicze. Lecz jeśli to zabezpieczenie zdoła dać jakiś

system rządowy, wówczas obejdzie się zupełnie bez związków zawodowych.

Naturalnie, że reprezentanci związków zawodowych i z lewicy i chrześcijańskich nie rozumują w ten sposób. Jest to zresztą zupełnie logiczne, albo raczej psychologiczne, gdyż reprezentanci związków bronią ich istnienia, które niepotrzebnie uważają za cel a nie za środek w społecznej ewolucji.

Z ostatniej Konferencji warto podnieść pochlebny dla nas szczegół, że polski przedstawiciel został poraz trzeci wybrany do Rady Administracyjnej Międzynarodowego Biura Pracy. Rada ta składa się z 24 członków. Dwunastu z nich reprezentuje rządy, 6 robotników, zaś 6 pracodawców. Wśród reprezentantów rządowych 8 państw najbardziej uprzemysłowionych ma stale zapewniony udział, zaś cztery miejsca obsadza Konferencja z wyboru, do którego staje 55 państw. P. Sokala wybrano 45 głosami, a obok niego przedstawicieli Hiszpanji, Argentyny i Norwegji. W ten sposób przedstawiciel polski na dalsze trzylecie uzyskał wybitne stanowisko na terenie międzynarodowym.

Ks. R. Moskała.

Z najnowszej higjeny odżywiania.

Złudzenia dawniejszych poglądów. — Przewrotowe odkrycia Osborna, Medela, Funka. — Zapoznane ślady. — Witaminy A. — Witaminy i promienie słońca. — Dwa rodzaje witaminów A. — Witaminy B, a Beri-Beri. Gdzie ich szukać? — Witaminy C. — Etjologja szkorbutu. — Owoce a zbytek. — Nowe hasła higjeny. — Precz ze sterylizatorem! — Hartowanie organizmu. — Witaminy a inkrety. — Witaminy a psychika człowieka. — Promienie pozafjołkowe. — Związek człowieka z przyrodą.

Lat temu jakieś dwadzieścia zaledwie, chemja fizjologiczna wielkie święciła triumfy i z dumą spoglądała na dokonane przez siebie, ponad wszelką wątpliwość, jak się zdawało, pewne i niewzruszone dzieło. Oto po długich i niezmiernie żmudnych badaniach zdołano nareszcie zanalizować i rozwiązać jedną z najważniejszych dla człowieka zagadek, to jest sprawę pokarmu człowieka. Ogromne postępy chemji organicznej i nieorganicznej z jednej strony, z drugiej zaś badania fizjologiczne, dokonywane na zwierzętach i ludziach, doprowadziły rzekomo do stwierdzenia, ile i jakie rodzaje pokarmów musi człowiek przyjmować, by mógł normalnie spełniać wszystkie funkcje życiowe. Pokazało się, że pożywienie, aby było wystarczające, musi spełniać dwojakie zadanie w organizmie. Po pierwsze, musi dostarczać dostatecznej ilości energji, i co do tego obliczono na podstawie wielu badań i doświadczeń, że człowiek dorosły, ważący 70 kilogramów, zużywa w ciągu 24 godzin, nie wykonując większych ruchów i pracy, 2.400 kaloryj kilogramowych, czyli 100 kaloryj na godzinę, to znaczy z grubsza tyle, ile potrzeba na ogrzanie litra wody, mającej zero stopni, do punktu wrzenia. Gdy zaś wykonuje pracę jakąś, ilość ta oczywiście musi być większą, tak, że przy pracy normalnej, wynosi około 2.800 kaloryj na dobę. Po drugie, pokarm pobrany musi dostarczyć materjału do odbudowy zniszczonych funkcjami życiowemi tkanek. Do tego

zaś potrzeba średnio na dobę koło 80 gramów substancji organicznej, zwanej białkiem i nadto nieco soli i wody. Na pokarmy zaś energetyczne, to jest pierwszej grupy, składają się głównie tak zwane węglowodany i tłuszcze, chociaż i białko także może dostarczać częściowo energji. I zgadzano się prawie powszechnie, że człowiek normalnie pracujący, by zachować siły i zdrowie, musi pobierać dziennie 80 do 100 gramów białka, 90 do 170 gramów tłuszczu i 200 do 400 gramów węglowodanów — razem więc wszystkiego około pół kilograma. Prócz tego nieco soli nieorganicznych i niespełna 3 litry wody.

Wyniki takie niezmiernie były pocieszające. Bo najpierw stwierdzały one, że ludzie wogóle jedzą za wiele, że więc można znaczne na jedzeniu poczynić oszczędności, a nadto dawały one nadzieję, że będzie można używać pokarmu w formie skondensowanej, co niezmiernie ułatwiałoby dostarczenie żywności większym zwłaszcza zbiorowiskom ludzi, jak miastom wielkim, armjom, a także byłoby bardzo wygodnem w podróżach, tak lądowych, jak i morskich. Myśl ta stawała się tem ponętniejszą, że chemja nauczyła wyrabiać syntetycznie zarówno węglowodany, jak i tłuszcze, i tylko czekano, kiedy Fischer lub inny jaki wielki chemik roześle wiadomość po świecie, że udało się mu utworzyć syntetycznie i białko. Wtedy bowiem cały system zaopatrywania w żywność ludności, a co za tem idzie i życie gospodarcze i społeczne uległyby zmianom zasadniczym.

Nadzieje te i obawy rozwiały się niezadługo. Wielu badaczy, jak Osborne i Medel w r. 1912, Röhrman w r. 1914 i następnie liczni inni stwierdzili, że jeżeli się chowa zwierzęta, czy to młode, czy dojrzałe, dostarczając im wyłącznie owych substancyj, uznanych przez fizjologów dotychczasowych za niezbędne i wystarczające, mianowicie, wody, soli, białka, węglowodanów i tłuszczów, i to w ilości całkiem wystarczającej — zwierzęta te marnieją i wreszcie giną. Gdy natomiast doda się im pokarmów naturalnych, wnet przychodzą do siebie i mają się dobrze. Wniosek stąd oczywisty, że jednak same te wyżej wymienione substancje, chemicznie czyste nie wystarczają i że w pokarmach naturalnych musi się znajdować jakiś czynnik lub więcej czynników, dotychczas przez naukę nieuchwyconych, które jednak konieczne są do zachowania przy zdrowiu a nawet życiu organizmów zwierzęcych, czyli do unormowania dostatecznej przemiany materji. Na ten czynnik wskazał już w roku 1913 Funk, i substancje te, narazie ukryte i bezpośrednio nie ujęte, nie wyosobnione, nazwał witaminami, sądząc, błędnie zresztą, jak się pokazało, że stoją one w koniecznym związku z kwasami aminowemi. Błąd dostrzeżono, lecz nazwa już się utarła, a więc i została; obok niej znane są jednak jeszcze inne, na oznaczenie tych samych substancyj, jak nutrominy, materjały uzupełniające, boczne materjały odżywcze i t. p.

Zdumiał się świat cały na tak niesłychanie ważne odkrycie, ku temu nowo wybitemu oknu, otwierającemu widoki na zupełnie nowe, dotychczas nie przeczuwane tajemnice przyrody, i to tajemnice tak żywo, tak bezpośrednio człowieka tyczące. Rzucili się badacze całego świata, wiadomość o tych odkryciach dostała się oczywiście do ogółu i wnet

witaminy stały się jednem z najpopularniejszych pojęć, przedmiotem rozmów, rozpraw, dociekań i żartów — ale przedewszystkiem podziwu.

A dziwić się tu mieli z czego wszyscy. Więc najpierw ogół ludzi, że mimo niewiadomości o potrzebie i konieczności witaminów ludzie przez tyle wieków żyli i wzrastali. Dziwili się jeszcze więcej uczeni, że mimo tylu i tak licznych badań nad pokarmami człowieka, nie wpadli dotychczas na ślad witaminów, chociaż one w przyrodzie tak bardzo są rozpowszechnione i na każdym kroku z niemi się spotykamy. Dziwili się jeszcze więcej, gdy spostrzegli, że jednak tu i ówdzie odezwały się głosy, poparte nawet rzeczowym materjałem, o istnieniu jakichś substancyj, przed nami ukrytych, a jednak do spraw odżywczych koniecznych. Wszak już blisko 200 lat temu, bo w roku 1734, J. E. Bachstrom zauważył, że choroba, zwana szkorbutem, która tak dziesiątkowała marynarzy, dłużej na morzu przebywających, stoi w ścisłym związku z tem, że ci marynarze zmuszeni byli żywić się przez czas dłuższy pokarmami suszonemi i solonemi. To też gdy z powodu tego spostrzeżenia Bachstroma nakazano dawać zawsze marynarzom sok świeżych owoców, zwłaszcza cytryn — szkorbut ustał. Oczywiście dziś wiemy, że ta cała sprawa prowadziła wprost i bezpośrednio do odkrycia witaminów, jednak tej żyły złotodajnej nikt nie uchwycił, i rzecz cała zapadła się na lat blisko dwieście. Przypomniano sobie dalej, że już w naszym wieku, w roku 1901, młody Belgijczyk z Antwerpji, dr Eugenjusz Wildiers w znanem piśmie naukowem *La Cellule* ogłosił rozprawę, w której po raz pierwszy opisuje witaminy, tylko pod nazwą inną, mianowicie Bios, i wykazuje o nich wiele rzeczy, które teraz są znane o witaminach; jednak całe to jego odkrycie nie zwróciło uwagi szerszego kręgu uczonych, i znowu na lat dwanaście rzecz ucichła.

Dziwić się wreszcie i z widoczną uwagą a zainteresowaniem niemałem przyglądać się musi witaminom i filozof przyrody, przyczem lekką Schadenfreude musi się przejąć względem tych materjalistycznych i pozytywistycznych przyrodników, którzy zawsze z szyderstwem i lekceważeniem odrzucali wszystko, czego oko, bodaj w mikroskop lub teleskop uzbrojone nie widziało, lub czego nie można było zważyć i zmierzyć. A tymczasem witaminy istnieją, napewno ich istnienia żaden uczony zaprzeczyć nie może — a jednak nikt ich nie widział, nikt ich nie zdołał wyśledzić, a ich własności ani nie wymierzono, ani zbadano ostatecznie.

Kiedy witaminy odkryto, uczuli wszyscy, że nastaje nowa epoka dla fizjologji odżywiania i dla higjeny. Z tem też większym zapałem wzięto się do badań i pracy, i odkryto wiele, ale wszyscy uznają, że jesteśmy zawsze jeszcze niejako na brzegu, albo niedaleko brzegu całej sprawy witaminowej, i że nas czeka tu jeszcze bardzo wiele niespodzianek.

Już prawie od samego początku uznawano trzy rodzaje witaminów, a chociaż przeważa dziś zdanie, że jest ich znacznie więcej, to jednak liczba ta pozostała dotychczas jako typowa. Oznacza się w międzynarodowej gwarze naukowej te witaminy przez litery, i mówi się o witaminach A, witaminach B i witaminach C.

Przez witaminy A rozumiemy takie, które rozpuszczają się w tłuszczu, to znaczy, mogą istnieć w tłuszczach. Noszą one także nazwę substancyj przeciwrachistycznych, z powodu ich związku z chorobą, tyle spustoszenia czyniącą, zwłaszcza wśród dzieci, zwaną rachitis, której typowemi cechami jest zachorzenie rur kostnych przy niedostatecznem osadzaniu się na nich złogów wapiennych i próchnienie zębów. Witamin A znachodźi się przedewszystkiem w liściach zielonych, skąd go pobieramy, jedząc zielono-liściaste jarzyny, jakoto sałatę, szpinak, kapustę zieloną i t. p. Zwierzęta witamin tych w swoim organiźmie wytwarzać nie mogą, mogą je jednak w sobie gromadzić, gdy je wezmą z pożywieniem. Stąd znachodzą się te witaminy A obficie w maśle, w mleku i jego przetworach; jest ich w mleku więcej, niżby to wypadało z ilości tłuszczu, czyli masła, które w niem się zawiera; nadto znajdują się w żółtku, mianowicie w tłuszczu żółtka, w tranie rybim, dalej w tkankach gruczołowych i wogóle w tak zwanych tkankach szlachetnych. Niema ich natomiast w tkankach łącznych i zapasowych, jak łój i tłuszcz podskórny, a więc niema ich w słoninie i w szmalcu; niema ich też w oliwie, ani w jarzynach korzeniowych, jak marchew, pietruszka, buraki, ziemniaki i t. p. Ponieważ, jak już wspomniano, zwierzęce organizmy nie produkują same witaminów, więc też i w mleku i maśle są witaminy tylko wtedy i o tyle, o ile zwierzę pobiera paszę bogatą w witaminy. Człowiek witaminy te bierze z jadalnych liści zielonych czyli z tak zwanych zielonych jarzyn, dalej z masła, mleka i tranu. Trzeba jednak pamiętać, że i w tych pokarmach może nie być witaminów A, najpierw, gdy niema ich w paszy zwierzęcia, a dalej w razie ogrzewania tych pokarmów. Udowodniono, że gdy pokarmy, zawierające witaminy A, ogrzewamy dłużej ponad 100 stopni, a więc gdy się je smaży długo, robi konserwy i t. d., wtedy znajdujące się tam witaminy A zostają zniszczone. Natomiast krótsze gotowanie przy 100^0 nie rozkłada ich całkowicie. Wobec tego najlepiej te pokarmy spożywać w stanie surowym.

A spożywać te witaminy A, potrzeba koniecznie pod najcięższemi karami. Brak bowiem zupełny witaminów A w pokarmach sprawia w organiźmie spustoszenie i ciężkie bardzo zaburzenia a wreszcie śmierć. Doświadczenia czynione przez Knappa Freisego i innych [1]) na szczurach młodych pokazały, że zwierzęta te, żywione pokarmami wolnemi od witaminów A, przestały róść, straciły na wadze ciała, podupadły ogólnie coraz bardziej, aż wreszcie ginęły. W ciągu głodówki witaminowej wykazywały podwyższoną znacznie wrażliwość za zakaźnie działanie bakteryj, a nadto zapadały na charakterystyczną chorobę oczu, objawiającą się przez nabrzmienie powiek, nadmierną wrażliwość na światło, zapalenie i katar spojówki, a nawet zmiany na rogówce, które doprowadzały aż do ślepoty. Doświadczenia Mellanby'ego, dokonywane około r. 1918 na psach, wykazały, że brak witaminów A w pokarmach powoduje chorobę rachitis, z jej charakterystycznemi wymienionemi wyżej objawami. Temu też brakowi witaminów A przypisuje się rachitis u dzieci, a może się to przy-

[1]) Landois-Rosemann: Psychologie des Menschen, Berlin 1923, str. 354 i nast.

darzyć nawet u dzieci karmionych piersią matki, jeżeli mianowicie matka nie przyjmuje dostatecznie pokarmów bogatych w witaminy A.

Wobec niezmiernej doniosłości tych witaminów dla organizmu ludzkiego, są one obecnie przedmiotem usilnych i wielostronnych badań, zwłaszcza klinicznych. Chodzi przedewszystkiem o dwa zagadnienia, mianowicie najpierw o pochodzenie tych witamin w roślinach, jak i skąd one się tam wytwarzają, a powtóre o wpływ witaminów A, względnie ich braku, na organizm. Co do zagadnienia pierwszego, wobec tego, że witaminy A znachodzą się w zielonych liściach roślin, a zieleń jest własnością wogóle tylko roślin wystawionych na działanie słońca, narzucało się przypuszczenie, że na powstanie witaminów A w roślinach muszą mieć wpływ stanowczy promienie słońca. Luce i Maclean w pracach swych najświeższych, tego roku ogłoszonych, stwierdzili wprawdzie, że witaminy A mogą się tworzyć bez działania promieni słońca, mianowicie w komórkach drożdży; mimo to bezpośredni udział promieni słonecznych w powstaniu witaminów, po pracach, jakie w obecnym roku ogłosił S. J. Cowell[1]) w *British Medical Journal,* stanowczo należy uważać za stwierdzony. Cowell mianowicie chciał zbadać wpływ mleka, poddawanego uprzednio na działanie promieni pozafjołkowych, które, jak wiadomo, znajdują się obficie także i w świetle słonecznem, na dzieci chore na rachitis. W tym celu wzięto pod obserwację troje dzieci chorych na rachitis, dwojgu z nich dawano mleko naświetlane przedtem promieniami pozafjołkowemi, a trzeciemu podawano mleko zwykłe. Po pewnym czasie u obu dzieci karmionych mlekiem naświetlanem promieniami pozafjołkowemi nastąpiło szybkie i widoczne wzmożenie się zwapnienia kości, podczas gdy trzecie dziecko okazało znacznie mniejsze polepszenie.

Odkrycie Cowella nie tylko jest doniosłem ze stanowiska teoretycznego, daje bowiem możność jakby syntetycznego wytworzenia czynnika antyrachistycznego, ale nadto wskazuje sposób wzmożenia wartości leczniczej mleka, podawanego dzieciom chorym na rachitis. Badania Cowella uwidaczniają nam też jedną zdaje się z najważniejszych metod badania witaminów, jaką dotychczas nauka rozporządzała, mianowicie przez obserwowanie skutków, jakie pokarmy zawierające witaminy, wywierają na organizmy, które zachorzały z powodu braku tych witaminów. Metody tej daleko oczywiście śmielej i wszechstronniej używa się w badaniach nad zwierzętami, doprowadziła też ona tutaj w ostatnich miesiącach na bardzo ciekawe i ważne przypuszczenie, że jest więcej niż jeden rodzaj witaminów, rozpuszczalnych w tłuszczach, a prawdopodobnie dwa conajmniej. Jeden z nich mianowicie ma wpływ na wzrost zwierzęcia, i to jest właściwy witamin A, a drugi wpływa na to, by wzrost ten odbywał się normalnie — i ten witamin nazywają czynnikiem antyrachistycznym. Ethel Luce stwierdziła, że krowie mleko tylko wtedy zawiera ten pierwszy właściwy witamin A, czyli czynnik wzrostu, gdy znachodzi się on w paszy, jaką krowa pobiera. Jeżeli jednak krowę, która pobiera pokarm niemający witaminu A, wystawiamy na działanie promieni słońca, wtedy

[1]) Nature. Londyn, 6-go czerwca 1925.

w mleku tej krowy, wzrasta ilość drugiego witaminu rozpuszczalnego w tłuszczach, to jest czynnika antyrachitycznego. Wzrasta on jeszcze więcej, gdy w pokarmie znajduje się witamin A. Z doświadczeń Shebby'ego, czynionych na kozach, wynika jednak, że ilość tłuszczu w mleku nie zwiększa się ze wzrostem ilości obecnych w pokarmie witaminów. Wynika z tego wszystkiego w sposób oczywisty i szczególną zwrócić należy na to uwagę, że mleko od krów karmionych paszą świeżą, zieloną i przebywających na pastwiskach jaskrawem oświeconych słońcem, jest jedynie pewnym pokarmem dla dzieci, gdyż takie mleko zawiera w sobie obficie i witaminy A i co jeszcze dla normalnego rozwoju dzieci ważniejsze, ów czynnik antyrachistyczny. Ale przypomnieć również należy z całym naciskiem, że mleka tego nie można poddawać sterylizowaniu, jeżeli się pragnie zachować w niem witaminy, gdyż jak widzieliśmy, dłuższe ogrzewanie pokarmu do wysokiej temperatury niszczy witaminy A.

Ze stanowiska ochrony dziecka zwrócić też należy uwagę na pewne prace, jakie kilka miesięcy temu ogłosili Korenchewski i Carr nad szczurami. Wykazały one, że gdy matki brzemienne i następnie karmiące żywiono pokarmami ubogiemi w witaminy, młode daleko więcej podległe były rachitis, gdy im nie dostarczano mleka bogatego w witaminy. Wynika stąd wniosek, że witaminy A gromadzić się mogą zapasowo w ciele matek i przechodzić następnie w młode. Nauka więc praktyczna i jasna dla kobiet: konieczność przyjmowania obfitego pokarmu, bogatego w witaminy, a więc jaj, masła, zielonych jarzyn i przedewszystkiem mleka od krów, przebywających na zielonych, słonecznych pastwiskach. Oczywiście sama obecność witaminów w pożywieniu pobieranem przez matkę brzemienną lub dziecko, nie wystarcza do normalnego rozwoju ciała dziecięcego, gdyż witaminy są tylko jakby głową kierowniczą budowniczego — żeby dom zbudować, potrzeba jeszcze materjału. Należy jeszcze prócz witaminów pobierać pokarmy bogate w wapno, konieczne do tworzenia się należytego kości.

Drugim z koleji witaminem jest witamin B, albo inaczej witamin rozpuszczalny w wodzie — gdyż rozpuszca się on w wodzie, zwłaszcza lekko zakwaszonej, a nie rozpuszcza się w tłuszczu. Nazywają ten witamin także witaminem antynerwowym z powodu jego związku z chorobą nerwową zwaną beri-beri. I nigdzie może tak jaskrawo nie występuje przełomowe znaczenie odkrycia witaminów, jak właśnie w związku ich z tą dziwną a straszną chorobą. Znana była choroba beri-beri od czasów najdawniejszych, kroniki chińskie wspominają o niej od zamierzchłej przeszłości; również w Japonji, w Borneo i w innych sąsiednich krajach panowała nagminnie. Europejczycy z nią się nie stykali aż do roku 1863, kiedy wybuchła epidemicznie w Brazylji. Nadto otwarcie Japonji dla świata zachodniego i następujące potem rozniesienie tej choroby po świecie przez okręty, jak mniemano, stawiły przyrodników i lekarzy europejskich wobec problemów, połączonych z tą chorobą. Wnet stwierdzono, że jest to choroba nerwowa, mianowicie atakująca głównie nerwy obwodowe, tak, że sekcje pośmiertne zmarłych na beri-beri wykazują nietylko zmiany chorobowe, lecz wprost degenerację tych nerwów,

podczas gdy ośrodki nerwowe pozostają nietknięte. Zaczyna się beri-beri ogólnem uczuciem zmęczenia, sztywnością członków i kurczami w nogach, poczem przychodzi utrata władzy w nogach i wiotczenie mięśni, brak tchu, bicie serca, zmniejszenie ilości moczu, obrzęk. W takim stanie chory może trwać przez szereg dni, nawet tygodni, a śmierć następuje wskutek osłabienia serca. Śmiertelność przy tej chorobie wahała się między 2% aż do 50%.

Etjologja tej strasznej plagi, która imała się zarówno azjatów i murzynów, jak i europejczyków, była aż do ostatniego prawie dziesiątka lat nieznana. Jeszcze w roku 1911 czytamy w medycznym fachowym artykule o tej chorobie, napisanym przez wybitnego lekarza angielskiego: „Wiele powag naukowych uważa, że przyczyną tej choroby jest czynnik jakiś infekcyjny, o naturze pasorzytniczej. Manson, który specjalnie tą chorobą się zajmował, mówi, że nie jest rzeczą widoczną, jakoby można go przenosić z jednej osoby na drugą, ale można go przenosić z miejsca na miejsce. Czepia się zwłaszcza uporczywie lokali, budynków i okrętów, wybucha ta choroba raz po raz na pewnych okrętach, handlujących ze Wschodem". Inna znowu hipoteza przypisywała wybuch tej choroby „niezdrowej żywności"; i rzeczywiście w Japonji stwierdzono, że do r. 1884 choroba beri-beri grasowała wśród żeglarzy tego kraju, gdy jednak w tym roku dietę zmieniono, choroba wnet wygasła. Inni znowu przypisywali przyczynę jej grzybkom, pasorzytującym na ziarnie, jak ryżu, kukurudzy i innych, które rozchodzą się po lokalach, gnieżdżących w sobie beri-beri. Wszystko to jednak były tylko przypuszczenia, a medycyna była wobec choroby bezradną.

Koniec temu przykremu stanowi rzeczy położyło dopiero odkrycie witaminów B. Prof. G. Hopkins w Cambridge w r. 1912, a w roku następnym Funk w Niemczech wykazali, że przyczyną choroby beri-beri jest wyłącznie brak w pokarmach pewnych substancyj, które później nazwano witaminami B. Witaminy te mianowicie znajdują się w wielkiej ilości w otrębach ziarn jadalnych, póki więc ludzie żywią się mąką grubą lub ryżem, gdzie otręby pozostają w wielkiej ilości w mące, względnie przy ziarnie ryżu, wtedy są silni i zdrowi, gdyż wraz z temi pokarmami pobierają obficie witaminy B. Gdy zaś pod wpływem cywilizacji zaczęli żyć przeważnie lub wyłącznie chlebem lub mąką jasną albo ryżem białym, które w ten sposób się wyrabia, że w nich otręby przy mełciu zupełnie się odrzuca, wtedy dla braku witaminów B wybuchała beri-beri. Na okrętach, gdzie przedewszystkiem podawano chleb i mąkę jasną, beri-beri była stałym gościem — nie winne jednak temu ani okręty, ani żadne grzybki, lecz tylko błąd bezwiedny w diecie. Gdy ten błąd usunięto i podawano ludziom pokarmy, zawierające witaminy B, beri-beri wygasła.

Podkreślają fizjologowie, że gdyby i w naszym klimacie chciał ktoś żyć wyłącznie o białym chlebie i mące, tak zwanej nulce, i nie pobierał przytem witaminów B w innych potrawach, także po pewnym czasie zapadnie na beri-beri. Dlatego ważną jest bardzo rzeczą wiedzieć i uświadamiać sobie, w jakich i jak przyrządzonych potrawach te witaminy się znajdują. Otóż jak pokazały liczne badania, witaminy B znachodzą się

przedewszystkiem we wszystkich głównych organach roślinnych, a więc zarówno w korzeniach jak w liściach i łodygach. Dla człowieka tedy źródłem tych witamin są wszelkiego rodzaju jarzyny i ziemniaki. Najobficiej jednak znachodzą się one w nasionach, przyczem w grochu, bobie i innych owocach strączkowych są one rozmieszczone po całem nasionie; natomiast w nasionach zboża znajdują się tylko w zarodku rośliny, który, jak wiadomo, już jest obecny w ziarnie i w warstwach obwodowych ziarna. Ponieważ jednak przez mielenie na jasną mąkę, względnie polerowanie ryżu zostaje z ziarna odtrącony zarówno zarodek, jak i ta warstwa wierzchnia, zwana otrębami, więc w jasnej mące pszennej, zarówno jak i w ryżu białym, polerowanym, niema już zupełnie witaminów B. Natomiast są one w mące żytniej, bo z ziarna żyta przy mełciu zarodek nie zostaje wytrącony. Obficie znajdują się witaminy B nadto w drożdżach i wyciągach drożdżowych, a także i w jajach. Twierdzą też niektórzy autorowie, że witaminy B gromadzą się także w mózgu, wątrobie i nerkach zwierząt, lecz niema ich w mięśniach, czyli w tem, co w życiu codziennem nazywamy mięsem. Przy przyrządzaniu potraw trzeba zwrócić na to uwagę, że witaminy B są wprawdzie nieco więcej odporne na wysokie temperatury, niż witaminy A, i krótkie gotowanie ich nie niszczy, natomiast przy dłuższem gotowaniu lub ogrzaniu do 120° ulegają rozkładowi. A więc nie mogą one być obecne w chlebie, który przy pieczeniu ogrzewa się do 200 i więcej stopni. Tak samo niema ich w potrawach, które są gotowane przez czas dłuższy, niema ich przeto we wszelakich konserwach.

Doświadczenia fizjologiczne pokazały, że młode szczury przestają róść, gdy im się nie podaje w pokarmach witaminów B, i to zahamowanie wzrostu następuje w tym przypadku wcześniej jeszcze i energiczniej, niż przy braku witaminów A. Dalsza dieta bezwitaminowa powoduje osłabienie ogólne i ubytek na wadze, a wreszcie polyneuritis, a u człowieka beri-beri. Prawdopodobnie witaminy B nie gromadzą się zapasowo w organizmie zwierzęcym.

Trzecim wreszcie dotychczas znanym witaminem jest witamin C, zwany także witaminem przeciw-szkorbutowym, gdyż brak tego witaminu w pokarmach powoduje chorobę przykrą i niebezpieczną, zwaną szkorbutem. Objawia się ona anemją postępową, opadaniem gwałtownem na siłach, w połączeniu z miejscowemi krwiotokami, zwłaszcza z dziąseł. W wieku zaś niemowlęcym, gdy żywi się dziecię mlekiem przegrzanem, w którem wysoka temperatura zniszczyła witamin C, występuje choroba Müllera-Barlowa, charakteryzująca się włóknistem przekształceniem rdzenia kostnego, zanikiem substancji kostnej i wynikającemi stąd złamaniami kości, krwiotokami podokostnej, a niekiedy także krwawieniem ze skóry, błony śluzowej i dziąseł. Także i u świnek morskich, gdy się je żywi pokarmami wolnemi od witaminów C, występuje wnet szkorbut; szczury natomiast w tych warunkach na szkorbut nie zapadają.

Na ślad tych witaminów przeciwszkorbutowych napotkano, jak widzieliśmy wyżej, już dwa prawie wieki temu przy badaniu przyczyn szkorbutu, na który zapadali i masami ginęli żeglarze, długo na morzu prze-

bywający i skazani na dietę, złożoną z suszonych jarzyn i konserw. Stwierdzono, że dostarczanie żeglarzom soku ze świeżych owoców i świeżych jarzyn usuwa zupełnie niebezpieczeństwo zapadania na tę chorobę, jednak zadowolono się tym wynikiem praktycznym, i przez dwa wieki uczeni przechodzili mimo tego śladu, nie przeczuwając, do jakich niezmiernie doniosłych odkryć on bezpośrednio prowadzi.

Dzisiaj uważają patologowie za bardzo prawdopodobne, że szkorbut grozi każdemu, kto nie pobiera witaminów C, a że choroba ta nie przytrafia się w zwykłych warunkach bytowania człowieka, pochodzi to stąd, że w naszych zwykłych pokarmach znachodzą się witaminy obficie i byłoby ich jeszcze więcej, gdyby nie gotowanie potraw. Te bowiem witaminy przeciwszkorbutowe są najmniej ze wszystkich witaminów odporne na wyższe temperatury, stąd ogrzewanie nieraz już do 50 stopni, a tembardziej gotowanie i steryliżowanie zupełnie je niszczy. Znajdują się witaminy przeciwszkorbutowe obficie w jarzynach i owocach świeżych, przyczem jarzyny rosnące ponad ziemią, są bogatsze w te witaminy, niż jarzyny korzeniowe. Bogate w witaminy są pomarańcze, cytryny i pomidory.

Zwrócić tu trzeba uwagę i napiętnować zastarzałe poglądy, panujące wśród nieuświadomionych pod względem higjeny naszych inteligentów, a nawet sfer decydujących, którzy pomarańcze i cytryny zaliczają do towarów luksusowych i olbrzymiemi cłami, bo 2 złote za kilo wynoszącemi, wydzierają z ust biednej ludności to tak zdrowe lekarstwo i pożywienie. Ignorancja doszła do tego stopnia, że w artykułach gazeciarskich występuje się przeciwko sprowadzaniu cytryn i pomarańcz jako szkodliwemu dla skarbu państwa luksusowi — a milczy się o tych nieskończonych miljonach, które zupełnie bezpożytecznie wychodzą za granicę za kawę i herbatę, nie mówiąc już o truciźnie nikotynowej, jaką się na wagę złota sprowadza w tytoniu. Jarzyn i owoców wszelkich, zwłaszcza pomarańcz i cytryn, trzeba spożywać wiele, uświadamiać ludność pod tym względem i starać się ułatwiać wszelkiemi środkami ich nabywanie, bo według stwierdzonych już dzisiaj ponad wszelką wątpliwość faktów, są one konieczne do utrzymania zdrowia i życia. Nazwać dzisiaj pomarańcze i cytryny luksusem, to znaczy wykazać najzupełniejszą nieznajomość podstawowych zasad higjeny odżywiania.

Jedna okoliczność jest szczególnie ciekawa co do witaminów C. W ziarnach zboża, jak pszenicy i jęczmienia, dalej w grochu i bobie, ich niema. Jeżeli jednak umieścimy je w wodzie i zmusimy w ten sposób do kiełkowania, witaminy C zjawiają się w nich w obfitości. Jak i dlaczego się to dzieje — jest jednak dotychczas osłonione głęboką tajemnicą, W innych pokarmach witaminów C niema, tylko w mleku i mięsie znachodzą się ich ślady, lecz przez gotowanie i smażenie i te małe ilości witaminów C zostają zniszczone.

Przypatrzywszy się dokładnie wszystkim znanym do dzisiaj witaminom i ich niesłychanie doniosłemu znaczeniu dla higjeny człowieka i zwierzęcia, podnieść należy niektóre ich cechy charakterystyczne, które stają w silnej sprzeczności z naszemi dotychczasowemi poglądami

i praktykami w przygotowywaniu pokarmów zdrowych i smacznych. Chodzi tu przedewszystkiem, jak się łatwo domyśleć, o gotowanie, pieczenie i smażenie pokarmów. Dotychczas żyliśmy wszyscy pod tym względem pod wrażeniem jednego hasła, jakie na podstawie świetnych odkryć i badań, poczynionych w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, dzięki znakomicie udoskonalonym przyrządom i metodom mikroskopicznych badań, rozgłaszano światu całemu. Hasło to brzmi: walka z mikrobami, grzybkami i rozmaitego rodzaju drobnoustrojami, które są przyczyną wszystkich chorób zaraźliwych, owych największych i najniebezpieczniejszych wrogów organizmu ludzkiego. Że zaś najskuteczniejszą i najprostszą bronią w tej walce jest, jak się pokazało, długotrwałe ogrzewanie do wysokiej temperatury, czyli gotowanie, a jeszcze bardziej sterylizowanie, to jest ogrzewanie przez 10 przynajmniej minut do 140 stopni, więc wypowiedziano walkę wszystkim pokarmom surowym. Za najzdrowsze i najbezpieczniejsze uznano potrawy gotowane, smażone, im dłużej, tem lepiej, a już jako dogmat zasadniczy higjeny dziecka postawiono sterylizację mleka krowiego, którem się dziecko karmi. Sterylizator zajmuje też odtąd pierwsze miejsce i należy do najkonieczniejszych sprzętów w jako tako kulturalnym pokoju dziecinnym. Sterylizator dozwala mianowicie przez dłuższe ogrzewanie mleka pod znacznem ciśnieniem do wysokiej 140° wynoszącej temperatury na oczyszczenie go całkowite prawie od mikrobów chorobotwórczych i ich zarodków, zwłaszcza zaś od bakteryj tuberkulicznych, które w mleku krowy łatwo mogą się znaleźć. W sterylizatorze zabijano tedy bakterje i ich zarodki, lecz wraz z niemi niszczono także, nie wiedząc o tem, i witaminy, owe substancje, bez których organizm nie może, jak widzieliśmy, nietylko rozwijać się normalnie, ale nawet przy życiu się utrzymać. Zaczęto trąbić na odwrót. Ale jak i dokąd ten odwrót dokonać?

Znaleźliśmy się przecież tutaj na rozdrożu, z którego trudno naprawdę wskazać wyjście. Albo bowiem wydamy wojnę infekcjom wszelakim i będziemy przez sterylizowanie lub długotrwałe gotowanie usuwać z pokarmów naszych wszelkie drobnoustroje i ich zarodki lecz wtedy wraz z niemi usuniemy także i niezbędne dla zdrowia witaminy. Albo znowu złakomimy się na witaminy i będziemy pożywać pokarmy surowe—lecz wtedy znowu wprowadzać będziemy do organizmu rozmaite chorobotwórcze żyjątka. Położenie rzeczywiście trudne a wyjście z niego można chyba znaleźć przez odsunięcie oka od mikroskopu a rozglądnięcie się nieco szerzej i śmielej po świecie naokoło siebie. Dostrzeżemy tam łatwo, że przed podobnym problemem ludzie już dawno stali i że praktycznie różnie go rozwiązują, ale prawdziwie roztropna higjena stanowczą nań dała odpowiedź.

Odwieczny ten a zawsze nowy problem opiewa: jak ma żyć człowiek dorosły i jak chować dzieci, by ustrzec je i siebie od chorób, pochodzących pośrednio lub bezpośrednio od czynników metereologicznych. Czy mianowicie winien wszelkiemi sposobami wystrzegać się każdego silniejszego powiewu wiatru, wilgoci, zmęczenia, upału, zimna, poobwieszać się szalikami i jaegerami, czy też przeciwnie ubierać się możliwie lekko,

puścić śmiało do pokoju prąd zimnego lecz świeżego powietrza, spać przy otwartem oknie, chodzić chętnie boso, bez kapelusza i bez kaloszy. Jedni i drudzy chcą uniknąć choroby, tylko że pierwsi chronią się przed nią niejako zewnętrznie, prowadząc raczej walkę odporną, podczas gdy drudzy wyzywają przeciwnika, lecz wiodąc z nim ustawiczne utarczki, wzmacniają siły odporne organizmu, czyli, jak mówimy, hartują się. I choć nikt ostatecznie nie może się tak zabezpieczyć, by nigdy i w żadnym wypadku nie ulec chorobie, to jednak każdy widzi, że człowiek zahartowany, t. j. którego organizm ma w sobie w wysokim stopniu zdolność biologicznie najważniejszą, mianowicie szybkiego przystosowania się do zmiennych warunków bytowania, daleko co do zdrowia jest w bezpieczniejszem położeniu, niż ten, który potrafi tylko uciekać przed przyczynami chorób.

Coś podobnego, tylko w daleko jaskrawszej formie, spotykamy w dylemacie między witaminami a żyjątkami infekcyjnemi. I dziś prawdziwie postępowy świat medyczny rozstrzygnął już sprawę na korzyść witaminów, podnosząc, że potęgują one odporność organizmu wewnętrzną w walce z bakterjami, od wchłaniania których w siebie całkowicie nigdy ustrzec się nie możemy. Organizm musi się sam przed niemi umieć bronić i, jeżeli jest zdrowy, dokonuje to przez swe siły żywotne, głównie przez ciałka białe krwi, byle oczywiście napastnicy nie byli w nadmiarze, to znaczy byle się nieroztropnie nie wystawiać wprost na zetknięcie się z wybitnie zakażonemi czynnikami. Organizm należycie odżywiany potrawami pożywnemi, zawierającemi witaminy w obfitej ilości, da sobie radę sam w przeważnej liczbie wypadków w walce z infekcją, natomiast brak witaminów napewne nawet bez mikrobów skazuje go na zagładę. Jak przedtem, tak i dzisiaj nauka zaleca, by ile możności nie narażać organizmu na silne zaatakowanie czynnikami chorobotwórczemi i w wyjątkowych wypadkach oczywiście należy używać sterylizacji, lecz wogóle tak organizmom dziecięcym jak i starszym trzeba dostarczać pokarmów ile możności surowych, albo tylko bardzo lekko przegotowanych, bo w nich tylko są zawarte obficie witaminy. Stąd chcąc zapewnić normalny rozwój noworodka, trzeba i tu starać się ile możności wyszukać krowę zdrową, ale sterylizator usunąć a zadowolić się co najwyżej lekkiem przegotowaniem pokarmu.

Tem bardziej tyczy się to pokarmów ludzi dorosłych. Jeść ile możności surowizny — oto hasło nowoczesnej djetetyki. Ale tu spotykamy się z przelicznemi przesądami higjenicznemi, a zwłaszcza z największym wrogiem zdrowia ludzkiego, to jest obżarstwem, czyli mówiąc ładniej, ze smakoszostwem i pijaństwem. Strach pomyśleć a najlepiej wprost o tem nie myśleć, co się dzieje z potrawami naszemi, zanim dostaną się na piękny półmisek, wytarty do czysta mniej lub więcej brudną, wilgotną szmatą, będącą siedliskiem przeróżnych bakteryj, wyduszone, wysmażone na małowartościowym, nieraz niezdrowym tłuszczu, poprzyprawiane przeróżnemi mającemi dodawać smaku, a właściwie niszczącemi go substancjami. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że jarzyna świeża, surowa lub lekko przegotowana, dalej owoce, wszystko oczywiście starannie wypłukane, ile możności bez przypraw korzennych, surowe a świeże jaja, świeże masło,

surowe niezbierane mleko, słodkie czy kwaśne — to są z pewnością potrawy najzdrowsze a dla podniebienia tytoniem i alkoholem nie zepsutego najwykwintniejsze. Ile jeszcze wody upłynie, zanim ogół ludzi cywilizowanych praktycznie temi zasadami się przejmie i zanim zrewolucjonizują one dzisiejsze przestarzałe nasze kucharstwo!

Koniecznie zwrócić tu należy jeszcze uwagę na jedną okoliczność, którą z wielkim naciskiem podkreśla L. Williams [1]) za innemi powagami naukowemi. W przyjmowaniu pokarmów albo może brakować całkowicie składników zwykłych, jako to białka, tłuszczu, węglowodanów, soli i wody i wtedy następuje śmierć głodowa — albo też może zachodzić tak zwane stałe nieodżywianie, gdy tych składników lub jednego z nich, zwłaszcza białka, przyjmuje się za mało i to jest przyczyną utraty zdrowia i powolnego czeźnięcia organizmu. Tak też jest i z pobieraniem witaminów. Zupełny ich brak w pokarmach powoduje, jak widzieliśmy, owe choroby zabójcze jak szkorbut, beri-beri, chorobę oczów, opisaną przy braku witaminów A (tak zwaną xerophtalmia) i te choroby nazywają fizjologowie francuscy chorobami braku, *maladies de carence*. Ale zanim objawią się przy złej diecie ostre symptomy tych chorób, organizm traci już przedtem zdrowie i siły normalne i sprawność funkcyj pojedynczych organów. Jestto okres tak zwanej przez Francuzów *hypo-carence*, w którym może nie dojść do wybuchu chorób ostrych pierwszej grupy, a jednak chroniczne choroby trapią organizm. Otóż takie stany *hypo-carences* bywają spowodowane także przez to, że w pokarmach naszych stale za mało jest witaminów. Dlatego też ostrzega Williams przed tem niebezpieczeństwem bardzo energicznie, i mówi, że jest rzeczą nie tylko niepłodną, ale wprost niebezpieczną, starać się ocenić, jak to często już czyniono, ile conajmniej pobierać trzeba witaminów, by zapewnić sobie ochronę od typowych chorób. Nie o najmniejszą, lecz o najodpowiedniejszą ilość witaminów trzeba się pytać. „Witaminy, mówi Williams, zrewolucjonizowały nasze poglądy na sprawę odżywiania się. Dawniejsze stereotypowe stosunki białka, węglowodanów, tłuszczów i soli, które uważano za niezbędne dla zdrowia ciała, zostały tak zmienione przez odkrycie witaminów, że całą tę sprawę musi się badać i studjować na nowo, a dziwną teorję kaloryj, którą oparto na ciekawem założeniu, że zachowanie się pokarmu w ciele ludzkiem jest tożsamościowe z jego zachowaniem się w probierce doświadczalnej, zarzuci się do graciarni rzeczy zapomnianych".

Widoczną tedy jest rzeczą, jak niezmierny wpływ wywrzeć muszą witaminy na nasze sprawy odżywcze i na to, co w życiu codziennym nazywamy kuchnią, a co w rzeczywistości jest pracownią chemiczną, służącą do przetwarzania i wytwarzania najbardziej skomplikowanych związków chemicznych, przyczem niestety ideą przewodnią była dotąd nie tyle troska o dostarczanie możliwie zdrowego pokarmu, jak raczej o wytworzenie produktów, jak najenergiczniej działających na zmysł smaku, zaś myśl o higjenie usuwa się nieraz jak niepotrzebne wyrzuty sumienia.

Witaminy prowadzą nas jednak dalej i wyżej poza kuchnię — łą-

[1]) Leonard Williams: Vitamine, w Encyclopaedia Britannica 1922, vol 32.

czą się one bardzo ściśle z naszem życiem psychicznem, jak to na podstawie znanych dotychczas faktów nie trudno jest wyjaśnić.

Między chorobami, które powstają w organiźmie wtedy, gdy się zamało z pokarmami przyjmuje witaminów, czyli chorobami ze wspomnianej już grupy *hypo-carence*, wymienia Williams, tak zwane choroby przemiany materji, jak gościec, cukrowa choroba czyli diabetes itp. — co oczywiście jest całkiem naturalne, skoro chodzi tu o materje odżywcze. Do nich też dołącza choroby przewodu pokarmowego, jak niestrawność, atonja kiszek czyli ubezwładnienie ich ruchu robaczkowego, chroniczne zatwardzenie i wreszcie brakowi witaminów w pokarmach przypisuje ten autor tak często dziś występujące zapalenie wyrostka robaczkowego. Ale wskazuje nadto Williams, że gdy za mało spożywamy witaminów, powstają w organiźmie choroby zupełnie takie same, jakich przyczyną jest nie dość sprawne funkcjonowanie gruczołów hormonowych, bezprzewodowych, które wlewają do organizmu substancje, zwane endorkrynami, jak to już swego czasu obszernie tu opisywano. [1])

Dotykamy tu zarówno dla praktycznej higjeny, jak i dla filozofji przyrody i psychologji a z nią i dla pedagogiki, sprawy niezmiernie donośnej i ciekawej a całkiem nowej. Mówi już Oppenheimer, [2]) a obecnie pogląd jego coraz szersze znajduje uznanie, że między witaminami a inkretami czyli hormonami niema zasadniczej różnicy; według tego możnaby witaminy nazwać jakgdyby zewnętrznemi hormonami. Wiemy zaś, jak niezmiernie ważną, owszem stanowczą rolę odgrywają inkrety na cały rozwój i wszystkie funkcje życiowe organizmu, a przedewszystkiem na system nerwowy i życie psychiczne. Że brak witaminów oddziaływa zabójczo na nerwy, to już widzieliśmy przy witaminach B, bez których człowiek zapada na ową tak ciężką chorobę nerwów, jaką jest beri-beri. Wynika z tego jasno, że i niedożywianie się witaminami wpłynąć musi szkodliwie na ustrój nerwowy, a więc i na sprawność psychiczną człowieka. Wytłómaczenia zaś tego wpływania szukać należy właśnie w związku witaminów z inkretami.

Gdy rozważa się niesłychanie ważne i zupełnie wszechstronne znaczenie inkretów dla rozwoju i funkcyj życiowych, najpilniejszem pytaniem, które się narzuca, jest to, w jaki sposób na te inkrety, ich jakość i ilość można wpłynąć dla dobra organizmu. Medycyna zna już cały szereg takich sposobów i środków, które jednak stosuje się przeważnie tylko w wypadkach ostrych zaburzeń, spowodowanych niedomaganiami gruczołów inkretowych. Jak jednak w innych chorobaeh, tak i tutaj nauka nie może się zadowolić terapją, leczeniem chorób, ale za główne i najwyższe swoje zadanie uważać musi wczesne zapobieganie chorobom, czyli utrzymywanie organizmu w zdrowiu i sprawności możliwie najwyższej. Otóż nie ulega chyba wątpliwości wobec poznanych dotąd faktów, że środkiem takim higjeny inkretów są witaminy.

Już dawniej, kiedy jeszcze o witaminach nic nie wiedziano, wska-

---

[1]) *Przegląd Powszechny* r. 1923, maj, lipiec, sierpień.

[2]) Carl Oppenheimer: Biochemie. Lipsk 1920, str. 492.

zywali bezstronni fizjologowie na to, że najzdrowszym dla człowieka pokarmem są rośliny i nabiał, tu bowiem mamy wszystkie składniki potrzebne do należytego odżywiania, a posiadamy je w formie przeważnie wprost żywej, prócz nich zaś jeszcze rozmaite substancje eteryczne jak np. olejki i sole, także dla organizmu bardzo pożyteczne. Mięso natomiast nie tylko z natury rzeczy ma w sobie rozmaite substancje, które organizm zwierzęcy wydala ze siebie, jako szkodliwe i już bezużyteczne, ale nadto w tej formie, jak je spożywamy, jest już zawsze zmacerowane, czyli poprostu nadpsute, a przez przyprawianie i sposób przyrządzania jeszcze bardziej zdenaturowane. Organizm żywy może do pewnego stopnia przystosować się do takiego sposobu odżywiania, jak przystosowują się do niego liczne zwierzęta, jak hyjena, pies, szczur itp. Natomiast do braku witaminów przystosować się żaden organizm nie może i w miarę niedostatku tych niezbędnych dla życia i funkcyj życiowych substancyj, musi czeznąć lub przynajmniej jego sprawność wszelaka, zwłaszcza zaś funkcyj psychicznych, musi doznać znacznego obniżenia.

Higjena więc dzisiejsza, na najnowszych odkryciach oparta, silniej jeszcze niż dawniejsza, przyznać musi stanowczą wyższość odżywczą pokarmom roślinnym i tu stwierdza się naukowo to, o czem jeszcze Ojcowie Kościoła tak szeroko rozprawiali, mianowicie korzyści płynące z tak zwanego postu, czyli wstrzymania się od pokarmów mięsnych, a zaspokajania swych potrzeb odżywczych pokarmami roślinnemi. Niema oczywiście mowy o tem, by wszyscy zadowolić się chcieli wyłącznie kuchnią jarską, ale trzeba koniecznie sobie to uprzytomnić, że bez pobierania obfitego witaminów, niemożebną jest praca intensywna i czerstwe zdrowie. Te zaś witaminy znajdziemy bez trudu i troski, szczególniej spożywając potrawy jarskie i to przedewszystkiem surowe, lub tylko lekko podgotowane.

Cała ta sprawa witaminów, tak przełomowa i niespodziewana, uczy nas jeszcze, jak słusznie zauważa Williams, pokory. Nie wiemy, nie przeczuwamy, ile tajemnic przyrody nas otacza, na ile jeszcze w najbardziej nawet zasadniczych i pozornie prostych a codziennych zjawiskach przyjdzie ludzkości w biegu swych nad przyrodą dociekań napotkać.

Oto znowu badania najnowsze odkryły jeszcze inny czynnik poza światem istot żywych, który działaniem swem przypomina witaminy, a nawet im w niektórych wypadkach dorównywa. Czynikiem tym są promienie pozafjołkowe. Widzieliśmy wyżej, że już przed kilku laty wykryto związek między temi promieniami a niektóremi witaminami, że mianowicie naświetlanie temi promieniami czy to krów, czy mleka, zwiększa wartość witaminów w mleku. Na te fakta badacze zwrócili pilną uwagę, spodziewając się, że rzucą one może światło na naturę samą witaminów i pozwolą wytwarzać sztuczne namiastki witaminów naturalnych, istniejących w roślinach. Doświadczeniami odnośnemi zajęli się niezależnie od siebie głównie trzej uczeni amerykańscy, Kugelmass, Hess i Steebock [1]) i doszli do przeświadczenia istnie zdumiewającego, które możnaby uważać za prawdziwie amery-

[1]) Umschau d. 27 czerwca 1925 r., str. 520.

kańskie, gdyby nie wychodziło od tak poważnych badaczy. Sądzą oni mianowicie, że działanie fizjologiczne witaminów sprowadzić należy do tych zjawisk fizyczno-chemicznych, które w latach ostatnich tak przewrotowo opanowały fizykę, mianowicie do zjawisk promieniowania. Doświadczenia, które doprowadziły do postawienia tak śmiałych twierdzeń podzielić można na dwie grupy, z których jedna obejmuje zjawiska i badania fizjologiczne, a druga badania fizyczne. Oczywiście najważniejszą jest grupa pierwsza, druga jest tylko częściowym sprawdzianiem nowych tych teoryj.

Zaczynając przegląd tych doświadczeń od grupy pierwszej, przytoczyć należy na wstępie fakt, stwierdzony już obecnie przez wielu innych badaczy, sztucznego udzielania własności witaminowej oliwie. Oliwa, zarówno nasienna, jak z oliwek, nie posiada w sobie z natury w przeciwstawieniu do tranu witaminu przeciwrachitycznego, stąd szczury, karmione tą oliwą, a nie otrzymujące innych pokarmów witaminowych, zapadały na rachitis. Gdy jednak podawano im oliwę, naświetloną poprzednio promieniami pozafjołkowemi, choroba ta się w nich nie pojawiała. Żeby udzielić tej własności profilaktycznej oliwie, wystarczyło naświetlać ją przez godzinę zapomocą lampy kwarcowej. Ten sam wynik uzyskano także przy innych substancjach, z natury bezwitaminowych. W tych zaś ciałach, które jak n. p. tran, mają już same ze siebie witaminy, przez naświetlanie działanie antyrachityczne znacznie się wzmagało. Wobec tego faktu postanowiono zbadać działanie promieni pozafjołkowych wprost na same zwierzęta, i przekonano się, że nie potrzeba dawać zwierzęciu substancyj antyrachitycznych, by je ustrzec od rachitis, wystarczy samo zwierzę naświetlać promieniami pozafjołkowemi. I nie dość na tem. Gdy w jednej klatce trzymano zwierzęta naświetlane razem z nienaświetlanemi, to te naświetlane immunizowały, chroniły przed rachitis tamte. Stąd wystarczało niektóre tylko zwierzęta w klatce naświetlać, by ustrzec je od rachitis, chociaż żadne ze zwierząt w tej klatce nie otrzymywało pokarmów, zawierających witaminy. Wygląda to tak, jak gdyby zwierzęta naświetlane nabywały zdolności wysyłania ze siebie promieni pozafjołkowych.

Ten fakt ostatni narzucił potrzebę wykonania całego szeregu doświadczeń drugiej grupy, to jest badań fizycznych. Znanem jest oddawna we fizyce, że promienie pozafjołkowe są silnie aktyniczne, czyli posiadają wybitną własność oddziaływania energicznego na kliszę fotograficzną, chociaż same dla oka są zupełnie niewidzialne. Robiono przecież dla zademonstrowania tej ich własności zdjęcia fotograficzne przedmiotów lub osób w pokoju zupełnie ciemnym, lecz oświetlonym niewidocznemi dla oka promieniami pozafjołkowemi, nasuwało się pytanie, czy substancje zawierające witaminy C nie oddziaływują może na płytę fotograficzną. W tym celu robiono doświadczenia w ten sposób, że raz substancje te oddzielono od kliszy fotograficznej płytką kwarcową, która, jak wiadomo, jest przeźroczystą dla promieni pozafjokowych, a drugi raz znowu przedzielano je płytką ze szkła, ciała dla tych promieni nieprzeźroczystego. Wyniki były pewne, i stanowcze. Pokazało się ponad

wszelką wątpliwość, jak to wykazał Kugelmass, że tran, żółtko jaja, żółć, a więc substancje zawierające czynniki przeciwrachistyczne, czyli witaminy C, czernią płytę fotograficzną, gdy się je od niej oddzieli za pomocą płytki kwarcowej, nie wywierają zaś na nią żadnego wpływu, gdy są przykryte płytką szklanną. Substancje zaś bezwitaminowe, jak oliwa, czy to z nasienia czy z oliwek, na płytkę fotograficzną zupełnie nie oddziaływują.

Tak tedy jedna jak i druga grupa doświadczeń, to znaczy zarówno badania fizjologiczne jak i fizyczne, wskazują bardzo wyraźnie na związek między witaminami a promieniami pozafjołkowemi. Może ten związek, dokładniej zbadany, pozwoli nam wejrzeć głębiej w tajemnice witaminów i inkretów. Narazie nie wiemy więcej nic o nim, każdy jednak fakt, który odkrywa działanie promieni pozafjołkowych na organizm, może stać się kluczem do rozwiązania zagadki. Więc zarówno z tego względu, jak i ze strony praktycznej, przytoczyć trzeba na zakończenie wiadomość o bardzo ciekawych badaniach, których wyniki ogłosił ich autor, Sir Henry Gauvain, na odbytym co dopiero kongresie królewskiego Instytutu publicznego zdrowia w Londynie.[1]) Sir Gauvain robił doświadczenia nad wpływem światła słonecznego na inteligencję człowieka. W tym celu wystawiał on przez czas dłuższy i według systemu dzieci ze szpitala kalek, którego jest naczelnym lekarzem, na działanie słońca i następnie poddawał je pewnym próbom psychofizycznym i psychologicznym, celem zbadania ich inteligencji. Takie same zaś próby psychologiczne czynił też z dziećmi z podobnych zakładów w Londynie i pokazało się, że dzieci. naświetlane znacznie pod względem umysłowym stały wyżej od dzieci nienaświetlanych. Sir Gauvin zaznacza, że działania tego promieni słonecznych nie uważa za analogiczne do działania witaminowego, i nazywa promienie słoneczne wprost pokarmem mózgowym „brain food", ale mimo to nie można się oprzeć wrażeniu, że się ma tu również do czynienia z tą samą, co i witaminy, grupą tajemniczych i tak mało jeszcze zbadanych czynników, których wszechstronne i niezmiernie ważne oddziaływanie na nasz organizm dzisiaj już nie ulega wątpliwości, a które organizm ten koniecznie z zewnętrznego świata pobierać musi pod groźbą utraty zdrowia i życia.

Lecz dotychczas wszystko to, co organizm z zewnątrz dla siebie pobierał, nazywało się pokarmem. Widoczną jest tedy rzeczą, że i te nowe substancje, witaminy, chociaż one często nie wchodzą w skład organizmu, lecz tylko kierują jego czynnościami, nazwać należy pokarmem, a nie tylko witaminy, lecz i owe promienie pozafjołkowe i słoneczne trzeba w pewnym sensie uważać za pokarmy. W ten sposób stajemy przed zupełnie nowem, istotnościowo od dawnego różnem pojęciem pokarmu. Dotychczas, jak to już na początku wspomniano, znaliśmy dwie grupy pokarmów, mianowicie pokarmy energetyczne i budulcowe. Odnośnie do tego ocenialiśmy wartość potraw wedle ich zdolności energetycznej i zawartej w nich ilości materjałów, z których organizm mógł odtworzyć sobie tkanki bądź potrzebne do wzrostu organizmu, bądź do zastąpienia

[1]) *The Times* z dnia 4 czerwca 1925.

tych, które z powodu funkcyj życiowych uległy zniszczeniu. Dzisiaj przychodzi nowa grupa pokarmów, poniekąd ważniejsza jeszcze od tamtych dwóch, która wywiera zasadniczy wpływ nie tylko na całą przemianę materji, ale i na inne funkcje, nawet takie, jak nerwowe i psychiczne. Wobec tego tracą też na znaczeniu te cyfry kaloryj i porcje białka, tłuszczu, węglowodanów i innych substancyj, które człowiek rzekomo musi codziennie pobierać, jak z taką pewnością i triumfem podawała fizjologja do czasów ostatnich. Cała ta kwestja ilości i jakości niezbędnych dla człowieka pokarmów, musi być obecnie wobec najnowszych odkryć, jak mówi słusznie Oppenheimer, [1]) zupełnie na nowo zbadana i przerobiona

Sposób oddziaływania witaminów na nasz organizm jest jeszcze dla nas tajemnicą. Usiłowano ją rozświecić i w tym celu budowano rozmaite próbne hipotezy. Między niemi była naprzykład taka, że w pokarmach zwykłych przyjmujemy wraz z substancjami odżywczemi także i toksyny, trucizny, których działanie paraliżować muszą witaminy. Tak jednak ta, jak i inne próby tłómaczenia mechanizmu działania witaminów zawiodła. To tylko wiemy, że witaminy istnieją, chociaż ich nikt nigdy nie widział ani nawet nie wyosobnił i chemicznie nie rozebrał i że pod ich wpływem, zarówno jak i pod wpływem tajemniczym owych niewidzialnych promieni, znajdujemy się ustawicznie, świadomie czy bezwiednie. Uzmysławiają nam one nadto, jak ściśle człowiek złączony jest z tą materjalną przyrodą, skoro ona nawet na psychę jego tajemniczo a w sposób dla nas bezwiedny oddziaływa.

Wedle planu Stwórcy człowiek, owo zwierzę rozumne, ma być ogniwem łączącem świat duchowy ze światem materjalnym. Poznanie witaminów fizjologicznego i oddziaływania promieni niewidzialnych pokazuje cały pęk nowych łańcuchów ze świata niższego, do tego ogniwa doczepionych

Ks. F. Hortyński.

Tydzień etnologji religjoznawczej.

Stosownie do życzenia Ojca Św. Piusa XI odbędzie się w dniach od 17 do 25 września b. r. IV z rzędu międzynarodowy „Tydzień Etnologji Religjoznawczej" w uniwersytecie katolickim w Medjolanie. Celem „Tygodnia" jest wprowadzenie uczestników do nauki porównawczej religji, oraz danie sposobności uczonym do zetknięcia się i wymiany myśli. Referaty powierzono specjalistom, a liczbę ich zredukowano do czterech dziennie, aby pozostawić więcej czasu do dyskusji i specjalnych obrad. Przedmiotem pierwszej części obecnego „Tygodnia" będą wstępne zagadnienia z etnografji, historji i psychologji religji, drugiej zaś części poczucie winy (świadomość moralna) i idea odkupienia. Przy tej okazji odbędzie się również wystawa najlepszych publikacyj z dziedziny wiedzy religjoznawczej. Bliższych informacyj udziela sekretarz krajowy, ks. Piotr Gołąb T. S. B., w Zakładzie Misyjnym w Górnej Grupie pod Grudziądzem (Pomorze). Zgłoszenia najpóźniej do 1 sierpnia.

[1]) L. c. str. 384.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 6 lipca 1925 r.

O duszę młodzieży.

Podobnie jak w dziedzinie życia gospodarczego, przeżywamy dziś dość poważny kryzys na polu wychowania młodzieży. Wojna w różnoraki sposób wycisnęła i tu swe piętno, a do jej następstw dołączyły się jeszcze specyficzne trudności, wynikłe z dawnego trójdzielnicowego podziału. W uniesieniu, jakie ogarnęło wszystkich po odzyskaniu niepodległości, zdawało się wprawdzie, że przezwyciężymy niedługo wszelkie przeszkody. Niestety, pokazało się, że zło tkwi głębiej, że zanadto liczyliśmy na zdrowy instynkt narodu i jego odporność na wpływy postronne. Niedomagania pozostały, owszem częściowo wzrosły nawet wskutek naszej nieoględności i gonitwy za nowościami. Zarzewie ich tliło przez lata w ukryciu, aż wybuchło nagle z całą siłą w niedawnej tragedji w Wilnie i w innych częściach kraju.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne przebieg wypadków wileńskich; powtórzymy je tu w krótkiem streszczeniu.

W gimnazjum realnem im. Lelewela, jednem z kilku gimnazjów państwowych w Wilnie, odbywały się z początkiem maja b. r. egzamina maturyczne, do których zasiadało 43 abiturjentów. W środę, dnia 6 maja, podczas egzaminu z matematyki, dyr. Biegański podszedł do jednego z uczniów, Stanisława Ławrynowicza, i zabrał mu niezaczęte jeszcze zadanie. Ten momentalnie wyjął z kieszeni rewolwer i zaczął strzelać w stronę dyrektora, zranił go dwukrotnie, zabił swego kolegę, Aleks. Zagórskiego, który chciał zasłonić dyrektora, a wreszcie wydobył z kieszeni granat, który, eksplodując, rozerwał jego i abiturjenta, Tadeusza Domańskiego, poranił śmiertelnie prof. Czesława Jankowskiego, a lżej kilku

innych uczniów. Równocześnie prawie inny maturzysta, Janusz Obrąpalski, począł na korytarzu strzelać, zdaje się do dyrektora, a kiedy usiłowano go ubezwładnić, rzucił granat ręczny, który na szczęście nie wybuchł; wtedy strzałem w skroń odebrał sobie życie.

Zakończenie to, jak pokazała potem rewizja, uratowało życie może setek ludzi. W dolnej bowiem części gmachu znaleziono ukrytą masę wybuchową w takiej ilości, że wystarczała do wysadzenia przynajmniej połowy gmachu w powietrze. Doprowadzeniem jej do eksplozji miał się podobno zająć Obrąpalski, lecz plan jego zawiódł.

Zamach nie był więc chwilowym odruchem zdenerwowanego maturzysty, ale przygotowany został starannie przez obu denatów, którzy, nawiasem mówiąc, dnia poprzedniego rozbijali się automobilami, wieczór spędzili na hulaszczej zabawie, a na maturę przyszli z rewolwerami i granatami w kieszeniach.

Wypadek ten wstrząsnął miastem i poruszył cały kraj. W kilka dni później przybył do Wilna minister oświaty, p. St. Grabski i po dwudniowych konferencjach powrócił do Warszawy, by przed sejmową Komisją oświatową zdać sprawozdanie ze swych dochodzeń. Zajście w gimnazjum Lelewela — oświadczył — nie było wynikiem szerszego spisku wśród młodzieży, ani objawem ogólnego ich nastroju, ale indywidualnym czynem paru chorobliwych i moralnie wykolejonych jednostek. Obok tej pocieszającej wiadomości podał jednak p. minister kilka innych spostrzeżeń, świadczących, że dzieje się niedobrze i że stosunki wśród młodzieży wymagają koniecznie reformy.

To też nad sprawą wychowania młodzieży wywiązała się rozległa dyskusja, zarówno w łonie władz szkolnych, jak wśród szerokich sfer społeczeństwa. Uznano, że niebezpieczeństwo jest daleko groźniejsze, niż się zdawało, szukano przyczyn, wskazywano środki zaradcze. Dzięki temu mogliśmy po raz pierwszy zapoznać się z opinją całego kraju o kwestji szkoły i wychowania, wysłuchać skargi i projekty. Zestawić i uporządkować najważniejsze myśli w nich zawarte, jako wytyczne postępowania na przyszłość, jest celem niniejszego artykułu.

Nie powracalibyśmy bowiem do ponurej tragedji wileńskiej, która oby jak najprędzej zatarła się w naszej pamięci, gdyby nie okoliczność, że nie była ona bynajmniej jakimś oderwanym epizodem, który zaskoczył społeczeństwo niespodzianie i który się nie powtórzy. Nie, był to tylko gwałtowniejszy przejaw tego zła, które już od dość dawna nurtuje wśród naszej młodzieży. W Wilnie znalazło ono szczególnie sprzyjające warunki i dlatego rozwinęło się gwałtowniej, ale w mniejszym lub większym stopniu jest ono wszędzie i stąd żąda energicznego przeciwdziałania. Że zaraza rozlała się szeroko, dowodzą stosunkowo liczne podobne wypadki, jakie rozegrały się w różnych stronach kraju.

Już od kilku lat dały się zauważyć wśród młodzieży szkół średnich i wyższych klas szkół powszechnych pewne niezdrowe objawy, rażące zwłaszcza w porównaniu ze stosunkami przedwojennemi (przynajmniej w Mało- i Wielkopolsce). Upadek karności, brak poszanowania wobec władz szkolnych i wogóle starszych, obniżenie pilności w nauce, nieznane dawniej klasyfikacje, które nawet w najwyższych klasach gimnazjalnych dawały 60—70% negatywnych, dość częste samobójstwa uczniów — wszystko to budziło poważne troski w kołach szkolnych i wychowawczych, ale tłumaczono je sobie chwilowemi następstwami wojny. Z czasem stosunki tu i ówdzie zaczęły się polepszać, lecz gdzieindziej wszystko szło dawnemi torami, owszem zuchwalstwo i wybryki rosły, tak że położenie stawało się wprost niepokojącem.

Od oporu biernego przeszło gdzieniegdzie do czynnej akcji ze strony niezadowolonych. W lipcu 1924 r. doniosły dzienniki o kilku uczniach gimnazjalnych w Starogardzie, którzy ze zemsty za nieotrzymanie promocji powybijali dyrektorowi szyby w oknach. Z końcem czerwca b. r. reprobowani uczniowie jednej szkoły powszechnej w Łodzi urządzili po mieście pochód, podczas którego wznosili okrzyki przeciw nauczycielstwu i wreszcie podarli świadectwa na strzępy, zaśmiecając niemi ulicę.

Obok tych faktów, świadczących o zupełnem lekce-

ważeniu władz szkolnych, zaszły inne, krwawe. W półtora miesiąca po wypadku wileńskim usłyszeliśmy o podobnym w Słonimiu; kilku starszych uczniów tamtejszego gimnazjum, przeczuwając niepomyślny wynik klasyfikacji, przesłało anonimowy wyrok śmierci profesorowi B., a gdy to nie pomogło, wykonali w nocy zamach na niego, strzelając i bijąc wielkiemi kamieniami przez okno do jego pokoju. Dodajmy do tego wypadki w Sosnowcu, Toruniu, we Lwowie, planowane, lecz wykrytę zawczasu zamachy w Grodnie i w jednej ze szkół powszechnych w Wilnie, a przekonamy się, że położenie jest groźne i wymaga gwałtownie sanacji.

Groza zaś jego polega nie tyle na samych zamachach, ile na przyjęciu, z jakiem się one spotkały wśród szerszych kół młodzieży. Nie to jest straszne, że wypadek miał miejsce, bo wypadek wszędzie może się zdarzyć — oświadczył przed Komisją oświatową p. St. Grabski po powrocie z Wilna — ale zastraszającem jest reagowanie młodzieży na tę okropną zbrodnię. „W całym szeregu szkół — pisał w dwa dni po niej jeden dziennik wileński — ujawniono wyrazy sympatji dla zbrodniarzy; gdzieniegdzie rozległy się podobno nawet oklaski. Po wypadku szerzono odezwy, gloryfikujące ohydny czyn i głoszące, iż w każdej szkole należy podobnie postąpić. Na pogrzebie zabójców (pochowano ich osobno za miastem) było sporo młodzieży szkolnej, na groby ich posypały się kwiaty, a w ciągu dni następnych ciągle ktoś przynosił świeże. Nawet wśród niektórych uczennic gimnazjalnych — pomijając już pewną zwierzęcość tych, które dobijały się, by zobaczyć na sali rozszarpane trupy — zauważono ten smutny objaw, że okazały sympatję dla zamachowców i znosiły kwiaty i wieńce na ich groby.

Nic dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy zajęto się gorąco sprawą młodzieży. Nad oświadczeniem ministra oświaty w Komisji sejmowej wywiązała się dłuższa dyskusja, a ze wszystkich stron posypały się artykuły i odezwy, świadczące, iż społeczeństwo zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji i nie myśli siedzieć z założonemi rękami.

Uwaga ogólna skupiała się na sprawie wychowania, zwłaszcza szkolnego i na stanie młodzieży. Że w dobie dzisiejszej posiada ona niemało wad, że w pracy swej nauko-

wej, w zachowaniu się w szkole i poza nią wykazuje niższy, gdzieniegdzie nawet znacznie niższy poziom niż przed wojną, to nie ulega wątpliwości. Lecz nie zapominajmy, że najstarsi z pośród niej, to jeszcze częściowo wojownicy z okopów, w których otrzaskali się ze śmiercią i krwią, i którym trudniej się nagiąć do książki i karności szkolnej. Młodsi zaś to dzieci wojny, które przyszły na świat i wychowały się w atmosferze, przesyconej przestępczością na wszystkich polach, pozbawione zdrowego pokarmu, ciepła, odzieży, a co najważniejsze, opieki rodziców; ojciec był na wojnie, matka szła do pracy lub spędzała długie godziny w ogonkach, by zdobyć, co najkonieczniejsze do życia, a dzieci wychowywały się na ulicy, gdzie niczego dobrego nie mogły się nauczyć. Owszem, chociaż wojna minęła, ale trudności pozostały rozliczne, czasy obecne mało jeszcze są podobne do przedwojennych.

Nie można się więc dziwić, że wśród młodzieży dzisiejszej tyle jest chorobliwego rozdrażnienia, neurastenji, że jest mniej zdolną do nauki i wytrwałej pracy, mniej odporną na złe wpływy, bardziej skłonną do nadużyć i wybryków. Objawy te powinny być dla wychowawców nie tyle motywem do skarg i surowego postępowania, ile pobudką do umiejętnego i troskliwego zajęcia się młodymi, a przytem bliższego wglądnięcia w samych siebie. „Złego bowiem, jakie widzimy — pisała słusznie p. I. Moszczeńska[1]) — nie można szukać bezpośrednio w dzieciach: z wieku ich wynika, że są one nieodpowiedzialne, lecz za nie ponoszą odpowiedzialność ci, co je uczynili tem, czem są, ci, co niemi kierują".

Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich[2]) oceniło też podobnie tę sprawę, kiedy w odezwie, wydanej z okazji tragedji wileńskiej,[3]) przyznało, że zbrodnia powyższa — to

---

[1]) „Dom i szkoła", *Kurjer Warszawski* z dnia 2 lipca b. r.

[2]) Instytucja ta, powstała niedawno na terenie Warszawy, ale dążąca do objęcia całego kraju, pragnie skoordynować akcję rodziców i wychowawców w kierunku krzewienia wychowania, opartego na zdrowych zasadach, chce chronić podstawy rodziny polskiej i dopomóc do współpracy jej ze szkołą.

[3]) *Kurjer Warszawski* z dnia 14 maja b. r.

„hańba dla społeczeństwa... plama na dobrem imieniu szkoły naszej... (i) na godności stanu rodzicielskiego, którego przedstawiciele wychowaniem i wpływem swym nie zdołali ustrzec dziecka przed powstaniem podobnych możliwości".

Z pośród tych, którzy podpiszą powyższe słowa, nie wszyscy jednak zgadzają się co do stopnia winy, jaką ponoszą poszczególne z tych czynników. Pod wpływem nowoczesnej pedagogiki i mnożących się pomysłów „nowych szkół" i „nowego wychowania" ogarnął niektórych jakiś szał i bałwochwalczy kult dla wychowawczej potęgi szkoły. Zdaje im się, że ona ma ostatnie słowo w dziedzinie wychowania. Zapominają o tej prostej zasadniczej prawdzie, że właściwe wychowanie żąda koniecznie jednolitości i ciągłości prowadzenia, podczas gdy szkoła nie może dać ani jednego, ani drugiego w stopniu wymaganym. Zapominają o potędze naturalnych więzów, jakie łączą dziecko z rodzicami, a których brak w jego stosunku do nauczyciela w szkole. Jeśli nawet wychowawcy w internatach, mający młodzież w swej opiece dzień i noc, stwierdzają, że wysiłki ich idą z reguły na marne, kiedy w domu panuje kierunek przeciwny, to jakim sposobem można więcej spodziewać się od przygodnych wychowawców szkolnych, zajętych zresztą głównie nauczaniem?

Nauczycieli, zwłaszcza w szkole średniej, jest przecież wielu. Każdy obcuje z uczniem zaledwie parę, kilka lub wyjątkowo kilkanaście godzin w tygodniu. Każdy z nich ma swą odrębną indywidualność, która odbija się na całym sposobie prowadzenia i stosunku do podwładnych. Każdy jest mniej lub więcej obarczony zajęciami, chory lub zdrowy, spokojny albo zdenerwowany, taktowny lub przeciwnie, zrównoważony lub oryginał. Ten sam pedagog odpowiada zupełnie pewnej kategorji uczniów, ale nie umie trafić do innych. Dodajmy, że mimo najlepszej woli nie każdy nauczyciel zasługuje na miano dobrego wychowawcy. Jest to wielkiem złudzeniem, że do tego celu wystarczy uniwersytet i specjalny kurs pedagogiczny; mało one pomogą temu, kto nie posiada z natury danych do tego zajęcia. Czy zaś kto posiada takie dane, dowiaduje się zwyczajnie dopiero, gdy

już jest zapóźno na zmianę i kiedy nikt jej od niego nie może żądać. W takich warunkach przypisywać szkole naczelną rolę w wychowaniu jest czystem niezrozumieniem rzeczy — rola ta należy do rodziny, ona tylko posiada konieczne po temu warunki.

Głęboką prawdę wypowiedziała też we wspomnianym artykule p. I. Moszczeńska: „Dobrze jest, gdy każde dziecko codzień przez kilka godzin przyzwyczaja się być jednem z wielu, na równych prawach i równych obowiązkach z innemi, ale każde poza tem musi być także samo sobą, mieć swój własny świat najbliższych stosunków osobistych, wśród których jest istotą odrębną, jedyną. Ten świat, to dom; te najbliższe stosunki, to stosunki rodzinne. Wszystkie zewnętrzne czynniki, do których zaliczyć należy i wpływy szkolne, są tylko warunkami rozwinięcia tych lub innych właściwości psychicznych; kierunek i ciągłość rozwoju charakteru i umysłu może dać tylko domowa opieka, a więc rodzice lub ci, co miejsce rodziców zajęli. Niema instytucji wychowawczej, która mogłaby dom zastąpić, a jeśli wychowanie domowe jest wadliwe, to na to nie poradzą żadne reformy szkolne; trzeba zreformować wychowanie domowe".

Potrzeba tej reformy jest dziś rzeczywiście nagląca. Jeśli przypomnimy sobie, że Ławrynowicz trzymał u siebie w pokoju całą kolekcję granatów, jeśli według statystyki, dokonanej roku ubiegłego, w kilku szkołach powszechnych i średnich warszawskich, 65% młodzieży (chłopców i dziewcząt) używało alkoholu, jeśli spojrzymy na bezkarne wałęsanie się młodzieży szkolnej po ulicach, na wysiadywanie i gry po cukierniach i kawiarniach, na przedwczesne romanse uczniów i uczennic, na wieczorne i nocne ich schadzki, na odwiedzanie nieodpowiednich przedstawień w kinach, kabaretach i teatrach, to zaiste możemy chyba zapytać się, jak już zapytano publicznie: „Gdzie są rodzice, co oni robią?!"

Zarzut ten, który trzeba znacznie złagodzić odnośnie do rodziców wielu dzieci ze szkół powszechnych, można podtrzymać w całej pełni, gdy chodzi o uczniów szkół średnich. Rodzice, którzy posyłają do nich dzieci, mają przeważnie byt zabezpieczony i dlatego brak opieki z ich strony należy potępić jako karygodne niedbalstwo. Najgorsza zaś młodzież

rekrutuje się prawie wyłącznie z domów zamożnych, bo tylko tacy mogą sobie pozwolić na pijatyki, zabawy i inne kosztowniejsze rozrywki. Obaj zabójcy wileńscy, to przecież synowie majętnych ziemiańskich rodzin.

Nie wolno więc rodzicom — jak to dziś wielu czyni — składać troski o wychowanie na szkołę, bo wychowanie jest ich świętym obowiązkiem i oni za nie odpowiadają. Oni mają dać podstawy wychowania, oni je prowadzić w dalszym ciągu, szkoła może im w tem dziele tylko pomagać lub w pewnym kierunku je rozszerzać. Sami nauczyciele skarżą się też dziś na nieuzasadnione i niemądre pretensje rodziców, którzy nie spełniają swego obowiązku, a potem narzekają na szkołę, że źle wychowuje, krytykują jej kierowników, zanoszą skargi, konferencje zaś szkolne, które mają służyć wzajemnemu porozumieniu, zamieniają na targi i wymuszanie ustępstw. Stanowisko takie jest zupełnie fałszywe.

Dom ma dbać o całą moralną stronę wychowania, popierać powagę szkoły, pilnować sumienności w spełnianiu obowiązków szkolnych, a szkoła powinna szczepić wiedzę, prowadzić dalej dzieło rodziców i w swoim zakresie przygotowywać do życia, do pracy dla społeczeństwa i ojczyzny — na tem ma polegać owa współpraca rodziny i szkoły, jeden z bardzo ważnych problemów, dziś wysuwanych.

Bardzo ważnych — powtarzamy — bo jeśli tu nie będzie współdziałania, następstwa będą jak najgorsze. Rozbieżność kierunków lub, co gorsze, ich przeciwieństwo musi podkopać w młodzieży powagę autorytetu, obudzić niezdrowy indywidualizm, tak dziś skłonny do radykalizmu, który nie będzie się liczył ani z domem, ani ze szkołą, ale pójdzie drogami własnemi, lub raczej narzuconemi mu przez żywioły radykalne, czyhające tylko na taką sposobność. Na takiem tle antagonizmu pomiędzy Kuratorjum a Radami rodzicielskiemi wyrosła częściowo tragedja wileńska, na podłożu takiej rozbieżności pomiędzy domem a szkołą rozegrał się z początkiem kwietnia b. r. głośny i tak przykry proces toruński. [1])

[1]) Proces ten odbył się w sprawie masowego wydalenia z końcem roku szkolnego 1923/4 z gimnazjum toruńskiego 49 uczniów. Szczegóły

Toteż p. St. Grabski podniósł słusznie w swem sprawozdaniu z afery wileńskiej, że dziś najważniejszym postulatem jest ścisła współpraca pomiędzy szkołą a domem. To samo powtórzyli i inni. W odezwie głównego zarządu oświadczyło Towarzystwo Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych: „Dwa są fundamenty główne, na których opiera się gmach wychowania narodowego: rodzina i szkoła. Ich zdrowie i harmonijne współdziałanie, ich ideały decydują o rozwoju ludów i państw." „Uzdrowienie stosunków musi wyjść jednocześnie z dwóch źródeł: z domu i szkoły", głosi w tejże sprawie odezwa Polskiej Macierzy Szkolnej. „Musimy — pisali inni — w dziedzinie wychowania młodzieży skoordynować usiłowania środowiska rodzinnego z usiłowaniami czynników szkolnych i wzmacniając głos rodziców na terenie szkoły, jednocześnie pomóc tej ostatniej w spełnianiu jej wielkich zadań oświatowych, kulturalnych i wychowawczych."

Jednomyślność więc przekonań jest pod tym względem zupełna, chodzi tylko o czyn. Niestety, i dom i szkoła pozostawiają tu wiele do życzenia.

W sprawie szkoły podniósł obecny minister oświaty w Komisji sejmowej dwie przyczyny jej niedomagań: nadmierne programy, których redukcję przyobiecał, i częściowo niekwalifikowane nauczycielstwo.[1]) Co się tyczy programów nauk, są one rzeczywiście przeładowane, gdyż do dawnych przedmiotów dodano nowe zajęcia, jak prace ręczne, gminy, wychowanie fizyczne, sport, przysposobienie wojskowe, wycieczki naukowe i t. d. W sprawie tej trudno jednak powiedzieć coś zasadniczego, gdyż wymagania w poszczegól-

---

zamieszczone były w dziennikach miejscowych, dokładnie n. p. w *Dzienniku Bydgoskim*, 8 i 11 kwietnia b. r.

[1]) Niekwalifikowane nauczycielstwo wprowadziła do gimnazjów i seminarjów konieczność obsadzenia licznych nowych szkół, powstałych na obszarze oswobodzonego państwa. W braku fachowych sił naznaczano kogokolwiek, na kresach zaś wschodnich zostawiono (do dziś dnia) dawnych miejscowych nauczycieli; ludzie bez uniwersyteckiego wykształcenia byli dyrektorami szkół średnich, jednostkom z pod ciemnej gwiazdy, wydalonym przez inne kuratorja, powierzano posady wychowawców. Stosunki te pokutują częściowo dotychczas.

nych szkołach są zupełnie odmienne; słyszałem n. p. o seminarjum nauczycielskiem, w którem się gra ciągle we football, podczas, gdy inne seminarja są naprawdę przeciążone pracą. W niektórych znowu kołach sprawa przeciążenia spotyka się z dość ostrą krytyką, opierającą się na niezaprzeczalnym zresztą fakcie, że młodzież dzisiejsza mniej pracuje i mniej umie, niż przedwojenna, co stwierdzają najlepiej profesorowie uniwersytetów. Inni jednak wskazują w odpowiedzi, że młodzież obecna nie jest zdolna do pracy w rozmiarach przedwojennych; ciąży na niej bowiem szereg następstw wojny, która odbiła się ujemnie na jej zdrowiu i zdolnościach, do tego zaś trzeba dodać niedostateczne nieraz odżywianie, oraz ciężkie warunki mieszkaniowe, które mogą odebrać ochotę i możność wszelkiej pracy naukowej. [1])

Do ujemnych wyników pracy naukowej i wychowawczej w szkole przyczyniają się również niehigjeniczne warunki niektórych budynków szkolnych, oraz przepełnienie w klasach, utrudniające pracę i przeszkadzające w indywidualnem traktowaniu uczniów. Pod innym względem zaszkodziły pewne urządzenia, przejęte od obcych i same w sobie dobre, ale które wprowadzono zbyt pospiesznie i w sposób nie liczący się z odmienną psychiką naszej młodzieży. Do nich należy n. p. samorząd klasowy, który tu i ówdzie przerodził się w istną pajdokrację i nauczył młodzież sarkać na profesorów, krytykować ich postępowanie i dawać głośny wyraz niezadowoleniu, że nie stosowali się do uczniowskich postulatów.

Gorzej może jest z rodziną, która często sprzeniewie-

---

[1]) Dość przytoczyć ankietę, przeprowadzoną w szkole powszechnej Nr. 32 w Warszawie w roku szkolnym 1924/5 przez p. A. Walentę. Na 340 uwzględnionych uczniów i uczennic tej szkoły: 181 przebywało w mieszkaniu, składającem się z jednej tylko izby, a 106 w mieszkaniu, złożonem z jednego pokoju i kuchni; 43 dzieci mieszkało w suterenach. Licząc, że w dużym pokoju powinno spać najwyżej 4 osoby, trzeba powiedzieć, że 45% dzieci spało w warunkach niehigjenicznych, owszem w rzeczywistości procent ten był większy, z powodu szczupłości mieszkań. Dodajmy, że naogół były to rodziny liczne, gdyż 225 dzieci należało do rodzin, złożonych z 5—10 osób. W takich warunkach trudno więc mówić o zdrowiu i możności dobrego przygotowania się do szkoły (*Ekonomista*, 1925 t. II, str. 158—167).

rza się swemu powołaniu. Przedewszystkiem uderza dziś brak nadzoru nad dziećmi ze strony wielu rodziców, którzy autorytetem swoim pokrywają nadto potem przed szkołą ich lenistwo i złe zachowanie się.[1]) Gorzej jeszcze przedstawia się rzecz na polu obyczajności, której upadek wśród młodzieży męskiej i żeńskiej postępuje szybko naprzód. Niema w tem zresztą nic dziwnego, gdyż przykład płynie z góry: z ulicy, literatury, teatru, kina, a najsilniej niekiedy z domu.[2])

Dlatego podniesienie moralnego poziomu rodziny i ogółu społeczeństwa jest dziś najważniejszym postulatem na drodze do ratowania młodzieży. „Atmosfera rodzinna musi być czysta i prawa", aby dom mógł spełnić swe zadanie — brzmiała odezwa Tow. Naucz. Szkół Śr. i W. W zdemoralizowanem dzisiejszem środowisku, gdzie niesnaski i coraz częstsze rozwody i separacje rozrywają uświęcony związek i depczą zasady moralne, trudno chyba mówić o moralnem wychowaniu młodego pokolenia. Wina niezdrowych stosunków rodzinnych i publicznego zgorszenia, z jakiem spotyka się młodzież na każdym prawie kroku, spada zresztą na całe społeczeństwo, które lekkim sposobem traktowania tych rzeczy ośmiela i ułatwia zepsucie, oraz na władze szkolne i państwowe, które nie zapobiegają złemu i pozwalają mu szerzyć się bezkarnie. Drobne edykty, wydawane od czasu do czasu przez nie lub przez władze lokalne, nie odnoszą zazwyczaj pożądanego skutku, gdyż nie są egzekwowane i idą szybko w niepamięć.

Jakie z tego zaniedbania muszą wyniknąć następstwa, widzimy wszyscy. Jeden z wyższych urzędników wileńskich, zapytany po zbrodni o jej przyczyny, powiedział: „Proszę

---

[1]) Podobnie nie dopisuje często nadzór władz szkolnych nad internatami i bursami.

[2]) W pewnych razach demoralizować może i szkoła, będą to jednak wypadki rzadsze, w których interwenjować powinni zaraz rodzice. Z wiarogodnego n. p. źródła słyszałem fakt następujący: w jednem gimnázjum żeńskiem młody profesor nauk przyrodniczych kazał uczennicy rozebrać się w klasie, by na niej pokazywać anatomję człowieka. Interpelowany potem przez dyrektora miał wyrazić zdziwienie, że można mu było wziąć to za złe.

wyjść na ulicę i uważniej się przyjrzeć, a przyczyny tragicznego wypadku będą zupełnie zrozumiałe". Owszem, wyniki śledztwa ukazały nam rzeczy, wprost trudne do uwierzenia. Oto wśród młodzieży miejscowej istniało tajne „Stowarzyszenie miłośników zabawy", w którem zastano podobno uczniów i uczenice w sytuacjach zupełnie niedwuznacznych. To znowu rewizja, dokonana wśród pensjonarek jednego z zakładów wileńskich, miała wykryć rzeczy, świadczące smutno o ich stanie moralnym.

Objawy pokrewne zastajemy dziś prawie wszędzie. Niedługo po tragedji wileńskiej wydało Kuratorjum okręgu warszawskiego okólnik do dyrekcyj szkół średnich w Warszawie „w sprawie zachowania się młodzieży poza szkołą"; w nim wzywa nauczycielstwo, by w porozumieniu z opieką domową czuwało nad tem, zwłaszcza w różnych miejscach publicznych, na których „widuje się starszą młodzież w wieku szkolnym płci obojga (stwierdzono, że część jej to młodzież gimnazjalna), spacerującą do późnego wieczora i zachowującą się zbyt swobodnie... (co) wywołuje powszechne zgorszenie".

Ten ostatni fakt, tak dziś częsty, zmusza nas jednak do drobnej uwagi, że gdzieniegdzie sami kierownicy szkół średnich, zwłaszcza seminarjów nauczycielskich, przyczyniają się do złego — mimowoli oczywiście — przez urządzanie wspólnych zabaw dla dorastających uczniów i uczennic. Owocem zawartych tu znajomości i miłego nastroju są potem owe wspólne spacery, odprowadzania się i odwiedziny, nie zawsze wesoło się kończące. Byłoby wskazanem liczyć się więcej z naturą młodego wieku i nie zapominać, że młodzież ta czerpie dziś najgorszy przykład od starszych, których zabawy są nierzadko odtworzeniem starożytnego pogaństwa w najniższych jego fazach. Przykład ten działa tak skutecznie, że młodzież nie uważa nawet za potrzebne kryć się zbyt przed drugimi, tem bardziej, że przewrotne zasady, głoszone w literaturze i prasie, przewracają jej do reszty w głowie. To, co się dzieje na ulicy, należy więc jeszcze uważać za „niewinne"; chcąc dojrzeć resztę, trzeba wglądnąć głębiej. W karnawale tegorocznym pewna seminarzystka tańczyła na balu w samych trykotach, a czy to był wypadek jedyny?

Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce miało więc głęboką słuszność, kiedy konstatowało „fakt zaniku wśród pewnych kół naszej młodzieży wszelkich zdrowych kryterjów chrześcijańskich i moralnych, rozpasanie najniższych instynktów człowieka, rozpętanie swawoli i anarchji." I dlatego wzywało gorąco do akcji „celem etycznego podniesienia społeczeństwa i utworzenia jednolitej zdrowej opinji publicznej."

Uznanie tego, że poprawa młodzieży powinna się rozpocząć od moralnego odrodzenia rodziny i społeczeństwa, jest objawem bardzo pocieszającym. Jedna wszakże okoliczność uderza tu przykro — mianowicie za słabe uwzględnienie doniosłości czynnika religijnego w tem dziele. Zapewne, można przypuszczać, że władze szkolne i różne organizacje, które zabierały głos, suponowały religję, jako rzecz zrozumiałą samą przez się. Czy jednak, skoro się przedkładało szczegółowo środki zaradcze, nie wypadało wymienić wyraźnie tego, który pomiędzy niemi zajmuje pierwsze miejsce?

O podniesieniu poziomu moralnego w społeczeństwie chrześcijańskiem, jakiem jest większość obywateli naszego kraju, nie może przecież być mowy bez równoczesnego odrodzenia religijnego. Jeśli wogóle niema moralności bez Boga — mogą być tylko różne systemy etyczne — to już bezwzględnie niema jej u katolika, który nie spełnia swych obowiązków względem Boga. Podkreślenie więc silniejsze tej strony życia, większe niż dotychczas uwzględnianie jej w domu i w szkole, to będzie dopiero prawdziwa droga do ratowania naszej młodzieży. Chrześcijaństwo bowiem zaszczepi w niej te wszystkie dane, które uczynią ją rzecznikiem ładu i podporą kraju; tylko wrogom jego może więc zależeć na osłabieniu ducha wiary w domu i w szkole, ale nigdy tym, którzy kochają ojczyznę.

Tymczasem sytuacja w naszych szkołach średnich, gimnazjach i seminarjach nauczycielskich, a częściowo i w szkołach powszechnych, nie wszędzie odpowiada tym postulatom. Nie popieranie praktyk religijnych, owszem wyśmiewanie ich i zwalczanie nie jest bynajmniej zjawiskiem rzadkiem; nawet dyrektorzy niektórych zakładów wykraczają w tej mierze.

Szereg nauczycieli i nauczycielek, należących zwyczajnie do P. P. S. lub Wyzwolenia, szerzy świadomie akcję przeciw wierze i Kościołowi. Jedna z „towarzyszek" pracowała tak gorliwie w seminarjum żeńskiem pewnej miejscowości b. Kongresówki, że niektóre z uczennic straciły wiarę a inne śmiały się z praktyk religijnych. Gdzieindziej uczono, że Chrystus Pan to był „porządny człowiek"; w innej szkole powszechnej wizytator na widok krzyża w klasie wyraził się w sposób tak bluźnierczy, że niepodobna tego powtórzyć. Wogóle z różnych stron kraju słyszy się, że spora część personelu nauczycielskiego niektórych zakładów jest niewierząca (najgorzej, zdaje się, jest na kresach wschodnich), a księża prefekci stoją niekiedy bezradni wobec tej niszczycielskiej roboty.

Jakie owoce może wydać taka robota, dowodem jest choćby nieszczęsne Wilno. Z wyników śledztwa, przeprowadzonego między młodzieżą, dowiedzieliśmy się, że istnieją tam nie tylko stowarzyszenia, mające na celu uprawianie rozpusty, ale także tajne organizacje takie, jak „Rycerze wyzwolenia od Boga, Kościoła, rodziny, honoru". Tylko tacy ludzie mogli się też zdobyć na przygotowanie z zimną krwią zamachu, który mógł pociągnąć za sobą śmierć wielu ofiar.

Jest więc nad czem myśleć. I jeśli Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich, postawiwszy sobie jako główny cel: podniesienie poziomu rodziny, wzmocnienie jej wpływów wychowawczych w domu i skoordynowanie tychże z usiłowaniami czynników szkolnych, podkreśliło, że chce stać „zawsze śmiało i mocno we wszystkich swoich poczynaniach na gruncie zasad chrześcijańskich, narodowych i obywatelskich" — to w imię tej współpracy powinna i szkoła polska stanąć silnie na tych samych podstawach. I wiemy, że ogromna większość nauczycielstwa szkół średnich stoi na tem stanowisku i z godnością spełnia swe wzniosłe zadanie. Co zaś sądzić wypada o tych jednostkach, które na polu religji i moralności przeciwdziałają domowi, jest chyba oczywistem. Ludzie ci powinni wykreślić swe nazwisko z pod wszystkich odezw, wydanych przez nauczycielstwo w sprawie współdziałania szkoły i domu, bo akcja ich jest właśnie burzeniem tego, co dom zbudował; określić ją można je-

dynie jako świadectwo ubóstwa ze stanowiska pedagogicznego, a jako niegodziwość i przewrotność z punktu moralnego i religijnego. Rodzice, których dzieci dostałyby się w ręce takich pedagogów, mogą i powinni upomnieć się o swe prawa.

Sanacja moralna i religijna społeczeństwa, podniesienie poziomu rodziny i szkoły oraz współpraca tychże, to główne czynniki na drodze do ratowania naszej młodzieży. Jeśli jednak dzieło to ma być zupełne, musimy zwrócić jeszcze baczną uwagę na niebezpieczeństwo, jakiem zagraża mu akcja organizacyj lewicowych a zwłaszcza komunizmu.

W sprawozdaniu swem o Wilnie oświadczył wprawdzie p. minister, St. Grabski, przed Komisją oświatową, że wypadki tamtejsze nie miały związku z działalnością komunistyczną; lecz o tem wolno powątpiewać. Przy rewizji, przeprowadzonej u uczniów jednej szkoły powszechnej wileńskiej, którzy planowali zamach na dzień 27 czerwca b. r., znaleziono podobno nie tylko rewolwer i kilkadziesiąt nabojów, ale także sporo bibuły komunistycznej. Wiadomo nadto wszystkim, że po zbrodni w gimnazjum Lelewela rozrzucano po mieście odezwy, wzywające do wzięcia udziału w pogrzebie „ofiar", t. j. zabójców i do spłacenia krwią profesorów krwi tych „ofiar". Otóż odezwy te i inne podobne, oraz istnienie tajnych organizacyj, skierowanych wprost przeciw religji, wszystko to zdaje się wskazywać na rękę bolszewicką, tem bardziej, że, jak sam minister stwierdził, w Wilnie znajduje się spory zastęp młodzieży, która część życia spędziła w Bolszewji. Zresztą jeden z dzienników miejscowych donosił po wypadku, że w Wilnie wykryto organizację uczniów, pozostającą pod wpływem bolszewickim.

Nie jest to przytem wcale rzecz nowa. Agitacja komunistyczna wśród młodzieży, robotniczej przedewszystkiem, a także uczącej się, trwała już oddawna, a szczególnie silnie wystąpiła na jaw w roku ubiegłym. Już w pierwszej jego połowie słyszeliśmy, że co pewien czas organa śledcze wykrywają jaczejki komunistyczne wśród młodzieży szkolnej, które pod różnemi pozorami, n. p. organizacji samopomocy uczniowskiej, odbywały swe zebrania i przemycały zasady

ideologji bolszewickiej. Agitatorzy, jak pisano, głównie Żydzi, czuli się tak silni, że z końcem r. 1924 chcieli już urządzić osobny „Dzień młodzieży komunistycznej".

Młodzież ta, według informacyj *Młodego Robotnika* (Warszawa, luty 1925), jest zorganizowana w „Związku młodych komunistów", będącym sekcją trzeciej międzynarodówki młodzieży w Moskwie. Podlega on władzy tejże oraz krajowej i pozostaje bezpośrednio pod rozkazami biura młodzieży komunistycznej na Europę środkowo-wschodnią, z siedzibą w Berlinie. Liczy on w Polsce około 2.500 członków wpisanych, ale jeśli się uwzględni sympatyków, ma ich daleko więcej. Obok robotniczej, należy tu również młodzież szkół średnich i akademicka, która pomaga tamtym przez odczyty i redagowanie pism. Spora literatura, w formie broszur i czasopism, drukowana jest częściowo na miejscu, a reszta przychodzi z zagranicy.

Obok komunizmu pracują wśród młodzieży robotniczej i szkolnej również inne organizacje, niezbyt odległe duchem.

Z początkiem r. 1924 władze szkolne były zmuszone przestrzec dyrekcje szkół średnich przed propagandą „wolnomyślicielstwa". Odbywała się ona między innemi także przez rozszerzanie wydanej w maju 1923 r. jednodniówki p. t. „Młody wolnomyśliciel", głoszącej wyraźnie hasła antyreligijne, oraz przygotowującej teren pod zaszczepienie idej, wrogich karności szkolnej i państwu. Deklaracja ideowa młodzieży, zamieszczona we wspomnianej jednodniówce, głosi jako „obowiązek" bezwzględną walkę z wszelkim „dogmatem" i religją, żąda oddzielenia Kościoła od państwa, zniesienia przymusu religijnego w szkole, zmiany nauki historji w duchu międzynarodowego braterstwa i t. d.

Baczną uwagę powinna też zwrócić na siebie agitacyjna i organizatorska działalność P. P. S., która z pomocą Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego (TUR) i akademickich związków socjalistycznych rozwija coraz ruchliwszą propagandę wśród młodzieży męskiej i żeńskiej, robotniczej i szkół średnich, a posiłkuje się w tem organizacjami sportowemi zwłaszcza t. zw. „Wolnem harcerstwem". Że praca ta nie idzie na marne, świadectwem jest choćby ogłoszenie swego czasu odezwy międzynarodówki uczniów szkół śre-

dnich. Dziwnem zrządzeniem akcję taką tolerowano w tym samym czasie, kiedy rektor jednej z wyższych naszych uczelni sprzeciwił się wprowadzeniu Sodalicji Marjańskiej wśród akademików, jako „niepożądanej dla młodzieży".

Byłoby wogóle wskazanem, aby młodzieży szkolnej (owszem wszelkiej do pewnego wieku) zabroniono należenia do jakiejkolwiek organizacji partyjnej. Wnoszenie zarzewia walki — element dziś nieunikniony — w serca młodzieży, która powinna się uczyć kochać kraj i wszystkich w nim, to akcja nie tylko wręcz niezgodna z duchem wychowania, ale to jest przedwczesne zatruwanie jej duszy, nim jeszcze zdołała się uodpornić na zabójcze działanie trucizny. Związek Zaw. Naucz. Pol. Szkół. Śr. w enuncjacji, ułożonej 7 maja b. r. z okazji wypadków wileńskich, żąda też wyraźnie „niewciągania młodzieży szkolnej do akcji społecznej, organizowanej pod egidą partyj politycznych, odsuwanie od młodzieży tego wszystkiego, co rozdmuchuje nienawiści społeczne lub rasowe".

Podobnie niepożądanem jest wciąganie młodzieży do jakichkolwiek zajęć, noszących charakter polityczny lub policyjny, jak do służby w defensywie politycznej i kryminalnej.

Tak przedstawiałby się w sumarycznem zdjęciu obraz dzisiejszej młodzieży, zwłaszcza szkół średnich, oraz zasadnicze postulaty co do jej wychowania. Położenie, jak widzimy, nie jest wesołe, ale — dodajmy odrazu — nie jest też złe. Młodzież nasza jest wogóle dobra, trzeba tylko umieć z nią postępować, a przedewszystkiem trzeba jej nie psuć, jak się to dziś często dzieje. Jeśli podniesiemy poziom moralny społeczeństwa, jeśli rodzina i szkoła będą sumiennie i w zgodnej współpracy spełniały swe obowiązki, stan dzisiejszy poprawi się niedługo. Wprawdzie sanacja stosunków tych nie będzie łatwą, lecz skoro w ostatnich latach potrafiliśmy włożyć tak olbrzymi wysiłek i tyle poświęcenia w budowę naszej państwowości, powinniśmy się zdobyć na podobną wielkoduszność i tu, gdzie chodzi o rzecz jedną z najważniejszych — o duszę młodzieży, a z nią o ducha i byt Ojczyzny!

Ks. Stanisław Podoleński.

Czwarty Sobór Lateraneński i udział w nim Polski.

Pod datą 19 kwietnia 1213 r. rozesłał papież Innocenty III do wszystkich patrjarchów, arcybiskupów i biskupów, do wszystkich monarchów chrześcijańskich, wielkich mistrzów zakonów rycerskich i innych przełożonych zakonnych okólnik,[1]) wzywający do przybycia na sobór powszechny, którego otwarcie nastąpi w Lateranie dnia 1 listopada 1215 r.

Zadaniem soboru będzie rozważyć i zdecydować sprawę uwolnienia Ziemi świętej oraz reformę Kościoła katolickiego. Pod tą ostatnią rozumiał papież „położenie tamy występkom w Kościele, rozkwit cnót, zaprzestanie nadużyć wszelkich, naprawę obyczajów, wyniszczenie herezji, umocnienie wiary, złagodzenie sporów, zaprowadzenie pokoju, usunięcie gwałtów, opiekę nad wolnością", wydanie mądrych zarządzeń dla wyższego i niższego kleru. Stawić się winni wszyscy jak najliczniej. W każdej prowincji kościelnej zaledwie jeden albo dwóch biskupów będzie mogło zostać dla załatwiania spraw bieżących, ale i ci oraz inni, którzy dla jakiegokolwiek powodu nie będą mogli na sobór osobiście przybyć, mają przysłać prokuratorów swoich. I niech się nikt nie tłómaczy wojnami, które dzielą chrześcijan, albo niepewnością dróg, albowiem im bardziej niebezpieczeństwa zagrażają, tem więcej trzeba myśleć o środkach zaradczych.

[1]) „Vineam Domini Sabaoth", Migne, PP. LL., Innocentii III opera omnia, III, kol. 823 i nn.; Hefele-Leclercq, Histoire des Conciles, tom V, cz. 2, 1913, str. 1317 i n.

Zresztą należy ufać: „Bóg uczyni znak i przeszkody znikną". Dwa i pół roku, jakie zostają do rozpoczęcia soboru, mają być obrócone na przygotowanie materjału do obrad. Biskupi zbadają dokładnie stan swych diecezyj i wynotują wszystko, cokolwiek potrzebuje poprawy lub decyzji apostolskiej.

Okólnik ten konwokacyjny, wydany z Lateranu, otrzymali i biskupi polscy. Wprawdzie nie przechował się on w żadnym ze znanych dotychczas zbiorów źródeł krajowych, niemniej jednak, stąd, że i do arcybiskupa gnieźnieńskiego był adresowany,[1]) wnosić śmiało możemy, że do Polski napewno przyszedł.

Kościół w Polsce przeżywał wówczas krótki moment wytchnienia po ciężkich bardzo latach walki o prawa swoje i czystość życia kościelnego. Arcybiskupem Polski był od r. 1199 Henryk, zw. Kietliczem, mąż oddany całkowicie Stolicy Apostolskiej, gorliwy reformator kleru i narodu, twórca i przywódca całego stronnictwa reformy, nieugięty w walce o swobody kościelne, wyzyskujący zręcznie dla podniosłych celów swoich każdorazową konfigurację polityczną kraju.

Posłuszny wezwaniu papieskiemu, arcybiskup zwołuje natychmiast na dzień 24 czerwca 1213 r. zjazd, mający wszystkie znamiona doraźnie zebranego synodu prowincjonalnego, do Sieradza, na którym powiadamia kler sobie podległy o zapowiedzianym soborze, naradza się nad szczegółami, wymienionemi w papieskim okólniku, rozpatruje główniejsze potrzeby kościelne kraju i wytyka kierunek prac przygotowawczych do soboru zgodnie z poleceniem papieża. Umyślnie wybrał miejsce na zjazd w Sieradzu, położonym w środku prawie między stolicami biskupiemi Polski, aby wszystkim wobec wielkiego znaczenia obrad udogodnić w nich udział. To też z biskupów krajowych jeden tylko Wawrzyniec lubuski, mający siedzibę najdalej od Sieradza, na zjazd nie przybył, a może tylko na dzień 24 czerwca, w którym został wydany dokument, mówiący nam o zjeździe,[2]) nie zdążył jeszcze przybyć. Między obecnymi byli i opaci trzech większych klasztorów polskich, przedstawiciele trzech

[1]) Migne, l. c., kol. 825.

[2]) Kodeks dypl. polski, III, nr. 7.

różnych zakonów: benedyktyńskiego, premonstrateńskiego i cysterskiego, tudzież liczni — liczniejsi niż na poprzednich, przez arcybiskupa dość często odbywanych zjazdach — reprezentanci kapituł, bo papież i opatów i kapituły na sobór zapraszał, albowiem i sprawy zakonne i kapitulne miały być na nim omawiane.

Arcybiskup Henryk, podobnie jak i papież Innocenty III, przywiązywał dużą wagę do obrad soborowych. W planie ich, zakreślonym przez papieża, widział niejako odbicie tych dążeń, do których sam na terenie Kościoła polskiego zmierzał, w samym zaś soborze rychłą ich realizację. To też od zjazdu w Sieradzu cała działalność jego jest pod znakiem soboru; tem pilniejszych począł dokładać starań, aby jak najlepiej i we wszystkich szczegółach poznać różne braki naszego życia kościelnego oraz środki zaradcze. Każdy zjazd większy i każde zetknięcie się bliższe czy to z wybitniejszymi duchownymi Polski, czy też z książętami lub znakomitem rycerstwem służy dlań okazją do narad pod tym względem.

W cztery miesiące po synodzie sieradzkim dokonywa arcybiskup konsekracji kościoła klasztornego cystersek w Ołoboku, ufundowanego przez księcia kaliskiego Władysława Odonicza. [1]) Uroczystość ta oprócz arcybiskupa ściągnęła na dwór Odoniczowy i niektórych przedstawicieli kapituł: z Krakowa, Poznania, Kalisza, nadto opata premonstrateńskiego ze Zwierzyńca i proboszcza trzebnickiego. Była to nowa sposobność do rozejrzenia się w materjale zbieranym na sobór powszechny.

Arcybiskup nietylko naradzał się i zbierał materjały, ale rezultaty przeprowadzonej nad stanem Kościoła naszego dokładnej ankiety, stosownie do zarządzenia papieskiego, przesyłał razem z odpowiedniemi uwagami swemi do Rzymu. Stosunki zatem jego z kurją rzymską, zawsze ożywione, teraz stają się siłą rzeczy częstsze. Niestety, żałować bardzo wypada, że skutkiem zaginięcia registrów watykańskich, zawierających listy Innocentego III z ostatnich trzech lat jego

[1]) KDWPol. I, nr. 81.

rządów, właśnie z okresu soboru lateraneńskiego IV,[1]) skąpe tylko i fragmentaryczne o stosunkach tych mamy wiadomości.

* * *

Soborowy list konwokacyjny papieża oraz zawarte w nim polecenia miały dla arcybiskupa Henryka tę jeszcze ważną stronę, że dawały mu możność bardziej bezpośredniego wglądania w rządy sufraganów swoich, a co za tem idzie, i skuteczniejszego oddziaływania w duchu reformy, jak tego zawsze pragnął. W r. 1214 papież poszedł pod tym względem bardziej jeszcze na rękę arcybiskupowi, zamianował go bowiem legatem stałym Stolicy Apostolskiej na całą prowincję polską i Prusy.[2])

Był to pierwszy w dziejach naszych wypadek, że kraj otrzymywał legata stałego z pośród własnych hierarchów.[3])

Zagranicą praktyka ta była już dawniej stosowana, ale bardzo rzadko. Papieże dawniej najczęściej i najchętniej posiłkowali się legatami w miarę potrzeby, sporadycznie wysyłanymi. Innocenty III inaczej — chciał jak najsilniej trzymać rękę na pulsie życia kościelnego we wszystkich krajach chrześcijańskich. Władza samych metropolitów mu nie wystarczała, metropolici bowiem w XIII w. już nie mieli tych szeroko zakreślonych prerogatyw nad sufraganami, jak w wiekach ubiegłych.[4]) Z drugiej strony legaci, wysyłani co pewien czas tylko i na krótko, dla załatwienia pewnych spraw bardziej palących i ważniejszych, także nie mogli przynieść

---

[1]) Lata 1214—1216. Por. Luchaire, Le concile de Latran et la réforme de l'Église, Paris 1908, str. 192; Hampe, Aus verlorenen Registerbänden der Päpste Innocenz III und Innocenz IV, 1 część, Aus der letzten Jahren Innocenz III, MIÖG. 1902.

[2]) O legacji w Prusiech wnosimy z listu Honorjusza III z d. 11 maja 1219 roku, KDWPol. I, nr. 98, który jednak już nie zastał arcybiskupa przy życiu.

[3]) Urzędu tego nie należy utożsamiać z urzędem t. zw. *legati nati*. Stanowisko tych ostatnich było stale przywiązane do miejsca jakiegoś, legacja zaś arcybiskupa Henryka miała charakter czysto personalny. O urzędzie legackim w Kościele i jego rozwoju p. Hinschius, System d. kath. Kirchenrechts, 1, Berlin 1869, str. 498 i nn.

[4]) P. Hinschius, l. c., II, str. 1 i nn.

tego, o co papieżowi chodziło. Innocenty więc, mając głównie na widoku potrzebę reformy kościelnej, chętniej daleko, niż jego poprzednicy, uciekał się do instytucji legatów stałych, mianując na ten urząd jednego ze znamienitszych biskupów miejscowych, najczęściej metropolitę lub prymasa danego kraju, i dając mu najdalej idące uprawnienia.

I arcybiskup nasz, zostawszy legatem Stolicy Apostolskiej, otrzymał szerokie bardzo pełnomocnictwa w stosunku do wszystkich wiernych w kraju i wszystkich dziedzin życia kościelnego w całem państwie i w Prusach. Odtąd, jeżeli działał, to zawsze już wprost w imieniu papieża, więc mógł śmielej podejmować inicjatywę, wnikać we wszystko, co dotyczyło organizacji kościelnej, reformy klasztorów, obyczajów kleru świeckiego czy zakonnego, wydawać prawa obowiązujące, badać, naprawiać, sądzić i karać. Odtąd też i praca jego przygotowawcza do soboru stawała się o wiele łatwiejszą i pełniejszą niż przedtem. Natychmiast więc ze zdwojoną energją zabrał się do dzieła.

Jako legat występuje najpierw we własnej diecezji gnieźnieńskiej. Mamy mianowicie ślad pobytu jego *in principio legationis*, dnia 27 września 1214 r. w Trzemesznie, w którem na prośbę prepozyta Mengoza konsekrował ołtarz św. Katarzyny i nadał odpust pewien z jej uroczystością związany.[1]) W tym samym roku widzimy go w towarzystwie biskupów wrocławskiego i lubuskiego na Śląsku[2]), dokąd niezawodnie również w celach wizytacyjnych zjechał. Następnie mamy jeszcze wzmianki o pobycie jego w diecezji płockiej, na Mazowszu, przyczem wyraźnie jest zaznaczone, że był tam w charakterze legata apostolskiego. I ta wizyta, jak z brzmienia źródeł przypuszczać można, wypadła jeszcze w 1214 r.,[3]) wkrótce po objęciu funkcyj legackich. Wnosimy stąd, że w podobny sposób objechał arcybiskup kolejno kraj cały, badając wszystko, co reformy potrzebowało. W niektórych miejscach, jak n. p. w Płocku, gdzie życie

[1]) KDWPol. I, nr. 83.

[2]) Grünhagen, Regesten z. schles. Gesch., Theil 1, Breslau 1884, nr. 160.

[3]) KDWPol. I, nr. 102; Por. też Ulanowski, Dok. kuj. i maz, Kraków 1888, str. 152, nr. 3.

kleru i stan diecezji z winy samego biskupa Giedki, obojętnego na przepisy kanoniczne, więcej niż gdzieindziej zostawiały do życzenia, trafił nawet na opór i lekceważenie zarządzeń swoich, a nawet odwoływanie się do Stolicy Apostolskiej, [1]) to go jednak bynajmniej nie zrażało — miał z natury dużo stanowczości i bezwzględności i zawsze się niemi kierował.

* * *

Tak w ciągu ruchliwej bardzo działalności przygotowawczej arcybiskupa Henryka nadchodził coraz bliżej termin soboru powszechnego. Arcybiskup znał doskonale Rzym i stosunki rzymskie. W czasie lat ubiegłych szukał stale pomocy w Rzymie, dwa razy, conajmniej, [2]) osobiście nawiedził progi apostolskie, chcąc w ten sposób lepiej jeszcze poprzeć sprawy, których bronił. Za każdym razem przed wyjazdem do stolicy świata zbierał duchownych i świeckich przyjaciół swoich celem omówienia dokładnego taktyki postępowania zarówno w Rzymie, jak i w kraju.

Obecnie, mając przed sobą bliski wyjazd na sobór powszechny, czyni tak samo. Zwołuje mianowicie nowy synod prowincjonalny do Wolborza. [3]) Synod ten miał być niejako przypieczętowaniem prac przygotowawczych. Trzeba było najpierw zadecydować różne sprawy bieżące, drobne, ale nie cierpiące zwłok. Wiemy np., że w sprawie sporu o dziesięciny, który wynikł między biskupem kujawskim, a klasztorem w Strzelnie, synod wyznaczył sędziów: wzmiankowanego przed chwilą [4]) Mengoza, proboszcza trzemeszeńskiego, i Guntera, dziekana z Płocka. [5]) Ponieważ sędziowie ci wyrok swój rozjemczy ogłosili jeszcze w ciągu 1215 r., wypadałoby, że synod odbył się najpóźniej około połowy tego roku.

Jak zaznaczyliśmy, [6]) papież pozwolił co najwyżej dwu

---

[1]) KDWPol., j, w.
[2]) Raz w r. 1206/7, drugim razem w r. 1211.
[3]) W wojew. Sieradzkiem, pow. Piotrkowskim.
[4]) P. wyżej, str. 5.
[5]) KDWPol. I, nr. 84.
[6]) Wyżej, str. 1.

biskupom zostać na czas soboru powszechnego w prowincji dla administrowania sakramentów świętych i sprawowania jurysdykcji biskupiej, trzeba więc było następnie wybrać w Wolborzu i wyznaczyć tych, którzyby zostali, a przy tej sposobności określić zaraz i kompetencje, im przysługujące. Dalej trzeba było zastanowić się i nad sprawą kapituł katedralnych i kolegjackich, żeby obesłanie soboru przez nie wypadło po myśli stronnictwa kościelnego. Sprawa ta była dość trudna, o ile bowiem większość biskupów znajdowała się bez zastrzeżeń w obozie arcybiskupim, o tyle wśród kapituł liczono wielu jeszcze jawnych, albo mniej czy więcej ukrytych zwolenników starych nadużyć i starego niezgodnego z kanonami zwyczaju.

Wkońcu zajęto się i sytuacją polityczną, zapewnieniem spokoju i bezpieczeństwa publicznego na czas nieobecności arcybiskupa w kraju. W związku z tem uzyskał arcybiskup na synodzie w Wolborzu nowy przywilej dla Kościoła polskiego,[1]) analogiczny do przywileju, uzyskanego na jednym z synodów prowincjonalnych kilka lat przedtem.[2]) Wystawcami jego są: Leszek Biały krakowski i sandomierski, Konrad Mazowiecki, kaliski Władysław Odonicz i syn Mieszka Raciborskiego, książe Kazimierz Opolski ze Śląska. Dowodzi to, że tylko ci książęta wzięli udział w soborze. Brakuje księcia Henryka Brodatego z Wrocławia i wielkopolskiego Władysława Laskonogiego. Laskonogi, dążąc do władzy absolutnej w swojem księstwie, a senjorackiej w kraju, był przywódcą stronnictwa antireformistycznego i zwalczał ciągle arcybiskupa, oczywiście więc w wydaniu przywileju brać udziału nie mógł. Henryk Brodaty zaś, aczkolwiek zrazu przychylny arcybiskupowi, później jednak dla względów politycznych odsunął się od niego, zachowywał stanowisko neutralne, a nawet bodaj nieprzyjazne dla arcybiskupa.

Wystawcy przywileju dali Kościołowi własne, niezależne zupełnie sądownictwo, a wynagradzając mu za krzywdy, wy-

[1]) KDWPol. I. nr. 68.

[2]) Synod ten odbył się w nieznanej nam miejscowości w końcu r. 1210, a więc już po synodzie odbytym w Borzykowej, dn. 29 lipca 1210 r. Bliższe uzasadnienie terminu tego synodu daję w przygotowywanej przeze mnie pracy obszerniejszej o arcybiskupie Henryku.

rządzone w jakikolwiek sposób przez poprzedników swoich, obiecali pod przysięgą arcybiskupowi i sufraganom jego oraz wszystkim ich następcom przestrzegać wiernie immunitet kościelny,[1]) aby w niczem nie narazić Kościoła na straty. Wszyscy ludzie kościelni, nawet laicy, oprócz partycypowania w niezależnem sądownictwie kościelnem będą wolni od służb i ciężarów prawa książęcego, wszelkich podwód i danin w naturze.[2]) Specjalnie w stosunku do archidiecezji gnieźnieńskiej książęta zobowiązują się nie częściej jak raz tylko, „według starego zwyczaju," przejeżdżać przez należącą do Gniezna ziemię Łowicką. Widocznie „zwyczaj" ten w ostatnich latach poszedł w zapomnienie, co przynosiło dużą szkodę arcybiskupstwu, trzeba więc było przypomnieć go książętom. Zwrócono też wszystkie majątki, wsie, lasy i pożytki, zabrane kiedykolwiek Kościołowi gnieźnieńskiemu.

Tekst oryginalny, dotyczący tego ostatniego aktu, brzmi jak następuje: *restituimus omnes villas beato Adalberto pertinentes, similiter et silvas cum suis utilitatibus.* W literaturze historycznej słowa te rozumiano nie w znaczeniu faktu dokonanego, ale w znaczeniu obietnicy, uczynionej na przyszłość, i widziano w nich dowód utworzenia w Wolborzu z a c z e p n e j l i g i politycznej przeciwko Władysławowi Laskonogiemu, zobowiązującej się, w razie pokonania go, zwrócić Kościołowi gnieźnieńskiemu wszystkie należne doń dobra, które Laskonogi nieprawnie posiadał. Wychodzono z założenia, że „trudno przypuścić, żeby książęta, wydający przywilej, którzy nieraz dali już przykłady swej dla Kościoła uległości, zatrzymywali nieprawnie dobra kościelne i to jeszcze Kościoła gnieźnieńskiego, którego główne dobra leżały w Wielkopolsce."[3])

Uważamy atoli — ponieważ autorem ligi, jeżeli była zawarta, mógł być tylko arcybiskup —, że nie mogło być

[1]) Czem był immunitet kościelny wogóle i jaką rolę odegrał w rozwoju społeczeństwa polskiego, p. wywód A b r a h a m a, Pierwszy spór kościelno-polityczny w Polsce, Kraków 1895, str. 41 i nn.

[2]) O rodzajach ciężarów publicznych w Polsce oraz ich dokuczliwym charakterze p. S m ó l k a, Mieszko Stary i jego wiek, Warszawa 1881, str. 130 i nn., 429 i nn.

[3]) A b r a h a m, l. c., str. 39, przyp. 1. Por. i Z a c h o r o w s k i, Studja do dziejów w. XIII, wyd. X. Jan Fijałek, Kraków 1920, str. 49.

zamiarem jego ustanawiać rzecz, któraby nosiła w sobie zapowiedź bliskiej wojny w chwili właśnie, kiedy się wybierał na dłuższy przeciąg czasu do Rzymu. Raczej wszystko robił wówczas, aby zapewnić utrzymanie chwilowego przynajmniej pokoju w państwie, tem więcej, że i papież, wzywając na sobór, stawiał przed oczy, jako jeden z celów, pacyfikację powszechną chrześcijaństwa.[1]) Ustęp więc powyższy, dotyczący zwrotu włości kościelnych, nie mógł być jak gdyby wyzwaniem Władysława Laskonogiego, musiał mieć pokojowe tylko znaczenie, mógł być, co najwyżej, stwierdzeniem ogólnikowem zasady, że co kościelnego, nie może w rękach panów świeckich się znajdować, konkretnie zaś dotyczył tylko tych ziem i majętności Kościoła gnieźnieńskiego, które leżały poza terytorjum wielkopolskiego księcia, na innych obszarach Polski. Majętności takich prócz Łowicza, wymienionego w przywileju, było dosyć dużo.[2])

Godzimy się więc, że liga książąt była w Wolborzu utworzona: samo wydanie wspólnego przywileju o niej świadczy, i przezorność arcybiskupa jej wymagała. Ale liga ta miała charakter raczej obronny i pokojowy, była zawarta dla utrzymania w szachu i zastraszenia Laskonogiego na wypadek, gdyby myślał wykorzystać nieobecność arcybiskupa dla swoich ambitnych zawsze, a dla Kościoła nieprzychylnych celów. Arcybiskup chciał przy pomocy ligi tej zabezpieczyć się przed ewentualnemi niespodziankami w czasie pobytu na soborze i móc razem z innymi biskupami spokojnie wyjechać do Włoch, bez lęku, że po powrocie zastanie sytuację polityczną w kraju w jakikolwiek sposób zmienioną.[3])

* * *

[1]) Migne, l, c., kol. 824.

[2]) Wyliczenie majątków arcybiskupstwa gnieźnieńskiego w wieku XII daje bulla Innocentego II z r. 1136, KDWPol. I, nr. 7. Por. Korytkowski, Arcybiskupi gnieźnieńscy, t. I, Poznań 1888, str. 41 i nn.

[3]) Laskonogi mógł w dwojaki sposób wyzyskać nieobecność arcybiskupa w kraju: 1-o siłą oręża, 2-o zabiegami dyplomatycznemi, odciągając np. którego z książąt z obozu kościelnego i wzmacniając się w ten sposób znakomicie.

Upewniony postanowieniami synodu wolborskiego wyjechał arcybiskup do Rzymu. Towarzyszyli mu z biskupów: krakowski Wincenty, wrocławski Wawrzyniec, Wawrzyniec lubuski i kujawski Barton.[1]) W kraju pozostali: płocki Giedko i poznański Paweł.

Paweł był biskupem dopiero od r. 1212. Arcybiskup opierał się jego konsekracji nie dla tego, żeby widział w nim przeciwnika reformy, lecz z powodu zażyłości, która łączyła Pawła z księciem Henrykiem Brodatym; wkońcu jednak, ulegając nakazowi z Rzymu, konsekrował go, ale, chociaż Paweł okazał się później jednym z lepszych biskupów, ciągle jeszcze krzywem okiem nań patrzył i, jak widać, niedowierzał mu. Giedkę zaś uważał arcybiskup słusznie za biskupa starej daty, dalekiego od zapałów reformatorskich, które jego ożywiały. Korzystając z polecenia papieskiego, że w każdej prowincji należy zostawić jednego, albo dwóch biskupów dla sprawowania sakramentów świętych i funkcyj biskupich, umyślnie nie zabierał ich z sobą, lękał się bowiem, że obecnością swoją łamaliby ten jednolity front, o pokazanie którego mu chodziło, a nawet mogliby mu w czem zaszkodzić na soborze. Chciał przecie uwidocznić w Rzymie rezultaty kilkunastoletniej mozolnej pracy swojej i, korzystając z soboru, skonsolidować zarazem bardziej jeszcze swój obóz. W tym celu postarał się o przywilej, wiążący książąt jak gdyby w ligę obronną, wziął go z sobą do papieża i pokierował tak sprawą, że na sobór pojechali tylko ludzie tych samych, co i on, przekonań, bezwzględnie mu oddani — tacy, którzy jednakowo z nim myśląc i o jedno się zastawiając, podnieśliby tylko w oczach Zachodu znaczenie Kościoła polskiego i umocnili się sami w swoich surowo kościelnych zasadach.

Z przynależnych do prowincji gnieźnieńskiej sufraganów pozostał jeszcze jeden w diecezji swojej, będący już poza granicami Polski właściwej, mianowicie biskup kamieński z Pomorza, Sigwin. Ten atoli umyślnie nie pojechał, stale bowiem pod wpływem separatystycznych dążeń książąt po-

[1]) Hefele-Leclerq, l. c. str. 1727 i 1731; St. K., Wiadomość o udziale Polski w IV soborze Lateran., Przegląd Historyczny, 1906, III z. 1, str. 141 i n.

morskich usiłował wyłamać się z pod władzy Gniezna.[1]) Papież upominał go wprawdzie do posłuszeństwa, upomnienia te jednak i wyraźne nawet rozkazy nie wiele pomagały.[2]) I teraz wolał Sigwin nie jechać na sobór, gdyby bowiem znalazł się razem z arcybiskupem w Rzymie, naraziłby z pewnością niezależnościowe ambicje swoje na szwank jakiś.

List konwokacyjny papieża został wysłany i do wszystkich monarchów, zostających w łączności ze Stolicą Apostolską.[3])

Otrzymali go zatem i książęta polscy. Żaden jednak nie wyjechał na sobór. Stosunki polityczne zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz kraju, były ciągle tak niepewne, że każdy lękał się opuszczać swą dzielnicę i naprawde byłoby nierozważne, gdyby wyjechał. Panowie zachodni: wyznaczony przez Innocentego na cesarza król Fryderyk II niemiecki i sycylijski, cesarz imperjum Łacińskiego w Konstantynopolu, królowie: francuski, angielski, jerozolimski, król Cypru, aragoński, węgierski i inni przysłali na sobór swoich zastępców;[4]) w Polsce wobec moralnej przewagi arcybiskupa Henryka i wielkich wpływów politycznych, które wywierał, reprezentacja specjalna książąt była uważana za zbyteczną. Niektórzy z nich zresztą, jak Władysław Laskonogi nie mieli po co jechać do Rzymu; wiedzieli, że sobór zajmie się z pew-

[1]) P. Wiesener, Gesch. d. christl. Kirche in Pommern z. Wendenzeit, Berlin, 1889, str. 192.

[2]) Por. KDWPol. I, nr. 50.

[3]) Źródła przekazują wzmianki o niektórych tylko monarchach, zaproszonych na sobór, ale na ich podstawie wnosimy o zaproszeniu wszystkich, podobnie jak i do wszystkich biskupów list konwokacyjny był wysłany. Tem więcej czujemy się upoważnieni do wyprowadzenia takiego wniosku, że między przechowanemi wzmiankami figurują nazwiska królów: szwedzkiego, norweskiego i innych mniejszych — Migne, l. c. kol. 826. Nie widzimy powodu, dla którego papież miałby jednych panujących zapraszać, a drugich pomijać. Nadto wiemy o udziale na soborze nawet przedstawicieli miast, oraz takich monarchów, o których zaproszeniu żadne źródło bezpośrednio nie świadczy (n. p. Fryderyk II, król Anglji, król węgierski), którzy jednak zaproszenie musieli otrzymać, skoro przynajmniej reprezentantów przysłali.

[4]) Burchardi Urspergensis Chronicon, Script. rer. germ. in us. scholarum, 1916, str. 111 i n.

nością i uzurpacjami w rodzaju tych, które popełniali, a zatem udział w soborze zagrodziłby tylko drogę ich dążeniom.

Przyjechał arcybiskup z towarzyszami do Rzymu prawdopodobnie na krótko przed samym rozpoczęciem obrad głównych. Wnosimy o tem stąd, że ważna sprawa przywileju książąt, który specjalnie dla zatwierdzenia papieskiego, a może i dla szlachetnego poszczycenia się nim wobec zgromadzonych ojców przywiózł, znalazła załatwienie dopiero 29 grudnia 1215 r., miesiąc prawie po zamknięciu ostatniej sesji plenarnej. Papież w dniu tym, listem do arcybiskupa i sufraganów jego, na ich prośbę zatwierdził i sankcją apostolską umocnił przywilej książęcy, dla nadania zaś większej powagi aktowi umieścił go dosłownie w potwierdzającym liście swoim.[1]) Sądzimy, że gdyby był wcześniej arcybiskup w Kurji z przywilejem się stawił, toby i zatwierdzenie było wcześniej wydane.

* * *

Jeszcze nigdy Rzym ani wogóle świat chrześcijański nie oglądał tak wielkiego zjazdu najznakomitszych dostojników duchownych i świeckich, jak w czasie IV soboru Lateraneńskiego. Wprawdzie nie wszyscy mogli stawić się na wezwanie papieskie, i pomimo surowego nakazu, żeby w każdej prowincji co najwyżej dwóch zostało biskupów, z wielu miejscowości tylko niektórzy przybyli, niemniej jednak aż 412 biskupów, w tem 71 samych prymasów i metropolitów, i przeszło 800 opatów i przełożonych zakonnych ze wszystkich ziem zachodniego i z pewnych części wschodniego chrześcijaństwa wzięło osobisty udział w obradach. Wielu wytłómaczyło nieobecność swoją, czy też podwładnych swoich.[2]) Liczba tych, którzy przyjechali w charakterze prokuratorów nieobecnych hierarchów i przedstawicieli kapituł „nie dawała się obrachować dokładnie".[3])

Między obecnymi, prócz Polaków, byli wszyscy kardynałowie kurjalni, patrjarcha łaciński Konstantynopola, pa-

[1]) KDWPol. I, nr. 85. Przywilej ten był zatwierdzony później i przez Honorjusza III — KDWPol. I, 114.

[2]) Hefele-Leclerq, l. c., str. 1318 i n.

[3]) Luchaire, l. c., str. 9.

trjarcha Jerozolimy, prymas zjednoczonych Maronitów, arcybiskupi i biskupi włoscy, niemieccy, francuscy, hiszpańscy i portugalscy, angielscy, szkoccy i irlandzcy, węgierscy i dalmaccy, sycylijscy, sardyńscy i korsykańscy, biskupi cesarstwa Łacińskiego na Wschodzie, Cypru, Palestyny i Syrji łacińskiej. Prócz duchownych było i wielu bardzo świeckich, przedstawicieli różnych władz, nietylko monarchów niezależnych, których wyżej podaliśmy,[1]) ale i książąt lennych, a nawet pomniejszych panów, baronów i hrabiów, mających różne procesy kościelne, zainteresowanych w obradach, a nawet i przedstawicieli municypjów. Słowem, wszystkie stany, wszystke kraje i wszystkie warstwy, odgrywające jakąkolwiek rolę w ówczesnem życiu chrześcijaństwa miały swoich reprezentantów na soborze.[2])

List konwokacyjny papieski, aby nie narażać nikogo na nadmierne wydatki, zastrzegał się, żeby biskupi w jak najskromniejszem otoczeniu przybywali na sobór.[3]) Niemniej jednak wszyscy obecni starali się w miarę tego, jak im środki pozwalały, rozwinąć jak największy przepych dookoła siebie. Mówią o biskupie z Liège, Hugonie, który z osobą dostojnego prałata łączył tytuł książęcy i hrabiowski zarazem, i był jednym z potężniejszych feodałów, że jednego dnia stawił się na obrady w stroju hrabiego, w płaszczu, tunice szkarłatnej i w kapeluszu zielonym na głowie, drugiego dnia przybył, jako książę, w okryciu z szerokiemi rękawami, zielonego koloru, i dopiero dnia trzeciego wystąpił w mitrze i szatach biskupich.[4]) To znowa o byłym podkomorzym papieskim, opacie benedyktynów z Monte Cassino, Stefanie, pisze kronikarz opactwa, Ryszard z San Germano, że razem z dworem swoim pozostawał w Rzymie przez cały listopad i większą część grudnia i przez cały czas nietylko

---

[1]) Str. 11.

[2]) Luchaire, l. c., str. 10.

[3]) Papież każe się stosować pod tym względem do norm, przepisanych przez sobór Lateraneński III z r. 1179, a nawet obniża je, o ile można. Możemy sobie wyobrazić, jak w praktyce skromność ta wyglądała, kiedy kanon IV soboru Later., miarkując nadużycia odnośne, pozwala arcybiskupowi wieść ze sobą co najwyżej 40—50 koni. P. niżej.

[4]) Luchaire, l. c., str. 13.

ponosił wszystkie koszta utrzymania swego dworu, ale miał zawsze stół gotowy dla wszystkich obcych, którzy go odwiedzali. [1])

Przypuszczamy, że i arcybiskup polski, który przy całej ideowości i ofiarności swojej, lubił pewną wystawność zewnętrzną, [2]) chociaż dochody skutkiem dwukrotnie prowadzonej ostrej walki z Laskonogim miał mocno uszczuplone, tak że nie stać go było na zbyt szerokie giesty pańskie, to jednak również starał się nie wydawać gorszym od innych. Mamy notatkę, ujętą w formę skargi na arcybiskupa, że, udając się na sobór, od jednego z sufraganów, których zostawił w kraju, wymusił sto grzywien daniny. [3]) Była to oczywiście prawnie zarządzona — niechybnie na synodzie wolborskim — opłata, pobrana dla pokrycia kosztów podróży i utrzymania w Rzymie. Arcybiskup nałożył ją, wychodząc ze słusznej zasady, że cały Kościół polski w jednakowej mierze, choć w różny sposób, winien ponieść ciężary soborowe; wziął ją zaś w myśli tem godniejszego reprezentowania swojej prowincji. Tem bardziej musiał dbać o jak największy splendor otoczenia swego, że był to, jak się zdaje, pierwszy wobec szerokiego świata publiczny występ *in gremio* naszego episkopatu.

Jak wielką wagę przywiązywano do soboru dowiadujemy się z licznych zapisków współczesnych; prawie wszystkie kroniki mówią o nim, jako o wypadku najdonioślejszego znaczenia. Historycy zaś i dzisiaj jeszcze słusznie twierdzić mogą, że sobór ów był największym triumfem Innocentego III, najświetniejszym objawem wielkiego autorytetu, którym papież ten osobiście się cieszył, najlepszym wyrazem, będącej wówczas prawie u szczytu, średniowiecznej wszechwładzy papiestwa wogóle. [4])

---

[1]) Jak wyżej, str. 15.

[2]) KDWPol. I, nr. 102.

[3]) Tamże.

[4]) Z literatury dzisiejszej najobszerniej i najdokładniej omawia sobór Luchaire, j. w.—Hefele-Leclercq, l. c., str. 1316—1398 daje spis uchwał soborowych, poprzedzony krótkim wstępem i wyjaśnieniem końcowem. Ze źródeł najlepsze wiadomości o soborze daje kronika Włocha, notarjusza Fryderyka II, Ryszarda z San Germano, który był oso-

Warto jest przypatrzeć się bliżej przebiegowi soboru, miał bowiem być na dłuższy czas regulatorem głównym i gwiazdą przewodnią naszego życia kościelnego.

Sesyj głównych, uroczystych, na których wygłoszono zasadnicze przemówienia i odczytano uchwały, było trzy: 11, 20 i 30 listopada. Poprzedzały je, w międzyczasie się odbywały i następowały po nich liczne sesje pomniejsze — załatwiające jednak ostatecznie bardzo nieraz ważne sprawy — prawie wszystkie przy współudziale osobistym papieża. Obradom towarzyszyły prace przygotowawcze różnych komisyj.

Sesje główne odbywały się w bazylice Zbawiciela, dzisiejszej św. Jana na Lateranie, wskutek czego i sobór otrzymał nazwę Lateraneńskiego. Bazylika pomimo dużych rozmiarów swoich z trudem mieściła napływ tak wielki ludzi; liczba obecnych na posiedzeniach ogólnych miała być taka, że kilku biskupów w tłoku zostało uduszonych i stratowanych przez tłumy.[1])

Sesję pierwszą, w dzień św. Marcina wyznawcy, zagaił papież dłuższem przemówieniem programowem. Zaczął od słów Chrystusowych w Ewangelji św. Łukasza: *Desiderio desideravi hoc pascha manducare vobiscum antequam patiar*,[2]) i wskazał na trojaką paschę, której pragnie: cielesną, czyli przejście fizyczne do Ziemi świętej dla jej uwolnienia, duchową, czyli przemianę jednego stanu na drugi, przejście do reformy Kościoła, i wieczną, czyli przejście, przygotowanie wszystkich do chwały niebieskiej.

Co do Ziemi świętej hańbą jest i wstydem dla chrześcijan, że pozostaje jeszcze w rękach niewiernych. Jeżeli więc sobór uzna za właściwe, papież sam osobiście gotów jest pójść przed królów i książąt, aby ich skłonić do krucjaty. Ale w pierwszym rzędzie wszystek kler musi się oddać lepiej dla tej świętej sprawy, przykład dawać innym, nie oszczędzać ani siebie, ani swego majątku.

Co do reformy — ta jest konieczna, albowiem niemasz

---

biście na koncyljum i, jako świadek naoczny, doskonały obserwator, opisał godniejsze uwagi szczegóły — p. Riccardi de Sancto Germano Chronica priora, ed. Gaudenzi, Napoli 1888.

[1]) Luchaire, l. c., str. 7 i nn.

[2]) Luc., XXII, 15.

większego zła na świecie, jak zepsucie duchowieństwa. Stąd pochodzi wszelkie inne zło, ponieważ, „gdy kler grzeszy, kler, który otrzymał namaszczenie pańskie, to lud czyż nie będzie więcej jeszcze upadał"? Z grzechów kleru „powstaje umniejszenie wiary, bezbożność, utrata wolności należytej, deptanie sprawiedliwości, skłonność do sekciarstwa i powodzenie herezyj, rozłamy różne, coraz bardziej szkodliwe, panoszenie się zdrady, zwycięstwa mahometan." Trzeba więc oddzielać tych, co chcą być dobrymi, piętnem krzyża znacząc, wiązać ich ściślej z sobą i karcić najsurowiej wszystkiemi sposobami występki. Arcybiskup polski w tej części alokucji znalazł jakgdyby przegląd i aprobatę własnej taktyki.

Punkt trzeci, dotyczący przejścia wiecznego, był ascetyczną koroną przemówienia. Papież wzywa w nim, aby wszyscy byli gotowi na to przejście i wyraża pragnienie, aby zarówno dla niego jak i dla zebranych ojców szczęśliwie się odbyło. [1])

Przemówienie całe miało być niejako uzupełnieniem i rozwinięciem dalszem programu prac soborowych, zakreślonego w liście konwokacyjnym. Charakterystyczny przytem jest punkt widzenia papieski, który był i arcybiskupa punktem, że, jeśli idzie o naprawę Kościoła, to źródłem jej i początkiem winna być naprawa duchowieństwa.

* * *

Uchwały końcowe soboru przechowały się ujęte w formę siedmdziesięciu kanonów [2]) i jednego specjalnego dekretu w sprawie Ziemi Świętej. Podamy je nie kolejno, lecz w porządku logicznym, uwzględniając szerzej nieco te, które i dla Polski w ówczesnych stosunkach mogły mieć zastosowanie aktualne.

Zaczniemy od dekretu jerozolimskiego. [3])

Papież wyznaczył termin 1 czerwca 1217 r., w którym wszyscy, którzy będą chcieli wyprawić się do Ziemi Świętej

[1]) Krótkie streszczenia przemówienia tego podają: Hefele-Leclercq, l. c., str. 1321 i nn., i Luchaire, l. c. str. 18 i nn.

[2]) Hefele-Leclercq, l. c., str. 1324—1388.

[3]) T. zw. Expeditio pro secuperanda terra sancta, Hefele-Leclercq, l. c., str. 1390—1395.

morzem, mają stanąć w jednym z portów południowych królestwa Sycylji, dokąd i papież przybędzie dla zorganizowania armji, i dania jej błogosławieństwa na krucjatę. Ci, którzy będą woleli iść drogą lądową, mają być na ten sam dzień gotowi i powiadomić papieża, aby mógł wysłać do nich swego legata *a latere*.

Zadaniem kleru w zebranem wojsku krzyżowem będzie upominać, aby wszyscy prowadzili życie bogobojne i jak najskromniejsze, unikali rozrzutności, swarów wszelkich i zawiści. Duchowni uczestnicy wyprawy będą mogli w ciągu trzech lat zachować beneficja swoje, jak gdyby wcale ich nie opuszczali. Zadaniem przełożonych kościelnych będzie czuwać w diecezjach poszczególnych, aby wszyscy, którzy przyjęli krzyż, dopełnili obowiązku krucjaty, opieszałych zaś nawet ekskomuniką i interdyktem karać. Tylko Stolica Apostolska będzie mogła w razie nagłej potrzeby ślub krucjaty zamienić na inny dobry uczynek, albo odłożyć jego wykonanie.

Wyprawa była obliczona na trzy lata. W celu zachęcenia do jak najliczniejszego w niej udziału wszyscy biskupi i duszpasterze mają głosić ją ustawicznie podległym sobie wiernym, zaklinając królów, książąt i panów, a nawet gminy miejskie i wiejskie: jeżeli ktoś nie może pójść osobiście na wyprawę, to niech przynajmniej odpowiednią ilość zbrojnych za siebie wystawi i przez trzy lata utrzymuje.

Zachęca dalej papież do łożenia kosztów na krucjatę. Sam z własnych oszczędności swoich, prócz tego, co już w związku z wyprawą wyłożył, ofiaruje 30.000 liwr, nadto dla krzyżowców z Rzymu i okolicy obiecuje wystawić okręt i dać 3.000 grzywien srebra, które mu z jałmużn pozostały.

I nie dosyć na tem, bo obiecuje jeszcze stale dawać aż do końca krucjaty dziesiątą część dochodów swoich; kardynałów do tego samego zniewala, na wszystkich innych zaś duchownych nakłada podatek płacenia stałego przez trzy lata dwudziestej części dochodów. Sumienne wypełnianie tego obowiązku ciążyć będzie pod ekskomuniką, a będą wolne od niego tylko pewne zakony i ci z duchownych, którzy osobisty wezmą udział w krucjacie.

Dla zachęcenia do wyprawy postanawia papież, że

krzyżowcy wszyscy na cały czas nieobecności swojej, aż do powrotu z krucjaty, albo nadejścia wiadomości o ich zgonie, będą wyjęci z pod obowiązku składania jakichkolwiek kolekt, opłat, czy należności, osoby ich i majątki będą cieszyły się specjalnym przywilejem opieki św. Piotra — rzeczą przełożonych kościelnych będzie czuwać nad jej wykonaniem. Zarządzenie to i następne skutkami swemi głęboko wnikało w stosunki ekonomiczne ówczesnego społeczeństwa, miało zaś znaczenie i dla Polski, albowiem i Polska zobowiązała się na soborze Lateraneńskim IV pójść do Ziemi Świętej;[1]) miała zresztą pod bokiem swoim, od północy i od północnego wschodu pogan, z którymi czekała ją przeprawa krzyżowa, podlegająca takim samym, a przynajmniej podobnym warunkom, względnie łaskom i przywilejom, co krucjata do Grobu Chrystusowego.

Wszelkie długi, ciążące na krzyżowcach, ulegają zawieszeniu. Ani Żydzi, ani inni lichwiarze nie mają prawa ściągać od nich żadnych procentów, choćby te ostatnie przysięgą ze strony dłużników były zabezpieczone. Władze świeckie mają prawo i obowiązek czuwania pod tym względem i karania za nadużycia. W razie, gdyby lichwiarze pobrali już jakie procenty, obowiązani są do ich zwrotu, albo też procenty czy dochody, z zastawionych przedmiotów pobrane, będą się wliczały na umorzenie sumy pożyczonej. Hierarchowie kościelni mają dopilnować, żeby żadna krzywda ani majątki krzyżowców, ani ich rodziny nie spotkała — jeśli tego nie uczynią sami podlegną karze.

Bierze dalej papież krzyżowców w obronę przeciwko korsarzom i ich wspólnikom, ustanawia kary najostrzejsze, aż do konfiskaty dóbr i utraty wolności na chrześcijan, którzyby radą, pracą, lub doświadczeniem swojem służyli Saracenom, albo im broni, żelaza, lub materjałów drzewnych dostarczali. Wogóle na cały przeciąg czterech lat od wydania dekretu nie wolno jest pod karą wyklęcia posyłać okrętów na wschód do Saracenów, ani prowadzić z nimi handlu. Tak samo zabronił papież wszelkich turniejów i wogóle wszystkiego, co może dzieło krucjaty tamować.

[1]) Wnosimy o tem z listu papieża Honorjusza III, KDWPol. I, nr. 92.

Ważne bardzo są końcowe przepisy dekretu, dotyczące pokoju w stanach chrześcijańskich i dla tego dosłownie je przytoczymy: „Ponieważ dla pomyślnego wykonania przedsięwzięcia koniecznie potrzeba *(permaxime necessarium)*, aby panowie ludu chrześcijańskiego pokój nawzajem zachowywali, ustanawiamy na soborze tym powszechnym, aby przynajmniej w ciągu czterech lat najbliższych był zachowywany na całym świecie chrześcijańskim pokój powszechny. Przełożeni kościołów mają wszystkich, toczących jakiekolwiek spory, przynaglać usilnie do zupełnej zgody, albo przynajmniej stałe zawieszenie broni *(firmam treugam inviolabiliter observandam)* między nimi zaprowadzać. Jeśliby zaś którzy nie chcieli się temu poddać, zapomocą ekskomuniki, a niekiedy i interdyktu należy ich skłaniać, chyba że takąby ktoś drugiemu wyrządził krzywdę, iż nie wolno byłoby jej nie pomścić. Gdyby zaś i cenzury kościelne zlekceważyli, niechaj się lękają, że ich jako szkodników sprawy krzyżowej siłą oręża do posłuszeństwa zmusimy." [1])

* * *

Już z listu konwokacyjnego wnioskować możemy, jak bardzo szeroko pojmował Innocenty III reformę Kościoła. [2]) Zadaniem jej było zaprowadzenie w chrześcijaństwie pokoju w najogólniejszem tego słowa znaczeniu: pokoju religijnego i wyznaniowego, pokoju w stosunkach międzynarodowych i państwowo-kościelnych, pokoju w życiu wewnętrznem i w organizacji Kościoła, pokoju w sumieniach ludzkich — *pax Christi in regno Christi* — powiedzielibyśmy słowy dzisiejszego, współczesnego nam papieża. Wszystkie siedmdziesiąt kanonów soborowych ku pokojowi temu zmierzały. [3])

---

[1]) Hefele-Leclercq, l. c., str. 1394, Odnośnie do dekretu całego zauważyć musimy, że dekret ten, zarządzający, jakgdyby „exodus" wielki Europy do Azji, a zwłaszcza zarządzenia pokojowe w rzędzie tylko pięknych mrzonek pozostały.

[2]) Patrz wyżej, str. 1.

[3]) Język i styl kanonów, częste cytaty z Pisma św., w czem lubował się Innocenty III, wskazują, że wiele kanonów, a może i wszystkie, bezpośrednio z pod jego ręki wyszły. Por. kanony: 10, 22, 32, 33, 42, 50, 54, 70 oraz Dekret Jerozolimski.

Zaczynają się więc kanony wykładem wiary katolickiej, skierowanym przeciwko panoszącej się coraz bardziej na Zachodzie herezji Katarów i Waldensów [1]) oraz błędnej nauce o Trójcy Świętej, opata kalabryjskiego, Joachima da Fiore. [2]) Szło o to, aby wszyscy wierni wiedzieli dokładnie, w co wierzyć należy, i jak najmocniej przy jedności wiary trwali.

Daje później sobór szereg szczegółowych przepisów, dotyczących postępowania z heretykami [3]) i współżycia z katolikami wyznania wschodniego, [4]) ustala porządek patrjarchów wschodnich, żeby nie było żadnych już na ten temat sporów, i określa przywileje patrjarchów oraz kompetencje ich w stosunku do podwładnego im episkopatu. [5])

Sprawy te dla biskupów polskich posiadały mniejsze znaczenie. Więcej zato zainteresować ich musiała rozpatrywana na soborze sprawa zdegradowanego przez Stolicę Apostolską ekscesarza, Ottona Brunświckiego. Pełnomocnik Ottonowy zaakcentował posłuszeństwo niezłomne swego pana względem Kościoła i żądał przywrócenia go na tron cesarski. Żądania te zwalczał margrabia Wilhelm z Montferratu, jeden z bardziej zagorzałych przeciwników Ottona.

Dla sześciu powodów nie można go przywrócić: złamał bowiem przysięgę, daną Rzymowi, dotychczas jeszcze nie oddał dóbr, z powodu zagarnięcia których został ekskomunikowany, bronił i opieką swoją zasłaniał pewnego biskupa deponowanego, kazał wtrącić legata papieskiego do więzienia, spółzawodnika swego, króla Fryderyka II, nazywał „królem klechów", chcąc w ten sposób okazać wzgardę dla rzymskiego Kościoła, i wkońcu klasztor pewien panien zamienił w fortecę.

Dnia 30 listopada, na ostatniej sesji uroczystej, sprawa była zakończona przegrana Ottona i potwierdzeniem elekcji młodego Fryderyka II. [6])

Ważną również była sprawa prymasa Anglji, kantuaryj-

---

[1]) Kanon 1.
[2]) Kanon 2.
[3]) Kanon 3.
[4]) Kanon 4.
[5]) Kanon 5.
[6]) Hefele-Leclercq, l. c., str. 1319.

skiego arcybiskupa, Stefana Langtona. Oskarżył go przez wysłańców swoich król angielski, Jan bez Ziemi, będący podówczas lennikiem Stolicy Apostolskiej. W walce mianowicie, która się toczyła między królem a magnatami angielskimi, arcybiskup Langton, niegdyś przyjaciel i protegowany Innocentego III, stanął po stronie tych ostatnich i nie zastosował się do decyzji papieskiej, nakazującej mu wziąć w obronę prawa monarsze. Spotkała go za to suspensa, rzucona przez komisarzy papieskich. Ponieważ Langton, powołany przed trybunał soborowy, nie umiał usprawiedliwić postępowania swojego, papież suspensę zatwierdził, niełaskę zaś swoją względem Langtona posunął tak dalece, że zniósł nawet świeżo dokonaną elekcję brata jego na arcybiskupstwo Jorkskie, polecając kapitule wybrać na poczekaniu innego kandydata.[1])

W sprawie tej miał episkopat polski dowód, że Stolica Apostolska w sporach między hierarchami kościelnymi a władzą świecką tam tylko i o tyle popiera hierarchów, gdzie i o ile pretensje ich są uzasadnione, występuje zaś surowo przeciwko hierarchom, o ile nadużywają kompetencyj swoich, albo nie na uświęconych prawach się opierają.

Jeszcze na kilka tygodni przed sprawą Langtona wytoczył przed ojcami soboru arcybiskup Toleda, Rodrigo Ximenes, spór o swoje prawa prymasowskie nad arcybiskupami Bragi, Compostelli, Tarragony i Narbonny. Spór ten był o tyle ciekawy, że Ximenes, prócz przemówień po łacinie, dawał jeszcze wyjaśnienia pewne i główniejszą argumentację powtarzał w pięciu innych językach: francuskim, niemieckim, angielskim, nawarskim[2]) i hiszpańskim. Chciał w ten sposób być zrozumianym i przez wszystkich laików, obecnych na soborze. Słuchaczom zaimponowała ta łatwość mówienia, to też twierdzili, że od czasów apostolskich nie widziano takiego daru języków.[3])

Nie bez interesu także, oczywiście teoretycznego raczej, była dla delegacji polskiej sprawa znanego poplecznika Albigensów, hrabiego Rajmunda z Tuluzy oraz kilku przyja-

[1]) Tamże, str. 1320 i n.

[2]) Dialekt Basków.

[3]) Hefele-Leclercq, l. c., str. 1319 i n.

ciół jego, którzy przybyli ze skargą na wodza wojsk krzyżowych, Szymona z Monfortu, że im nie chce wydać ziem ich, zagarniętych w wojnie, pomimo iż Stolica Apostolska zwolniła ich od cenzur kościelnych. W obronie hrabiego Tuluzy wystąpiło wielu kardynałów i biskupów. Przeciwko Rajmundowi przemawiał biskup jego miasta, Fulko, a chociaż zarzucono Fulkonowi stronniczość i kierowanie się namiętną nienawiścią, chociaż sam papież zdradzał jak gdyby lęk pewien, żeby skarżącym się nie wyrządzić krzywdy, to jednak sobór zadecydował pozbawić Rajmunda wszystkich dóbr, przekazać je częściowo krzyżowcom, częściowo zachować pod zarządem kościelnym dla syna hrabiowskiego, gdy dojdzie do pełnoletności i okaże się godnym panowania, samego zaś Rajmunda skazać na pokutę i wygnanie z pensją roczną 400 grzywien.[1]) Słusznie zauważono, że decyzja ta była o wiele radykalniejsza od aktu depozycji Ottona IV, tam bowiem pozbawiono tylko godności cesarza, tutaj zaś odebrano prawa, po ojcu odziedziczone, dokonano rozbioru państwa, którego władca szkodził Kościołowi, usankcjonowano fakt podboju, dokonany przez krzyżowców.[2]).

* * *

Cały szereg kanonów poświęca sobór naprawie życia i obyczajów kleru. Wszystkie kanony te były wywołane potrzebą chwili, według relacyj o stanie kleru, nadesłanych z różnych prowincyj w ciągu okresu przygotowawczego.

Najprzód więc ogólnie odpowiedzialnymi za nadużycia wszelkie robi sobór przełożonych kościelnych, którym daje prawo stosowania kar i zarządzania odnośnych dekretów bez względu na panujące zwyczaje i bezapelacyjnie, z tem jednak, żeby formy prawne i zasady sprawiedliwości były zachowywane.

Kapituły katedralne, jeśli wymierzają kary jakie za występki członkom swoim, powinny czynić to zawsze w terminie przez biskupa przepisanym. W przeciwnym razie prawo karania przejdzie na tego ostatniego. W razie sporu kanoni-

---

[1]) Tamże, str. 1395 i n.

[2]) Tamże, str. 1396, przyp. 1.

ków z biskupem, choćby kapituła, czyniąc naprzekór biskupowi, zawiesiła nabożeństwa, biskup ma prawo odprawiać w dalszym ciągu służbę Bożą w katedrze, właściwy zaś metropolita nie omieszka na żądanie biskupa stosownemi karami powściągnąć nieposłuszną kapitułę. [1])

Omawia potem sobór poszczególne częstsze przewinienia kleru.

Należy stosować jak najściślej przepisy wszystkie przeciw rozwiązłości i nie zaniedbywać ich. Duchowny, któryby, pomimo cenzury za rozwiązłość, odważył się odprawiać nabożeństwo, utraci beneficjum swoje i podlegnie wieczystej depozycji. Taka sama kara spotka przełożonych, którzyby, zwłaszcza za pieniądze, albo inną korzyścią materjalną powodowani, tolerowali duchownych, łamiących cenzurę. Duchowni obrządków wschodnich, żonaci, podlegną cięższym jeszcze za rozwiązłość karom. [2])

Trzeba też stanowczo zmienić haniebną praktykę, która, niestety, do zbyt wielu kościołów się dostała — a nawiasem mówiąc, i w Polsce wyrządzała dużo szkody — że synowie nielegalni kanoników otrzymują kanonje przy kościołach, przy których kanonikami są ojcowie. Wszelkie podobne udzielanie godności ma być nieważne, udzielający zaś utracą korzystanie z beneficjów własnych. [3])

Pod karą suspensy *a beneficio vel officio* nie wolno oddawać się pijaństwu, matce rozwiązłości. Celem uniknięcia pijaństwa należy znieść panujący w niektórych krajach zwyczaj zachęcania się wzajemnego do picia przez zakłady, kto najwięcej kielichów wychyli. [4]) Zakazuje też sobór duchownym wszelkiego rodzaju myślistwa i dla tego zabrania nawet hodowli psów łowieckich i ptaków. [5])

Nie powinni duchowni przyjmować żadnych stanowisk świeckich, ani prowadzić handlu, zwłaszcza jeśli to pociąga za sobą nieuczciwość jakąkolwiek. Mają unikać igrzysk wszel-

---

[1]) Kanon 7.

[2]) Kanon 14.

[3]) Kan. 31. Por. list papieski do biskupów polskich z dn. 8 stycznia 1207 r. — KDWPol. I. nr. 55.

[4]) Kanon 15.

[5]) Tamże.

kich i widowisk publicznych, powstrzymywać się od gry w kości; w oberży mogą się pokazywać tylko w razie konieczności, w podróży. Mają nosić zawsze tonsurę i ćwiczyć się w praktykach pobożnych. Strój ich winien być skromny, niezbyt krótki, ani długi;[1]) unikać będą sukien czerwonych lub zielonych, haftowanych rękawic, trzewików pretensjonalnie śpiczastych, kosztownych rzędów końskich, uzd i ostróg złoconych. W tym samym kanonie przepisuje sobór szczegółowo szaty właściwe dla służby Bożej i słów parę mówi specjalnie o odzieży biskupów.[2])

Nietylko kler niższy, ale i niektórzy dygnitarze kościelni mają zwyczaj spędzać czas do późna w nocy na ucztach wytwornych, albo próżnych gawędach, rano potem zaniedbują modłów kapłańskich i mszy świętej. Niektórzy zaledwie cztery razy do roku odprawiają mszę, a co gorsza, nie starają się nawet jej wysłuchiwać, kiedy trzeba, i gdy czasem są obecni na mszy, to zamiast modlitwy i skupienia wdają się w pogawędki ze świeckimi. Sobór postanawia karę suspensy na takich duchownych i nakazuje surowo, aby modły kapłańskie we właściwej porze i sumiennie się odbywały.[3])

Dbając o łagodność charakteru kapłańskiego, ustala sobór, że żaden duchowny nie może brać najmniejszego nawet udziału w ferowaniu albo wykonywaniu wyroku śmierci — nawet dokumentów, zmierzających ku wyrokowi temu, nie wolno jest duchownym pisać lub układać; czynności te w trybunałach świeckich winny być powierzane zawsze pisarzom świeckim. Tem więcej nie wolno duchownemu być przełożonym katów, czy pachołków katowskich i wogóle ludzi mających do czynienia z przelewem krwi ludzkiej.[4]) Nie wolno też majorystom sprawować funkcyj

[1]) Prawdopodobnie mowa tu o zbytkownych trenach.

[2]) Kanon 16.

[3]) Kanon 17.

[4]) Tekst łaciński brzmi: „Nullus quoque clericus rottariis, aut balistariis, aut hujusmodi viris sanguinum praeponatur". — Hefele-Leclerq, l. c., str. 1348, wyraz *rottarii* tłómaczy przez *„ruptarii,* bandes de pillards composées surtout de paysans". Tłómaczenie takie w zasadzie jest możliwe, tem bardziej, że w wielu krajach duchowni faktycznie brali udział w bandach łupieżczych, a niekiedy robili się nawet ich przywód-

chirurgicznych, ani udzielać błogosławieństw jakichkolwiek z racji sądów bożych, które sobór potępia, i łącznie z tem przypomina ogólnie i potwierdza wszystkie dawniejsze przepisy kościelne, dotyczące pojedynku. [1])

Specjalną i troskliwą uwagę zwraca sobór na bezinteresowność kleru i wyzbycie się wszelkich choćby pozorów chciwości; chciałby, żeby nikt najmniejszego nawet zarzutu pod tym względem nie mógł klerowi uczynić, nadużycia bowiem wszelkie, na chciwości oparte, najwięcej drażnią lud wierny i pozbawiają Kościół błogosławionego wpływu, który powinien wywierać. Często więc i przy różnych okolicznościach mówi sobór o nadmiernej żądzy zysku w różnych jej postaciach: niżej będziemy mieli sposobność niejednokrotnie to zauważyć.

---

cami. Czynili to nietylko duchowni niższego stopnia, ale i wyżsi. Ciekawą monografję takiego wodza bandytów, b. biskupa w Lotaryngji, w czasach właśnie soboru Later. IV, dał U l a n o w s k i („Wnuk Mieszka Starego"). W danym jednak wypadku sobór nie może mieć na myśli bandytów, zbyt łagodnie bowiem omawia owych „rottarii", a następnie instytucję ich uważa jak gdyby za dozwoloną, a tylko nie pozwala stawiać duchownych na ich czoło.

[1]) Kanon 18.

(Dokończenie nastąpi).

Ks. dr. Józef Umiński.

Od Boga, czy od małpy?

Proces w amerykańskiem miasteczku Dayton w Stanie Tennessee rozszedł się głośnem echem w jednej chwili po całym cywilizowanym świecie. W procesie tym prokurator państwa zaskarżał nauczyciela szkoły publicznej, utrzymywanej kosztem państwa, o wzbronione ustawami nauczanie w szkole teorji ewolucyjnej Darwina. W Stanach Zjednoczonych i w Anglji wywołał „małpi" proces, jak widać z prasy tamtejszej, u jednych entuzjazm, u innych wściekłość, a wreszcie u innych szyderstwo i wesołość. W każdym razie był on niespodzianką dla ogółu, jednak bliżej śledzący prądy najnowsze nie byli nim zaskoczeni. Jeszcze przecież pięć miesięcy temu, bo w Nrze z 4 kwietnia b. r. wypuszcza znane przyrodnicze pismo londyńskie *Nature*, naukowe *Times*, pierwszą ostrzegawczą rakietę, oznajmiającą niebezpieczeństwo dla darwinizmu, idące od strony Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. W artykule wstępnym, noszącym napis: „Proskrypcja darwinizmu", zwraca to pismo uwagę na okoliczność zdumiewającą, że w całym szeregu Stanów Zjednoczonych wyszły w ostatnich czasach prawa, zakazujące nauczać w szkołach darwinizmu. Dnia 23 marca — czytamy tam — gubernator stanu Tennessee podpisał ustawę, która ogłasza, że „ma być przeciwnem prawu dla jakiegokolwiek nauczyciela w jakimkolwiek z uniwersytetów, szkół normalnych i wszystkich innych szkół publicznych państwowych, które całkowicie lub częściowo są utrzymywane przez szkolne fundusze państwowe, nauczać jakiejkolwiek teorji, która przeczy historji stworzenia człowieka przez Boga, jak

tego uczy Biblja, a zamiast tego uczyć, że człowiek pochodzi od niższego rzędu zwierząt".

Prawo to stanu Tennessee, który, jak sama *Nature* wyznaje, naukowo najwyżej stoi ze wszystkich stanów południowych, nie jest czemś całkiem nowem; owszem stan Tennessee poszedł pod tym względem za przykładem pięciu innych stanów, które już poprzednio uchwaliły podobne prawa. Tak, naprzykład, państwowa komisja edukacyjna stanu Georgia postanowiła w lipcu zeszłego roku odmówić zasiłków pieniężnych jakiejkolwiek szkole lub uniwersytetowi, gdzieby nauczano ewolucji. Jeszcze pierwej ciało ustawodawcze Florydy postanowiło, że jest to „przeciwnem dobru publicznemu, by nauczyciele, płatni z podatków, nauczali jako faktu jakiejkolwiek hipotezy, która człowieka łączy węzłem krwi *(blood relationship)* z jakąkolwiek niższą formą życia". W stanie północnej Karoliny usunięto książki szkolne za to, że wprowadzały pokrewieństwo między człowiekiem a małpą. Dodać trzeba, że we wszystkich tych stanach władzę całą dzierżą w swych rękach protestanci, a katolicy są w znacznej mniejszości. W samem naprzykład miasteczku Dayton żyją tylko, jak donosi *The Universe,* trzy rodziny katolickie.

Burza więc w Ameryce przeciwko darwinizmowi i ewolucji wogóle idzie od strony ciał prawodawczych, które znowu są echem i wyrazem tych poglądów, które coraz głośniej odzywają się w społeczeństwie amerykańskiem, tak zresztą intelektualnie i cywilizacyjnie wysoko stojącem. Stąd i argumenty w tej walce zwracają się przeciwko ewolucjonizmowi, branemu tak, jak go pojmował Darwin, to jest teorji twierdzącej, że całe życie na ziemi, i jego najwyższy objaw, człowiek, powstało z sił swoistych materji martwej, przez rozwój stopniowy jednostek i gatunków.

Na czele protestantów, będących przeciwnikami teorji ewolucji, tak zwanych „fundamentalistów", stanął jeden z bądź co bądź najwybitniejszych obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn., dwukrotny kandydat do prezydentury Stanów i sekretarz stanu w gabinecie Wilsona, W. J. Bryan. Kampanję tę prowadził on już od lat kilku, i tak w roku 1921 wydał książkę p. t.: „Groźba darwinizmu

i Biblja i jej nieprzyjaciele", w rok później: „Na obraz Jego", a w r. 1924: „Czy ma chrześcijaństwo pozostać chrześcijańskiem?" Bryan, jako protestant, walczy przedewszystkiem z tak zwanym modernizmem protestanckim, prądem dziś bardzo wśród protestantów, nawet duchownych, się szerzącym i dokonywującym do reszty rozkładu wierzeń i Kościołów protestanckich. Bryan zarzuca modernizmowi protestanckiemu, że zstępuje powoli od chrystjanizmu do ateizmu, a czyni to przez przyjęcie powolne siedmiu następujących błędów: Biblja nie jest nieomylną, człowiek nie jest stworzony na obraz boży, niema cudów, Matka Boska nie była dziewicą, niema bóstwa, niema odkupienia, niema zmartwychwstania. Jak widzimy z tego zestawienia, Bryan chyba miał zupełną słuszność, twierdząc, że modernizm wiedzie — powiedzmy raczej, przywiódł — chrześcijanizm, oczywiście ten jego odłam, który jego wpływowi się poddaje, do ateizmu.

Za główny powód, dla którego modernizm ten tak się szerzy, uważa Bryan darwinizm. Sam zresztą bezimienny autor wzmiankowanego artykułu w *Nature* mówi: „Bryan ma prawdopodobnie słuszność co do tego poglądu, że darwinizm był najskuteczniejszym czynnikiem w podkopaniu wiary w literalne natchnienie Biblji". Wyznanie bardzo cenne, które warto sobie zapamiętać.

Bryan wiedział o tem, że miał słuszność, dlatego też z całą gorącością swego potężnego, prawdziwie amerykańskiego temperamentu, walczy z darwinizmem i materjalistyczną teorją ewolucji. Pokazuje w tej walce, że nie jest on bynajmniej obskurantem i fanatykiem ciemnym, jak go różni uczeni i nieuczeni przedstawiają, czego dowodem jest choćby ten fakt, że dni Genezy nie uważa on za zwykłe dnie, lecz za okresy stworzenia, jak to czynią i katoliccy egzegeci, a chociaż nie na wszystkie jego wywody można się godzić, to jednak w dziełach jego napotkać można sporo myśli i dowodów bardzo ciekawych i uderzających. „Głównym zarzutem przeciwko ewolucji — mówi on naprzykład — jest ten, że jest ona w wysokim stopniu szkodliwa dla tych, którzy ją przyjmują i usiłują do niej dostroić swój sposób myślenia". I znowu: „Darwinizm mrozi nastrój duchowy człowieka i gasi ogień religijnego zapału". Wychodząc z faktu,

cytowanego przez Fairhursta, że 85% uczniów wchodzi na uniwersytety amerykańskie chrześcijanami, a tylko 15% jest sceptyków, po roku zaś liczba sceptyków się podwaja, a po skończeniu uniwersytetu się potraja, fundamentaliści podnoszą okrzyk zgrozy, wołając, że społeczeństwo amerykańskie doszło nad sam brzeg przepaści, a przyczyną ruiny tej jest „bezbożna filozofja", która znowu opiera się na ewolucji. Stąd Bryan woła: „Ewolucja stanowi groźbę dla cywilizacji. Jest ona największą groźbą zarówno dla cywilizacji, jak i dla religji. Wiara w Boga jest podstawowym faktem w społeczeństwie, na niej opierają się wszelkie kontrolująco wpływające czynniki życia. Wszystko, co osłabia w człowieku wiarę w Boga, wystawia na niebezpieczeństwo przyszłość rasy".

Darwinizm, według Bryana, „nie jest żadną nauką, tylko zlepkiem domysłów". Jest on „nietylko bezpodstawny, ale głupi i szkodliwy dla społeczeństwa, spoczywa bowiem przecież na brutalnej nauce o przeżyciu najdzielniejszego, która zachęca do samolubstwa, jest zgubna dla ducha braterstwa i napewno prowadzi do zniszczenia kultury przez międzynarodowe i przemysłowe wojny".

Jak z tych kilku cytatów widać, Bryan i jego protestanccy stronnicy w ewolucji czyli darwinizmie — bo oni, podobnie zresztą jak i ich przeciwnicy, utożsamiają jedno z drugiem — widzą jakgdyby symbol czy syntezę materjalizmu i ateizmu, a pragnąc utrzymać się przy chrystjanizmie, który od chwili oderwania się protestantów od Kościoła katolickiego coraz więcej u nich schnie i obumiera, wypowiedzieli ewolucji walkę bezwzględną, zapamiętałą. I na takiem podłożu powstało to prawo przeciwko nauczaniu ewolucji w szkołach od państwa zawisłych.

Czy takie prawa są słuszne, a przynajmniej roztropne i pożyteczne, to znaczy prowadzące do celu, którym tu jest ochrona młodych serc i umysłów od poglądów i twierdzeń, jeżeli nie wprost materjalistycznych, a więc ateistycznych, to w każdym razie bezpośrednio prawie do materjalizmu wiodących?

Proces w Dayton jest tylko pierwszą walną bitwą w tej wojnie „fundamentalistów" przeciwko ewolucji, bitwą nie-

rozegraną właściwie, i jako taka więcej jeszcze podniecił przeciwników i rozgłos sprawy rozszerzył po całym świecie, głównie jednak anglo-saskim. Z okazji procesu Bryan wysłał do nowojorskich *Timesów* telegram następujący: „Ludność Tennessee usiłuje poprostu ochronić szkoły publiczne od ateizmu i agnostycyzmu" i taką dążność poparliby — jak słusznie utrzymuje *America* — wszyscy amerykanie, bez względu na wyznanie. Tymczasem — rzecz zdumiewająca — zarówno ustawy odnośne stanu Tennessee i innych, jak i proces w Dayton wywołał szyderstwo i sprzeciw nawet kół szczerze religijnych, teistycznych, a w kołach ateistycznych oczywiście nadto niepohamowaną wściekłość. Dyskusje zaś i artykuły na ten temat wypełniają ciągle i długo jeszcze wypełniać będą szpalty pism zarówno codziennych, politycznych, jak i naukowych i wywołują niesłychane rozna-miętnienie.

I nic dziwnego, wszak w procesie w Dayton plątają się razem, jakby w zawiłym węźle, pytania i trudności wielorakie, i to pierwszorzędnego znaczenia. By o tem się przekonać, wystarczy przytoczyć kilka najważniejszych, około których toczy się obecnie spór zawzięty na obu półkulach świata. Więc najpierw, czy prawo w Tennessee przeciwko nauczaniu w szkołach ewolucji da się pogodzić z zupełną swobodą wyznania, jaką daje każdemu obywatelowi amerykańskiemu konstytucja Stanów Zjedn. Ameryki Północnej? Dalej, czy państwo może lub nawet powinno stać ponad wszystkiemi wyznaniami? Czy Biblja da się pogodzić z teorją ewolucji i, czy państwo, względnie sąd, może o tem rozstrzygać? Jak i kiedy pogodzić się z nią nie może, czyli jak należy tłómaczyć odpowiednie miejsca Genezy, odnoszące się do stworzenia świata? Czy ewolucja jest faktem prawdziwym, czystą, prostą prawdą, zdobytą badaniami naukowemi, czy też tylko teorją lub nawet może hipotezą? Czy bez nauczania teorji ewolucji w szkołach można mimo to uczyć z należytym dla młodzieży pożytkiem nauk przyrodniczych? Czy i o ile ewolucja da się pogodzić z wiarą w Boga i zasadniczemi dogmatami chrześcijaństwa?

Jak widać odrazu, każde z tych pytań mogłoby podać materjał obfity nie tylko na artykuł, lecz nawet na

obszerną książkę, gdyby się nań chciało odpowiedzieć całkiem wszechstronnie i wyczerpująco. Ale, by sobie zdać sprawę jasno ze znaczenia i wartości każdego z poruszonych w tych pytaniach tematów i jego stosunku do religji katolickiej, wystarczy zebrać wytyczne punkta, wskazujące kierunek, do którego każde z tych pytań zmierza.

Przedewszystkiem, biorąc pod uwagę prawną stronę sprawy, uderza tu i zadziwia, przy przeglądaniu pism amerykańskich i angielskich i głosów rozmaitych ludzi, ta okoliczność, że między przeciwnikami ustawodawstwa anty-ewolucyjnego i między tymi, którzy szydzą z całego procesu i ustawodawstwa anty-ewolucyjnego i biorąc jedno i drugie raczej ze strony humorystycznej, jest bardzo wielu najpoważniejszych katolików. Takie stanowisko zajmuje naprzykład *The Universe* w Anglji lub *America* w Nowym Jorku, tygodnik katolicki, wydawany przez tamtejszych Jezuitów.

Zagadkę tę wyjaśnia ks. Blakely, Jezuita, w artykule *America* w Nrze z dnia 25 lipca b. r. Zwraca uwagę na to, że prawo odnośne, zmierzając do wykluczenia ateizmu i agnostycyzmu ze szkół publicznych, nadaje sądom państwowym władzę autorytatywnego wyjaśniania Biblji. Ponieważ zaś są rozmaite sposoby tłómaczenia na podstawie Biblji stworzenia człowieka przez Boga, o tem tedy, które z nich podlega karze państwowej, rozstrzygać ma sędzia. Występuje tu więc państwo jako tłómacz Pisma św., i to tłómacz taki, że jego sposób objaśniania obowiązuje pod karą. Zarówno konstytucja stanu Tennessee, jak i całego państwa Stanów Zjedn. Ameryki Półn. zabrania wymagania jakichkolwiek poświadczeń i dowodów religijnych od tych, którzy starają się o urząd publiczny. Tymczasem obecna ustawa anty-ewolucyjna czyni to w sposób oczywisty. Dziś prawo przepisuje tę naukę, jako zawartą w Piśmie św., jutro może przepisze inną, a zakaże jeszcze inną, jako przeciwną Biblji, i w ten sposób zniknie zupełnie wolność religijna w państwie. „Gdy państwo świeckie — mówi ks. Blakely — przywłaszcza sobie władzę dogmatyzowania, wpadamy w chaos. Usiłując siłą wmusić w nauczycieli szkół publicznych swoje tłómaczenie Biblji, prawodawstwo z Tennessee — zdaniem mojem — roz-

poczęło ruch, który, jeżeli się go nie powstrzyma, zniszczy religijną swobodę w Stanach Zjedn. Ameryki Półn."

Przytoczone tu wywody ks. Blakely objaśniają czytelnika, dlaczego wielu katolików w Ameryce stoi po stronie przeciwników Bryana i ustawodawstwa antyewolucyjnego. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej panuje najzupełniejszy rozdział Kościoła od państwa, rozdział nie taki faryzeuszowski, jaki istnieje w wielu państwach europejskich, gdzie pod rozdziałem rozumie się tylko usunięcie się państwa od obowiązków względem Kościoła, a poza tem go się zwalcza lub usiłuje użyć do swych celów. Przy systemie amerykańskim „rozdziału" Kościół katolicki w swej nigdy nieumniejszającej się żywotności wzrósł z niesłychaną szybkością i skupiwszy obok siebie piątą część najdzielniejszych obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, stał się dzisiaj najpotężniejszem rzec można filarem Kościoła katolickiego na całym świecie i ostoją katolicyzmu groźną zarówno dla masonów, jak i protestanckich jego wrogów. Tymczasem — jak pisze w innym o tej sprawie artykule ks. Parsons, Jezuita, wielu uważa Bryana za naczelnego bojownika ruchu, który zmierza do zespolenia państwa z pewną grupą Kościołów, oczywiście protestanckich. A wtedy znana nietolerencja tych wyznań i ich nienawiść do Kościoła katolickiego nie omieszkałaby całą siłą rozpocząć prześladowanie jawne lub skryte naszego Kościoła, jak osławiona klika Ku-Klux-Klan jest tego dowodem i przedsmakiem. Nic więc dziwnego, że katolicy amerykańscy boją się wyznaniowości państwa.

Nadmienić tu trzeba, że zarówno filozofja na zdrowych oparta podstawach, jak i Kościół katolicki, podobnie, jak nie może tolerować i zezwalać na bezwyznaniowość jednostki, tak też nie może godzić się na bezwyznaniowość państwa, które z jednostek się składa i dla dobra jednostek istnieje, i podobnie, jak jednostki, podlega rządom Najwyższego Boga. Chociażby jednak państwo jakieś było chrześcijańskie, a nawet nawskroś katolickie, to i tak nie może w żaden sposób mieszać się w spory czysto teologiczne, a tembardziej w nich roli sędziego sobie przywłaszczać. Jasną jest rzeczą, że państwo bezwyznaniowe tem mniej może rościć sobie

prawa do tego, jak wogóle, logicznie biorąc, nie powinno wiązać się ściślej z jakąkolwiek sektą wyznaniową.

Zamykając temi uwagami stronę prawno-społeczną całej tej sprawy, zwrócić się teraz należy do samej istotnej jej treści, to jest do wyjaśnienia znaczenia wyrazów „ewolucja" i „darwinizm" i określenia stosunku tych pojęć do wiary katolickiej. Wyjaśnienie to jest konieczne, gdyż mimo, że tyle się o tem pisze i mówi, napotyka się ciągle na niemożliwe pomieszanie pojęć i poglądów nawet u ludzi całkiem fachowo temi przedmiotami się zajmujących.

Na wstępie tedy zwrócić należy na to uwagę, że wyrazu „ewolucja" używa się raz po raz i bez należytego zastrzeżenia — i to czyni czasem ten sam człowiek w tem samem zdaniu — raz w znaczeniu postępu, rozwoju w ogólności, to znowu rozumiejąc przez nią powstanie jednych gatunków z drugich, czyli wytwarzanie się wyższych form życiowych z niższych, lub życia wogóle z materji martwej. Nie potrzeba chyba wykazywać, że dwa te znaczenia ewolucji są pojęciowo zupełnie różne. A i praktycznie przejęcie się teorją przyrodniczą ewolucji nie ma żadnego związku z postępem kulturalnym, ani też do niego nie prowadzi. Wszak bolszewizm szerzy z żarliwością teorję ewolucji przyrodniczą, o zwierzęcem pochodzeniu człowieka każe nauczać w szkołach, a nikt przecież nie nazwie bolszewizmu postępem, owszem, jest on raczej niesłychanym skokiem wstecz i bezprzykładną reakcją.

Nawet w ewolucji, wziętej z przyrodniczego stanowiska, rozróżnić trzeba samą teorję czy fakt ewolucji i sposób tłómaczenia, w jaki ewolucja w przyrodzie się dokonywała lub dokonywa. Teorja ewolucji może rozmaite obejmować zakresy. Teorja ewolucji w najobszerniejszem znaczeniu twierdzi, że życie w swych formach najniższych powstało z materji martwej, mianowicie z jej sił własnych, swoistych, bez współudziału Stwórcy, o którym ona wogóle nic wiedzieć nie chce, zaś z tych form niższych powstały kolejno formy wyższe, więc z jednokomórkowych istot istoty wielokomórkowe o coraz bardziej zróżniczkowanych tkankach i organach, z form roślinnych formy zwierzęce, coraz to więcej funkcyjnie i anatomicznie wydoskonalone, aż wreszcie w ten

sam sposób jakaś forma zwierzęca, prawdopodobnie małpa, jak twierdzi Darwin, lub jak utrzymują nowsi — jej daleki kuzyn jakiś — rozwinęła się z biegiem czasu w formę zwierzęcą *homo sapiens*, także bez współudziału jakiegokolwiek czynnika innego, prócz sił, tkwiących samorzutnie w materji. Ewolucja tak pojęta — a tak ją pojmuje dziś bardzo wielu przyrodników — jest oczywiście równoważna z najgrubszym materjalizmem i bezwarunkowo i w żaden sposób z chrystjanizmem pogodzić się nie da. Też ewolucję mieli z pewnością na myśli ustawodawcy z Tennessee, jak świadczy o tem ów telegram Bryana, przytoczony powyżej.

Można jednak pojęcie ewolucji zacieśnić w sposób rozmaity. I tak, można przyjąć, że życie nie rozwinęło się z materji nieorganicznej, lecz z jakiejś jednej komórki, której pochodzenie przyrodnika — jak niektórzy twierdzą — nie obchodzi. Może ona wyszła z ręki Stwórcy, a może przybyła na ziemię, jak twierdzili niektórzy, z jakiejś innej planety. Z tej jednej komórki rozwinęło się dalej pod wpływem sił przyrody życie w swych wyższych przejawach i kształtach, a także w końcu człowiek. Jest to teorja ewolucyjna monogenetyczna, bo z jednego początku wyprowadza cały świat żywy.

Inni znów twierdzą, że fakta, znane z nauk przyrodniczych, nie uprawniają do przyjęcia nawet tak zacieśnionej ewolucji. Badając bowiem rozmaite typy świata żywego, dostrzega się między nimi tak zasadnicze różnice, że nie można racjonalnie przypuścić, by mogły się one rozwinąć z jednego początku. Wobec tego jesteśmy zmuszeni przyjąć na początku zaistnienie większej ilości różnorodnych komórek czy zarodków życia, a z każdego z nich rozwinąłby się inny typ istot żywych. Byłyby to tak zwane typy naturalne, które niekoniecznie dokładnie nakrywaćby się musiały z rozróżnianemi obecnie w biologji typami. Niejeden gatunek, czyto żyjący, czy paleontologiczny, kopalniany, zaliczany obecnie z powodu swej budowy np. do typu owadów lub mięczaków, byłby może członkiem innego zupełnie typu, zatrzymanym albo raczej przychwyconym przez nas w formie zbliżonej do typu owadów lub mięczaków. I wielu wy-

znawców takiej ograniczonej niejako, lecz bardziej realnej teorji ewolucji powiada, że gdyby ciało ludzkie miało powstać przez ewolucję, człowiek stanowiłby jednak zupełnie odrębny typ, nie spokrewniony rozwojowo z innemi, któryby zatem musiał mieć u swego początku osobny zarodek życiowy czy pierwotną komórkę, z któregoby się mógł rozwinąć.

Jak widać odrazu, między temi dwiema teorjami ewolucji: pierwszą, to jest ogólną, obejmującą materję martwą i człowieka, nawet duszę człowieka i ową drugą, zacieśnioną wyłącznie do świata żywego — panuje zgodność tylko w tem, że wedle jednej i drugiej gatunki czy formy życiowe wyższe mogą powstawać przez rozwój cech istotnych form niższych. Poza tem jednak istnieje między obiema zasadnicza i niezmiernie ważna różnica. Pierwsza bowiem twierdzi, że w samej materji nieorganicznej tkwią jej własne, swoiste siły, takie, że podlega ona ewolucji, doprowadzającej powoli aż do wytworzenia najwyższych istot żywych, to jest do ludzi, że więc człowiek cały nie jest właściwie istotnościowo różny od materji nieorganicznej. Druga teorja, zacieśniona, utrzymuje stanowczo, że między życiem a materją nieorganiczną jest przepaść, przez którą materja ta w ewolucjach siłami własnemi nigdy przejść nie mogła, a podobna przepaść istnieje też między światem zwierzęcym a człowiekiem, przynajmniej o ile chodzi o jego część najważniejszą, intelektualną. Część ta mianowicie w przejawach swoich, któremi są poznanie i chcenie, zasadniczo różni się od podobnych objawów niższego świata żywego, który poznawać i chcieć może tylko to, co bezpośrednio podpada pod zmysły, a i wtedy te jego czynności są zupełnie różne od analogicznych czynności człowieka. Pytanie zaś, czy przyjmiemy na początku życia jeden lub więcej różnych zarodków, to znaczy, czy się przechylamy na stronę monogenetycznego rozwoju czy poligenetycznego, chociaż bardzo dla nauki ważne i teoretycznie ciekawe, znaczeniem i doniosłością ogólną nie może iść w porównanie z tymi dwoma zasadniczemi problemami, któremi są powstanie życia na ziemi i pochodzenie człowieka.

Kto ma ostatecznie rozstrzygać między temi dwiema

teorjami ewolucji i czy już jest może nawet sprawa rozstrzygnięta? Niejeden z czytelników może się zdziwi, że takie pytanie ktoś może stawiać — sprawa ewolucji jest czysto przyrodniczą, a więc oczywiście tylko od przyrodników i wyłącznie tylko od wyniku ich badań można oczekiwać ostatecznego rozsądzenia całej sprawy. I powiedzieć można, że większość przyrodników jest przekonaną, że ewolucja nie jest tylko teorją, ale faktem, stwierdzonym tyloma dowodami, że ani na chwilę nie godzi się wątpić o jej prawdziwości.

Otóż tu stanowczo zaznaczyć trzeba, że najpierw problem ewolucji bynajmniej nie jest wyłącznie problemem przyrodniczym, to jest takim, który tylko nauki przyrodnicze rozstrzygnąć mogą, lecz owszem, że nauki przyrodnicze mają w kwestjach, tyczących niektórych zakresów ewolucji, stosunkowo głos mały, mniej może znaczący od tego, który trzeba oddać w tej sprawie innym naukom. Po drugie, przypomnieć należy z całym naciskiem, że ewolucja nie jest faktem, sprawdzonym doświadczalnie, bo nikt nigdy jej jeszcze w najciaśniejszym nawet zakresie nie udowodnił ściśle żadnemi dowodami, jest ona więc tylko teorją, a może nawet tylko hypotezą.

By bliżej rozstrząsnąć twierdzenie pierwsze, że teorja ewolucji nie jest wyłącznym problemem przyrodniczym, trzeba sobie uprzytomnić, że najogólniejsza ewolucja obejmuje trzy zasadnicze zagadnienia, mianowicie powstania życia na ziemi, powstania różnych jego form, faz i gatunków, wreszcie zjawienia się na ziemi człowieka. I o ile zagadnienie drugie, to znaczy rozwój i powstanie gatunków możnaby oddać do rozstrzygnięcia wyłącznie naukom przyrodniczym, a i to nie bez pewnych zastrzeżeń, które stawia ze swej strony filozofja, o tyle zagadnienie pierwsze, powstanie życia wogóle, jest nie tylko przyrodniczem, ale należy także w równej mierze do filozofji, zagadnienie zaś trzecie, powstanie człowieka, tyle niemal musi mieć wotantów, ile jest nauk zajmujących się człowiekiem i jego czynnościami, a jest ich szereg cały, w którym nauki przyrodnicze niewielkie i to wcale poślednie zajmują miejsce. Bo nauki te mają za przedmiot tylko materjalną część człowieka, jego budowę anatomiczną,

funkcje fizjologiczne i jego stosunek do materjalnego świata — a to wszystko to dopiero cząstka i to mała istoty i działalności ludzkiej. Z podłożem tem materjalnem w sposób dziwny i tajemniczy, złączona jest część druga człowieka, wyższa, bo niematerjalna, niemniej od tamtej rzeczywista, ta właśnie, która sprawia, że człowiek nie może być zaliczony w jeden wspólny z istniejącemi gatunkami typ czy gatunek zoologiczny. Tą częścią wyższą i jej przejawami i tworami zajmuje się długi szereg nauk, takich jak nauki prawne, lingwistyczne, historja, sztuka, literatura, a przedewszystkiem i ponad wszystkie królowa nauk filozofja, jej tak specyficznie ludzkie działy, jakiemi są: logika, epistemologja, psychologja i zwłaszcza ta część filozofji, zwana teodyceą, sięgająca najwyższych szczytów, do jakich umysł ludzki wznieść tylko się może, bo do absolutu, do jego z człowiekiem stosunku, czyli do Boga i odpowiadająca na te dwa najważniejsze dla każdego poszczególnego człowieka i dla całej ludzkości pytania: skąd i po co jest człowiek na ziemi.

I jakkolwiek wspaniałe i niesłychanie ciekawe, a dla człowieka donośne są nauki przyrodnicze, z jednej strony wdzierające się w tajniki najdrobniejszej budowy materji i jej związku z energją aż poza atom do elektronu i protonu, a zwłaszcza z tem najdziwniejszem a najnowszem tworem fizyki, jakim jest tak zwane quantum czyli jakby atom energji, z drugiej zaś przeszywające i przebiegające ze zdumiewającą szybkością wszechświat od krańca do krańca i badające jego budowę, składniki i ciągłe przemiany — lub rozbierające najdrobniejszy samoistny twór życiowy — komórkę i zajmujące się z jednej strony badaniem życia aż do bytów żywych takich, których całkiem, nawet pod najsilniejszym mikroskopem, dostrzec nie można, a z drugiej owych całkowych, makroskopowych, przedziwnych, tak dla nas bezpośrednich a mimo to ciągłą tajemnicą okrytych zjawisk życiowych, jakiemi są funkcje nerwów i zmysłów, inkrety i ich ześrodkowanie do wspólnego celu, dobra organizmu— jakkolwiek to wszystko tak piękne, wielkie, głębokie, to przecież musi ustąpić przed naukami przytoczonemi wyżej, mającemi za przedmiot prawdę bezwzględną, duchową i dobra najwyższe, idealne, i piękno w życiu, w poezji lub sztuce.

A te wszystkie nauki każdemu nieuprzedzonemu umysłowi mówią jasno i ponad wszelką wątpliwość, że człowiek, przynajmniej co do swej części tej wyższej, najważniejszej, duchowej, nie mógł w żaden sposób powstać przez ewolucję ze zwierząt bezrozumnych. Przeciw zaś temu twierdzeniu owych nauk wyższych, żadna z nauk przyrodniczych nie podała dotychczas ani jednego argumentu ścisłego, a tembardziej ani jednego faktu.

I podać go nie może nigdy. Bo przypuściwszy nawet taki niedorzeczny wypadek, że przyrodnikowi jakiemuś udałoby się w oczach wszystkich pokazać i wykazać, że małpa złączywszy się uprzednio aktem rozrodczym z małpim samcem wydała na świat człowieka, a więc istotę myślącą, zapomocą mowy i innych sposobów wykazującą, że posiada idee niematerjalne, oderwane i poruszenia chcenia ku lub od przedmiotów oderwanych, pod zmysły niepodpadających— to każdy nieuprzedzony a myślący zdrowo człowiek, patrząc na ten fakt, powiedzieć musi, że jest rzeczą niemożliwą, by dziecko to od matki swej ten pierwiastek wyższy wzięło — niemożliwą z tego powodu, że ta małpia mać sama go nie ma a nikt dać tego nie może, czego nie posiada. Wnioskowalibyśmy nawet i wtedy zupełnie słusznie, że przy powstawaniu albo tworzeniu się tego dziecka małpy człowieka, musiały działać prócz ciała rodziców, inne jeszcze jakieś czynniki, niematerjalne więc nie widzialne, które jedynie mogły wlać pierwiastek niematerjalny w to dziecię zwierzęcia. Dalsze znane rozważania filozoficzne, zupełnie ścisłe, których tu oczywiście rozwijać nie będziemy, pokazują, że takim czynnikiem mógłby być tylko Stwórca najwyższy, który przez akt twórczy wlał bezpośrednio ów niematerjalny pierwiastek, zwany duszą, w noworodka — jak się to dzieje przy powstawaniu każdego człowieka.

Skoro więc te nauki wyższe, oparte na pojęciach i faktach, wziętych z przyrodoznawstwa, z całą ścisłością i pewnością dowodzą, że człowiek co do swej wyższej, niematerjalnej części przez jakąkolwiek ewolucję z materji czy to martwej, czy żywej, rozwinąć się nie mógł, a nauki przyrodnicze nigdy faktu przeciwnego ani nie pokazują, ani nigdy pokazać nie mogą, więc jest rzeczą jasną i ponad wszelką

wątpliwość pewną, że człowiek musi pochodzić nie od zwierzęcia, nie od małpy, lecz koniecznie od Boga.

Tak przynajmniej co do duszy. A co do ciała? Czy możemy twierdzić napewne, że nie zdarzył się rzeczywiście w przyrodzie przytoczony powyżej wypadek, iż jakiś gatunek małp, znalazłszy się w bardzo wyjątkowo dogodnych warunkach bytowania, rozwijał się coraz wyżej daleko ponad inne małpy i wydał samicę i samca o wyjątkowych zaletach fizycznych i psychicznych. Dwa te osobniki, złączywszy się, dały może początek istocie już bardzo do człowieka zbliżonej — to też gdy Bóg w tę istotę, gdy ona była jeszcze w łonie matki, wlał duszę — pod wpływem dziedziczności i tego niematerjalnego pierwiastka ciało noworodka rozwinęło się może tak dalece, że przybrało wszelkie cechy istotnościowe ciała ludzkiego, i w ten sposób powstał człowiek. Czy tak zdarzyć się nie mogło?

Owszem — mogło. Ale, niestety, niema znikąd najmniejszego dowodu, że tak rzeczywiście się zdarzyło. A nawet jest jeden — nie dowód, ale powiedzmy ostrożniej, szczegół, bardzo znaczący, który z każdym dniem coraz dobitniej i pewniej wskazuje na to, że tak rzeczywiście nie było. Tym niemiłym szczegółem, to tak zwany *missing link*, czyli brakujące ogniwo. Nikt z najzagorzalszych nawet materjalistycznych ewolucjonistów obecnie nie przypuszcza, a przynajmniej takiego twierdzenia głośno nie stawia, by bezpośrednim protoplastą pierwszego człowieka była którakolwiek ze znanych, czy to żyjących, czy kopalnianych małp lub tembardziej innych zwierząt. Anatomiczne różnice między małpą najwyższą a człowiekiem chociażby „najniższym" są tak wielkie, że jeżeli ciało ludzkie miało przez swobodną ewolucję wytworzyć się z ciała zwierzęcego, to musiały istnieć kiedyś jakieś dzisiaj już zaginione gatunki pośrednie między człowiekiem dzisiejszym a najwyższą małpą, będące ogniwem między jednym a drug. Tymczasem tego ogniwa dotychczas nie znaleziono.

Warstwa paleontologiczna ziemi, w której można napotkać wykopaliska, będące resztkami dawno istniejących form życiowych, jest dosyć cienka; tę warstwę przekopano i przekopują ustawicznie, czy to przy wierceniu kopalni, czy

też przy budowaniu tuneli, kolei żelaznych, dróg, regulacji rzek, wreszcie umyślnie celem badań geologicznych i paleontologicznych. Odkrywek takich i wierceń jest coraz więcej, a od lat kilkudziesięciu śledzi je i z natężoną uwagą nad niemi czuwa tysiące ludzi inteligentnych, którzy zdają sobie doskonale sprawę, o jak niesłychanie doniosłe zagadnienie tu chodzi, i że szczęśliwego znalazcę czeka niezmierna sława po całym świecie i na najdalsze wieki. Ale darmo — mimo tych wysiłków, mimo tak gorącego pożądania, prócz kilku kości „hipotetycznego małpo-ludą", o których znaczenie się między sobą uczeni spierają, niema nic. A oczywiście im dłużej i dokładniej się szuka i nie znajduje, tem większa jest obawa, że niema tego, czego się szuka, i tem większe prawdopodobieństwo, że się szuka tego, czego nikt nie zgubił. Z jakimże pietyzmem i, niestety, z jakąż ogłuszającą reklamą przyjmuje dzisiejszy świat przyrodniczy i rozgłasza każdy czerep starej czaszki, każdy odłamek kości lub zębu nawet, który jako tako mógłby służyć za podłoże wyobraźni, odtwarzającej z niego ów *missing link*, łącznik między małpą a człowiekiem.

Mimo to, chociaż znajdzie się coś, co zdaje się uprawniać do żywszych nadziei, bliższe zbadanie skamieniliny pokazuje, że jesteśmy pod tym względem ciągle tam, gdzieśmy byli dotychczas. Niedalej, naprzykład, jak przed kilku miesiącami, świat naukowy, a tem bardziej mniej naukowy, został zaalarmowany odkryciem ułamka czaszki, który z wapiennego osadu jaskiniowego, znalezionego przy Taungs, w południowej Afryce, wyłupał prof. Dart z Johannesburga, a o którym przypuszczał prawie napewno, że jest to kość, należąca do młodego, może sześcioletniego osobnika, gatunku zaginionego, pośredniego między małpą a człowiekiem, a który on nazwał dlatego „Australopithecus africanus". Zapał czcigodnego profesora dochodzi do tego stopnia, że z tego kawałka czaszki odtwarza on i rysuje całą twarz dorosłego osobnika owego gatunku, wyobrażając go sobie bardzo podobnym do człowieka o szerokich ustach, nosie całkiem płaskim, mało widocznym, niskiem czole i niemiłym wyrazie dużych oczu. Wielu uczonych jednak nie podziela bynajmniej nadziei prof. Darta co do znaczenia petryfaktu

z Taungs, a kolega jego, prof. Young, geolog, podnosi, że osad, w jakim się znajdowała czaszka, do dziś dnia jeszcze się tworzy, że nie mógł być w żadnym razie starszy ponad pliocen, a zapewne jest świeższy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa czaszka ta, zdaniem prof. Younga, została do jaskini przyniesiona z powierzchni ziemi, o czem świadczyłaby także obecność swobodnego piasku, wypełniającego szczeliny, jakie się potworzyły pomiędzy osadami wapiennemi, a który widocznie naniosła woda z powierzchni ziemi do tych szczelin się wdzierająca. W każdym razie entuzjazm, z jakim niektórzy przyjęli nowe to odkrycie prof. Darta, nie znalazł szerszego echa w świecie naukowym, nawet ewolucyjnym, a *missing link* oczekują w dalszym ciągu.

Gdy zaś do tego tak bardzo znaczącego braku owego *missing link* doda się najnowsze badania historyczne, archeologiczne i lingwistyczne, które, doszedłszy do najbardziej zamierzchłej przeszłości, zastają tam człowieka obdarzonego już wysoką kulturą ducha, chociaż nie posiadającego udoskonaleń technicznych, i które niejednokrotnie wykazują, że najdalsza przeszłość ludów, tak zwanych pierwotnych, dzisiaj znanych, rozpoczyna się na gruzach już jakiejś minionej, zapadłej w niepamięć wieków, lecz mimo to wysokiej cywilizacji, trudno naprawdę i bez uprzedzeń przypuścić, by pierwszy człowiek zjawił się na świecie jako dziecię zwierzęcia. Przyznaję się, że nieraz dawniej przechylałem się z niektórych powodów ku tej teorji zwierzęcego pochodzenia ciała ludzkiego, dziś jednak ze stanowiska czysto naukowego wydaje mi się ona wprost do przyjęcia niemożliwą i pozbawioną jakiegokolwiek rzeczowego, bezstronnego argumentu naukowego. Co zaś do pochodzenia życia na ziemi, to przed kilku laty zajmowałem się na łamach *Przeglądu* obszernie tą sprawą i tam, sądzę, każdemu nieuprzedzonemu dogmatyzmem monistycznym udowodniłem, że życie na ziemi bezwarunkowo nie mogło powstać ze sił i właściwości materji nieorganicznej, a musiało koniecznie być wywołanem osobnym aktem twórczym najwyższego początku wszechrzeczy, Boga osobowego.

Zbierając tedy to wszystko dla jaśniejszego przeglądu,

twierdzę jeszcze raz, że wyłącznie ze stanowiska nauki wynika co następuje:

1. Ewolucja pod żadnym warunkiem nie jest faktem; nikt i w żadnym wypadku dostatecznie jej nie udowodnił, jest ona i pozostaje tylko teorją naukową.

2. Ani życie na ziemi, ani człowiek co do swej części intelektualnej, duchowej, bezwarunkowo nie powstał i nie mógł powstać przez ewolucję z sił własnych materji nieorganicznej.

3. W obrębie żywego świata, począwszy od pierwszej komórki aż do najwyższego zwierzęcia, ewolucję przypuścić można, ale tylko jako hipotezę lub co najwyżej teorję, nigdy jako fakt. I tu jednak ewolucja polygenetyczna, to jest rozwój z wielu różnych zaczątków życia ma za sobą daleko więcej prawdopodobieństwa, niż ewolucja monogenetyczna, nauczająca, że cały świat żywy wraz ze wszystkiemi swemi gatunkami pochodzi przez rozwój z gatunkowo jednej komórki. Ewolucja tak pojęta, jest teorją tłómaczącą w sposób zadowalający wiele zjawisk biologicznych, które bez przyjęcia ewolucji pozostają prawie bez odpowiedzi.

4. Stojąc na stanowisku czysto naukowem, przedmiotowem, przyczem pod wyrazem „nauka" rozumie się oczywiście nietylko nauki przyrodnicze, lecz wszystkie inne przyrodzone, nie jest rzeczą wprost niemożliwą, ale niesłychanie mało prawdopodobną, by ciało ludzkie powstało przez ewolucję z ciała zwierzęcego. Dlatego bez porównania więcej danych przemawia za tem, że jak życie, tak i ciało ludzkie, powstały przez osobny akt twórczy. I chociaż to może wywołać oburzenie u wielu przyrodników i wogóle monistów, to jednak biorąc pod uwagę wyniki wszystkich nauk, odnoszące się do pierwszych początków dziejów ludzkości, ogół ludzi prawdziwie uczonych i prawdę miłujących, gdyby się nie uprzedzał dogmatyzmem monistycznym, wykluczającym istnienie osobowego Boga, stanowczoby utrzymywał, że człowiek pierwszy, nawet co do ciała, nie pochodzi od zwierząt.

Te cztery punkty są wynikiem badań czysto naukowych, rozumowych i bezstronnych, nie kierujących się żadnemi uprzedzeniami. Dla usunięcia wszelkich wątpliwości dobrze będzie odrazu i jasno porównać i zestawić z niemi stanowisko, jakie Kościół katolicki w tych kwestjach zajmuje.

1. Dogmatem jest Kościoła, że wszechświat, tak duchowy, jak i materjalny, powstał w czasie, z niczego, przez czyn stwórczy Boga, istoty nieskończenie potężnej, świadomej siebie, więc osobowej, od świata i od stworzeń zupełnie oddzielnie bytującej. Kto tego nie uznaje — jest heretykiem, do Kościoła nie należy.

2. O sposobie, w jaki Bóg stworzenia materjalne żywe do bytu powołał, czy bezpośrednio, czy też przez ewolucję jakichś zbiorów elektronów i protonów, Kościół dogmatycznie żadnego nie podaje orzeczenia.

3. Jest dogmatem, że dusza każdego człowieka otrzymuje byt przez osobny akt stwórczy Boga, więc przez ewolucję z materji bezwarunkowo powstać nie mogła i nie powstaje.

4. Co do powstania ciała pierwszego człowieka, Kościół orzeczenia dogmatycznego dotychczas nie wydał. Ogół teologów jednak, oparty na argumentach, czerpanych, jak zawsze teologji, częścią z nauki objawionej, częścią z nauk przyrodzonych, oparci nadto na zdaniu Ojców Św. i wielu najwybitniejszych katolickich uczonych, twierdzi dziś jednozgodnie, że i ciało ludzkie nie powstało przez ewolucję ze zwierząt, lecz że Bóg pierwszego człowieka całego, z ciałem i duszą, przez osobny akt stwórczy do bytu powołał. I choć dawniej bardziej mi się uśmiechała teorja, wyprowadzająca ciało ludzkie przez ewolucję ze zwierzęcia, jednak dzisiaj po dłuższych studjach nad tą kwestją, zestawiając wszystkie argumenty prawdopodobne — bo tylko takie mamy — jakie za jedną lub drugą teorją można wyciągnąć z nauk przyrodniczych, ale także i z innych, zwłaszcza z filozofji, a z drugiej strony, z teologji, jestem wewnętrznie przekonany o teorji kreacjonistycznej co do człowieka, mianowicie, że pierwszy człowiek zjawił się na świecie przez akt stwórczy Boga, odrazu jako istota dojrzała, rozwinięta we wszystkich swych władzach i dalszej ewolucji gatunkowej już nie podlegał.

Zestawienie i porównanie ze sobą tych czterech punktów, odnoszących się do wiary, z podanemi wyżej czterema punktami, które zaczerpnięte są z nauk przyrodniczych, pokazuje jasno i w sposób prosty, a widoczny dla każdego, kto bezstronnie patrzyć chce i umie, dwie rzeczy.

Pierwszą z nich jest odpowiedź na postawione na początku pytanie, czy i o ile ewolucja da się pogodzić z wiarą w Boga i dogmatami wiary katolickiej. Więc widzimy, że tam, gdzie teorja ewolucji jest prawdopodobną, to jest od początku życia aż do najwyższego zwierzęcia włącznie, nie sprzeciwia się ona w niczem ani wierze w Boga, który wszystko stworzył i dał stworzeniom moc rozwijania się coraz wyżej, do pewnych granic, ani stanowisku Kościoła, każdy więc katolik może być w tem znaczeniu ewolucjonistą. Zauważyć tylko trzeba, że jak każda teorja, tak tembardziej teorja tak niezmiernie obszerna, jaką jest teorja ewolucji, tłómacząc jedne fakta zadowalająco, napotkać musi wobec innych na wielkie trudności. Ale przyznać trzeba, że czysty kreacjonizm, który mówi, że Bóg nietylko pierwsze istoty żywe i człowieka, ale każdy gatunek tworzył oddzielnie, nastręcza większe jeszcze trudności.

Gdzie zaś teorja ewolucji jest z powodów czysto rozumowych, naukowych, wprost nieprawdopodobną, niedorzeczną nawet, to jest gdy chodzi o powstanie duszy człowieka, tam ona też jest sprzeczną z wiarą. Tak też przecież być musi i nigdy w żaden sposób zdarzyć się nie może, by jakaś prawda, zdobyta rozumem przyrodzonym, była sprzeczną z prawdą objawioną. Źródło bowiem wszelkiej prawdy, tak przyrodzonej, jak nadprzyrodzonej, jest tylko jedno, a jest niem Bóg.

A drugą rzeczą z zestawienia powyższego wynikającą jest uwidocznienie, jak niezmiernie wyższe i korzystniejsze i swobodniejsze jest stanowisko uczonego katolickiego nad stanowisko uczonego monisty. Weźmy przykład pochodzenia życia na ziemi. Cała nauka dzisiaj od czasów Pasteura przyznaje jednogłośnie i wszystkie swoje badania i poglądy na tym opiera fakcie, że życie powstać może tylko z życia, komórka tylko z komórki, ową zaś średniowieczną *generatio spontanea*, czyli samorodztwo, odrzuca się ze stanowiska nauki zupełnie. Wobec tego jednak monista nie ma sposobu wytłumaczenia, skąd życie powstało i ucieka się do takich nieprawdopodobnych wybiegów, jak ten, że dawniej samorodztwo widocznie musiało być możliwem z powodu innych warunków, albo ten, bardziej jeszcze niedorzeczny, że przez

ciągły, wielowiekowy rozwój materja nieorganiczna jednak zrodziła życie, jakgdyby coś, czego zupełnie niema, mogło powstać samo w ciągu choćby najdłuższego czasu. Gdyby takie niedorzeczne nawskróś argumenty przyjąć do nauki, to w takim razie wogóle nic badaćby nie można o przeszłości lub przyszłości, bo kto wie, jak wszystko „samo" z biegiem czasu się pozmienia. Uczony katolicki natomiast do takich nonsensów uciekać się nie potrzebuje, tylko, stojąc na stanowisku prawdziwej nauki, to jest nie wychodząc poza ścisłe fakta i logiczne dowodzenie, powie z prostotą, gdy chodzi o powstanie życia, że nauka udowadnia, iż materja martwa zrodzić go sama nie mogła, więc musiało ono powstać przez wdanie się bezpośrednio sprawcy całej przyrody, czyli przez akt twórczy Boga. A Bóg to przecież pojęcie, do którego dochodzimy tylko i wyłącznie z badania świata zewnętrznego, czyli przyrody, a więc nie może w niczem stać w sprzeczności z naukami przyrodniczemi lub ich zarówno teoretycznemi jak praktycznemi wynikami. Ta zaś okoliczność, że katolik nie może ani na chwilę przypuścić, że dusza ludzka powstała przez ewolucję z materji martwej, w niczem wolności jego badań nie ogranicza, tylko sprawia, że katolik nigdy wogóle nie może za prawdę uznać tego, co jest błędnem, chociażby nawet jeszcze rozwój nauk przyrodniczych nie doszedł do tego stopnia doskonałości, by móc wykazać, że to jest błędnem. To też więc, podobnie jak to okazało się w wielu innych wypadkach, wiara wyprzedza rozwój nauki, ale go w niczem nie krępuje. Możemy wogóle być spokojni zupełnie o to, by kiedykolwiek nauka prawdziwa stanęła w swych wynikach w sprzeczności z wiarą, nie dlatego, jak niektórzy sądzą, że zakres nauk jest zupełnie inny, niż zakres prawd wiary, bo nieraz te zakresy na siebie częściowo zachodzą, ale dlatego poprostu, że prawdy objawione są naprawdę prawdziwe, a prawda, o jednym i tym samym przedmiocie, jest tylko jedna. W rzeczach zaś wątpliwych panuje zupełna swoboda, wedle owego wielkiego, wzniosłego hasła Kościoła: *in dubiis libertas.*

Wogóle pamiętać trzeba, że uczonemu katolickiemu nigdy i pod żadnym pozorem nie wolno od prawdy jakiejkolwiek odstąpić i jej wbrew przekonaniu przeczyć lub za

prawdę przedstawiać to, co jest nieprawdziwe lub tylko prawdopodobne, i już św. Tomasz z Akwinu, ów wielki apostoł prawdy, udowadnia i podkreśla, że człowiek jest obowiązany w danym razie nawet za prawdę czysto przyrodzoną śmierć męczeńską ponieść. Ale za p r a w d ę i nie wolno mu też ogłaszać za prawdę tego, co prawdą nie jest, ma też prawdy bronić z miłością i spokojem, ale mężnie i wytrwale.

Jak inny a przykry niezmiernie obraz przedstawiają pod tym względem moniści i uczeni akatoliccy, pokazało się to i obecnie z okazji procesu w Dayton. Pomijając głosy prasy codziennej i drukowane w niej masami popularnonaukowe artykuły, to jednak odpowiedzi zawarte w *Nature* we wspomnianej wyżej ankiecie rozpisanej przez to pismo, pochodzące przecież wogóle od ludzi na najwyższych naukowych zawodach stojących, naprawdę zadziwiają zarówno swą płytkością myśli, jak i brakiem przedmiotowości i spokoju w sądzeniu, nie mówiąc już o częstych zwrotach, przypominających najnowszy styl parlamentarny. Tu się dopiero widzi jaskrawo, jak obniżająco działa ewolucja materjalistyczna na kulturę ducha i jakie szkody ona przynosi dla cywilizacji prawdziwej i rzeczywistego postępu zarówno dla pojedyńczego człowieka, jak i całej ludzkości. Po bolszewizmie niema chyba we wszystkich kierunkach myśli ludzkiej czegoś bardziej wstecznego i bardziej zacofanego nad tę właśnie teorję ewolucji materjalistycznej, która dała podłoże ideowe zarówno bolszewizmowi, jak i wszelkim destruktywnym czynnikom naszych chorych dzisiejszych społeczeństw. A jednak mimo strasznych doświadczeń dziejowych, z których ostatnie to wielka wojna z tej ewolucji materjalistycznej i z wynikającej z niej brutalnej walki o byt zrodzona, kierunek ten potworny tak jeszcze bardzo w umysłach się szerzy. Choć tedy z niechęcią, trzeba jednak zapoznać się bliżej z całą tą ankietą i jej najwybitniejszemi zapatrywaniami.

Od 11 lipca do 8 sierpnia b. r. wzięło w niej udział i złożyło swe oświadczenia w sprawie procesu w Dayton i ewolucji wogóle 44 uczonych przeważnie przyrodników angielskich i amerykańskich, pomiędzy nimi kilku wysokich anglikańskich duchownych, arcybiskupów i biskupów, i je-

den jezuita. Prócz tego, na wstępie ankiety, umieszcza *Nature* rezolucję, jaką wydało z okazji procesu w Dayton amerykańskie Towarzystwo dla Postępu Nauk, którą to rezolucję zredagował komitet z trzech najwybitniejrzych biologów amerykańskich, mianowicie E. G. Conklin, profesor biologji w Princeton, dr. Davenport, dyrektor stacji dla doświadczalnej ewolucji, z instytutu Carnegie w Waszyngtonie, i wreszcie znany ewolucjonista, dr. Osborn, prezydent muzeum przyrodniczego w Nowym Jorku. Wobec tego jasną jest rzeczą, że rezolucja ta przedstawia wiernie nastroje i poglądy nieomal wszystkich, a zpewnością przynajmniej ogromnej większości przyrodników, przedewszystkiem amerykańskich, a bez wahania powiedzieć można i całego świata. Rezolucja ta w czterech punktach, z których się składa, oświadcza się stanowczo za teorją ewolucji, i to rozciągniętą także i na człowieka, uważa ją za prawdziwą, potwierdzoną faktami, przypisuje jej niezmierny wpływ na postęp wiedzy i na wszelakie dobro ludzkości i wyraża przekonanie, że zabranianie uczenia ewolucji w szkołach byłoby głębokim i zgubnym dla postępu błędem.

Nic też dziwnego, że i uczeni biorący udział w ankiecie, z wyjątkiem oczywiście ks. Day'a, stają na stanowisku jak najobszerniej pojętej ewolucji. Głosy z Ameryki pochodzące wskazują przytem na niebezpieczeństwo płynące z fundamentalizmu, którego psychologję wywodzą, jak n. p. dr. Bowon profesor teologji protestanckiej Nowym Jorku, z jednej strony z zacieśnionego obskurantyzmu i z drugiej z reakcji przeciwko powojennemu radykalizmowi. Profesor zoologji Mac Bridgez z South Kensington wskazuje na praktyczność amerykanów, których ogół dopiero wtedy interesuje się spekulacjami naukowemi, gdy spostrzeże, że teorje jakieś mają doniosłość życiową. Otóż obecnie nabrali oni przekonania, że ewolucja, jakiej nauczają w szkołach amerykańskich, przeciwną jest celowi tych szkół i kolegjów, które mają za zadanie wychowywać dzielnych obywateli państwa, opartych na purytańskich tradycjach. Tymczasem, wedle słów, jakie Mac Brodge wkładał w usta fundamentalistów, „nauczanie ewolucjonistyczne w Ameryce prowadziło do czysto materjalistycznego i mechanistycznego poglądu na

życie: mówi ono, że ludzie poszczególni są znikomemi bańkami na powierzchni rzeczy, że ich idee moralne są tylko szczepowemi zakazami bez wartości szczególnej, że sumienie i wolna wola... są błędami starej psychologji, że Bóg i niebo... są mechanizmami obronnemi, różniącemi się tylko stopniem, lecz nie rodzajem, od złudzeń paranoetyków". Mac Bridge nie zbija prawdziwości rzeczowej twierdzenia, że ewolucjoniści rzeczywiście takie szerzą poglądy, lecz tylko wskazuje, iż zakaz nauczania ewolucji w szkołach nie powstrzyma młodzieży od zapoznania się z temi naukami i że najlepszą obroną byłby krytycyzm idealny ewolucji materjalistycznej.

Szczególnym fanatyzmem ewolucyjnym odznaczają się głosy niektórych duchownych teologów protestanckich. Najwybitniejszy z nich, W. Barnes, biskup z Birmingham, doktor nauk przyrodniczych i doktor teologji, członek królewskiego Towarzystwa naukowego, woła: „Ciemny fanatyzm, który doprowadził w niektórych stanach zachodnich Ameryki do proskrypcji ewolucji, jest pożałowania godny. Jako ten, który ceni wolność umysłową, jestem wstrząśnięty faktem, że społeczności anglo-saskie usiłują przez prawodawstwo i prześladowanie przeszkodzić szerzeniu się wiedzy. Jako chrześcijanin, uczuwam niesmak do ruchu, który sprzeciwia się rozumnemu sformułowaniu wiary chrześcijańskiej. Dowody ciągle gromadzące się i należycie stwierdzone przekonały każdego doświadczonego, wybitnego biologa, po całym świecie cywilizowanym, że człowiek powstał przez ewolucję z gatunku podobnego do małpy. Normalnie wykształcony chrześcijanin w Wielkiej Brytanji patrzy na proces ewolucji jako na mechanizm, zapomocą którego Bóg stworzył człowieka". Ostrzegając przed zakusami, zmierzającemi do porzucenia zdrowej wiedzy w imię religji, nie omieszka potrącić wzgardliwie Kościoła katolickiego, wspomnieć o tak ulubionym, a zupełnie nienależycie przez wrogów Kościoła rozumianym epizodzie, z umieszczaniem na indeksie wiekopomnego dzieła Kopernika „O obrocie ciał niebieskich". „Cóż to pomogło — kończy z patosem swoje wywody dr. Barnes — że Kościół rzymski umieścił traktaty heliocentryczne na indeksie książek zakazanych? Ziemia się porusza, a umysły ludzkie

poruszają się również, celem objęcia coraz więcej wzrastającego zrozumienia tajemnicy stworzenia".

Nie potrzeba chyba dodawać, że refren o inkwizycji, papizmie, Galileuszu, ciemnocie wieków średnich i t. p. powtarza się przy sposobności tej sprawy często i hałaśliwie nietylko w artykułach dziennikarskich, ale i w głosach ludzi nauki, ogół których, z niewielkiemi wyjątkami, poza sferą swych fachowych studjów, nie wiele wyrasta ponad głowy przeciętnego czytelnika brukowych dzienników.

Oto naprzykład inny członek królewskiej akademij londyńskiej, dr. Sollas, prof. geologji na uniwersytecie oksfordskim, pisze między innemi: „W przedmiocie ewolucji istnieje, jak sądzę, między kompetentnymi myślicielami jedno tylko mniemanie. By przedstawić je w formie łatwo zrozumiałej dla naszych purytańskich przyjaciół, wszyscy zoologowie i botanicy zgadzają się co do tego, że stworzenie gatunków, włącznie z człowiekiem, dokonywa się lub dokonało drogą ewolucji. Jest to teorja, którą można prawie *(almost)* uważać za fakt; jest ona tak obszernie i tak pewnie ugruntowaną, że co do pewności można ją stawiać na równi z obrotem ziemi naokoło słońca, przedmiot, który dostarcza interesującego zestawienia z obecnym, jeżeli się tylko zastąpi papistów purytanami".

Poważniejszym i bardziej pouczającym staje się Sollas, gdy zapomni na chwilę o antypapistycznym fanatyzmie i przejdzie na pole czystej przyrody. Zwraca on słusznie uwagę, że co innego jest ewolucja sama, a co innego jej wytłumaczenie. O tej sprawie wspomniałem już wyżej i tu tylko dodać należy, że takich tłumaczeń jest wiele, a darwinizm jest tylko jednem z nich. Otóż Sollas wyznaje, że „nie jest już sekretem, iż tłumaczenie ewolucji, podane przez Darwina, nie posiada już niezaprzeczalnej powagi, i bez wątpienia, jest wielu wybitnych badaczy, którzy głośno przyznają, iż zadowalniające wyjaśnienie ewolucji trzeba dopiero znaleźć. Co do mnie — mówi dalej Sollas — wyznaję, że uważam tłumaczenie Darwina tylko za połowiczną prawdę".

Narzuca się tu znowu porównanie między położeniem uczonego katolickiego a monisty. Moniści, przyjmując ewolucję, są bezradni zupełnie, o ile chcą być szczerymi i lo-

gicznymi, gdy chodzi o wytłumaczenie jak i dlaczego wogóle taka ewolucja, taki rozwój ku doskonałości w przyrodzie się tu dokonywa, skoro zwyczajnie przyroda sama sobie pozostawiona dąży raczej do rozkładu i dewolucji, a nie do ewolucji. Uczony katolicki wie, że przyczyna ewolucji, o ile ewolucja rzeczywiście istniała, leży w tej wewnętrznej mocy organizmów, którą wlał w nie Stwórca, a która ukryta, zaczyna się objawiać w pewnych warunkach pod wpływem p o b u d k i, a nie jak twierdzą moniści niektórzy, p r z y c z y n y, pochodzącej z poza organizmu, podobnie jak w nasieniu tkwi wewnętrzna moc rozwinięcia się w wielkie drzewo, a moc ta obudzi się do działania w czasie i warunkach zewnętrznych, odpowiednich naturze nasienia. Warunki te są konieczne, ale same nie wystarczą, ziarno musi mieć wewnętrzną siłę żywotną, by rozwinęło się w roślinę. I ta siła wewnętrzna, ta organizacja żywotna ziarna, jest przyczyną kiełkowania i dalszego rozwoju, a rzucenie w glebę wilgotną i ciepłą i następnie działanie promieni słonecznych jest tylko warunkiem rozwoju. Tak samo się rzecz ma z ewolucją, z rozwojem gatunku.

Ale nastręcza się tu jeszcze jedna uwaga. Sama teorja ewolucji znaną była niezmiernie dawno, już przecież i święty Augustyn o niej mówi, nie cieszyła się ona jednak wzięciem powszechnem, rzekomo dlatego, że nie umiano jej tłumaczyć. Dopiero Darwinowi właśnie przypisuje się zasługę, iż on teorję ewolucji ugruntował i rozpowszechnił, podając zadowalające, jak mniemano, powody i tłumaczenia ewolucji. Dziś, chociaż teorja Darwina, jak widzimy choćby tylko z dopiero co przytoczonego wyznania Sollasa, upadła, a innych, powstałych na jej miejsce, nie uważają za dostateczne, tak, że jak mówi Sollas, prawdziwych trzeba dopiero szukać, i stąd ewolucja jest uważana przez najzagorzalszych swych zwolenników za *almost a fact*, prawie fakt, a więc niepewność — przecież z taką zażartością jej bronią. Dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie wyrywa się mimowoli wśród pełnych oburzenia łajań i inwektyw Smithowi, członkowi najwyższej korporacji naukowej angielskiej Towarzystwa królewskiego, i profesorowi anatomji w uniwersytecie londyńskim, wśród pełnych oburzenia łajań na przeciwników

ewolucji z Tennessee. „Takie postępowanie — woła profesor Smith — objawia głębię ignorancji i głupoty, bo jest rzeczą jasną, że komedja w Tennessee nie dotyczy na pierwszem miejscu ewolucji: jest ona istotnościowo od trzech wieków trwającem usiłowaniem, by zniszczyć wolność umysłową..." I dalej przytacza znowu sprawę Galileusza i jego potępienie i porywnywuje ją z obecną sprawą ewolucji. I takiem właśnie usiłowaniem jest walka dzisiejszych materjalistów i monistów o ewolucję. Lecz oto dalszy głos ankiety.

F. Ballard, doktor teologji, oczywiście protestanckiej, wyznaje odrazu, że mu trudno pisać ze spokojnym sądem o procesie w Dayton. Zapytuje z oburzeniem, czy „uniwersytety mają być wolne w nauczaniu tego, co jest prawdą, w świetle postępowej nauki, lub czy mają być brane pod gardło garścią teologicznego obskurantyzmu. Dopokąd ta druga możliwość nie spotka się z przeważającą odpowiedzią przeczącą, ludzkość musi poprostu cofnąć się do nędznej ciemności średnich wieków". W podobnym tonie pisze jakiś pan E. Clodd, którego głos przytoczyć warto tylko dlatego, by pokazać, jaki nastrój panuje dzisiaj wśród wielu, jeżeli nie przeważnej może nawet części, ewolucjonistów, skoro *Nature* ośmiela się drukować jego słowa. „Że teorja ewolucji — pisze bez zająknienia się Clodd — jest ufundowana na skalistem podłożu niewzruszalnych faktów, nie ma to znaczenia tam, gdzie namiętność, przesąd i ignorancja kieruje nieokiełzanem wzruszeniem... możemy zazdrościć starym Grekom, o których mówi prof. Bury w swej świetnej „Historji wolności myśli" — że „szczęściem nie mieli Biblji. Ten fakt był zarówno wyrazem, jak i ważnym warunkiem ich wolności". „Tym zbrodniarzom — pieni się dalej Clodd — nie można dawać pardonu, ich urojenia i oszustwa obniżają przyjęte obecnie moralne zasady. Nie może to być, jak powiedział W. K. Clifford, prawdziwem o mojej i waszej rasie, byśmy celem ochronienia się od stania się łotrami musieli koniecznie wierzyć w kłamstwo". W tym samym stylu broni wolności przekonań także prof. Thompson, członek królewskiej akademji w Londynie, gdy ubolewając nad losem Osborna i jego amerykańskich towarzyszy i wyrażając im swe współczucie, mówi: „To, czego im potrzeba, lecz są za-

nadto grzeczni, by to powiedzieć, jest uzda dla osła i kij na grzbiet głupca", lub gdy inny przytacza słowa Huxleya, że „nauka z chwilą przyjęcia jakiegoś wyznania religijnego przestaje być nauką". — Ale ponad wszystkich chyba góruje jakimś pogańskim cynizmem i najlepiej maluje wewnętrzny nastrój moralny sfer ewolucyjnych to, co pisze znany po świecie całym autor, H. G. Wells.

Autor ten przyznaje z widoczną przyjemnością, że „na dnie odpowiedzi na ankietę, rozpisaną przez *Nature*, brzmi jakiś podziwu godny poddźwięk, nuta lekceważenia, potępienia i pogardy, która chwilami od Tennessee i Oklahama rozszerza się na sprawy amerykańskie w ogólności", ale zaznacza, że „rząd brytyjski jest w czasie obecnym prawie w równorzędnem położeniu z ciemnym stanem Tennessee ze względu na ściśle podobny zakres nauki". A tym „ściśle podobnym" zakresem nauki jest, według Wellsa, tak zwana kontrakoncepcja, ciemnota zaś i zbrodnia czy nieuctwo rządu brytyjskiego polega na tem, że jak pisze, „obecnie w Anglji jeśli lekarz, będący funkcjonarjuszem urzędu zdrowia lub inspektor zdrowia w służbie publicznej daje informacje co do kontrakoncepcji pacjentowi, za którego płacą kasy publiczne, wtedy funkcjonarjusz taki może być wydalony i wiele zaszło wypadków takiego wydalenia", przez co biedny robotnik musi się uciekać po informacje takie do praktykujących prywatnie lekarzy. „Jest to koncesja — woła Wells — uczyniona głównie przez kilku ministrów zdrowia opinji rzymsko-katolickiej. Bronią się ministrowie, że podatnicy, należący do tego wyznania, mogą się sprzeciwiać, by ich pieniądze szły na dostarczenie takiej wiedzy ludziom odmiennych poglądów. Lecz to jest właśnie argument prawodawców z Tennessee".

Jak widzimy, wielu bynajmniej nie o czysto naukowe teorje chodzi w tej walce z ewolucją, ale z tych „prawie pewnych" ewolucyjnych poglądów pragnie się bezpośrednio wyciągnąć praktyczne wnioski, zmierzające do zezwierzęcenia człowieka.

Nie przedstawiałoby głębszego interesu przytaczać dłużej głosy tej ankiety, bo powtarzają się w nich ustawicznie te same myśli i uczucia — zacietrzewienia samowolnego

w teorji, która nie jest u nich już wcale teorją przyrodniczą, lecz światopoglądem filozoficznym, mimo zaciemnianń i osłon, używanych zresztą nawet nie przez wszystkich, zupełnie przeciwnych i czynnie wrogich światopoglądowi chrześcijańskiemu. Od ich wynurzeń, czy tu, czy gdzieindziej, w dziełach, pismach, artykułach dziennikarskich, przemowach, wykładach i odczytach, wieje, ogólnie mówiąc, duch nawskroś nietylko pogański, lecz materjalistyczny, a zwłaszcza duch nieprzebłaganej nienawiści do jedynie prawdziwej społeczności chrześcijańskiej, jaką jest Kościół katolicki. Jeżeli katolik sądzi, że za cenę przyjęcia pochodzenia ciała ludzkiego od zwierzęcia wkupi się w ich łaski i sympatje, to myli się głęboko. Dla nich taka koncesja nic nie znaczy, połowiczność im nie wystarczy. Ich celem zaprzeczenie duszy i Boga. To, co robią obecnie w Tennessee fundamentaliści, to oni już dawno w swoim kierunku uczynili w całym świecie. Z nieubłaganym ostracyzmem zwracają się stale ku poglądom spirytualistycznym, zwłaszcza katolickim, mając dla nich, jak dobrze powiedział jeden z nich, Wells, tylko pogardę, potępienie i nienawiść. A jak ich tyle powtarzana wolność nauki i przekonań wygląda, gdy dorwą się do władzy, widzimy w bolszewji, która cała opiera się na ewolucyjnym, materjalistycznym ateizmie, ten ateizm uważa za swoją urzędową filozofję i jego każe bezwzględnie i wyłącznie nauczać po szkołach.

I w nauce, podobnie jak w polityce i jak w życiu, panuje teror, i byle znalazło się kilku ludzi z bezwzględnością, narzucającą innym swą wolę i poglądy — wnet zagłuszą i zdławią opozycję i zdanie przeciwne, chociażby prawdziwe i szlachetne. Otóż ten teror właśnie sprawił, że najpierw zupełnie bezprawnie i bezpodstawnie całą sprawę pochodzenia człowieka oddano w monopol przyrodnikom, i dalej, że wśród tych przyrodników dogmatem naczelnym, od którego nikomu, kto nie chce się narazić na powszechną pogardę, nie wolno odstąpić, jest ewolucja materjalistyczna. Widzieliśmy wyżej szyderstwa z kreacjonistów, w imię wolności naukowej miotanych; wiadomo, z jaką troskliwością czuwają nad słowem każdem, czy to wygłoszonem, czy drukowanem, i jak odrazu na indeks naukowy kładzie się dzieła

lub artykuły, któreby śmiały wystąpić przeciwko dogmatowi ewolucji, i to ewolucji materjalistycznej lub przynajmniej monistycznej, lub podawały go w wątpliwość.

My, katolicy, nie możemy względem nikogo takich, jak oni, żywić uczuć, musimy, owszem, mieć miłość chrześcijańską i wyrozumienie, ale tylko dla osób, nigdy dla zasad takich. Przyjmujemy chętnie, z radością i nawet z szacunkiem każdą prawdziwą zdobycz naukową, bo każda jest promykiem prawdy, płynącej ze źródła Prawdy odwiecznej i nieskończonej, do tego źródła nas prowadzi i dozwala nam lepiej i głębiej poznać Boga, i moc i mądrość Jego.

Ale nie dajmy sobie imponować teorjami, które narzucane w imię wolności z cyniczną bezwzględnością i co najmniej bezpodstawną pewnością siebie, nie są bynajmniej wynikiem badań naukowych, lecz powziętych uprzednio pragnień i poglądów, narzucanych skądinąd.

Ks. F. Hortyński.

„Płoszowski“ i jemu pokrewni.

Utarło się zdanie, że „Le Disciple“ Bourget'a i „Bez Dogmatu“ Sienkiewicza są powieściami do siebie podobnemi, że Greslou i Płoszowski są braćmi. (Stanisław Lam, Henryk Sienkiewicz, cechy i elementy twórczości). Z tego możnaby wyciągnąć wniosek, że ponieważ „Bez Dogmatu“ ukazało się nieco później, niż powieść francuska, więc Sienkiewicz uległ wpływowi Bourget'a. Czy tak jest w rzeczywistości? Czy świadczy o tem fabuła, teza, postacie główne w ich typie ogólnym i szczegółach psychologicznych; czy wiadomo, że Sienkiewicz czytał powieść Bourget'a przed napisaniem „Bez Dogmatu“.

Aby się więc zorjentować, czy, i do jakiego stopnia „Le Disciple“ i „Bez Dogmatu“ są dziełami do siebie zbliżonemi, najważniejszem jest przeprowadzenie (ze względu na charakter analityczny dwóch tych powieści) dokładnego, wnikającego w szczegóły, rozbioru psychologicznego ich treści i głównych postaci, oraz zastanowienie się nad miejscem, jakie zajmuje w szeregu typów literackich literatury europejskiej.

„Disciple“ ukazuje się w druku w r. 1889. Data, umieszczona na końcu książki, wskazuje, że Bourget rozpoczął to dzieło w Paryżu r. 1888, wykończył je zaś ostatecznie w maju 1889 r.

W przedmowie (Paryż, 5 czerwca 1889 r.) autor wyraźnie zaznacza swe stanowisko: oto „Le Disciple“ dedykowany jest młodemu pokoleniu Francji, „młodzieńcowi mającemu powyżej lat 18, a mniej niż 25, szukającemu w książ-

kach swych starszych współbraci odpowiedzi na dręczące go zagadnienia". Od odpowiedzi, danej w tych książkach, zależy poczęści życie moralne młodzieńca, które jest życiem moralnem kraju; dusza jego jest duszą Francji. Rozważając to, autor zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka cięży na pisarzu jego epoki. „Le Disciple" to studjum jednej z takich odpowiedzialności.

Przed charakterystyką postaci Roberta Greslou, bohatera „Le Disciple", należy zapoznać się bliżej z fabułą „Discipla" i z umysłowością owego bezwiednego „motoru akcji", filozofa Sixte'a, który sam w cnocie swej dochodząc prawie do świętości, przez swój system filozoficzny staje się przyczyną bezpośredniego, najhaniebniejszego zboczenia moralnego, a pośrednio tragicznej śmierci młodej dziewczyny. Jest to uczony, który nie poczuł swej odpowiedzialności wobec młodego pokolenia, a cała książka Bourget'a „Le Disciple" jest podkreśleniem tezy, że tego czynić nie wolno. Autor musi brać na barki odpowiedzialność za swe dzieła, musi liczyć się z praktycznemi skutkami swej filozofji, jeżeli nie chce się stać narzędziem powolnej, moralnej zagłady swego kraju.

Ksiądz Gnatowski w swej ciekawej krytyce Bourget'a w *Przeglądzie Polskim* z 1893 roku nazywa filozofa Sixte'a Spencerem francuskim. Sixte jest „un Taine romancè", jak się wyraża René Lalou w „Histoire de la Littérature française contemporaine". Zwrócił już na to uwagę Gasion Riou w „Le matérialisme actuel", w artykule „Du naturalisme á l'Idéalisme": „Bohater tej powieści (mówi on), ukochany uczeń uczonego Adrjana Sixte'a — trzeba rozumieć Hipolita Taine'a — wszedł w życie praktyczne bez żadnej normy; dla niego, tak jak i dla jego mistrza, wszystko zasadza się jedynie na obserwacji, analizie i doświadczeniu". Podobieństwo Sixte'a do Taine'a rzuca się w oczy, gdy czytamy charakterystykę tego ostatniego przez samego Bourget'a w „Pages de Critique et de Doctrine", tom I (Monsieur Taine Romancier). O analogji tej świadczy i to, co Bourget mówi we wstępie do „Nouveaux Essais": „Leconte de Lisle i Taine pozwolili mi pokazać parę przykładów wpływu, wywartego przez

naukę na różne imaginacje i uczuciowości". Wykazaniem wpływu na jedną z takich imaginacyj jest „Le Disciple". „Stany duszy, właściwe nowej organizacji, istnieją już w zarodkach w teorjach i marzeniach generacji poprzedniej"... „Zdało mi się, że ze wszystkich, przejrzanych tu dzieł (Leconte de Lisle'a, Flaubert'a, Baudelaire'a, Dumas'a, Renan'a, Taine'a i t. d.), w trakcie tych dziesięciu studjów, wyłania się ten sam wpływ bolesny i określając rzecz jednem słowem, głęboko i trwale pesymistyczny... Wszędzie ten sam pesymizm, co w romantyzmie, tylko odziany w inną szatę"

Adrjan Sixte, od najmłodszych lat odznacza się wyjątkowemi zdolnościami filozoficznemi. Przez 10 lat poświęca się studjum filozofji angielskiej i niemieckiej, naukom przyrodniczym, fizjologji mózgu i matematyce. Następnie ulega pewnego rodzaju „apopleksji nauk pozytywnych" właściwej sposobowi nauczania Carlyle'a i Mill'a, Taine'a i Renan'a, i prawie wszystkich mistrzów współczesnej filozofji. W 29 roku życia wydaje „Psychologję Boga". Dzieło to cechuje analiza krytyczna, ostra aż do okrucieństwa, a równocześnte gorliwość w negacji, dochodząca do fanatyzmu; łączy ono w sobie dar słowa Taine'a, autora „De l'Intelligence" z przenikliwością Riboť'a i wnika do głębin istoty najbardziej porywającego problemu metafizycznego. Teorja autora o „Hipotezie — Bogu" którego wytworzenie daje się wytłumaczyć przez funkcjonowanie kilku praw psychologicznych, dołączonych do paru modyfikacyj cerebralnych rzędu czysto fizycznego, jest ustanowiona, poparta i rozwinięta z istną furją ateistyczną. W przedmowie do drugiego swego dzieła „Anatomja woli" Sixte wygłasza zdania następujące: „Węzły społeczne powinny być sprowadzone do minimum, dla tego, kto chce znać i mówić prawdę w dziedzinie nauki psychologicznej". Powołując się na tę zasadę, Sixte nie uznaje n. p. dobroczynności; zapatruje się na nią jak Spinoza, który pisze w IV księdze swej Etyki: „Litość u mędrca, kierującego się w życiu rozsądkiem, jest złą i niepotrzebną".

Dla Sixte'a myśli nie są mniej, lub więcej jasnemi formułami, lecz rzeczywistemi, żywemi istotami. Uczuciowość modeluje się u niego na myśli (unikając właściwej nam rozbieżności między sercem a umysłem).

Abstrakcja jest dla tego uczonego rzeczywistością, rzeczywistość zaś codzienna tylko cieniem. (Tak określa go sam Bourget). Jak widzimy, jego system filozoficzny jest materjalistyczny, deterministyczny. Opierając się na nim, musi się wyciągnąć konkluzję, że pojęcia zła i dobra, to tylko ułudy. W dalszych konsekwencjach praktycznych dochodzi się do traktowania świata i ludzi, jako ciekawych przedmiotów obserwacji, w czynach zaś do kierowania się natychmiastowym pożytkiem, a nie ich wartością etyczną. To, co u myśliciela Sixte'a jest abstrakcją, w której zagłębia się wyłącznie, nie biorąc żadnego udziału w życiu zewnętrznem, to dla głównego badacza „Disciple'a", młodego Roberta Greslou, staje się programem działania. Sixte nienawidzi chrześcijaństwa (będącego w jego pojęciu chorobą ludzkości) z dwóch przyczyn: A) Ponieważ hipoteza Ojca Niebieskiego i wiecznej szczęśliwości rozwinęła w wysokim stopniu w duszy ludzkiej wstręt do rzeczywistości i zmniejszyła gotowość do przyjmowania praw natury. B) Ponieważ religja ta, ustanawiając porządek społeczny w dziedzinie miłości, t. j. uczuciowości, utorowała drogę wszelkim fantazjom i najbardziej osobistym doktrynom. W dwóch dziełach: „Anatomji woli" i „Teorji namiętności", autor ustala swą teorję. Razem ze szkołą krytyczną, poczętą z Kant'a, przyjmuje on, że umysł jest niezdolny do poznania przyczyn i substancyj, że może wiązać tylko z sobą fenomeny. Razem z psychologami angielskimi twierdzi, że grupa fenomenów, oznaczona nazwą duszy, może być przedmiotem poznania naukowego. Tu nie odstępuje jeszcze od teorji, którą rozwinęli Taine, Ribot i ich uczniowie. Dwa punkty oryginalne systemu tego filozofa leżą w czem innem: 1) W analizie negatywnej tego, co Spencer nazywa niepoznawalnem. 2) W śmiałem exposè psychologicznem o zwierzęcem pochodzeniu wrażliwości ludzkiej.

Chcąc scharakteryzować dokładnie osobistość Roberta Greslou, trzebaby, jakieśmy to uczynili przy charakterystyce umysłowości i teorji jego mistrza Sixte'a, powtórzyć to wszystko, co powiedział o nim autor, czy to od siebie w wstępie, czy też przez usta, a raczej przez pamiętnik samego bohatera, stanowiący treść główną „Disciple'a". Odsyłając

czytelnika do samej książki Bourget'a, ograniczamy się tutaj tylko do paru słów ogólnej charakterystyki:

Greslou, jak się wyraża w przedmowie Bourget, to jeden z tych epikurejczyków, intelektualistów, subtelnych nihilistów, którzy już w 20-stej wiośnie życia przeszli przez wszelkie systemy i teorje. Umysł tego rodzaju, przedwcześnie rozbudzony, krytyczny, wnika we wszelkie systema filozoficzne najnowszych czasów. Człowiek tej kategorji, zbyt inteligentny, by nie uznać, że każda religja mogła być stosowana w swoim czasie, nie wierzy w żadną, jak zresztą nie wierzy w nic innego, jak tylko w grę swego umysłu, przeistoczonego w narzędzie wyrafinowanej przewrotności. Dobro i zło, piękno i brzydota, występek i cnota są dla niego przedmiotami prostej tylko ciekawości; dusza ludzka skomplikowanym mechanizmem, którego analiza zaciekawia go, jako objekt doświadczenia. Dla tego typu, nic nie jest prawdziwem, ani też fałszywem, nic nie jest moralnem ani niemoralnem. Jedyna ambicja tego rodzaju wyrafinowanego egoisty, jest ubóstwianie swego „ja", i dostarczanie mu coraz to nowych wrażeń, dla których życie religijne, intelektualne i uczuciowe społeczeństwa staje się tylko materjałem.

„Karolina de Jussat Randon" przedstawia nam się jako natura nawskróś kobieca, pełna wdzięku, prostoty, wrażliwości i tego, co Sienkiewicz nazywa „inteligencją duszy". Wychowana w środowisku arystokratycznem przez ojca dziwaka i matkę niewybiegającą ponad normę poczciwych zwykłych kobiet z jej sfery, Karolina, inteligentniejsza i subtelniejsza z natury od swego otoczenia, ale widząca je przez pryzmat miłości jako szczyt mądrości i dobroci, pragnieniami swemi i temperamentem pozornie nie wyrywa się poza nie. Nieśmiała, chorobliwie wrażliwa, robi ogólne wrażenie cichej i nikłej, jakby kruchej istoty. W gruncie rzeczy jej natura romantyczna, osamotniona wśród swoich, podświadomie dąży do napotkania kogoś, z kimby mogła dojść do porozumienia duchowego, lecz nie znając siebie jak z resztą i innych, nie zdaje sobie z tego sprawy. Głęboko odczuwa piękno; posiada tę zdolność wielkich poetów i „grandes amoureuses" zatracenia się w tem co umiłowała, czy to w pięknie przyrody, czy muzyce, czy ukochanej osobie. Pierwszem uczuciem

względem Roberta Greslou jest litość dla biednego chłopca, przeniesionego w obce środowisko. To też już w pierwszych dniach jego pobytu w zamku, z wielką troskliwością dopytuje się przez młodszego brata, czy nowo przybyły czuje się dobrze, i czy mu czego w urządzeniu pokoju nie brakuje Powoli wskutek częstego obcowania z nauczycielem swego brata, młoda dziewczyna nabiera coraz większego podziwu dla jego umysłowości i wykształcenia, co prowadzi do głębszego zainteresowania, spotęgowanego jeszcze prawdopodobnie przez umiejętną, wyrafinowaną komedję Roberta, która jest jedną z przyczyn, doprowadzających do katastrofy.

Przy charakterystyce analitycznej powieści psychologicznych jakiemi są: „Le Disciple" i „Bez Dogmatu", odpada krytykowi cała praca wydobywania analizy charakterów z treści utworów, praca ta bowiem jest już szczegółowo, aż do najdrobniejszych odcieni, wykona przez autorów. Chęć doszukiwania się innych rysów charakteru, niż te, które drobiazgowo podał autor, byłoby to „stać się bardziej katolickim niż papież". Pozostawałoby nam zatem przy analizie postaci Płoszowskiego (tak jak przy Robercie Greslou) zebrać poprostu to, co już dokładnie powiedział Sienkiewicz. Praca ta byłaby zbyteczną wobec popularności powieści „Bez Dogmatu".

Zaznaczamy tylko, że „Leon Płoszowski" to wyrafinowany sceptyk („jak gąbka przesiąknięta sceptycyzmem"), ogromnie zdolny dyletant, genjusz bez teki, człowiek zmęczony już życiem w trzydziestym szóstym roku życia; nie związany żadnym dogmatem religijnym, etycznym. Egoista. a nawet egotysta, zagłębia się w autoanalizie, która osłabia jego siły życiowe i tamuje energję działania. To ciągłe filozofowanie na temat swego „ja" doprowadza do katastrofy, gdyż Leon, przefilozofowawszy szczęście, nie jest w stanie przeżyć konsekwencyj, jakie to za sobą pociąga.

„Anielka" to jeden z tych gołębi białych, mieszkających wysoko, wpośród których Płoszowski szukałby żony. Twarz jej jak przekład z poezji, lub muzyki ma ludzkie rysy. Wyraz twarzy żywy, ciepły, pełen pouet. Pod niewinnością kryje się odrobina kokieterji, i gorący temperament (niewinny djabeł), oraz świadomość własnego wdzięku.

Przy charakterystyce Anielki musimy zaznaczyć, że o ile Leon Płoszowski przedstawia nam się prawie wszędzie takim, jakim go chciał przedstawić Sienkiewicz, o tyle w Anielce uderza jakby pewne wyidealizowanie jej sobie przez autora. Patrzymy na nią innem, niż on okiem, mniej przychylnem, a raczej bardziej krytycznem. Zdaje nam się (nawet na swą epokę) zbyt naiwną, z drugiej zaś strony chwilami wpada w kompromis, niezgodny z tak prawą naturą. To, że Anielka ma więcej stronnic w duszy, niż zwykle panny w jej wieku (obserwacje Leona, na drugi dzień po pierwszem poznaniu), że jest w niej miejsce na bardzo piękne rzeczy, gdyż odczuwa i rozumie wszystko, a przytem umie słuchać nieporównanie, wydaje się poczęści tylko prawdziwe. Nie daje ona bowiem nigdzie w późniejszej akcji dowodów bystrej inteligencji; że posiada dużo subtelności uczucia, na to się z Płoszowskim zgadzamy. Owo „miejsce na bardzo piękne rzeczy" może się zatem odnosić tylko do charakteru, a nie do umysłowości.

W celu przekonania się, czy podobieństwa „Disciple'a" i „Bez Dogmatu" uprawniają nas do wyciągnięcia wniosku, iż powieść Sienkiewicza została napisana pod wpływem „Ucznia" Bourget'a lub jest nawet na niego repliką, jak to niektórzy twierdzą, trzeba dokładnie zbadać rodzaj i doniosłość tych podobieństw: 1) w fabule, 2) w tendencji, 3) w charakterach i ich analizie.

1) Fabuła „Bez Dogmatu" nie przypomina, mojem zdaniem, „Disciple'a". W powieści francuskiej biedny nauczyciel, chcący dojść do karjery naukowej, uwodzi w celach doświadczalnych córkę swych chlebodawców, która zrozpaczona odbiera sobie życie, on zaś, posądzony o zabójstwo, o mało nie ponosi kary śmierci, a uwolniony przez prawo, pada ofiarą zemsty brata uwiedzionej. W „Bez Dogmatu" zamożny szlachcic, człowiek o wysokiej towarzyskiej kulturze, kocha swą kuzynkę, nie mogąc jednak zdecydować się ożenić, co powoduje jej małżeństwo z kim innym. Nie będąc w stanie przeżyć ukochanej, którą po śmierci męża uważa za sobie przeznaczoną, popełnia samobójstwo. Jak widzimy więc, inne tu środowisko, inne warunki życia, odmienne koleje i konkluzja.

2) W tendencji mogliśmy się *á la rigueur* dopatrzeć analogji, a nawet i repliki, w dogmatyźmie Anielki widząc odpowiedź na zapytanie, czy kobieta może w imię obowiązku zdobyć się na opór względem człowieka, którego bardzo kocha. Afirmatywna odpowiedź Sienkiewicza byłaby repliką na negatywne rozwiązanie kwestji u Bourget'a. Ta teza jest jednak w powieści francuskiej zupełnie podrzędna. Autorowi chodzi przedewszystkiem o wykazanie wielkiej odpowiedzialności, jaką bierze na siebie uczony, wobec młodego pokolenia, szukającego w jego książkach pożywki dla swej umysłowości. Odpowiednika dla tej tezy nie znajdujemy w „Bez Dogmatu". Wprawdzie „umysł Leona w zetknięciu z prądami literackiemi i artystycznemi Francji staje się wyrozumiały na wszelkie poglądy; na każde zagadnienie religijne odpowiada z dzisiejszą psychologją: Nie wiem; filozofja zwątpienia wypaliła w nim doszczętnie wiarę bezkrytyczną". Nie widzimy jednak, aby jakiś specjalny system filozoficzny stał się wskaźnikiem jego postępowania, co jest założeniem „Disciple'a"; stosunek zaś jego do Anielki nie jest bynajmniej rezultatem jakichkolwiek zamierzeń naukowych. Teza zaś „Bez Dogmatu": sceptycyzm i brak woli, doprowadzające do samobójstwa, niczem nie przypomina „Ucznia", którego bohater, nie sceptyk, lecz zdecydowany ateusz zamiaru swego samobójczego nie wykonuje, będąc w gruncie rzeczy głęboko przywiązany do życia. Biorąc więc w rachubę okoliczność, że pierwsza z omówionych tu tendencyj jest w powieści Bourget'a kwestją zupełnie podrzędną, a tezy główne są w obydwu powieściach rozbieżne, niema żadnych podstaw do twierdzenia, jakoby myśl „Bez Dogmatu" zrodziła się pod wpływem „Disciple'a".

3) Istotne podobieństwo znajdujemy nie w samych postaciach bohaterów głównych, które są pod wielu względami kontrastami, ale w niektórych ich cechach, w metodzie postępowania, wobec kobiety, którą chcą zdobyć, i w odnoszeniu się do swego własnego „ja". Pierwsza analogja, to owa zdolność badania siebie w tych najdrobniejszych odruchach, analizowanie każdego swego czynu, myśli; ciągłe obserwowanie siebie, przyczem następuje jakby r o z d w o j e n i e. Płoszowski wyczuwa w sobie dwóch ludzi: widza

i aktora. Widz zupełnie obojętnie przypatruje się wszelkim czynom osoby działającej. W Robercie Greslou istnieją wyraźnie dwie osoby: jedna, która czuje i działa; druga, która obserwuje i analizuje. Jego „ja" nie jest żadną z nich, lecz obydwiema razem. Na tym punkcie Greslou i Płoszowski zbliżeni są bardzo do siebie. Czy jednak Sienkiewicz nie mógł samodzielnie dojść i do zauważenia tej właściwości psychologicznej i do jej wyrażenia w sposób podobny, jak Bourget? Każdy myślący, zastanawiający się nad sobą człowiek, miewa złudzenie wewnętrznego rozdwojenia: jednej części „ja" działającej, drugiej obserwującej. Na to nie potrzeba ani specjalnego wykształcenia filozoficznego, ani też podkreślenia tego fenomenu przez drugą osobę. Ważną przyczyną entuzjazmu czytelników polskich dla „Bez Dogmatu" było odnajdywanie w tej powieści stanów duchowych, zaobserwowanych już poprzednio u siebie. Tem bardziej więc, bystry psycholog, jakim był Sienkiewicz, z łatwością doszedł samodzielnie do zbadania i sformułowania zjawiska. Zresztą owo *multiplicité du moi* spotyka się już niejednokrotnie w literaturze psychologicznej XIX w. Widzimy to u Amiela i w poprzedzających „Disciple'a" dziełach Bourget'a, z których parę prawie niewątpliwie Sienkiewicz znał, o czem wspomina już w swych wczesnych pismach krytycznych. Prawdopodobnie czytał „Crime d'Amour", którego bohater, tak podobny do Płoszowskiego, też wyczuwa w sobie dwie, czy trzy osoby (1886). Bohaterka „Cruelle Enigme" podlega wyraźnie rozszczepianiu się swojego ja (1885). Nawiasem mówiąc: tak u Sienkiewicza, jak i Bourget'a, razi psychologicznie następująca właściwość, tycząca się kwestji „rozdwojenia". Płoszowski i Greslou widzą w sobie czasem dwie części swego ja, z których jedna działa, druga obserwuje, i ten fenomen prawie każdy w sobie zauważyć może; czasem zaś widzą w sobie wyraźnie dwóch ludzi działających. Po pierwszym upadku młodzieńczym w Robercie „istnieją już nie dwie lecz trzy osobistości: 1) pobożny i spokojny chłopiec, 2) wyrostek żyjący romantyczną imaginacją, 3) indywiduum nisko zmysłowe". Leon na widok przerażenia Anielki, gdy oznajmia swój wyjazd do Berlina po dowiedzeniu się „wielkiej nowiny", czuje w sobie bardzo wyraźnie

dwóch ludzi, „z których jeden mówi: cóż ona winna, a drugi pluje jej w twarz". To wyraźne odróżnianie w sobie dwóch, czy trzech ludzi działających, wydaje mi się zupełnie błahe pod względem psychologicznym, gdyż każdy nawet pozornie prosty charakter posiada wiele zakamarków duchowych, uczuć nie jasno uświadomionych i raczej możnaby powiedzieć, że człowiek posiada w sobie całą grupę osób, niż dwóch tylko, czy trzech ludzi, działających każdy na swoją rękę. Pod tym względem zgadzam się zupełnie z Pellisier'em, nie szczędzącym ironicznych uwag Bourget'owi.

Drugą cechą wspólną, ściśle związaną z poprzednią, to u b ó s t w i a n i e s w e g o "j a". Płoszowski, podobnie jak Greslou, uważając się za istotę niezrozumiałą przez otoczenie, umysłowemi zdolnościami przewyższającą ogół, nie wywyczuwając w nikim swego bliźniego, czuje się zupełnie osamotniony, co z jednej strony rodzi smutek, z drugiej zaś dumę swej wyższości. Wszystkie siły umysłowe skupia wobec tego na samym sobie, delektując się niejako każdym swym duchowym odruchem, co potęguje coraz bardziej wrodzony egoizm. Potrzeba pisania dziennika, czy pamiętnika gdzie można notować każdy odcień myślowy czy uczuciowy, wypływa częściowo z tej cechy. Ponieważ wyżej wymieniona właściwość jest jednak charakterystyczna nie tylko dla Płoszowskiego i dla Roberta Greslou, lecz w wysokim stopniu i dla melancholików literatury romantycznej, więc prawdopodobniejsza jest pod tym względem analogja bohatera „Bez Dogmatu" z René'em, z Obermannem, Oktawem ect. do których jest tak zbliżony swą fizjonomją ogólną, niż wpływ postaci do tego stopnia odmiennej w całości, jak Robert Greslou.

Podobieństwo między Płoszowskim i „Uczniem" widzimy też i w metodzie postępowania wobec osoby, którą chcą w sobie rozmiłować i doprowadzić do uległości, oraz w przeliczeniu się z siłami w planach strategicznych. Użycie niektórych środków, podniecających miłość, jak lektury, starannie obmyślane, do których Greslou przywiązuje wielką wagę, Płoszowski zaś słabą, zważywszy na charakter Polek, może naprawdę wyglądać na replikę ze strony Sienkiewicza. Ponieważ jednak podniecający imaginację wpływ powieści

był od dawien dawna znany (Rousseau twierdzi, że młoda dziewczyna, którąby wzięła w rękę „Nową Heloizę", jest zgubioną), ten więc środek wprowadzenia fermentu w młodą, naiwną duszę, na pierwszym planie musiał się nasuwać w taktyce miłosnej każdemu zręcznemu dyplomacie; więc i Płoszowski (Sienkiewicz) bez względu na „Disciple'a" mógł do niej dojść. Inne zaś strategiczne posunięcia, jak opowiadania wymyślonej historji w celu wzbudzenia zazdrości, zręczne wplątanie wyznania w rozmowę („Bez Dogmatu"), czy też listy, zakłócające spokój ofiary („Le Disciple"), to metody, mogące być wzięte tak z życia realnego, tak świetnie zawsze obserwowanego przez Sienkiewicza, jak i z innych sławnych utworów powieściowych, istniejących poza „Disciple'em", choćby „Princesse de Cléve", pani de la Fayette; „Liaisons Dangereuses" Laclos, „Clariss" Richardson'a.

Charakter bohaterek, to jest Karoliny i Anielki, w swej subtelności, wrażliwości prawie chorobliwej, nieśmiałości i słodyczy, oraz ich bezgraniczny podziw dla ukochanego, rozpacz i skrupuły, chęć wytworzenia między nim a sobą nieprzebytej zapory małżeństwem z kim innym (Karolina wskutek niedoboru sfer, Anielka z powodu zawodu uczuciowego), niezaprzeczenie noszą duże cechy podobieństwa, a nie zachwiane stanie Polki przy zasadach wiary katolickiej aż do końca, może się wydać przeciwstawieniem jej, słabej Francusce. Ale czy nie prostszem jest przypuszczenie, że życie dostarczyło Sienkiewiczowi dostatecznego materjału do typu Anielki? (świadczą o tem zeznania ustne przyjaciół autora). Jest ona może trochę zbyt anielska, ale w niezłomności zasad nie przewyższa większości Polek z tej epoki, należących do jej środowiska i kultury i prawdopodobnem jest że ten znakomity praktyczny psycholog nie sięgał do żadnych wzorów literackich, ograniczając się do swej genjalnej obserwacji otoczenia; w tworzeniu Anielki chodziło mu z pewnością przedewszystkiem o uwypuklenie przez kontrast typu sceptyka, a nie o replikę na jakiekolwiek obce dzieło. Wracając do osoby bohatera głównego, podkreślam, że podświadomy, czy nawet uświadomiony wpływ arcydzieł literatury europejskiej niewątpliwie działał przy kreśleniu tego typu (porównywanego przez samego autora z Hamletem),

w wyrzeźbieniu żywej postaci, w typie ogólnym i w związanych z nim cechach; ale mało prawdopodonem jest, aby istota tak odmienna w całości od Płoszowskiego, jak Groslou, narzucała swe piętno umysłowi Sienkiewicza przy jego tworzeniu.

Stanisław Lam w książce swej „Henryk Sienkiewicz", „cechy i elementy twórczości" (strona 117) mówi: „Stąd to w „bez Dogmatu" znajdują się dalekie oddźwięki Amiela, a Greslou z "Disciple'a" Bourget'a, to niby brat rodzony Płoszowskiego z swoją całą filozofją i poglądem życiowym". O ile bracia rodzeni, podobni, mogą być: jeden typem parwenjusza, nogami i rękami trzymającego się życia, twardego, wyrachowanego, odpornego, mimo ostatecznego zmiażdżenia siłą zdarzeń, (najsilniejsza jednostka traci energję życiową, gdy staje się bezpośrednio przyczyną zbrodni, czy śmierci, chyba, żeby była pozbawiona wszelkich cech człowieczeństwa), a drugi subtelny, przeczulony arystokrata, z dużem poczuciem piękna o kobiecej wrażliwości, już od dziecinnych lat pytający wobec każdego faktu życiowego i czynu: po co?; predystynowany do braku decyzji, żyjący fantazją chwili!!! Wstąpienie w szeregi Don Carlosa, zdecydowanie się na ten akt, jest wypływem nastroju danego momentu, mającego w sobie element nadzwyczajności, urozmaicenia, rycerskości. Pocałunek dany Anielce, podniecanie jej czystej miłości, to także poddanie się chwilowemu uniesieniu; ale powrót z jasnego brzegu od przejażdżek z ognistą Włoszką, ale zamknięcie się w ciasnych ramach życia małżeńskiego, cichego, uczciwego, sielskiego, anielskiego z kobietą, choćby najsłodszą, ale naiwną i monotonną, patrzącą drogiemu przeznaczonemu w oczy jak wierny pies, i dlatego, że go kocha, i dlatego, że tak Pan Bóg przykazał, to już nie jest zgodne z nastrojem chwili Płoszowskiego, i każdy pretekst będzie dobry, aby się wymknąć. Dopiero zatrzaśnięcie furtki dodaje bodźca. Znów sytuacja będzie nadzwyczajna, znów możemy tworzyć dramat. Możliwość utracenia Anielki zdejmuje z niej całą monotonność; staje się ona pożądaną i niedościgłą. Pewność utracenia jej przez małżeństwo z Kromickim, czyniąc ją już zupełnie niedostępną potęguje jej urok. O uwodzeniu w celu doświadczenia

naukowego (jakeśmy to już parę razy podkreślili) mowy niema i to stanowi jedną z zasadniczych różnic z „Disciple'em". Jedna rzecz jest pewna: U Płoszowskiego nie widzimy nigdy spazmatycznego trzymania się życia. Gdy tylko przeciwność jaka staje mu na drodze, gdy cierpienie jest dotkliwe, wtedy odrazu nasuwa mu się myśl samobójstwa, nie mająca przeciwwagi w dogmacie. Greslou też nie ma przeciwwagi w dogmacie; idea samobójstwa nasuwa mu się chwilowo pod wpływem rozpaczy, ale szybko ustępuje przed wszechwładnem pragnieniem życia. Gdy perspektywa śmierci jest mu z zewnątrz narzucona, wtedy z całą siłą, z całym animalizmem swej zdrowej, mimo wszystkich filozofji rozkładowych, świeżej, nowej natury, broni się jej, chce żyć, żyć za wszelką cenę, gdyby to życie sprzeciwiało się nawet wszelkim kodeksom honoru! Płoszowskiemu każdy pretekst narzuca myśl śmierci; przywiązania do życia nie ma żadnego; on już jest zmęczony z swego założenia. Greslou chwyta się każdej deski ratunku, która pozwoli mu uniknąć śmierci. Milczenie w sądzie nie jest zstępieniem się instynktu samozachowawczego, lecz narzuconą sobie przez silną wolę ekspiacją człowieka, nie pozbawionego cech szlachetnych i dręczonego wyrzutami sumienia. Brak woli, to cecha charakterystyczna Płoszowskiego; silna wola, cecha znamienna Roberta Greslou. Jakże więc mówić można o braterstwie? Brak wiary u jednego i drugiego i przesiąknięcie ideami rozkładowemi nie upoważnia nas do nazwania ich braćmi. U „Disciple'a" prowadzą one do wytworzenia ścisłego, logicznego systemu filozoficznego, zatem przyczyniają się do budowania. U Płoszowskiego, odejmują tylko wiarę, ale wogóle nie wytwarzają nic jednolitego; rozłożywszy, nie doprowadzają do żadnej syntezy. Greslou, to filozof o głowie twórczej; Płoszowski, głowa, mimo swej ogólnej kultury umysłowej, słaba, niezdolna do wytworzenia jakiejś trwałej koncepcji myślowej. „Uczeń" więc i bohater „Bez Dogmatu" to raczej kontrasty, niż bracia, a typ literacki, do którego należy bohater „Bez Dogmatu", jest zupełnie odmienny od tego, u którego wyprowadzamy Roberta Greslou.

Rozpatrując rodzinę do której należy Płoszowski, na

pierwszem miejscu należy umieścić Hamleta. Między Rousseau'em, autorem „Confessions", mimo tej spowiedzi i sięgania w głąb siebie, widzę mało cech wspólnych, choć Obermann, jedna z postaci najbliższych Płoszowskiemu, jest przecież rodowitym synem Jean Jacque'a. Tak! ale Płoszowski jest podobny do Oberman'a w tem właśnie, w czem on zupełnie nie przypomina Rousseau'a: a mianowicie w rozczarowaniu do świata. Wprawdzie Rousseau z „Wyznań" ma pretensję do wszystkich swych przyjaciół o straszne rzekome krzywdy, jakie mu ciągle rozmyślnie czynią, podejrzewa ich o spiski, jest do nich rozgoryczony, ale nie rozgoryczony do świata. Mimo wszystko, ma wszechogarniającą żywotność, energję, zapał do czynu, ani cienia nieproduktywności. Jedyna cecha wspólna, to sięganie do zakamarków duszy. Z Obermannem Płoszowski ma przedewszystkiem jeden rys pokrewny: Rozczarowanie *(le désenchantement)* to samo zresztą, co René. Scherer w wstępie swym do *Journal Intime*, chcąc zaznaczyć rodzinę duchową, do której należy Amiel, tak charakteryzuje Obermanna: Jest on na pierwszy rzut oka Janem Jakóbem mniej zgorzknienie. Jest to serce proste i tkliwe; człowiek, który kocha zapamiętale przyrodę i który znajduje się w zasadniczej sprzeczności z otoczeniem. Nie znajduje swego miejsca w świecie i dziwi się z tego powodu naiwnie, gdyż on przynosił temu światu jedynie intencje prawe i skłonności życzliwe. Ale boi się utartych zwyczajów, a wszystko niemi jest w życiu społecznem. Skarży się, że mu się wszystko nie udaje, a zgóry usunął się od warunków powodzenia. Zazdrosny o swą wolność, zakochany w samotności, nie zrozumiał, że cywilizacja składa się cała z ograniczeń, położonych jego upodobaniom samotnika; stąd głucha mizantropja. W tem wszystkiem Obermann przypomina Rousseau'a i od niego pochodzi. Ale posiada coś więcej: razem z niepokojem łączy się rozczarowanie. Nie znając samotności, wszędzie doznaje próżni. Jak René, ma aspiracje bez celu. Sam opisał swą chorobę: Rozległe poczucie natury, wszędzie przytłaczającej i wszędzie niezgłębionej, namiętności powszechnych, mądrości, namiętnego opuszczenia. Obermann nie może się pogodzić z myślą o życiu daremnem, buntuje się przeciw porządkowi rze-

czy, narzuconemu mu przez próżność i wychodzi obolały z tej walki z silniejszym od siebie. Obermann, to życie bezprzedmiotowe, to nuda bez przyczyny, zniechęcenie bez lekarstwa. „Inni są bardziej nieszczęśliwi (mówi o sobie), ale nie wiem, czy był kiedy człowiek mniej szczęśliwy". To życie bezprzedmiotowe, to znudzenie bez przyczyny, to zniechęcenie bez lekarstwa, to także cecha Płoszowskiego; poza tem niema zdobycia się na decyzję, jak naprzykład małżeństwo. Pod tym względem Płoszowski przechodzi podobne koleje jak Obermann i Amiel.

Kocha, lecz przefilozofowuje miłość; dopiero, gdy przedmiot ukochania jest już dla niego stracony, uczucie dochodzi do ekstazy. Z *Journale intime* Amiela trudno jest wywnioskować, czy wielka miłość przeszła przez jego życie, gdyż wszystkie ustępy, tyczące się jego spraw osobistych starannie wykreślone są przez wydawców. Z tych części pamiętnika, które znamy, wnioskować można, że Amiel wysoko mierzył, w jakichś sercach podniebnych szukał ideału. Czasem skarży się, że nie ma żony i syna, ale nie zdobył się nigdy na decyzję małżeństwa i dni swe spędził w osamotnieniu. Pod tym więc względem, to znaczy pod względem braku decyzji w miłości (nie biorąc w rachubę stopnia uczucia), Obermann, Amiel, Płoszowski są sobie pokrewni. Każda prawie osobistość powieści analitycznej XIX wieku ma w sobie coś z autora, jest właściwie autorem samym; jeden tylko Płoszowski jest typem zupełnie odmiennym od swego twórcy. Tem bardziej podziwiać można Sienkiewicza jako psychologa, że tak umiał wniknąć w obcą sobie indywidualność; z drugiej jednak strony, to jest przyczyną niekompletności charakteru, a raczej jego powierzchownego ujęcia, ponieważ nigdy nie można się wczuć w cudzą indywidualność, tak jak w swoją własną. Chateaubriand głębiej wnika w duszę René'go, który właściwie jest nim samym, Benjamin Constant w Adolfa, Sainte Beuve w Amaury'ego, Musset w Octave'a, Byron w Manfreda, Goethe (szczególnie w swych uczuciach miłosnych) w duszę Werthera, niż Sienkiewicz w obcego sobie „Płoszowskiego". Zjawisko odmienne od braku decyzji w miłości widzimy u Renè'go, tego największego marzyciela i melancholika ro-

mantyzmu i u Amaury'ego z *Voluptés.* René kocha tylko miłością braterską, cierpiąc nad tragedją drogiej mu siostry. U bohatera Sainte Beuve'a brak decyzji w miłości nie płynie bynajmniej z wrodzonego lenistwa do wszelkiego czynu jak u Amiela, Obermanna, czy Płoszowskiego, lecz raczej z nadmiaru sił żywotnych. Amaury nie kocha Amelie de Liniérs. Prawdziwą miłością jest jego uczucie dla pani de Couaën, której wielkości chwilowe oszołomienie dla pani B... nie niweczy. Bohater „Volupté" daje raczej dowód wielkiego hartu i energji, gdyż oderwawszy się od ziemskich pragnień, przywdziewa sutannę. Pokrewieństwo jego z całym szeregiem wielkich, bezradnych melancholików XIX wieku stanowi poddawanie się przez długi czas, pod pozorem przyjaźni, tej idealnej, księżycowej miłości; romantyczne roztkliwienie i przeczulenie. Obawy zaś przed monotonją i ciasnem życiem małżeńskiem zbliżają go do bohatera „Bez Dogmatu".

Szczególnie romantyzm francuski obfituje w typy bratnie bohatera „Bez Dogmatu". Literatura niemiecka daje nam przedewszystkiem „Werthera", angielska zaś Manfreda. Jak widzimy wszystkie postacie zbliżone do Płoszowskiego w typie swym należą, prócz Hamleta, do epoki romantycznej. Jeden tylko bohater Sienkiewicza poprzedzony przez Amiela, przypada na lata pozytywizmu, na koniec wieku. Bohater „Bez Dogmatu" jest ze swej epoki, mimo cech pokrewnych z poprzednikami. W czem tkwi różnica, pozwalająca nam uważać Płoszowskiego za dziecko pozytywizmu? (O datę tu nie chodzi). Oto rzecz zasadnicza: Wszyscy wielcy melancholicy romantyczni są marzycielami na tle jakiegoś wielkiego, głębokiego zamiłowania: René, Werther, Octave, Manfred, hrabia Henryk, to wielcy poeci; Obermann ubóstwia przyrodę; Dominique Frementin'a i Adolf to politycy; Amiel filozof. Czem jest Płoszowski? Niczem. Najwyżej możnaby o nim powiedzieć: esteta, ale i ten estetyzm nie sięga głęboko. Ta nicość na tle błahych wypadków codziennego życia, to już nie romantyzm, to cecha *fin de siécle'u.* Po szalonej ekspanzji wybujałych natur, jaką był ruch romantyczny, po tych fugach uczucia, siły, fantazji, musi przyjść pokolenie, w którem te siły są stępione, na-

tura zubożała, uczucie wyjałowione, lub spaczone; jakieś istoty zdegenerowane duchowo, dzieci i wnuki wielkich ludzi! Nie jest to typ jedyny. Obok niego (u nas przynajmniej po 63 roku) ukazuje się drugi: zdrowy, realny, trzeźwy. Ale natury najbogaciej uposażone duchowo, więdną, tak jakby nie znajdowały pożywki. Jest to zrozumiałe, gdyż epoka po wojnie pruskiej i komunie we Francji, a w Polsce lata po tragicznie zakończonem powstaniu, musiały wywołać zniechęcenie, smutek, apatję właśnie u tych, którzy z natury byli zdolni do uniesień, entuzjazmu i wielkich myśli. Człowiek przyziemny, obracający się w małem kółku swych codziennych spraw, dalej dreptał w kieracie codzienności. Komu zaś dane były od natury skrzydła, ten poczuł się od lat swych dziecinnych spętany i bezradnie tylko niemi trzepotał niezdolny do lotu. W dużo wyższym stopniu było to widoczne u nas, jak we Francji, ale i tu i tam mamy ten sam objaw: Po epoce entuzjazmu (Francja) i nadziei lepszej przyszłości (Polska), rozczarowanie i tępa beznadziejność. Stąd pokolenie bezradnych, zdegenerowanych, przygnębionych neurasteników, po wielkiej, skrzydlatej, pełnej sił i entuzjazmu, jeżeli nie w czynie to w uczuciu, falandze romantyków. Opadają skrzydła, giną chimery, zostaje świat codzienny jako tło, a postacie, poruszające się na tem tle nie fruwają górnolotnie, lecz tylko chodzą. Płoszowski jest ze swej epoki; mimo to jednak: 1) miłość jego ma coś z romantyzmu, 2) romantyczną jest forma spowiedzi, 3) postać bohatera, mimo że jest prawem dzieckiem *fin de siécle'u*, dzięki zniżeniu lotu, opadnięciu skrzydeł, kończy niejako łańcuch romantycznych melancholików przez swój głęboki smutek, rzewną, wszechogarniającą miłość, niemoc czynu, głód śmierci i gubienie się w wielkiem „nie wiem" życia pozagrobowego, oraz przez noszenie na rękach swego „ja", jak ukochanego, pieszczonego dziecka. Te cechy nie u wszystkich poprzedników Płoszowskiego spotykane równocześnie i inne wspólne, uwydatniają się jaskrawiej przy szczegółowej analizie ich charakterów i przy porównaniu ich z bohaterem głównym.

Pomijając tu zupełnie postacie blisko spokrewnione z Płoszowskim, jak Hrabia Henryk z „Nie-Boskiej", Szczę-

sny z „Horsztyńskiego", „Manfred" Byrona i Octave, bohater „Confessions d'un enfant du siécle" Musset'a, gdyż są one nam nader dobrze znane; ograniczając się zaledwie do kilku słów na temat popularnych osobistości Hamleta, Werthera i René'go, zatrzymamy się dłużej przy dwóch typach powieściowych z epoki romantyzmu: Amaury'm, bohaterze „Volupte" St. Beuve'a i Obermannie Sénancourt'a, oraz przy autorze rzeczywistego pamiętnika, genewskim uczonym, Henryku-Fryderyku Amielu, który może być śmiało nazwany bratem Płoszowskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Marja Załęska.

Przegląd piśmiennictwa

Z nowych powieści i poezyj:

Jarosław Iwaszkiewicz: Księżyc wschodzi. Czarski i S-ka. — Andrzej Strug: Pokolenie Marka Świdy. Czarski i Ska. — Tenże: Ich syn. Bibljoteka Domu Polskiego. — M. Rodziewiczówna: Ryngraf. Bibl. Domu Pol. — Edward Słoński: W więzieniu. Bibl. Domu Pol. — Kazimierz Laskowski: Kulturträger. Bibl. D. Pol. — Artur Górski: Klechdy. M. Arct. — Wacław Szelążek: Kwiat jabłoni. Poezji zbiór czwarty. M. Arct. — Edward Kozikowski: Wymarsz świerszczów. Nakł. „Czartaka". — Antoni Waśkowski: Poezje. Tom IV. S. A. Krzyżanowski. Kraków.

Książka Jarosława Iwaszkiewicza „Księżyc wschodzi", zawierająca materjał obserwacyjny z życia Ukrainy, zwłaszcza jej dworów polskich, pogrąża nas w zamyślenie. Wszakże to pokolenie powojenne przemawia do nas o swej duszy.

Książkę tę należy stanowczo zakwalifikować, jako rzecz mętną zarówno pod względem narodowym, jak i religijnym.

Wiadomo wszystkim, że żywioł polski na Ukrainie oparł się rusyfikacji dzięki odosobnieniu się od otoczenia. Tworzono niejako wyspy kulturalne, zupełnie niedostępne dla rozlewającej się coraz szerzej moskiewszczyzny. Bohaterowie Iwaszkiewicza w imię indywidualizmu, nie znoszącego w swym rozwoju żadnych ograniczeń, wielokrotnie z obcym żywiołem się stykają. Prócz tego, nakaz sprawy narodowej spotykają, jako przeciwstawny swej naturze, jako hamujący ich na drogach własnych. Rozwój własny staje się rzeczą najważniejszą.

Brzmi tu nanowo Nietzsche, przecedzony przez pożyczone sita Stanisława Brzozowskiego: „Dlaczegóż nikt nie zapyta poprostu, co będzie z waszym duchem, zagubionym pośród tysiąca drobiazgów; na spacerach, obiadach, pracach dla pieniądza zagubiła się treść wszystkich najważniejszych spraw. To nie sprawa Polski, do licha, to sprawa mego ducha! Co się oni wtrącają? To ja sam, sam muszę zdecydować się, dokąd iść."

Ów protest indywidualistyczny jest wyrażony bardzo dobitnie i jaskrawo. „Zająć jakąś pozycję wobec świata, czyż to nie praca?" — mówi młody maturzysta, Antoni, wyrabiający sobie światopogląd. Zato ostateczne przeobrażenie wewnętrzne Antoniego, gdy w końcu ulega namowom ideowca Kalinowskiego i bierze udział w narodowych pracach potajemnych, jest określone całkiem niewyraźnie, wygląda na bierność człowieka schorowanego, nie zaś na prawdziwą, popartą dostatecznemi argumentami decyzję.

Tak samo proces wewnętrzny szukania Boga nie doprowadza do ostatecznego spoczęcia w Prawdzie, jako w przystani, skąd już żadne nowe namiętności nie wywiodą na głębie burzliwe. Wewnętrzna praca duszy szukającej Boga jest skreślona prawdziwie i ma ładne momenty.

„Najgorsza rzecz, — pisze Iwaszkiewicz, że nie może zdecydować się, co czuć. A przecie jakąś treścią te olbrzymią wybujałą bańkę mydlaną życia wewnętrznego trzeba wypełnić."

Zaczyna się od tej oschłości wewnętrznej. Antoni to natura nie bezpośrednia, On musi sobie dopiero wymyślić i wymędrkować swoje uczucia. Kształtuje sam siebie. Kształtowanie urodzonych sobie cech w ten sposób, że się lepsze w sobie potęguje, a gorsze tłumi, mając za cel doskonałość w możliwem przybliżeniu, jest prawdziwą, organiczną pracą nad sobą. Napełnianie się sposobami bycia i wytycznemi, wprowadzonemi snobistycznie drogą rozumową, jest nie kształtowaniem się, lecz manierowaniem, a przemiana staje stę wtedy nie prawdziwem obliczem, lecz maską.

Antoni tkwi wszystkiemi zmysłami w realnym bycie. Wzniesienie się ku Bogu jest zawsze zarazem odmaterjalizowaniem się wewnętrznem, pokonaniem i opanowaniem czuć niższego rzędu. Dla natury już obudzonej filozoficznie, zataczanie coraz szerszych kręgów pojęciowych, aż się obejmie we wszechogarniającym kręgu istnienie wszelkie i pojmie się otchłań Nieskończoną — jest jedną z dróg poznania Boga. Nie schodzenie ku przedmiotom realnym, lecz poczucie rozszerzania się, ogromu, wyjścia po za zjawę widzialną prowadzi na szlak nieskończoności. I Antoni raz jeden, w łódce, wieczorem ma taką chwilę ekstazy w nieskończoności, gdy mówi: „Mój Boże, nie wiedziałem, że niebo jest taką przejmującą tęsknotą!"

Antoni chce poznać Boga systemem s k o ń c z o n o ś c i. Jego nastroje modlitewne (w kościele na Boże Ciało, koło nawy pustelnika Żmijowca) są zawsze ściśle realne, połączone z wrażeniami zmaterjalizowanemi. Kiedy wreszcie znajduje Boga poprzez gęstwę realnych, istniejących przedmiotów, oświadcza, że Bóg jest dla niego realnym przedmiotem. Antropomorfizm? Transpozycja idei Boga na czucia?...

Tęsknić do nieskończoności — nie znaczy to odrzucać świat realny. Zmienia się tylko stosunek do niego, staje się miłosnem pochyleniem ku rzeczom i ludziom maluczkim, pobłażliwem przy-

jęciem ich, jako wynikających z danego zwyżej ładu. Ale jak zatęsknić do wyższego stopnia, jeżeli się jest bezustannie uwięzionym przez drobne rzeczy „naprawdę istniejące?" I co daje rękojmię realniejszego ich bytu od rzeczy pojętych władzami wewnętrznemi, w momentach objawień, gdy duch staje na krawędziach nieskończoności i rzuca się w otchłanie światła bezimienne, bezkształtne?

Nawet realistyczne, z chłopska prościnkowe pojęcie Boga może doprowadzić do celu ostatecznego. Ale rozbicie świata na momenty i sybaryckie używanie codzienności, gwiazd, chlebą, owoców w jednej kaszy nie jest drogą wyzwolenia człowieka. Jest to kult widzialności i dotykalności. Ale czy przebóstwienia?!

Iwaszkiewicz odwraca się od nieskończoności, by rozbić się i zamknąć w wielości. Tymczasem drogą ku Bogu jest nie branie każdej rzeczy samej w sobie, lecz otwieranie w niej perspektyw na wieczność.

Ruskin uczył szukania piękna nawet w rzeczach małych i codziennych. „Jeżeli niemasz ogrodu, niech ci go zastąpi kwitnąca doniczka na twem oknie." Ale Ruskin ustalił skalę wartości estetycznych i etyczno-religijnych poza rzeczami. Iwaszkiewicz ustami kuzyna Jerzego mówi: „wszystko ma jednakową wartość, dla tego że istnieje."

I przeciwstawność Jerzego i Antoniego jest tylko pozorna: bo w końcu rozchodzi się tylko o to, czy poznawać rzeczywistość na Amazonce, czy w Kijowie.

Nie przyjmiemy, oczywiście, prymitywnego zakochania w materji Iwaszkiewicza, wynikającego z bujności jego doznań tej kategorji. Ale zasługuje ta książka na uwagę, bo w niej problematy życia wewnętrznego, dążenia ku Bogu są przynajmniej postawione, jeżeli nie rozwiązane należycie. A tyle było przedtem książek pustych, jak bańka mydlana. Niedaleko szukając — w twórczości poprzedniej samego Iwaszkiewicza.

Zastanawiającą książką jest „Pokolenie Marka Świdy" Andrzeja Struga. Autor ten został niedawno zdemaskowany w prasie, jako wielki mistrz masonerji polskiej. Teraz chce nam dać pogląd na teraźniejszość polską. Przyjmujemy go, jako wyraz opinji tych ludzi, co chcą Ojczyzny bez Boga, bo czyż Bogiem jest Wielki Budownik, osłaniający wyłączność i konspirację, poza którym ileż jest tajemnych sekciarskich znaczeń!

Ojczyzna składa się z ludzi żyjących i dzieł ich pracy; dzieł tych, co już odeszły, spełniwszy swe posłannictwo, a z zaświata utrzymują spójnię z ziemską Ojczyzną i pomoc z góry jej niosą. Najwięksi wieszcze świata pojmowali Ojczyznę, jako etap Królestwa Bożego, jako wielką pracownię, w której przyszłe wyzwolenie świata się wykuwa. Gdy z góry wielkiej świata, skąd pracę wieków, jakże powolną! można ogarnąć, przyglądamy się dobie współczesnej, ani nas złe tak bardzo nie razi, bo jego przemi-

janie już w wykresach przyszłości widzimy, ani też tracimy nadziei, bo opiekuńcze dłonie Chrystusa widzimy w przedblaskach przyszłych zórz. Pesymizm z powodu teraźniejszości zawsze spowodowany bywa patrzeniem na krótką metę i poczuciem własnej bezsilności.

Grupa ludzi Struga nie potrafiła niczem się w Polsce Niepodległej zaznaczyć, nie potrafiła toku spraw ująć w swe ręce. Stąd bezsilny, niezdarny krytycyzm wobec trwającego dotąd polskiego „bałaganu". W momentach klęski u Struga najlepsi wpadają w zwątpienie (rotmistrz Goślicki), ludzie dobrej woli tłuką się w dezorjentacji, a wśród pasorzytów paskarsko-karjerowiczowskich, obsiadających organizm młodego państwa, uczciwość reprezentuje... Nusym Skurnik.

Niewiadomo, jak daleko posuwają się obowiązki masońskie p. Struga — może właśnie aż do apologji Nusymów Skurników w Polsce i ich „uczciwych" procederów paskarsko-walutowych. W każdym razie chcielibyśmy znaleźć w Polsce zmartwychwstałej innych ludzi reprezentatywnych dla tężyzny wojskowej, jak czech Muchinka, dla uczciwości finansowej, jak Skurnik, dla ideowości polskiej, jak Świda, rozpoczynający od uwiedzenia nieletniej dziewczyny wiejskiej, którą zaopatruje w kradzione ojcu kartofle, a tkwiący w niesmacznym romansie z Chosłowską, otoczoną na tle niepodległości rozbitkami petersburskiej biurokracji, innych wreszcie działaczy wiejskich, jak upijający się na swem weselu, Kuba, a innego etycznego zbawcę Polski, od Śniata, widocznie komunisty.

Nudny, publicystycznie, bez perspektywy ujęty obraz polskiego „impasse"... Nie przekonywują nas dzieje rozwoju, przebudzenia wiosny, przygód Marka Świdy. Od bezkształtnych (z wyjątkiem epizodu z mogiłą Tucholki) jego marzeń i całej jego niedowarzonej postaci, wolimy poczciwego ziemianina w płóciennem ubraniu, jego ojca, chociaż to tylko taki hreczkosiej i filister.

Nic dziwnego, że takiem widzi swe pokolenie Świda. Nie trzeba było mieszkać w domu Nusyma Skurnika vel Marjana Plechyńskiego — może gdzieindziej spotkałby Świda tych naprawdę pięknych ludzi, młodych młodością kraju, wierzących i wiedzących, i pracujących dla jego przyszłości. Bo czyż może być mniej kwaśnym a bardziej określonym inteligent, który zrzekł się swej misji dziejowej wobec ludu i uważa, że trzeba go wraz z jego nadmiernemi, niezdrowemi apetytami i ambicjami zostawić samemu sobie? Chłop-suweren, co sprawia sobie gramofon lub nawet fortepjan, tańczy modne tańce i ubiera się w modne suknie miejskie jest takiem samem duchowo niewyrobionem dzieckiem, jakiem był, gdy mniej miał pieniędzy, a chodził w samodziałach.

Rola inteligencji, zwłaszcza wiejskiej, jest ważniejsza, niż kiedykolwiek i zbyt obcesowy i nieoględny proces proletaryzacji ziemiaństwa może bardzo cofnąć wstecz kulturę duchową narodu.

Był moment takiego naporu innych, nowych warstw na inteligencję, zwłaszcza ziemiańską, że zdawało się, iż nie potrafi już żadnej kierowniczej roli odegrać i że zadania jej dziejowe zaczynają się likwidować. Ale w ciągu kilku lat potrafiła ta inteligencja skonsolidować się, zebrać się w sobie i całym szeregiem prac i ofiar dla kraju dowieść swej żywotności.

Więc na większym czy mniejszym obszarze — inteligencja polska na wsi ma swą misję do spełnienia. Ma tę misję i inteligent z miasta, o ile przychodzi nie tylko w porze mętnej wody wyborczej. Inaczej musielibyśmy przypuścić, że nad rozbudzenie apetytów i poczucia przesadnego własnych praw i znaczenia niema już nic więcej do wpojenia ludowi — i to w okresie, gdy ksiądz często miewa do niego przez agitację lewicową zagrodzoną drogę?

Pokolenie powojenne, znużone długiem męczeństwem narodu, chciało od niego przez pewien czas się odwrócić. Nie chciano nawet „zatruwać" Sybirami, skrzypem szubienic i wspomnieniem mogił wyobraźni pierwszego pokolenia niepodległego. W pedagogji polskiej wytworzył się stosunek ujemny do romantyzmu z tego powodu. Ale nici ciągłości zerwać nie sposób. I znowu wracają utwory z dawnych walk o Polskę, tym razem w taniem wydaniu bardzo zasłużonej i dobrze pomyślanej „Bibljoteki Domu Polskiego". Jest to wydawnictwo dające tanią a możliwie doborową lekturę dla warstw najszerszych, dla tych również, które już do czytania beletrystyki dojrzały. Wielkie powodzenie wydawnictwa dowiodło jego potrzeby.

Tradycje walk o Polskę wskrzeszają wydane w Bibl. Dzieł Pol. utwory Struga „Ich syn", Rodziewiczówny „Ryngraf" i Słońskiego „W więzieniu". Pierwsza, tytułowa nowela Struga trochę jest niesmaczna. Wiemy z tradycji, że egzaltacja romansowa unosiła zanadto kobiety nasze w stosunku do straceńców, idących w lasy do powstania, ale piękniejszą była inna postawa. Po co to utrwalać? Pięknym, ale okrutnym jest obraz niedoli katorżnej dziedzica-powstańca, skutego wspólnym łańcuchem z fornalem swym, którego kiedyś bił. Wspomnienie takiej bezgranicznej niedoli, w której się odrodziła dusza dumnego dziedzica, wspomnienie takich niezliczonych męczeństw nie jest bezcelowem. Uczmyż się lepiej cenić wolność, taką ceną zdobytą! Wszak to do czegoś obowiązuje — wziąć spadek po męczennikach?

Wspomnieniem bohaterskich bojów napoleońskich jest „Ryngraf", jak zawsze, napisany przez Rodziewiczównę z dbałością wychowawczą o czytelnika i dużą plastyką narratorską.

„W więzieniu" opisuje przejścia więźnia politycznego w 1905 r. Podczas ciężkiego pobytu, zresztą Bogu ducha winnego więźnia, w murach więziennych, żona jego stroi się i zabawia z kim innym. Zdolny poeta, p. Słoński, z wielką finezją przeprowadził

proces stopniowego zarysowywania się duszy, dotkniętej nieczułością istoty najbliższej.

Zawsze potrzebne nam *memento* zawiera powieść Laskowskiego z przed wojny: „Kulturträger". Historja zaborczego Niemca, który chce zapuścić korzenie w grunt polski i któremu się to nie udaje, jest nieprzedawnionem ostrzeżeniem.

Eksperyment folklorystyczny Artura Górskiego „Klechdy" należy nie do najbardziej udanych. Nie jest to materjał dla uczonych, a baśnie takie przeznaczone są na to, by dostąć się do rąk młodzieży. W takim razie niektóre wartoby opuścić. Np. „Dom bez dzieci" — odmiana znanego podania o pięknej kobiecie, która nie chciała mieć dzieci i czarami zniszczyła ich życie przed urodzeniem, — zakończeniem swem, gdzie ksiądz unicki swe powołanie przeklina, wnosi zbyt wielki dysonans. Druga klechda na tle polskiem — „Sagan" o skąpym proboszczu, którego czarodziejski sagan unosi do piekła — też zbyteczna jest w lekturze polskiego domu.

Niektóre z tych klechd — zwłaszcza chińskie i hinduskie — są ładne. Idea Herdera o organicznej twórczości zbiorowej, która kazała mu stawiać ponad wszystko epos ludowe i szukać w niem najsamorodniejszej poezji, wkrótce może zostać na wieki pogrzebana, wobec coraz większej indywidualizacji i zaniku twórczości ludowej. Lud przejmuje się kulturą inteligencką i twórczość bezosobista, wyrastająca, jak niesiane przez nikogo bławatki i maki, zanika coraz bardziej i nie zakonserwuje się jej sztucznie, jak sztucznie nie utrzyma się w ludzie noszenia barwnych wełniaków, choćbyśmy nie wiedzieć ile warsztatów tkackich tworzyli.

W przyszłości, w miarę rozwijania się prawdziwej zbiorowości, może powstać poezja gromadzka na nowych oparta podstawach. Jeżeli pójdziemy otwartą przed nami drogą jednoczenia się ludzi w Chrystusie, może wykwitnąć ekstatyczna, chóralna poezja, biorąca za punkt wyjścia nastrój zbiorowy przy śpiewach kościelnych. Jak z paru sekwencyj kościelnych, z paru udramatyzowanych momentów liturgji wyszedł teatr misteryjny, który się następnie zeświecczył, tak samo z potężnej liryki religijnej i momentów adoracji, stapiających w jedno ludzkie dusze, może wyrość pieśń-spójnia, organiczny twór wspólnoty duchowej, i przenieść się na momenty pracy zbiorowej.

W każdym razie poznanie eposu ludowego, jako antytezy sztucznej, indywidualistycznej, zmanierowanej poezji współczesnej, pełnej samowoli, i nadmiernego przeceniania przeżyć jednostkowych, cackania się z niemi — jest ze wszech miar wskazane. Warto się zwrócić choćby znowu ku epokowym pracom Herdera, wzbogacając je nowemi nabytkami wszechświatowego folkloru.

Rozproszkowanie społeczeństwa, egoistyczne wyodrębnienie

jednostek stworzone zostało przez życie miasta. Życie zbiorowe, które powstało na tle fabryk, utworzone zostało drogą mechaniczną, nie organiczną. I chociaż właśnie urbanizm w chwili obecnej wysuwa zbiorowość, jako jeden z tematów poezji (raczej zresztą w formie zrewoltowanego motłochu, niż harmonijnej gromady), jednak prawdziwe poczucie jedności, na którem zbiorowość się opiera, powstaje na tle przyrody, gdzie wszystko, nawet życie człowieka, kształtuje się organicznie.

Było oddawna do przewidzenia, że nastąpi reakcja na urbanizm, i w poezji znowu rozkwitną nastroje, wykołysane na tle przyrody. Wmawiana estetyka figur geometrycznych, maszyn i rynsztoków musiała ustąpić przed odwieczną, niezwyciężoną estetyką tworów bożych, które, będąc przedmiotami utylitarnemi, zawsze jednocześnie wypełniają całkiem nieutylitarną funkcję piękna. Zbiorkiem, całkowicie prawie poświęconym łączności duszy ludzkiej z przyrodą, jest „Kwiat Jabłoni" Wacława Szelążka. Dziwne to poezje — proste, nie kuszące się o nową formę, ale pełne świeżości i różowej radości, jak zroszona gałązka jabłoni. Pieśni te podzielone są podług pór roku. Najbujniejsza radość z ziemi jest w wierszach wiosennych:

Radość mi piersi rozpiera,
biegnę pod stare jabłonie,
różowe kiście całuję,
z modlitwą biorąc je w dłonie.

Lato wywołuje w nim inny obraz, pełen ciężkiego, słonecznego majestatu:

Cisza... Idziemy miedzą za Twoim przewodem
o Jasna Pani!... W słońce wyciągasz ramiona
i pełna blasków słońca, życiem tchnąca młodem,
idziesz, Jutrzni podobna, żarem spłomieniona
i błogosławisz łany wyciągniętą dłonią
i niesiesz spokój cichy pozłocistą tonią.

Od tych nastrojów pogodnego zatopienia się w naturze odrywa poetę świadomość powikłań życia, altruizm jego i głębokie zrozumienie zadań społecznych:

Tak mi dziś trudno, tak trudno
od ludzi uciec do siebie,
od ludzi, co giną z głodu,
żyjąc o wodzie i chlebie.

Wiem ja i czuję to dobrze,
że idą na nas zdaleka
olbrzymie jakieś przewroty,
że nowe życie nas czeka.

I ciche utonięcie w przyrodzie, wielkie płynące stąd ukojenie nie pozwala Szelążkowi zasklepić się w sobie, przeciwnie, otwiera on całemu światu ramiona miłości.

Erotyka „Kwiatu jabłoni" chwilami jest bardzo płomienna — to już defekt większości poetów, zwłaszcza współczesnych. — Ale przyznajemy, że żadnemu z najmłodszych, przyzwyczajonych do zbytniego rozneglizowania się we wszystkiem i do kultu materji, nie wyrwie się z pod serca piękny okrzyk:

Nie ust spragniony jestem twoich,
lecz słońca twojej duszy.

Poezje, aby nas pociągnąć, muszą się wylewać z pięknej duszy — brudny dzban psuje smak wina. „Kwiat jabłoni" jest pieśnią ładnej, jasnej duszy i dlatego dziwny urok płynie z tej książki na nas.

W dziełach współczesnych, po okresie pozytywizmu, agnostycyzmu i t. d. próżnobyśmy szukali posągów, odlanych z jednej bryły. Żadne dzieło nie jest od początku do końca zgodne z prawdą bożą, jak nie jest z nią zgodne od początku do końca życie żadnego człowieka. Mało który ze współczesnych, ukształtował się pod naciskiem wielkich praw Chrystusowych. Iluż to wyznaje wiarę z upodobań konserwatywnych, z konwenansu, dla polityki wreszcie, nie zaś z głębokich pobudek życia wewnętrznego. Z wielkich pól naszej duszy mamy jeden zagon zaorany przed bramą duszy na pokaz, a reszta ugoruje i zarasta chwastami, sianemi wichrami wszystkich przypadkowych wpływów i namiętności.

Dlatego w literaturze współczesnej mało możemy znaleźć pisarzy, którzyby dzieła swe od początku do końca umieli dostosować do wskazań Kościoła. Nawet z pośród pisarzy, nie walczących z religią. Tembardziej, że wyłączna erotomanja rozbudziła i skierowała zainteresowania na momenty drastyczne, bez których dzieło mniej ma szans powodzenia. Coraz to mniejsze krępowanie się, coraz to większa śmiałość w nazywaniu po imieniu i odsłanianiu najintymniejszych stron życia doprowadziło do stępienia wkońcu wrażliwości i do niesmaku u czytelnika, zbyt już otrzaskanego z pornografją, by na nią odpowiednio reagować. I na tem polu należy się wkrótce spodziewać reakcji: przywrócenia przyzwoitych form w życiu towarzyskiem i literaturze, nawrotu do konwensansu — nawet nie tylko w imię religji — lecz chociażby tylko z odruchu społecznego.

Tymczasem psychika i literatura współczesna przedstawia ogromną mieszaninę. Nowy, jasny prąd duchowny — schrześcijanienie życia — ujawnia się miejscami. W ogromnych zwałach piaskowca znajdujemy pojedyńcze ziarna złota. I nigdy nie jesteśmy pewni, że tuż obok drogocennego ziarna nie znajduje się w piasku nora skorpjona. Ledwo ucieszymy serce wierszem nastroju, już wnet skrzywić się musimy na jakąś dziecinnadę, nieprzystojność, bluźnierstwo.

Ale wyławiajmy te kruszyny złota. Świadczą one o sile tego

prądu, zniewalającego serca, który wytryska z wywierzysk pełnych kurzu i gruzu świeżą strugą i wykwita świecznikami dziewanny wśród chwastów stepowych.

Najbliższa przyszłość wprowadzi do literatury i życia ludzi, nie uprawiających mistyki po amatorsku, jako jeszcze jednego efektownego rekwizytu poetyckiego, lecz przeoranych do ostatniej skiby ideą religijną. Jakież nowe horyzonty, jakie nieskończone piękna i siły otworzą się przed literaturą!

To pewne pomięszanie pojęć spotykamy w drugiej książce świadomie anti-urbanistycznej, w „Wymarszu świerszczów" Edwarda Kozikowskiego. Jego „Chrystusik frasobliwy", który „niewątpliwie do książek już przywykł takich starych i wielce bezbożnych" — jest słowiańską, personifikowaną siłą przyrody. Jak dobry bóg, sypie z drzewa kwiecie lipowe.

A obok tego — jaki piękny motyw, przypominający odwieczny hymn „Kto się w opiekę"... spotykamy u Kozikowskiego w „Zejściu z Djablaka":

Tysiąc wichrów wyskoczy niewiadomo skąd,
i runie całą siłą, jak fale na ląd.
Wszystkie chmury się zbiegną, by uderzyć wraz
i z djabelskiej przełęczy nadół zepchnąć nas.
Kamienie się obsuną z pod idących stóp
i ze wszystkich krawędzi powita nas grób.
. . . . . .
A jednak i z tej matni zatraconych dróg
wyprowadzi nas wszystkich wszechobecny Bóg.

Książka Kozikowskiego należącego wraz z Emilem Zegadłowiczem, Szantrochem i Brzostowską do grupy poetów beskidzkich, jest punktem zwrotnym z poezji naszej. Coraz to zapadający w martwotę i klasycyzm i skamandryci z jednej strony, z drugiej zaś — coraz to bardziej urbanizująca awangarda, która zabija twórczość świadomością (nazywa się to konstruktywizmem) i ociera się już o utylitaryzm (manifesty organu konstruktywistów „Blok")... I oto znów zwrócenie się do przyrody, jak i u Szelążka, jak i u Antoniego Waśkowskiego, gdzie jest to zresztą tylko jednym z motywów.

Kozikowski wyszedł z nowych prądów. Założeniem jego była deformacja rzeczywistości. Pisał „Tęsknotę ramy okiennej"... Dzwoniły u niego tramwaje, wężowiły się szyny, porykiwał komin fabryki. Przezwyciężenie urbanizmu było dla niego wysiłkiem teoretycznym. Usposobienie go poniosło w cuda przyrody beskidzkiej, nie oparł się szumom Skawy, ale musiał to sobie uzasadnić.

Stąd piękny wstęp do „Wymarszu świerszczów", w którym Kozikowski tłómaczy ten swój wymarsz z miasta — rzecz wcale, zda się, nie nową, jako akt cudownego swego odmłodzenia. Przyroda jest wiecznie nowa: znajduje się w niej wieczną odnowę.

„Tu oczy będą chłonąć każdą barwę, — pisze Kozikowski —

tu uszy będą chwytać każdy dźwięk, którym wieczność wabi nas ku sobie, abyśmy nie zapomnieli o posłannictwie człowieka. Bo myli się ten, kto sądzi, że życie należy wypełnić pracą, a reszta sama się zrobi. Życie trzeba wypełnić miłością, która już jest pracą." Z czego nie trzeba wnioskować, że Kozikowski propaguje próżniactwo...

Nareszcie więc zaczyna się wyraźniej realizować zapowiadany zwrot w poezji. Trzeba zwrócić uwagę, że wielu Heljonistów, n. p. choćby Gałuszka bardzo są podobni do poetów beskidzkich nastrojem słonecznej pogody i wtopienia się w przyrodę. Krytyka niezależnie od poetów wprowadzi inne swoje ugrupowania poetów, na podobieństwach ich osnute.

Bardzo odrębny jest Antoni Waśkowski. W naszych czasach pogardy dla romantyzmu, człowiek ten stoi pod znakiem Słowackiego i Wyspiańskiego i otwarcie do tego się przyznaje.

W naszych czasach czyn patrjotyczny był realizacją tego, co pisali nasi wieszcze. A pomimo to po wojnie panuje odraza do romantyzmu i tchnienia wielkości. Chociaż tylko teoretycznie — bo przecież my nawet budując fabrykę i pisząc „kawałki" w urzędzie — celebrujemy dla państwa polskiego, a więc kroczymy w świetle idei. Nasza praktyczność jest nakazana i samym sobie narzucona — dla zdrowia Polski. Dlatego ze wszystkiemi naszemi receptami praktyczności dajemy się tylokrotnie podejść i oszukać sprytniejszym od siebie.

Chwilowe zmęczenie wprowadziło do literatury ów kult prywatnego życia, który w takim wysokim stopniu reprezentuje Iwaszkiewicz, Rytard, Wierzyński, Kleszczyński, Iłłakowiczówna. Istnieje niechęć do postawy, w której jest wielkość. Potężne wezwania wieszczów naszych obowiązują, przeszkadzają życiu z dnia na dzień ludzi na dorobku, ludzi — użyciowców.

A przecież ta wielkość w nas, pokoleniu zwycięskiem — uświadomijmy to sobie — nareszcie zwycięskiem — istnieje naprawdę! Czy zbyt królewskim nam się wydaje płaszcz zwycięski? Bo prócz kilku wierszy okolicznościowych, poetów starego autoramentu — prócz bladej i publicystycznej „pieśni o Ojczyźnie" Makuszyńskiego — po wojnie nic świeżego, nowego — o zwycięstwie Polski!

Byłby owym poetą zwycięstwa nieodżałowany Eugeniusz Korwin-Małaczewski, gdyby dożył!

Waśkowski jedyny z poetów bierze mocny ton — ton młodości i potęgi. Oto kowana kunsztownie oktawa z „Warneńczyka", w którym są odgłosy i „Kazimierza Wielkiego" Wyspiańskiego, i „Króla-Ducha" z „Beniowskim":

> Że mnie się młodość narodzi szczęśliwa,
> bowiem pogardę śmierci z sobą wniesie

w żywot, co ciągłą walką się nazywa!
widzę: już świątyń stawiają przyciesie,
a ona stróżem świętego paliwa
i nieśmiertelną w nich kapłańską zwie się,
żar bierze z ognia, co w ołtarzu błyska,
krzyżem się znaczy i ostrzy mieczyska...

Waśkowski jest poetą o szerokim tchu, o wielkiej łatwości formy poetyckiej, łatwości, którą powinienby przezwyciężyć. Waśkowski jest poetą bez zastrzeżeń, religijnym. Otwarcie woła („Credo"): „A ja wam mówię, że wiary potrzeba"... I głosi, że:

Trza rzucić tęczę nad otchłanią duszy
i Boga dojrzeć w świątyni,
a wżdy się oćma światłością uczyni
i myśl gwiazdami oprószy.

Poeta o wysokim locie, o postawie jasnej i szlachetnej. A jednak nie zajął dotąd należnego miejsca w literaturze. A tylko dlatego, że romantyzm jest nie modny.

Z jednej strony przeciwstawia się mu realizm w rodzaju Iwaszkiewicza, z drugiej — polityczne dążenia do tężyzny życiowej, ideały nietzscheanizmu ubranego w pruską pikelhaubę, już okropnie zbanalizowany komunał o rzekomem odrywaniu się od ziemi i przeciwstawianiu nakazom czynu.

Dla katolików w romantyzmie (pomijając jego odchylenia dogmatyczne i mistykę czasem zbyt fantastyczną) będzie ważnem zawsze jedno, co nadaje wspólną postawę wszystkim ludziom wierzącym: uznanie supremacji świata duchowego nad materjalnym i celów „finalnych", realizujących się aż w zaświecie.

U poetów — mesjanistów, zwłaszcza u Słowackiego, oddane są nieraz stany modlitewno-ekstatyczne, stany zupełnego odmaterjalizowania się tak dobrze, że niektóre fragmenty wielkiej poezji naszej mogą się stać lekturą, wytwarzająca dokoła dusz dążących do Boga poszum skrzydeł anielskich.

Katolicyzm umiał, jak żadna inna religia, posługiwać się sztuką. W skarbcu modlitw, tworzonych przez różnych świętych, znajdują się niektóre owiane prawdziwą, wielką poezją. Ale w modlitewnikach układanych w nowszych czasach przeważa w sposób nadzwyczajny refleksja, materjał do rozmyślań, podczas, gdy dawniej więcej było płomiennej, nieraz natchnionej retoryki, przechodzącej prawie w lirykę.

Ale ani refleksja, ani retoryka nie jest wstanie wzbudzić określonych, polotnych, przeduchowionych uczuć w takim stopniu, jak czysta poezja. One uczucia definiują i zapowiadają, a poezja je rodzi. A dotąd rzadko poezja przyjmowana była w służbę ołtarza bez zastrzeżeń. Oplątana klasycyzmem, jak pasorzytną ljaną, której nie dało się nigdy oderwać, wciąż pokazywała ona rożki faunowe. Nie można było nigdy zaufać, czy z pod habitu nie wyskoczy żongler jaskrawo ubrany, o rękawach różnego koloru.

Jasnem jest jednak, że kierunki literackie, oparte o spiritualizm, będą zawsze bliższe religji i będą torowały do niej drogę. Kiedy życie publiczne staje się areną samopotwierdzających się egoizmów zbiorowych i jednostkowych, nakazy świata duchowego stają się niewygodne. Religja i supremacja ducha krępuje. Płytka drwina, gruby materjalizm i nienawiść przeciw zaporze łączą się ku wytrąceniu takiego kierunku poza obręb życia. Oczywiście, bezskutecznie.

Romantyzm śpi, ale nie umarł. Polska czeka na swą epopeję zwycięską. Dosyć indywidualistycznych egzotyzmów, chwiania się rajerów w kawiarni i stylu — radjo. Potrzeba nam poezji monumentalnej. Czemu Waśkowski, poeta świetnie władający formą epiczną, w której zawiera dotąd treść liryczną, nie podejmie takiego zadania? Dość jest nie lękać się wygnanej obecnie z poezji fabuły, określonej historji, określonych posągowych postaci.

Romantyzm nie wróci w tej samej formie — przedewszystkiem anachronizmem staje się jego treść polityczna. Symbolizm przeżył się, ekspresjonizm przez swą deformację świata dla oddania przeżyć wewnętrznych wytwarza zbytni egocentryzm. Wystarcza mu znalezienie równoważnika artystycznego dla jego burzliwej, wybuchowej ekstazy, ale jest tylko systemem artystycznym. Oddaje on przewagę uczuciu — bez określenia kategoryj uczuć, będących celem ewolucji, bez podłoża wartości filozoficzno-życiowych...

Wszelako jasnem jest, że fala materjalizmu mechanicznego i intelektualizmu pójdzie niebawem w dół i zapanuje znowu prąd pokrewny romantyzmowi w tem, że będzie uznawał supremację ducha we wszechświecie.

Anna Zahorska.

Ks. Dr. Wł. Szczepański T. J., prof. U. W.: Tak zwany Sobór Jerozolimski. Studjum krytyczno-egzegetyczne do r. 15 Dziejów Apostolskich. Lwów 1924, str. 70.

Kiedy pod wpływem niestrudzonej działalności św. Pawła Ap. coraz większa ilość pogan napływała do Kościoła, a z pośród Żydów również wiele tysięcy uwierzyło w Chrystusa, wówczas pierwotne gminy „mieszane", złożone z nawróconych pogan i Żydów stanęły wobec doniosłego problemu, mianowicie: czy prawo Mojżeszowe wraz ze swemi rytualnemi obrzędami (n. p. obrzezania) obowiązuje nowo ochrzczonych nie-Żydów czy też nie? — Grupa wierzących faryzeuszów, przybywszy do Antjochji, głosiła, że zachowanie prawa Mojżeszowego jest konieczne do zbawienia. Paweł wraz z Barnabą zwalczał to twierdzenie. Wszczął się więc spór gwałtowny między św. Pawłem a zelantami żydowskimi. Gdy zamieszanie wśród chrześcijan wzrosło, postanowiono rozstrzygnięcie tego sporu oddać sądowi Apostołów.

Zebrał się pierwszy tak zwany Sobór jerozolimski, na którym św. Piotr oświadczył się za całkowitą swobodą i wraz z innymi Apostołami zawyrokował, że rytualne przepisy mozaizmu wcale nie są potrzebne do zbawienia. Pierwsze orzeczenie Soboru, zredagowane w formie listu do gminy antjocheńskiej, ma dwie części. Pierwsza część: *Zdało się bowiem Duchowi Świętemu i nam, aby żadnego nadto nie nakładać wam ciężaru, oprócz tego, co niezbędne* (Dz. Ap. 15, 28); druga: *Byście się wstrzymali od ofiar bałwanom i od krwi i zwierząt zdławionych i od porubstwa* (Dz. Ap. 15, 29).

Druga część decyzji, nosząca techniczną nazwę „klauzul Jakubowych", zdaje się sprzeciwiać proklamowanej swobodzie i wolności od przepisów starozakonnych. Wszak wiersz 28 orzeka, że na ochrzczonych pogan nie należy nakładać jarzma rytualnych obrzędów; tymczasem wiersz 29 nakłada je, nakazując jako rzecz konieczną wstrzymanie się od ofiar pogańskich, od krwi, od pożywania zwierząt dławionych i od porubstwa. Nadto, jeśli klauzule Jakubowe są istotnie przepisami rytualno-moralnemi, obowiązującemi wszystkich nowo-ochrzczonych, trudno je zharmonizować z drugim rozdziałem listu do Galatów i wogóle z postępowaniem i nauką św. Pawła.

Nad rozwikłaniem tej trudności egzegetycznej pracowały wieki. Ks. Szczepańskiemu uśmiecha się bardzo proste i radykalne rozwiązanie problemu. Streścić je można w tych kilku zdaniach.

Wyraz *suffocatum, pniktón* (— zwierzę uduszone), aczkolwiek znajduje się w grupie kodeksów aleksandryjskich (alef — A. B. C. E.), choć przyjęty został do tekstu kanonicznego, to jednak zdaje się być wtrętem nieautentycznym. Nie mają go kodeksy D, d (kantabryg. grecki i łac.). Od str. 36 do 43 przytacza autor szereg dowodów i z tradycji i kryterjów wewnętrznych, świadczących bardzo wymownie za tem, że w tym wypadku kodeks D, d podaje autentyczne brzmienie klauzul Jakubowych. Jeśli przyjmiemy, że w oryginalnej i pierwotnej redakcji uchwał Soboru jerozolimskiego niema słowa *pniktón — suffocatum,* wówczas klauzule Jakubowe nie sprawiają żadnej trudności. Druga bowiem część definicji soboru nie jest przepisem rytualnym, lecz etyczno-moralnym. Apostołowie, zwalniając chrześcijan nawróconych z pogaństwa od jarzma mozaizmu, zalecają im przestrzeganie trzech najważniejszych, zasadniczych przykazań dekalogu: względem Boga, (unikanie bałwochwalstwa), względem bliźnich (unikanie zabójstwa), względem siebie (nierząd — porubstwo). W tem też założeniu — energiczne i stanowcze podkreślanie przez Pawła całkowitej wolności od wszelkich przepisów rytualnych starozakonnych nie wyda się nikomu jakiemś uwłaczaniem lub zamaskowanym sprzeciwem przeciw uchwałom Soboru jerozolimskiego.

Na oko książeczka niepokaźna, ale pełna treści. Napisana z werwą i interesująco. Nawet nie fachowy egzegeta przeczyta ją

z wielkiem zaciekawieniem. Siła argumentacji potężna i przekonywająca. Jasność i przejrzystość niepospolita. Więcej takich studjów, a nasza literatura teologiczna nie będzie w niczem ustępować zagranicy. *Ks. W. Lohn.*

Żywot Sługi Bożej Marji Franciszki Siedliskiej. Tłumaczenie z włoskiego, Kraków 1925, str. 512 in 8⁰ mai.

Użalaliśmy się niedawno w „Sprawach Kościoła" na to, że u nas w Polsce, nie dba się o wydobycie na jaw cnót nadprzyrodzonyyh i zasług tych licznych zapewne synów i córziemi naszej, którzy zasługiwaliby na wyniesienie na ołtarze wyrokiem Kościoła. Miło mi złagodzić nieco ten żal, zaznaczając, że pod tym względem robić się poczyna coś nie coś, gromadząc materjały do biografij, zwłaszcza niektórych założycielek zgromadzeń zakonnych polskich i wybitnych ascetów w naszem społeczeństwie. Słyszymy o przygotowaniach do wydania obszernego życiorysu ś. p. O. Honorata, Kapucyna; ogłoszono już trochę o życiu założycielek Niepokalanek, MM. Karskiej i Darowskiej, w Belgji wyszła przed dwoma zdaje się laty po francusku biografja znakomitego patrjoty i ascety, O. Rafała Kalinowskiego, Karmelity; ks. prałat G. Augustynik, rezydent na Jasnej Górze, nie pozwala zapomnieć o pięknej duszy ś. p. Wandy Malczewskiej, ciotki cenionego malarza-jubilata; obecnie zanotować możemy pojawienie się „Żywotu" Matki Siedliskiej, założycielki zgromadzenia Sióstr Nazaretanek, o której beatyfikację wdrożone zostały przedwstępne starania.

Żywot Matki Siedliskiej, podobnie jak pierwsza biografja O. Rafała Kalinowskiego, został wydany najpierw zagranicą, w języku obcym. Trochę to upokarzające, że do skreślenia tych biografij nie zabrał się żaden współrodak pięknych dusz polskich. „Matkę Siedliską" opracowali dwaj arcybiskupi włoscy Sardi i Sica, którzy mieli sposobność przypatrzeć się życiu i cnotom tej, której żywot kreślili. Wysiłek ich (jeden książkę rozpoczął, a po jego śmierci drugi dokończył) tem bardziej zasługuje na uwagę, że mieli do rozporządzenia przeważnie materjały w obcym dla nich, języku polskim. O samej książce możnaby powiedzieć, że jest nieco za rozwlekła, za mało metodyczna, jako historja; zbyt wiele tu szczegółów, zbyt wiele listów, które zapewne są cenne, jako zabytki po słudze Bożej, utrudniają wszakże śledzenie rozwoju głównego jej dzieła: zakonu Nazaretanek.

Mimo wszystko książka jest cenną. Jest taką, jako biografja świątobliwej Polki, arystokratki, z pochodzenia, która mając lat 30, zostaje wezwana, nie marzywszy nigdy o tem, przez świątobliwego zakonnika do założenia nowej rodziny zakonnej i skoro raz to wezwanie uznała za głos Boży, nie spocznie już, mimo zawodów i niepowodzeń z początku, aż dzieło doprowadzi do rozkwitu. Chorowita, dzieli czas między cierpienia i przymusowe

kuracje, a podróże w sprawach swego Zgromadzenia. Paryż, Rzym, Londyn, Kraków, Lwów, Ameryka oto tereny jej działalności drugich 30 lat życia. Ocean przepływa tam i z powrotem trzy razy; każdy z domów swego zgromadzenia w Europie wizytuje często, zakładając różne fundacje, ustanawiając w nich rządy, naprawiając i karcąc zboczenia od ducha zakonnego. Heroiczne cnoty Sługi Bożej znajdujemy zsyntetyzowane — nieco zbyt szablonowo — w trzeciej części książki, która to część może służyć za budującą lekturę duchowną.

Cenną także jest książka jako przyczynek do historji naszego polskiego tułactwa za granicami kraju, bo M. Siedliska zakłada domy swego zgromadzenia przedewszystkiem na obczyźnie w zbiorowiskach, gdzie więcej jest Polaków, opuszczonych pod względem religijnym lub obsłużonych niedostatecznie. Stąd największy rozwój Sióstr Nazaretanek widzimy w Stanach Zjednoczonych.

Że dzieło M. Siedliskiej było dziełem łaski Bożej i przez Boga szczególnie pobłogosławionem, świadczą o tem cyfry. Z drobnej gromadki paru towarzyszek w przeciągu lat 30 rozrasta się ono na obydwu półkulach zadziwiająco: w r. 1921 w Polsce i kilku stolicach Europy liczy ono 17 klasztorów z 341 siostrami, w Stanach Zjednoczonych aż trzy prowincje z 65 domami i 884 siostrami. Pielęgnowanie cichych cnót i prowadzenie szkół i pensjonatów — oto zadanie tego faktycznie polskiego Zgromadzenia.

Dla informacji dodajemy, że książkę wydało samo Zgromadzenie i że nabyć ją można w domach Sióstr Nazaretanek, jak w Krakowie, ul. Warszawska 13, we Lwowie, ul. Unji Lubelskiej, Częstochowie i innych.

Ks. J. Urban.

Birkenmajerowa Zofja: Z młodzieńczych lat Jana Daniela Janockiego. Poznań 1925. Nakładem Poznańskiego Towarzystwa Przyj. Nauk, str. 125.

O Janockim, znanym bibljotekarzu Załuskich, pisano nie wiele: prawie że dwa tylko mamy życiorysy (X. Czarnockiego z r. 1820 i Estreichera z r. 1869).

Obecna praca dotyczy tylko jego lat młodzieńczych, a właściwie jest raczej tylko przyczynkiem — jak autorka głosi — do lat jego młodzieńczych. Ale jakim przyczynkiem!

Omawiając Janockiego „Kritische Briefe", niezmiernie rzadkie dziełko, pisane przez dwudziestoletniego młodzieńca (wydane 1743 r.), ze ścisłością, jaka odznacza wszystko, co z pod pióra Birkenmajerów wychodzi, przesuwa autorka przed naszemi oczyma obraz ówczesnej wiedzy bibljograficznej i umysłowości polskiej.

Dowiadujemy się tedy, że Janocki, Jänisch, Janocius, nie był wcale Finlandczykiem, ale Polakiem, urodzonym w Międzychodzie, w Poznańskiem, w r. 1720: za takiego się miał, od mło-

dych lat, jeszcze gdy uczył się chłopakiem kilkunastoletnim w szkołach niemieckich w Pforta, w Saksonji, pisząc: „wir Polen", „bei uns in Polen", „unser Landsmann ein Pole" i t. p. Jako młody chłopak zajmował się już bibljografją i wszedł w kontakt z mnóstwem literatów, uczonych i zbieraczy naukowych ówczesnego świata umysłowego, i w swych „Kritische Briefe" wydawał o nich trafne sądy, pomieszczając przy tem mnóstwo szczegółów o ówczesnym ruchu umysłowym.

W tem też tkwi i znaczenie tych listów, jeżeli, pomijając wzmianki o zagranicznych uczonych, powiemy, że nowem zjawiskiem dla nas jest to, co pisze Janocki o polskich uczonych, owej osławionej saskiej epoki. Widać, że nie wszyscy Polacy hołdowali onemu przysłowiu: „za króla Sasa"... raczej może przysłowie owo powstało jako bolesny wyrzut, rzucany tym sybarytom przez część poważniej już wówczas myślącą!

Nauka polska owych czasów reprezentowana była bowiem bardzo poważnie: Niesiecki, sławny jezuita, autor cenionej dzisiaj jeszcze pierwszej u nas w Polsce bibljografji, jaką jest jego „Korona polska"; numizmatyk Szydłowicz Ignacy, wydał rzadkie bardzo (bo tylko w 40 egz. drukowane) „Numizmata polonice inscripta" (r. 1727) i „Icones monetarum polonicarum", Przebroński („comentarii de Zuppariis"), ks. Gozdzki, badacz starożytności poznańskich; Poniński (Antoni Łodzia), zwany „koroną poętów, jeden z najuczeńszych ludzi swego czasu († 1742); Sikorski, filozoficznych dzieł autor; Łubieński Władysław, prymas i koronator Stanisława Augusta, a autor pierwszej obszernej geografji w języku polskim (1 tom in folio); ks. Zienkowicz i wielu innych. Bardzo poważnie zajmowano się podówczas w Polsce nauką geografji. Centrem tego ruchu był sam dwór saski w Dreźnie, ale w ruchu tym brali udział Polacy: Dominik Tarnowski, biskup Grabowski, ks. Józef Tuławski, wspomniany poprzednio biskup Łubieński, Józef Jabłonowski, Sulikowski, wreszcie sam biskup Załuski, który poważny zbiór atlasów i map posiadał. Mocieski (bliżej nieznany) wydaje nawet pismo geograficzne „Melethemata geographica", a inny, również bliżej nieznany geograf-astronom, zamierza wydawać tygodniowe wiadomości z zakresu geografji i astronomji i o swych książkach i instrumentach, a książek tych zebrał sporo: katalog ich nawet wydrukował, rękopisów samych (hebrajskich, greckich, łacińskich 219 woluminów) mnóstwo, sam erudyt, władający siedmioma językami, to „pan Tucholski!" Inny znowu zbieracz ówczesny, ks. Paczeński, infułat z Górnej Głogowy na Śląsku, posiadał 8 tysięcy książek, 2 tysiące rękopisów, przeważnie do Śląska, Polski i Węgier dotyczących.

Ależ i drugie pytanie nasuwa się nam: Gdzież te zbiory przebogate? *Iniuria temporum* je zagarnęła. Jedne, jak zbiory geograficzne Załuskiego, pożyczył hr. Brühl, mając wydawać atlas sarmackich krajów. Atlasu nie wydał, bo umarł, ale mapy za-

ginęły bezpowrotnie. Inne, jak Tucholskiego, dostała hr. Świdzińska i złożyła w bibljotece klasztoru Jasnogórskiego, skąd zabrał je książę Aleksander Golicyn, by zdobiły ich rodową „archangielską" bibljotekę... Zaginęło to wszystko prawdopodobnie — zaginęła i pamięć o tem, że podówczas kwitnęły w Polsce nauki. Przecież nawet osobną książkę o tem napisał jakiś nieznany bliżej Maliski („Maliskiego książka: Zasługi zakonu Jezuitów około postępu nauk w Polsce miała być tak cenioną, że nawet z polskiego języka na łacinę tłómaczyć ją zamierzano", są słowa Janockiego), a o tem wszystkiem tak się dzisiaj już zapomniało, że nietylko iż książki tej niema, ale nawet dziwili się ludzie, gdy w niedawno wydanych pamiętnikach Stanisława Augusta czytano pochwały i uznanie dla prac naukowych i szkół jezuickich w Polsce.

Wszystko to brzmi dziś dla nas, jak legenda o zamierzchłej przeszłości — zakończmy Birkenmajerowej słowami — tak burze polityczne rozwiały wszelki ślad owych owoców umysłowości naszej, z epoki, w dziejach naszych niesłusznie za najnieoświeceńszą poczytywanej. *Ks. K. Konopka.*

Ks. Marjan Tokarzewski: S t r a ż p r z e d n i a. (Ze wspomnień i notatek). Warszawa, 1925,

Dziwny czar i urok bije z tej prostej i skromnej książki. Oto na podstawie zdarzeń i faktów, których autor był świadkiem a często i aktorem, przedstawia czytelnikowi — powiedzmy raczej całemu naszemu społeczeństwu — działalność i warunki pracy kapłana katolickiego na polskich kresach w Rosji, w latach wielkiej wojny i w epoce bezpośrednio ją poprzedzającej. Opowiadanie, które w wielu miejscach dorównywa „Pożodze" p. Szczuckiej, pociąga czytelnika wielką prostotą układu i stylu, porywa żywością i siłą, a nieraz do łez wzrusza tragizmem wydarzeń i ogromem bólu i cierpień, jakie roztacza. To nie tuzinkowy jakiś pamiętnik, to nie blada kronika, ale to krwią serdeczną naszkicowany obraz ówczesnego społeczeństwa polskiego, jego księży i działaczów; to wzruszający pomnik bohaterstwa niewiasty i młodzieży polskiej. Całość nacechowana płomienną miłością ojczyzny, służbą ideału polskości i katolicyzmu.

Niepodobna streścić w kilku zdaniach suchego sprawozdania tego przebogatego materjału, jaki tu autor nagromadził, a który jakby w kalejdoskopie posuwa się szybko przed oczyma czytelnika. Czy to będzie Wołyń, czy głębia Rosji lub Taszkient, czy wreszcie Podole — wszędzie najczystsza miłość Boga i ojczyzny ożywia autora i stoi bezustannie na straży interesów katolickiej Polski. I dlatego tyle w niej powabu, tyle pokrzepienia, tyle ciepła, tyle wreszcie zachęty w zwątpieniu płynie z tej niepowszedniej ze wszechmiar książki. Za te nieoceniona dobra, jakie ta książka niesie w duszę czytelnika, życzę jej jak największego rozpowszechnienia. *W. S*

Dr. Juljan Gawroński: Szkoła Odrodzenia. Program nowego wychowania i nowej szkoły w Polsce współczesnej. Poznań, Fiszer i Majewski, 1925, str. 40.

W r. 1909 założono w Vevey (Szwajcarja) uzdrowisko leczniczo-wychowawcze, w którem dzieci polskie, obciążone pewnemi niedomaganiami fizycznemi i duchowemi, korzystały z zabiegów leczniczych, mających im przywrócić zdrowie i równowagę; po 7-letniej przerwie wojennej przeniesiono ten zakład w r. 1922 do Wielenia (Poznańskie). Otóż autor, lekarz i wychowawca tamtejszy, opierając się na dodatnich wynikach doświadczalnych, proponuje, by metody zakładowe przyjąć za wzór dla reformy naszego szkolnictwa polskiego. W tym celu opisuje całe urządzenie zakładu i metody pracy, zaczerpnięte, jak sam przyznaje, od Montessori, Deweya i Kerschensteinera, ale uzupełnione stosownie do naszych potrzeb narodowych. System wychowawczy polega tu na stworzeniu sztucznego środowiska rodzinnego i powiązaniu liczniejszych takich „rodzin" węzłami społecznemi, by od dziecka wprawiać wychowanków do życia społecznego. Wykluczony jest tu wszelki przymus zewnętrzny, kary i nagrody, nauka rozpoczyna się od zajęć praktycznych, które budząc zainteresowanie wprowadzają dziecko stopniowo w sferę teorji; książka jest ostatnim etapem w nabywaniu wiedzy. W ten sposób prowadzony zakład w Wieleniu otrzymał w r. 1924 od władz szkolnych zatwierdzenie w zakresie 7-klasowej szkoły powszechnej.

Jak widzimy, zamiar autora jest szlachetny, wogóle pracę nad dzieckiem pojmuje on idealnie, lecz o korzystaniu z jego planów na szerszą skalę trudno mówić u nas, przynajmniej na bardzo długie lata. Dziś kiedy nawet lichych szkół powszechnych starego typu nie posiadamy w dostatecznej ilości, niepodobna marzyć o stworzeniu zakładów, które wymagają wielkiego uposażenia oraz specjalnego personelu nauczycielskiego.

Obok niepokonalnych trudności praktycznych nasuwają się nam nadto pewne wątpliwości innej natury w razie upowszechnienia takiej szkoły. Czy wszystkie dzieci zechcą okazać zainteresowanie poddawanemi im zajęciami w takim stopniu a zwłaszcza z taką wytrwałością, aby możliwa była jakaś nauka? Czy obejdzie się przy większej ich liczbie bez kary i nagrody? Czy młodzież tak kształcona w zakresie szkoły powszechnej zechce potem poddać się pod komendę zupełnie innego regime'u w szkole średniej? Czy znajdzie się wielu wychowawców tak niezwykle utalentowanych, by mogli sprostać zadaniu? Dla tych i innych racyj sądzimy, że byłoby bardzo wskazanem, aby podobnych „Szkół Odrodzenia" powstało więcej w naszym kraju, ale myśl uczynienia z nich wzoru dla szkoły polskiej jest obecnie nierealna.

Ks. St. Podoleński.

Dr. med. Bronisław Szulczewski: Dusza Dziecka. Poznań, Fiszer i Majewski 1925, str. 116.

Książka powyższa jest zbiorem niewielkich rozprawek o różnych przejawach i potrzebach duszy dziecięcej. Autor bada je jako lekarz-psycholog i podaje we formie przystępnej, nie wdając się przytem w naukowe definicje ani przytaczanie literatury, lecz oparty raczej na zwyczajnej codziennej obserwacji. W dwudziestu ustępach porusza różnorodne zagadnienia, jedne raczej teoretyczne tylko, drugie o charakterze praktycznym, a poprzedza je wskazaniem na ważność znajomości psychologji dziecka dla dzieła wychowania. Znajdujemy tu uwagi o władzach poznawczych i ich kształceniu, o wyrabianiu zmysłu piękna i pojęć etycznych, o potrzebie wychowania fizycznego, o stosunku dzieci między sobą oraz do rodziców i przełożonych; osobną grupę stanowią ustępy, rozbierające wady dzieci, zwłaszcza samolubstwo i skłonność do kłamstwa. Na podkreślenie zasługuje rozdział, przedstawiający niebezpieczeństwa kina dla młodzieży, oraz liczne uwagi o karności i stosunku wychowawcy do dziecka; tę ostatnią też kwestję akcentuje głównie w przedmowie kurator poznańskiego okręgu, p. B. Chrzanowski. Całość utrzymana w tonie bardzo popularnym, może poddać niejedną dobrą myśl rodzicom i wychowawcom.

Ks. St. Podoleński.

Rudolf Korsch: Żydowskie ugrupowania wywrotowe w Polsce. Warszawa 1925, str. 215.

Pożyteczna broszura, bo orjentuje w grupach politycznych wywrotowych żydowskich w Polsce. Grup tych wylicza pięć: Bund, Kombund, Niezależni socjaliści, Poale-Syjon i Cejre-Syjon. Do Niezależnych Socjalistów przyłączyła się grupa, do niedawna odrębna „Fereinigte". Wszystkich tych grup autor kreśli historję powstania, podaje program, omawia stosunek do państwowości polskiej (wszystkich jednakowy — negatywny) i do innych ugrupowań politycznych tak żydowskich jak i polskich, wreszcie wymienia ich działaczy, organa prasowe, robotę w zakresie „kulturalno-oświatowym" itd. — Broszura zyskałaby wiele, gdyby w niej poskreślać niepotrzebne a bez liczby powtarzania się i informacje o rzeczach, każdemu nawet analfabecie politycznemu wiadomych. Zamiast 215 stronic wszystko można było powiedzieć na stronicach pięćdziesięciu.

J. U.

Ludwik Kondratowicz: Urodzony Jan Dęboróg i Szkolne czasy, wydał i objaśnił Juljan Krzyżanowski, Nakład Gebethnera i Wolfa, str. 200.

Niedarmo zamieścił Syrokomla te słowa w epilogu do Dęboroga:

— rozrzewniony, jak na dłoni baczę,
Że warto dla was śpiewać litewscy słuchacze
Że można choć niekształtnie złożonemi rymy
Zagrać na waszych sercach, kreśląc kraj rodzimy...

Dla *Urodzonego Jana Dęboroga* i *Szkolnych czasów* czujemy zawsze dziwną sympatję, mimo nie wyszukanej treści i formy obu tych utworów. Przemawia z nich do serca polskiego rzewna nuta swojskości i serdeczności litewskiego śpiewaka, jaką przepojone są te „niekształtne" często gawędziarskie rymy. Wydawnictwo Gebethnera rozpoczęło serję nową dziełek p. t. *Pisarze polscy i obcy*. Jako Nr. 8 tej serji pojawia się obecna książka. Sposób wydania świadczy, że chodzi tu zarówno o pomoc przy lekturze szkolnej, jak i o czytelników poza szkołą, który w trafnych, a krótkich objaśnieniach znajdą rozwiązanie trudności, jakie mogłyby się nasunąć przy lekturze dziełka. Sposób wydawnictwa staranny i udatny, rysunek okładki zjednają książce pewnie dobre przyjęcie wśród interesującej się literaturą publiczności.

Ks. T. Karyłowski.

Artur Oppman (Or-ot.): Hymn wolności. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa.

Gorący patrjota, w którego pieśniach przebija głównie nuta żołnierska, świst szabli ułańskiej i szelest chorągiewki, do czasów wielkiej wojny przebywał myślą w bojach napoleońskich, opiewał czyny księcia Józefa i życie „Starego Miasta". Ale oto powstaje Polska, „sen o szpadzie" w jawę się przemienia, wypadki błyskawicznie po sobie następujące roztaczają przed okiem wspaniałą wizję rozrostu sławy i potęgi narodu. Tym chwilom z zapałem wtóruje Or-ot., każde ważniejsze zdarzenie upamiętnia osobną pieśnią. Już wieść o zwycięstwach Dowbora Mušnickiego dobywa z piersi jego okrzyk triumfu i radości:

Pod rozkutym wiatrem mocą
chorągwianym ptakiem
Idzie armja stuwiekowa
Batorowym szlakiem,
Co raz mieczem wzięły dziady,
biorą mieczem wnuki,
Piorun szabli: Smoleńsk! Witebsk,
Psków i Wielkie Łuki!

Walki o Lwów, objęcie w posiadanie polskiego morza, wspomnienia o Murmanie, „czternasty lipca" — wszystko to znajduje żywe echo w piersi żołnierza-poety. On „marszem Hallera" żegna wojska odchodzące na krwawe walki pod samą Warszawą, on wita pułki wracające po zwycięskim boju do stolicy, on z serdecznem uczuciem wielbi pieśniami grób „nieznanego żołnierza".

O, mój żołnierzu, chłopcze nieznany,
Kładę tę piosnkę na twoje rany.
Na twoje krwawe, znękane ciało
Kładę tę piosnkę, jak różę białą...

Pieśni przepojone uczuciem radości z odzyskanej swobody, rzucające gromkie hasła bojowe, kończy najpiękniejszy, jaki dotąd mamy, jędrny przekład „Marsyljanki", która już na poły stała się i naszą pieśnią bojową. Zbyteczną byłoby rzeczą chwalić piosenki Or-ota; wszak znane one całej Polsce i niejeden już wzięły oklask, ukazując się na szpaltach *Tygodnika Ilustrowanego.* Cieszyć się tylko trzeba, że obecna książeczka związała je razem w jeden bukiet, niosący woń tak drogą polskiemu sercu — echa radości i trosk z wielkich przełomowych lat wyzwolenia Ojczyzny. Hymn wolności winien znaleźć się w każdym polskim domu, a zwłaszcza w rękach naszej młodzieży, dla której będzie drogowskazem poświęceń i bohaterstwa, i miłą pamiątką niedalekiej a tak radosnej przeszłości. *Ks. T. Karyłowski.*

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Instytut Wydaw. „Bibljoteka Polska":

Karol Szymanowski: Fryderyk Chopin. 1925, str. 38.
Józef Piłsudski: Moje pierwsze boje. Wspomnienia spisane w twierdzy magdeburskiej. Z portretem i trzema mapkami. 1925, str. 182 8°.
Dr. Gustaw Załęcki: Polska polityka kolonjalna i kolonizacyjna, str. 155.
Renaud Przeździecki: Varsovie, avec 170 ilustr. en texte et 32 gravures hors texte. Varsovie. Bibljoteka Polska. 1925, str. 388. 8°.

Gebethner i Wolff, Warszawa 1925:

Ant. F. Ossendowski: Od szczytu do otchłani. Wspomnienia i szkice z 40-oma ilustracjami, str. 364.
Ign. Chrzanowski: Juljusza Słowackiego, „Grób Aganemnona" i „Testament mój", str. 57.
K. Mellerowicz: Premieres leçons de Français, avec prononciation figurée & 160 gravures, str. 128.

Herder. Freiburg im Breisgau:

A. Zenasius Wintersig O. S. B.: Liturgie u. Frauenseele. Ecclesia Orens. 17 B., str. 146. 8°. 1925.
Der Kleine Herder: Nachschlagebuch über alles für alle. Erster Band: A. & K. Freiburg in Breisgau 1925. Herder & Comp., str. 752.
J. Sägmüller: Lehrbuch des Kathol. Kirchenrechts. IV vollständig umgearbeitete Auflage. I Band, I Teil: Kirche u. Kirchenpolitik, str. 150.
L. von Pastor: Die Stadt Rom zu Ende der Renaissance. Mit 113 Abbildungen, str. XVI i 132.

Potrzeby Stanu Rękodzielniczo-Mieszczańskiego a Polskie Stronnictwo Chrześc. Dem. Myśli programowe. Opracował i wydał Sekretarjat Ręk.-M. Ch. D. w Krakowie 1925, str. 16.

P. Sopećko i O. Grzymałowski: Na Tropach ludzi i zwierząt. Podręcznik dla harcerzy 8°, str. 178. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań 1925.

Gawędy o dawnym obyczaju. T. VI. Pan na Fulczynie. Wspomnienia o Stanisławie Szczęsnym Potockim. Zebrał i Wydał A. Czartkowski. — Nakład Wydawnictwa Polskiego. Lwów - Poznań 1925, str. 220. 8°.

M. d'Herbigny S. J.: Pour l'Unité chrétienne: Croire en Jésus-Christ, str. 32. (Orientalia christiana, vol. V, 1.) Roma, Pontif. Instit. Orientalium Studiorum.

La Legislation soviétique contre la religion. Traduction des documents officiels du Commissariat du peuple à la justice, str. 136. Jak wyżej.

Biblica. Comentarii editi a Pontificio Instituto Biblico. Vol. 6, Fasc. 1 & 2. Roma, Piazza della Pilotta, 35.

Polemika o Pawła Stalmacha. Cieszyn 1925. Nakład „Gwiazdki Cieszyńskiej", str. 32.

Ks. Dr. Józef Jałowy: Dzieje parafji Przeczyckiej. Część I. Nakład autora. Rzeszów. 1925, str. 96.

Dr. Teodor Tyc: Z dziejów Kultury w Polsce Średniowiecznej. Fiszer i Majewski. Poznań 1925. str. 138.

A. i A. Bocheńscy: Tendencje samobójcze Narodu Polskiego. Lwów. 1925. Z Drukarni Akademickiej, str. 31.

J. Schrijvers C. SS. R: Ma Mère! Imprimerie St. Alphons. Esschen. 1925, str. 144.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Urzeczywistnienie konkordatu a prasa. — Husycka polityka w Czechach.

Dnia 2 czerwca b. r. nastąpiła w pałacu Rady ministrów w Warszawie wymiana dokumentów ratyfikacyjnych do konkordatu, zawartego między Polską a Stolicą Świętą w dniu 10 lutego. W myśl artykułu XXVII rzeczonego konkordatu staje się on obowiązującem prawem w dwa miesiące, licząc od dnia wymiany dokumentów ratyfikacyjnych, więc 2 sierpnia począł on obowiązywać na całym obszarze Rzeczypospolitej. Tekst konkordatu został ogłoszony w *Dzienniku Ustaw* z dnia 18 lipca r. b. Tem samem, znowu według brzmienia artykułu XXV, zostały przekreślone i straciły wszelką moc prawną od tejże daty wszystkie ustawy, rozporządzenia i dekrety, któreby stały w sprzeczności z zawartą umową. Takich ustaw, rozporządzeń i dekretów, pochodzących przeważnie od rządów zaborczych, istniało w każdym zaborze niemało; obecnie należy uważać je za niebyłe bez żadnych nowych uchwał naszych ciał prawodawczych, mocą jedynie ratyfikacji konkordatu przez sejm i senat. Dla bliższego poinformowania podrzędnych organów administracyjnych, któreby może były skłonne, mocą przyzwyczajenia, do powoływania się na tego rodzaju przekreślone ustawy w swych stosunkach z władzami kościelnemi, ma być ogłoszony przez rząd w porozumieniu z episkopatem dokładny katalog owych ustaw, rozporządzeń i dekretów które przestały obowiązywać w każdej części Polski.

Jednym z najważniejszych punktów układu Stolicy Świętej z Polską są artykuły IX i XXVI, dotyczące nowego ugrupowania i rozgraniczenia prowincyj kościelnych i diecezyj w Rzeczypospolitej. Mianowicie do trzech istniejących już

metropolij obrz. łac. w Polsce: gnieźnieńsko-poznańskiej, warszawskiej i lwowskiej, mają przybyć dwie metropolje nowe: krakowska i wileńska. Tem samem dwa dotychczasowe biskupstwa: w Krakowie i Wilnie podniesione zostały do rangi arcybiskupstw, z poddaniem im po kilka sufraganij. Nowe diecezje powstają w Łomży, Pińsku, Częstochowie i na Śląsku, przesuwają się granice metropolij wewnątrz kraju, upada zależność diecezyj kresowych od metropolji mohylewskiej i wogóle żadna część Rzeczypospolitej nie może zależeć pod względem jurysdykcji kościelnej od ośrodków, znajdujących się poza granicami Polski — w ten sposób niknie na naszem terytorjum diecezja mińska, której stolicę traktat ryski pozostawił w sowieckiej republice białoruskiej. Do przeprowadzenia tych wszystkich zmian, erekcji nowych jednostek kościelnych i rozgraniczeń dotychczasowych organizacyj, Stolica Święta ma przystąpić w porozumieniu z rządem w przeciągu trzech miesięcy od dnia uprawomocnienia się konkordatu, to znaczy do 2 listopada r. b. Z wyrazu „ma przystąpić" — *procèdera* — wynika nie konieczność faktycznego dokonania w tym terminie rzeczonych zmian, lecz przynajmniej rozpoczęcia potrzebnych do tego przygotowań i wszczęcia pertraktacji z rządem, których ostateczny wynik może się opóźnić. Znając pragnienie Stolicy Swiętej uporządkowania ostatecznego spraw kościelnych w Polsce, można mieć pewność, że jeżeli jakie opóźnienie w tej sprawie nastąpi, to nie z winy Rzymu, tylko możliwych postronnych trudności.

Reorganizacja hierarchji kościelnej w Polsce, jak już nadmieniliśmy, musi pociągnąć nowe rozgraniczenia niektórych diecezyj, nastąpić także muszą personalne zmiany w gronie naszego episkopatu. Oprócz nominacji pasterzy na nowe katedry, są do obsadzenia także niektóre biskupstwa dotychczasowe, jak wileńskie i łuckie, opróżnione wskutek zrzeczenia się ich przez ks. biskupów Matulewicza i Dubowskiego.

Obie sprawy — rozgraniczenia diecezyj i kwestja kandydatów na osierocone lub nowe biskupstwa — zajmują nietylko sfery duchowne, ale także szerszy ogół. Nic więc dziwnego, że mówi o nich i prasa codzienna. Trzeba wszakże stanowczo zganić sposób, w jaki pewna część prasy omawia te sprawy. Dotyczy to przedewszystkiem prasy, która sama uważa się za „umiarkowaną", „narodową" i niemal „katolicką", a w roztrząsaniu tych spraw wyraźnie zapomina o umiarkowaniu i staje na stanowisku po katolicku niedopuszczalnem, a pod względem narodowego interesu przynajmniej wątpliwem. Naprzykład kwestja takiego czy innego podziału diecezji wileńskiej — ze wszystkich diecezyj pol-

skich najludniejszej i monstrualnie rozległej — może się nadawać do dyskusji, ale czynniki kościelne niewątpliwie wzięły pod uwagę wszystkie racje za i przeciw i skoro doszły do wniosku o konieczności podziału, to domagają się tego bardzo poważne kościelne względy. Zarzucać zaś temu episkopatowi brak zrozumienia przytem interesu narodowego jest karygodną lekkomyślnością, obniżającą w oczach ogółu autorytet tych, których autorytet właśnie podkreślać i podtrzymywać należy ze względu na dobro narodu, tak podminowywanego przez szerzącą się anarchję ducha i lekceważenie powagi i karności społecznej. Tembardziej karygodnym nazwać należy czyn tych, co bezpodstawnie i w sprzeczności z faktami odpowiedzialność za projekt podziału diecezji zwalali na jednego lub dwóch biskupów, mających nieszczęście niepodobania się pewnym redakcjom czy grupom..

Trzeba jeszcze to dodać — odnośnie do omawianej sprawy — że wysuwaniem i podkreślaniem niebezpieczeństw, jakie z podziału diecezji wileńskiej mają grozić polskiemu charakterowi okrojonej diecezji, dostarcza się — zdaniem naszem, opartem zresztą na statystykach, niepotrzebnie i bezzasadnie — dowodów wrogom Polski, usiłującym przedstawić właściwą Wileńszczyznę, jako kraj litewski lub białoruski. Z alarmów przeciwników podziału diecezji łatwo możnaby wnioskować, że polskość na Wilnie czuje się tak niepewnie, że wymaga pomocy specjalnej geografji sztucznej, jak to czasem bywa przy politycznych wyborach.

Bezpodstawnie także niektóre dzienniki uciekły się do argumentu pietyzmu dla tradycji, dowodząc, że diecezja wileńska istniała w obecnych granicach od 400 lat, że teraz czyni się zamach na tę jedność, jaką uszanował nawet rząd rosyjski i t. p. Właśnie to wszystko nieprawda, bo niektóre dekanaty, przeznaczone do odłączenia od diecezji wileńskiej, należały niegdyś do diecezji łuckiej, a biskupstwo wileńskie w dzisiejszych swych granicach jest rezultatem rozbiorów Polski. Zresztą, gdyby wzgląd na tradycję był w podobnych wypadkach miarodajny, to niemożliwą byłoby rzeczą jakiekolwiek dzielenie obszernych jednostek kościelnych.

Jeszcze bardziej nie na miejscu są zohydzania w dziennikach nawet za pomocą karykatury tych dostojników kościelnych, którzy w przekonaniu tychże dzienników są domniemanymi kandydatami na pewne biskupstwa, a nie znajdują u nich łaski, jak niewłaściwem jest postępowanie pewnych grup, usiłujących wywrzeć presję na Rzym przez rząd polski w celu przeprowadzenia pewnych kandydatur. Sposób obsadzania biskupstw w Polsce został ściśle określony w konkordacie i do Ojca Św. należy prawo nominacji biskupów, przyczem rząd może tylko wyrazić swoje zdanie

o tem, czy dana osobistosc jest „persona grata", zdanie, z którem oczywiście Stolica Apostolska liczyć się będzie. Jeżeli kto uważa za potrzebne poczynić pewne przedstawienia w sprawie nominacji biskupów, winien je skierować przed forum właściwe, bez uciekania się, zresztą bezcelowego, do „brachium saeculare", a tembardziej bez powoływania poważnych osobistości kościelnych na „cenzurowane" wobec zdezorjentowanego ogółu. Jeśli Kościół walczy o wolność w swych rządach od rządów świeckich, to nie poto, by z niej rezygnował na rzecz panów publicystów z dzienników jakichkolwiek i urabianej przez nich opinji.

Dnia 6 lipca opuścił demonstracyjnie stolicę republiki czesko-słowackiej przedstawiciel Stolicy Apostolskiej, nuncjusz Marmaggi. Odjazd nuncjusza, na wyraźny rozkaz Watykanu, choć powodem jego bezpośrednim były uroczystości ku czci Husa, jest znamiennym protestem przeciwko całej polityce młodej republiki względem Kościoła katolickiego. Niejednokrotnie tę politykę omawialiśmy na tem miejscu, a nikt chyba nie zarzuci, żeśmy kierowali się niechęcią czy animozją do narodu czeskiego lub do sąsiedniej republiki wogóle. Obecnie chcemy uprzytomnić główne pociągnięcia polityki rządowej w Czechach w sprawach kościelnych.

W chwili rozpadania się Austrji nuncjusz wiedeński otrzymał wskazówkę z Watykanu, by niezwłocznie wszedł w kontakt z rządami nowych państw, jakie powstawały na gruzach rozwalającej się monarchji. Powstanie nowych narodowych organizmów państwowych było powitane przychylnie przez ówczesnego papieża Benedykta XV. Wkrótce też zjawił się przedstawiciel Ojca św. i w stolicy nowej republiki czesko-słowackiej. Rząd praski przyjął nuncjusza papieskiego i zdawało się, że daje tym sposobem dowód, iż pragnie unormowania stosunków kościelnych w zgodzie ze Stolicą Apostolską. Dalszym dowodem życzliwości Watykanu były zmiany na stolicach biskupich, tak w Czechach, jak i na Słowaczyźnie, które zostały obsadzone przez ludzi niewątpliwie narodowych i oddanych państwowości czesko-słowackiej. Niestety, nad udaremnieniem nadziei na pokojowy stosunek między Kościołem a państwem poczęły pracować wrogie Kościołowi czynniki, gromadzące się pod sztandarem Husa, spalonego za herezję w r. 1416. Rozpoczęły swą akcję od obalenia figury Matki Boskiej na placu stołecznego miasta, może by nie robiła kontrastu do znajdującej się na tymsamym placu figury heresjarchy. Za tym wandalskim czynem poszły inne podobne; setki krzyżów i figur, symbolów katolicyzmu, zostało zniszczonych w różnych okolicach kraju. Rząd przyglądał się spokojnie, jeżeli wyraźnie nie pa-

tronował dokonywanemu niszczeniu katolickich pamiątek. Kiedy wszczęto agitację za stworzeniem odszczepieńczego czesko-słowackiego, w gruncie rzeczy husyckiego Kościoła, rząd odniósł się do tej roboty z widoczną sympatją i pozwolił schyzmatykom siłą zagrabić w wielu miejscach świątynie katolickie. Gdzieindziej nie udało się to jedynie dzielnej postawie obrońców katolickich świętości z ludu i organizacyj młodzieży. Nowa cerkiew uzyskała uznanie rządowe i pomoc finansową ze skarbu, podczas gdy forsowano jednocześnie wyzucie Kościoła katolickiego z jego dóbr. Nauczanie religijne w szkołach zostało albo zupełnie usunięte, albo zepchnięte do niższych klas i tylko jako przedmiot dowolny. Kwestja rozdziału Kościoła od państwa wisiała wciąż jako groźba, wymierzona przeciwko katolikom, zresztą praktycznie rozdział ten przeprowadzano i to w gorszem znaczeniu tego hasła.

Te wszystkie posunięcia czynników rządowych zdawały się dowodzić, że jakkolwiek rząd, pod naciskiem dość silnej jeszcze partji katolickiej, nie decyduje się na otwarte zerwanie z Kościołem, to daleki jest od spełnienia wszystkich słusznych postulatów katolickich obywateli republiki i traktuje ich raczej jako cierpianą tylko z łaski mniejszość, choć w rzeczywistości, nawet po ostatnich dezercjach z Kościoła, stanowią oni wciąż w państwie przygniatającą większość. W każdym razie upłynęło sześć lat od powstania niezależności czesko-słowackiej, a problem ułożenia stosunków między państwem a Kościołem nie doczekał się zadawalającego rozwiązania. Kiedy w szeregu innych krajów, nowo powstałych lub politycznie zreorganizowanych po wojnie, zawarto ze Stolicą świętą konkordaty, lub wdrożono rokowania, w Czechosłowacji nie uczyniono żadnego poważnego w tym kierunku kroku i pozycja nuncjusza papieskiego w Pradze była wciąż jakby tymczasową i niepewną.

Wreszcie uczyniono ze strony rządu coś, co musiało być wzięte jako wyraźna prowokacja katolików. Pod wpływem sekciarskich grup zmieniono tabelę obowiązujących w republice świąt w ten sposób, że skreślono z niej tak popularnego w kraju świętego, jakim jest Jan z Nepomuka, a natomiast wprowadzono świętowanie czci Jana Husa, przeznaczając na ten cel dzień 6 lipca, dzień stracenia herezjarchy na soborze w Konstancji. Tym krokiem rząd wyniósł husytyzm niejako do godności religji narodowej Czech. Wyjaśnienia, że chciał przez to uczcić jedynie zasługi Husa dla rozwoju języka, narodowości i kultury czeskiej, abstrahując od jego stanowiska religijnego, muszą być poczytane za nieszczery wykręt, gdyż promotorowie kultu Husa zasługi jego dla narodu i kultury czeskiej widzą nie w czem innem, jak

w buncie jego przeciwko papiestwu i w walce z dogmatami i liturgją Kościoła katolickiego. Dowodem tego jest choćby sztandar, który w dniu 6 lipca powiewał i na rezydencji prezydenta Masaryka i na gmachach rządowych: kielich czerwony na białem tle, jakiego używano jeszcze w XV wieku w walkach kalikstynów i husytów przeciwko Kościołowi katolickiemu. W zrozumieniu tego właśnie religijno-sekciarskiego charakteru kultu Husa, nuncjusz Marmaggi z polecenia papieża przestrzegł ministra spraw zagranicznych, że oficjalny udział rządu w pierwszem świętowaniu dnia Husa dotknie boleśnie religijne uczucia katolików i będzie musiał być poczytany za obrazę Stolicy świętej; rząd republiki z tej przestrogi nic sobie nie robił, w obchodzie husyckim, na którym główne role przypadły notorycznym wrogom katolicyzmu, protestantom i schizmatykom, wziął udział sam prezydent republiki i kilku ministrów; nic dziwnego, że przedstawiciel Rzymu wyciągnął z tego faktu prostą konsekwencję i tegoż dnia opuścił Pragę bez pożegnania władz państwowych. Sam rząd, zdaje się, spostrzegł po czasie, że posunął się w demonstracji antykatolickiej zadaleko, pojawiły się bowiem w prasie inspirowane wyjaśnienia o rzekomo prywatnym udziale przedstawicieli rządu w obchodzie, co oczywiście bynajmniej nie poprawia sytuacji.

Wyjazd nuncjusza z Pragi nie jest jeszcze definitywnem zerwaniem przez Rzym stosunków z republiką czesko-słowacką. Wyraz swej miłości dla narodu czeskiego dał Ojciec św. Pius XI zaraz w półtora tygodnia po zajściach w Pradze, kiedy przyjął 17 lipca pielgrzymkę jubileuszową czeską, przybyłą pod przewodnictwem polowego biskupa wojsk czeskich, ks. Bombery. Przy przyjęciu tej pielgrzymki był obecny także Mgr Marmaggi. Ojciec św. wspomniał w swem przemówieniu o świetnej przeszłości katolickiej krajów republiki czeskiej, przeszłości ucieleśnionej w tylu świętych narodowych, zachęcał pielgrzymów do wierności wyznawanej przez nich wierze, wyraził nadzieję doczekania przez katolicyzm czeski lepszej przyszłości i wypowiedział kilka słów uznania dla wiernego tłumacza zamiarów i uczuć papieża, obecnego nuncjusza.

Do rządu republiki należy naprawić popełniony względem Stolicy Apostolskiej nietakt i nawiązać bardziej szczere, niż dotąd były, z nią stosunki. Może go do tego skłoni postawa, jaką katolicy przybrali po 6 lipca. Odbył się cały szereg zebrań, na których piętnowano stanowisko rządu wobec Kościoła. Episkopat całej republiki czesko-słowackiej ogłosił zbiorowy list do wiernych, datowany 1 sierpnia a odczytany we wszystkich kościołach 16 sierpnia. Orędzie biskupów obnaża właściwy charakter dzieła Husa: jako po-

przednik reformacji XVI wieku, zaszczepił on tego ducha buntu przeciwko prawdziwemu Kościołowi, który w ostatecznej konsekwencji prowadzi do zupełnej anarchji w dziedzinie religji, rodzi niewiarę, a z nią pielęgnuje społeczny rozkład i nihilizm. Bolszewizm rosyjski to ostatnie stadjum rozwoju tego właśnie buntu, jaki zwracał się początkowo przeciwko katolickiemu Kościołowi. Biskupi wzywają lud do wierności prawdziwemu Kościołowi, i do odparcia zakusów rządu na skarb wiary. Jako dobitny wyraz uczuć katolickiej ludności kraju mają służyć adresy ze wszystkich parafij, wyrażające wierność Ojcu św. i uznanie dla nuncjusza Marmaggi.

List biskupów pokazał właściwą wartość husytyzmu. Ducha husyckiego uważa się często zagranicą za rys charakterystyczny całego narodu czeskiego: poskrob Czecha, a okaże się husyta — mówią niektórzy. Jest jednak w tem powiedzeniu dużo przesady. Obok Czech husyckich, są jeszcze Czechy katolickie, nie mówiąc już o tak głęboko katolickich Morawach i Słowaczyźnie, — są Czechy dzielnie organizujące swoją katolicką młodzież (organizacja „Orłów!"), Czechy masowo manifestujące swą wiarę nawet na ulicach Pragi w uroczystość Bożego Ciała, w dzień św. Jana Nepomucena, Czechy posiadające zwartą katolicką organizację polityczną, stronnictwo ludowe. I byłoby lekkomyślnością rozstrzygnąć spór: które Czechy — katolickie czy husyckie — są bardziej narodowe, bardziej czeskie... na korzyść Czech husyckich. Katolicy czescy nie bez słuszności mogą wykazać i wykazują, że ich tradycje są starsze o kilka wieków od husytyzmu, bo sięgają początków formowania się narodu; mogą przypomnieć, że cała ideologja Husa, z której jego zwolennicy robią narodową świętość, była obcym importem, bo była tylko przeszczepieniem na grunt praski nauki angielskiego herezjarchy Wicleffa; mogą dowieść z historją w ręku, że husytyzm narodu czeskiego nie wzmocnił, lecz rozdwoiwszy go i wyniszczywszy w długich wojnach wewnętrznych, ściągnął nań niesławę wobec Europy, wywoływał wyprawy krzyżowe na Czechy, koroną których była katastrofa pod Białą Górą. Jakże inaczej potoczyłyby się dzieje narodu czeskiego, gdyby był mógł się pokojowo rozwijać pod opieką Kościoła katolickiego, który tyle narodów wychował, utrwalając w nich dodatnie cechy narodowej duszy! Mówi się o husytyzmie, jako ideologji narodowej Czech, katolicyzm piętnując, jako wyraziciela wrogiego germanizmu. Lecz husytyzm to poprzednik protestantyzmu, owszem jest on protestantyzmem w najradykalniejszej postaci, a któż powie, że protestantyzm jest mniej germański od katolicyzmu? I gdy dzisiejsza polityka kościelna republiki znajduje

uznanie i poparcie luterskich Niemców i kalwińskiej części Słowaków, to czyż jest bardziej narodową, niż gdyby oparła się na rdzennie katolickiej części ludności czeskiej, morawskiej i słowackiej, którą dzisiaj drażni w jej najświętszych uczuciach i prowokuje? Husytyzm — właściwie wiclefizm — jak biskupi przypomnieli w swojem orędziu, to nauka rozkładowa, radykalnie rewolucyjna nie tylko pod względem religijnym, ale i politycznym i społecznym: jeżeli kto, to chyba anarchiści i bolszewicy mogliby Husa wziąć za swego patrona, gdyby „patronów" poszukiwali. Prawdziwej zaś kultury, a nawet materjalnego dobrobytu nie zbuduje się na tak lotnym gruncie, jakim jest rewolucyjna doktryna Wicleffa i Husa.

Jeszcze jedna uwaga się nastręcza pod adresem naszego polskiego społeczeństwa. Zbliżenie się duchowe Czechów i Polaków leży w interesie obydwóch narodów i poczynania w tym kierunku niewątpliwie zasługują i u nas na poparcie. Trzeba jednak zauważyć, że u nas przedewszystkiem popiera się zbliżenie do Czech husyckich, a przewodzi mu protestant polski, p. Kurnatowski. Szczerze katolicka część społeczeństwa polskiego nie powinna dać się wciągnąć przez nieświadomość do tej protestancko-husyckiej kompanji. Nas z husytyzmem nic nie wiąże, chyba tylko wspomnienia zamieszek w XV wieku, napadu na Częstochowę, znieważenia obrazu Matki Boskiej. Katolicka Polska niech się zbliży do katolików czeskich. W obrębie tegoż Kościoła łatwiej nam będzie wzajemnie się zrozumieć i zgodnie pracować nad rozwijaniem prawdziwej tradycji polskiej i czeskiej — tradycji katolickiej.

Ks. Jan Urban.

Teodor Axentowicz i jego sztuka.

W Paryżu pięćdziesiąt lat temu panował jeszcze wszechwładnie duch minionej epoki cesarstwa. Prosta i swobodna elegancja była hasłem życia publicznego. Nie znano wtedy jeszcze ani automobilów, ani kolejki podziemnej, a całe miasto nie miało piętna tej gorączki spekulacyjnej, która dziś trawi i przenika stolicę.

Powiedział ktoś słusznie, że Paryż jest stolicą świata, a stolicą Paryża są bulwary od Wielkiej Opery aż po teatr Varieté. Jednak i one mają swój środek: „Café anglais", a w niej punktem centralnym był stolik, przy którym się zbierał kwiat wiel-

kiej literatury francuskiej z końca epoki Cesarstwa. Ale jednego dnia stolik ten historyczny pękł pod uderzeniem szpady Gambetty, gdy rozeszła się smutna wiadomość o rozpoczęciu wojny z Prusami (1870). Od tego czasu bulwar zaczął zmieniać swą fizjognomję.

Bo fizjognomja bulwaru nie jest wcale powierzchowna lub przypadkowa. Jest ona zwierciadłem duchowego życia Paryża. Szerokie chodniki bulwaru i liczne kawiarnie, jego ruch oszałamiający, strojny, barwny i groteskowy, uczą i mówią, nad czem Paryż myśli i pracuje.

Dziś milczące terasy kawiarń bulwaru, zastawione szematycznie maleńkiemi stolikami, gromadzą prawie przeważnie ludzi świata handlowego, aferzystów i spekulantów. Tak, niestety, spekulacja i gorączkowy pośpiech są hasłem dzisiejszego Paryża.

A dawniej...

Dawniej inaczej bywało. Dawniej bulwar był salonem Paryża, dostępnym dla każdego, nie wyłączając lilij burbońskich i orłów napoleońskich. A terasy kawiarń bulwaru jakże ożywionym gwarem rozbrzmiewały! Zaledwie wszedłeś, zaraz wiedziałeś, czem się Paryż bawi, o czem myśli, nad czem się unosi. Treścią zaś wszystkich rozmów, gorączkowych kłótni i zapalonych sporów była często sztuka. Obraz, rzeźba lub poemat stawały się wypadkiem dnia; ściągały uwagę całego miasta. Cechą zaś najtypowszą ówczesnego Paryża było niezmiernie rozwinięte życie towarzyskie, wykwintne, pełne dowcipu i swobody. Ono wprzęgało wszystkich do swego rydwanu. Urabiało ludzi, formowało zdolności, kształciło talenty.

I stąd cała twórczość francuska tych czasów — umysłowa i artystyczna — ma charakter lekki i błyskotliwy, obok głębi myśli ludzkiej i powagi obserwacji.

Do takiego miasta przyjeżdża w roku 1882 młody malarz, Teodor Axentowicz z Monachjum, gdzie świeżo ukończył akademję. Z kolegów Polaków spotyka w Paryżu Lenza, Chełmońskiego, Rejchana, nieco później przybywa Stanisławski. Z Lenzem razem wynajmuje pracownię przy Avenue des Villiers, niedaleko parku Monceau, a obok „hotelu" wielkiego Messoniera. Wkrótce ustala się zwykły typ życia malarza. Dzień schodzi mu na pracy i zwiedzaniu licznych muzeów, a wieczór dzieli zwykle pomiędzy teatr i operę. Za swego nauczyciela czy mentora wybrał wielkiego Carolusa Duran, mistrza portretu francuskiego. Ale nie trzeba myśleć, że w szkole tego malarza tworzył się kierunek sztuki Axentowicza. Nie, Carolus Duran — to wskazówka tylko. Nie w pracowni i w szkole jedynie rósł i dojrzewał talent Axentowicza. Naturalnie, o ile chodzi o niezawodną pewność rysunkową, o sprawność techniczną — to własna pracownia, czy studjum też aktu w szkole, działały tu decydująco. Ale twórcza

myśl malarza, zdolność komponowania obrazu, a zwłaszcza portretu, kształtowały się zwolna na szerokiej fali życia paryskiego. To życie, we wszystkich objawach, razem ze swemi podnietami i zabawami, zaciężyło na twórczości artysty, tem bardziej, że Axentowicz nie był tylko jego obojętnym świadkiem, ale przeciwnie gorliwym uczestnikiem. A Paryż, który chętnie przyjmował wszystkich, szukających światła metropolji, okazał się bardzo uprzejmym i dla naszego rodaka.

Po dwóch latach pobytu w stolicy zaznajomił się Axentowicz z całą ówczesną cyganerją paryską. Wtedy właśnie ukazała się głośna i nie schodząca z afisza Tosca. Wystawiono ją na deskach teatru „Porte St. Martin", z Sarą Bernhardt w roli tytułowej. Na premierze był obecnym także Axentowicz, a porwany grą wielkiej artystki, zapragnął malować jej portret w roli Toski. Przez swego przyjaciela, znanego już wówczas pisarza Feydeau, został przedstawiony Sarze Bernhardt, a portret, malowany w pałacu Sary przy Avenue des Villiers, dał mu sposobność do zapoznania się z całym światem intelektualnym Paryża. Przez salon bowiem Sary Bernhardt przesunęli się wszyscy znakomici ludzie ówczesnej literatury i sztuki. Codziennym gościem był tam Wictor Sardou. Przychodził Pierre Lotti, grywał Massenet i Goudon, często bywał Aleksander Dumas syn, Gervais, późniejszy mąż Sary, malarz Bastien Lepage, Clairin, Manet i tylu, tylu innych. Sara Bernhardt była wówczas u szczytu swej sławy, a cały Paryż słuchał z zachwytem gry genjalnej artystki.

Drugim domem, gdzie zbierała się śmietanka intelektualnego Paryża, był pałac państwa Godebskich, położony obok parku Monceau. Godebski był synem emigranta i powstańca, urodzonym w Paryżu, a ożenionym z bardzo posażną panną Natanson. I tu również bywała cała literatura i sztuka Paryża, a dom ten był miejscem zebrań, szczególnie ulubionym, dla niezwykłych zalet towarzyskich samego gospodarza. Bywali tam: znakomity Daudet, malarz Alfred Stevens Emil Zola, Paul Bourget i Zichy, późniejszy dyrektor Akademji sztuk pięknych w Petersburgu. Grywał tam często genjalny muzyk, stary Antoni Rubinstein. Częstym gościem był Carolus Duran, przychodził słynny markiz de Lafayette i wielu innych. Jeden z takich wieczorów miał cechy historycznego dnia. Grał na nim bowiem po raz ostatni w życiu Liszt warjacje Szopena na temat: „Gdybym ja była gwiazdeczką na niebie". Zebranie to zostało upamiętnione opisem w dziennikach paryskich, a francuska *Illustration* zamieściła artykuł: Les Soiréés chez M. Godebski, dołączając rycinę z portretami zebranych.

W tym czasie było także w Paryżu kilka domów, gdzie się zbierała przeważnie kolonja polska. Do tych należał dom państwa Chełmońskich, przy bulwarze Malesherbes, gdzie zwłaszcza bywała chętnie cała młodzież. Chełmoński był wówczas u szczytu

sławy, a świetne jego prace jednały mu poklask i zachwyty świata paryskiego. Także w hotelu Lambert zbierała się raz do roku cała kolonja polska, na tradycyjne „święcone", którego to zwyczaju przestrzegał gorliwie ks. Władysław Czartoryski. Jednak główną oazą polskości był już wtedy gościnny dom państwa Wł. Mickiewiczów, razem ze swemi historycznemi przyjęciami w poniedziałki. Do francuskich domów, w których Axentowicz bywał często, należał dom p. Henryka Fouquier, redaktora *Figara*, osobistości naturalnie bardzo wpływowej i potężnej. Nic też dziwnego, że pewnego dnia oddał Axentowicz panu Fouquier bilet Władysława Mickiewicza, w którym ów bardzo gorąco polecał względom wszechmocnej prasy młodego muzyka, jeszcze nieznanego... Paderewskiego.

Rok 1890 był ważnym momentem w życiu Axentowicza. Właśnie wtedy zawiązała się „Société Nationale des Beaux Arts". Było to stowarzyszenie artystyczne w rodzaju niemieckich „Secesji". Francja bowiem miała jedną ogólną instytucję, t. zw. „Société des Artistes français", urządzającą doroczną, wielką wystawę sztuki czyli „Salon", otwieraną zawsze każdego roku, już od stu sześćdziesięciu przeszło lat. Założone przez wielkiego kardynała Richelieu, mimo wszystkich burz, wojen i przewrotów społecznych, przetrwało do naszych czasów. Instytucja ta miała ścisły regulamin, od czasów założyciela nie wiele zmieniony. Tymczasem nowe prądy, hasła i kierunki oddawna już nurtowały w sztuce francuskiej. Rzecz prosta, że przyciągały one corazto nowych zwolenników, którzy w końcu oderwali się od dawnego towarzystwa „des Artistes français" i zawiązali się w wielkie stowarzyszenie pod nazwą: „Société Nationale des Beaux Arts". Do założycieli tej nowej instytucji należały najznakomitsze nazwiska sztuki francuskiej, ostatniej doby, jak Meissonier, Puvit de Chavannes, Carolus Duran, Rodin, Besnard i szereg innych. Była to zatem reakcja przeciw nadmiernej liczbie przeciętnych obrazów (3—4000), której celem było zebranie tylko najlepszych prac malarstwa, wykwintne urządzenie i racjonalny sposób zawieszenia obrazów. Naturalnie liczba przyjmowanych prac była bardzo ograniczoną, tak samo przyjęcie oznaczało już pewien sukces. Zamiast rozdzielania medali, obdarzano poszczególnych wystawców godnością członka Towarzystwa.

W r. 1890 otwarto po raz pierwszy na wiosnę drugi „Salon" oficjalny, to znaczy subwencjonowany przez państwo. W wystawie tej wziął udział Axentowicz, dając doskonały portret Wiktora Ostawskiego (Kraków, Muz. Nar.) za co komitet wystawy zamianował go członkiem Towarzystwa (associé). Był to zarazem jeden z pierwszych obrazów polskich, jakie się pojawiły w tym „Salonie".

W ciągu tych kilku lat rósł zwolna szereg poważnych i wybitnych prac Axentowicza.

Po zupełnem opanowaniu i wyrobieniu sprawności rysunkowej, zaczął artysta bardziej ustalać swój kąt widzenia, czy też sposób kopjowania obrazu. Do tych pierwszych prac okresu paryskiego należy portret Sary Bernhardt, ks. Wład. Czartoryskiego, ks. Terki Jabłonowskiej, duży portret p. Czarkowskiej-Golejewskiej, panny Henrietty Fouquier, córki redaktora *Figara* i wiele innych. Ostatni zwłaszcza z wymienionych obrazów wywołał wielkie zainteresowanie ze względu na niezwykle piękny model niewieści, ujęty przez artystę z wielką subtelnością. Ta główka panny Fouquier, którą kilka razy malował, stała się poniekąd symbolem sztuki Axentowicza.

Ale oprócz prac samoistnych, znaczną część czasu pochłaniały kopje arcydzieł starego malarstwa. Oto najlepsza szkoła i droga do poznania tajników sztuki dawnych mistrzów. Nie wystarczy rzucić okiem na obraz, zastanowić się nad jego powstaniem i kompozycją, poznać tajniki z jakich się składa. Nie. To dopiero początek albo wstęp do księgi mądrości dawnego malarstwa. Kopjując takie arcydzieło poznaje dopiero artysta cały proces stopniowego powstawania obrazu. Kopja starego płótna to trudny eksperyment myślowy, który nie zawsze się udaje. Po wielkich galerjach dziś kopistów długie szeregi. Wśród nich jednak rzadko trafia się malarz, który kopjuje tylko dla poznania sztuki dawnego mistrza.

Do takich właśnie nielicznych kopistów należał w Paryżu Teodor Axentowicz. Gainsborough, Romney, Tycyan i wreszcie Velasquez — oto ulubieni jego malarze. Dwaj pierwsi z wymienionych, jako Anglicy, a także ostatni, byli bardziej licznie reprezentowani w galerji Narodowej w Londynie. Dlatego też co roku udawał się Axentowicz do stolicy nad Tamizą, by tam z całym zapałem oddawać się przez kilka miesięcy studjowaniu arcydzieł sztuki. Rzecz prosta, że kopje te szybko znajdowały nabywców, a talent Axentowicza prędko zwrócił uwagę rządu, tak, że z ministerstwa sztuk pięknych zapytywano go, czyby nie przyjął szeregu rządowych zamówień na kopje.

Obok malarstwa sztalugowego, Axentowicz robił wiele ilustracij do *Monde Illustré*, jak tylu młodych, z Polaków Rejchan, Lenz, a nawet Chełmoński. Temu raz dostało się do roboty „Wyjście z Opery". Któż nie zna tej zajmującej chwili, gdy o północy otwierają się podwoje Wielkiej Opery i tłumy najszykowniejszego świata paryskiego spieszą do ekwipaży. Chełmońskiego ostatni szyk Paryża wypadł wątpliwie na tej illustracji, ale za to kirasjer na koniu, trzymający wartę przed Operą wszystkich zachwycił.

W r. 1895 zaczął się nowy okres w życiu Axentowicza. W tym bowiem roku Juljan Fałat z ramienia dawnego rządu austrjackiego reorganizował ówczesną szkołę Sztuk pięknych i powołał na profesorów Stanisławskiego, Wyczółkowskiego i Axen-

towicza. Wtedy to właśnie przeniósł się artysta wraz z rodziną na stały pobyt do Krakowa i tu nadal pozostaje — jako profesor malarstwa w dawnej szkole Matejkowskiej, zmienionej tymczasem w Akademję Sztuk Pięknych.

Teodor Axentowicz pracuje w dwóch kierunkach: jako malarz portretu i jako malarz ludu. Ten drugi kierunek malarstwa, może nieraz dziwić i zastanawiać u artysty tak subtelnego, jak on. Po chwili jednak namysłu poznajemy tajemnicę. Światem malarskim Axentowicza jest życie ludu wschodniej Małopolski. Lud ten, o odrębnym, wyrazistym typie, o szerokiej i jaskrawo-ponurej skali kolorystycznej ubiorów chłopskich, odznaczający się uroczystą powagą obrzędów religijnych, zaprawionych surowym obyczajem, pociągał malarza jakimś egzotyzmem. Nęcił go, jako niezwykłe zjawisko kolorystyczne, a zarazem przykuwał realizmem życia, przechodzących w pewną monumentalność gestu. Ten świat chłopski był tak barwnym, niespodziewanym i odrębnym od życia miejskiego, że równał się w oczach artysty pięknym wizjom fantastycznym.

Podobny objaw można zauważyć u wielu obcych malarzy. Np. Gauguin. Wiadomo, ile zainteresowania w szerokim świecie, a wrzawy i fermentu w kołach artystycznych, wywołały jego studja i obrazy, wykonane wśród szczepu Tahiti, rasy czarno-żołtej. Pod względem dekoracyjności i rozmaitości motywów, nie mogą się nawet mierzyć z życiem huculów. Z drugiej strony właśnie realizm i prymitywność form życiowych, jako narodu pierwotnego, a głównie studjum pleneru, jako nowe wartości w sztuce — zapewniła tym płótnom tak wielki rozgłos. Iluż np. malarzy hiszpańskich ostatniej doby opiera swą twórczość artystyczną o życie ludu wiejskiego, że wymienię tylko Zulongę, Angladę, Zubiarrę itp.

Dlatego więc obrazy huculskie Axentowicza są zupełnie naturalne. Artysta wybiera do obrazu jakieś chwile osobliwe, godne pendzla przez swą uroczystą powagę. Nie są to wcale jakieś momenty życia codziennego, ale przeciwnie. Na płótnach Axentowicza występuje lud w roli odświętnej, pełnej nastroju i skupienia. Więc albo na święto Jordanu schodzi się gromada, albo w procesji ciągnie za Ukrzyżowanym i władyką, albo znowu w smutnym obrzędzie pogrzebu odprowadza zmarłego. Charakterystycznem jest przytem, że Axentowicz jako porę roku wybiera zwykle zimę za tło swych obrazów. Zima ze swym białym poszyciem już przez to samo jest dużym zadatkiem kolorystycznym. Na takiem tle lepiej odrzynają się bronzowe gunie, żółte kożuchy i czerwone zapaski bab wiejskich. W oddali zaś rysuje się cerkiew wiejska i oryginalnym kształtem swej kopuły przykuwa uwagę. — Obrazy te obok wartości czysto malarskiej, są dowodem dużej umiejętności kompozycyjnej, która jeszcze bardziej zwraca uwagę w portretach Axentowicza.

Portretów tych są długie szeregi. Dlatego mówić o nich

można tylko ogólnie. Niepodobna też wydzielić ich kilka z ogólnej sumy. Na wstępie zaznaczyć trzeba, że w twórczości tej przeważa portret kobiecy i że on właśnie jest głównem polem działalności malarskiej Axentowicza. Bystrość obserwacji i zdolność odnajdowania jakiegoś specyficznego pierwiastku u danego modela, przemawia z każdego płótna. Ta znajomość psychologji kobiecej uderza odrazu u artysty. Dlatego właśnie zpozowanie modela w jego obrazach jest różne i nie widać tu wcale jakichś zgóry przyjętych zasad. Na tem właśnie polega jego kompozycja portretu, że nie szukając pomocy w otoczeniu czy tle, umie on całą wytyczną skierować na modela. Przez zręczne ustawienie, przez pochylenie postaci, ruchem głowy lub ręki, wyrazem oczu, spojrzeniem lub wręcz uśmiechem, umie zainteresować lub przykuć uwagę. W postępowaniu tem widać dużą inteligencję malarską, spokój i rozwagę.

Drugą cechą Axentowicza jest wdzięk czy urok kobiecy, po którym go wszędzie poznajemy. Pod tym względem w sztuce polskiej nie ma równych sobie. Czar spojrzenia, powab uśmiechu, tęsknota młodej dziewczyny, naiwność podlotka, to znowu elegancja wykwintnej damy lub poważna dystynkcja matrony — nie znalazły u nas malarza, któryby mógł stanąć obok Axentowicza

Wreszcie artystę tego odznacza subtelna gama kolorystyczna. Skala barw, jaka występuje na jego płótnach, ma rozmaity wyraz. Nie spotkamy tu nigdy barwy zbyt surowej, gwałtownej lub jaskrawej, któraby swą obecnością zagłuszała cały obraz. Przeciwnie. Axentowicz — jak może nikt w tym stopniu — posiada bardzo delikatne poczucie harmonji kolorystycznych. W portretach jego widać zwykle dążenie do osiągnięcia zespołów barwnych. Często dobrym szczegółem barwnym, zręcznie użytym, umie artysta cały obraz ożywić i podnieść. Ile razy róża, przypięta do sukni, lub poręcz fotelu, rama obrazu, lub stary wazon obok ustawiony — ile wnosiły szyku czy elegancji, atmosfery buduaru, lub jak podnosiły urok i powab obrazu! Przy takich zwłaszcza szczegółach czy dodatkach można ocenić wysokość kultury artystycznej Axentowicza. Nigdy bowiem nie zapomina on, co jest istotą portretu, a co tylko dodanym szczegółem dekoracyjnym. Tu właśnie widać wielki takt malarski czy dyskretność, dzięki którym, każdy portret ma swą niezachwianą równowagę i harmonję kolorystyczną, Ale obraz pracy Axentowicza byłby nie kompletny, gdybyśmy pominęli milczeniem jego portrety męskie. Jest ich znacznie mniej niż kobiecych, ale i tak stają w rzędzie najświetniejszych płócien malarstwa polskiego.

W obecnej dobie burzliwych i krańcowych haseł w sztuce, w czasie odrzucania wszystkich zdrowych pojęć i zasad artystycznych, Axentowicz przedstawia doskonały typ malarza, który

opiera się swą wysoką kulturą o mistrzów dawnego malarstwa, co jednak nie przeszkadza mu być na wskróś nowoczesnym. Zapatrzony w Velasqueza, Gainsborougha, Romneya umiał zawsze połączyć godność gestu z czarownym powabem spojrzenia czy uśmiechu. Lekkość czy wykwintna swoboda kompozycji, nabyta w świecie francuskim w ciągu długiego pobytu, zapewniła mu dominujące stanowisko w pomatejkowskiej dobie polskiej sztuki.

Franciszek Klein.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 1 września 1925 r.

Spis rzeczy tomu 167.

Artykuły.

Str

J. Urban: Masoni a ideologja masońska 3
T. Dobrowolski: Sztuka romańska w Krakowie 23
H. Cichowski: Jubileusz pierwszego Soboru powszechnego 46
A. Zahorska: Literatura a prasa 63
S. Inglot: Ks. A. Tyczyński w Leżajsku i pomniki jego działalności w Albigowej 73
J. Kallenbach: Towianizm na tle historycznem (c. d.) . . 96
R. Blüth: Kartki z dziejów katolicyzmu w Rosji (dok.) . . 116
Dr. A. Prochaska: Walka o zasady na kresach (dok.) . . 132
St. Podoleński: O duszę młodzieży 193
Dr. J. Umiński: Czwarty sobór Lateraneński i udział w nim Polski 210
F. Hortyński: Od Boga, czy od małpy? 234
M. Załęska: „Płoszowski" i jemu pokrewni 264

Przegląd piśmiennictwa.

Jan Kucharzewski: Od białego caratu do czerwonego (J. Rostworowski) 153
M. Morawski: Dogmat łaski (J. R.) 144
J. Kochanowski: Pisma zbiorowe. (T. Karyłowski) . 145
J. Urban: Na ślubny kobierzec; Dr. K. Rieder: Der Brautunterricht; H. Schilgen: Na usługach Stwórcy. (St. Podoleński) . 146
E. Krebs: Die Kirche und das neue Europa (E. Chomrański) 148
Dr. J. Feldmann: Schule der Philosophie (W. Lohn), . . . 149
Poezje i powieści. J. Iwaszkiewicz: Księżyc wschodzi; A. Strug: Pokolenie Marka Świdy; Tenże: Ich syn; M. Rodziewiczówna: Ryngraf; E. Słoński: W więzieniu; K. Laskowski: Kulturträger; A. Górski: Klechdy; W. Szelążek: Kwiat jabłoni; E. Kozikowski: Wymarsz świerszczów; A. Waśkowski: Poezje (A. Zahorska) 282

W. Szczepański: Tak zwany Sobór Jerozolimski (W. Lohn) . 293
Żywot M. Franciszki Siedliskiej (J. Urban) 295
Z. Birkenmajerowa: Z młodzieńczych lat Jana Daniela Janockiego (K. Konopka) 296
M. Tokarzewski: Straż przednia (W. S.) 298
J. Gawroński: Szkoła odrodzenia (St. Podoleński) . . . 299
B. Szulczewski: Dusza dziecka (St. Podoleński) 300
R. Korsch: Żydowskie ugrupowania wywrotowe (J. U.) . . . 300
L. Kondratowicz: Urodzony Jan Dęboróg (T. Karyłowski) 306
A. Oppman: Hymn wolności (T. Karyłowski) 302

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:
Lipiec-sierpień. Tegoroczne kanonizacje i beatyfikacje. — Rozłamy w Kościołach schizmatyckich (J. Urban) 152
Wrzesień: Urzeczywistnienie konkordatu a prasa. — Husycka polityka w Czechach 304
Tydzień tomistyczny w Rzymie (P. Siwek) 158
Jubileusz katolickiego Związku Polek (R. Łubieńska) . . 161
Z ruchu kobiecego (St. Podoleński) 163
Z kroniki społeczno-ekonomicznej (R. Moskała) 169
Z najnowszej higjeny odżywiania (F. Hortyński) 176
Teodor Axentowicz i jego sztuka (F. Klein) 311